

Kiedy skończyłem czytać tę książkę, przestałem być dzieckiem.

MAREK NIEDŹWIECKI

**K
FINN ALNÆS
L
O
S**



 WIELKA LITERA

K
FINN ALNÆS
O
L
O
S

**ZAPISKI
BRAGEGO
BRAGESSONA**

Z norweskiego przełożył
Józef Giebułtowicz



WIELKA LITERA

*Dyskutując na temat skłonności przestępczych, nie wolno nigdy zapominać, że osobowość człowieka nie składa się z różnych ode-
rwanych od siebie cech, lecz stanowi jed-
ność, a w tej jedności należy poszczególne ce-
chy traktować jako część składową całości.*

(PROF. JOHS. ANDENÆS)

*Największą i najważniejszą dla nas zagad-
ką jest sam człowiek. Najwyższym celem ro-
zumu jest dążyć niezmordowanie do coraz
głębszego poznania psychiki ludzkiej, cho-
ciaż nie można nawet marzyć, iż da się to
kiedykolwiek osiągnąć.*

(C. G. JUNG)

SŁOWO WSTĘPNE

BRAGEGO BRAGESSONA

Promienie kuli świecącego gazu mają dziś wolną drogę na ziemię, a gdy patrzę na topniejący śnieg, przychodzi mi na myśl, że jest to kula o średnicy jednego miliona czterystu tysięcy kilometrów i jej odległość od śniegu wynosi w tej chwili mniej więcej sto pięćdziesiąt milionów. Od miliardów lat paliła się w przestrzeni i jeszcze miliardy lat będzie się palić, lecz oto pewnego dnia albo pewnej nocy – cóż to będzie za dzień! cóż za noc! – jej energia wyczerpuje się, kula gaśnie, krzepnie, i z ziemi znów widać gwiazdy. Nic nie jest niezniszczalne, nawet słońce. Zamiera, jak moje serce.

Nigdy mnie nie męczy podziwianie słońca. W największe zdumienie wprawiają mnie jednak nie dane naukowe o nim, owo minione stadium w naszej świadomości, lecz fakt, że ono tam jest: że słońce tam jest!

Nazywam się Brage Brageesson i jestem kozłem górskim. Czasami czuję się nim całkiem dosłownie: jak kozioł. Kozioł. Kozioł. Podoba mi się ta nazwa. Zresztą pewna stara wiedźma powiedziała mi niedawno, że w październiku czy listopadzie mimo wszystko, mimo wszystko, czeka mnie jakaś nowa i wielka, wielka miłość.

Coś łagodnego i czułego dla kozła. Niezwykłe. Niezwykłe.

O, kocham te stare wiedźmy, które rozwiązują różne moje problemy, lubię potem pogadać sobie z nimi przy rocznym bilansie: proszę bardzo! W styczniu nie zainteresowałem się czarnowłosą dziewczyną. W lutym nie wzbogaciłem się, wręcz przeciwnie, a na wiosnę wcale mnie nie spotkał szczęśliwy ożenek, bo moja jasnowłosa ukochana w Wielką Sobotę zniknęła, a ja wtedy siedziałem w ciupie. No? Jak? Dostanę forszę z powrotem, czy nie?

Ale potem w rozmarzeniu stykamy się głowami. – W październiku albo listopadzie, powiada pani? Czy to możliwe? I szczęśliwie? A kto to jest, można wiedzieć? Wampus? Rzepka? Ruth albo Smokcia, albo jeszcze coś nowego? Ho, ho, zobacz, czy ma duże piersi i tęgie uda? Zobacz, stara! Co pani mówi, widzi to pani? Wielkie nieba, wielkie nieba! O Jezuu, dziękuję pani!

Tak, nazywam się Brage Bragešson i urodziłem się 15 stycznia 1932. Gdy rozpoczynam to sprawozdanie, mam lat dwadziešcia osiem, nie posiadam stałego miejsca zamieszkania, jestem stanu wolnego i bezdzietny. Mój tytuł brzmi: były student, były narciarz, były marynarz i były więzień. Jest majowy dzień roku 1960.

Nie mam pojęcia, dokąd zaprowadzi mnie to sprawozdanie. Nie mam żadnego innego celu, któremu mógłbym się poświęcić, i opiszę te wydarzenia, jakie uważam za najważniejsze w swoim życiu: proces 1955, późniejsze wypadki i przeżycia podczas zamieci śnieżnej 1960... historię kilku ampułek szybko działającej insuliny.

To jest moje zadanie. Nie wymaga ono rzeczy niewykonalnej: żebym był obiektywny. Wymaga czegoś przeciwnego: żebym w tym opowiadaniu odbił swój wewnętrzny krajobraz tak, aby stał on przede mną jak coś w rodzaju lustra. Ale w celu zachowania pewnej dozy obiektywizmu – który wprowadzam, bo mnie samego to bawi – mam przed sobą na biurku dokumenty z rozprawy sądowej, wycinki prasowe i trochę innych papierów. Użyję ich wszystkich po to, aby w przybliżeniu pokazać swój obraz widziany oczyma opinii publicznej. Nie mam jednak zamiaru wiązać się chronologią procesu, sam ustalę swój własny porządek: tu trochę przemówienia, tam trochę przesłuchania, tu trochę pisaniny z gazet, ówdzie trochę opinii rzeczoznawców – krótko mówiąc, biorę wszystko, co uważam za najważniejsze, w porządku, który wydaje mi się najwłaściwszy, a przy tym tu trochę opuszczam, a ówdzie trochę dodaję.

Ale sprawozdanie musi się przecież od czegoś

zacząć i wielu ciągle jeszcze uważa, że najmądrzejszą taktyką jest zacząć od dzieciństwa – szczególnie, jeśli było smutne – tak jakby w nim można znaleźć przyczyny postępowania dorosłego człowieka – szczególnie wtedy, gdy było smutne.

Mnie jednak taka taktyka nie interesuje, uważam bowiem, że dorosły człowiek w żadnym wypadku nie jest prostym zadaniem arytmetycznym. Uważam, że najbardziej zasadniczych spraw nie można określić w związku czasowym i przyczynowym, ponadto zaś babranie się dorosłego człowieka w swoim własnym lub cudzym dzieciństwie wydaje mi się nieprzyzwoite. Gdy to się dzieje w imię nauki, świadczy również o zarozumiałości: człowiek wyobraża sobie, że udało mu się znaleźć klucz do zagadki świata, i w zapale rozwiązywania, rozwiązywania problemów, rozwiązuje je, lecz czyni to z punktu widzenia swoich małych i lekkomyślnych założeń, nie może więc zauważyć, że dziecko w dorosłym człowieku jest tym, czym nasz system słoneczny we wszechświecie: małą wielkością w bezmiarze wielkości.

Jeżeli jednak rozpoczynam od sylwetek rodziców, robię to nie dlatego, bym widział w nich jakieś ważne, współdziałające czynniki mego życia, tak jak ono się układa, lecz dlatego że mgliste wspomnienie tych dwojga ludzi po prostu mnie

wzrusza.

Mimo wszystko ma się przecież rodziców. Choć trudno to pojąć, miał ich nawet Führer i deprawator Trzeciej Rzeszy. No bo proszę: o godzinie pół do siódmej wieczorem, dnia 20 kwietnia 1889, w małej gospodzie „Gasthof zum Pommer”, w miasteczku Braunau nad rzeką Inn, pewna kobieta imieniem Klara naprawdę urodziła chłopca, którego ochrzczono i wpisano do księgi metrykalnej jako Adolfa Hitlera! Może łatwiej byłoby to wszystko zrozumieć, gdyby tych dwoje turystów, Alois i Klara – o nazwiskach kojarzących się dla Norwega z czymś w rodzaju pumpernika i kiełbasy, czyli Schicklgruber i Pözl – natknęło się na to stworzenie u stóp jakiegoś świeżo wybuchłego wulkanu, tak że później można by było uznać, że znajda był rodem z piekła.

I uwinęli go w pieluszki, i ułożyli go w koszu, a potem pospieszyli do domu w Braunau nad rzeką Inn nie przewidując, ile nieszczęść spadnie kiedyś przez to na świat.

A więc do dzieła. Mam dość czasu, bo ciągle jeszcze jestem rekonwalescentem po obrażeniach, jakich doznałem podczas zamieci śnieżnej 25 lutego tego roku, właśnie w tym czasie, kiedy – według amatorsko-astrologicznych przepowiedni mojej wiedźmy – miałem się wygrzewać w gorącym słoń-

cu Południa.

I



PROCES

Mój ojciec był potężny, ciężki, jakby wyciosany z granitu, prawie dwumetrowego wzrostu, z wyglądu imponujący, ale – według słów matki – jak „niedostępne zamczysko”, zamknięty w sobie i milczący, człowiek, który wszędzie wydawał się nie na miejscu. Nie na miejscu, ale jak głaz.

Miał ładne oczy, patrzące trochę bojaźliwie, z wyrazem zdziwienia, a usta zacięte, choć wrażliwe. Przedziwna gęba. „Urzekająca”, mawiała moja matka.

Mówiąc o matce, ojciec rzadko używał jej imienia, zwykle nazywał ją uroczyście „małżonką” lub zwracał się do niej „moja droga”. Pod wpływem alkoholu miał ją podobno kilka razy nazwać „swoją kochanką” lub „swoją nieszczęśliwą kochanką” i powiedzieć, że nie była jego żoną i moją matką, lecz „tylko małżonką i kochanką”. W ogóle zaś te kilka razy, kiedy był skłonny do zwierzeń, to znaczy gdy miał w czubie, mówił głównie o niej, krótkie, urywane zdania o tej, która go tak obchodziła.

Była popielatą blondynką, kobietą pełną wigoru, dobrze zbudowaną i, o ile rozumiem, lubiącą się podobać. Spojrzenie miała powłóczyście, ale jej oczy często patrzyły z boku szelmowsko i wyzywająco.

Jak daleko sięgam pamięcią, oboje prowadzili z sobą ciągłą wojnę, bez głośnych słów i wrogich czynów, lecz po cichu, zawzięcie i równocześnie nie bez uczucia. Nic nie wskazywało na to, aby robili sobie na złość. Ta ich wojna była czymś w rodzaju atmosfery ciągłego napięcia, które prawdopodobnie rodziło się z tego, że nawzajem żądali od siebie zawsze czegoś innego, czego nie chcieli lub nie mogli sobie dać albo nie wiedzieli, jak dać. Może też nie umieli nigdy wyrazić swoich życzeń słowami.

Zdaje mi się, że oboje bardzo do siebie lgnęli. O ile sobie przypominam, wybuchy namiętności następowały zwykle w chwilach pojednania. Do dziś pamiętam, jakby to się zdarzyło dopiero przed kilku minutami, że moi zawsze tak poprawni rodzice tracili opanowanie prawie na moich oczach; widzę ich obejmujących się czule i szeptających najbardziej pieśczośliwe słowa, jakie w życiu słyszałem. Jeszcze pamiętam niektóre zdania. Matka: – Ty moja kochana, kochana zgryzoto! – Ojciec: – Nie zasłużyłem na to, aby zawiązać rzemyk u twego bucika. – Matka: – Ani ja u twego. Ale wiesz, kochany, oboje musimy na to zasłużyć. – Ojciec: – To jedyna rzecz, na której mi zależy. – Matka: – Tak strasznie cię kocham, tak okropnie... nie mam nawet słów! – Ojciec: – Ciągłe zaprzątasz moje myśli. Cały dzień myślę o tobie.

Przeszkadzasz mi w pracy. Nie, nie przepraszaj mnie, bo jesteś bardzo kochaną przeszkodą. – Matka: – Pragnę cię, ciągle cię pragnę! – A potem znów przytłumiony głos matki: – Och, ty! Ty! – Wreszcie niepewne, monotonne pomrukowanie ojca: – Chcesz, tak bardzo chcesz...

Mogę więc tylko snuć przypuszczenia co do powodów, dla których przeważnie panowała między nimi wojna. Z upływem zaś lat doszło do tego, że żyli osobno, każde w swoim pokoju, a spotkania były tylko sporadyczne i bolesne.

Ojciec często wyjeżdżał za interesami, a matka często wracała późno z miasta. Utarło się, że pod nieobecność ojca przychodził do matki jeden z jej przyjaciół, który mówił o sobie „wuj Teodor”. Czytał mi bajki i rysował śmieszne rzeczy, łódki, samoloty, trolle i wielkie, wielkie słonie. „Teraz się w coś zabawimy”, mawiał wuj Teodor, a wtedy zamieniałem się cały w ciekawość. Wydawał mi się miłym człowiekiem, znacznie miłszym od ojca. I oczywiście był miłszy.

Ojciec był bardzo: milczący, pracowity, zakochany w matce; interesował się literaturą, uprawiał wędkarstwo i turystykę, lecz rzadko bywał miły. Gdy wchodził do pokoju, natychmiast powstawała dziwnie napięta atmosfera, matka zaś znajdowała sobie zaraz tysiąc różnych zajęć. I jej oczy, te cią-

gle wędrujące za nim oczy. I jego oczy, które prawie nigdy nie spotykały jej oczu, choć patrzyły na nie i patrzyły w nie...

Sceny pojednania zdarzały się aż do końca, oczywiście coraz rzadziej. O, tacy byli nieszczęśliwi, tacy nieszczęśliwi ze sobą, że chodziłem prawie samopas i mogłem do woli łobuzować. Raz ściałem słup telefoniczny. Zjawił się glina. Ojciec wyszedł ze swej skorupy, ukarże, ukarże przykładnie! Za wszystkie psoty już popełnione i jeszcze na zapas! Stałem w pozycji obronnej. Matka rozdzieliła nas i śmiała się z obu. Ojciec prychnął gniewnie i znów zamknął się w swojej skorupie.

Nie przypominam sobie, abym się martwił z powodu rodziców. Prawdopodobnie w pełni korzystałem z wolności, którą dawała mi ta sytuacja. Świat zaś był nowy, pełen niezbadanych rzeczy i spraw. Miałem ważniejsze zajęcia niż kłopotać się cichą wojną swoich rodzicieli. Czasem jednak przychodziło mi na myśl, że powinni żyć ze sobą tak, jak inni ojcowie i matki. Wtedy szedłem do ojca i przekonywałem go, jaka matka jest miła i dobra. Ojciec nazywał mnie wtedy „maminym rycerzem”. Z kolei przed matką broniłem ojca. Matka wzdychała: byłem za mały, żeby zrozumieć. Raz nazwała mnie „tatusiowym giermkim”. Tak przeszło kilka lat. Parę razy pogodziłem ich,

a wtedy byli tacy wzruszeni, tak się nade mną serdecznie roztkliwiali, nad swoim małym chłopczykiem.

Ojciec uśmiechał się rzadko, a do mnie już prawie nigdy. Zrobił to raz czy dwa, przelotnie, mówiąc przy tym: „No, czego sobie dziś życzy mamin rycerzyk?”. Na ogół czułem się w jego obecności kimś niepożądanym; małym stworzeniem, które przypadkiem znalazło się w jego domu.

Uspodobieniami różnili się rodzice tak jak dzień od nocy. Matka potrafiła wesoło szczebiotać, była pełna życia, często reagowała bystro i dowcipnie. W porównaniu z nią ojciec wydawał się na pół senny.

Była od stóp do głów kobietą. Jej najmniejszy nawet ruch odznaczał się wdziękiem, czasami wprost zaskakiwała gracją. Nawet ja, jej synek, choć mały, widziałem to i uznawałem. Raz po raz prawilem jej komplementy: „Ładnie wyglądasz, mamusiu”. Ona zaś, doświadczona kobieta, umiała cenić uznanie ze strony syna. Moje słowa były dla niej najmiłym, niezaprzeczalnym potwierdzeniem. Jeżeli nawet ja, „mały brzdąc”, to widziałem...!

Była łasa na pochlebstwa. W późniejszych latach głęboko nieraz przeżywała spotkanie dawnego wielbiciela, który mówił: „Wprost nieprzyzwo-

ite! Z roku na rok wyglądasz coraz ładniej!”. Po takim spotkaniu wracała do domu promieniejąc krótkotrwałą radością, z zachwytem opowiadała o tym ojcu, zawsze z takim samym zachwytem mu o tym mówiła. On jednak nie mógł dzielić jej radości.

Od niego nigdy nie domagała się komplementów, obdarzał ją nimi skąpo tylko w chwilach pojednania. Raz powiedział: – Masz taką żywą twarz. Czuję się jak... jak... – szukał odpowiedniego słowa – jak kawał metalu – wyjąkał wreszcie. Ciepły, pewny głos matki odpowiedział: – Może stopię ten metal. – Ojciec przyjął to potwierdzenie kwaśno. Zamilkł, odsunął się od niej i nie odzywał się przez wiele, wiele dni.

Kilka razy do roku matka skupiała całe zainteresowanie na mnie. Chciała wtedy hurtem nadrobić zaniedbania. Sypały się na mnie obietnice wszelkich szczęśliwości: prezentów, kina, pieśczęt, spacerów... wszystko w ogłuszającym tempie.

Pewnej nocy dosłyszałem jej przytłumiony głos:

– Nie! Daj spokój. Nie!

Po chwili odezwał się bezbarwny głos ojca:

– No? O co chodzi?

– Nie! Nie!

– Dlaczego? Nie chcesz?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem znów usły-

szałem matkę:

– Czy ja chcę! Czy chcę! Człowieku, jak możesz wątpić? Jak możesz wątpić?

– No więc... o co idzie... nic nie rozumiem.

– O, mój kochany, mój kochany, nie rozumiesz, nic nie rozumiesz. Widzisz... to tak jak... wszystko wymaga czasu, kochany, wszystko wymaga czasu.

Tak mniej więcej oni rozmawiali ze sobą tej nocy, moi rodzice.

Matka umarła w noc świętojańską. Ojciec był „w podróży”, ona zaś wybierała się na wieś do przyjaciół. Wyruszyła samochodem dopiero późno wieczorem. Już wczesnym popołudniem zdradzała niepokój, bez przerwy kręciła się po całym mieszkaniu. Potem usiadła przy telefonie. Starła się dodzwonić do ojca. Telefonowała do wielu ludzi. Czy może ktoś mógłby powiedzieć, gdzie go można znaleźć? Musi z nim pomówić. Dziś. Tak, koniecznie dziś. Dziś w nocy, do diabła!

Jedną z tych rozmów pamiętam tak dobrze, że potrafię ją odtworzyć:

– Nie wiem... nie wiem... a czy ty wiesz, gdzie on jest? O, Magda, nikt nie ma pojęcia, gdzie on jest.

– Nie wytrzymam tego. – Ale ja go kocham. – Co?

– Ale ja jego właśnie kocham, do licha! Nie mogę z nim na zawsze zerwać, nie mogę, nie mam odwagi, nie chcę. – Bo właśnie jego kocham. – Tak. –

Być może. – Magda? Wiesz, ostatnio sama zadawałam sobie pytanie, czy błąd polega na tym, że nie jestem dla niego dość atrakcyjna. Może nie dość się o to starałam. Może stać mnie na więcej. – Ciągle mam nadzieję, Magdo. Nie mogę zrezygnować. Tak, wiem o tym, on biedak jest okropnie zamknięty w sobie. Kocham go. – Tak, to wszystko nie ma sensu, tak jak jest teraz. Ale co mam zrobić? Oszaleję! Doprawdy, oszaleję! Oszaleję!

Potem zapanowała długa cisza. Gdy wszedłem do pokoju, matka siedziała pochyłona do przodu, z głową na kolanach; jej charakterystyczna postawa podczas nieobecności ojca.

Podniosła ku mnie twarz, uśmiechnęła się przyjaźnie, jakby usprawiedliwiająco, i powiedziała:

– To ty?

Po chwili ciągnęła dalej:

– Wkrótce wszystko się poprawi. Przeprowadzimy się. Do nowego, ładnego mieszkania. Co o tym myślisz, Brage?

Zawsze żyła nadzieją, że nowe mieszkanie albo nowy dom znów zbliży ich do siebie. W dzieciństwie przeżyłem wiele przeprowadzek.

– Muszę z tobą poważnie porozmawiać, synku – powiedziała nagle z przejęciem. – Powiem ci coś, czego nie wolno ci zapomnieć. Musisz to sobie przypomnieć, gdybyś kiedyś poczuł wobec mnie

rozgoryczenie.

Zacząłem zapewniać, że nigdy.

– Jesteś dużym i grzecznym chłopcem. Ale tylko w domu. Dlaczego poza domem jesteś taki niegrzeczny?

Uśmiechnęła się uwodzicielsko. E! Chyba podobało jej się to, że ze mnie był kawał urwisa.

Potem znów zaczęła poważnie:

– Tak, to musisz zapamiętać. Ze mną jest tak... wyobraź sobie, że masz pragnienie, ale nie masz dość wody... masz tylko odrobinę wody... od czasu do czasu... tak że ciągle masz pragnienie. O! To jest nie do zniesienia!

Chwila ciszy.

– Będziesz pamiętał?

Skinąłem głową, ale wiele z tego nie rozumiałem. Matka wstała i mocno pocałowała mnie w czoło:

– Będiesz kiedyś duży i spotkasz jakąś kobietę, jakąś miłą dziewczynę, która będzie ci się podobać. Wtedy musisz od niej żądać wszystkiego! Powtarzam, wszystkiego!

Nie przemawiała do mnie, lecz do ojca. Toteż ja jej wtedy nie rozumiałem. Nie pamiętam więc dokładnie reszty, wiem tylko tyle, że był to wybuch. Ale chyba musiała użyć takich słów:

– Żądaj, żeby ci się oddała bez reszty! Bo tylko

miłość między mężczyzną a kobietą jest celem naszego życia, nic innego. Zobacz, jak się od siebie różnimy... zobacz, czy moja ręka nie jest miękka i szczupła...? Dotknij, synku... prawda, że jest miękka i gładka...? A ręka twego ojca jest szorstka, szeroka i silna. Życie opiera się na tej różnicy. Jakie to piękne, kochać drugiego człowieka! Piękne! Tyle radości to przynosi! Tyle radości!

Stała wtedy jak urzeczona, ta moja matka-kolega, jakby zupełnie zapomniała, że moje życie poczęło się kiedyś z jej życia.

Później wyszła. Usłyszałem, że zapala motor, a potem słyszałem oddalający się po drodze warkot samochodu. To było ostatnie wspomnienie wiążące się z matką.

Nazajutrz gazety przyniosły zdjęcia rozbitego samochodu. Naoczni świadkowie stwierdzili, że w szaleńczym tempie jechała wąską drogą, wijącą się nad brzegiem morza, w końcu wóz zarzucił na ostrym zakręcie i po kamiennym usypisku wpadł do wody. Rozbił się na miazgę.

Tuż przed katastrofą matka próbowała przyhamować. Świadczyły o tym głębokie ślady kół na trzydziestometrowym odcinku wysypanej szutrem drogi. Jedni klęli na wariacką jazdę, inni bąkali o chwilowym zamroczeniu umysłu.

Ja jednak wiem bez wątpienia, co zaszło po jej

samotnym wyjeździe samochodem. Jadąc, myślała o ojcu, widziała ludzi na brzegu morza, widziała młode szczęście obejmujące się na skraju lasu, palące się ogniska, tańczące pary, słyszała śpiewy i wesołe tony harmonii, wszystko w tę najkrótszą w roku noc, w noc świętojańską, i gdy jej oczy wszędzie widziały miłość – cały świat jest miłością! – serce przepełniała gorycz i gorycz opanowała ją bez reszty; w oszalałej rozpacz nie chciała już dłużej żyć, załamana, dodała gazu, wóz pędził coraz szybciej, coraz szybciej... zbyt późno się opamiętała, zbyt późno przyznała się sama przed sobą, że mimo wszystko chce żyć, zbyt późno zahamowała – stoczyła się w przepaść. Tak, mogę sobie wyobrazić pełną życia twarz mojej matki w tym momencie, gdy wóz znalazł się już w powietrzu, gdy zbladła w szaleńczym strachu przed śmiercią, a z jej ust wydobył się krzyk: „Nie! Nie!”.

Stare słowa: „los” i „przeznaczenie” zupełnie mi odpowiadają. Nie potrafię znaleźć lepszego określenia na to, co spotyka człowieka albo co go czeka niezależnie od jego woli i wyboru. Drański jest los, który uderza na ślepo: lawina, piorun, powódź, choroba i tak dalej. Nikczemne jest takie przeznaczenie, które zadaje cios z rozmysłem: kryje się za

wyborem i wolą, lecz jest jakimś zaślepieniem, zmniejszonym rozeznaniem lub zaburzeniem umysłu, a więc w gruncie rzeczy chorobą.

Mnie podły los po wielokroć dotkliwie uderzał, ale zrobiłem sobie sport z tego, aby nie ulegać i na swój sposób się bronić. Zawsze dźwigałem się na nogi. Zawsze. To mój cel, być niezwyciężonym, niedosięgalnym, jak kolos wysoko górujący nad rządzeniami Opatrzności. Niech się cały świat wokół mnie wali, ja będę stał prosto na własnych nogach, a jeżeli i ja kiedyś na dobre się zwalę, odbędzie się to z wesołym śmiechem, z krzykiem i hałasem, po maksymalnym oporze. Dobrze jest tak żyć. W ten sposób moje życie ma jakiś sens. Na zdrowie! Mówię wam: używanie własnych sił sprawia rozkosz, nawet gdy przeciwnik jest nieznany. Wspaniałe jest poczucie siły. Prawie upaja. Nie, na pewno upaja! Z satysfakcją i dumą człowiek upaja się własną siłą żywotną.

Siła, siła! To jest mój cel. A więc – zwalić się pewnego dnia tak, żeby tuman kurzu podniósł się z tej ziemi. Potem leżeć tak długo, aż sam się człowiek zamieni w pył unoszony przez wiatr. To jest wielkie. Mówię wam: to jest wielkie! Wielkie i niewytłumaczalne, tak jak wielkie i niewytłumaczalne jest słońce, wokół którego krążymy na naszym malutkim globie. Więcej nie żądam. Więcej po tej

tajemnicy nie oczekuję. Już nigdy nie zapytam: dlaczego?

Wkrótce po śmierci ojca zachorowałem na paraliż dziecięcy. Nastąpił bezwład obu nóg i liczone się z tym, że nigdy nie przewycięzę tego kalectwa. Udało mi się jednak, bo tego chciałem. Gdy w ciężkiej walce wygrzebywałem się z upośledzenia i dążyłem dalej, ciągle dalej, zostawiałem za sobą morze potu i łez. Pewien mój znajomy, Bentein Dagestad, powiedział raz, że „nikt tyle nie trenuje, co Bragesson”. Na pewno miał rację. Długo przedtem, zanim moi rówieśnicy byli zdolni do poddania się wyczerpującym ćwiczeniom, ja trenowałem świadomy celu i z twardym uporem. Dla nich sport był tylko zabawą i zabijaniem czasu, ja już od dwunastego roku życia traktowałem sport z całą powagą: chciałem osiągnąć najwyższy poziom i nie poprzestałem na tym, żeby stanąć znów na nogach. Nie, musiałem ich wszystkich prześcignąć. Musiałem więc oczywiście trenować więcej niż inni, co w moich własnych oczach wcale nie umniejsza mego sukcesu. Przeciwnie. Mam tym większy powód do dumy. Tak, tak, niech Bentein Dagestad myśli, co chce. I niech gada, co chce.

Zimą 1954 moje siły fizyczne osiągnęły szczytowy poziom. Wieloletni metodyczny trening pozwolił mi uzyskać dobre wyniki w biegach narciar-

skich, tak że przepowiadano mi na przyszłość coraz większą rolę na długich dystansach. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata i trener przewidywał, że jeżeli tylko będę nadal dążył w tym kierunku, to do trzydziestego roku osiągnę wszystkie cele, które sobie wyznaczyłem. Sam nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziałem, że mogę zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, jeżeli tylko będę chciał.

Bo też osiągnąłem niejedno. Obok uprawiania sportu zdałem kilka egzaminów, w różny sposób zarabiałem na życie, odsłużyłem wojsko, liznałem też trochę psychologii i historii literatury; interesowałem się człowiekiem i jego możliwości, rzuciłem więc psychologię, bo pisarzy uważałem za ludzi najbardziej godnych zaufania, psychologów zaś przeważnie za szarlatanów. Na to wszystko znalazłem czas, i jeszcze na coś więcej. Miałem też czas na zabawy i hulanki, a nawet na to, aby się zakochać w uosobieniu kobiecości, któremu na imię było Siv. Wielkie nieba! Skąd brałem na to siły? Dlaczego nie miałem pysznić się swoją potęgą i możliwościami, na złość innym, rzecz oczywista, bo gdakających krytyków nigdy nie brakuje, ale głównie sobie z nich robiłem; gwizdałem na to, czy inni chcą ze mną dzielić moją radość; świat przecież i tak należał do mnie.

A więc na zimę 1955 wyznaczyłem sobie bardzo ambitne cele i przez całe lato i całą jesień ostro trenowałem. Nagle jednak, niedługo przed Bożym Narodzeniem, zaszło coś niespodziewanego. Postanowiłem zaciągnąć się na jakiś statek i uczyć się podczas wolnych wacht, „aby uniknąć dalszego zadłużania się na studia”. „Nienawidzę długów”, powiedziałem sobie. To zaś postanowienie prowadziło do następstw tak nieszczęśliwych, i tak nieprzewidzianych, że nie pozostawały one w żadnym rozsądnym stosunku do niczego, a już najmniej do samej decyzji.

Wszystko zaczęło się od snu. Proszę pomyśleć: zwrotnym punktem mego życia był sen; z mojej podświadomości wydobyl się jad i zatrul zdolność rozumowania. Nikczemne było to przeznaczenie od początku, a zmieniło się w drański los.

Zdarzyło się to pewnej nocy w Nordablaas, moim szałasie w górach, latem 1954. Śniło mi się, że ugryzłem Siv do krwi w udo, a gdy sen się zwyrodniał: – gryzłem ją i gryzłem, i zdawało mi się, że w ten sposób osiągnę zaspokojenie żądzy – stopniowo się budziłem, jakby w proteście przeciw tej obrzydliwości.

Nagle zupełnie oprzytomniałem i zapytywałem sam siebie, czy to była jawa, czy sen. Obok mnie pod kocem leżała Siv. Spała spokojnie i równo od-

dychała. Uniosłem koc i spojrzałem na jej nagie ciało; było tak samo zdrowe i kuszące, jak przedtem. Pomyślałem więc, że tamto musiało mi się przyśnić.

To mnie ucieszyło, ale nagle stwierdziłem rzecz okropną: nie mogłem się skarżyć na brak potencji.

Ogarnął mnie niepokój. Serce zaczęło walić jak młotem, a ręce tak mi się trzęsły, że nie potrafiłem ich utrzymać spokojnie. W końcu wstałem i wybiegłem na podmokłą łąkę. Długi i szybki bieg w kółko, wiele razy. Potem wskoczyłem do sadzawki, wytarłem się szorstkim ręcznikiem i wróciłem na posłanie. Siv przywarła do mnie miękko całym ciałem i w półśnie wśród pocałunków szeptała mi do ucha, że tak słodko jest jej ze mną, tak niepojęcie dobrze. Odpowiedziałem, że jest moją najśliczniejszą, moją koteczką, moją małą Siv. Zamruczała, że ja jestem jej misiem, jej wielkoludem, jej dziwkusem, że tak przy mnie ciepło, potem wymyślała jeszcze inne pieszczotliwe słowa, potem ożywiała się coraz bardziej i bardziej, aż nagle zbudziła się zupełnie, z wesołym śmiechem. Patrząc na mnie szeroko rozwartymi oczyma, wykrzyknęła – jakby nie robiła tego już wiele razy przedtem – że „Przećież ja cię Kocham!”. A mnie ogarnął żar, nas oboje ogarnął żar, i dobrze nam było ze sobą, tak jak już wiele razy przedtem. Siv była kobietą, która mi

naprawdę odpowiadała.

A potem oboje usnęliśmy głębokim i zdrowym snem.

Ale nie zapomniałem tego, co mi się wtedy śniło; nazajutrz długo się nad tym zastanawiałem. Najchętniej wyparłbym się wszystkiego, ale przecież nie mogłem zaprzeczyć, że sen był częścią mego ja. Czy byłem jednak za to odpowiedzialny? Czy w ogóle warto było o tym wspominać? Czy w każdym z nas nie drzemie diabeł? A ja ją przecież kochałem i prawie panika ogarniała mnie na myśl, że mogła ją spotkać jakaś krzywda. Otoczyłem ją całą siecią zakazów. Nie wolno jej było robić tego, nie wolno jej było owego, a późny i samotny powrót skądkolwiek do domu należał do najgorszych wykroczeń. Siv uwielbiała moje zakazy. – Biada temu, kto zrobiłby mi coś złego – mówiła z dumą, i słusznie. Pewnego razu sprąłem na kwaśne jabłko jakiegoś świntucha, który podarł jej bluzkę, aby zobaczyć, co ma pod spodem. O! Piersi Siv! – Muszę przyznać, że wspaniale się czułem, sprawiając mu lanie według wszelkich prawideł sztuki. Dobrze mu tak, draniowi, który jeszcze nie wiedział, kto jest dziewczyną Bregessona!

Pewnego dnia wykąпалиśmy się w rzece pod górą Digerhö, a potem ja siedziałem zamyślony na kamieniu i patrzyłem na swoją Siv; leżała obok,

grzała się w słońcu i z uśmiechem bawiła się mięśniami mojej łydki; ścisnęła go, poklepywała, a potem pieszczotliwie głaskała. Ja zaś toczyłem wewnętrzną walkę, zapytywałem sam siebie, czy jest coś podejrzanego w tym, że mężczyzna, bardzo zmysłowy mężczyzna, ma ochotę ugryźć takie apetyczne, białe i dojrzałe ciało kobiece. Przecież to prawie owoc. Weźmy na przykład tyłeczek albo udo, albo pierś. Człowiek może mieć naprawdę ochotę utopić w nich zęby, zjeść je na żywo. Ale przez to samo człowiek chyba nie jest ani ludożercą, ani ludożercą i sadystą w jednej osobie. Bo przecież w końcu tego nie robi. Ma tylko przebłysk ochoty i bawi się tą myślą.

Nie. Nie było w tym nic podejrzanego, tylko dół gorącego pożądania, nieopanowanej, młodej żądz, taki jej nadmiar, że człowiek chciałby zjeść swoją ukochaną. O Boże! O Boże! Zjeść swoją najdroższą! Cha, cha!

Ale za chwilę przyłapałem się na myśli, czy jednak nie potrafiłbym ugryźć jej naprawdę, na przykład odgryźć taki kawałek mięsa i połknąć go,ssać świeżą kobiecą krew – jeżeli, oczywiście tylko w tym wypadku – jeżeli miałbym pełną gwarancję, że później da się wszystko naprawić, że jej ciało będzie znów całe i zdrowe. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że pod tym warunkiem naprawdę po-

trafiłbym to zrobić, choćby krzyczała z bólu, może nawet zemdląca. Byle tylko znów mogła być cała i zdrowa, i łagodna.

Ogarnął mnie strach, wstałem i zapytałem:

– Siv! Może chcesz, żebym trochę pobiegał?

– O, tak, pobiegaj dla mnie – odparła zachwycona.

Biegałem więc, zataczając wokół niej wielkie koło, ona zaś wodziła za mną przepelnionymi dumą oczyma.

Jak już powiedziałem, zdarzyło się to latem 1954, a mnie długo potem dręczyła myśl, że mógłbym, chociaż tylko we śnie i w fantazji, zrobić Siv coś złego, i to w tak okropny sposób. Przez następne miesiące nie zdarzyło się jednak nic gorszego i już prawie o wszystkim zapomniałem, gdy pewnego dnia, pod koniec listopada, znów złapałem się na tym, że śnię na jawie.

Prawda, że i przedtem zdarzało mi się niekiedy śnić na jawie, ale nie zwracałem na to większej uwagi. Tym razem w myślach biłem jakąś kobietę, jej ciało było może podobne do ciała Siv, trzepałem ją po tyłku i delektowałem się zaróżowieniem, które występowało na skórze po tych klapsach.

Możliwe, że takie przywidzenia zdarzały mi się już poprzednio, lecz teraz pierwszy raz sobie to uświadomiłem i równocześnie nabrałem przekona-

nia, że owo zmysłowe podłoże było częścią mojej prawdziwej miłości do Siv. Przyciskałem ją mocno do siebie i co chwila szczypałem zębami jej skórę. Nie broniła się, nie robiłem jej krzywdy. Podobało mi się takie kąsanie, bo wtedy tym bardziej czułem, jak pode mną kipiała życiem. Mieć jej skórę między zębami, obejmować ją wpół – czuć, jaka jest jędrna; krew mocno pulsowała jej w żyłach, ciało miała twarde i zdrowe, prężyła mięśnie i cichymi okrzykami wyrażała radość i zadowolenie. I gdyby wtedy zjawiał się morderczy instyngt, jakiś jego najmniejszy ślad, wcale bym się go nie wstydził, bo cóż on oznaczał w tej właśnie chwili, kiedy w ten właśnie sposób przeradzał się w pełną rozkosz dla mojej partnerki. Mówiła przecież, że jestem wprost bajecznym kochankiem. Nic nie wskazywało na to, aby choć odrobinę kłamała.

To wszystko mogło pójść w niepamięć i pozostać najwyżej tym, czym rzeczywiście było – bagatelką – gdyby szarlatani psycholodzy mimo wszystko nie wryli we mnie swoich śladów i nie sprawili, że byłem skłonny do refleksji i „psychologicznie przeczulony”. Wszystko notowałem w pamięci, wszystko przeżuwałem, teraz więc chciałem się bronić przed trującymi oparami z mej podświadomości starając się to – oho! – bagatelizować.

Daj diabłu palec, a złapie całą rękę, mówi nasze

przysłowie. I to prawda. Podałem mu palec, a następstwa nie dały na siebie czekać. Przez ciągłe rozmyślanie o tych rzeczach nieświadomie rozwijałem w sobie tę słabą pierwotnie tendencję, tak że potęgowała się i narastała. Pojawiły się nowe mary senne. Nowe sny na jawie prześladowały mnie bez przerwy. Zobaczmy, powiedziałem sobie, jak głęboko tkwi to obrzydlistwo. Wchodzisz do pokoju, rozbierasz ją, ewentualnie siłą, i widzisz jej apetyczne ciało. Może masz ochotę zobaczyć, jak świeża, czerwona krew spływa po jej białej skórze. Ciekawe, czy taki kontrast rzeczywiście specjalnie podnieca...

Pewnego dnia postanowiłem spróbować na serio. Ugryzę ją naprawdę. Tylko gdzie? Muskałem ustami jej piersi, ale nie; w piersiach są gruczoły, można je uszkodzić. Głaskałem ustami jej uda, ale nie; tam jest bardzo wrażliwa; aż tyle bólu nie mogę jej sprawić. Głaskałem ustami jej pośladek, i owszem; pośladki zniosłyby ukąszenie. Ugryzłem ją więc w pośladek, tak najpierw lekko, potem mocniej i mocniej. Podczas tego nabrałem na nią ochoty. Jęknęła cicho, może bardziej ze zdziwienia. Ugryzłem jeszcze silniej, wtedy krzyknęła: au! Miałem takie wrażenie, jakby rozkoszne ciepło pełzło mi po plecach ku szyi, a potem uplasowało się gdzieś w tyle czaszki, upajające ciepło, które

nadawało żądzę jakiś nowy odcień, skłaniający do okrucieństwa, podniecało mnie coraz bardziej i bardziej, może nie napięciem samego popędu, lecz tym, że ten popęd był czymś nowym, zakazanym i strasznym. Poczulem skurcz mięśni szczękowych i zrozumiałem, że jeżeli się na czas nie opamiętam, moja prawdziwa natura opanuje mnie bez reszty i każe mi wyrządzić jej wielką krzywdę.

Opamiętałem się. Z przerażeniem i zachwytem gapiłem się na ślady zębów.

– Nie gniewaj się – powiedziałem. – Już nigdy więcej tego nie zrobię. Sam nie wiem, co mnie napadło.

Jęknęła cichutko, przytuliła się do mnie, chciała mnie mieć, ale postanowiłem sam siebie ukarać za swój postępek i odmówić sobie przyjemności. Ona jednak ani myślała się z tym zgodzić. – Nawet się nie waź! – groziła ze śmiechem i przekonywała mnie, że nie powinienem takiego głupstwa brać zbyt poważnie. Sama miała nieraz ochotę mnie ugryźć. A czy może nie drapała mnie? – No, chodź, mój ty wielkoludzie.

Uległem i było nam ze sobą bardzo dobrze.

Siv była taka mądra i dojrzała. O mnie trudno było to samo powiedzieć. Nazajutrz odczuwałem najpierw miłe oszołomienie, potem rozgoryczenie, z kolei wstyd, a na końcu potrzebę czujności. Mu-

sze się pilnować, sam siebie stopniowo demaskować, zrobić generalny porządek i wielkie pranie według najlepszych wzorów psychiatrycznej abrakadabry.

O, jakże się wstydziłem za tę szumowinę, która płynęła z wnętrza mojej jaźni; wstydziłem się, czułem się zraniony i poniżony, a do Siv odnosiłem się niepewnie i milcząco. Ona myślała, że tracę dla niej zainteresowanie, zaczęła się więc uciekać do różnych babskich sztuczek. Tak, była nieodparcie urzekająca, udusiłbym ją z czystej miłości.

To był niesamowity okres, naprawdę. Chodziłem z szarą gębą i podkrążonymi oczyma, w dodatku chciałem być nowoczesny, zapaliłem więc pierwszego w życiu papierosa, aby tym uspokoić nerwy i przepędzić apatyczny nastrój. Dostałem przeraźliwego ataku kaszlu i pochorowałem się na dobre. Jeżeli mówię, że byłem cho-o-o-o-ory, to nie żartuję. Niech szlag trafi wszystkich fabrykantów papierosów! Biedna Siv, bardzo się martwiła, wypytywała trochę, ale nie przypuszczała, że to, co dla niej było tylko głupstwem, bagatelką, dla mnie stało się zmorą z fantastycznej rzeczywistości: sadysta Bragesson!

Od czasu do czasu obejmowaliśmy się namiętnie. Kilka razy upiłem się do nieprzytomności i pewnego ranka wylądowałem w izbie wytrzeź-

wień. Raz zrobiłem melodramatyczny gest, poszedłem do przystani i skoczyłem w brudną wodę, aby w niej zakończyć życie, ale już podczas skoku, jeszcze w powietrzu, uprzytomniłem sobie komizm tej sytuacji i wybuchnąłem śmiechem; z uciechą zanurzyłem się w wodzie, wypłynąłem i wdrapałem się na molo; gdy tam siedziałem, susząc na sobie brudny osad z portowego basenu, przemówiłem sam do siebie: Słuchaj, Bragesson. Masz przecież poczucie humoru. Dlaczego nie spojrzeć na to wszystko z tego punktu widzenia? Dlaczego nie skwitować tego pobłażliwym uśmiechem?

Wtedy z ciemnego zakątka pod dźwigiem wyłoniła się chyłkiem jakaś obszarpana postać, jakiś łazęga, jeszcze bardziej zalany i jeszcze nędzniejszy ode mnie. Przysiadł obok, objął mnie chudym ramieniem i zaczął mi poufale i kwiecicie szeptać do ucha:

– Tak, tak. Życie jest ciężkie. Wypijmy sobie po jednym, kolego, i skończmy z tym na dobre, obaj razem, właśnie tu, zdychajmy obaj razem, dobra?

– Nie, zdychaj sobie sam – odpowiedziałem i zepchnąłem go do wody.

Chłup. Pluskał się w wodzie i wrzeszczał wniebogłosy:

– Ratunku! Ratunku! Nie umiem pływać!

– A czy nie powiedziałeś, że chcesz zdychać, co?

– Eeeeeee! – odpowiedzią był chrapliwy wrzask i facet zniknął pod wodą.

No cóż, skoczyłem i wyciągnąłem go na molo. Trząśł się jak mokry kundel. Ja też się trząśłem, bo było to w grudniu. Dałem mu zmoczony banknot pięćdziesięciokoronowy i klepnąłem go po plecach.

– Jutro znajdziesz sobie pracę, chłopie.

– Kiedy nie mogę się rozstać z butelką – zaskomlił.

– Zamknij teraz gębę i ganiaj do domu, do żony, zanim się przeziębisz.

– Ona mi dopiero pokaże.

– Ale byczo było, co? No, wrywaj do domu. Biegnij przodem. Gazem!

Dałem mu szturchańca w bok. Zaskomlił, zachwiał się i byłby upadł, ale go podtrzymałem i pociągnąłem od przystani w stronę pierwszej ulicy. Chciał usiąść na jakichś schodach, aby odpocząć i popłakać, ale mu nie dałem i popędziłem go dalej.

Nie widziałem żadnej taksówki, nadjechał za to radiowóz.

– Hej, co się tam dzieje?

– Może panowie zawiozą tego biedaka do domu, zbyt usmarowany na taksówkę.

– Wskoczył do wody?

– Tak.

– A pan go wyratował?

– Boże, oczywiście.

– On mnie zepchnął do wody – skarżył się łązga. – Ale dostałem za to pięćdziesiątaka.

Dwu policjantów wysiadło z radiowozu.

– O, kogo widzimy, przecież to Evensen, prawda? Evensen, Evensen, co ty wyprawiasz, człowieku? Zabierzemy cię ze sobą. A pana też przy okazji odwieziemy do domu.

– Nie, ja sobie pobiegnę.

– W takim stanie nie może pan biec przez miasto. Wsiadaj pan!

– Mogę pobiec, dlaczego nie?

– Nie, wsiadaj pan!

– Skoro Bragesson mówi, że pobiegnie, to pobiegnie.

Pobiegłem, i tak zakończył się ten dzień.

Ale nazajutrz nie widziałem już w swym położeniu nic śmiesznego. Strach, że mógłbym jej kiedyś wyrządzić krzywdę, przeszedł w prawdziwą obsesję.

Trzeba z tym skończyć! – zagrzmiałem i zamówiłem sobie wizytę u psychiatry. Co on mi jednak powie? „Proszę położyć się na kozetce, panie Bragesson. Proszę mi opowiedzieć o swojej matce. Czy kochał ją pan? A ojca? Czy był pan kiedyś zazdro-

sny o ojca? Czy chciał pan kiedyś popieścić się z matką, gdy ojciec robił to samo? A teraz proszę mi poważnie odpowiedzieć na takie pytanie: Czy dostał pan kiedyś w skórę za zrobienie w majtki? Proszę leżeć spokojnie. Teraz pana zahipnotyzuję. Pan zasypia, pan zasypia, pan zasypia!”.

Pocałuj mnie w dupę, szarlatanie!

Odwołałem wizytę i postanowiłem sam porachować się ze sobą, jak przystało na mężczyznę.

Uderzyłem pięścią w stół. Zdecydowałem, że wyruszę na morze i zobaczę, co czas przyniesie. Gdyby Siv nadal miało grozić z mej strony niebezpieczeństwo, będę się musiał bez niej obejść.

Jak mi się to uda na dłuższą metę, tego nie brałem pod uwagę.

Pomysł był dobry, chciałem więc bez zwłoki wprowadzić go w życie. Tego samego wieczoru odwiedziłem Benteina Dagestada i poprosiłem go, aby jako syn armatora ułatwił mi natychmiastowe zaciągnięcie się na jakiś statek. Wiedziałem zresztą, że Bentein miał za kilka dni wypłynąć na jednym ze statków swego ojca. Myślałem więc o tym samym statku.

W pierwszej chwili Bentein był speszony. To jest bardzo ważne i należy to zapamiętać: Bentein był na początku speszony. Jaki miał po temu powód? Dlaczego kręcił się niespokojnie po pokoju, dotykał

nerwowo różnych przedmiotów i mrucał:

– Na morze? Chcesz popływać... ze mną?

– Niekoniecznie razem z tobą – poprawilem, a on przystanął i wbił we mnie wzrok:

– Nie, oczywiście, że nie – zgodził się, ale pozostał sztywny, poprawny i markotny.

Potem znów pospacerował trochę, jakby chciał opanować jakieś wzruszenie.

– Dlaczego nie odpowiadasz? Nie chcesz mi pomóc? Należymy przecież od lat do jednego klubu i chociaż nigdy zbyt zażyłe ze sobą...

– Zażyłe, zażyłe! – wybuchnął Bentein nie patrząc na mnie, ale w głosie jego brzmiało zdenerwowanie. – Zażyłe? Po co używać takich wielkich słów?

– Znajdź więc jakieś mniejsze. Powiedzmy: lubić. Specjalnie za sobą nie przepadamy. To wiadomo.

Mruknął coś niezrozumiałego, a jego obrzydliwe ręce bawiły się nożem do papieru. Potem, wciąż na mnie nie patrząc, oświadczył:

– Nie pamiętam, abym kiedykolwiek powiedział, że cię nie lubię.

– Słusznie, ale chyba to oczywiste, prawda?

Wzruszył ramionami tak szybko, jakby go złapał skurcz, i roześmiał się bardzo nerwowym chichotem.

– Z czego się śmiejesz?

– E, nic.

– Phi... pierwszy raz słyszę, żebyś się śmiał.

– Widocznie mam powód – odparł ponuro.

Ale nagle – podkreślałam, jak na niego bardzo nagle – odwrócił się ku mnie i z trochę drwiącym uśmiechem popatrzył na mnie tak, jakby mnie pierwszy raz widział.

Wtedy zrozumiałem wyraźnie, że przypadła mu do gustu rola, którą go obdarzyłem. Dotąd nigdy tak na mnie nie patrzył. Nigdy też jeszcze nie przychodziłem do niego z prośbą o jakąś przysługę. Kąciki ust uniosły mu się w grymasie zadowolenia i zadał mi zupełnie zbyteczne pytanie:

– Zostawisz Siv?

– Kto to powiedział?

– Przecież wyjeżdżasz, a ona zostaje. Chyba nie będzie ci towarzyszyć, powiedzmy, jako kelnerka na statku, co?

– Nie.

– Będzie za tobą tęsknić. Kocha się przecież w tobie.

– Ona studiuje i ma dość zajęć. Zresztą jesteśmy młodzi. Możemy znieść krótką rozłąkę. Ja zaś nigdy nie byłem za granicą, poza Szwecją i Finlandią. W dodatku chcę uskładać trochę pieniędzy. Nienawidzę zaciągania długów na studia.

– A co będzie z treningiem? Może to dziwnie brzmi w moich ustach. Ale kto by pomyślał: Brage Bragesson dobrowolnie zaciąga się na statek, porzuca Siv, narty, śnieg, las...

– Masz dla mnie jakąś robotę, czy nie? Na pokładzie. Chcę być na świeżym powietrzu. Pokładową robotę.

– Dlaczego do mnie z tym przychodzisz? Jest przecież na mieście biuro werbunkowe.

– Tak, ale pomyślałem, że przecież ty sam...

– Ja będę w maszynowni, coś w rodzaju praktyki. Wiesz przecież, że chcę być inżynierem mechanikiem okrętowym.

– Wiem, ale to nie ma nic wspólnego z moją sprawą.

– Tak, właściwie masz rację.

– Przyszedłem, bo wiem, że masz wyruszyć na tym statku. A statek należy do twego ojca. Nie mógłbyś załatwić dla mnie pracy pokładowej?

Jego oczy długo błędziły po mnie. Rumienił się powoli. Jeszcze raz podkreślam ten fakt: Bentein rumienił się powoli, potem odwrócił głowę i nagle, jak eksplozja, padły słowa:

– W porządku!

– Co jest w porządku?

– Popłyniesz z nami.

– Ale ty nie jesteś kapitanem. Czy nie musisz

najpierw pomówić z kapitanem?

– Załatwione. Właśnie tak się zbiegło, że chłopiec pokładowy zachorował.

– Ale może kapitan już kogoś znalazł.

– Zostaw to mnie. Popłyniesz z nami. Nie musisz szukać niczego innego. Sprawa jest załatwiona.

Z zastanowieniem pokręciłem głową: Bentein zdecydowanie chciał, żebym z nim popłynął. To było oczywiste.

Ten człowiek zawsze stanowił dla mnie zagadkę, bardzo tego nie lubiłem. Coś zawsze w nim było, coś nie do zniesienia, coś trudnego do zdefiniowania, lecz stale obecnego, co zawsze działało mi na nerwy. Czy miałem się silić na rozwiązanie tej zagadki? Był w końcu tylko znajomym i nie chciałem, by stał się kimś więcej. Rzecz jednak tkwiła w tym, że ten znajomy, który rzadko zamieniał ze mną kilka słów, równocześnie tak często, tak podejrzanie często znajdował się blisko mnie. W życiu klubowym musiałem mieć z nim od czasu do czasu jakiś kontakt, ale stwierdziłem, że również na rozmaitych uroczystościach, zebraniach i podobnych spotkaniach dość często, niby przypadkowo, kręcił się w pobliżu – jakby podsłuchując i szpiegując. To mi się nie podobało. Nie lubiłem, gdy był w pobliżu.

Patrzcie! A teraz przyszedłem i napraszam się, aby spędzić z nim miesiąc, może nawet kilka miesięcy na jednym statku? Musiałem upaść na głowę!

Wzdrygnąłem się lekko, ale opanowawszy się, pomyślałem sobie tak: Wszystko jedno. Na statku będzie wielu ludzi, a w ten sposób wyruszę w rekordowym terminie.

– Dziękuję, jestem zachwycony – powiedziałem głośno.

– O, głupstwo – odparł Bentein, unosząc wysoko brwi. Nagle wydał mi się uosobieniem arogancji.

Statek odpływał za cztery dni, miałem więc urwanie głowy ze zdobyciem na czas potrzebnych papierów.

Siv pobladła i wodziła za mną smutnymi oczyma. Rzecz oczywista, rozumiała, że od niej uciekam, ale ani nie rozumiała przyczyn, ani nie zadawała mi żadnych męczących pytań. Na to była za delikatna.

Serce mi się krajało, ale z drugiej strony byłem bliski szaleństwa i w dodatku poczułem, że robię się okropnie sentymentalny. Ostatniej nocy przed odejściem statku postanowiłem wielkodusznie zrezygnować z tej wspaniałej kobiety na zawsze. Wkradłem się do ogrodu otaczającego dom Siv, wdrapałem się po rynnie i wśliznąłem się do jej sy-

pialni, bo okno jak zwykle było nieco uchylone. Tam, podczas gdy ona leżała na łóżku i spała, usiadłem przy jej małym biurczku i napisałem taki patetyczny, iście pijacki list:

„Ty tu śpisz, śpisz zdrowym snem i nawet nie przypuszczasz, co ci jutro przyniesie. Tak spokojnie śpisz. Leżysz na boku, zwrócona ku mnie, i nie wiesz, że lampa się świeci i ktoś patrzy na ciebie po raz ostatni. Twoje biodra rysują się pod kocem dumnym łukiem, a twoje ramiona, twoje smukłe dłonie, spoczywają splecione u twoich ust jak białe, białe łabędzie.

Żar we mnie kipi. Głowa mi płonie. Bo muszę się pożegnać. Żegnaj, bo używałem przemocy i gwałtu, żegnaj, bo nie mogę pozwolić sobie na to, abyś była moją. Tej nocy jestem łagodny i wszystko we mnie śpiewa, jutro będę może dziki, wszystko będzie we mnie wrzeć. Buduję i rujnuję po to, aby budować. Ciebie też skrzywdziłem. A teraz siebie. Ta ręka, która unosi się do pieśczoły, zdolna jest w tej samej chwili również do tego, aby uderzyć. A gdybym uderzył, ręka chciałaby równocześnie pieścić. Bo pragnę więcej, więcej, ciągle czegoś więcej. Ogień mnie trawi, ogień, ogień, i nie panuję nad płomieniami.

Jeszcze raz – w myślach – całuję twoje uda, twój brzuch, twoje piersi, twoje usta i ręce, jeszcze raz

zatapiam się w twoich oczach, jeszcze raz pieszczę twoje jasne włosy, jeszcze raz – zanim zgaszę światło i porzucę cię – szepczę: moje kochanie!”

I dopiero wtedy – gdy postawiłem ostatnią kropkę – zdziwiło mnie, że w tę ostatnią noc, jaką spędzam na łodzi, ona śpi tak cicho i spokojnie. Jak może! Jak śmie! Czy mnie nie kocha?

Wtedy zobaczyłem! Na szafce nocnej! Trupia główka z napisem „Truczizna”! Dramatycznym gestem sięgnąłem po buteleczkę: „Citopan-Nyco, 1–2 tabletki wieczorem według wskazań lekarza”. Tabletki nasenne! Szybko odkorkowałem buteleczkę. Była prawie pełna. Odetchnąłem z ulgą.

Oczywiście. Wzięła środek nasenny, aby w chwili pożegnania na molo nie mieć podkrążonych oczu, lecz wyglądać tak ładnie, jak zawsze. Kochana Siv! Szalony Brage! Przebacz!

Na wszelki jednak wypadek ukradłem jej buteleczkę i, co dziwniejsze, znalazłem we łbie jeszcze tyle zdrowego sensu, żeby nie zostawić tego żalowanego listu. Przyszło mi na myśl, że muszę się jeszcze zastanowić. A szkoda, bo Siv nigdy nie dałaby się nabrać na taki list; była na to za dorosła, znacznie doroślejsza ode mnie, trzy lata od niej starszego. Zgodnie z umową przyszłyby na molo, śmiałyby się tym swoim zaraźliwym śmiechem, rozumiałyby mnie i przemówiłyby mi do rozsądku,

pomogłaby mi pozbyć się tych wariactw trapiących moją podświadomość, tak że machnąłbym ręką na statek i natychmiast zwolniłbym się z pracy.

Niestety miałem za dużo rozsądku. Wsadziłem list do kieszeni, zjechałem po rynnę i pobiegłem do domu.

Wkrótce jednak dostałem nowego napadu, znów zbudził się we mnie sentymentalny trubadur. Zarzuciłem na ramię harmonię i jak idiota pomaszero瓦łem przez pół miasta do Siv, aby jej zaśpiewać serenadę czy coś w tym guście, opiewać czystą i gorącą miłość, wolną od wszelkiego brudu z mego wewnętrznego bagna.

Stałem uroczyście pod jej oknem, gotów zwać, gdybym przypadkiem zbudził też jej starych.

Zagrałem kilka tonów, ale prześladowała mnie ta myśl o rodzicach. Co będzie, jeżeli się zbudzą? Dopiero wyjdę na głupca! „Co ty tu wyprawiasz po nocy, Brage!”

Przestraszyłem się i czmychnąłem jak zbity pies. Ale płót pana Hansena musiał zapłacić za mój niepokój. Szedłem po chodniku i, równocześnie uśmiechnięty i wściekły, wrywałem sztachtę po sztachecie.

Po kilku minutach znów odzyskałem równowagę. Wstąpiłem do parku, usiadłem na ławce

i akompaniując sobie na harmonii śpiewałem jedną po drugiej smutne piosenki.

Gdy Siv przysłała kilka godzin później do portu, była bardzo blada. Tuż przed sygnałem odejścia statku zapytała mnie drżącym głosem:

– Czy cię jeszcze kiedy zobaczę?

Objąłem ją gorąco i odpowiedziałem, że oczywiście.

Nie miałem jej już jednak nigdy zobaczyć jako wolny człowiek. Widziałem ją raz na sali sądowej, nigdy więcej.

Statek odpływał, ja stałem na rufie i machałem ręką. Z warg Siv mogłem wyczytać, że szeptała:

– Kochany. Mój kochany.

To było wszystko. Ale to znaczyło wiele i było typowe dla Siv.

Co za absurdalna sytuacja! Lecz statek płynął na południe, ja znajdowałem się na jego pokładzie, a data brzmiała: 11 grudnia 1954.

Na statku spotykałem się z Benteinem. Wymienialiśmy pozdrowienia i kilka frazesów. Pięć razy grałem z nim w szachy. On wygrał trzy partie. Czwartą ja wygrałem zasłużenie, piątą trochę niezasłużenie; zrobiłem jedno posunięcie, które okazało się lepsze, niż sam się spodziewałem. Myślę, że Bentein potrafi wcześniej planować ruchy, szybciej niż ja. Zresztą nigdy nie wątpiłem w jego

inteligencję.

No i raz odbyliśmy krótką rozmowę na pokładzie. Było to w nocy podczas sztormu na Morzu Północnym. Miałem wolną wachtę i powinienem był spać, ale fascynowała mnie ta burza. Przeżywałem już przedtem burze w górach, ale tu na morzu wyglądało to inaczej, jakby bardziej przerażająco. Między masztami i linami gwizdało, jęczało i wyło – cały diabelski koncert. Morze przewalało się przez pokład ogromnymi, ciężkimi falami. Nie rozumiałem, jak statek to wytrzymuje, wydawał mi się arcydziełem konstrukcji.

– Rzygasz? – zaskrzeczał jakiś głos tuż obok, po mojej lewej ręce. Bentein Dagestad.

– Nie! – wrzasnąłem. – Byczo tu jest!

Roześmiałem się głośno. Ale gęba Benteina nic nie wyrażała. To mnie zirytowało. Powinien był przecież potwierdzić, że burza jak cholera. On natomiast stał wyprostowany, sztywny i ponury.

Wtedy wybuchnąłem:

– Dlaczego nigdy nie masz humoru? Jesteś zdrowy, inteligentny, masz powodzenie u kobiet, majątek i wszystkiego pod dostatkiem, świat stoi przed tobą otworem! Dlaczego zawsze chodzisz taki skwaszony?

Nie odpowiedział, tylko przez następne pół godziny stał obok w milczeniu. Czego właściwie

chciał ode mnie?

Raz tylko krzyknął egzaltowanym głosem i wskazując na jakąś falę:

– Hej, ale bałwan, co?

Wkrótce jednak odszedł ze spuszczoną głową i zawstydzoną miną.

Po tygodniu odzyskałem zdrowy rozsądek i chciałem się zwolnić ze statku w najbliższym porcie. Kapitan wściekał się, rzecz całkiem naturalna. Nie przypuszczał, że ze mnie taki szczeniak. Ale ja obstawałem przy swoim. Owszem, zwolni mnie, nie potrzebuje gówniarzy na statku. Muszę tylko poczekać, aż znajdzie zastępstwo.

W pierwszym porcie nie udało mu się na czas zwerbować kogoś nowego, a statek musiał wypłynąć już po kilkugodzinnym postoju. Zawołał mnie do siebie i oświadczył:

– Słuchaj, Bragesson. Zaciągnąłeś się na statek z własnej i nieprzymuszonej woli, nie możesz więc nam teraz robić trudności. Aż do czasu znalezienia zastępstwa jesteś nam tu potrzebny. Weź się w kupę, jak dorosły człowiek. Na razie zostań, a potem zobaczę, co się da zrobić.

A więc na razie zostałem i napisałem do Siv, że wyruszyłem na morze pod wpływem dziecinnego

impulsu – „wolę tego nie wyjaśniać, ale poprosiłem o jak najszybsze zwolnienie ze statku”.

– Chcesz wracać? – spytał ze zdziwieniem Bentein, gdy pewnego dnia spotkaliśmy się na pokładzie.

– Tak – odparłem.

W zamyśleniu pokiwał głową. W głębokim zamyśleniu pokiwał głową.

Resztę swego pobytu na statku traktowałem jako sport. Trochę się wprawdzie rozzłościłem, gdy pewnego dnia kapitan oświadczył, że będę mógł zejść ze statku dopiero 15 sierpnia w Hamburgu, ale nadal brałem to za sport i zrezygnowałem z zimy.

Jestem pewien, że kapitan mógł mnie zwolnić wcześniej, ale on był entuzjastą morza i chciał mnie przez jakiś czas zatrzymać na pokładzie, aby zobaczyć, czy i ja też nie zasmakuję w życiu marynarza. Z zapałem i przekonaniem perorował o tym zawodzie:

– Zostań marynarzem. Przydasz się we flocie handlowej. Weź pod uwagę, Bragesson, że za kilka lat mógłbyś zostać trzecim oficerem, jeżelibyś się dobrze przyłożył. Co? W tych czasach szybko się awansuje. Co? Eeee, nie rób tragedii z tą swoją dziewczyną. Oczywiście rozumiem, że tęsknisz. Jeszcze jak rozumiem. Ale zaproponuj swojej na-

rzeczonej, jak mówiłeś, że ma na imię? Siv? Na pewno morowa dziewczyna, zaproponuj jej, żeby się wyspecjalizowała jako radiotelegrafistka, wtedy moglibyście razem być na morzu, odkładać forszę i zbierać na graty. Weź to pod uwagę, Brageson. Zrób, jak ci radzę! Pomyśl o tym!

Gdy statek 9 sierpnia 1955 wpłynął do Rotterdamu, wysłałem do Siv taki list:

„Przylatuję na Fornebu 15 sierpnia wieczorem. W szczytowej formie. Strzeż się. Będziesz miała za swoje. Bóg wie, czy to przeżyjesz. Bo jestem tak spragniony miłości, tak stęskniony, że najchętniej bym ryczał długo i przeciągle. A gdy weźmiesz pod uwagę, co potrafię w normalnych warunkach, to możesz sobie wyobrazić, jak to teraz... ho! ho! Kochanie. Zjem cię żywcem.

Twój niemożliwy Brage”.

Kilka minut po wrzuceniu tego listu do skrzynki nadeszła od Siv depesza, nad którą telegrafista szalał z uciechy: „Bassen min. Siv”. „Mój kochany wielkoludzie. Siv”. Wkrótce cały statek powtarzał: „Bassenminsiv”. Gdybym został w marynarce handlowej, nazywano by mnie pewnie: „Bassmisiv” albo „Bassiv”.

Gdy statek zawinął do Rotterdamu, miałem już za sobą około sześciu miesięcy pływania i skończy-

łem dwadzieścia trzy lata. Dostałem przepustkę na ląd i tego samego popołudnia pojechałem pociągiem do Amsterdamu, aby zobaczyć to miasto kanałów. Wypożyczyłem rower, ze dwie godziny pedałowałem po całym mieście, oddałem rower, jadłem kolację na placu Rembrandta i zaśmiewałem się głośno i nieuprzejmie z holenderskiego szwargotu, który brzmi tak, jakby ktoś miał chroniczny katar i w dodatku napił się benzyny. Potem odwiedziłem jakiś nocny lokal, gdzie tancerka wysilała się, aby striptizem podrajcować trzydziestu lub czterdziestu obecnych na sali wymoczków. Oświetlenie było jaskrawoczerwone, ale przyciemnione, orkiestra akompaniowała wygibasom modernistyczną przeróbką „Tańca Anitry” biednego Griega. Jak zwykle jednak tęskniłem do Siv i myślałem: w porównaniu z moją dziewczyną ta cizia to pic i fotomontaż. Przydałoby się jej pożyczyć od Siv piersi, uda, biodra, talię... o ho, ho...! Oczy, usta, grację. W myśli wyobraziłem sobie, jak ta babka zamienia się w Siv, jak reagują na to siedzący wokół mężczyźni – najpierw z triumfem – ale nagle zrobiło mi się niedobrze, wyszło mi w gardle, wstałem i demonstracyjnie opuściłem salę. Portier dostał kuksańca w bok, a ja musiałem się mocno wziąć w garść, aby nie polecieć pierwszym samolotem do Norwegii.

Potem włóczyłem się bez celu po ulicach, wyobrażałem sobie, z czym tam na mnie Siv czeka – niech Bóg zlituje się nad tym, kto by się odważył nam przeszkodzić! – uśmiechałem się do siebie – i na pewno sprawiałem wrażenie pomyłonego. Czy tak jednak myśleli o mnie przechodnie, tego nie wiem, bo nie zwracałem na nich najmniejszej uwagi; dla mnie byli tylko gęstą kaszą, przez którą musiałem się przepchać.

Do domu! Do Norwegii! Do Siv! Hura! Niech żyje! Ale przed opuszczeniem Holandii chciałem zobaczyć sławną dzielnicę Amsterdamu, „Czerwony Amsterdam”, jedną z oficjalnych stolic prostytucji na świecie. I za to właśnie miałem ponieść tak bezwzględną i okrutną karę.

Dziwne, ale miałem przeczucie, że jeżeli pójdę tam tej nocy, spotka mnie coś niedobrego. Ta instynktowna obawa, jakiś sygnał z czasu przyszłego, nie konkretyzowała się w żaden określony kształt. Nie myślałem tak: jeżeli dziś w nocy pójdę do „Czerwonego Amsterdamu”, skończy się to dla mnie pozbawieniem wolności. Nie, przeczucie było niejasne, wyrażało się niepokojem, obawą przed czymś nieokreślonym, i pociągało za sobą dziwaczne – w każdym razie rzucające się w oczy – skutki. Na przykład pojechałem na Dworzec Główny i wpadłem do biura informacji, które w sezonie tu-

rystycznym działała do późnej nocy. Tam rozejrzałem się dokoła ponurym wzrokiem – doskonale pamiętam, jak spode łba patrzyłem na młodą osobę za kontuarem, rzucając jej pytanie, kiedy odchodzi pierwszy pociąg z Amsterdamu do Oslo.

– Pierwszy pociąg – odpowiedziała ta pani – odchodzi jutro rano o godzinie... chwileczkę, zaraz panu powiem dokładnie.

– Nie, proszę pani – przerwałem – nie potrzeba, wystarczy mi to, że odejdzie rano. Proszę mi raczej powiedzieć, kiedy odchodzi ostatni pociąg, to znaczy kiedy odszedł ostatni pociąg?

Zwlekała chwilę z odpowiedzią, patrząc na mnie ze zdziwieniem zielonymi oczyma. Potem poinformowała:

– Ostatni pociąg odszedł dokładnie 2 godziny i 24 minuty temu.

– My dear! – krzyknąłem, bo rozmawialiśmy po angielsku. – Czy to naprawdę takie dziwne, jeżeli ktoś chce wiedzieć, kiedy odszedł ostatni pociąg, do licha!

– Oczywiście nie, sir – odparła, rumieniąc się przy tym.

– No właśnie, równie mało dziwne jak to, że pani ma zielone oczy. A pani ma przedziwnie zielone oczy.

Wydawało mi się to wytworną repliką, jakby

buchniętą z chytrej powieści hamsunowskiej. Po wyjściu zostawiłem za sobą atmosferę podejrzliwości. Prawdopodobnie pomyślała sobie tak: Coś on nie bardzo w porządku ma w głowie. I jaki dziwny, na drutach robiony kaftan.

Przez kilka godzin wałęsałem się na skraju „Czerwonego Amsterdamu” – jak kot wokół szperki. Czego mam się właściwie bać – myślałem. – Przecież tchórzem podszyty nie jestem, a przyszedłem tu po to, aby zobaczyć tę część Amsterdamu, którą bractwo na statku tak mi zachwalało. Nic mnie do tego nie zmusza. Tylko wścibska ciekawość. Śmiesznie by wyglądało, gdybym nie zobaczył tej dzielnicy. Jestem turystą, do jasnej cholery, muszę zwiedzać świat, razem z jego brudami i bagnem, a więc marsz do tego rynsztoka, Brageson!

Przy chodniku stał samochód. Siedział w nim jakiś mężczyzna. Miał gruby, różowy, mięsisty kark. To mnie rozdrażniło. Przystanąłem i jak zahipnotyzowany gapiłem się na to karczydło wypełniające okno samochodu, bo facet siedział w wozie bokiem. Właściciel owej kupy mięsa czytał gazetę. Zerknąwszy mu przez ramię stwierdziłem, że to szwedzki dziennik „Sydsvenskan”. A więc to typowe, tłuste karczydło ze Skanii, pomyślałem i z całej siły wbiłem w nie paznokieć, wrzeszcząc przy

tym na cały głos:

– Pif! Paf!

Nie czekając na reakcję Szweda, odwróciłem się na pięcie i oddaliłem się długim, zdecydowanym krokiem.

– Do diabła...! – usłyszałem za sobą stek szwedzkich wymyślań.

Nie śmiałem się. Nie było we mnie ani śladu wesołości. Przeciwnie. Byłem w podłym nastroju, rozdrażniony i podniecony, a w najbliższym barze zadałem mikserowi od trucizny takie pytanie:

– Co to za buda?

– *Oh, this?* – wyseplenił swoją wyszukaną angielszczyzną. – *This is interesting place, sir.*

Odpowiedziałem:

– Oczywiście. *The devil recommends any sector of hell*^[1].

Nie zrozumiał mnie, bo mieszając koktajl, uśmiechał się jowialnie.

– *Oh, yes, oh, yes, the devil, sir, the devil*^[2].

Coś miękkiego dotknęło mego lewego kolana. Usłyszałem miauczący głos kobiecy:

– *Hallo, sailor!*^[3]

Ostatecznie, i ciągle wiedziony ciekawością, znalazłem się w samym sercu „Czerwonego Amsterdamu”.

Oświadczam: zrobiłem to nie po to, żeby sobie

przygadać jakąś dziwkę, choć mnie przyciskało, lecz w celu poznania tego zgniłego marginesu cywilizacji, o którym tyle się mówi wśród marynarzy. Wielu ludzi zakończyło tu życie w kanale, wielu marynarzy pobito, obrabowano, struto...

Ale do rzeczy. „Czerwony Amsterdam” leży w dzielnicy portowej, blisko Głównego Dworca. Obejmuje sieć zaułków, ulic i kanałów, a wśród nich Zeedijk, Oudezijds Achterburgwal i Oudezijds Voorburgwal, Prins Hendrikkade i inne – wszystkich nazw nie pamiętam. Ale wystarczy tylko wsłuchać się w brzmienie tych kilku: Achterburgwal! – to warczy; Prins Hendrikkade! – mizdrzy się; Zeedijk! – świszczy jak szpicruta; Zijd, wymawia się „sajd” – zatruwa. No, co? Czy to wszystko nie brzmi podejrzenie?

Nigdzie na świecie nie widziałem dzielnicy, w której kontrast między ludźmi a budynkami bardziej rzucałby się w oczy niż w „Czerwonym Amsterdamie”. Uliczki są wąskie, jak w miasteczkach południowej Norwegii, niskie domy o spiczastych dachach stoją ściśnięte jak na Niemieckim Nabrzeżu w Bergen, a gdy człowiek zamknie oczy, może sobie łatwo wyobrazić cnotliwych holenderskich mieszczan skrzętnie pracujących dniem, spokojnie chrapiących nocą, w niedzielę paradujących do kościoła w odświętnej odzieży, z poważny-

mi gębami, przy dźwięku dzwonów obwieszczających pobożną pogodę ducha. Może tak też było kiedyś naprawdę, ale dziś, w połowie dwudziestego wieku, „Czerwony Amsterdam” jest przede wszystkim eldorado szumowin społecznych, rajem rozpusty, gdzie życie kipi prawie przez całą noc. Nad tym zaś króluje skarłała wielkość, bezgłowy, cuchnący stwór: erotyzm, bożek miłości ery cywilizacji technicznej, odrażający dla każdego, kto nie jest jeszcze zatruty przez sprytne kupczenie kobiecym ciałem – lecz stanowiący atrakcję dla turystów, dreszczyk emocji dla świętoszków, lunapark dla tych, którzy stracili smak miłości, miejsce upragnione przez ludzi, którzy nie potrafią gratisowo zaspokoić swoich potrzeb erotycznych, wymarzony świat dla takich, którzy zagubili swoje ja i nie znoszą samotności, supermarket pornografii, narkotyków i wódki, ujście dla wszystkich społecznych perwersji. Tak, tu każdy taki może mieć, czego tylko zapragnie, byle umiał się rozsądnie dogadać i dobrze płacił. Erotyczny słabeusz potrzebuje, być może, trochę podniety, zanim mu się uda erekcja; może zbyt długo rajcował się pornograficznymi fotografiami, tak że jest już niezdolny do normalnego stosunku i wymaga specjalnych zabiegów, jakie zna rutynowana prostytutka; może musi wprawdzie zobaczyć, jak ktoś

inny do niej się doбира; może chciałby podpatrzeć, jak dwie dziwki uprawiają lesbijskie karesy; może jest masochistą i trzeba go na wstępie sprać po tyłku; może jest sadystą i sam musi oćwiczyć jakąś dziwkę; może jest hermafrodytą i, chcąc osiągnąć swój raj, musi krążyć między mężczyzną a kobietą. Wszystko jest dostępne, wszystko, jeżeli tylko ktoś umie się mądrze dogadać i zaszeleści banknotami. Zrozumiałe jest więc samo przez się, że w „Czerwonym Amsterdamie” roi się od ludzi.

Zaraz po wejściu do tej dzielnicy odczuwa się zmianę atmosfery. „Wesoły” gwar, pijackie wrzaski i piski, brzęk butelek, melodie płynące bezustannie z grających automatów, hałas orkiestr, wszystko to wypełnia ulice i zaułki, łączy się w jeden niesamowity zgiełk, głos dwudziestego wieku...

Mówiono mi, że właśnie z powodu tej „dzielnicy rozrywek” Amsterdam jest często wybierany na różne międzynarodowe kongresy. Wierzę bardzo. Czegóż nie robi się dla gości? Najpierw zawozi się ich na plac Rembrandta, aby się trochę podniecili striptizem, a potem droga prowadzi do „Czerwonego Amsterdamu”, gdzie proponuje się cudzoziemcom, aby się rozejrzeli każdy na własną rękę. Goście zaś mówią: *„Well, I’ll just take a little trip”*^[4], *„Ich kehre bald zurück, ich habe ja solche Dinge*

früher gesehen, in Hamburg – Reeperbahn, aber doch...”^[5] – i „*Merci, Monsieur*”^[6]. No i goście udają się do tego celu podróży, gdzie kobiety jak towar siedzą na wystawach „sklepów”, a jeżeli tam nie siedzą, nie ma ich także w barze ani też nie frymarczą wdziękami na rogu ulicy, to znaczy, że „pracują”, a wtedy człowiek może przecież stanąć przed pustą wystawą, puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie, co dzieje się za kotarą lub w przyległym pomieszczeniu. Można stać dowolnie długo i delektować się przyćmionym czerwonym światłem. Och, „Czerwony Amsterdamie”! Mój ty romansie! Moja ty miłości! Czyżbym tego nie wiedział: czerwień jest przecież barwą miłości!

– Jeżeli pan się interesuje – pouczał jakiś usłużny Holender z wylizaną fryzurą i szpiczastymi wąsami, w czarnym dwurzędowym ubraniu w białe paski – jeżeli pan się interesuje, to ten... system wystawowy, tak, możemy go tak nazwać, spotyka się nie tylko w tej dzielnicy Amsterdamu, lecz również na Reguliersdwarstraat w pobliżu Mint Tower i na Leidsestraat. Czy pan jest marynarzem? Bardzo ciekawe. Zdaje mi się, że najtaniej jest na Prins Hendrikkade. Życzę panu dobrej zabawy.

Około godziny trzeciej tej samej nocy, a więc 10 sierpnia, jeszcze wałęsałem się po czerwonej dziel-

nicy. Wypiłem kilka szklanek piwa, ale nie byłem pijany. Miałem niezły humor, ale też nudziło mnie to cywilizowane świństwo i przemyślałem o powrocie do Rotterdamu.

Przeznaczenie zadało mi cios gdzieś między trzecią a wpół do czwartej. Znajdowałem się wtedy w jakimś ciemnym zaułku, w odległości dziesięciu rzutów pustą butelką od wszystkich kurew i całego tłumu. Wtedy się to zdarzyło.

Wziąłem udział w bójce. Celowo mówię, że tylko „wziąłem udział”.

Podczas tej bójki cisnąłem jednego z przeciwników głową o mur. Facet wyzionął przy tym ducha.

A teraz biorę do ręki wycinki prasowe i dokumenty sądowe, aby przedstawić sprawę możliwie obiektywnie – bo mnie samego to bawi.

Gazety podawały, że zwłoki zabitego w „Czerwonym Amsterdamie” znaleziono w „makabrycznym stanie”. Miał pękniętą czaszkę, złamany kark, a krew obryzgała mur i chodnik. Śmierć musiała nastąpić momentalnie. Zdaniem biegłych zabójstwo świadczyło o niezwykle brutalnej i bezwzględnej sile; prawdopodobnie już połowa tej siły wystarczyłaby aż nadto do pozbawienia życia każdego przeciętnego człowieka.

Gdy policja przybyła na miejsce zabójstwa, siedziałem na chodniku obok swej ofiary. Byliśmy sami, ja i on, właśnie zaczął padać deszcz i zaróżowiona woda ściekała do rynsztoka.

Zabity był człowiekiem młodym, miał na sobie dzinsy i czarną skórzaną kurtkę. W pobliżu leżał nowy nóż sprężynowy. Nie było po nim znać, żeby był używany, i ani ja, ani tamten nie mieliśmy żadnych kłutych ran. W portfelu zmarłego policja znalazła kwit wskazujący na to, że właściciel noża zakupił go w Hamburgu dwa dni przed zabójstwem. Zresztą odciski palców też świadczyły, że nóż nie mógł należeć do mnie.

Przyjęto, że nóż wypadł z kieszeni zabitego wtedy, gdy uderzył głową o mur.

Oprócz tego policja znalazła w jego kieszeniach pięć zdjęć pornograficznych, trzy prezerwatywy i serię komiksów o „nadczłowieku” wyjętym spod prawa, który zwyciężał we wszystkich walkach, zarówno z bandytami, jak i stróżami prawa.

Z moich kieszeni policja zabrała kilka zmiętych banknotów, składany nóż, pięć kapsli od butelek z piwem, jeden list i ponadto fotografię na pół zaszypanego śniegiem szałas w górach. Przed szałasem stała młoda blondynka w spodniach narciarskich i uśmiechała się do aparatu, obok niej wbite były w śnieg dwie pary nart i dwie pary kijków.

Siedziałem oparty plecami o mur i w prawej ręce trzymałem lewą rękę zabitego. Byłem poraniony i pokrwawiony, ślady największych obrażeń zdradzała twarz; częściowo zmiażdżony nos, górna warga rozcięta tak, że przypominała zajęczką, od lewego oka głęboka rana ciągnęła się prawie do kości szczękowej. Wydawało się, że nie czuję bólu. W miarę upływu krwi byłem coraz mniej przytomny i siedząc, poruszałem rytmicznie górną częścią ciała. Od czasu do czasu jęczałem coś po cichu w języku, którego policja nie rozumiała, ale w moich zranionych ustach każdy język byłby niezrozumiały. Policja uznała, że wynik krwawej bójki spowodował u mnie szok.

Nie chciałem puścić ręki zmarłego. Policjanci musieli ją wyszarpać z mojej zaciśniętej dłoni.

Wkrótce po zabraniu mnie do komisariatu, do policjantów pilnujących miejsca zabójstwa zgłosiło się sześciu młodych Niemców – wszyscy poniżej dwudziestu lat. Mieli na sobie dzinsy i czarne skórzane kurtki, tak jak zmarły, i byli pobici i poranieni, tak jak ja. Jeden nie mógł utrzymać się na nogach. Dwóch skarżyło się na jakies złamania, jeden nadgarstka, drugi ramienia. Niektórzy kuleli.

Wszyscy, z wyjątkiem tego, którego podpierano, uśmiechali się dzielnie, jakby chcieli powiedzieć: już my wiemy, co to ból, i znamy widok krwi. Ale

od czasu do czasu pojękiwali i na ich twarzach niedorostków zjawiały się dziecinne grymasy.

Dostęp do miejsca zabójstwa został zamknięty barierami. Zwłoki nadal leżały na chodniku. Lekarze i eksperci kryminalni przeprowadzali badania.

Niemców zatrzymano przy barierze. Nie mogli stamtąd widzieć zabitego, który leżał zasłonięty jakimiś schodami. Jeden z nich zwrócił się do policji w imieniu wszystkich. Nadrabiając miną, uśmiechnął się i powiedział, że „tu była nielicha draka”. Aby zilustrować to oświadczenie, wskazał głową plamę krwi na bruku.

Wie, co mówi. On i jego przyjaciele brali udział w tej bójce, co policja chyba sama może zauważyć. Stróże prawa mogą liczyć na ich zeznania, ale oni chcieliby wpiery skorzystać z pomocy lekarskiej.

Przepuszczono ich przez barierę. Lekarz przystąpił do udzielenia pierwszej pomocy. Wezwano nową karetkę pogotowia.

Wtedy zobaczyli tamtego. Wpatrywali się w zwłoki.

Policja zapytała:

– To jeden z waszych, prawda?

Na to padła odpowiedź:

– Tak, to bokser.

Policja:

– Niestety, już nie żyje.

Niemcy stali tylko, wbijając wzrok w leżącą postać.

Policja:

– Gdzie byliście od chwili bójki?

Niemcy gapili się dalej i milczeli.

– Dlaczegoście tu wrócili? – pytała dalej policja.

– Szukaliśmy boksera – padła odpowiedź.

Potem powtarzali słowa „nie żyje”, najpierw tonem pytającym, potem stwierdzającym, ale ciągle nie rozumiejąc. Jeden z nich wybąkał: – Broniliśmy się. – Inny parsknął wściekle: – *Der verdammte Slugger*^[7] – mając mnie na myśli, i natychmiast na ustach wszystkich znalazły się pełne nienawiści słowa; jęczeli z nienawiści, klęli z nienawiści, bełkotali z nienawiści, sami nie wiedzieli, jak daleko sięga ich nienawiść i rozpacz. Nie było słychać żalu. Ani płaczu. Ani skargi. Tylko oskarżenie i potępienie: – On nas napadł. Oni nas napadli. Wymyślali nam od przeklętych niemieckich świń. Nie pozwolili nam przejść spokojnie. On szalał. Używał podstępów. Niebezpieczny facet. Mógł jeszcze i któregoś z nas zabić. Proszę go aresztować. Proszę obu aresztować. Trzeba ich ukarać. Zasłużyli na dożywocie. *Verdamme Schweinehunde. Sie, und nicht wir, sind ja Schweinehunde*^[8].

Nie byłem sam, twierdzili. Byłem z jakąś drugą świnią.

Wyładowawszy pierwszą złość, popadli w apatię. Ale tuż przed przybyciem karetki znów jeden z nich krzyknął, że to morderstwo trzeba pomścić, drugi zaczął wypytywać, czy w Holandii istnieje kara śmierci, a ten najbledszy, którego musieli podtrzymywać, wygrażał histerycznie pięściami i wrzeszczał coś, co brzmiało: To szatańskie! To szatańskie! To szatańskie!

Policję zawiadomił jakiś nocny przechodzień. Jego zeznania nie wносиły nic istotnego. Miał do powiedzenia tylko tyle:

– Zobaczyłem, że grupa ludzi bije się, zaraz więc pobiegłem wezwać policję.

Mój obrońca próbował wykazać, że Niemcy mieli zmniejszoną wrażliwość. Do mnie zaś powiedział:

– Chciałbym, żeby oni byli oskarżonymi o morderstwo, a ja ich obrońcą. Bo to są typowi „chorzy ludzie”.

Zostałem zaaresztowany. Ogarnęła mnie zupełna obojętność. Prawie nie reagowałem, gdy lekarz opatrywał mi rany, przez cztery dni nic nie brałem do ust. Jedyne wyjaśnienie, jakie złożyłem policji, napisałem na kartce papieru, bo jeszcze nie mogłem mówić. Napisałem: „Zrobiłem to we własnej obronie”.

Poza tym zachowywałem uparte milczenie, zdolne wzbudzić podejrzenia u najbardziej łatwowier-

nych, jak pisały niektóre gazety.

Smacznym kąskiem dla organów śledczych i prokuratorskich był fragment listu znalezionej przez policję w mojej kieszeni. List był od Siv: „A więc mój miś musi być grzecznym chłopcem, nie pić za dużo piwa i podobnych rzeczy, nie wdawać się w żadne burdy i zgrywy. Nie wolno mu się bić, nawet dla zabawy. Kochanie, moje kochanie, pamiętaj, że mi to przyrzekłeś. Taka jestem niespokojna”.

Najważniejszymi świadkami były osoby wplątane w sprawę, sześciu pozostałych przy życiu Niemców i ja. Oprócz nas i samotnego przechodnia nie udało się znaleźć żadnych naocznych świadków bójki.

Jak sądzę, Niemców dopuszczono w charakterze świadków między innymi dlatego, że było ich dość wielu, wobec czego większe nieścisłości i sprzeczności w ich zeznaniach miały ewentualnie pozwolić na ujawnienie kłamliwych oświadczeń.

Podczas śledztwa byłem nadal apatyczny, siedziałem jak w półśnie. Niechętnie odpowiadałem na pytania, nadto zaś nie chciałem zaprzysiąc swego nowego zeznania, które krótko i węzłowato brzmiało tak:

– Niemcy mnie napadli. Niemcy zmusili mnie do samoobrony. Byłem sam jeden przeciw sied-

miu. Kilka razy próbowałem uciec, ale mi się to nie udało. Bili się brutalnie, chcieli mnie zabić, to są chorzy ludzie, napadli na mnie. Niemcy zmusili mnie do walki, jestem niewinny, bo oni mnie napadli, jestem więc zupełnie niewinny, Niemcy mnie napadli.

Sędzia śledczy nie potrafił nic więcej ze mnie wydobyć.

Jeszcze podczas dochodzeń policyjnych Niemcy utrzymywali, że gdy mnie spotkali, nie byłem sam, lecz w towarzystwie innego mężczyzny. Miał, jak im się zdawało, ciemne włosy i był trochę niższy ode mnie – nie umieli podać jego dokładniejszego rysopisu. Gdy bójka się zaczęła, było chmurno i zaczynało padać, a ten dziewiąty, mój domniemany towarzysz, uciekł wcześniej.

Ja i ten dziewiąty zachowywaliśmy się prowokująco, twierdzili Niemcy, oni zaś długi czas usiłowali trzymać się od nas z daleka, wołali, żebyśmy się uspokoili, ale myśmy się pchali do nich, nie dawali im spokoju i wyzywali ich od „*verdammte deutsche Schweinehunde*”^[9]. W końcu zabraliśmy się do bicia. Niemcy musieli się bronić. „*Glücklicherweise*”^[10] ten dziewiąty zniknął. Został Bragesson, silny, brutalny, niebezpieczny, morderczo usposobiony.

To między innymi Niemcy powiedzieli policji.

Podtrzymywali zeznania przed sędzią śledczym. Nie żebym to pamiętał, bo byłem wtedy prawie jak głuchy, ale czytałem wszystko w aktach śledztwa.

Już w tym stadium śledztwa władze posiadały o mnie informacje, które im „dawały do myślenia”. Odgrzebano moją przeszłość, między innymi fakt, że byłem już raz oskarżony, i porównywano ją z postępkami w „Czerwonym Amsterdamie” (Może to był drugi powód dopuszczenia Niemców w charakterze świadków, chociaż byli zamieszani w sprawę). Wiele gazet już z góry wydało wyrok: „Brage Bragesson ma prawdopodobnie brutalny charakter”. „Urodzony brutal”. „Osilek ze skłonnością do piwa”. „Barbarzyńca”.

„Człowiek groźny dla otoczenia”. Nikt więc nie był zaskoczony, gdy władze prokuratorskie wniosły oskarżenie o rozmyślne zabójstwo.

Stanąłem przed holenderskim sądem karnym „Arrondissementsrechtbank” – zwanym w skrócie „de Rechtbank”. Odmiennie niż w norweskim systemie wymiaru sprawiedliwości de Rechtbank nie miał ławy przysięgłych, składał się tylko z sędziów zawodowych. Przewodniczącego takiego sądu tytułuje się prezesem.

Nie przyznałem się do winy i cały czas zdecydowanie twierdziłem, że zabiłem w obronie własnej. Celem było nie to, żeby zabić, lecz żeby samemu

się ratować.

Sprawa wzbudziła wielkie zainteresowanie, szczególnie w prasie norweskiej. Mam przed sobą jeden z norweskich dzienników, który podał pierwszą wiadomość o wydarzeniu w Holandii. Tytuł brzmi: „Brage Bragesson aresztowany po bójce w Amsterdamie”. Poniżej umieszczono fotografię, przedstawiającą mnie dobiegającego do mety w zawodach narciarskich.

Tęsknię za Nordablaas.

Jeżeli ktoś przyjmie, że prawdą jest, iż wdając się w bójkę z siedmiu młodymi ludźmi, byłem sam, to porównawszy choćby cyfry, musi się zastanowić, jak to możliwe, aby jeden człowiek odważył się wyzwać siedmiu. Każdy chyba przyzna, że to wygląda nieprawdopodobnie, a byłoby prawdopodobne wtedy, i tylko wtedy, gdybym był głupi, nieprzytomny lub chory na umyśle.

Już dwóch przeciw siedmiu brzmiało wątpliwie i szaleńczo. Na tle mojej przeszłości jednak wszystko wydawało się możliwe. A porównanie mego zewnętrznego wyglądu z wyglądem Niemców też przemawiało za tą możliwością.

Czterej z nich byli to chłopcy fizycznie słabo roz-

winięci, widocznie mięśnie im długo wiotczały na motocyklach. To prawda, że natura nie poskąpiła im wzrostu, dwu było mniej więcej tak wysokich jak ja, i może w niczym nie ustępowali przeciętnemu miejskiemu chłopcu w Niemczech 1955 roku, w porównaniu jednak ze mną byli dość szczupli i niewysportowani, dwaj nawet sprawiali na mnie wrażenie wymoczków. Pozostali byli trochę lepiej zbudowani, a największą siłą wyróżniał się zabity Fritz Heilmann, który amatorsko parał się trochę boksem.

Jak można przypuścić, że tych siedmiu młodych ludzi odważyło się na bójkę ze mną, skoro musieli dostrzec, że nie wyglądam na takiego, którego bez trudu mogliby powalić i zostawić w rynsztoku?

Ale przyjrzyjmy się tym siedmiu młokosom. Przyjechali do Holandii na motocyklach i nie ulega wątpliwości, że jechali szybko! Szaleńczo szybko! Po kawalersku! Małe mózdzki potrafią przy takiej szybkości wmówić swym właścicielom, że są siłaczami. Nadto te skórzane kurtki robiły z nich wszystkich postawnych atletów, chłopów z ikłą. Takie rzeczy mogą prowadzić do złudzeń, szczególnie wtedy, gdy jest zupełnie ciemno i gdy przeciwnik ma na sobie dziwaczny norweski kaftan.

Mam metr osiemdziesiąt osiem wzrostu. Nie uważam, abym był nienaturalnie silny, ale jestem

naprawdę mocny i bardzo wytrzymały. Nic więc dziwnego, że Niemcy nadaremnie próbowali mnie sprać. Muskulary miałem przecież przyzwyczajone do wytrzymywania ciosów. Gdyby jednak choć jeszcze jeden z nich okazał się taki sprawny i szybki jak bokser, byłbym dziś umarlakiem lub kaleką. Cholera, facet zrobiłby ze mnie befsztyk!

Któryś tam dziennikarz napisał, że „Bragesson ma w sobie niewątpliwie coś zwierzęcego”. Chętnie bym dostał tego gościa w swoje łapy. Na litość boską, przecież sam fakt, że człowiek jest duży i silny, ma potężne ręce, długie nogi i głęboko osadzone, jakby stale zachmurzone oczy, nie upoważnia do tego, aby mu zarzucać zezwierzęcenie.

Przeklęty pismak! Krew mnie zalewa, gdy o nim pomyślę. Popierdzał sobie taki facet na stołku w redakcji i wydał na mnie wyrok, zanim jeszcze prokurator przygotował oskarżenie!

Zgoda, nie wyglądam na aniołka i nie mam pobożnej miny! U mych przeciwników też trudno się było dopatrzeć cech niebiańskich. Moim zdaniem każdy z nich miał dobre zadatki na bandziora. Byli też praktycznie bandziorami, chociaż różni poczciwcy, tacy co może sami mieli podobnych synalków, określali ich jako zwyczajną powojenną młodzież, tę wyobcowaną młodzież, którą trzeba traktować wyrozumiale i z politowaniem, a także

zastanawiać się głęboko, gdy się ją karze za kradzieże samochodów i inne wyczyny mające wszelkie cechy świadomego przestępstwa. Prawda, można ich sobie przedstawić jako impertynenckich rozrabiaczy i bezmyślnych zabijaków w wielkim stylu, ale przecież „*viel Geschrei und wenig Wollle*”^[11] – jeszcze może przydałoby się dodać: dzięki Bogu. Ładnie by to wyglądało, gdyby cała młodzież tego typu miała się zaliczać do zwykłych kryminalistów!

Z punktu widzenia współczesnych kryteriów Niemcy zachowywali się całkiem zwyczajnie. Szli sobie dużą gromadą. A że tego samego nie można było powiedzieć o mnie, zademonstrowałem to w pełni swoim zachowaniem się w sądzie. Było ono w najwyższym stopniu niezwykle, pisały gazety, a raz, przy jakiejś okazji, wystawiłem sobie nawet wprost przerażające świadectwo, gdyż dałem wyraz takiej brutalności, że wszyscy obecni poczuli zimny dreszcz na plecach. Ta zwierzęca wściekłość, ten bezmyślny brak szacunku dla sądu – niektóre gazety nie znalazły odpowiednich przymiotników – krótko mówiąc, to grubiańskie postępowanie musi postawić oskarżonego w złym świetle.

Po moim napadzie wściekłości długo nikt nie mógł zrozumieć, co się właściwie stało, nikt nawet

nie wiedział, kiedy się to zaczęło, prawdopodobnie nie zwracano na mnie uwagi, a ja tymczasem podczas wystąpienia pierwszego niemieckiego świadka zbierałem w sobie pasję, aby następnie, w trakcie zeznań tego świadka, wybuchnąć! Tak, eksplodować! I tygrysim skokiem, „jak wystrzelony z procy”, wypaść z ławy oskarżonych na środek sali, gdzie powiewając bandażami, rzuciłem się na świadka i – dziennikarze nigdy jeszcze nie mieli okazji do pisania podobnych sprawozdań – „norweski barbarzyńca” rozpoczął nową bójkę z jednym ze swych niemieckich przeciwników! Na sali sądowej! W obliczu wysokiego Arrondissement-srechtbank! „Gdyby nie błyskawiczna interwencja policji, kto wie, czy nie bylibyśmy świadkami jeszcze jednego przestępstwa” – pisało wiele gazet.

Sąd usunął mnie z sali na czas zeznań innych niemieckich świadków. Gdy mnie wyprowadzano, wrzasnąłem:

– Kłamcy!

Później, po zamknięciu przewodu, mój obrońca podkreślał, że ten wybuch wściekłości był reakcją człowieka niewinnego:

– Mamy przed sobą człowieka, który wie, że jest niewinny, lecz siedzi tu bezsilny i zrozpaczony, bo nie może tego udowodnić. Ta rozpacz, jak widzieliśmy, podyktowała mu działanie; rzucił się na

świadka – co wstrząsnęło wielu ludźmi. Nie można zaprzeczyć, że jego wybuch był gwałtowny, ja też nie mam zamiaru przeczyć, przeciwnie, chcę stwierdzić i podkreślić, że niektóre natury tak właśnie reagują w określonych sytuacjach, co jednak nie przesądza o ich przestępczości. Na tej samej ławie oskarżonych, na której siedzi teraz Bragesson, w ciągu lat widzieliśmy wielu złoczyńców. Zostali w imieniu społeczeństwa osądzeni i ukarani. Wielu z nich, śmiem twierdzić, że nawet większość, zachowywała się w sądzie wzorowo, niektórzy zwrócili na siebie uwagę lodowatym spokojem. Ale widzieliśmy też płaczących przestępców i zdenerwowanych przestępców, płaczących ludzi niewinnych i zdenerwowanych ludzi niewinnych... widzieliśmy, tak, myślę, że widzieliśmy niemal wszystko, tak po stronie winnych, jak i niewinnych. O ile mi jednak wiadomo, jednej rzeczy nie zauważyliśmy nigdy wśród winnych: Nigdy nie widzieliśmy przestępcy, który w sądzie zachowywałby się w tak nieopanowany sposób, że szkodziłby tym sobie w oczach wielu osób. – Naszym obowiązkiem jest zapytać: dlaczego Bragesson rzucił się na świadka? Jestem przekonany, że jedyna trafna odpowiedź musi brzmieć: ponieważ wiedział, że świadek zeznawał zupełnie fałszywie. Odczuł słowa świadka jak cios sztyletem w plecy i zareago-

wał tak, jak może zareagować tylko człowiek zupełnie niewinny, niebaczny na wrażenie, jakie może tym wywołać u sędziów. Nie, nie mamy przed sobą sprytnego, wyrachowanego, ugrzecznionego przestępcy, lecz człowieka niewinnego, który stracił panowanie nad sobą. Dlatego zastrzegam, że wybuch mego klienta nie może mieć wpływu na decyzję co do jego winy.

Zdaje mi się jednak, że obrońca robił to zastrzeżenie nadaremnie. Sędziowie nie mogli zapomnieć mi mego wybuchu (biegły psychiatra nie zapomniał), a skoro nie zapomnieli, to oczywiście wzięli go też pod uwagę przy wyroku – bez względu na wartość dowodów. Byli w końcu tylko ludźmi.

Na ustach całej Holandii byłem przede wszystkim osobnikiem, który wdał się w bójkę na sali sądowej: „Zuchwały brutal z de Rechtbank”.

Obrońca używał więc mego wybuchu jako przesłanki świadczącej na rzecz mojej niewinności. Drugą taką przesłanką była jego zdaniem moja pierwsza reakcja po zabójstwie.

Cóż zobaczyła policja? Zobaczyła człowieka ogarniętego głębokim żalem, człowieka nie myślącego nawet o możliwości oskarżenia o zabójstwo, człowieka, który nie uciekł, lecz jak przykuty siedział przy zabitym, trzymał go za rękę, czekał i rozpaczał. Nad czym rozpaczał? Rozpaczał nad śmiercią

człowieka. Rozpaczał, że został zmuszony do postępuku, w którym szansa własnego ratunku doprowadziła do zabicia człowieka.

Następnego dnia po ataku wściekłości zachowywałem się w sądzie z przykładowym spokojem, wzorowo odpowiadałem na wszystkie pytania i sprawiałem wrażenie „zupełnie innego człowieka”. Sąd był zaskoczony tą nagłą zmianą: – Nie chcę usprawiedliwiać swego wczorajszego postępowania – oświadczyłem. – Chcę tylko wyrazić żal i powiedzieć, że sam się za nie potępiam. (Nie pamiętam, czy rzeczywiście myślałem tak, jak mówiłem. Niewykluczone, że zachowałem się wtedy nieco teatralnie).

Ale na trzeci z kolei dzień znów byłem podniecony i, zdaniem wielu obserwatorów, dość gwałtowny, jakkolwiek ten nastrój nie znalazł ujścia w nieopanowanych odruchach. Nie ruszałem się wprawdzie z ławy oskarżonych, lecz wiele razy zdradzałem ochotę dokonania nowego tygrysięgo skoku – w kierunku prokuratora.

Pewien dziennikarz napisał nawet, że mój gwałtowny nastrój nie był chwilami pozbawiony poczucia humoru. Wskazał przy tym na incydent, kiedy to zdjąłem bucik z jednej nogi i groziłem, że rzucę nim w prokuratora. „Wyraźnie widziałem, że Bragesson bawi się swymi gwałtownymi odruchami”,

napisał ten dziennikarz. Większość jednak gazet nazwała to szaleńczym wybuchem; tylko szybkie działanie policji przeszkodziło mi w wykonaniu groźby.

„Szaleńczy wybuch”. A ten incydent z butem miał miejsce przed rzuceniem się na świadka. Nic dziwnego, że po ataku większość dziennikarzy szukała jeszcze mocniejszych słów.

Napad na świadka miał dwojakie następstwo. Odtąd nie zdejmowano mi w sądzie kajdanków, a poddanie mnie obserwacji biegłego psychiatry, którą już przedtem zarządzono i rozpoczęto, uznano za sprawę „tym bardziej palącą”.

Czy jestem umyślowo chory? Albo cierpię na poważne zaburzenia psychiczne? Uciekłem się przeciw do użycia siły w de Rechtbank, a przedtem, w Norwegii, byłem wielokrotnie zamieszany w różne bójki, niektóre nawet sam wywołałem, i nie pierwszy raz stawiałem czoła liczebnej przewadze – z czystego pociągu do bitki. Krótko mówiąc, brutalne zachowanie się, alkohol, izba wytrzeźwień, grzywny, a nawet oskarżenie o uszkodzenie ciała. Od tego mnie zresztą uniewinniono, bo nie udało się stwierdzić, kto ponosi odpowiedzialność; ten, kto zadał ostatni cios, czy ten, kto padł ofiarą; oskarżony czy powód.

Odmówiłem odpowiedzi na pytania holender-

skiego psychiatry. Zażądałem norweskiego. Uzasadnienie: skoro ma się badać coś tak nieuchwytnego jak przeżycia duchowe człowieka, podstawowym warunkiem jest używanie ojczystego języka osoby badanej.

To żądanie zostało uwzględnione. Doktor Hans Jörgen Andersen Saestad widział, jak się rzuciłem na niemieckiego świadka. Ale na wszelki wypadek sąd zarządził, aby również i holenderski specjalista wypowiedział się co do ewentualnych nieporządków w mojej mózgowicy. Byczo. Może w niej siedzi jakiś wrzód.

PS: Rozpatrywanie sprawy na zimno sprawia mi dość duże zadowolenie. Ten mój zrównoważony spokój, czy on nie świadczy o pełnej kontroli nad uczuciami? A czy to przedstawienie sprawy nie dowodzi, że nie cierpię na niedorozwój umysłowy?

– Psychiatria sądowa – powiedział mi raz prywatnie mój obrońca – jest zaczątkiem rewolucji w systemie wymiaru sprawiedliwości. Jak wszystkie ząbkujące poczynania, ma ona swoje braki i wyrządza również szkody, ale jestem przekonany, że stanowi przygotowanie do zupełnie nowego spojrzenia na przestępcę.

Co to za człowiek, ten mój obrońca?

Sam siebie nazywał przyjacielem ludzi upośledzonych, a to oznacza coś tak brzydkiego jak przyjaciel mordercy, zwyrodnialca, sadysty, deprawatora, gwałciciela, złodzieja, oszusta, szantażysty, sutenera, podpalacza...

Już tego samego dnia, w którym holenderskie gazety podały wiadomość o wydarzeniach w „Czerwonym Amsterdamie”, próbował skontaktować się ze mną w szpitalu, ale go nie dopuszczono. Po pierwsze miałem tak zranione usta, że nie mogłem mówić, a po drugie rozmowa była niewskazana choćby ze względu na „stan psychiczny pacjenta”. Dotarł do mnie dopiero po przeniesieniu mnie do więzienia. Stałem w celi zwrócony plecami do drzwi i przez okienko patrzyłem na błękitne niebo. Liczyłem przesuwające się chmury i w pewnej chwili usłyszałem, że drzwi się otwierają, potem zamykają, a potem zgrzytnął zamek.

– Nazywam się Stefan Borovic – rozległ się za mną donośny bas.

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem człowieka tak małego i szczupłego, że chyba najslabszy wietrzyk potrafiłby go przewrócić, gdyby nie para pałających brązowych oczu, które go utrzymywały w równowadze.

Najpierw podał mi szczupłą, białą rękę. Była żylasta i mocna. Dziwny wydał mi się ten człowie-

czyna, z tak potężnym głosem i tak silnymi rękoma.

Twarz miał długą, wąską, kościstą, skórę żółtawą, malutkie usta właściwie bez warg – tylko otwór – nos wydatny, zagięty i ostry jak nóż; mogło się wydawać, że tym nosem torował sobie drogę między warstwami powietrza.

Potem uśmiechnął się przelotnie nerwowym grymasem, cofnął rękę, pokiwał głową jakby ze zrozumieniem i zaczął się energicznie przechadzać w kółko po celi.

Ruchy miał szybkie i uderzająco precyzyjne, ale chwilami zdawało się, że jakaś niewidoczna siła wytrąca go z kursu; wtedy przechylał się na zewnątrz, jakby miał upaść. Od czasu do czasu przystawał, chwiał się odrobinę i chwycił za głowę. Oczy miał mocno podkrążone i jak dziś pamiętam myśl, która mi wtedy przemknęła, że powinien wypić z beczkę wołowej krwi na wzmocnienie.

Po norwesku mówił płynnie, czasem tylko z obcym akcentem. Spacerując, mówił:

– Ma pan jeszcze na sobie przeraźliwie dużo bandaży. Ale uszedł pan z życiem i bez żadnej trwałej szkody oprócz pamiątkowych blizn itp. To dobrze. Cieszę się. Gotów jestem podjąć się pańskiej obrony.

To powiedziawszy Stefan Borovic potarł czoło

końcami palców.

I nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął dalej:

– Nie brak mi klientów. Jestem przepracowany. Ale pan mnie interesuje. Na zdjęciach zwróciłem uwagę na pańskie oczy; zdecydowane i wymowne oczy, które świadczą, że pan musi być człowiekiem o bardzo dużych możliwościach, zarówno w dobrym kierunku, jak i złym. Doskonale. Cieszę się na myśl o tej pracy, to zaś, że pan jest Norwegiem, uważam za szczególnie miłe. Jeżeli kiedyś wpadłbym w zły humor, proszę powiedzieć coś dosadnie po norwesku, nie obrażę się za brzydkie słowo, a zobaczy pan, że Borovic złagodnieje. Moje hobby to norweskie baśnie, trolle i sztuka ludowa z Telemarku, szczególnie malowidła.

Uśmiechnął się do mnie.

– A więc doskonale. Urodziłem się i wychowałem w Norwegii, do piętnastego roku życia byłem obywatelem norweskim, do czasu kiedy mój ojciec przeniósł się tutaj w poszukiwaniu lepszych warunków. W ten sposób zostałem Holendrem. Ale wszystkie urlopy spędzam w Norwegii. Wszyscy bardzo lubimy Norwęgę, to znaczy: ja i moja rodzina. Wobec tego możemy sobie mówić po imieniu. Ty mnie możesz traktować jak ojca i zwalić na mnie to wszystko, co chciałbyś zwalić na swego ojca. A więc tak, mój młody przyjacielu. Ten Nie-

miec, którego uśmierciłeś – pożałowania godne, ale się broniłeś. Opowiedz mi wszystko możliwie najdokładniej.

Tak do mnie podszedł, w sposób budzący zaufanie, serdecznie, prosto.

Miał wiele osobliwych właściwości. Gdy się na przykład zapalił – szczególnie na sali sądowej – stawał na palcach i ustami łapał powietrze, szybko wyrzucając z siebie słowa, jak gdyby czekał. Wydawał się wtedy uosobieniem skondensowanej energii. W ogóle warto było patrzeć, jak ten niepozorny człowiek potrafi imponować niesłychaną werwą.

Gdy go poznałem, jesienią 1955, był bardzo wyczerpany, ale nie zwracał uwagi na ostrzeżenia swego lekarza. Żył bowiem przeświadczeniem, że świat nie mógłby się bez niego obejść.

Jako adwokat miał za zadanie uczestniczyć w decydowaniu, co jest prawem, a co bezprawiem, kiedy ktoś jest winny, a kiedy niewinny, ale tych pojęć nie traktował tak, jak się to robi w zwyczajnej praktyce prawa. Jego twierdzenia bywały dziwne i częściowo sprzeczne z sobą. Jedno brzmiało tak:

– Zabójstwo jest sprzeczne z prawem, i to uznaję, ale zabójca jest zawsze niewinny.

O mnie mówił między innymi tak:

– Jesteś niewinny. Niewinny bez względu na okoliczności. – Ale jedno z jego ostatnich powiedzeń brzmiało: – Jesteś dalej niebezpiecznym człowiekiem. Uważaj, żebyś nie stracił równowagi.

Mimo że nie miał dowodu mojej niewinności, szermował nią na sali sądowej w najbardziej energiczny sposób. I niezależnie od tego, co wyprawiałem, uważał mnie zawsze za godnego zaufania i sympatycznego. Pewnego razu wrzasnąłem na niego wściekle:

– Gdybym miał teraz bat albo nahajkę, albo taki knut, którym można przeciąć skórę wołu! Gdybym się zamachnął i – ciach! – posiekał te twoje żałosne plecy, co byś powiedział? Powiedziałbyś: „Mój młody przyjacielu, mimo wszystko mam do ciebie słabość!”.

– To prawda – skinał głowę Stefan.

– Ooooo! – ryknąłem. – Wypij beczkę krwi wołowej. Nie mogę patrzeć na ciebie, taki jesteś blady!

Z początku byłem opryskliwy i zuchwały, wyśmiewałem jego ojcowską troskliwość i przebąkiwałem coś na temat jakiegoś innego obrońcy, jakiegoś adwokata-cudotwórcy. Tak więc mały człowieczek nigdy nie mógł być mnie pewien:

– Co ty za bzdury opowiadasz w sądzie? Robisz ze mnie anioła. – Byłem w tym momencie zupełnie nieobliczalny. A innym razem, w celi, krzyknąłem:

– Głupi jesteś! Skończony dureń! A ja jestem winny! Winny, słyszysz!

Pewnego wieczora dał mi książkę, która jego zdaniem mogła mnie trochę rozerwać. Pamiętam, jak jego usteczka i ostry nos pochyliły się ku mnie i jak się wściekłem: – Daj mi spokój! Przecież wiesz, że sprawa jest przegrana, do jasnej cholery!

Z reguły zbywał moje wybuchy słowami:

– Wyładuj się. Przy mnie możesz się wściekać, ile ci się podoba, ale w sądzie, w sądzie, mój młody awanturniku, musisz z tym skończyć raz na zawsze. Słyszysz? Przy mnie możesz wrzeszczeć i ryczeć, nazywać mnie fajtłapą, prokuratora kłamcą, a przewodniczącego stronnictwem... w porządku... ale nigdy w sądzie. To ci tylko zaszkodzi, mimo że wyzwiska same przez się nie stanowią jeszcze dowodu przeciw tobie. Rozumiesz, że w tej sprawie może przeciw tobie zdecydować nastawienie?

Nie, Stefan nie był zwykłym adwokatem. Gdy zapadł wyrok, gdy więc przegraliśmy sprawę, chwycił mnie zachwycony za rękę i powiedział:

– Życie będzie wiele od ciebie wymagać!

To brzmiało jak przepowiednia triumfu: „Życie będzie wiele od ciebie wymagać!”.

– Dopiero teraz sprawa zaczyna się na dobre – oświadczył, przyszedłszy na drugi dzień, aby mnie pocieszyć i wzbudzić we mnie nadzieję. Miał swój

plan. Chciał pomówić z tymi świadkami, którzy według mego oświadczenia składali fałszywe zeznania, w sumie z sześcioma świadkami. Zamierzał z nimi mówić i mówić, tak długo, aż wreszcie w nich wzbudzi wyrzuty sumienia, obudzi w każdym z nich człowieka, jak się wyrażał. Miał pełne zaufanie do swego planu. Upór niebywały, bo podczas całego procesu regularnie rozmawiał z tymi świadkami i „nadaremnie ich obrabiał”.

– Śmieją się tylko ze mnie – opowiadał. – Ale nie dają za wygraną. Wierzę w człowieka. Pewnego dnia maska opadnie.

Odbyliśmy długą rozmowę. Nie mam jej zanotowanej, więc nie wszystko pamiętam, a tego, co mi zostało w pamięci, nie mogę oczywiście powtórzyć dosłownie. Jestem jednak przekonany, że jego opinia bardziej mnie obchodzi, niż sobie początkowo wyobrażałem. Dlatego spróbuję tu przytoczyć niektóre jego wypowiedzi:

– Wczoraj wolałeś dostać karę śmierci. To nie znaczy, żebym wierzył, że tak naprawdę myślałeś, wspominał o tym, bo wiem, jak demoralizująco podobne myśli działają. Właśnie w tej chwili możesz być pod ich wpływem, lecz to ci nic pozytywnego nie daje. Nic a nic. Wierz mi. Kraty w oknie są tu bardziej pozytywne niż pragnienie kary śmierci. Całe życie w więzieniu jest więcej warte

niż wieczne życie w grobie.

Mniej więcej tak się wyrażał, na pół proroczo, na pół zwyczajnie.

– Nie pamiętam, czy ci mówiłem, że jestem Żydem. Tak, tak, jestem Żydem. Czekala mnie komora gazowa. Ale zanim nadeszła moja kolej, Niemcy skapitulowały. Byłem wtedy muzułmaninem, bardziej martwym niż żywym, jak mówiono. Ale to nieprawda. Byłem bardziej żywy niż umarli, bo nic mnie nie mogło złamać, zawsze znalazło się coś, co mnie podtrzymywało, co nakazywało mi przetrzymać! Przetrzymać! Nigdy się nie poddać! A tym czymś było marzenie, marzenie o lepszym człowieku, marzenie, które obejmowało również moich prześladowców. I to marzenie nadal jest ze mną.

– Aha – mruknąłem. – A teraz chcesz, żebym ja też marzył o lepszym człowieku?

– Tak, dlaczego nie? Dlaczego nie masz zacząć rozmyślać o dobrych rzeczach, zamiast o złych? Dlaczego nie masz myśleć pozytywnie, skoro wiesz, że negatywne myśli do niczego nie prowadzą, najwyżej jeszcze bardziej cię pogębiają? Może tu powiesz, że to nie zależy od woli, pozytywne myśli musiałyby przyjść same przez się. Na to ja odpowiadam: Wykręty, młody człowieku! Człowiek może nastawić swoją wolę! Często właśnie

zaczyna się to od świadomej woli!

– Niech będzie, mogę marzyć – mruknąłem, robiąc odpychający gest ręką.

– Właśnie, właśnie – ucieszył się Stefan. – Możesz marzyć o lepszym człowieku, a gdy wyjdiesz z tego więzienia, a wyjdiesz stąd wcześniej, niż przypuszczasz, wierz mi, miej do mnie zaufanie, nie poddawaj się zwątpieniu, pewnego dnia znów będziesz wolnym człowiekiem, wtedy powinienesz wynieść stąd w sobie to marzenie jako sprawdzian i z jego pomocą ulepszyć swoje życie i cały świat. Trochę ulepszyć. A to będzie ciężka walka, bo masz rację, że w nas wszystkich jest wiele zła, wiemy przecież o tym, na nasze szczęście wiemy, bo w tej świadomości leży nasza nadzieja, już teraz leży w tym nadzieja, już tu, w tej celi. Właśnie tutaj i właśnie teraz powinienesz rozpocząć walkę o lepszy świat.

– Wielkie słowa. Wielkie słowa.

Ale Stefan nie dał się zbić z tropu. Stał przede mną w pozie zapalonego młodzieńca i przemawiał tak, jakby zwracał się nie tylko do mnie, lecz do świata.

– Niniejszym wzywam Bragego Bragessona, aby był człowiekiem!

– Jestem nim przecież.

– To wcale nie wynika samo przez się. Człowiek

jest istotą walczącą o dobro moralne. Kto o to nie walczy, jest tylko dwunożnym, skąpo uwłosionym zwierzęciem, pod względem umysłowym stojącym może trochę wyżej od małpy, choć bez konstruktywnego wykorzystania zdolności umysłowych ta różnica ma niewielkie znaczenie. Tak, tak to jest, i dlatego musisz zacząć marzyć. Ja to robię. W marzeniach ulepszam siebie i innych, marzę o wielkim, ogólnym ulepszeniu. To dodaje sił w życiu.

– Ale jest też nierealnym marzycielstwem.

– Ja wzywam wszystkich, aby marzyli w ten sposób. Takie marzenia poruszają w człowieku sumienie, pozytywne marzenia o samym sobie działają wychowawczo, bo zawierają jakieś zobowiązanie. Rozumiesz? Tak, że nawet gdybyś mógł urzeczywistnić tylko jakiś drobny ułamek własnych marzeń o sobie, to jednak ten drobny ułamek ma ogromne znaczenie w porównaniu z tym, co potrafiłbyś urzeczywistnić bez marzenia, które daje inspirację i zawiera zobowiązania. Dlatego konstruktywna rzeczywistość nigdy nie może się obejść bez konstruktywnych marzeń. Czy pojmujesz, o co mi chodzi? Czy rozumiesz, że to nie jest tylko czcze marzycielstwo?

– Pojmuję, że jesteś staroświecki.

Chwila milczenia.

Po tych słowach coś zaszło; zdawało się, że mój

rozmówca kurczy się w sobie i zastyga w bezruchu. Pomyślałem: „Cóż ty, stary, żądasz wiecznej młodości?”.

W mojej wyobraźni powstał obraz z obozu zagłady: Stefan od wielu godzin stoi na placu apelowym, sam na sam z jakimś oprawcą. Stoi nagi na śniegu i mrozie. Za każdym razem, gdy zadrzy z zimna, spada nań uderzenie pejcza. Wieczorem współwięźniowie znajdują go nieprzytomnego na śniegu. Wnoszą go do środka. Gdy po pewnym czasie odzyskuje przytomność, jakiś metaliczny głos więźnia pyta go: „Czy nadal wierzysz w człowieka?”. A chory odpowiada posępnie: „Tak!”. – „Jesteś staroświecki”, wyrokuje metaliczny głos i od-
dała się.

Fantazuję. Ale to mogło się zdarzyć; tak, nawet sędzę, że coś podobnego musiało się wydarzyć. Wówczas jednak, tuż po wyroku, byłem odrętwiały. Takie słowa jak „komora gazowa” i „muzułmanin” nie robiły na mnie żadnego wrażenia, podobnie jak różne sensacyjne wiadomości nie działają na większość współczesnych ludzi. „Dziewczyna zgwałcona przez trzech mężczyzn” czyta człowiek przy śniadaniu nagłówkę i spokojnie posypuje solą jajko.

– Pleciesz, Stefan, patrzysz na te sprawy jak w spokojniejszych i lepszych czasach. My, młodzi,

nigdyśmy tych czasów nie przeżywali. A chciałbym, możesz być pewien, że chciałbym.

Natychmiast zareagował na ten policzek, który mu wymierzyłem. Uniósł się na palcach i sapiąc z podniecenia, wyciągnął ku mnie oskarżycielsko rękę, która lekko drżała:

– Takiś ty! Chcesz się rozkoszować własną rezygnacją i upadkiem na duchu! Niesłychane! Wprost oburzające!

Zawrzało we mnie, mało brakowało, a rzuciłbym się na tego cherlaka z haczykowatym nosem i szparą zamiast ust, który docinał człowiekowi właśnie niewinnie skazanemu... itd.

– A ty jaki? Jeszcze raz powtarzam, że jesteś staroświecki! – odpaliłem.

Odpowiedź była ponura i dźwięczała w niej groźba:

– Tak, może jestem trochę staroświecki, ale się tym wcale tak bardzo nie przejmuję, gdyż wiem, że musi nadejść dzień, kiedy ludzie znów nauczą się marzyć konstruktywnie! Bo z żadnego koszmaru nie może się zrodzić nic pozytywnego. Dlatego musi nadejść dzień, kiedy staroświeckość i nadzieja znów staną się modne. A jeżeli do tego nie dojdzie, to można powiedzieć „Żegnaj, młodości!”, można się też pięknie pożegnać z kulturą i przyszłością, z całym światem! Bo za progiem będzie

wtedy stało nie wyimaginowane, ale prawdziwe piekło!

Możliwe, że mój specjalny język i rytm słów trochę inaczej zabarwia powyższe wypowiedzi, szczególnie ostatnią.

Ciągle jeszcze nie mogę się rozstać ze swym obrońcą. Zaszczepił we mnie tyle myśli, że zasłużył na poczesne miejsce w tym sprawozdaniu.

Kilka miesięcy po wyroku potrafił we mnie wmówić wiarę w to, że będę uniewinniony. Zaczął się dla mnie nowy okres. Jakbym się zbudził z letargu. Między innymi zacząłem się interesować Stefanem Borovicem jako osobą prywatną.

Twierdził, że niewiele może o sobie powiedzieć. Ożenił się szczęśliwie i ma troje dzieci, które bardzo kocha. Często jednak cierpi na to, co nazwał „problemem snu”. Potrafi na przykład być śmiertelnie zmęczony i mimo to nie zmrużyć oka, mówił z irytacją typową właśnie dla ludzi cierpiących na bezsenność.

– Moje serce zmieniło się w jakieś koło zamachowe. Rano obraca się powoli i ciężko, ale w ciągu dnia, a szczególnie wtedy, kiedy powinienem iść spać, koło się obraca i obraca, coraz szybciej i szybciej, nie daje się zatrzymać i nie mogę, zupełnie nie mogę spać. Rano ciało mam ociężałe i jestem na pół żywy. Próbowałem stosować wszystko:

piwo, spacer, gimnastykę, masaż, proszki nasenne i tym podobne rzeczy, włączając różne babskie sposoby, he, he! Nic jednak nie działało na dłuższy czas. To różne problemy nie dają mi spać, moje własne myśli. No, trudno. Kiedyś przyjdzie sen. Na pewno kiedyś przyjdzie. Tylko przez bezsenność człowiek robi się taki rozdrażniony, i gdyby moja żona nie była cierpliwa... Na szczęście jest. Ale skończmy z tym. Mówmy o czymś bardziej interesującym.

Już wówczas pracował nad swoją książką „Burzyciel, zbrodniarz, twórca” i często korzystał z okazji, aby porozmawiać ze mną o związanych z nią problemach. Najczęściej zaczynało się od tego, że zadawał mi pytania – bo nigdy nie przestał mnie studiować – ale stopniowo zapalał się i sam perorował. Potem zapominał, że szło mu o badanie mojej osoby, natomiast starał się przekonać mnie o słuszności swoich nauk. Nazywał to sprawdzaniem swych poglądów.

Rozmowy nagrywał na taśmę magnetofonową. „Z zasady. Tajemnice mogą się ujawnić zupełnie niespodziewanie”. Z początku denerwował mnie ten aparat, potem się przyzwyczailem. Stał się nieodłączną częścią Stefana, jak jego płaszcz, buciuki i kapelusz.

Pewnego dnia był bardzo niespokojny, przyznał

się do „przeraźliwie bezsennej” nocy.

– Jak tak dalej pójdzie, to z tej bezsenności zamknę oczy na zawsze! – krzyknął ze złością, choć niby żartem. Tej nocy odbierał mu sen inny przestępca, którego miał wkrótce bronić. Musiał się więc znów uciekać do pomocy „małych białych bestii”. Tak nazywał tabletki nasenne, uważając je za „osobistych wrogów”.

Wywiązała się dłuższa rozmowa. Na podstawie taśmy magnetofonowej, którą mi Stefan pożyczył, mogę odtworzyć jej autentyczny przebieg. W pewnej chwili odzywa się mój głos:

– Ja tego nie rozumiem, Stefan. Społeczeństwo osądza przecież złoczyńcę tak, jakby sprawa została załatwiona raz na zawsze.

– Czy rzeczywiście?

– Tak. Uznaje się złoczyńcę winnym, osądza się złego człowieka jako odpowiedzialnego za własną deprawację. Czy to nie znaczy, że problem zła i dobra został rozwiązany, tak że się wie, o czym się mówi?

– Wytłumacz to dokładniej.

– Zgoda. Społeczeństwo uznaje kogoś winnym i czyni to, wychodząc z założenia, że należy mu wytknąć zły postępek. Karcąc zaś człowieka za zły postępek przyjmuje, że mógł go uniknąć, nie przypadkowo, lecz z wyboru, z wolnej woli. Wybór

oparty na wolnej woli, tak się to chyba nazywa. Abyśmy mogli złoczyńcy wytknąć postępek sprzeczny z prawem, musi on w swym działaniu kierować się wyborem opartym na wolnej woli. A skoro możemy go skarcić, możemy go również ukarać.

– A co ty sądzisz?

– Tak właśnie sędzę. To jest logiczne i moralnie słuszne. Czy jest jednak pewne, że możemy go karcić? Nie studiowałem prawa, ale zakładam, że nie zna ono ludzi lepiej niż psycholodzy, filozofowie i pisarze, ci zaś uważają, że ten problem jeszcze nie został rozwiązany. Czy nie mówi tak na przykład szwajcarski psycholog Jung?

– No, co mówi?

– „Największą i najważniejszą dla nas zagadką jest sam człowiek”. „Najwyższym celem rozumu jest dążyć niezamordowanie do coraz głębszego poznania psychiki ludzkiej, chociaż nie można nawet marzyć, że da się to kiedykolwiek osiągnąć”, mówi Jung. A przecież od czasu powstania parapsychologii to... to nie dające się wyjaśnić pojęcie, które nazywamy duszą, zostało naukowo uznane za jeszcze większą tajemnicę. Nieprawdaż, Stefan? Nie jestem głupi. Jestem duży i silny, ale mimo to nie taki głupi.

Stefan uśmiechnął się na moje słowa.

– Zgadzasz się, co? Gdzieś musi więc tkwić jakiś błąd. Społeczeństwo uznaje kogoś winnym, czyli tym samym mówi: Wiemy, co to jest zło, znamy jego główną przyczynę i współdziałające przyczyny, wiemy również, co to jest dusza ludzka. Odkrywaliśmy ją krok po kroku, a na sali sądowej ciągle to robimy z każdym poszczególnym przestępcą, tak że każda sprawa karna stanowi nowy dowód słuszności naszej nauki. Jeżeli uznajemy kogoś winnym, robimy to dlatego, że rozwiązaliśmy frapującą ludzkość zagadkę i wiemy, o czym mówimy. Ale czy naprawdę tak jest, Stefan? Nie. Znamy tylko różne fragmenty człowieka, ale prawda dotycząca części może się przecież okazać kłamstwem, gdy chodzi o całość.

– Czy w de Rechtbank nie odczuwałeś, że się na tobie poznano, choćby w minimalnym stopniu?

– A cóż tam pokazano? Najwyżej jakieś drobne elementy mojej osoby. Ty pokazałeś swoje w odpowiednim świetle, bo starałeś się o to, aby mnie uwolniono. Prokurator pokazał swoje, bo chciał, żeby mnie ukarano. Świadkowie przyszli ze swoimi i rzucało się w oczy, że byli to różni ludzie, znający mnie z różnych stron. Zresztą wielu z nich kłamało. A biegły psychiatra też wystąpił ze swymi fragmentami, ale psychiatria nie rości sobie pretensji do tego, że rozwiązała zagadkę duszy

ludzkiej. Ten mój obraz stworzony w sądzie, czy to byłem ja?

– A czy jest nie do pomyślenia, że na podstawie tych różnych naświetleń twojej osoby sąd mógł wytworzyć sobie prawdziwy obraz?

– Wykluczone! Z sumy błędów i niedokładnych stwierdzeń nie może powstać prawda, chyba przy jakimś niezwykle szczęśliwym zbiegu okoliczności. A kto udowodni, że taki szczęśliwy zbieg okoliczności nastąpił?

– Nikt nie udowodni – odparł Stefan i z jego głosu mogłem wnioskować, że się zapala.

– A jednak społeczeństwo wydaje wyrok. Nie przeczę, że społeczeństwo może mimo wszystko postępować słusznie, ale tego nie wie ani ono samo, ani ty, ani ja. Może wiemy, co?

Podniósł się i spacerował po celi. Ignorując na razie moje pytanie, oświadczył:

– Nauka prawa dąży do tego, aby się w możliwie najwyższym stopniu opierać na doświadczeniu.

– A czy to osiąga?

– W bardzo wąskim zakresie. Ona też stoi w obliczu tej frapującej zagadki, jaką stanowi psychika ludzka.

– A widzisz! – krzyknąłem niecierpliwie. – Ja nie wytykam społeczeństwu, że jej nie rozwiązało. Wytykam tylko to, że społeczeństwo postępuje tak,

jakby ją rozwiązało! A jakie ma do tego prawo?

– Nie ma żadnego prawa, Brage. W najważniejszych punktach nauka prawa opiera się zupełnie wyraźnie na przypuszczeniach i zgadywaniach, a także na tradycjach wyrosłych ze zwyczaju prywatnej zemsty z zamierzchłych, barbarzyńskich czasów.

– I na tej zasadzie uznaje się człowieka łamiącego prawo odpowiedzialnym za jego złe postępowanie?

– Tak. Swoimi zastrzeżeniami w gruncie rzeczy podważasz całą naukę prawa. A to, co powiedziałeś o fragmentach człowieka, jest zupełnie słuszne. Nie wydajemy wyroku na całość, bo przecież jej nie znamy. Osądzamy fragmenty całości, ale nie wiemy nawet, czy te fragmenty, które znamy, stanowią dużo, czy mało w stosunku do reszty tej całości. Innymi słowy, orzekamy karę na podstawie bardzo wątpliwych danych. A w każdym poszczególnym wypadku, kiedy uznajemy kogoś winnym, z filozoficznoprawnego punktu widzenia nadal istnieje uzasadniona podstawa do wątpienia o jego winie, między innymi dlatego, że nasza wiedza o przyczynach przestępczości jest nadzwyczaj skąpa.

– Ale wątpliwość powinna przemawiać na korzyść oskarżonego!

– Tak, to jest piękny frazes. Ale taka wątpliwość z zasady nie działa na korzyść żadnego oskarżonego. Jest to bowiem wątpliwość wynikająca właśnie z tego, że istnieje problem, który nie został jeszcze rozwiązany, a społeczeństwo – jak sam to powiedziałeś – postępuje tak, jakby już się z nim uporało.

– Jak mogło do tego dojść?

– Bo to był najwygodniejszy i najtańszy sposób rozwiązania problemu, a prócz tego odpłacać pięknym za nadobne, czyli złym za złe, leży jak najbardziej w ludzkiej naturze.

– Lecz problem nie został przecież rozwiązany!

– Dla społeczeństwa to jest właśnie rozwiązaniem. Społeczeństwo musi coś zrobić z ludźmi naruszającymi prawo. I robi to tak, że opinia publiczna traktuje tym samym problem jako rozwiązany, prawodawcy zaś i sądy czują się stosunkowo dobrze pod osłoną opinii publicznej.

– Ale jak się w takim razie ma sprawa ze skazanymi! Biorąc pod uwagę, że nie są winni, choć popełnili czyn sprzeczny z prawem i przyznali się do tego! Przecież w ich wypadku karanie jest niewłaściwe!

– Jest w naszych czasach trochę ludzi, którzy tak sądzą. Głoszone przez nich opinie nie pozostają całkiem bez echa. Pojawiają się coraz to nowe

poglądy, które rzucają cień wątpliwości na nasz system karny. Toczy się dyskusja nad pojęciem winy i odpowiedzialności, już widzimy niekiedy jej rezultaty. W postępowaniu z ludźmi naruszającymi prawo kara zupełnie wyraźnie ustępuje miejsca metodom dyktowanym przez pedagogikę, psychologię i medycynę. Są zresztą tacy, którzy chcą obalić cały system penitencjarny i zastąpić go leżeniem.

– Fantastyczne!

– Jeszcze nie. Początek jest trudny, a opór wielki. Najgroźniejszym przeciwnikiem jest wzgląd na ogólnozapobiegawcze znaczenie kary oraz opinia publiczna.

– Opinia publiczna? Co ją to u licha...

– O tak, opinia publiczna wierzy, że musi być odwet i winny musi odpokutować, no i widzisz, większość prawników jest zdania, że sędziowie i prawodawcy muszą to brać pod uwagę; bo kara umacnia wśród ludzi pojęcia moralne, odstrasza i wychowuje, jest więc dobrym środkiem prewencji generalnej. To są bardzo ważne argumenty, choć z drugiej strony brak dowodu na to, że obalenie kary, całkowite lub częściowe, prowadzioby do załamania moralności. Tak się tylko przypuszcza, a przecież swego czasu przypuszczano również, że ziemia jest płaska jak naleśnik; tak przedstawiała

się ludziom, którzy na niej stali. Zresztą większość prawników opowiada się za kompromisem między karą a leczeniem.

– Dzisiaj nie karze się umysłowo chorych.

– Tak, nie pociąga się ich do odpowiedzialności karnej. Lecz psychiatria rozwija się i wygląda na to, że równoległe z nią rozszerza się też pole działania dla diagnostyki chorób psychicznych. Odpowiedź na pytanie, ilu ludzi należałoby dziś uznać za chorych umysłowo, zależy więc od postępu psychiatrii. Mamy prawo przypuszczać, że wielu sprawców, których dziś karzemy, w przyszłości będzie uznanych za chorych umysłowo. Zamiast kary będą podlegać leczeniu.

– Ho, ho! Stefan, może dojść do tego, że się okaże, iż wszyscy ludzie naruszający prawo cierpią na jakieś zaburzenia psychiczne!

– A tak, może się okazać, że nie burzyciel porządku prawnego jest moralnie odpowiedzialny, lecz całe społeczeństwa.

– W takim razie społeczeństwa przez wieki maltretowały chorych ludzi.

– Masz rację, tak właśnie społeczeństwa przez wieki robiły i nadal robią, Brage. Kara jest największą hańbą ludzkości. Jest barbarzyństwem i bez względu na okoliczność mija się z celem.

Wtedy roześmiałem się zadowolony i krzykną-

łem:

– Hura! W wypadku mordercy też? Co z mordercami? Czy wobec mordercy również mija się z celem?

– Słuchaj, Brage, dla mnie nie ma nic bardziej bolesnego i absurdalnego, jak słyszeć, że oskarżony przyznaje się do winy.

Uśmiechnął się blado:

– Nie boli mnie, gdy zabójca, który świadomie zabił, nie wypiera się swego czynu. Gdy jednak przyznaje się do winy, mam takie wrażenie, jakby kaleka podniósł w górę kule, uderzył się po bezwładnych nogach i krzyknął: „Tak, jestem winien, moje nogi są bezwładne i ja jestem winien, że nie mogę się poruszać bez kul!”.

Gdy to powiedział, zaśmiałem się niepewnie. Stefan patrzył mi uporczywie w oczy.

– Sprawiedliwość – ciągnął dalej – to bzdura! Równie mało ma do czynienia na sali sądowej, co w szpitalu. Bo każdy złoczyńca jest osobnikiem chorym i karanie go jest równie niesprawiedliwe, jak karanie garbatego za to, że jego garb brzydko wygląda. Ale cóż! Większość się z tym nie zgadza. A ja im odpowiadam: W takim razie złoczyńca jest tak samo zdrowy na umyśle, jak wy? Czy też może myślicie, że choroby umysłowej nabawił się z własnej i nieprzymuszonej woli, że jest za nią odpo-

wiedzialny i za to powinien ponieść karę? Nie potrafią mi na to uczciwie odpowiedzieć. Gdy przeczą twierdzeniu, że człowiek naruszający prawo jest osobnikiem chorym, podają tym samym w wątpliwość każdy normalny stan duchowy, a to równa się uznaniu, że normalność jest absurdem. Mówiąc zaś, że taki osobnik sam wybrał chorobę, wikłają się sami w sieci sprzeczności. Bo twierdzenie „naruszający prawo był zdrowy wtedy, gdy wybrał chorobę” musi nieuchronnie kolidować z twierdzeniem „żaden zdrowy człowiek nie wybiera choroby”. Jaskrawy paradoks polega na tym, że chcieliby, aby wilk był syty i owca cała. Nie chcą być podobni do złoczyńcy, ale chcą, aby on był podobny do nich, zanim postanowi nie być do nich podobnym; jeszcze gorzej, bo – aby uzasadnić odpowiedzialność – człowiek naruszający prawo musi przecież być do nich podobny nie tylko przed dokonaniem swego wyboru, lecz również w chwili jego dokonywania. Mówi się, że wybiera z własnej i nieprzymuszonej woli. Niech więc ma za swoje. Musi ponieść konsekwencje swego wyboru. A potem, gdy konsekwencje się zjawiają, przez jakiś hokus-pokus okazuje się nagle odmienny od nich. „My jesteśmy porządnymi obywatelami, my nie jesteśmy złoczyńcami”... Cha! Cha! Cha! – zaniósł się Stefan przeciągłym śmiechem.

Nagle jednak znów spoważniał:

– Ale nie ma się z czego śmiać. To jest tragiczne. Człowiek wykraczający przeciw prawu jest przecież osobnikiem z nas wszystkich najbardziej chorym, a społeczeństwo nie ma jeszcze żadnego prawdziwego lekarstwa na jego chorobę. Oczyma wyobraźni widzę idealne społeczeństwo przyszłości, w którym nie będzie więzień, tylko kliniki psychiatryczne, szpitale i szkoły, nie będzie strażników więziennych, tylko lekarze, pielęgniarze i pedagodzy, nie będzie sądów, tylko organy stwierdzające fakt naruszenia prawa i przekazujące sprawców do zakładów leczniczych, gdzie okres pobytu będzie uzależniony od opinii lekarzy. No tak, to są zwykłe marzenia, oczywiście marzenia, ale jedna rzecz jest prawdziwa: Człowiek naruszający prawo jest chory, jest jednostką wymagającą leczenia, a równie dobrze możemy powiedzieć, że jest klęską żywiołową! Tak, podobną katastrofą jak lawina, trzęsienie ziemi, burza i piorun! – ostatnie słowa wykrzykiwał, biegnąc w koło po celi.

Ogarnęło go wielkie podniecenie.

– W swojej książce „Burzyciel, zbrodniarz, twórca” przedstawiłem projekt systemu leczniczego. Nie jest on zresztą czymś nowym i rewelacyjnym. Inni też coś podobnego proponowali. Szwedzki

psychiatra Olof Kinberg twierdzi na przykład, podobnie jak ja, że człowiek naruszający prawo jest jednostką nienormalną, chorą i że kara jest czymś barbarzyńskim i prymitywnym, i jako taka powinna być zniesiona. Ale mój system leczenia jest częścią szerszej nauki. Ja nie dążę do wyeliminowania winy i odpowiedzialności. Bo wina istnieje. Ogromna liczba ludzi winnych chodzi po ziemi! – grzmiał Stefan.

– Hitler! – krzyknąłem. – Co sądzisz o Hitlerze?!

– Klęska żywiółowa! Katastrofa! Katastrofa rozumu ludzkiego. Hitler był niewinny, nawet zanim stał się wariatem w zwykłym znaczeniu tego słowa – był niewinny jak dziecko w łonie matki. Cała jego kariera to historia choroby, można z niej odczytać życiorys umysłowo chorego geniusza propagandy, wariata nadającego się do szpitala. Każdy morderca jest chory umysłowo. Bo jakże go, na miłość boską, inaczej nazwać, czy może normalnym człowiekiem? Każdy przestępca jest umysłowo chory! Chory, powtarzam! Diagnostykę chorób umysłowych trzeba poszerzyć tak, aby nią objąć wszystkich sprawców.

– A kto jest odpowiedzialny za drugą wojnę światową, jeżeli nie Hitler, Göring, Goebbels, Himmler...

– Ci, którzy zachowali się biernie! – wykrztusił

Stefan zdławionym z wściekłości głosem. – Ci, którzy nie kiwnęli nawet palcem, aby zapobiec klęsce zwanej hitleryzmem! Ci, którzy się biernie przyglądali! Bo mój obrachunek wygląda tak: Sprawca jest aktywny i niewinny. Kto stara się zapobiec lub przeciwdziałać naruszeniu prawa, jest aktywny i niewinny. Kto zaś tylko się przypatruje, jest bierny i winny. Nie ma innych winnych jak tylko ci, którzy zajmują bierną postawę.

Trzy razy powtórzył Stefan słowo „winny”, robiąc przy tym obu pięściami taki ruch, jak gdyby uderzał w stół.

Nie zrozumiałem jego wywodu i spytałem:

– Jeżeli wszystko dobre jest błogosławieństwem natury, a całe zło klęską żywiolową, wtedy pojęcie sprawiedliwości staje się pustym dźwiękiem. Bo ten, kto naruszył prawo, musi też ponosić za to winę, inaczej nie może być mowy o sprawiedliwości.

– A czy ja powiedziałem, że jest mowa o sprawiedliwości?

– Powiedziałeś...

– Ja twierdzę, że na świecie nie ma żadnej sprawiedliwości! Ani w sali sądowej, ani poza nią!

– Mój Boże, przecież powiedziałeś, że ludzie bierni są winni!

– Nie znamy takiej formy sprawiedliwości, któ-

ra pozwalalaby określić stosunek między ludźmi o biernej postawie a powstałą szkodą. W ich wypadku nie wchodzi też w rachubę ani zadośćuczynienie, ani pokuta. Są zresztą w większości, a karanie większości jest praktycznie niemożliwe.

– Mówisz przecież, że bierni są winni. Czy istnieje wina bez sprawiedliwości?

– Oczywiście. Właśnie tak, Brage. Istnieje wina i odpowiedzialność, ale nie istnieje sprawiedliwość.

– Eee. Dla mnie to brzmi jak chińszczyzna.

– No, to wpierw zapomnij na chwilę o pojęciu sprawiedliwości. I pomyśl o tym, co powiedziałem: że wyłącznie bierni są winni.

– Aż mi łeb pęka od myślenia, ale nie mogę skapować, w jaki sposób ktoś, kto nie popełnił żadnego przestępstwa, może ponosić winę tak, jakby je popełnił.

– Wspaniale. Ja nie powiedziałem, że on jest bezpośrednim sprawcą naruszenia prawa. Nie powiedziałem również, że on jest winien naruszeniu prawa, czyli że ponosi winę za naruszenie prawa.

– Ale powiedziałeś, że jest winny, Stefan.

– Tak, człowiek o biernej postawie ponosi winę, nie za naruszenie prawa, ale za sprawcę i za czyny tego sprawcy.

– Nikt więc nie ponosi winy za żadne przestęp-

stwo?

– Ależ tak. Oczywiście. Ludzie o biernej postawie są również bezpośrednio odpowiedzialni za jedyne prawdziwe przestępstwo na tej ziemi: bierność. Każdy z nich ponosi winę za to, że nie zapobiega naruszeniu prawa albo drogą bezpośredniej interwencji, albo drogą pomocy udzielanej potencjalnemu sprawcy, albo wreszcie odpowiednim przeciwdziałaniem, na przykład pomocą udzielaną chorym, biednym, dotkniętym przez los, głodującym, itp.

– Jeżeli jednak ktoś popełnia morderstwo, czy twoim zdaniem morderca nie odpowiada za to morderstwo? Czy nikt więc nie ponosi za nie winy?

– Nie, nikt nie ponosi winy za dane morderstwo. Ale człowiek o biernej postawie ponosi winę za fakt morderstwa, a więc ponosi winę za swoją bierność.

Nadal nic nie rozumiałem:

– Jeżeli ktoś, kogo normalnie nazywa się przestępcą, nie jest przestępcą, lecz człowiekiem chorym i wymagającym leczenia, dlaczego również tego, kto twoim zdaniem jest jedynym prawdziwym przestępcą, czyli człowieka biernego, nie można uznać za klęskę żywiołową?

Stefan uśmiechnął się łagodnie:

– Dlatego, mój przyjacielu, bo klęska żywiołowa

jest działaniem.

– To może bierność jest podobną katastrofą umysłu ludzkiego, tak samo dotkliwą.

– Bierność nie jest działaniem!

– Tak, to rozumiem.

– Bierność jest przyglądaniem się czemuś. Przyglądaniem się ze świadomością, że zło jest w pobliżu, bo taką świadomość mają wszyscy ludzie biernie nastawieni. Ta ich obserwacja nie prowadząca do żadnej akcji, ona właśnie stanowi winę i prawdziwą zbrodnię.

– Znów nie rozumiem.

– Cierpliwości!

– Dobrze ci mówić, ale mnie diabli biorą na myśl, że ten pionek, który nic nie robi, ani pozytywnego, ani negatywnego, ma być przestępcą!

– Spokojnie, spokojnie! Posłuchaj raz jeszcze i nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Ja twierdzę, że człowiek bierny jest w stanie wybrać dobro, bo nie jest opanowany przez zło i jeszcze nie jest natchniony przez dobro. Skoro nie wybiera dobrego, popełnia jedyne przestępstwo możliwe na tym świecie. Nie jest ogarnięty siłą niszczenia, bo nic nie burzy przez działanie, nie jest również narzędziem ducha twórczego, bo nie prowadzi żadnej konstruktywnej akcji. Nie jest ani twórcą, ani burzycielem, to zaś, że nie jest burzycielem, nie przy-

nosi mu żadnej chwały. Przy niszczeniu człowiek nie kieruje się wyborem, jest do tego zmuszony, nie jest więc jego zasługą, że ktoś nie jest niszczy-cielem. Fakt, że nim nie jest, oznacza tylko tyle, że ma szczęście. Lecz fakt, że ktoś nie jest twórcą, oznacza, że jest winien. Bo tworzenie może być wynikiem wyboru. W przeciwieństwie do zła, dobro nie upaja, nie zatruwa, a zwłaszcza nie kusi, w dodatku wymaga samozaparcia i wytrwałości. Nic nie zmusza człowieka do akcji konstruktywnej. Aby być twórcą, trzeba świadomie i jasno wybrać drogę tworzenia. Ktoś może się zmusić do takiego wyboru, ale nigdy, przenigdy nikt nie może się zmusić do złego, impuls musi przyjść zawsze z zewnątrz. I w tym tkwi istota sprawy. Możliwość wyboru. Kto nie ma możliwości wyboru, ten nie ponosi odpowiedzialności i winy, bo chociaż nie mogę tego udowodnić, za sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem uważam pogląd, że człowiek nie opanowany jeszcze przez siłę zniszczenia, to znaczy nie zatru-ty, może wybrać to, aby się dać zatruć! To jest niemożliwe! Wykluczone! Wybranie złego jest nie tylko absurdalne, ale wręcz niemożliwe, bo nikt nie zrobiłby sobie takiej krzywdy; człowiek jest zbyt wielkim samolubem, aby dokonać takiego wyboru. Upośledzony nie kieruje się rozumem. Przebaczenie mu więc, bo nie wie, co czyni. Dlatego twierdzą, że

człowiek naruszający prawo działa i jest niewinny, i że ten, kto usiłuje go powstrzymać i pomóc mu w tym, aby nie naruszył prawa, albo w inny sposób wpłynąć nań moralnie, ten też działa i jest niewinny. Jest twórcą! Naruszający prawo jest burzycielem! A dopiero człowiek o biernej postawie jest zbrodniarzem! Większość tych, którzy stawiają zaniechanie ponad działaniem, to przestępcy, zbrodniarze!

Pot zrosił Stefanowi czoło. Ja siedziałem jak naelektryzowany.

– Ale pamiętaj, Brage. Ja wiem, że nie potrafię udowodnić niewinności burzyciela, bo przecież nie rozwiązałem zagadki psychiki ludzkiej. Nikt jednak inny na świecie też jej nie rozwiązał. Utrzymuję więc, że wątpliwość powinna przemawiać na korzyść oskarżonego, a w tej dziedzinie jest wiele uzasadnionych podstaw do wątpliwości, tak wiele, że ujawniają się bezpośrednio lub pośrednio prawie we wszystkich nowoczesnych systemach prawa karnego. Większość z nich przewiduje, że naruszający prawo może odpowiadać karnie tylko wtedy, gdy posiada określony stopień rozeznania i zrównoważenia. Moim zaś zdaniem określony stopień rozeznania świadczy właśnie o czymś przeciwnym, o określonym stopniu braku rozeznania. Dla mnie ten układ jest absurdalny. Albo

człowiek jest zdrowy na umyśle i zrównoważony, albo nie jest.

– Człowiek może więc stosować wolną wolę wobec wszystkiego z wyjątkiem złego?

Spacerując bez przerwy, Stefan perorował dalej:

– Psychologia twierdzi dziś, że wola jest znacznie bardziej ograniczona, niż pierwotnie przypuszczano, co innymi słowy oznacza, że jest ograniczona, ergo nie może być wolna. A Borovic jest zupełnie pewien, że każdy człowiek, który nie znajduje się w mocy złego i nie cierpi na żadne znaczniejsze zaburzenia umysłowe, ma absolutnie wolną wolę w wyborze między postawą bierną i twórczą.

– Ale w takim razie nie można sobie życzyć zła?

– Nie, to jest absurd! Działanie przestępcze możliwe jest tylko przy zaniku świadomości, a taki zanik wyklucza wybór. Człowiek, który oświadcza, że zabije pana X., i potem to robi, wcale tego nie chciał, bo aktualnie nie odczuwał istnienia innej alternatywy. Gdyby odczuwał, nie popełniłby morderstwa. A teraz weźmy ludzi biernych. Nimi rządzi zupełnie inna świadomość. Nie odczuwają żadnego nacisku, zdają sobie jasno sprawę z alternatywy: złe czy dobro. Tacy ludzie mówią: „Wiem o tym, ale cóż ja mogę zdziałać. Sam jeden niewiele pomogę”. Albo tak: „Wiem, że na świecie jest wiele nędzy, ale nie mam czasu zaj-

mować się naprawą stosunków. Mam dość swoich kłopotów”. Wszystkim ludziom o biernej postawie wspólna jest świadomość, że gdyby tylko chcieli, mogliby przysłużyć się dobrej sprawie. Złoczyńca natomiast jest człowiekiem opętanym!

– Ale powiedzmy, Stefan, że jakiś człowiek po popełnieniu morderstwa zgłasza się na policję, przyznaje się i żałuje swego czynu. Czy nie robi tego z wyboru i wolnej woli?

– Owszem, ale kto zgłasza się na policję? Czy to ten sam człowiek? Czy morderca? Nie. Zgłasza się ten, który nie chciałby popełnić morderstwa. A więc inny osobnik, nieopanowany przez zło, umiejący dostrzec alternatywę, skłonny do naprawienia tego, co zniszczył, gdyby mógł to uczynić. Dwaj zasadniczo różni ludzie.

– W takim razie złoczyńca nie może chcieć tego, aby stać się lepszym człowiekiem?

– Nie. Bo biedak nie może tego pragnąć, póki się nie stanie lepszy, czyli po fakcie. Wtedy może chcieć tego, aby być jeszcze lepszym.

– Ale co powoduje, że zło przestaje mieć dominujący wpływ na człowieka?

– Powiedziałem już, że nie rozwiązałem zagadki duszy ludzkiej.

– Ale co powoduje, że człowiek stacza się na drogę przestępstwa? Według ciebie jest to zło. Coś, co

nie daje się wytłumaczyć.

– Tak, i obstaję przy tym. Nie ma bowiem żadnych recept. Nikt nie może wyjaśnić, co powoduje, że jeden człowiek w określonych warunkach wchodzi w kolizję z prawem, podczas gdy inni w takich samych warunkach pozostają bierni albo też są lub stają się ludźmi konstruktywnymi. Ale zwróć uwagę na taką różnicę: we wszystkich wypadkach łatwo jest określić, co powoduje, że człowiek przyjmuje postawę bierną lub konstruktywną. Mój przyjacielu, czy nie sądzisz, że wujaszek Stefan wynalazł dość trafne określenie na zjawisko łamania prawa: klęska żywiołowa?

– A czy to nie pociąga za sobą ubezwłasnowolnienia człowieka?

– Gdy chodzi o złoczyńców – oczywiście! Ale złoczyńcy są w mniejszości. Większość to ludzie bierni. Wskutek tego ja chcę wzmocnić rolę prawną większości właśnie przez to, że przerzucam odpowiedzialność ze znikomej mniejszości na ogromną większość.

Stefan nadal krążył w kolo i był tak blady, że poprosiłem go, aby poszedł do domu, położył się i odpoczął. Ale nawet mnie nie słyszał. Jak w ekstazie uczeplił się nowej myśli:

– Tak, burzyciel jest niewinny, a nikt o tym nie wiedział lepiej niż najmądrzejszy człowiek w hi-

storii świata, Jezus z Nazaretu. Całe życie Jezusa świadczy o zrozumieniu, że burzyciel jest ofiarą, a jego postępek klęską żywiołową. On właśnie powiedział, gdy go krytykowano za to, że jadł i pił z grzesznikami: „Zdrowi nie potrzebują lekarza, tylko cierpiący”. I On też powiedział: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią”. A łotrom, którzy wisieli na krzyżach obok, Jezus oświadczył: „Dziś ze mną będziecie w raju”.

– Pomyliłeś się, bo Chrystus powiedział tak tylko do jednego łotra, tego, który żałował, a nie tego, który bluźnił.

Stefan odpowiedział na to z bezwzględnyim przekonaniem – i logiką:

– To jest zniekształcenie historii dokonane przez zbrodniarzy, tych ludzi o biernej postawie, którzy nie chcą być pociągani do odpowiedzialności. Jestem przekonany, że Chrystus musiał tak powiedzieć do obydwu łotrów, bluźniącego i żałującego. I przede wszystkim do bluźniącego, bo przecież jego słowa „Zdrowi nie potrzebują lekarza, tylko cierpiący” świadczą, że On wiedział, iż z nich wszystkich najbardziej cierpiał ten, który potrafił bluźnić nawet w męce na krzyżu.

Potem Stefan opowiedział mi o trzech krzyżach, które ukazały mu się w ciemności pewnej bezsennej nocy w obozie koncentracyjnym. Leżał wtedy

skatowany przez oprawców z SS, a gdy krzyże powoli się zbliżały, szepnął sam do siebie: – Że też nie wiedziałem tego przedtem – i cieszył się nowym poznaniem. – Przecież Nazarejczyk wisiał na Golgocie ukrzyżowany między dwoma łotrami, a to nie był przypadek. To było samo Zdarzenie, w nim ucieleśniał się symbol tajemnicy. – Wtedy rozumiał związek pojęciowy: Łotr, Chrystus, Łotr. Burzyciel, Twórca, Burzyciel. Niewinny, Niewinny, Niewinny. I wtedy rozumiał też głębokie znaczenie słów: „Dziś ze mną będziecie w raju”.

Aby pojąć, jak doszło do tego widzenia, trzeba pamiętać, że Stefan był wychowany w wierze żydowskiej. Miał swego Boga, nie Chrystusa. Ale w obozie koncentracyjnym przeszedł kryzys, w którym stracił wiarę z lat dziecińczych i poprzez własne cierpienia, zadawane rękoma burzycieli, dostrzegł człowieka, którego istnieniu przeczyła ta dziecięca wiara: Chrystusa. Ponieważ jednak pojęcie Boga zniknęło z jego świadomości, a w każdym razie nie wierzy już w biblijną postać Boga, i ponieważ z dziecięcej wiary wyniósł przekonanie, że Chrystus nie jest synem Boga, również obecnie w to nie wierzy. Wierzy w Chrystusa-człowieka i w wieczną samotność człowieka, a wszystko, co się kryje za Zdarzeniem, nazywa Tajemnicą, i nigdy nie określa tego innym słowem.

Bierze to, co mu odpowiada, postanawia „Boga pomniejszyć, a człowieka wywyżżyć” i mówi: Nazarejczyk był po prostu synem człowieczym, nikiem innym, tylko zwykłym śmiertelnym człowiekiem, synem zwykłego śmiertelnego człowieka. Jego ojcem był Józef, który zapłodnił Marię, a sam Jezus nie dokonał żadnego cudu oprócz tego, że był wielkim człowiekiem, i wcale z martwych nie wstał. Cztery Ewangelie zostały napisane w siedemdziesiąt albo w sto lat po urodzeniu Chrystusa przez ludzi pragnących tego samego, co On: ulepszyć religię, zbliżyć Boga do człowieka, uczynić go bardziej zrozumiałym; pisali i nauczali w tym celu, aby stworzyć i utrwalić wiarę w niego. Ale Chrystus był niewątpliwie największym człowiekiem świata. Jego wielkość polegała na zdolności wnikiwania w duszę ludzką i w przyszłość, czytania w myślach innych ludzi, wykorzystania sugestywnej siły, na właściwym ustosunkowaniu się do złoczyńcy, wreszcie na bezinteresownym pragnieniu udzielenia ludzkości pociechy i odkupienia. W tym celu ogłosił się synem Boga i odważnie, choć nie bez strachu, spojrział w oczy śmierci na krzyżu, bo genialnym instynktem przewidział, że zarzut bluźnierstwa doprowadzi do ukrzyżowania, a ono uczyni go w ludzkiej świadomości wielkim Pocieszycielem i Odkupicielem, synem Boga. Mu-

siał konsekwentnie poddać się temu, co zaszło na Golgocie. Uczynił to. I dlatego, nie będąc synem Boga, mógł z przekonaniem i czystym sumieniem powiedzieć, że cierpiał za nas wszystkich.

Z kolei Stefan sformułował inną fascynującą myśl:

– Właśnie to, że Chrystus nie był synem Boga, lecz zwykłym, śmiertelnym człowiekiem, który chciał pod postacią iluzji dać pociechę cierpiącemu burzycielowi, cierpiącej ofierze i cierpiącemu twórcy, który nazywał „Ojcem” tego Boga, w jakiego może wierzył, właśnie to podnosi mój szacunek dla jego dzieła. To dodaje mu jeszcze wielkości. Bo mnie się zdaje, że mniej znaczy dać się ukrzyżować wtedy, kiedy się wie, że jest się synem Boga. Nazarejczyk wiedział, że jest tylko człowiekiem, ale sam nie potrafił wyjaśnić, dlaczego powstało to sprzeczne pojęcie syna Bożego i syna człowieczego, i dlatego Biblia może mówić, że ogarnął go strach przed śmiercią – tak, strach przed śmiercią! – gdy oczyma duszy ujrzał, że wkrótce nadejdzie Judasz i złoży na jego czole zdradziecki pocałunek: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”, lecz również człowiekiem, który przewyciężył strach i odegrał swą rolę do końca. Słowami „Ojcze, w twoje ręce oddaję ducha mego” zakończył swą miłosierną misję wobec bliźnich żyjących we

wszystkich czasach, a tym samym kurtyna opadła po największej tragedii wszech czasów. Cóż za osiągnięcie! Jaka siła ducha! Jaki instynkt! I to wszystko tylko człowiek! Tylko człowiek! On właśnie dał mi wiarę w człowieka, on, a nie żaden Bóg i nie żaden Duch Święty, lecz on, ten duch ludzki, który miał dość odwagi i siły, aby ucieleścić marzenie o lepszym człowieku.

Koło się zamknęło.

Pozostaje tylko taki urywek. Ja pytam:

– Stefan, co byś zrobił, gdyby mimo wszystko nauka pewnego dnia udowodniła, że jednak na podstawie wolnej woli można wybrać zło?

– Taki dzień jest zupełnie nieprawdopodobny. Wydaje się raczej, że nauka gromadzi materiały do przeciwnego wniosku. Dlatego kiedyś, może za setki lat, na pewno nadejdzie dzień, kiedy nauka uzna każdego człowieka wykraczającego przeciw prawu za chorego.

– Ale co byś zrobił, gdyby jednak...

– Wtedy nie mógłbym już uważać burzyciela tylko za klęskę żywiołową. Musiałbym spojrzeć w oczy przemożnemu złu, które tkwi w człowieku. I jestem bardzo, bardzo szczęśliwy, że tego nie muszę robić – zakończył Stefan, patrząc uporczywie w przestrzeń.

W sądzie Stefan posługiwał się pojęciami, w które sam nie wierzył nawet w minimalnym stopniu. Niejednokrotnie musiał się bardzo pilnować, aby tego nie zdradzić. Ale w trakcie procesu, który później zakończył jego obrończą karierę, nie potrafił się upilnować. Nieskończony szereg bezsennych nocy sprawił, że stracił panowanie nad sobą, a gazety doniosły, że mecenas Borovic doznał przejściowo zaburzeń psychicznych, których szczytowym punktem było powtarzanie słów: „Dziś ze mną będziecie w raju”.

To zdarzyło się w tym roku, całkiem niedawno, a więc pięć lat po moim procesie, teraz zaś Stefan pisze: „Ciężar spadł mi z serca, czuję się w swoim domu, w otoczeniu książek i rodziny tak, jakbym się znalazł w raju. Wszyscy przesyłamy ci pozdrowienia i prosimy, abys się zlitował nad samym sobą. Drogi wielkoludzie, czy zawsze musisz toczyć wewnętrzną walkę? Czy nie możesz dać chwili odpoczynku swemu zapalonemu mózgowi? Napisz, jak mogę ci pomóc. Bo przecież Borovic może pomóc. Twój Stefan”.

Stefanie, Stefanie, skąd to się bierze? Widzę ją, widzę ją wyraźnie, niedaleko od Nordablaas.

Żeby tylko wyzdrowiał.

Muszę wyzdrowieć. Muszę być znów mocny jak olbrzym. Bo tego chcę.

Cicho...

Jeszcze słyszę wycie śnieżnej wichury. Jeszcze szaleje zadymka. Kryształowy śniegu, rzucający potężną siłą wiatru, kłują mi twarz tysiącem szpilek, jeszcze teraz to czuję. Palcami dotykam skóry, i czas się zatrzymuje.

Jestem... zatrzymywaczem czasu.

Jeszcze, jeszcze. Dźwięczy mi w uszach: zbyt wiele pozostało nierozwiązanych zagadek. Zbyt wiele wokół mnie ciemności.

Ale spójrzmy: co właściwie powiedział norweski psychiatra doktor Hans Jörgen Andersen Saestad, gdy pięć lat temu wystąpił w de Rechtsbank?

Badając Bragego Bragessona, zwracałem specjalnie uwagę na możliwość choroby umysłowej. Nie stwierdziłem jednak żadnych obciążeń dziedzicznych, żadnej predyspozycji maniakalno-depresyjnej lub schizofrenicznej, jak również żadnych skłonności organicznych. Można wykluczyć zarówno chorobę umysłową jak i stan zamroczenia w momencie dokonania zarzucanego mu czynu. Oskarżony znajdował się wprawdzie do pewnego stopnia pod wpływem alkoholu, w chwili gdy Fritz Heilmann zakończył życie, ale poziom alkoholu we krwi był tak niski, że to nie mogło osłabić zdol-

ności rozeznania.

Poddanie oskarżonego gruntownemu badaniu psychiatrycznemu nie było rzeczą łatwą. Tylko sporadycznie wykazywał on chęć współpracy. Utrudnione było również zdobycie informacji z innych źródeł. Rodzice oskarżonego nie żyją, bliźszych krewnych ma niewielu, a i ci mieszkają na wsi jako rolnicy i rzemieślnicy i mało mieli z nim styczności; właściwie mogą o nim powiedzieć niewiele więcej niż to, co każdy Norweg interesujący się sportem wie o nim jako o zawodniku w biegach narciarskich. Ogólnie mówiąc, niewielu ludzi przyznaje się do tego, że go zna bliżej.

Większość tych, którzy się na ten temat wypowiedzieli, można podzielić na cztery grupy. Pierwsza grupa twierdzi, że Bragesson ma pogodne usposobienie, umie się wesoło i dobrze bawić w towarzystwie. Druga, że ma dziwne usposobienie, jest nieśmiały i zamknięty w sobie. Trzecia, że jest postrzelony. Wreszcie czwarta grupa widzi w nim te wszystkie cechy równocześnie. Szczególnie koleździ sportowcy wypowiadają się o nim pozytywnie, uważają go za energicznego, równego i dobrego kompana. Dodawali jednak, że potrafi być od czasu do czasu trochę dziwny, jakby nieobecny duchem lub głuchy.

O ile mogłem stwierdzić, o żadnej z tych grup

nie można powiedzieć, że zna oskarżonego blisko. Również jego dawni nauczyciele i przełożeni nie mogli nic dodać do tego, co już wymieniłem. Odnosi się wrażenie, że Bragešson rzadko zwierzał się innym ludziom.

W stosunku do mnie miał się stale na baczności. Często odpowiadał: „To nie pańska sprawa”, „Nie będę się przed panem wywnętrzał”, „Czego się pan doszukuje w moim życiu seksualnym?”, „Niech pan się zainteresuje czym innym. Na przykład kwiatami, panie psychiatro”. Ma opinię człowieka prawdomównego. Ja również nie złapałem go na żadnym świadomym kłamstwie. Raczej wybierał taką właśnie odpowiedź, że dana sprawa nie powinna mnie obchodzić.

Czasami bywał rozmowny i zalewał mnie potokiem słów, ale poruszał wtedy przeważnie tematy, które nie dotyczyły jego osobiście. Te właśnie wypowiedzi można scharakteryzować jako ekstatyczne i w pewnym stopniu zdradzające brak opanowania. Nie dostarczyły mi one jednak żadnych danych do rozwiązania zagadki psychologicznej, którą kryje ten wypadek. Chętnie wypowiadał swoje zdanie na jeden temat; dotyczyło to jego poglądów na nasze czasy, na pewne narody i typy ludzkie. Zademonstrował przy tym głęboką pogardę, a równocześnie zdolność władania słowem, którą mógł-

bym określić jako niepozbowioną elementów artystycznych. Potrafi prowadzić rozmowę obrazowo i nastrojowo, dobierać soczyste i dosadne słowa.

Oskarżony nie czytał pism Oswalda Spenglera, ale podziela – na swój sposób – jego przekonanie, że kultura zachodnioeuropejska znajduje się w okresie rozkładu pod wpływem przerostu cywilizacji. Jego zdaniem przyczyna tkwi w dwu wojnach światowych, które podziały destruktywnie na życie duchowe ludzkości. Wyciąga też natychmiast wnioski i twierdzi: „Ponieważ Niemcy wywołały obie wojny światowe, przeto wszyscy Niemcy muszą ponosić odpowiedzialność nie tylko za śmierć milionów ludzi, ale też za upadek kultury dwudziestu wieków”. Obciąża zatem odpowiedzialnością każdego Niemca. Takie myśli mogą go wciągnąć w wir pasji i rozgoryczenia. Czuje się osobiście zaangażowany w ten problem i mówi: „Upadek kultury grozi nam wszystkim, nawet tym, którzy nie wiedzą, co to jest kultura”.

Oskarżony potrafi czasem rozumować z zaskakującą jasnością, a gdy coś go dostatecznie zainteresuje, umie się silnie skoncentrować i zmobilizować dość dużą wiedzę. Gdy jakiś jego argument w dyskusji spotyka się z uznaniem innych, reaguje nie bezwstydnym triumfem, jak to określił pan prokurator, lecz normalnym zadowoleniem.

Okrzyki w rodzaju: „Nie jestem w ciemną bity”, „Kto mnie nie docenia, ten głupio robi”, „Udało się. Brawo, Brage”, świadczą o niewątpliwej dumie, bardzo dziecinnej, lecz absolutnie prawdziwej.

Zadziwiająco szybko potrafi oskarżony przerzucić się z jasnego i dojrzałego sposobu myślenia na pogmatwany i mglisty, jak również wypowiadać twierdzenia tak niesłuszne i jednostronne, że włosy stają na głowie. To wskazuje, podobnie jak wiele innych okoliczności, na wysoce nieharmonijny rozwój; cechy dziecinne i naiwność występują u oskarżonego na zmianę z dojrzałością, której poziom jest znacznie wyższy niż u jego rówieśników. Raz pojawiają się chwytły na poziomie wyrostka i nieokiełznane wybuchy, a za chwilę ustępują one miejsca niezwykle dojrzałemu opanowaniu i rozważadze. Ogólnie możemy określić to tak: ten człowiek posiada wybitne cechy i możliwości zarówno w sensie ujemnym jak i dodatnim. Może grać na szerokiej klawiaturze umysłowej, lecz bardzo często z tego nie korzysta, przeskakuje ją i daje się ponieść nastrojowi.

Testy na sprawdzenie inteligencji oskarżonego wypadły pozytywnie. Z zapałem poddał się próbom i przez cały czas nie ulegało wątpliwości, że bawiło go rozwiązywanie zadań. Takie testy przypominają różne konkursy i to go zachęcało.

Testy wykazały, że inteligencja oskarżonego jest znacznie wyższa od przeciętnej. Rozwiązanie wielu zadań świadczy o bystrym umyśle, oryginalności, wybitnej zdolności samodzielnego myślenia, żywej fantazji i dużej zdolności kombinowania. Gdy przedstawiłem mu wyniki testu sprawdzającego inteligencję według międzynarodowej formuły IQ, był bardzo dumny i powiedział: „Nie każdy duży i silny człowiek jest głupi”. Oskarżony lubi się wybijać, nie tylko pod względem fizycznym: chętnie zaznacza, że on jest też człowiekiem inteligentnym. Jeżeli nie wykazał tego w żaden godny uwagi sposób w szkole, przyczyna leżała prawdopodobnie w niechęci do poddawania się nakazom. Ja również mu nie powiedziałem, że musi rozwiązać zadanie testowe. „Te testy nie są właściwie konieczne przy badaniu – oświadczyłem – jeżeli ma pan jednak ochotę i potrafi je rozwiązać, może pan spróbować. Wątpię, czy pan temu podoła. Są bowiem specjalnie ułożone dla ludzi o wysokim poziomie inteligencji”. Tak oszukuje się dzieci i osoby mniej uzdolnione. Bardzo znamienne dla Bragessa jest to, iż dał się zmylić, chcąc zademonstrować wszystko inne, tylko nie dziecinne podejście i prostolinijność.

– Panie prezesie! Wysoki sędzie! – krzyknąłem.
– Czy mogę coś powiedzieć panu doktorowi?

– Proszę, ale krótko.

– Otóż ja wiedziałem, że pan, Hansie Jörgenie Andersen Saestad, chce mnie nabrać. Ale miałem ochotę na własne oczy stwierdzić, że nie jestem taki głupi i ciężko myślący, rozumie pan.

– Aaa... – uśmiechnął się lekko Saestad. – W takim razie może pana nie doceniałem.

– Czy oskarżony ma jeszcze coś do powiedzenia?

– Hm... Nie. Biegły może zeznawać dalej.

– Co, proszę?

– Powiedziałem, że biegły może zeznawać dalej.

Szmer śmiechu przebiega salę. Przewodniczącemu występują wypieki na policzki.

– Proszę mnie pozostawić prowadzenie tej rozprawy, panie Bragesson, i może pan sobie oszczędzić żartów. – A więc biegły może... Proszę.

Biegły zeznawał dalej:

– Nie ulega żadnej wątpliwości, że oskarżony jest uzdolniony w wielu dziedzinach. Równocześnie jednak cierpi na niedorozwój duchowy. Wrócę do tego później, ale już teraz pragnę podkreślić, że bardzo często człowiek może być utalentowany i posiadać wysoką inteligencję, a równocześnie cierpieć na niedorozwój duchowy. To upośledzenie dotyczy uczuć, charakteru i woli. Co zaś między innymi wyróżnia tę grupę osobników, gdy wkroczą na drogę przestępstwa, to zmniejszona zdolność

rozpoznania własnej winy, błędna reakcja etyczna i brak woli dostatecznie silnej, by mogła powstrzymać od nowych kolizji z prawem.

Brage Bragesson był jedynakiem, synem przedsiębiorcy i córki pastora. Jego ojciec był najmłodszym synem właściciela gospodarstwa rolnego, podobnie jak dziadek po stronie matki, ów pastor. W żyłach oskarżonego płynie więc chłopska krew, a choć urodził się w środowisku miejskim, nigdy się do tego środowiska nie przystosował. Nie jest ani typem wiejskim, ani miejskim. Ma w sobie coś z obydwu. Ogólnie biorąc, jest w nim coś pierwotnego, pozbawionego korzeni, coś nieokreślonego. Sprawia takie wrażenie, jakby nie był nigdzie i z niczym stale związany.

Już jako dziecko oskarżony zdradzał pewne nie-normalne cechy charakteru, a mianowicie nadmierną ruchliwość i upośledzoną zdolność dostosowywania się do otoczenia. Z powodu wagarowania, lenistwa i obojętności otrzymał w trzeciej klasie szkoły ludowej niedostateczne oceny z wielu przedmiotów i za zgodą ojca – matka już wtedy nie żyła – został przeniesiony do specjalnej szkoły dla trudnych dzieci. Tam czuł się jak w więzieniu i wiele razy uciekał, tak że na prośbę ojca skierowano go znów do normalnej szkoły. Aby zrobić ojcu przyjemność, jak sam to określa, od czasu do

czasu zrywami odrabiał lekcje, tak że w każdym razie nie powtarzał już żadnej klasy.

Rodzice Bragessona byli ludźmi kulturalnymi i wykształconymi, ich małżeństwo jednak, jak świadczą informacje, było dalekie od szczęśliwego związku. Można by też chyba powiedzieć, że nie troszczyli się należycie o wychowanie syna. Podczas moich badań Bragesson deklarował swoją pełną solidarność z rodzicami i nie tolerował żadnych pytań zawierających element krytyki pod ich adresem. Twierdzi, że ma o nich tylko dobre wspomnienia. Warto zwrócić uwagę na fakt, że w domu rzadko bywał nieokiełznany i niegrzeczny. Tym bardziej jednak odbijał to sobie wśród rówieśników i w szkole.

Niezależnie od tego, co mówi sam Bragesson, należy przyjąć za pewnik, że nie miał lekkiego dzieciństwa. Stosunki między rodzicami musiały oddziaływać na chłopca, który bardzo wcześnie zdradzał przewrażliwione usposobienie. Również bardzo wcześnie stanął oko w oko z chorobą i śmiercią. Gdy miał siedem lat, jego matka zginęła w katastrofie samochodowej, a ojciec został stracony przez Niemców w Oslo w 1944 roku.

– W maju, Andersen, gdy świeciło słońce, kwitły przyłaszczki i Hauptmann Schnuckeldorf Kanonenburg von Bombenberg strącał pyłek z zapraso-

wanych na kant spodni, rozwalili mi Niemcy ojca tak, jak szlachtuje się wołu, wieprza albo szkapę... Niech pan więc nie używa słowa „stracili”. Niech pan lepiej powie: „Został zaszlachtowany przez Niemców w Oslo w 1944”.

Długie milczenie. O, jak cicho się zrobiło. Kogo teraz widzieli? Bolejącego syna... czy... Schnuckeldorfa, Kanonenburga, Bombenberga...? Czy naprawdę istniał jakiś kapitan, który się tak nazywał?

Przewodniczący zakaszłał. Na sali rozległ się szmer.

Norweski lekarz ciągnął dalej:

– Ta egzekucja...

– Te jatki! – krzyknąłem.

Znów cisza. Przewodniczący taktownie przymknął oczy na mój wybuch i uciekł się do łagodnej perswazji. Bo przecież oskarżony stracił oboje rodziców w najbardziej tragiczny... itd.

– Rozumiemy pana Bragessona, ale musimy jednak używać przyjętych określeń.

– Te jatki, powtarzam! Jatki! Jatki! Jatki! Te jatki!

Dziennikarze zacierali z zadowolenia ręce. Co za tytuł: „Jatki! Jatki! Jatki! – krzyczy oskarżony!”.

Przewodniczący interweniuje. Uderzenie młotka. Stuk. Napomnienie. Groźba usunięcia z sali

rozpraw. Biegły może mówić dalej.

Biegły ciągnie dalej:

– O tym zabójstwie dowiedział się Bragesson przypadkowo już następnego dnia. To stało się pod wielu względami punktem zwrotnym w jego życiu.

– Panie prezesie – przerwał Stefan – moim zdaniem sąd powinien wiedzieć, dlaczego Niemcy odebrali życie ojcu Bragessona.

– Słusznie – skinął głową przewodniczący. – Panie doktorze, może dla porządku wyjaśnimy tę sprawę.

– Niestety, nie badałem jej bliżej. Uważałem za samo przez się zrozumiałe, że został rozstrzelany za nielegalną działalność.

– Wobec tego może ja to wyjaśnię. Ojciec oskarżonego został rzeczywiście aresztowany za nielegalną działalność i za sabotaż, był torturowany i został rozstrzelany. Niemcy torturowali go na próżno. Chciałbym poinformować sąd o jeszcze jednym. W tym czasie, kiedy ojciec Bragessona prowadził nielegalną działalność, równocześnie pracował dalej normalnie jako przedsiębiorca i z natury rzeczy rzadko bywał w domu. Młody Bragesson zajmował się wtedy gospodarstwem domowym, gotowaniem, sprzątaniami i niezbędnymi zakupami. Przyjaciele rodziny mogą potwierdzić, że syn zachowywał nad wyraz wzorową postawę.

- Czy wiedział o nielegalnej działalności ojca?
- Tak. Ojciec sam mu o tym powiedział.
- To było trochę ryzykowne. Ale oskarżony zachował tajemnicę?
- Tak.
- Dziękuję za informację, choć mógł zajść taki wypadek, że obrona uprzedziła wyjaśnienia doktora Saestada.
- Jeżeli to zaszło, to przepraszam, panie prezesie.
- Proszę, doktor Saestad może mówić dalej.
- Dziękuję. Jak było powiedziane, śmierć ojca stanowiła punkt zwrotny w życiu oskarżonego. Przed tym wypadkiem często słyszy się, że jest dziwny, porywczy i przewrażliwiony, lecz nigdy, żeby się uciekał do przemocy fizycznej w większym stopniu niż chłopcy w tym wieku. Dopiero po śmierci ojca ujawnia się jego gwałtowna natura. Zareagował niezwykle silnie. W szkole zjawiał się według własnego widzimisię, i ani groźba, ani siła nie mogły go zatrzymać w ławce dłużej niż na kilka minut. Sąsiedzi, którzy zajęli się nim po aresztowaniu ojca, opowiedzieli, że na nic się też nie zdały dobre słowa. Oskarżony rozpoczął swoją własną małą wojnę przeciw Niemcom, z ukrycia obrzucał ich kamieniami, zrywał niemieckie ogłoszenia z pogróżkami skierowanymi do ludności

i tablice z nazwami ulic, raz nawet rzucił bombę własnej roboty do niemieckich koszar. Bomba miała zdumiewająco wielką siłę wybuchową. Była to metalowa rura wypełniona materiałem palnym, oskrobanym z dwudziestu pudełek zapalek, a lont zdobył oskarżony w ten sposób, że włamał się do jednego z baraków przedsiębiorstwa budowy dróg. Mimo młodego wieku i podniecenia, w którym musiał się znajdować, dawał sobie doskonale radę w tych akcjach. W końcu jednak dostrzegli go niemieccy żołnierze i zaczęli do niego strzelać, ale udało mu się uciec do lasów w okolicy Oslo. Po tych lasach włóczył się przez kilka dni żywiąc się rzepą, kartoflami i różnymi odpadkami, które nocami kradł u chłopów. Trzeciego dnia zachorował, a piątego dnia już się ledwo włókł i zamoczony gorączką poszedł w kierunku prowadzącym, jak sądził, do miasta. Ale szedł właśnie w przeciwną stronę, coraz dalej od ludzi. Po południu nie miał już zupełnie sił i zwałił się na ziemię. Gorączka rosła. Z nią razem rosło pragnienie. Wielkim wysiłkiem próbował doczołgać się do rzeki, ale nie dotarł do wody. Na tym właśnie brzegu znaleziono go siódmego dnia. Bredził w gorączce i gdy go podniesiono, nie mógł utrzymać się na nogach. Bragesson nabawił się choroby Heinego-Medina.

A teraz robię pewien przeskok w długim wywo-

dzie doktora Saestada. Nie krył on oczywiście odrobiny wyrozumiałości dla chłopca, który stracił oboje rodziców i dostał paraliżu dziecięcego. Tego by zresztą jeszcze brakowało.

– Bragesson mówi, że dalej nienawidzi wszystkich Niemców, oraz twierdzi, że jeżeli tak wielu ludzi w naszych czasach przestało już ich nienawidzić, to przyczyna leży w krótkiej pamięci ludzkiej i nawyku chowania głowy w piasek. W związku z tym Bragesson dostał raz ataku złości i krzyczał: „Niemców trzeba zniszczyć, wytępić cały naród!”. Takie wybuchy złości mogły też dotyczyć innych. Mnie na przykład: „Psychiatrów sądowych trzeba powyrzucać, potopić!” albo: „Temu politykowi należałoby ukręcić łeb”. Powyższe słowa nie oznaczają, że oskarżony tak właśnie myśli, przytaczam je tylko jako jeden z wielu objawów braku równowagi psychicznej.

Naczelny lekarz szpitala, w którym leżał Bragesson, oświadczył: „Liczyliśmy się w pewnym stopniu z trwałym kalectwem. Brage tylko sobie samemu zawdzięcza, że nasze przewidywania okazały się błędne. Obserwowałem go od chwili przybycia do szpitala aż do tego czasu, kiedy zaciągnął się na statek. Widziałem, jak świadomy celu dążył do tego, aby się podnieść z łóżka, mówiąc: «Będę duży i silny, będę, bo chcę być!». Widziałem, jak

potem mógł porzucić fotel na kółkach i posługiwać się kulami, widziałem, jak te z kolei odrzucił i stanął na chwiejnych nogach, aby wreszcie znaleźć się na boisku, tak, w ciągu mniej więcej dziesięciu lat obserwowałem, jak ten człowiek narzuca sobie trening tak ogromny i wyczerpujący, że większość ludzi by osłabła już na samą tylko myśl o takim wysiłku. Jego siła woli i wytrzymałość moralna jest wręcz niezwykła. A rezultaty wyraźnie mówią za siebie. Brage dokonał ogromnego dzieła w stosunku do swego ciała. Jest on przekonany o tym, że człowiek może osiągać rzeczy niewiarygodne, jeżeli tylko ma dość silnej woli. I nie ulega wątpliwości, że on jest właśnie tworem siły woli”. Cytat skończony.

Moje badania wskazują, że oskarżonemu nie brakuje woli, jeżeli wiąże się ona z silną emocją. Jego wola jest w znacznym stopniu uzależniona od uczucia. Jeżeli jakiś impuls nie łączy się z silnym uczuciem, oskarżony może w sytuacji wymagającej wyboru być bardzo niepewny siebie. Taka bagatelka, jak kupno szczoteczki do zębów, może być u niego powodem wielu głębokich rozważań i zastanawiania się nad tą czy inną marką. „Jest tak wiele dobrych szczoteczek”, mówi. Nie głosuje przy wyborach, bo wszystkie partie polityczne są niedobre. „Muszę coś odczuwać dla tej partii, na którą

bym głosował. Muszę się nią zachwycić. Dzięki Bogu, że polityka nie jest tak nieodzowna jak szczoteczka do zębów”.

Na sali sądowej rozlega się śmiech.

– Jeżeli jednak dokona już wyboru, jest niewzruszony. Również władze spotkały się z przykładem, jak może działać jego siła woli. Z nieznanego bliżej powodu postanowił, zanim stanął przed tym sądem, że nie udzieli pełnych wyjaśnień co do bójki w Amsterdamie. Ani policji, ani sędziemu śledczemu nie udało się przekonać go, by zmienił zdanie. Stoimy tu w obliczu woli, która może być niezwykle silna i pożyteczna, ale również uparta i ekstrawagancka.

Gdy rekonwalescencja Bragessona osiągnęła takie stadium, że mógł się obejść bez kul, zajęli się nim najpierw jacyś dalsi krewni. U nich kontynuował trening, próbując nawet jazdy na nartach. Początkowo szło mu to dość nieporadnie. Mimo kalectwa, na które dalej cierpiał, czasami zachowywał się tak gwałtownie, że owi krewni nie mogli dać sobie z nim rady. Zajęły się więc nim władze, które go umieściły w szkole z internatem. Ze względu na ułomność poświęcano mu tam specjalną uwagę, zachęcano go i pomagano mu w treningu. W tej właśnie szkole ostatecznie przezwyciężył kalectwo, a wkrótce dał się poznać w sporcie nar-

ciarskim i na boisku. A jednak, mimo tego sukcesu i udzielonej mu pomocy, pozostał uparty, gwałtowny, opryskliwy i zamknięty w sobie. Zawsze był w opozycji do nauczycieli, ci zaś utrzymywali, że cierpi na niechęć do autorytetu. Gdy chciano go sprowadzić z powrotem z boiska do klasy, zawsze stawał okoniem.

Po szkole realnej, którą skończył z dość zadowalającym wynikiem, został najpierw pomocnikiem murarza, a potem robotnikiem leśnym. Wybór tych zawodów był zgodny z celem, który sobie wytyczył: być jak najzdrowszy i jak najsilniejszy. Później, po ukończeniu – za zaoszczędzone pieniądze – jednorocznego kursu wieczorowego, zdał maturę, aby wstąpić na uniwersytet równocześnie ze swymi rówieśnikami. Nie chciał być od nich gorszy.

Majster murarski, jego dawny pracodawca, powiedział, że Bragesson był, jeżeli tylko chciał, dobrym pracownikiem, często jednak bywał nieobliczalny i wpadał na różne pomysły, nawet zabawne, ale zakłócały rytm pracy. Nie znosił krytyki i gdy zwrócono mu uwagę, wpadał we wściekłość. Z tego powodu został zwolniony.

Jako robotnik leśny zarabiał dobrze.

Na kursie maturalnym nie bardzo mu szło w pierwszych miesiącach. Nie uczył się, większość

wolnego czasu poświęcał na treningi i sport, otrzymał za to upomnienie od kierownika szkoły. W odpowiedzi Bragesson zirytował się i poprosił kierownika, aby „nie wtrącał nosa w jego prywatne sprawy”. Za te i podobne sprawki kierownictwo postanowiło usunąć go z kursu, gdy jednak przyrzekł poprawę, pozwolono mu pozostać. Jest to rzadki wypadek, że Bragesson się pokajał, a w każdym razie jedyny taki wypadek, na jaki natrafiłem.

Kierownik szkoły scharakteryzował Bragessona jako uzdolnionego, lecz bardzo trudnego ucznia. Maturę zdał z wynikiem zadowalającym z głównego przedmiotu.

Jego karta z okresu służby wojskowej nie jest całkiem czysta. Najpierw został przydzielony do żandarmerii, lecz z powodu nieposłuszeństwa okazywanego przełożonym i opieszałości w służbie przeniesiono go do zwykłego oddziału. Tam wywoływał wiele zamieszania i sprawiał takie wrażenie, jakby postanowił robić tyle szumu i hałasu, ile się tylko da. Został uznany za trudnego żołnierza, nie poddającego się dyscyplinie, dlatego przeniesiono go z kolei do służby zaopatrzeniowej, gdzie dyscyplina nie była tak potrzebna. Służba polegała głównie na rąbaniu drzewa, myciu dział i zwykłych wartach. Tam się trochę uspokoił i pozwalał

sobie tylko na opuszczanie koszar bez przepustki. Bywał oczywiście częstym gościem w areszcie.

Przytoczę tu pewien epizod z okresu rekruckiego. Pewnego dnia sierżant prowadził ćwiczenia w walce bezpośredniej. Chodziło o chwytty dziudzitsu, którymi bezbronny człowiek może się bronić przeciw napastnikowi posiadającemu nóż. Po kolei każdy rekrut rzucał się z gumowym nożem na sierżanta. Gdy przyszła kolej Bragessona, zdarzyła się rzecz niespodziewana. Zaczął on stawiać opór, uniósł sierżanta w górę i tak mocno cisnął nim o ziemię, że złamał mu dwa żebra. Za to Bragesson został ukarany zgodnie z regulaminem wojskowym, ale nie chciał mi wyjawiać powodów swego postępowania.

– Mogę to zrobić teraz.

– Czy sąd zezwoli? – zwrócił się lekarz do przewodniczącego.

– Proszę. Oskarżony ma głos.

– A więc było tak. Ten sierżant zachowywał się jak złośb. Zanim nadeszła moja kolej, tak brutalnie potraktował kilku rekrutów, że bolały ich ręce i nogi. Mogliby to poświadczyć. Dlatego postanowiłem zaaplikować facetowi łagodną karę. A zresztą było przecież powiedziane, że mam się bronić, he, he!

– Uważał się więc pan za uprawnionego do da-

wania nauczki przełożonemu? – zapytał prokurator.

– Właśnie. Sierżant Larsen był pruskim typem. Nazywano go „Prusakiem”.

– A czy to przypadkiem nie pan, panie Bragesson, przyczepił mu to przezwisko?

– No... owszem... ale on rzeczywiście był pruskim typem. Ciągłe na przykład urządzał karne ćwiczenia, i to bez żadnego powodu. Wystarczyło, że któryś z chłopców spóźnił się dwie sekundy przy zbiórce. Wtedy cały oddział miał karne ćwiczenia.

– A jak pan na to reagował?

– Odmawiałem, rzecz prosta. Występowałem z szeregu. Dlaczego miałem czołgać się i pełzać jak niewolnik za coś, czego nie zrobiłem?

Milczenie.

– Czy oskarżony ma jeszcze coś do powiedzenia?

– Nie.

– Biegły może mówić dalej.

I biegły ciągnął:

– Bragesson brał udział w wielu bójkach. Nie udało mi się zdobyć informacji, które pozwoliłyby stwierdzić jakieś określone motywy jego postępowania.

Miał również skłonność do włóczęgi i często korzystał z różnych okazji, aby wędrować po Norwe-

gii. Większość bójek zdarzyła się właśnie podczas takich włóczęg.

Lubi przyrodę i życie pod gołym niebem, w górach czuje się w swoim żywiole, jak sam mówi, ma tam też mały szałas, który dostał od wymienionego poprzednio naczelnego lekarza. Lubi odbywać długie samotne spacery. Gra na harmonii i śpiewa piosenki, z czystego amatorskiego zamiłowania zresztą, bo nie ma w sobie nic z primadonny. Grał też i śpiewał często w mojej obecności i wtedy jakby zapominał o całym procesie. Szczególnie lubi piosenki śpiewane przy wódce i melancholijne melodie miłosne.

Podczas naszych rozmów często się zdarzało, że nagle zapominał o rzeczywistości i wpadał w doskonały humor, jakby oskarżenie o przestępstwo dotyczyło wszystkich innych, tylko nie jego.

Utrzymywał stosunki z licznymi kobietami. Nic nie wskazuje, aby zachowywał się wobec nich gwałtownie. Wiele z nich określiło go jako człowieka łagodnego i z natury poetycznego.

Wypowiedzi tych kobiet można traktować z zastrzeżeniami, ale moim zdaniem warto zwrócić uwagę na ich jednomyślność.

Chociaż Bragesson potrafi odnosić się do ludzi przyjaźnie i czarująco, nie ma bliskich przyjaciół.

Jak powiedziałem, ma pewne ambicje intelektu-

alne. Posiada trochę książek i stosunkowo dobrze – moim zdaniem – orientuje się w literaturze światowej. Sam nieco pisywał, dla własnej przyjemności, jak mówi, i dał mi niektóre rzeczy do przeczytania. Nie uważam się za znawcę literatury, mogę więc tylko mówić o tym, jak te rzeczy oddziały na mnie. Niektóre wydają mi się dość niejasne, nieporadne i dziwaczne. Dają one wyraz pewnemu rozżaleniu i nastrojom religijnym. Natomiast inne są interesujące i dobrze napisane. Te zdradzają szeroko rozgałęzione asocjacje idei i wskazują na głęboką treść uczuciową; albo może użyję innych słów. Są jakby jednym głębokim oddechem. W wielu z nich doszukałem się wzmożonego napięcia emocjonalnego. Tak jakby autor chciał się wznieść możliwie wysoko na fali duchowego przeżycia.

Te utwory świadczą o nieharmonijnym życiu duchowym, nie dają jednak rozwiązania psychologicznej zagadki jego umysłowości.

Skłonność do reakcji emocjonalnej dała się – jak już wspomniałem – poznać również podczas naszych rozmów. Zwykle zaczynało się od tego, że prosiłem go o wypowiedzenie się na jakiś temat. Jeżeli mi odpowiedział, z początku często robił to tonem niepewnym i z wahaniem, czasem bez krzty zainteresowania, aby później jednak samemu za-

interesować się zagadnieniem i dać się w końcu porwać bez reszty. W ten sposób, poczynając od zupełnej obojętności, stopniowo wprowadzał się w nastrój ogromnego podniecenia. Można więc powiedzieć, że sam na siebie działa sugestywnie.

Bragesson jest uosobieniem skrajnych sprzeczności, osobnikiem pełnym wewnętrznych konfliktów, typem nadwrażliwca. Jego przeżycia emocjonalne bywają czasami niezwykle silne. Jest też trochę fantastą, człowiekiem marzącym na jawie. Gdy przeżywa takie marzenia, bywa głuchy, opryskliwy i bardzo ospały. Prawdopodobnie dlatego prokurator tak często podczas tego procesu stwierdzał, że oskarżony drzemie na sali sądowej. Nie lubi też, aby mu te marzenia przerywać, dlatego widzieliśmy, jak się złościł, gdy go budzono, dlatego odpowiada podniesionym głosem, jakby powód do irytacji miał wyłącznie on, a nie stawiający pytanie.

Często bez reszty ulega swym nastrojom, to znaczy, że nie zawsze może się z nich otrząsnąć, nawet wtedy, gdy takie otrząśnięcie byłoby dla niego korzystne. To wyjaśnia, dlaczego tak często jego rzeczowe wypowiedzi brzmią tak, jakby zdradzały wewnętrzny bunt.

Bragesson jest osobnikiem hiperaktywnym, jest aktywny nawet wtedy, gdy na pozór wydaje się

nieobecny myślami. Z reguły odpoczywa tylko podczas normalnego snu, dlatego w sędzie zasypiał i głęboko chrapał. W tym, co powiedziałem, nie ma paradoksu. Zdarza się bowiem, że hiperaktywni ludzie, zupełnie zdrowi fizycznie, tak wyczerpują się własnymi myślami i przeżyciami emocjonalnymi, że w końcu usypiają.

Wcześniej zaczął nadużywać alkoholu, nie regularnie, ale gdy nadarzyła się okazja, a jest zupełnie oczywiste, że pod wpływem alkoholu łatwo staje się bezwzględny i brutalny. Potrafi też upić się do nieprzytomności, w sumie spędził cztery noce w izbie wytrzeźwień. Pewnego razu spił się tak, że na pogotowiu w Oslo płukano mu żołądek. Dwa razy omal nie utonął; raz z powodu niemądrej brawury, a raz przez alkohol. Wiele razy przychodził wyraźnie podchmielony do szkoły i na wykłady na uniwersytecie. A przy wszystkich dotychczasowych bójkach też był zawsze podchmielony.

Między jednym piciem a drugim może upłynąć sporo czasu, ale gdy już Bragesson pije, z reguły nie zna wtedy miary.

Nie udało mi się uzyskać dostatecznych informacji na temat wpływu nadużywania alkoholu na jego psychikę. Możemy więc ustalić tylko to, co wiemy, że pod wpływem alkoholu jeszcze bardziej traci panowanie nad sobą i staje się jeszcze gwałtow-

niejszy.

Tu prokurator wtrącił pytanie:

– Pamięta pan piątkowe wydarzenie, kiedy oskarżony rzucił się na świadka. Czy pana zdaniem ten wybuch nie wskazuje na to, że tak samo gwałtownie i w podobnie niezrównoważony sposób reaguje też bez wpływu alkoholu?

– Sytuacja była taka, że mógł ulec szczególnemu podnieceniu. Powrócę do tego później.

Potem norweski lekarz długo rozwodził się nad moją społeczną postawą i brakiem zrównowżenia, jaki jestem pełen antypatii, nienawiści do autorytetu i jak trudno się dostosowuję do otoczenia. To ostatnie odbiło się również na mojej działalności sportowej. Nigdy – jak to powiedział biegły – nie słuchałem instruktorów, zawsze prowadziłem trening według własnego upodobania. A antypatie mogą się ujawniać w sprawach zupełnie błahych. Przykłady: nie znoszę jednego z mych znajomych, bo ma wilgotne ręce i obgryzione paznokcie. Z powodu rąk nie znoszę tego osobnika. Pewnego razu zerwałem lekarzowi z szyi stetoskop i rzuciłem nim w okno, tak że pękła szyba. Dlaczego to zrobiłem? Tak, to też była antypatia... tym razem skierowana przeciw „wszystkim tak zwanym znawcom dusz”.

Wypowiedź biegłego psychiatry sądowego liczy

czterdzieści jeden stron, jest pełna szczegółów i stanowi nużącą lekturę. Dotąd przedstawiłem tylko niektóre fragmenty z pierwszej części, a jeżeli po prostu pomijam drugą część, to dlatego, że moim zdaniem cała wypowiedź wprowadza zamęt, bo albo zawiera nieprawdę, albo pół- i ćwierćprawdy. Tylko kilka razy dotyka – moim zdaniem – rzeczy najistotniejszych. Dlatego też przeskakuję teraz aż do konkluzji tego „badacza duszy”:

– Badanie Bragessona wymagało wiele czasu, nie tylko dlatego, że okazywał słabą ochotę do współpracy, ale również dlatego, że jest on jednostką złożoną i skomplikowaną. Mimo tych trudności uważam, że wyniki moich badań pozwalają zaliczyć go do osób o cechach wybitnie psychopatycznych.

Istnieje wiele typów psychopatów i rzadko się zdarza odkryć jakiś określony typ w czystej postaci. Z reguły ma się do czynienia z kombinacjami typów, to właśnie dotyczy też i Bragessona. Cierpi on na zmienność nastrojów, nadwrażliwość, psychozę depresyjną i psychozę wybuchową. Ta ostatnia wybija się na czoło. Bragesson jest przede wszystkim ofiarą psychozy wybuchowej. Wielu takich psychopatów potrafi panować nad sobą aż do chwili, kiedy znajdą się w samotności i mogą wyładować swą złość na niezbyt kosztownych przed-

miotach. U Bragessona rzadko obserwowałem taką zdolność. Gdy przychodzi atak złości, jest z reguły zupełnie nieopanowany. Jego zachowanie się w sądzie ostatniego piątku było tak gwałtowne i niesmaczne, że możemy z tego wyciągnąć wniosek, iż mamy do czynienia z poważnym skrzywieniem psychicznym. Nie znaczy to jednak, aby Bragesson był chory umysłowo.

Prokurator pyta:

– Czy słuszne byłoby powiedzenie, że o mały włos nie doszło na sali sądowej do karalnego czynu?

Obrońca pyta:

– Jak może pan zajmować stanowisko wobec tego wybuchu jeszcze przed stwierdzeniem, że osoba badana popełniła czyn zarzucany aktem oskarżenia?

– Ponieważ ten incydent nie jest jedynym dowodem wybuchowości oskarżonego.

– Innymi słowy, jeżeli zostanie uniewinniony, pańska ocena jego wybuchu pozostanie taka sama?

– Mówiąc najogólniej, orzeczenie o niewinności oskarżonego nie zmieni mego poglądu na jego mentalność.

– Czy podczas swej obserwacji zauważył pan podobne wybuchy?

– Nie o takim nasileniu, ale skłonność jest dostatecznie wyraźna na to, abym mógł wyciągnąć wnioski.

Głos zabiera prokurator:

– Czy jest prawdą, że psychopaci są skłonni do nerwic, czasem krótko-, a czasem długotrwałych?

– Owszem, ale to nie oznacza, że wszyscy cierpią na nerwice.

– Czy oskarżony jest predysponowany?

– W naszych czasach bardzo wielu ludzi jest predysponowanych do tej lub innej nerwicy. O Bragessonie można powiedzieć, że ma on pewne cechy neurotyczne. Mam na myśli zwłaszcza jego graniczące z ekstazą zamiłowanie do sportu narciarskiego, co prawdopodobnie bierze się z nieustannego zadowolenia, że przezwyciężył kalectwo spowodowane paralizem dziecięcym.

– Nie określa go więc pan jako charakter neurasteniczny?

– Nie. Między Bragessonem a typowym neurastenikiem istnieje wielka różnica. U typowego neurastenika występuje zaburzenie zdolności korzystania z życia i zdolności do pracy. Bragesson umie w pełni wykorzystywać życie, nic też nie osłabia jego zdolności do pracy. Oprócz tego neurastenik cierpi na pewne zahamowania. O Bragessonie można powiedzieć, że ma zbyt mało zahamo-

wań. Gdyby to było możliwe, powinien by zafundować ich sobie więcej.

Szmer śmiechu na sali.

Prokurator kiwa powoli głową, wertuje w stosie papierów i zaczyna z innej beczki.

– Czy jest prawdą, że u wielu psychopatów zdarzają się przejściowe okresy choroby umysłowej?

– Wielu psychopatów przechodzi ten rodzaj choroby umysłowej, który nazywamy przejściowymi psychozami konstytucjonalnymi.

– A więc wielu psychopatów ma predyspozycję do takich okresów?

– Tak.

– Czy oskarżony do nich należy?

Chwila milczenia.

– Nie mogę się na ten temat wypowiedzieć.

– Nic więc nie wskazuje na to, żeby oskarżony kiedyś przechodził okresy choroby umysłowej?

– Nie.

– Czy można udowodnić, że nie przechodził?

– Skoro nie ma żadnych objawów, mamy podstawę do wysnucia z dużym prawdopodobieństwem wniosku, że takiego okresu nigdy nie było w życiu oskarżonego.

– Czy istnieje prawdopodobieństwo, że może on w przyszłości popaść w chorobę umysłową?

– Jak już wspomniałem, nie mogę się wypowie-

dzieć, czy jest do tego predysponowany.

– Ale pan nie wyklucza takiej możliwości.

– Nie uczyniłem nic, aby zwrócić na nią pana uwagę.

– No... Tak, to prawda. Zakładamy więc, że oskarżony nie jest predysponowany. Czy wolno przypuścić, że w pewnych warunkach może być predysponowany?

– Psychopaci, którzy nie zdradzają predyspozycji w kierunku psychozy konstytucjonalnej, mogą się w pewnych warunkach okazać predysponowani. Czy Bragesson do nich należy, nie mogę się z całą pewnością wypowiedzieć. Powtarzam, że jest on przede wszystkim wybuchowym psychopata.

Stefan przejawia zainteresowanie. Wstaje i zabiera głos:

– Czy może się zdarzyć, że psychopata już predysponowany ulega pod wpływem silnych bodźców psychicznych przejściowej chorobie umysłowej?

– To się może zdarzyć.

– Na przykład pod wpływem pobytu w więzieniu?

– Proszę panów! – przerywa przewodniczący. – Zbyt daleko odbiegamy od tematu.

– Jeżeli o mnie chodzi, to jestem innego zdania – piszczy falsetem prokurator.

– Oskarżyciel może być pewien, że biegły nie ukrywa żadnej ważnej karty w kieszeni. Gdyby ewentualnie odkrył predyspozycję do psychozy konstytucjonalnej, na pewno by to podkreślił. A więc, proszę panów, przystąpmy do rzeczy.

Znów prokurator piskliwym głosem:

– Czy można dopatrywać się jakiegoś związku między bójką w Amsterdamie a faktem, że ojciec oskarżonego został zabity przez Niemców?

– Jeżeli istnieje jakiś związek, to moim zdaniem ma podrzędne znaczenie.

– Czy jednak od śmierci ojca nie ciągnie się w życiu oskarżonego czerwona nić w postaci niechęci do Niemców i wszystkiego, co niemieckie?

– Nie sądzę, aby do tego należało przywiązywać wielką wagę.

– Oskarżony nienawidzi Niemców!

– On mówi, że nienawidzi Niemców.

– Pan twierdzi, że oskarżony nie kłamie.

– Nie, nie kłamie, to oczywiste. Gdy mówi, że nienawidzi Niemców, sam w to wierzy. Wątpię jednak, czy człowiek przy zdrowych zmysłach może latami piastować uczucie nienawiści wobec narodu, z którym nie ma żadnej styczności.

– Dlaczego sam wierzy, że nienawidzi Niemców?

– Bo chce w to wierzyć. Postanowił niegdyś, że nie wolno zapomnieć o gwałtach popełnionych

przez Niemców. To jest jego wzniosła zasada.

– Oskarżony nie ma więc nic przeciw Niemcom?

– Ależ ma, oczywiście. Nie radziłbym tym Niemcom, którzy zabili jego ojca, aby spotkali się dziś oko w oko z Bragessonem. Na pewno też potępia on wiele innych rzeczy w Niemczech, ale nie mogę uwierzyć, aby nienawidził wszystkich Niemców i wszystkiego, co niemieckie. Nawet Bragesson nie ma tyle sił, aby latami piastować takie uczucie. I on musiał złagodnieć, choć oczywiście nie przyzna się do tego. Chce wierzyć, że Niemcy są źli, a więc w to wierzy.

– Czy on się sam sugeruje, aby w to wierzyć?

– Do pewnego stopnia możemy tu mówić o auto-sugestii.

– Wobec tego można chyba przypuścić, że zasugerował się tą nienawiścią tu w Amsterdamie?

– Można przypuścić, że wmówił w siebie wrogie nastawienie, ale nie, że ono odegrało decydującą rolę. Bragesson już przedtem spotykał Niemców i nie tknął ich nawet palcem. Zwykle ich ignoruje, nie chce mieć z nimi nic do czynienia.

– A więc śmierć ojca nie odegrała prawie żadnej roli w tej bójce w Amsterdamie?

– Nie twierdzę, że żadnej. Możliwe, że to odegrało określoną rolę w jakimś określonym momencie. Sam Bragesson mówi przecież w swych zezna-

niach, że po wywiązaniu się bójki przypomniał sobie śmierć ojca, i możliwe jest, że to wspomnienie miało jakiś wpływ na jego postępowanie. Ale mówiąc, że to właśnie prowadziło do zabójstwa, posunęlibyśmy się za daleko. A zresztą ja nie mogę się wypowiedzieć co do tego, czy on pierwszy zaatakował i dlaczego ewentualnie to zrobił. Mogę tylko powiedzieć, że bez trudu wyobrażam sobie jego gwałtowność podczas bójki.

– Wobec tego możemy chyba przyjąć – wmieszał się mój obrońca – że brak jest podstaw do takiego rozumowania: Bragesson widzi siedmiu spokojnych młodzieńców, słyszy, że są Niemcami, przypomina sobie śmierć ojca, wpada w dziką pasję i rzuca się na nich, aby zabić?

– Nie. Do tego tragicznego wypadku musiało dojść w innych okolicznościach.

Prokurator:

– A więc śmierć ojca nie była kroplą, która spowodowała przelanie się kielicha.

– Pan prokurator stawia hipotezę, ja zaś nie mam informacji, które by ją zadowalająco podbudowywały. Uważam ją również za nieistotną. Istotne jest to, że oskarżony jest wybuchowym psychopatą i że byłby nim niezależnie od ewentualnej nienawiści do Niemców.

Prokurator trze sobie brodę:

– Czy można oskarżonego nazwać gwałtowną naturą?

– Można go nazwać człowiekiem skłonny do wyrażania niektórych uczuć w gwałtowny sposób.

– Czy to nie to samo?

– Zależy, co się rozumie pod pojęciem gwałtownej natury. Jeżeli rozumie się przez to osobę ze stałym chorobliwym pociągiem do stosowania gwałtu, to u oskarżonego nie stwierdziłem objawów, które pozwalałyby go nazwać gwałtowną naturą.

Głos zabiera obrońca:

– Czy skłonność oskarżonego do demonstrowania siły fizycznej zawiera jakiś element, który z zasady da się określić jako bezpośrednio przestępczy?

– Nie. Ta skłonność sama w sobie nie czyni go niebezpiecznym. Niebezpieczny może być dopiero wtedy, gdy traci rozeznanie, wtedy bowiem używa sił zbyt gwałtownie, na pewno nie myśląc o tym, że je demonstruje.

– Czy można przypuszczać, że jego udział we wcześniejszych bójkach był wynikiem pociągu do zabawy, do bitki na niby?

– Możliwe, że taki pociąg odgrywał jakąś rolę w niektórych wypadkach.

– Gdy jednak zabawa kończy się rozlewem krwi

i utratą przytomności, wtedy chyba przestaje być zabawą! – ironizuje prokurator.

– Oczywiście.

– No dobrze, załóżmy więc, że istnieje taki pociąg do zabawy. Wyobraźmy sobie na przykład Bragessona podczas jakiegoś towarzyskiego spotkania. Chce się trochę rozerwać, więc wszczyna bójkę z kilkoma innymi mężczyznami. Załóżmy dalej, że dostanie od nich kilka razy po głowie, czy nie można przypuścić, że wtedy ogarnia go złość i przestaje żartować?

– Owszem, można.

– Czy nie można też przypuścić, że uczucie antypatii może go skłonić do rzucenia się na jakiegoś człowieka?

– Przypuszczalnie jest to możliwe, ale pod warunkiem, że okoliczności są szczególnie prowokujące.

– A w takim razie można też przyjąć, że oskarżony jest bardzo brutalną i gwałtowną naturą, że korzysta z każdej nadarzającej się okazji do bójki!

– Ja nie dałem panu prokuratorowi podstaw do wyciągania takich wniosków. Powiedziałem tylko, że Bragesson może albo sam – co nie musi koniecznie znaczyć coś złego – albo przy pomocy innych lub przy jakimś zbiegu okoliczności wprowadzić się lub zostać wciągnięty w położenie budzące

uczucia, nad którymi sam nie panuje. Wtedy może nastąpić wybuch wściekłości i dopiero wtedy staje się on człowiekiem niebezpiecznym. Nie wypowiadam się więc na temat ogólnych przyczyn, dla których znalazł się w takiej sytuacji, stwierdzam jedynie, że po powstaniu tej sytuacji daje się on poznać jako wybuchowy psychopata. Należy również podkreślić ważną okoliczność, że poprzednie bójki nie doprowadzały oskarżonego do takiego psychopatycznego wybuchu. A więc warunki do takiego wybuchu nie zachodzą przy każdej bójce, jak również nie zachodzą tylko przy bójce. Wybuch może nastąpić także podczas rozmowy, nie musi być zresztą specjalnie skierowany przeciw Niemcom i wszystkim, co niemieckie.

Na zakończenie norweski lekarz zebrał najważniejsze przesłanki i wysnuł następujące wnioski:

– Jestem zdania, że Brage Bragesson nie jest obecnie umysłowo chory, i zakładam, że nie był również chory umysłowo w chwili popełnienia czynu zarzucanego mu przez akt oskarżenia.

Zakładam, że w chwili popełnienia tego czynu posiadał pełną świadomość.

Jestem zdania, że Brage Bragesson jest osobnikiem upośledzonym psychicznie, ma słabo rozwinięte zdolności odczuwania i sądzę, że wobec tego istnieje niebezpieczeństwo powtórzenia się czynów

sprzecznych z prawem.

Brage Bragesson jest groźny dla siebie samego i swego otoczenia. Defekt jego charakteru polega na upośledzeniu zdolności dostosowywania się do społeczeństwa, upośledzeniu zdolności panowania nad własnymi uczuciami, upośledzeniu instynktu kierującego zakresem własnych działań, wreszcie na wybuchowości. Widzieliśmy, że ta wybuchowość może wystąpić bez wpływu alkoholu, w normalnych jednak warunkach występuje łatwiej pod wpływem alkoholu.

W tym stadium procesu ujawniły się poglądy Stefana na problem przestępcy. W taki oto sposób zwrócił się do doktora Saestada:

– Pan doktor przyczepił memu klientowi etykietę psychopaty. No cóż. W moim pojęciu jest on tylko człowiekiem o nadmiarze trochę oryginalnych, bardzo mocnych uczuć, człowiekiem trochę prymitywnym, ale jednak normalnym. Ale słowo padło, pan je wypowiedział: mój klient jest psychopatą, niebezpiecznym dla siebie i dla swego otoczenia. Przyjrzyjmy się temu bliżej. Według pańskiej definicji norweskiego pojęcia „słabo rozwiniętych zdolności duchowych” mój klient nie ma dostatecznego rozeznania własnej siły, nie ma dostatecznej reakcji etycznej, brak mu też dostatecznej siły woli do powstrzymania się od wykroczeń przeciw prawu.

Czy dobrze pana zrozumiałem?

– Tak, panie mecenasie.

– Z tego mam prawo wysnuć wniosek, że pan uważa Bragessona za osobę, wobec której nie można stosować kary.

– Wyciąganie wniosków prawniczych nie należy do mnie.

– Oczywiście, ale pan może odpowiedzieć, czy pan uważa psychopatę za osobnika chorego, czy nie?

– Tak, moim zdaniem osobnik cierpiący na ciężką psychopatię jest człowiekiem chorym.

– A sprzeczne z prawem czyny psychopatyczne uznaje pan wobec tego za działania człowieka chorego, za objawy choroby?

– Do czego obrona zmierza tym pytaniem?

Była to ostra interwencja przewodniczącego sądu.

– Obrona domaga się odpowiedzi biegłego! – równie ostro zareagował Stefan.

– Biegły oświadczył, że oskarżony jest niebezpiecznym wybuchowym psychopata.

– Czy pan prezes odmawia mi prawa zadania tego pytania?

– Nie widzę, po co jest ono panu potrzebne. Mamy do czynienia z psychopata, jeżeli więc oskarżony zostanie uznany winnym, sąd będzie

musiał ustosunkować się do tego, czy należy go umieścić w zakładzie psychiatrycznym. To jest normalny sposób postępowania w naszej praktyce sądowej. Czy obrona chce sobie to właśnie zapewnić?

– Nie.

– Czy mogę wobec tego zapytać – przewodniczący podniósł głos – czy mogę zapytać, dlaczego pan zadaje to pytanie?

– Dlaczego zadaje to pytanie! – krzyknął mój obrońca, a potem zerwał się na równe nogi, głęboko zaczerpnął powietrza i wyrzucił z siebie: – Zadaje je, aby wbić wszystkim do głów, że społeczeństwo karze ludzi chorych za to, że są chorzy!

– Teraz posuwa się pan za daleko! – uniósł się przewodniczący, a za chwilę wmieszał się i prokurator:

– O! Bardzo interesujące! A więc mój szanowny oponent jest zdania, że psychopaci popełniający przestępstwa nie powinni być karani?

– Tak, takie jest moje zdanie!

– Proszę panów! – krzyknął z gniewem przewodniczący. – Sąd nie jest forum dla nowych wniosków ustawodawczych, lecz instancją orzekającą!

Powstało piekielne zamieszanie. Publiczność zrozumiała, że dzieje się coś niezwykłego, zaczęły się szept i rozmowy. Wiele rzeczy odbywało się

równocześnie. Prokurator chciał wystąpić z nowym atakiem na „tego dziwnego prawnika, pana Borovica”, ale zrezygnował z powodu hałasu. Ja wstałem „z twarzą czerwoną ze złości”, jak pisały niektóre gazety, i wrzasnąłem: „Nie jestem chory!”, a przewodniczący musiał długo nawoływać i walić młotkiem, zanim udało mu się przywrócić jaki taki porządek. Wtedy zagroził, że w wypadku powtórnego zamieszania każe opróżnić salę. Dostało się też – oczywiście – Stefanowi:

– Proszę szanownego obrońcę, aby miał na uwadze, że zadaniem sądu jest przede wszystkim orzec o winie oskarżonego.

– Słusznie. A zadaniem biegłego lekarza jest orzec, czy oskarżonego należy przede wszystkim uważać za chorego, czy nie.

– Lekarz ustalił, że oskarżony nie jest chory umyślowo i że w chwili popełnienia czynu posiadał pełną świadomość. To jest dla nas najistotniejsze.

Milczenie.

I Stefan westchnął, że niestety dla nich to było najistotniejsze.

Znów małe zamieszanie. Znów przewodniczący ucieka się do młotka. Jeżeli któraś ze stron chce zadać jakieś pytania norweskiemu specjaliście, ma teraz okazję to uczynić.

Stefan ruszył do nowej akcji na rzecz morder-

ców:

– Dziękuję, skorzystam z tej okazji. Czy można powiedzieć, że silny afekt osłabia świadomość?

– Afekt może zwęzić świadomość, gdyż w pewnym stopniu następuje wymiana przeciwbodźców. Afekt wyrażający się w wybuchu może więc zwęzić, ale nie osłabić świadomość.

– Przepraszam, ale ja to mogę rozumieć tylko tak, że takie zwężenie oznacza też ograniczenie świadomości, skoro, jak pan doktor powiedział, następuje w pewnym stopniu wymiana przeciwbodźców.

– Ja nie mogę się z tym zgodzić.

– A dlaczego?

Prokurator pośpieszył na pomoc:

– Każdy zabójca działa przecież w afekcie, inaczej nie popełniłby zabójstwa, prawda?

– Oczywiście.

– Ale z tego powodu nie możemy mówić o osłabionej świadomości?

– Nie.

– Oczywiście, że nie. To prowadziłyby bowiem do wniosku, że każdy morderca ma w chwili popełnienia czynu osłabioną świadomość.

A Stefan potakująco kiwał głową – „no, proszę!” – długo i znacząco, jakby to właśnie wyjaśniało sprawę. Przewodniczący udawał, że tego nie widzi.

Prokurator wrócił na swoje miejsce, przez ramię rzucając diabolicznie złośliwe spojrzenie na tego „bardzo dziwnego prawnika, pana Borovica”.

Na tym uznano wystąpienie norweskiego lekarza za zakończone.

Holenderski specjalista poparł swego norweskiego kolegę. Podczas jego obserwacji nie byłem zresztą bardzo skłonny do współpracy, wiele razy po prostu i otwarcie go ignorowałem. Przykłady: podarłem raz jego notatki i zniszczyłem bardzo kosztowny aparat. Oprócz tego świadomie udzieliłem mu fałszywych informacji. To wszystko, oprócz wielu innych rzeczy, sprawiało mi wielką uciechę. Mój humor wydawał mu się więc nieco prymitywny, nie pozbawiony złośliwości i *Schadenfreude*^[12].

Wielką zgorą przewodniczącego sądu na tym procesie było to, że w żaden sposób nie potrafił mnie zmusić do nabrania respektu dla śmiertelnej powagi władzy wymierzającej sprawiedliwość. Ani uroczysty rytuał sądowy, ani ogień krzyżowych pytań, ani wreszcie bezpośrednie groźby nic nie działały w tym kierunku, nie wzbudziły we mnie strachu i szacunku dla ogromnego aparatu, który

„dla mnie” uruchomiło społeczeństwo. Zachowywałem cały czas swój własny, naturalny sposób bycia, używałem moich normalnych słów i postępowałem tak, jakbym znajdował się wszędzie indziej, tylko nie w sali sądowej. Krótko mówiąc, stanowiłem dysonans w stosunku do otoczenia. Z upływem czasu, gdy powoli wkładał się we mnie strach, zacząłem to robić świadomie. Nie chciałem przybierać postawy przerażonego, nie chciałem wyglądać tak, jak pierwszy lepszy oskarżony, nie chciałem poddać się tej zwyczajności, którą starano się mi narzucić. Chciałem być nieskażony, być sobą, chciałem im pokazać, że nie można mnie zmusić do tego, abym był kim innym niż Bragem Bragessonem. Pozbawili mnie fizycznej wolności, wpakowali mnie do kryminału między bandytów, morderców, złodziejasków, gwałcicieli, sutenerów, szantażystów, oszustów, sadystów i tym podobne szumowiny, nałożyli mi na ręce kajdanki, tak jak zakłada się kółko w nozdrza bykowi, wozili mnie do sądu w opancerzonym wozie z kratami w oknie... tak, właśnie tak jak się wozi wołu, wieprza, szkapę – o, nawet goryla – ale mój umysł był dalej wolny. Nie mogli mi odebrać wolności słowa dopóty, dopóki potrzebne były zeznania oskarżonego: goryla, wołu, szkapy.

Wiedziałem o tym, owszem, że społeczeństwo

musi więzić podejrzanych i traktować ich podobnie jak skazanych przestępców. Ale myślałem: Skoro społeczeństwo pozwala sobie na traktowanie mnie tak, jakbym już był skazany, to mnie wolno zachowywać się tak, jakbym już został niewinny!

Wiem, że sam sobie szkodziłem, wiem doskonale, że ciągle dawałem prokuratorowi nową broń do ręki, ale nie mogłem wtedy postępować inaczej. Przewodniczący sądu też musiał zrezygnować z prób zrobienia ze mnie bojaźliwego, posłusznego psa, jak to zwykle bywa z oskarżonymi. Zamiast tego używał sobie na potępieniu mojej „zuchwałości”, „nieprzyzwoitości” i „gwałtowności”.

Na wszystkie opróżnione butelki i zdobyte nagrody! Na wszystkie narty i kijki, które połamałem! – nie miałem żadnego powodu do czołgania się w prochu przed de Rechtbank w Amsterdamie! Nie miałem żadnego osobistego powodu, aby właśnie tym ludziom okazywać bojaźliwy szacunek! Uważałem, że nie jestem winien czynom zarzucanym mi przez ten akt oskarżenia i wszystkie akty oskarżenia razem wzięte. Wszystko wydawało mi się jakimś przedstawieniem, na pół prawdziwym, na pół nierzeczywistym, w którym znalazłem się przez przypadek, zdradę i krzywoprzysięstwo. Wszystko razem nie powinno mnie w ogóle dotyczyć. Wszystko razem nie powinno mnie w ogóle

obchodzić. Inni powinni siedzieć na moim miejscu w sądzie. Tak więc brałem uroczystych szafarzy sprawiedliwości poważnie tylko o tyle, że przeciw nim kierował się mój zawzięty i tępy gniew za zrabowanie mi wolności.

To było trochę szaleńcze. Oczywiście. Ale już od pierwszego dnia rozprawy czułem, że i tak mnie skazą, niezależnie od wszystkiego. Po ich oczach, po ich ustach i po sposobie zwracania się do mnie widziałem, że dla nich byłem pod każdym względem podejrzenie inny. „Winien” – mówiły ich myśli. Winien! Winien! Winien! Bo przecież mamy przed sobą barbarzyńcę, człowieka-zwierzę, dzikusa, niczym nieposkromioną maszynę z mięśni, nienawidzącą naszych synów!

O, Stefan nie miał lekkiego zadania. Po pierwsze, zabiłem Fritza Heilmanna i przyznałem się do tego. Po drugie, prokurator miał najważniejszych świadków. Po trzecie, zachowywałem się w sądzie prowokująco, demonstrowałem swoją siłę i chęć się nią: „Jestem silny, każdy to chyba widzi”. Po czwarte, okazywałem „lekceważenie sądu”. Po piąte, uznano mnie za psychopatę, niebezpiecznego dla otoczenia. Po szóste, byłem niechętnie nastawiony do Niemców – dlaczego nie nazwano tego pogardą, co? Prawie nienawiścią, co? Pogardą dla Niemców, a szczególnie „takich Niemców”: nie byli

to przecież tylko Niemcy, lecz również „skórzane kurtki” – w to mi graj, trudno o lepszych dla Bragessona, „trudno o czerwieńszą płachtę na Bragessona” – i po siódme, prokurator mógł sobie używać na mojej przeszłości.

Prokurator próbował także podsunąć myśl, że prawdopodobnie moje „częste wyprawy w góry” nie miały nic wspólnego z umiłowaniem przyrody, lecz wynikały z chęci szukania okazji do zwady. No, już to brzmi dosyć śmiesznie, cha, cha, ale proszę tylko zobaczyć, co dalej: celem tych wypraw w góry nie były szczyty i skały (prokurator uśmiecha się ironicznie), lecz górskie wioski i zapadłe strony, gdzie mogłem znacznie swobodniej dać ujście swemu rozpasaniu niż w mieście lub w gęsto zaludnionych dolinach. Tak więc umiłowanie przyrody było tylko parawanem.

Oto kilka fragmentów ostrego pojedynku, który miał miejsce jeszcze przed orzeczeniem biegłego psychiatry:

- Oskarżony śpi!
 - Proszę się zbudzić!
 - Na miłość boską, on znów śpi!
 - Panie posterunkowy, proszę trącić oskarżonego!
- Ktoś mnie trąca.
- Co to jest? – pytam.

– Co to jest? – złośliwym falsetem przedrzeźnia mnie prokurator. – To jest Arrondissementsrechtbank w Amsterdamie, sesja 1955 roku, a pan nie powinien spać!

– *All right*. Cały zamieniam się w słuch.

Pauza. Przewodniczący przypatruje się oskarżonemu. Czy wygląda na to, że już się zbudził? W porządku. Wobec tego prokurator ma głos.

– Tak, panie Bragesson, zatrzymałem się tu chwilę nad pańskim umiłowaniem gór. Pan z reguły chadzał na takie wyprawy samotnie?

– Nie w ostatnich latach. Miałem przecież Nordablaas i milutką.

– Nordablaas? Milutka? Zaraz, co to ma znaczyć?

– Mój szalas w górach i moja Siv.

– Pańska przyjaciółka. Może lepiej pan zachowa pieśzcotliwe imiona na własny użytek. A teraz następne pytanie. Czy pan słucha, Bragesson?

– Co?

– Musi pan uważać, co mówię!

– Tak, już słucham.

– Oby. A więc idźmy dalej: podczas tych wędrówek po górach robił pan od czasu do czasu wyprawy do wiosek górskich i małych osad.

– Prawda, robiłem.

– Po co? Żeby szukać zwady?

Pauza. Nie wiem, dlaczego wahałem się z odpowiedzią.

– Powtarzam pytanie: czy pan robił te wyprawy po to, aby szukać okazji do bójek?

– Nie, ale czasem tak wypadało.

– Co wypadało?

– To, że brałem się z kimś za bary. Czasami.

– Właśnie, mam też na to dowody. Mogę udowodnić, że pan był wmieszany w Norwegii w dość wiele bójek, zarówno w domach młodzieżowych, jak i poza nimi.

– Pan prokurator kłamie!

Przewodniczący wali młotkiem. Muszę się w sądzie wyrażać przyzwoicie.

– Nie chodziłem tam po to, żeby się bić, lecz na tańce.

– Dlaczego na tańce? Przecież pan mówi, że lubi pan samotność.

– Widzi pan, lubię również dziewczęta i tańce.

– Ale uczestniczył pan też w bójkach, sam pan to oświadczył.

– Tak.

– Czy wywołał pan sam którąś z tych bójek?

– Zdarzało się i tak. Ktoś musiał przecież zacząć.

– Co zacząć?

– Bójkę.

Sala reaguje śmiechem.

– Aha! Proszę wysoki sąd o wzięcie pod uwagę, że po takich bójkach oskarżony trzy razy przebywał w areszcie, a dwa razy został ukarany grzywną. Norweska policja właściwie puszczała mu te rzeczy płazem, bo uważano, że jest młody i niedoświadczony, no i że kiedyś wyrośnie z tej skłonności do awantur. Ale oskarżony nie wyrósł z tego, skłonność do gwałtu tkwiła w nim głęboko, wszędzie mu towarzyszyła, aż pod osłoną ciemności w pewnym wielkemiejskim zaułku wybuchła i...

– Proszę, aby rzecznik oskarżenia nie wygłaszał teraz przemówienia – mruknął przewodniczący sponad okularów.

Później ja zabrałem głos i opisałem te bitki w Norwegii jako „po prostu dla zgrywy, ot takie sobie zwykłe zakończenie wiejskiej potańcówki”. Treść nie dała się dokładnie przetłumaczyć na holenderski, ale prokurator na tyle zrozumiał, że spytał:

– Czy z tego wynika, że pan z ochotą brał udział w tych bójkach?

– Jeszcze jak. Zabawa była bycza, szczególnie wtedy, gdy piwo poszło już człowiekowi w nogi, a w głowie szumiało i nie wiadomo było nawet, kto właściwie kogo pierze.

Wmieszał się obrońca:

– Oskarżony ma na myśli to, że takie bitki stanowiły właściwie zabawę.

– Zabawę? Ale krew się czasem lała, prawda?

– Zdarzało się – odparłem. – Piwo i krew.

– Aha!

– Uha, ale pan prokurator się myli! Płynęło trochę krwi, prawda, ale człowiek ma jej w sobie kilka litrów, więc kropla tu i kropla tam nie robi wielkiej różnicy. A zabawa pozostawała prawie zawsze zabawą.

– Prawie zawsze?

Pauza.

– Powtarzam: prawie zawsze?

– Tak, bo gdy widziałem, że zaczyna się coś na dobre, to zabierałem się do rozdzielania tych, którzy się bili.

– Co pan mówi?

– Serio mówię. Często robiłem porządek, gdy się zanadto rozindyczyli.

– I pan chce, żebym w to uwierzył? No dobrze, ale jak pan robił ten porządek?

– Hm. Widzi pan, można stosować różne metody. Zdarzało się na przykład, że ja albo ktoś inny wynosiliśmy najbardziej zaciętrzewionych i oblewaliśmy ich zimną wodą. Czasami w pobliżu był jakiś potok albo rzeka, a wtedy ich tam zanurzałem. Potem perswadowaliśmy im łagodnie, że

tak nie można postępować, śpiewaliśmy im jakąś zwrotkę z piosenki i na pocieszenie dawaliśmy im piwa.

– Jak widać, występował pan w roli policji.

– Nie tylko ja. Zdarzało się na przykład, że robiły to dziewczęta.

– Dziewczęta uspokajały pańskich przeciwników?

– Dziewczęta wszystko potrafią. Smarkule nie przyznają się do tego, ale im się to wydaje bardzo ważną misją, gdy mieszają się między chłopów i trzęsąc tyłkami i cyckami dają do zrozumienia, że lepiej pójść spokojnie na siano.

– Dziękuję, to wystarczy. A te bójki, za które ukarano pana grzywną, też były tylko na wesoło?

– Oczywiście.

– Dlaczego więc wmieszała się policja?

– Taki wiejski glina też musi mieć jakiś cyrk.

– Co proszę?

– Mówię, że jeżeli policjant już się zjawi, to musi sobie znaleźć jakąś robotę. Gdy zaś ludzie biorą się za bary, ot tak dla zabawy, choćby nic wielkiego, to on musi na to patrzeć podejrzliwym okiem. Również wójtowi, wysoki sędzie, należy się na wsi jakaś zgrywa.

– Co proszę? – wybałuszył gały prokurator. – To już przechodzi moje pojęcie.

Obrońca:

– Oskarżony ma na myśli, że w małych osiedlach stosunki między policją a mieszkańcami są znacznie bardziej nieformalne niż w wielkim mieście. Do pewnego stopnia nawet familiarne.

– O, jeszcze jak.

Prokurator:

– Chciałbym zapytać, czy również wobec norweskiej policji przedstawiał pan swoje bójki jako zabawę?

– Tak.

– A co policja na to?

– Pieprzyli coś trzy po trzy o różnych paragrafach i karach, a ja śmiałem się im w nos.

– „Pieprzyli” – co za język! I pan się z nich śmiał! Czy pan nie ma żadnego respektu dla policji?

– Jakżeż nie. Ale nie wtedy, kiedy robią z igły widły. Cha! Cha! Raz podniosłem jednego glinę w górę, że mało go krew nie zalała.

– Coś takiego.

– Coś takiego, Heddo. Ale później była między nami sztama.

– Co proszę?

– Naprawdę. Za każdym razem, gdy jestem w tej wsi, jem u niego obiad. Pijemy piwo, potem po jednym głębszym, potem znów piwo, znów po

jednym głębszym, wypijemy na dobrą pogodę i znów zakrapiamy, raz piwem, raz głębszym, znowu piwem, znowu...

Stuk! Stuk! Stuk!

Obrońca:

– Chciałem zwrócić uwagę, że tu jest mowa o stosunkach w środowisku zupełnie odmiennym od tego, do którego jesteśmy przyzwyczajeni w Holandii.

– Ma się rozumieć – zapewniłem. – Weźmy na przykład wójta X w dolinie Y. Nie będę używał nazwisk i nazw, bo nie chcę, żeby stracił posadę.

Przewodniczący:

– Czy to ma związek ze sprawą?

– Tak. Proszę tylko posłuchać. Wójt X cierpi na bezsenność, a jeżeli wreszcie zaśnie, to go szlag trafia, gdy ktoś go budzi, aby donieść o jakiejś kradzieży lub innym świństwie w dolinie Y.

– Proszę się trzymać spraw dotyczących tego przewodu! Przecież pan opowiada nonsensy!

– To dotyczy przewodu i nie jest żadnym nonsensem! Staram się wyjaśnić okoliczności, które sam pan prokurator wmieszał w tę sprawę!

– W każdym razie wystawia pan złe świadectwo norweskiej policji wiejskiej.

– Nie mogę się z tym zdaniem zgodzić, panie prezesie. Trzeba bowiem wiedzieć, jak rzadko zda-

rzają się na tej wsi przestępstwa. Prawie nigdy. Ludzie się trochę poczubią, wypiją za dużo piwa, zgrywają się na wesoło, i to właściwie wszystko. Chyba trzeba dodać zagranicznych turystów, którzy swoją obecnością psują krajobraz, cha, cha, cha!

Przewodniczący robi głęboki wdech. Bardzo głęboki.

Oskarżyciel gdera ponuro:

– Możemy chyba wyraźnie powiedzieć, że grzywna jest i zawsze będzie grzywną, pijaństwo jest i zawsze będzie pijaństwem, bijatyka jest i zawsze będzie bijatyką, areszt jest i zawsze będzie aresztem, a brak respektu dla policji jest i zawsze będzie brakiem respektu i niczym innym! Gdybyśmy poszli po linii pańskiego rozumowania, doszlibyśmy do przerażającej konkluzji, że również zabójstwo jest zabawą! A teraz mam następne pytanie: czy podczas tych bójek zranił pan kiedyś któregoś ze swych przeciwników?

– Zranił?

– I to poważnie!

– Chyba raz tak było.

– Było, owszem, i mam na to dowody, Brageson.

Obrońca:

– Jesteśmy na to przygotowani. Przewidywa-

łem, że rzecznik oskarżenia zechce wyciągnąć na wierzch tę starą sprawę.

Prokurator powiewa arkuszami papieru:

– Te dokumenty wskazują, że oskarżony siedział już raz na ławie oskarżonych.

– I został uniewinniony!

– Czy mógłbym zaproponować obronie, aby mi nie przerywała? Dziękuję. W pewnej bójce Bragesson ciężko pokancerował twarz jednemu z przeciwników, ten zaskarżył go do sądu i domagał się odszkodowania, ale Bragesson został uniewinniony z powodu niejasnych zeznań świadków i braku dostatecznych dowodów. Niemniej przeto został ukarany grzywną za pijaństwo.

– Ów przeciwnik rzucił się na Bragessona z łomem.

– Może nie widział innego wyjścia, tylko chwycić za łom.

– Ale proszę zwrócić uwagę – ciągnął obrońca – proszę zwrócić baczną uwagę na tę okoliczność: Bragesson sam stał się niebezpieczny dopiero wtedy, gdy grożono mu niebezpieczną bronią.

– A może oskarżony przyczynił się do tego, że jego przeciwnik chwycił za łom? – syknął prokurator.

– Przypuszczam, że rzecznik oskarżenia dysponuje dowodami?

– Nie. Chcę tylko możliwie jak najwyraźniej podkreślić, że przez swą skorość do wdawania się w bójki oskarżony wiele razy wpadał w poważne tarapaty. Tego nie da się usprawiedliwić nawet owym przesławnym elementem wesołego nastroju, którym szermuje obrona. I ja zadaję sobie pytanie: powiedzmy, że pan Bragesson nie miał tej skłonności do bójek, czy w takim razie ktoś rzuciłby się na niego z żelaznym łomem? Proszę wysoki sąd o zwrócenie uwagi na fakt, że do wszystkich jego bójek dochodziło w różnych zapadłych stronach, w małych górskich osadach, ostatnia zaś miała miejsce w bezludnym wielkowiejskim zaułku. To może być wynikiem przypadku, ale czy równie dobrze nie może świadczyć o planowym postępowaniu?

Potem prokurator jeszcze raz omówił wszystkie bójki, wszystko poparł dokumentami i triumfował – aż go ten triumf rozpierał!

– Czy zawsze pan był pijany, gdy pan się bił?

– Pijany?

– O to pytam. To znaczy pod wpływem alkoholu.

– Owszem, mogło się zdarzyć, że wypilem trochę piwa.

– I wódki.

– Też się mogło zdarzyć.

– Lubi pan piwo?

- Szczególnie bożonarodzeniowe.
- Cóż to takiego?
- Takie piwo, które sprzedają przed świętami. Jest to mieszanina mocnego bawarskiego i...
- Dziękuję, te sprawy pozostawmy browarom.
- To po co pan mnie pyta? Proszę spytać w browarze.
- A jakie piwo pił pan podczas tych młodzieżowych zabaw?
- Latem eksportowe, ono jest mocne, a zimą bożonarodzeniowe, jeżeli w tej miejscowości nie było zakazu sprzedaży alkoholu.
- A jeżeli był taki zakaz?
- Wtedy miejscowi częstowali mnie piwem własnego domowego wyrobu.
- Potrafią je wyrabiać?
- W niektórych wsiach piwo leje się z cholewy.
- Z cholewy? Cóż to za sposób warzenia piwa?
- Cha, cha, cha! Tak się mówi po norwesku. To znaczy, że warzą dużo piwa.
- Rozumiem. Innymi słowy, pędzą samogon.
- Nie, pędzenie samogonu jest zakazane, choć tu i ówdzie trochę pokapuje.
- Co, proszę?
- Mówię, że są tacy, co pędzą samogon.
- A czy pan pędził samogon?
- Skądże, jak pan może mnie o to posądzać? Ale

warzenie piwa jest dozwolone. Jak dotąd.

– I to piwo jest mocne?

– No!

– Co, proszę?

– Jak diabli, chciałem powiedzieć.

– Dziękuję, to wystarczy. A teraz mam tu list, w którym niejaka panna Siv ostrzega pana przed nadużywaniem piwa i wdawaniem się w bijatyki. Innymi słowy: pańska znajoma prawdopodobnie musiała widzieć pana wiele razy w akcji i mówi na podstawie własnego doświadczenia.

– O, na pewno.

– Ona nie lubi bójek. Nie podobało się jej, gdy pan doprowadzał do rozlewu krwi.

– Ma pan rację.

– Innymi słowy: ta osoba obawia się następstw pańskiego gwałtownego usposobienia, szczególnie pod wpływem alkoholu.

– Siv nie lubi bicia się w jakiegokolwiek formie, nawet boksu nie znosi, chociaż to jest sport. Ale boks jest dozwolony w Holandii, prawda?

– Może pan mnie pozostawi przesłuchanie, panie Bragesson.

– Pytam tylko z ciekawości.

To zainteresowało mego obrońcę:

– Wzmianka oskarżonego na temat boksu nie jest wcale taka niemądra. Jeżeli bijatyka jest bija-

tyką, jak to mój szanowny oponent ciągle kategori-
cznie podkreśla, jeżeli więc nie da się rozróżnić
rodzajów bijatyk, w takim razie boks jest bijatyką,
dżudo jest bijatyką, dżiu-dżitsu jest bijatyką,
a więc niemoralne i występne. Czy dobrze zrozu-
miałem słowa pana prokuratora, że nie ma różnic
między rodzajami bijatyk?

– Przepraszam, to porównanie z różnymi gałę-
ziami sportu wydaje się naciągnięte.

– Sportu polegającego na biciu!

– Ale sportu, a więc czegoś zorganizowanego
i dozwolonego przez prawo.

– Niemniej przeto nie różniącego się od bijatyki!

Pauza.

Potem Stefan oświadcza:

– Nie da się wykluczyć, że te bijatyki, w których
Bragesson brał dawniej udział, mogły być pewną
formą rozrywki i sportu.

Oskarżyciel:

– Proponuję, abyśmy się w tej sprawie trzymali
litery prawa. Gdyby pan Bragesson lubił się bić
dla sportu, kluby bokserskie na pewno przyjęłyby
go z otwartymi ramionami.

– Słaby argument – zauważyłem.

– A dlaczego słaby? – warknął prokurator.

– Bardzo proste. Sport wyczynowy wymaga du-
żego wysiłku. Ja wybrałem biegi narciarskie, bo

do tego mam najlepsze warunki fizyczne. Gdybym trenował również boks, byłoby to dodatkiem do biegów narciarskich. A co miałbym do roboty w klubie bokserskim, gdybym nie chciał prowadzić regularnego treningu? O nie, próbowanie sił w zapasach na wsi to całkiem co innego. Do niczego nie zobowiązuje i można się rozerwać, panie prokuratorze!

Czy pan czuje nienawiść do Niemców? – zapytał oskarżyciel.

– Tak.

– A czy to nie jest zbyt mocne wyrażenie? – zapytał Stefan.

– Nie.

– A do niemieckich świadków czuje pan szczególną nienawiść, bo są nie tylko Niemcami, ale również przedstawicielami tego rodzaju młodzieży, dla której ma pan pogardę? – indagował dalej oskarżyciel.

– Tak.

– Gdy stanął pan z nimi oko w oko w „Czerwonym Amsterdamie”, czy wtedy przyszło panu na myśl, że to Niemcy zabili pańskiego ojca?

– Nie.

– A czy pomyślał pan o tym później, podczas bój-

ki?

– Tak.

– Kiedy?

– Pomyślałem o tym... gdy próbowali uderzyć mnie w pachwinę... Wtedy przyszło mi na myśl, że mego ojca też zamordowali Niemcy.

– Czy to pana jeszcze bardziej rozwścieczyło?

– Powiedziałem sobie, że to przecież nie oni zabili mego ojca, tylko inni Niemcy.

– Musiał więc pan uspokajać samego siebie.

– Nie mam zamiaru odpowiadać na to pytanie.

– Odpowiedź jest już właściwie zbędna.

– E tam. Można kogoś nienawidzić, ale to wcale nie znaczy, że się chce go wykończyć. Niejeden człowiek nienawidzi swojej teściowej, ale wcale jej nie wykańcza.

– Ale niektórzy wykańczają swoją teściową, Bragesson.

– Ma pan zupełną rację! Jestem wykończony!

Zabiera głos Stefan:

– Rzecznik oskarżenia usiłuje rozdać sprawę ogólnego nastawienia oskarżonego wobec Niemców. Żądam więc, aby oskarżony mógł nam wyjaśnić, na czym opiera się ta nienawiść.

– Żądanie obrony jest w pełni uzasadnione.

Stefan zwraca się do mnie z pytaniem:

– Proszę oskarżonego, aby przed udzieleniem

odpowiedzi zastanowił się i wystrzegał zabawy w grę słów. To nie jest bowiem zabawa, Bragesson! Chodzi o pańską wolność! Proszę o tym pamiętać! A więc pan mówi, że pan nienawidzi Niemców. Dlaczego pan ich nienawidzi?

– Przyczyn jest cała masa.

– Czy jedną z nich są obozy koncentracyjne?

– Oczywiście. Ale było też getto w Warszawie, wyczyny Einsatzgruppen, skazywanie milionów na śmierć głodową, zmuszanie milionów do niewolniczej pracy, i tak dalej, i tak dalej, w nieskończoność.

– Czy pan wie, ilu ludzi zgładziły hitlerowskie Niemcy?

– Około dwunastu milionów, nie licząc tych, którzy zginęli w normalnych działaniach wojennych. Dwanaście milionów bezbronnych ludzi zagazowanych, zamęczonych, zagłodzonych, i tak dalej, i tak dalej. Deutschland über alles! Nie zapominajcie o tym! Nigdy nie zapominajcie! Nigdy! Nigdy! Nigdy! Uważajcie, aby ta prawda nie przerosła się tylko w suche cyfry i statystykę, w odległą historię! Uważajcie!

– Bragesson! Gdyby hitlerowskie Niemcy zgładziły dziesięć tysięcy ludzi zamiast dwunastu milionów, czy to złagodziłoby pański pogląd na charakter narodu niemieckiego?

– Oczywiście. Do zgładzenia dziesięciu tysięcy nie trzeba aż tylu siepaczy. Ale do zgładzenia dwunastu milionów trzeba ogromnych zastępów morderców i jeszcze większej liczby pomocników i biernych widzów. Jakiś defekt w charakterze narodu, tak, musi być jakiś defekt, który umożliwia taką morderczą akcję!

– W naszych czasach zwykle hitleryzm i Hitlera, a nie Niemcy jako naród obciąża się winą za...

– Tak, tak, ale w ten sposób zakłada się, że narodowy socjalizm i Hitler mógłby przewrócić w głowie każdemu innemu narodowi! A to twierdzenie jest zbyt śmiałe! Nie mamy prawa występować z czymś podobnym. Musimy trzymać się faktów, a te świadczą, że w historii świata żaden naród nie odegrał roli bardziej negatywnej niż Niemcy. Pozytywne znaczenie Niemiec nie może nigdy, przenigdy zrównoważyć negatywnego. Nie mogłyby tego nawet uczynić miliony takich, jak Bach i Goethe.

Prokurator przerywa:

– Poprzednio wyraził się pan w tym sądzie, że zwykła uczciwość umarła. Co to oznacza?

– To bardzo długa historia.

– Ale czy naprawdę umarła na dobre, Brageson? – pyta Stefan.

– Umarła na dobre i bez reszty. W 1914 roku po-

ważnie zachorowała, ale niedomagała już od stuleci. W 1939 wyzionęła ducha. Szlus. W Hiroszynie zaś i w Nagasaki wyryto jej napis na grobie. Ta broń, którą Amerykanie mogli Japończykom zdemontować na jakimś odludnym miejscu, tak jak chciał Albert Einstein, na przykład na szczycie Fudzi-jamy, ta broń stała się epitafium. A teraz kultura wyśpiewuje ostatnią zwrotkę! To widać zupełnie wyraźnie! Niemcy przegrały wojnę, ale duch niemiecki zwyciężył. Duch niemiecki jest dziś duchem całego świata: twardy, metaliczny, gloryfikujący masę, gardzący jednostką! Niemcy zatrąły mentalność całego świata!

Długa cisza. Prokuratorowi nie podoba się ten moment refleksji, szybko więc i ostentacyjnie wraca do owych młodzieńców, niemieckich chuliganów z „Czerwonego Amsterdamu”.

– Jaka była pańska pierwsza reakcja po spotkaniu tych Niemców?

– Odraza!

– Dlatego, że byli Niemcami?

– Nie, przecież z początku o tym nie wiedziałem.

– A dlaczego czuł pan do nich odrazę?

– Bo zobaczyłem, że źle im patrzy z oczu, wyzierało z nich coś nienormalnego, tak jak z oczu młodego chłopca, który właśnie obejrzał pornograficzną fotografię, przeziera podniecenie erotyczne.

Skąpali się w kadzi zielonej diablej krwi... ci *Halbstarke*^[13]... wyobrażam ich sobie jako młodzież z dawniejszych czasów, gdy nie było motorów spalinowych i asfaltowych szos, nie było filmów z sexem i filmów wojennych, nie było telewizji, komiksów i pornograficznych piśmideł. Co by robili w tych czasach? Bez maszyn grających i coca-coli? Bez coca-coli! Bez tej soli życia, cha! cha! Proszę mnie posłuchać uważnie! Co dziś przeżywamy? Co dziś ma najważniejsze historyczne znaczenie? Co jest najbardziej znamienne? To, że cudowne osiągnięcia nauki prowadzą do wyprania mózgów, potwarzam, wyprania mózgów na całym świecie i stopniowego wyeliminowania całej kultury. A za dwieście lub sto lat tylko garstka badaczy będzie wiedziała, kto to był Goethe, Dostojewski, Strindberg i Shakespeare, ale wszyscy, absolutnie wszyscy będą musieli obowiązkowo wiedzieć, kto został w danym roku wybrany jako Miss Wielkapupa! A przedsiębiorcy, żeby sprzedać jakiś samochód, będą musieli w ogłoszeniach i na plakatach reklamowych obok pojazdów umieszczać wyzywająco gołe ba...

Stuk! Stuk! Stuk! Zdaniem przewodniczącego posunąłem się za daleko.

Oskarżyciel:

– Na miłość boską! Pan musiał chyba coś osobi-

ście przeżyć, skoro czuje pan taką pogardę dla naszych czasów.

– Cały świat jest dziś osobistym przeżyciem. Przytłamsza człowieka za pomocą całej masy aparatów. Osobiste przeżycie? Również w oczach moich znajomych mogę wyczytać ogłupienie. Życie nie jest już dla nich życiem, lecz pieniądzem, tylko pieniądzem, przedmiotem, rzeczą, gratem, tandetą. Mają głupawe twarzyczki. Wszędzie się roi od głupawych mordek. Szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Szczególnie w Europie. Szczególnie w Niemczech. Człowiek zaprzedał się gratom. Człowiek zawarł małżeństwo z tandetą. Niemcy ze swoim *Wirtschaftswunder*^[14], oni są *mehr glücklich*^[15], ci Niemcy, są z siebie bardzo zadowoleni, bo w dodatku nauczyli się wszystkiego od Amerykanów. Od Amerykanów! Ho, ho! Od Amerykanów! Hura! Idź spać, kulturo! Tak jest, najgorszym, najgorszym, najgorszym, co może być, to są Niemcy pod wpływem Amerykanów i tego amerykańskiego tramta-dramta, guma-do-żucia-tivi-spaliny-streamline-forsa-byznes-na-łeb-naszyję-pupatyłek-striptiz-hokus-pokus...

Stuk! Stuk! Stuk!

– W życiu nie słyszałem czegoś podobnego!

– Ostrzegalem cię! – szepnął mi Stefan po norwesku.

– Szumowiny ludzkie! Męty cywilizacji!

„Oskarżony ryczy w sądzie jak wół. Znów napad wściekłości. Znów naruszenie powagi sądu. Wiele osób z publiczności wstaje, aby lepiej widzieć. Policjanci robią porządek na sali”.

Tłumacz pocił się i tłumaczył. Przewodniczący walił młotkiem i ocierał pot. Prokurator chciał jednak – dla dobra sprawy – wiedzieć, co ja przez to wszystko rozumiem, a Stefan znów dorzucił kilka słów o desperackiej reakcji niewinnego człowieka.

– Bragesson! Co to są szumowiny ludzkie?

– Hołota! Bezwartościowe wyrzutki! Bezduszne jednostki! Wraki ludzkie!

– A co to są męty cywilizacji?

– Biurokrata, który zongluje losami ludzkimi w schematyczny i bezduszny sposób, wielu polityków, człowiek bezmyślnie spełniający wolę przełożonych, człowiek zarabiający na pornograficznych lub na pół pornograficznych wydawnictwach, to wszystko i jeszcze wiele innego składa się na męty cywilizacji. I młodzież, która nie ma innego celu w życiu oprócz chlania coca-coli, chodzenia do kina, jeżdżenia motocyklami i samochodami, ubierania się jednakowo w dzinsy i skórę, kupowania sprężynowych noży, używania przemocy, wywoływania awantur, pastwienia się nad młodszymi, gwałcenia nieletnich dziewcząt, tak, to wszystko

są właśnie męty i szumowiny cywilizacji!

– I za takich uważa pan niemieckich świadków?

– Tak!

– A więc pan twierdzi, że oni pastwili się nad młodszymi i gwałcili nieletnie dziewczęta?

– Jeżeli żaden z nich jeszcze tego nie zrobił, to niedługo zrobi. Ale prawdopodobnie niektórzy z nich mają to już za sobą.

– Bragesson, ja muszę to nazwać zwykłym oszczerstwem!

– Proszę bardzo.

– Czy może pan jest również zdania, że to, co pan nazywa szumowinami i mętami cywilizacji, należy wytępić?

– Co za infantylne pytanie!

Przewodniczący:

– Proszę odpowiadać do rzeczy!

– Odpowiadam w ten sam sposób, w jaki pyta oskarżyciel. Pan prokurator pyta, czy jestem potencjalnym masowym mordercą. Odmawiam odpowiedzi! Szkoda pańskiego trudu, panie prokuratorze!

– Czy dobrze zrozumiałem? – pisnął oskarżyciel.

– Czy naprawdę wydaje się panu, że w pańskiej naturze leży używanie przemocy?

– Wszyscy ludzie są tacy.

– Ale mnie w tej chwili interesuje pan, i tylko

pan, nie wszyscy ludzie. Czy w pańskiej naturze leży używanie przemocy?

Stefan:

– Protestuję! Nie można w ten sposób sugerować oskarżonemu odpowiedzi. A zresztą, jeżeli rzecznik oskarżenia nie uznaje za wiarygodne twierdzenia oskarżonego, że zabił w obronie własnej, dlaczego jest taki skory do uznania za wiarygodne tego oświadczenia, jeżeli Bragesson odpowie twierdząco?

Przewodniczący:

– Rozumiem pański punkt widzenia, niemniej jednak proszę rzecznika oskarżenia o wyjaśnienie tej okoliczności do końca.

Rozpaczliwa chwila milczenia.

– Tak, przemoc leży w mojej naturze.

Wielkie poruszenie na ławach prasy i wśród publiczności. Proszę sobie wyobrazić, oskarżony sam przyznaje, że jest przestępcą używającym przemocy!

– Jeszcze raz stanowczo protestuję przeciw takiemu formułowaniu pytań! Rzecznik oskarżenia zadaje pytania jednoznaczne i specjalnie sformułowane, a mój klient udziela odpowiedzi ogólnikowych i mających filozoficzne podłoże!

Przewodniczący:

– Ja jednak stwierdzam, że oskarżony udzielił

jasnej odpowiedzi na jasne pytanie. Przyznaje, że w jego naturze leży używanie przemocy.

– Ale co znaczy taka natura? Czy sformułowano odpowiednią definicję, jasną dla oskarżonego?

– Nam wystarczy, jeżeli wiemy, co sam oskarżony rozumie przez skłonność do używania przemocy – zmarszczył nos stary, zmęczony sługa Temidy.

– Dobrze, a więc co Bragesson rozumie przez to pojęcie? Posłuchajmy, co ma na ten temat do powiedzenia.

– Wniosek jest słuszny. Oskarżony ma głos – westchnął sługa Temidy.

Krótką pauza. Potem oskarżony mówi:

– Używanie przemocy leży w naturze wszystkich ludzi. Jesteśmy jedynymi na świecie zwierzętami uciekającymi się do przemocy, bo jedynie my wiemy, co to jest przemoc.

– Dlaczego w naturze wszystkich ludzi leży przemoc?

– Mnie proszę o to nie pytać. Nie ja stworzyłem ludzi.

– W takim razie na czym to polega, że ludzie uciekają się do przemocy?

– Dostojewski całe życie poświęcił, aby znaleźć odpowiedź zgoła niewystarczającą. Ja nie jestem Dostojewskim, a pan oczekuje mojej odpowiedzi

w ciągu kilku minut! Dziękuję za zaufanie!

– E! Nie może pan powiedzieć, dlaczego, ani nie może pan powiedzieć, na czym to polega, ale mimo wszystko ma pan na to swoje zapatrywania – prycha prokurator.

– Mam wrażenie, że pan jest w podobnym położeniu.

Przewodniczący zamyka dyskusję:

– Tak, w tym wypadku muszę przyznać oskarżonemu rację. Rzecznik oskarżenia żąda od niego odpowiedzi na pytanie, które gnębi ludzkość od tysięcy lat, a nadal pozostaje bez odpowiedzi. Zostawmy więc to i wróćmy do sprawy.

Następnego dnia wiele gazet przyniosło pod ogromnymi tytułami następującą sensację: „Bragesson przyznaje, że jest z natury skłonny do używania przemocy!”.

– Motorem działania w jego postępowaniu jest element rozrywki – brzmiały słowa Stefana w wystąpieniu obrończym. – Tego elementu, tego motywu można się doszukać niemal we wszystkim, co robi.

I Stefan nazwał mnie człowiekiem, który się zabawia.

Kotek bawi się myszką, obgryza jej ogonek i po-

zwala jej trochę poskakać, aby potem zatopić w jej karku cały zestaw ostrych zębów; oderwać kawałek skóry, wydlubać jedno oko, odgryźć jedną łapkę; mysz piszczy, mysz jest szarpana na kawałki, żywcem pożerana, kotek się bawi, kotek się rozkoszuje, kotek długo zaznaje przyjemności.

Pewnego razu czterech chłopców powiesiło kolegę na drzewie. Bawili się w bandytów i policjantów. „Bandyta” wisiał na drzewie. Nieżywy. Nie chcieli tego zrobić, pochlipywali, to była tylko zabawa – niemniej jednak kolega już nie żył.

– Jeżeli uda mi się przekonać sędziów, że twoje dawniejsze bójki były rodzajem zabawy, sąd może – w najlepszym wypadku – uznać tę bójkę w Amsterdamie za wypadek odosobniony, co będzie dla ciebie korzystne.

Ja nie zajmuję stanowiska wobec takiego elementu rozrywki. Ani nie potwierdzam, ani nie przeczę, że coś takiego mogłoby być motorem mego postępowania. Mówię tylko, że taki element może mieć również coś wspólnego ze złymi skłonnościami.

Ja nie we wszystkim podzielam stanowisko Stefana. Ja ani nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam jego teorii o klęsce żywiołowej. Mówię tylko, że słowa tego człowieka niepokoją mnie za każdym razem, gdy dąży do czegoś szczególnie ważnego.

– Ani twoje zeznania, ani zeznania Niemców nie wskazują na to, żebyś w którymkolwiek stadium bójki bił się tylko dla zabawy. Obie strony określa ją tę walkę jako prowadzoną od początku do końca na serio. Gdyby więc udało mi się przekonać sąd o elemencie rozrywki, powstałaby jedna luka w sieci poszlak oskarżenia. Nie mogę jednak wyrwać żądła tej diagnozie o psychopatii. Prawda, psychiatra nie wyklucza elementu rozrywki, lecz ten z kolei nie wyklucza wybuchowej psychopatii. Cholerna opinia! W jej świetle moje sugestie brzmią podejrzenie. Przeklęta opinia! Ona może cię położyć, przez nią sąd może przeoczyć to, iż nie ty masz udowodnić, że działałeś w obronie własnej, lecz rzeczą oskarżyciela jest udowodnić, że było przeciwnie!

Jako świadek występuje doktor Johan, naczelnny lekarz szpitala i mój stary przyjaciel. Stefan łagodnieje:

- Jak długo zna pan oskarżonego?
- Ponad dziesięć lat.
- A czy sądzi pan, że zna go pan dobrze?
- Tak sądzę.
- Czy zaskoczyło pana to, że oskarżony rzucił się na siedmiu mężczyzn?
- Dla mnie brzmi zupełnie niewiarygodnie, żeby Brage mógł to brać poważnie.

– Czy można przypuścić, że zrobił to na żarty?
Żeby zawrzeć znajomość?

– Jeżeli dobrze znam Bragego, to nie ma on skłonności do zabawy z młodzieńcami tego pokroju, o których tu jest mowa.

– Czy „skórzane kurtki” są zjawiskiem znanym też w Norwegii?

– Owszem.

– A nie wie pan, czy oskarżony stykał się poprzednio z młodzieżą tego rodzaju?

– Tak. Jako sportowiec stykał się z młodzieżą różnego rodzaju.

– Czy miał jakieś zatargi?

– Nigdy, o ile mi wiadomo.

– Ale już dawniej nie lubił tego typu młodzieży?

– Zdecydowanie. Odwracał się do nich plecami. Ogólnie można powiedzieć, że unika takich ludzi, jakich nie lubi, o ile może ich unikać.

– No, a „skórzane kurtki”, co się dzieje, jeżeli nie może ich uniknąć?

– Stara się nie rozmawiać. Jest milczący i nieprzystępny. Sam to widziałem na własne oczy.

– A jeżeli oni odezwą się do niego pierwsi?

– Wtedy odpowiada krótko.

– Nieprzyjaźnie?

– Daje do poznania, że go nie interesują.

– Czy nigdy się nie zdarza, że się na kogoś roz-

złości i jest wściekły?

– Zdarzało się, dwa razy sam widziałem.

– Czy uciekł się do rękoczynów?

– Nie.

– Czy kłął i wymyślał?

– Tak. Czy jest na świecie ktoś, kto nigdy nikogo nie zwymyślał?

– Czy przypomina pan sobie jakieś słowa, których używał?

– Szczególnie dobrze pamiętam jeden wypadek, gdy Brage miał rozruszać do ćwiczeń pewnego chłopca, który był też ofiarą paraliżu dziecięcego. Ten chłopiec chciał już zaniechać ćwiczeń, a wtedy zawołaliśmy Bragego, który zaczął od obrzucenia chłopca stekiem wyzwisk, nazywając go niezdara, ofermą i niedołągą. Skończyło się tak, że ten chłopiec też się wściekł, sam na siebie. Później Brage dużo z nim rozmawiał na temat siły woli. „Jeżeli zechcesz – przekonywał go – możesz stanąć na nogi i stać się kolosem”.

– Czy wykorzystywaliście Bragegessa i w innych podobnych wypadkach?

– Tak. Brage idealnie się do tego nadaje. Potrafi rozruszać nawet najbardziej apatycznych pacjentów i dodać im odwagi.

– Ale te wyzwiska miały pozytywny cel. A czy słyszał pan też inne?

– Niestety, nie pamiętam dokładnie słów. Było to raz przy gorącej dyskusji na tematy polityczne.

– Podczas tej rozprawy padło twierdzenie, że zanim doszło do bójki w „Czerwonym Amsterdamie”, Brageesson plunął na jednego Niemca.

– Trudno mi sobie wyobrazić coś, co bardziej nie pasowałoby do Bragego.

– Twierdzono również, że bił nieprzytomnego Niemca.

– Hm... Nie mogę zaprzeczyć, że Brage potrafi być czasami nieobliczalny i trudny, zawsze jednak uważałem go za człowieka rycerskiego.

– Czy zdziwił się pan, panie doktorze, gdy pan usłyszał, że Brageesson jest wybuchowym psychopata?

– Nie czuję się kompetentny do kwestionowania ustaleń doktora Saestada. Ja jestem internistą.

– To oczywiste. Pan występuje przed sądem jako zwykły świadek. Wypowiada się pan jako prywatny człowiek, nie jako biegły.

– Ma pan rację. A więc jako prywatny człowiek znający Bragego od wielu lat muszę powiedzieć, że oczywiście jestem zdziwiony.

– Czy zaskoczyło pana to, że jest on porywczy?

– Bynajmniej nie to. Często bywa w gorącej wodzie kąpany. Dziwię się jednak słysząc, że jest wybuchowym psychopata.

– Ale przecież wiele razy widział go pan, jak był wściekły.

– Tak. Ale ja też czasami bywam.

– Czy pan liczył się specjalnie z jego porywczą naturą?

– Nic podobnego. Brage też rzadko liczył się ze mną. Zresztą bawiliśmy się czasem, drażniąc go trochę.

– Czy on nigdy nie miał tego za złe?

– On nie stawia żadnych ograniczeń przyjacielskim żartom.

– Jakie pan odniósł wrażenie po przeczytaniu w gazetach, że oskarżony rzucił się w sędzie na świadka?

– Pierwsze wrażenie było następujące: skoro Brage zrobił coś tak nierozsądnego, musi być niewinny.

– A przy założeniu, że jest niewinny, ten wybuch nie był dla pana zaskoczeniem?

– Nie. Brałem pod uwagę jego żaloszny stan psychiczny, jego umiłowanie wolności i rozgoryczenie wobec ludzi, którzy się o nim kłamliwie wyrażają, tak że bez trudu mogłem sobie wyobrazić, iż położenie, w którym się tu w sędzie znalazł, mogło go łatwo wytrącić z równowagi.

Prokurator:

– Ale pan oczywiście nie twierdzi, że świadko-

wie kłamią?

– Nie mogę uwierzyć, że Brage rzucał się na ludzi, którzy mówią całą i pełną prawdę.

– Tym samym podaje pan w wątpliwość wypowiedź świadków.

– Jeżeli zeznania tych świadków pokrywają się z prawdą, to Brage musiał się w ostatnich miesiącach gruntownie zmienić. To miałem na myśli.

Obrońca pyta dalej:

– Jak stwierdził doktor Saestad, przez wiele lat służył pan oskarżonemu radą przy treningu. Czy pan ma kwalifikacje w tym kierunku?

– Jako lekarz, a także jako dawny zawodnik i trener, mogę przyjąć, że je mam.

– W zeznaniu doktora Saestada jest mowa o tym, że jako sportowiec Brage nigdy nie podporządkowywał się instrukcjom. Czy to prawda?

– Niezupełnie. Instrukcje otrzymywał ode mnie. Nie zawsze jednak stosował się do nich. Stopniowo wyrobił sobie swój własny pogląd na zasady treningu. Trening stał się dla niego czymś w rodzaju nauki. Podejmował gruntowne studia teoretyczne na ten temat. Uważam to za zupełnie naturalne, że w końcu chciał być swoim własnym instruktorem. Zresztą rezultaty świadczą, że był dobrym instruktorem.

– W oświadczeniu doktora Saestada jest mowa o tym, że Bragesson nie miał bliskich przyjaciół.

– Ja uważam się za jego bliskiego przyjaciela.

– Mam też innych bliskich przyjaciół. Ale doktor Saestad, jak mi się zdaje, węszył tylko w okolicy Oslo. Niewybaczalne lenistwo!

– Oskarżony, proszę milczeć! Nie pozwolę na żadne ataki!

– Dlaczego pan prezes używa określenia „atak”? To się w bardzo podejrzany sposób pokrywa z terminologią używaną przez pana prokuratora!

Pauza. Przewodniczący robi rozpaczliwy wysiłek, aby powstrzymać „psychopatyczny wybuch”, a potem, głośno oddychając, mówi:

– Oskarżony! Wykazywaliśmy wobec pana maksymalną cierpliwość, wiele nawet razy przekraczaliśmy granice, które są dopuszczalne w sądzie. Jeżeli pan... jeżeli pan... jeżeli pan nie... przestanie natychmiast występować z tymi dziecinnymi, lekceważącymi uwagami, będę zmuszony zarządzić wykluczenie pana z przewodu i dopuszczać tylko w wyjątkowych wypadkach, kiedy pana obecność będzie stanowczo niezbędna w celu przesłuchania. Proszę starać się zrozumieć to, co powiem. Sąd jest instytucją pracującą na podstawie zasad opartych na wieloletniej praktyce. Doświadczeni i mądrzy ludzie, mądrzejsi ode mnie, Bragesson, już

dawno doszli do przekonania, że nikomu, włączając oskarżonego, nie przynosi korzyści, gdy mu się pozostawia pełną swobodę mówienia wszystkiego, co mu się podoba. Jeżeli pan nie zechce tego zrozumieć, będę zmuszony w najdosłowniejszy sposób dać panu nauczkę, że nie opłaca się ubliżać powadze sądu! Jest to ostatnie ostrzeżenie!

Wszyscy patrzyli na mnie. Wodziłem oczyma po różnych twarzach. Widziałem złośliwe zadowolenie prokuratora i niemy, przyjazny wyrzut w oczach Stefana... także mój stary przyjaciel wpatrywał się we mnie; zatrzymałem wzrok na jego oczach, były czarne, ostrzegały i zdradzały niepokój! Byłem w niebezpieczeństwie! Groziło mi wielkie niebezpieczeństwo! Pierwszy raz rozumiałem ogrom tego niebezpieczeństwa. Zdałem sobie sprawę, że to nie było przedstawienie, że dotyczyło to każdego włókna w moim ciele, każdej komórki w moim mózgu. Więzienie! Więzienie! Kara! Strażnicy! Pojedyńka! Zimne mury! Rok za rokiem! Zima za zimą! Wiosna za wiosną!

Wiosna! Miałem być odcięty od wiosny! Zabraliby mi wiosnę! Odebrali mi zimę! Odebrali mi narty! Odebrali mi lato! Odebrali mi góry! Odebrali mi Siv! Pozbawiliby mnie wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego! Do kryminału z tym zezwierzęconym osobnikiem! Do ciupy z tym niebez-

piecznym barbarzyńcą! Do ciupy! Do kryminału!
Zamknąć drzwi! Zamknąć drzwi! Zamknąć drzwi!

Pierwszy raz obezwładnił mnie na chwilę strach, zmieniłem się w skomlaącego, czołgającego się psa:

– Jestem niewinny! – szepnąłem błagalnie. – Niewinny!

Patrzcie, patrzcie, to już inny ton! Znany, dobrze znany ton! Pokorny ton!

Przewodniczący dodał więc już łagodniej:

– Tak, proszę pomóc sądowi w rozstrzygnięciu, czy oskarżenie jest słuszne. A jeżeli pan jest niewinny, proszę nam tego nie okazywać w ten nieopanowany sposób. Byśmy mogli mieć lepsze o panu mniemanie. Może pan być pewien, że nie pozostajemy nieczuli również na dodatnie objawy. To wszystko. A teraz obrona może kontynuować badanie świadka.

Stefan zadaje pytanie:

– Podczas wielu lat znajomości na pewno prowadził pan liczne rozmowy z Bragessonem. Czego one dotyczyły?

– W pierwszych latach rozmawialiśmy głównie na temat sportu i zdrowego trybu życia. Przeważnie o tym myślał i ciągle się obawiał, czy jego tryb życia jest odpowiedni. Na początku o tym więc najczęściej była mowa, zauważyłem też u niego

pewną rezerwę wobec mnie, ale później to się zmieniło.

– Czy oświadczył kiedyś panu, że nienawidzi Niemców?

– Tak. Ale w tym punkcie zgadzam się z doktorem Saestadem.

– Czy ma pogardliwy stosunek do wszystkiego, co niemieckie?

– Teoretycznie: tak. W praktyce: nie. Jest wielu niemieckich uczonych i artystów, których podziwia. Jego ulubionym skrzypkiem jest pewien Niemiec, o którym wie, że podczas wojny był esesmanem.

– Czy oskarżony często zwierzał się panu?

– Oczywiście. Był u nas czymś w rodzaju przyjaciela domu. Moja żona i moje dzieci bardzo go lubiły. Toteż zupełnie naturalna wydała się nam propozycja, by sprowadził się do nas na stałe, bo przecież nie miał własnego domu. Chcieliśmy – ja i moja żona – stworzyć mu taki dom, a równocześnie łatwiej by mi było wtedy nim się zajmować. Niestety, nigdy nie udało się nam namówić go do tego.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem. Możliwe, że chciał sam dawać sobie radę.

– Czy czasami bywało mu ciężko materialnie?

– Nie ulega wątpliwości. Zawsze jednak dbał o to, aby żyć higienicznie i dostatecznie się odżywiać.

– Pan, doktorze, i pańska rodzina musieliście go bardzo cenić.

– Nadal bardzo go cenimy.

– Gdy odwiedzał państwa, czy było to wielkim wydarzeniem?

– Wielką radością. Dzieci przepadają za nim. Doskonale umie się z nimi bawić. Kiedy przychodził, w całym domu panowała radość. Bardzo się też zawsze przydawał.

– Pan powiedział, że Bragesson lubił bawić się z dziećmi. Czy oprócz tych zabaw z dziećmi zdradzał wesołe usposobienie także w inny sposób?

– Jak najbardziej. Jest niepoprawnym kawalerzem, płatał więc żonie i mnie różne figle. Zawsze wchodził kuchennymi drzwiami, a ja po krzyku żony mogłem się bez trudu domyślić, kto przyszedł.

– A jakiego rodzaju kawały państwu płatał?

– Hm, różne, bo trzeba powiedzieć, że jest urodzonym aktorem. Bardzo często zjawiał się w jakimś przebraniu, odgrywając role różnych typów. Na przykład domokrażcy sprzedającego łańcuchy przeciwśnieżne do samochodów. Ta postać ciągle się powtarzała, a muszę dodać, że nie mam samo-

chodu i nie chcę mieć. Innym razem bywał świadkiem Jehowy, ostrzegającym przed Sądem Ostatecznym, albo jakimś wędrownym kaznodzieją, straszącym ogniem piekielnym, mormonem albo żebrakiem czy ulicznym muzykantem bądź włóczęgą albo przestępcą poszukiwanym przez policję. Czasami udawało mu się nas nabrać. Szczególnie pamiętam jeden taki wypadek. Był przez dwa miesiące w górach i urosła mu broda, uzupełnił to przebraniem i kapeluszem... muszę tu wtrącić, że to było najbezpieczniejsze, bo miał na głowie mój własny stary kapelusz, który wyrzuciłem na śmieci i którego później nie poznałem... a więc użył tego kapelusza, ciemnych okularów i szminki, i w takim przebraniu zjawił się u mojej żony w kuchni jako sprzedawca premiowanego mydła. W dodatku wyglądał na nachalnego domokrażcę, którego trudno się pozbyć. Po jakimś czasie zaczął się zachowywać bardzo poufale, klepnął Magdę, moją żonę, po siedzeniu, uszczypnął w policzek, nazywając ją „gołąbeczką” i tym podobnie. Żona i ja rozgniewaliśmy się, a gdy go próbowałem wyrzucić za drzwi, on wziął mnie na ręce, zaniósł do pokoju, posadził w moim ulubionym fotelu, z szafy wyjął moje ranne pantofle i wreszcie znalazł książkę, którą od dłuższego czasu z zainteresowaniem czytałem. Dopiero wtedy zrozumiałem, kim

jest rzekomy domokrążca.

– Ostatecznie więc ubawili się państwo?

– No! I to jak! Pewnego dnia na przykład przyszedł, ciągnąc za sobą żywego kucyka. Dotychczas nie mam pojęcia, skąd go wziął, ale kucyk jest ciągle u nas i wszyscy bardzo go lubimy.

– Zdobyłem Jompi uczciwą drogą! – krzyknąłem ze swojej ławy.

– Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości, Brage.

– Założyłem się i wygrałem go. W mieście był wtedy cyrk, a po przedstawieniu poszedłem do siłacza Atlasa i powiedziałem: „Co dostanę, jeżeli...?”.

Przewodniczący przerwał:

– Rozumiemy. Wygrał pan zakład i dostał pan kucyka.

– No właśnie.

– Przyjmujemy bez zastrzeżeń, że to się odbyło w uczciwy sposób. Nigdy nie podejrzewaliśmy pana o jakieś oszustwo lub kradzież. Proszę, pan mecenas ma dalej głos.

Stefan:

– Pańska żona nigdy się na niego nie irytowała?

– Nie, ona ma mocne nerwy i mogłaby być dobrą matką dla takiego chłopca jak Brage. Zawsze zresztą czekała, co też za nowy kawał przyjdzie

mu do głowy. I mam wrażenie, że mówiła zupełnie poważnie, gdy pewnego razu oświadczyła: „Jeżeli Brage przyprowadzi dziś słonia, to będziemy musieli trzymać tu tego zwierzaka”.

Sala zatrzęsała się od śmiechu. Nawet przewodniczący zakaszłał.

– He, he, he! – krztusił się Stefan. Na sali zrobiło się nagle bardzo miło. Wszędzie uśmiechnięte gęby.

– Ale chyba nie zawsze bywał w takim humorze?

– Nie, czasami zdarzało się, że całymi godzinami siedział osowiały. Wtedy zostawialiśmy go w spokoju.

– Albo więc żartował, albo był osowiały?

– Nie. W usposobieniu i nastrojach Bragego jest, o ile wiem, znacznie więcej niuansów.

– Gdyby pan doktor miał w jak najkrótszych słowach nakreślić sylwetkę Bragegessa, to co by pan o nim powiedział?

– Brage jest bogatą osobowością, z wilczym apetytem życiowym. Jego zainteresowania obejmują wiele dziedzin, a jego siły potrafią wiele zdzierżyć. Jest również najbardziej żywotnym człowiekiem, jakiego znam. Jego uczucia i myśli są mocne i prostolinijne. Nie ma w nim nic fałszywego. Jest może trochę prymitywny, ale w taki sposób, że to

przemawia na jego korzyść. Takich ludzi, jak on, rzadko się spotyka w naszych czasach.

Na sali chwila znamiennej ciszy.

– A więc tak – przerwał ją Stefan. – Czy widział pan kiedyś, aby Bragesson się bił?

– Nie.

– Ale słyszał pan zapewne, że brał udział w bójkach?

– Tak.

– Co pan o tym sądzi?

Prokurator z sarkazmem:

– Zdaje mi się, że nietrudno się domyślić opinii pana doktora.

– Wcale bym się nie dziwił, gdyby wtedy też trzymały się go zwykle kawały. Mogę przypuszczać, że podczas takiej bójki daje się unieść brawurze, natomiast przypuszczenie, by miał jakieś złe zamiary, uważam za rzecz nie do pogodzenia z moim ogólnym sądem o jego osobie.

– Rozumiem. Czy odniósł pan wrażenie, że poczucie siły fizycznej sprawiało mu przyjemność?

– Stanowczo tak. Nigdy nie spotkałem człowieka, który miałby większą i bardziej naturalną zdolność odczuwania radości. Zawsze na nowo i zawsze tak samo szczerze cieszył się z każdego osiągnięcia w tej dziedzinie. Za każdym razem przeżywał to równie głęboko i można powiedzieć,

że za każdym razem traktował to jako niesłychany triumf, gdy podczas odwiedzin mógł mi oświadczyć, że udało mu się podnieść o pół kilograma więcej albo skoczyć o pięć centymetrów wyżej lub dalej, albo coś w tym guście. Gdy został sportowcem, każdy nowy sukces traktował tak, jakby to było jego pierwsze osiągnięcie w życiu. Jestem też pewien, że dla niego znacznie więcej znaczyło przewyciężenie własnego kalectwa niż triumf nad współzawodnikami. Żył w ciągłej obawie, że choroba może powrócić. Sam mi powiedział, że nigdy nie zapomni ostatniego pobytu w szpitalu. Choroba wybiła na nim piętno, co wyszło mu tylko na dobre. To dało mu wyraźny cel w życiu, pozwoliło mu wyrobić w sobie żelazną wolę i umocniło w nim wszystkie najlepsze cechy.

W tym momencie obrońca wydobył ze swych papierów jakiś stary egzemplarz ilustrowanego tygodnika norweskiego. Pokazał okładkę po kolei prokuratorowi, sędziom i przewodniczącemu:

– To jest zdjęcie oskarżonego. Podpis brzmi: „Najszcześliwszy człowiek”. Jak widać na tej fotografii, Bragesson tańczy z nartami i kijkami, zmęczony, ale przepełniony radością po zajęciu dobrego miejsca w biegu narciarskim.

– To prawda – dodał doktor Johan. – Bo też trudno powiedzieć, z czego Brage był lepiej znany:

ze swych sukcesów sportowych czy też ze swych wybuchów spontanicznej radości.

Obrona powołuje jako następnego świadka narzeczoną oskarżonego, pannę Siv. „Wchodzi ładnie zbudowana dziewczyna, w wieku najwyżej dwudziestu lat. Ma blond włosy, duże niebieskie oczy, jasną cerę, zmysłowe usta i kilka piegów u nasady nosa. Ubrana jest w jasnoniebieską sukienkę z czerwoną apaszką przy szyi, a na bujnej fryzurze ma mały i zupełnie zbyteczny kapelusik. Jest spokojna, zachowuje się godnie i od razu robi bardzo sympatyczne wrażenie. Na jej widok oskarżony wstaje i coś mruczy. Panna Siv zajmuje miejsce na ławie świadków, spogląda na oskarżonego i posyła mu promienny uśmiech – na sali robi się cisza. Przez czas swych zeznań prawie nie spuszcza z niego wzroku”.

Obrońca zadaje wstępne pytanie:

- Czy pani jest przyjaciółką oskarżonego?
- Jestem... – kiwa twierdząco głową, ale w tej chwili zauważa kajdanki na rękach oskarżonego i pyta: – Nałożyliście mu kajdanki?

Przewodniczący:

- To się niestety okazało konieczne, proszę pani.
- To dziwne! Nigdy przedtem nie trzeba było za-

kładać Bragemu kajdanków!

Stefan chrząka, dumnie wypina pierś i uśmiecha się do niej:

– W chwili aresztowania znaleziono w kieszeni oskarżonego list od pani, w którym pani pisze: „A więc mój miś musi być grzecznym chłopcem, nie pić za dużo piwa i podobnych rzeczy, nie wdać się w żadne burdy i zgrywy. Nie wolno mu się bić, nawet dla zabawy”. Czy pani potwierdza, że pani to pisała?

– Oczywiście.

– Wyraźnie z tego wynika, że przestrzega pani swego misia.

– Tak.

– Ten list stanowi dokument, którym posługuje się oskarżyciel. Dlatego jest ważne, abyśmy tutaj od pani usłyszeli, co pani chciała powiedzieć przez to ostrzeżenie.

Cisza. Świadek uśmiecha się do oskarżonego, a oskarżony mruczy coś o jej wspaniałym wyglądzie. Świadek kiwa głową na znak, że przyjmuje ten komplement, a oskarżony składa jej gratulacje z powodu nowej sukni. Głośno, tak że wszyscy mogą usłyszeć, stwierdza:

– To dla mnie się tak wystroiła!

Potem śmieje się zadowolony. Przewodniczący podnosi młotek, jakby chciał nim uderzyć w pul-

pit, ale rozmyśla się i przyjmuje ten romantyczny incydent z grymasem, który ma być ostrzeżeniem, że to już jest ostateczna granica. Bragesson natychmiast korzysta z okazji, aby zirytować przewodniczącego: patrząc mu bezczelnie w oczy, wybuchła śmiechem i woła:

– Nigdy nie widziałem tak ładnej sukni!

Ku zdziwieniu wszystkich obecnych szanowny, stary jurysta odpowiada, że Bragesson ma rację, suknia jest bardzo twarzowa, i skinieniem głowy wyraża uznanie młodej kobiecie, która rumieni się i dyga.

Stefan pyta dalej.

– W swoim liście używa pani pewnych określeń. Po pierwsze: prosi go pani, aby był grzecznym chłopcem. Czy bywał czasem niegrzeczny?

Szmer śmiechu.

– Co miała pani na myśli prosząc go, aby był grzecznym chłopcem?

– To, że musi uważać na siebie i nie wpadać w brawurę.

– Z kolei prosi go pani, aby nie pił za dużo piwa i podobnych rzeczy.

– Tak, bo on lubi piwo.

– A czy pani lubi piwo?

– Ja? No tak, musiałam się przyzwyczaić do piwa. Tylko że ja od piwa bardzo tyję. Ale Brage

lubi, gdy jestem trochę pełniejsza, więc nie miałam wymówki.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Nawet przewodniczący. Małe nieporozumienia zakochanych bywają częste i miłe. Tak, tak.

– No dobrze. Ale nie wszyscy jednakowo reagują na piwo. Jak reaguje Bragesson?

– Staje się bardzo przedsiębiorczy. Bardziej niż zwykle. Chce wszystkich rozruszać i rozbawić.

– Co robi, żeby wszystkich rozruszać i rozbawić?

– Wszystko, co mu wpadnie do głowy, różne rzeczy.

– Różne rzeczy. Przecież musi być jakaś granica nawet dla BrageSSona. Przecież wszystkiego nie może robić. Myślę, że pani powinna dać jakieś przykłady.

– No więc gra, śpiewa i zachęca innych do chóralnego śpiewu.

A takim nieśmiałym chłopcom, którzy nie mają odwagi zaprosić kogoś do tańca, przyprowadza partnerki. Wszyscy powinni tańczyć i bawić się wesoło, tak powiada. Odmawianie jest bezcelowe. Brage da sobie z każdym radę.

– I ludzie się z tym godzą?

– Niektórzy trochę sarkają, ale Brage nic sobie z tego nie robi. On jest na takich zabawach bardzo popularny.

- A inne przykłady?
- Wymyśla różne żarty. Podnosi mnie sobie nad głową i pyta, czy... czy... czy ma ładną dziewczynę. To jest kłopotliwe. Wszyscy widzą. Potem śmieje się serdecznie z tego, że jestem zażenowana. Nikt nie jest przy nim bezpieczny. Starsze panie tak za-
tańcowuje, że błagają o litość.
- Ale dobrze się bawią?
- Na pewno. On mówi, że odnawia im wspomnienia wiosny życia.
- I to mu sprawia przyjemność?
- O, ogromną.
- Ma pani jeszcze inne przykłady?
- Tak. Miewa najdziwsze pomysły, wspina się na drzewa albo wchodzi na dach, balansuje tam na szczycie, tańczy na kominie... a przecież może spaść i potłuc się. Urządza rozmaite zawody, kto komu przegnie rękę, kto skoczy najdalej, i różne takie... przeprawia się przez rzekę, skacząc po kłodach drzewa... a podczas wiosennej odwilży to może być niebezpieczne... może się uderzyć... wszystkich porywa za sobą... wszyscy mogą się po-
zabijać.

Prokurator:

- Wydaje mi się, że oskarżony ma również coś z ekshibicjonisty.
- A cóż pan o tym wie? – odparowuje świadek.

„Widać, że w tej kobiecie tkwi nie tylko łagodność. Z jej oczu padają na oskarżyciela błyskawice, a siedzący najbliżej mogli zauważyć, jak szyja i policzki świadka zaróżowiły się z gniewu”.

– To jest u niego zupełnie naturalne. On taki jest. Nikomu nie wpadło nigdy do głowy, że się popisuje. Pan prokurator jest pierwszym człowiekiem, który tak przypuszcza.

„Nie ulega wątpliwości, że oskarżyciel zmieszał się trochę, usłyszawszy te spokojnie wypowiedziane, ale mocno brzmiące słowa”.

– No tak, tak, ale lubi być ośrodkiem zainteresowania, lubi się popisywać, demonstrować swoją siłę i przewagę.

– A czy pan chorował na paraliż dziecięcy? Czy pan wie, co to znaczy być przykutym do fotela na kółkach, czy pan wie, co to znaczy wygrzebać się z takiego fotela? Czy pan wie, jakie to musi wyrzeć wrażenie na człowieku, który tego dokonał i ostatecznie został sportowcem?

– Nie, tego nie wiem, ale mogę sobie wyobrazić.

– Gdyby pan wiedział, uznałby pan, że on jest taki, jaki jest, że nie ma w nim nic błazeńskiego. Taki jest. Niektórzy są nieśmiali, inni są tacy jak Brage.

– Mam wrażenie, że niewielu.

– Prawda, ale czy to samo przez się jest podej-

rzane? Czy musi budzić podejrzenie fakt, że ktoś jest inny od większości ludzi?

– Niekoniecznie!

– „Niekoniecznie”! Nie podoba mi się takie sformułowanie!

Przewodniczący uśmiecha się:

– W sądzie się go używa, proszę pani.

– Ale co pan prokurator ostatecznie wie o Bragem? Żeby go dobrze poznać, trzeba wiele czasu. To nie jest takie proste, jak przypuszcza pan prokurator.

Przewodniczący:

– Mamy między innymi do dyspozycji orzeczenie biegłego psychiatry i na nim możemy się oprzeć.

– W oczach psychiatrów i w oczach sądu Brage jest zupełnie innym człowiekiem niż w oczach tych, którzy go dobrze znają.

Celne uderzenie. Ogromnie mi tym zaimponowała.

Rzecz niesłychana. Siv przystępuje do bezpośredniej akcji, jakby w roli oskarżyciela:

– Czy mogę zadać jedno pytanie?

– Hm. Właściwie do nas należy zadawanie pani pytań. No, ale proszę, tylko możliwie krótko.

– Czytałam po norwesku całe orzeczenie doktora Saestada. Ile razy Saestad zanotował to, co nazywa psychopatycznymi wybuchami? A więc raz

tu w sądzie i, jak sam mówi, wybuchy o słabszym nasileniu podczas obserwacji. Ale czy Saestad lub kto inny zauważył u Bragego takie wybuchy, zanim stanął on przed sądem? Czy zostały one stwierdzone? Nic podobnego. Doktor Saestad tylko przypuszcza!

Krótką pauza. Przewodniczący zakłopotany.

– Ależ pani wygłasza regularne przemówienie. To nie jest pytanie. Wyjaśnię jednak pani tę sprawę. Jako biegły doktor Saestad złożył orzeczenie oparte na wieloletnim doświadczeniu w tej dziedzinie. Sąd nie ma żadnych powodów do kwestionowania jego twierdzeń, może jednak, jeżeli uzna wypadek za szczególnie skomplikowany, dla pewności powołać nowego biegłego psychiatrę. Czy to nastąpi, jeszcze nie wiem. Jak dotąd taka potrzeba nie powstała, oskarżony również nie wyraził życzenia, by poddać się nowym badaniom. Przeciwnie. Mówiąc łagodnie, chciałby posłać wszystkich psychiatrów gdzie pieprz rośnie.

Wesołość. Siv patrzy na mnie z wyrzutem.

– Czy obrona ma jeszcze pytania do tego świadka?

– Tak.

– A więc proszę.

– Dziękuję. Czy oskarżony zachował się kiedyś wobec pani brutalnie.

– Nie, nigdy. Sąd może być tego pewien.

Przewodniczący:

– Sąd nie ma żadnych wątpliwości. Nie ma potrzeby, aby obrona zatrzymywała się dłużej przy tej sprawie.

„Oskarżony rzy radośnie”.

„Jego narzeczona ma więcej do powiedzenia”.

– Nie zawsze jednak mnie słuchał. Nie lubię, gdy zaczyna się bić, bo potrafi być wtedy bardzo nieostrożny.

– Czy to właśnie nazywa pani zgrywą?

– Tak, i Brage też. Ale taka „zgrywa” dla niego oznacza coś znacznie więcej. Można powiedzieć, że to dla niego synonim... synonim...

– Czego?

– Radości życia, powiedziałabym. Wyładowania się, rozwinięcia skrzydeł. On stale się wyładowuje. Ma tyle energii, tyle sił życiowych. Musi zużywać tę energię!

– Tak, on niewątpliwie należy do ludzi z nadmiarem sił żywotnych.

– O! Na pewno!

– Ale wróćmy do słów pani listu, że „nie wolno mu się bić, nawet dla zabawy”. Czy w tym mieści się pojęcie owej zgrywy?

– Tak.

– Czy widziała pani kiedyś, jak on się bił?

- Tak.
- Czy odnosił się wrogo do kogoś z tych, z którymi się bił?
- Z wyjątkiem jednego wypadku, zawsze lubił ich wszystkich.
- Czy niektórzy zaliczali się do jego przyjaciół?
- Naturalnie. To się często zdarza. Oni wszyscy razem są niemożliwi.
- Ale dlaczego chcieli się bić?
- Ja uważam to za głupie, ale na wsi w Norwegii chłopcy często są zdania, że zabawa nie jest prawdziwą zabawą, jeżeli nie ukoronuje się jej jakąś bitką. Widocznie sprawia im to przyjemność.
- Czasami jednak posuwają się zbyt daleko?
- Oczywiście. Ja jestem kobietą, więc nie trzeba wiele, abym uważała coś za dziką awanturę.
- Niektórzy zacierzewiają się przy tym?
- Zdarza się, ale prawie zawsze kończy się na tym, że zaprzysięgają sobie „wieczną przyjaźń”.
- Przecież już przedtem byli przyjaciółmi.
- Ho, ho! To trzeba podtrzymywać, trzeba wzmacniać! – woła wesoło oskarżony ze swojej ławy. „Jak widać, nie brak mu animuszu”.

Przewodniczący:

– Nikt nie zadawał oskarżonemu pytania!

Świadek:

– Ale jest właśnie tak, jak mówi Brage. Oni są

właściwie wszyscy dużymi dziećmi.

„Nowy wybuch śmiechu”.

Obrońca:

– Pani mówiła, że prawie zawsze dobrze się to kończy. Czy czasami bywa inaczej?

– Tak, zdarza się, że ktoś trochę oberwie. Brage dorobił się trzech złamanych żeber i wielu blizn.

– A więc pani nie lubi tego rodzaju zabaw?

– Czasami mogą być śmieszne. Brage potrafi błaznować, różne rzeczy strzelają mu do głowy... ale nie lubię, gdy dochodzi do bicia, nawet dla zabawy.

– Rozumiem, to jasne. A czy widziała pani, aby oskarżony bił się na serio?

– Tak, to byli obcy ludzie z sąsiedniej wsi, którzy... którzy... jeden podchodził z tyłu z łomem, ja to zobaczyłam i krzyknęłam, ostrzegając Bragego. Gdybym nie krzyknęła, naprawdę nie wiem, co by się z nim stało.

– A jak Bragesson postąpił z tym człowiekiem?

– O, to poszło bardzo szybko. Brage uchylił się, tak że łom trafił go w udo, a potem on powalił tamtego.

„W oczach młodej kobiety pojawia się błysk. Sądzimy, że mimo wszystko jest dumna ze zręczności swego narzeczonego w bójkach”.

– I tylko w tym jedynym wypadku pani widzia-

ła, że bił się całkiem na serio?

– Tak.

– Czy rozzłościł się?

– Nie. Myślę, że był rozgoryczony.

– Czy powiedział coś?

– Ani słowa.

Krótką pauza. Potem Stefan oświadcza:

– Nie mam więcej pytań do tego świadka.

Przewodniczący:

– Czy rzecznik oskarżenia pragnie zadać świadkowi jakieś pytanie?

– Nie, ale chciałem zwrócić uwagę na fakt, że większość bójek odbywała się bez obecności świadka.

– Wiemy o tym.

– Wiele takich bójek trudno określić jako przyjacielskie żarty.

– O tym też wiemy.

Stefan poprawia:

– Pan prezes ma na myśli chyba to, że zdaniem innych świadków niektórych bójek nie można by nazwać przyjacielskimi żartami.

– Słusznie, tak myślałem.

Prokurator:

– Nie mam więcej pytań.

Przewodniczący:

– Czy świadek chciałby jeszcze coś powiedzieć,

zanim zostanie zwolniony?

Cisza. Siv zastanawia się chwilę. Potem mówi:

– Brage to prawdziwy mężczyzna.

„Świadek natychmiast pojmuje wieloznaczność tych słów, więc dodaje”:

– Czasami bywa trochę dziecinny i zbyt pewny siebie, ale to dobry człowiek.

„Następnie świadek opuszcza salę, a Bragesson długo za nią patrzy. Publiczność pozostaje pod wrażeniem tej inteligentnej i dojrzałej, choć tak młodej kobiety”.

„Oskarżony zachowuje się jak bufon i aż pęka z dumy”:

– Morowa dziewczyna, co?

Kilka dni później:

„Sąd zakazał narzeczonej oskarżonego przebywać wśród publiczności na sali, ponieważ oskarżony zawsze, w niepojęty sposób, wyczuwa jej obecność i to odciąga jego uwagę od przebiegu rozprawy”.

Panie prezesie! Czy mam złożyć wyjaśnienie, czy nie?

– Sąd potrzebuje pańskich wyjaśnień, nie mogę jednak pozwolić na to, aby pan obrażał świadków

i pozwalał sobie na dłuższe wywody.

– Albo złożę to wyjaśnienie w swój własny, naturalny sposób, albo nie złożę go wcale. Proszę wierzyć, że potrafię też milczeć, jeżeli chcę.

Przewodniczący naradza się z pozostałymi sędziami. Rezultat:

– Pan jest człowiekiem inteligentnym, Brageson, apeluję więc do pańskiego rozsądku. Proszę nie wystawiać naszej cierpliwości na zbyt ciężką próbę, ale proszę złożyć to wyjaśnienie, na które już tak długo czekamy. Mogę panu pozwolić na pewne uwagi przekraczające ramy koniecznych faktów, jeżeli jednak zacznie pan używać obraźliwych słów, będę zmuszony panu przerwać.

– Jakoś dam sobie radę, spróbuję.

– Jako przewodniczący mam obowiązek utrzymać tę rozprawę w granicach przyzwoitości. Musi pan więc to zrozumieć i złożyć wyjaśnienie w stosowny sposób. Sam pan na tym najlepiej wyjdzie.

A więc tak – oto jest moje wyjaśnienie anno 1955. Upomnienia i ostrzeżenia zostały pominięte. Nie wnoszą one nic nowego, w każdym razie świadczą tylko o tym, że mimo oporu przewodniczącego powiedziałem mniej więcej to, co chciałem powiedzieć.

– Godzina była wpół do czwartej albo trzecia... nie pamiętam dokładnie, nie jestem człowiekiem

żyjącym według zegara... mniej więcej w tym czasie zaniósł mnie do tego zaułka, gdzie Deutschland^[16] próbował zrównać mnie z ziemią. Aber nein^[17], nie udało im się.

All right. Szedłem zatopiony we własnych myślach, trochę pogwizdywałem, coś tam nucilem i nie przeczuwałem żadnego niebezpieczeństwa, gdy nagle znalazłem się oko w oko z siedmiu młodzieniaszkami w dzinsach i czarnych skórzanych kurtkach. Dzinsy i kurtki. Mnóstwo skóry. Przystanąłem. Musiałem stanąć, bo po prostu zagrażali mi drogę. „How do you do” powiedziałem dość niemądrze, sam zresztą nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem, zwyczajnie wymknęło mi się. Nie miałem żadnego powodu, aby się z nimi witać, dalibóg nie miałem; patrzyli na mnie wrogo i ze złością w oczach – to były chore oczy, bardzo chore oczy, można z nich było niemal wyczytać: benzyna, oliwa, litraż, kawalerska jazda, chrom, nikiel, nikotyna, coca-cola, sterczące cyce i wyzywające uda, jazz, samba, rumba i humba. Na pierwszy rzut oka niewiele więcej. Musiałem więc roześmiać się im w nos. Ale im się to nie spodobało, zaraz wyjrzało im z oczu cwaniactwo. Przewąchiwałem coś niedobrego i pomyślałem: Może ci faceci są czymś więcej niż rycerzami asfaltowych szos i spalinowymi bohaterami. Może to urodzeni,

choć niby cywilizowani niszczyciele, ludzkie wraki, choć młode, małe duszyczki, brutalnie szukający draki, na którą wiele lat czekali – a teraz zdarza im się okazja.

Oho, pomyślałem. Właśnie to sobie pomyślałem. Nie będę z nimi zadzierał. Nie chcę być dzieciobójcą. A zresztą nie mam zwyczaju bić się z byle kim, nigdy nie biję się byle gdzie, a pod żadnym warunkiem dobrowolnie nie biję się z łamagami.

Niemcy uśmiechali się szyderczo. Z czego się tak śmieli? Czego chcieli ode mnie? Pieniędzy, krwi, czy jednego i drugiego?

Zrobiłem krok w ich kierunku. Nawet nie drgnęli. A więc tak. Chcą mi zagrozić drogę. Zagradzać drogę Bragemu Bragessonowi! Na to już trzeba wiele śmiałości!

Jak wiadomo, ja nie należę do takich, którzy wymigują się od wypróbowania swoich sił, szczególnie w dobranym towarzystwie. Gdy jednak w grę wchodzi gówniarze bez żadnego poczucia humoru, wtedy raczej ustępuję im z drogi. I to bardzo chętnie. Tym razem też próbowałem tak zrobić, chciałem ich obejść łukiem – mogli sobie nawet wykrzykiwać za mną „tchórz”, „cykoria”. Nie, nie krzyczeli, za to znowu zagrodzili mi drogę i szwargotali coś po niemiecku, obraźliwe słowa w ordynarnym języku. „Co to ma znaczyć?” zapy-

tałem po angielsku, ma się rozumieć trochę zirytowany. Jeden z Niemców odparł: „Verdammt Af-fenarsch!”, co znaczy mniej więcej „przekłęta mała dupa”. „Tak, tak – powiedziałem po norwesku przez zapomnienie – ale lepiej idźcie, chłopcy, do domu i połóżcie się do łóżeczek”. Dokładnie tak powiedziałem. A Niemcy na to: „*Bitte?*”. „*Heil Hitler und kein Spass nun* – burknąłem, dodając: – *gute Nacht, boys*”^[18] – i chciałem przejść przez stojących szeregiem Niemców. Na nic się to nie zdało. Stłoczyli się przede mną i wykrzykiwali z wyraźną groźbą: „*Gewalt, was?*”^[19].

„*Achtung!*”^[20] – skwitowałem. Równocześnie pomyślałem: Niedoczekanie, żebym musiał zmieniać kurs przez takich gówniarzy. Z drugiej jednak strony, jeżeli uda mi się szczęśliwie przemknąć obok nich, będę mógł już bez kłopotów skręcić w boczną uliczkę.

Tak też zrobiłem.

Aber doch^[21], co robią te ofiary? Tak, panie prezesie, oni biegną za mną... fantastyczne... otaczają dziką bestię z de Rechtbank, tacy odważni, że ktoś mógłby przypuszczać, że mają w kieszeni bombę wodorową. Wtedy wpadło mi do głowy, że mógłbym zawinąć rękawy i pokazać im mięśnie, żeby dostali szoku nerwowego... przestraszyć ich widokiem bicepsów, mój Boże, czy wy tu w Holandii nie

nie rozumiecie. A zresztą... Nie zawiąłem rękawów, bo miałem na sobie świeżo wyprasowaną koszulę i nie chciałem jej zgnieść. Dopiero później pomyślałem: może lepiej byłoby zmiąć koszulę niż maglować Niemców.

Wiadomo, że jestem silny, ale kto do licha mógł wiedzieć, czy oni nie mają przy sobie broni? Nikt. W każdym razie Bragesson nie mógł wiedzieć, a nikt inny nie wchodził w rachubę. Wtedy właśnie przypomniałem też sobie wiadomość wyczytaną raz w gazecie. Pewnej nocy jakiś mężczyzna zabłądził w dużym mieście... nie, nie, panie prezydencie, to nie jest wcale uboczna sprawa, ona ma tu istotne znaczenie... a więc ten człowiek zabłądził i proszę posłuchać, co go spotkało: w jakimś ustronnym miejscu otoczyła go banda młokosów, którzy mu zagrozili rewolwerami i zmusili, żeby się rozebrał do naga. Potem zaczęli go smagać kijami absolutnie bez żadnego widocznego powodu, chyba tylko dlatego, że nie podobała im się jego fizjonomia, natomiast bicie sprawiało im przyjemność.

Niech mi wysoki sąd wybaczy, ale nie mogłem nie przypomnieć sobie tej notatki prasowej. To było całkiem naturalne. A ci faceci, pomyślałem sobie, chyba też nie mają żadnego lepszego powodu, żeby ze mną zadzierać. Bo co ich mogło do tego

skłaniać? Czy coś ukradłem? Poderwałem im ich dziewczęta? Czy ich obraziłem? Czy w ogóle miałem z nimi coś wspólnego? Nic podobnego. Ergo musiał się za tym wszystkim kryć jakiś głupawy pomysł.

Postanowiłem jednak dać tym kurzym mózdzkom jeszcze jedną szansę. Czekałem więc, co będzie dalej. Była to z mojej strony po prostu wspałałomyślność. A jak ci Niemcy z niej korzystają? Owszem, dwu z nich uśmiecha się obleśnie, żeby ich źle nie rozumieć, chcą tylko prosić o ogień. Błyskawicznie wyciągają paczki papierosów. „You see?”

Ordynarny kowbojski styl.

To prawda, że przyszedłem na świat o dwa tygodnie za wcześnie, ale nie jestem w ciemną bity, he, he! Mało mnie krew nie zalała, gdy zrozumiałem, że Niemcom nie wystarcza liczebna przewaga, chcą jeszcze zająć mi ręce zapalnikami i wtedy zacząć. Lepszy goście. O, lepsi goście. Cwaniacy. Wobec tego szturchnąłem jednego Niemca w pierś – pip, odezwało się stamtąd – trąciłem go, aby sobie utorować drogę i wiać. Ale co się dzieje? Proszę, jakiś inny Niemiec wali mnie prosto w twarz. Fritz Heilmann! Trzask! Zobaczyłem wszystkie gwiazdy naraz i zadzwoniło mi w uszach. Spodziewałem się czegoś w tym guście, lecz mimo to byłem dość za-

skoczony, bo zdawało mi się, że moja groźna mina podziałała odstrasząco. Widocznie jednak było za ciemno, bo *ein, zwei, drei*^[22] – wszyscy rzucili się na mnie. Zaczęła się walka. Teraz musiałem się bronić.

No i tak. Wszyscy Niemcy kłębili się wokół mnie. Proszę mi wierzyć, wysoki sędzię, miałem takie uczucie, jakbym wpadł do studni pełnej węży, po prostu brzydziłem się ich dotykać. Najpierw rozdzieliłem kilka razy w różne strony i miałem nadzieję, że na tym się sprawa skończy. Myliłem się jednak. Dotąd poczynałem sobie z nimi zbyt delikatnie. Tak bywa, gdy człowiek za bardzo się cacka. Jeden z Niemców umiał się bok-sować. Fritz Heilmann. Doskakiwał z różnych stron. Trzask. To był mój najgroźniejszy przeciwnik. Fritz Heilmann.

Ponownie próbowałem zwiać, nie z tchórzostwa, tylko chciałem za wszelką cenę uniknąć rozkręcenia się na cały regulator... to znaczy, żeby się naprawdę nie rozzłościć. Nadaremnie.

Trzask! Fritz Heilmann.

Niemcy zastosowali teraz specjalną taktykę. Zorganizowali to bardzo sprytnie, w zasadzie pozostawiając pole walki bokserowi i atakując gromadą tylko wtedy, gdy z mojej strony groziła przewaga.

Ciągle jeszcze postępowałem jak w rękawiczkach. Gdybym bowiem chciał, mógłbym już dawno wykończyć tego boksera.

Trzask! Fritz Heilmann.

Jego specjalnością był lewy prosty.

Trzask! Boże, Fritz Heilmann znał się na boksie, to nie ulegało żadnej wątpliwości.

Tak trwało jakiś czas. Inni Niemcy co chwila grzmocili mnie w du..., czyli z tyłu.

W pewnym momencie jakieś bydlę pchnęło mnie z tyłu tak, że wystawiłem się wprost na cios z prawej strony w szczękę. Trzask! Fritz Heilmann! I wtedy kiedy już prawie zacząłem z gniewu tracić panowanie nad sobą, postanowiłem nauczyć ich dobrych manier.

Dobrych manier ich nie nauczyłem, natomiast zrozumieli, że muszą użyć całej swojej przewagi. Dziwne, pomyślałem, że chcą się ze mną bić na serio, muszą być chyba chorzy, tak, bardzo chorzy. Wiedziałem już, czego chcieli. Chcieli urzeczywistnić swoje senne marzenia, a nie spodziewali się, że mogą się dla nich okazać marą – jeżeli nie są uzbrojeni.

Miarka się przebrała. Wysoki sąd musi zrozumieć, że postępując tak oględnie, trwonilem tylko siły. Wobec ich przewagi moja jedyna szansa polegała na szybkim i gwałtownym działaniu. Proszę

jednak zauważyć, wysoki sędzie, że nie skorzystałem z tej szansy, zabrałem się tylko troszkę ostrzej do roboty, bokser dostał taką fangę, że złapał się za nos, inny zaczął jęczeć, że go boli ręka, a po kilku minutach wyglądało tak, jakby Niemcy zaczęli się trochę wahać. Jeżeli sędzili, że Bragesson jest tylko kupą mięsa, to w pełni zasłużyli na małą nauczkę.

Wysoki sędzie, proszę się postawić w moim położeniu i zrozumieć, ile to mnie, wybuchowego psychopate, kosztowało, aby wykorzystać wahanie się Niemców do rozpoczęcia pertraktacji pokojowych: „*Schluss und am Ende!* – wykrzyknąłem. – *Nicht mehr nun, nicht mehr nun!*”^[23] – Łamaną niemczyzną, ale byłem przecież dość podniecony.

A co zrobili Niemcy?

Ach, *Mensch*^[24], zaczęli się nawzajem podburzać, że chcieli przecież tylko prosić o ogień, a ja bez żadnego powodu rzuciłem się na nich, że nie daję spokoju porządnym ludziom. Wołali na mnie „goryl”. Co, ja i goryl? Ja, z moimi długimi nogami?

Mam wrażenie, że traktowali sprawę prestiżowo. Chcieli kogoś sprać na kwaśne jabłko, jak to widywali w komiksach, na filmie i również w rzeczywistości... a w dodatku mieli do czynienia z jednym samotnym człowiekiem, więc dla siedmiu

chłopa wyglądało to na zabawkę. Jak mogliby sobie nawzajem spojrzeć w oczy, gdyby musieli dać za wygraną? Nie zniesliby takiej klęski. Chodziło więc o honor. *Blut und Ehre!*^[25].

Nowa runda.

Nie pamiętam dokładnie, co się potem działo. Raz leżałem pod nimi, raz byłem na górze, i tak na przemian, a chwilami broniłem się oparty plecami o mur. Trudno było trzymać ich w szachu, piekielnie trudno, bo ja miałem tylko dwie ręce, a oni czternaście. Proszę to wziąć pod uwagę, wysoki sądzie, oni mieli czternaście rąk plus czternaście nóg. Nawet komary mogą zabić człowieka, jeżeli ich jest dostatecznie dużo.

To nie było byle co. Jak dziś pamiętam jeden szczegół: próbę uderzenia w pachwinę. Czterech mnie przytrzymało, a jeden kopnął – Fritz Heilmann – ale udało mi się na czas przekręcić. Ho, ho, nie wyciągnęli sprężynowego noża, widocznie w pośpiechu zapomnieli, ale użyli innego chwytu. Jeżeli wysoki sąd sobie życzy, mogę zademonstrować swoje lewe udo, tuż obok pachwiny.

Tam trafił mnie but Fritza Heilmanna. Mam tam ślad we wszystkich kolorach, żółtym, sinym, czarnym, zielonym, czerwonym, fioletowym... ten but mógł mnie na zawsze pozbawić męskości. O, nie, te aniołki nie używały noża sprężynowego,

znali inne rzeczy: cios w twarz, duszenie za szyję, wbijanie palców w oczy, uderzenie kamieniem w głowę, wreszcie Heilmann ze swym lewym prostym. Trzask! Bycza zabawa. Niemcy mają bajeczne poczucie humoru i fair play. Trzask! I tacy są dzielni. To należy do rzeczy, panie prezesie! Trzask! Pępek Europy!

Mimo tych ich drakońskich chwytów, długi czas udawało mi się uspokajać siebie samego: Brage, musisz to traktować jako nieuniknioną, choć perwersyjną zabawę, kiedyś ci dranie w końcu się zmęczą. Przede wszystkim musisz zachować zimną krew i okazać pewną wyrozumiałość, pamiętaj bowiem, jaką masz potężną siłę, a ci faceci są zbyt ograniczeni, aby wyobrazić sobie, jaki jesteś mocny, mógłbyś przez nieuwagę kogoś zabić, pilnuj się więc, chłopcze!

Tak sam sobie wmawiałem, chociaż dobrze wiedziałem, że w tym jest tylko połowa prawdy. W rzeczywistości groziło mi prawdziwe niebezpieczeństwo.

Walka była długa i ponura. Zamieniła się w krwawą łaźnię. Niemcy stawali się coraz bardziej agresywni, prawdopodobnie myliła ich moja ogłędność. Widocznie trzeba im pokazać, jaki naprawdę jestem silny, pomyślałem, i przez chwilę dałem im się ostro we znaki. Rezultat był smutny.

Jeden chudy Niemiec zsiniał na twarzy, przysiadł na tyłku i jęczał... drugi ryczał ze zwichniętym ramieniem, a wszędzie krew, krew i krew. Dlaczego, do cholery, nie mogą mnie zostawić w spokoju? Mam przecież prawo stłuc ich na miazgę. Nie, nie chciałem tego robić, chciałem tego uniknąć, dlatego więc jeszcze raz spróbowałem stosunkowo oględnym sposobem przebić się przez Niemców. Udało mi się, pobiegłem wzdłuż uliczki i biegnąc, poczułem, że coś się ze mną dzieje, że nie opłacało mi się przedłużenie tej walki i od początku powinienem był krótko się z nimi rozprawić. Niemcy puścili się za mną w pogoń, nawet ten płaczący biegł cały we łzach i zasmarkany... ale chociaż byłem już wtedy trochę zmęczony, nie zapomniałem sztuki biegania i odbiłem się trochę od nich, aż nagle – tak, to było tak, jakby sam diabeł zaczął się na mnie i podstawił mi kopyto, bo jak długi rozciągnąłem się w rynsztoku.

Gdy się pozbierałem, stwierdziłem kilka nieprzyjemnych rzeczy: po pierwsze, lewe kolano sprawiało mi prawdziwe tortury, po drugie, solidnie krwawiłem, czułem się słabo i kręciło mi się w głowie, po trzecie, szybki bokser już prawie mnie dopadał, a nieco za nim nadbiegała reszta wrzeszczących Niemców. Trzeba dodać, że jeden z nich kulał i nie nadawał się do walki.

Dlaczego nie uciekałem dalej? Dobrze to powiedzieć, ale kto potrafi biec, gdy kolano boli jak wszyscy diabli? Czy to pomaga w stawianiu miłych kroków? Oczywiście, że nie.

Wtedy ogarnęła mnie wściekłość i przygnębienie: „Chcecie mnie zabić, dobrze, jestem wprawdzie osłabiony, ale chodźcie, chodźcie tu, dranie!” – krzyknąłem.

Powaliłem boksera na ziemię.

Potem chwyciłem go za kostki u nóg i zacząłem nim kręcić młynka... a gdy nadbiegła reszta niemieckiego wojska, użyłem boksera przeciw nim jako maczugi. W koło. Coraz prędzej. Lewe kolano bolało mnie straszliwie, ale zacisnąłem zęby, żeby przewyciężyć ból.

Niemcy stanęli i wrzeszczeli jak szaleni.

W tym miejscu przewodniczący rzucił pytanie:

– Niemieccy świadkowie twierdzą, że Fritz Heilmann był w tym momencie nieprzytomny.

– Tak – odpowiedziałem.

– Świadkowie twierdzą, że stracił przytomność po pańskim uderzeniu. Również biegli oceniają, że Heilmann był prawdopodobnie nieprzytomny już wtedy, gdy pan go uniósł za nogi i zaczął nim wywijać.

– Nie zwróciłem na to uwagi.

Pauza.

– Jasne. Proszę dalej.

– Nie miałem zamiaru walić nim o mur. Chciałem nim rzucić w innych Niemców. Ścierwo do ścierwa. Ale zdarzyło się nieszczęście. Ścierwo do muru. Jego kostki wymknęły mi się z rąk. Heilmann poleciał głową wprost na mur.

Tak to się odbyło. Przez chwilę panowała cisza. Z przerażeniem zobaczyłem, że Heilmann leży na chodniku jak nieżywy. Zapomniałem o reszcie Niemców. A jak oni na to zareagowali? Gdy ja jak urzeczony wpatrywałem się w ten widok, w leżącego bez życia Heilmanna, oni, drańskie dusze, rzucili się na mnie i przewrócili mnie. Zabiłem go, pomyślałem, już nie żyje... albo może... może jeszcze.

Wtedy krzyknąłem, że trzeba lekarza:

– *Arzt! Arzt! Boys, nicht, halt, schnell, Arzt...*
Ar... [26].

Tak krzyczałem, mniej więcej tak, aż jakaś pięść znów zamknęła mi gębę.

Wysoki sądzie! Dopiero w tym momencie, tak, dopiero wtedy, ani sekundę wcześniej, stałem się zdolny do tego, aby świadomie zabić człowieka. Gdy wstałem i otrząsałem z siebie tłukących mnie Niemców, postanowiłem bronić się, nie przebierając w środkach. Byłem nawet zdecydowany na to, aby na cios w pachwinę odpowiedzieć ciosem w pachwinę, również teraz nie przeczę temu,

że byłbym tak zrobił, gdyby nie zaszła rzecz nieoczekiwana: Niemcy uciekli. Zwiali na łeb na szyję. Nie mogłem tego pojąć, ale dalibóg poczułem zadowolenie i ulgę. Otarłem krew i wyplułem jeden ząb.

Potem spojrzałem na boksera i zobaczyłem, że Fritz Heilmann dalej tam leży jak nieżywy. Powlokłem się do niego, chciałem mu zbadać puls.

Ale gdy ktoś ma rozwalony łeb, to zwykle już nie ma pulsu.

Tak, chłop nie miał już pulsu. Nic nie wyczułem.

Stało się najgorsze. Smutne. Smutne i bezsensowne. Siadłem obok niego, wziąłem go za rękę, wszystko razem było bezsensowne.

Pauza.

Byłem wzruszony. Wśród publiczności jakaś pani zaczęła głośno płakać, musiano ją wyprowadzić.

„Ale – piszą gazety – Bragesson pozbywa się nagle wzruszenia i grzmi dalej”:

– Po co kupuje się sprężynowy nóż? Po co zabiera ktoś sprężynowy nóż, idąc w zaułki wielkiego miasta? Żeby krajać chleb? Żeby czyścić paznokcie? Aby ostrzyć ołówki?

– Czy możemy uważać pańskie wyjaśnienie za skończone? – przerwał mi przewodniczący.

– A więc ten nóż sprężynowy. Nie nadaje się ani

do krajania chleba, ani do czyszczenia paznokci, ani do ostrzenia ołówków. Jest przede wszystkim narzędziem walki. Wysoki sędzie! Już ten jeden nóż...

– Odbieram panu głos!

– Ja chcę się bronić!

– Proszę pozostawić przemówienie obrończe swemu adwokatowi. Już dość pan wygłaszał przemówień.

– Nie chciałem zabić! Nie chciałem zluzować chwytu za kostki! Wymknęły mi się z rąk! Przysięgam: wymknęły się!

– Proszę milczeć!

– To nie my zaczęliśmy bójkę – zeznawali Niemcy – tylko Bragesson i ten drugi.

Któż był tym dziewiątym, nieznanym uczestnikiem bójki? Tego Niemcy nie potrafili powiedzieć, pamiętali tylko tyle, że był niższy ode mnie, miał ciemne lub ciemnoblonde włosy i umiał się trochę boksować. Mimo tej jego umiejętności ja byłem dla nich znacznie niebezpieczniejszy, dlatego główną uwagę zwracali właśnie na mnie.

Zeznania sześciu niemieckich świadków pokrywały się ze sobą w trzech najistotniejszych punktach: 1. Jak zaczęła się bójka; 2. Że wcale nie próbowałem ucieczki, wprost przeciwnie; 3. Jak się bójka zakończyła.

Stefan wypytywał tych świadków bardzo wyczerpująco i długo. Uczepił się między innymi momentu przybycia policji na miejsce wypadku – o godzinie 3.55 – i powrotu Niemców – o godzinie 4.17 – wskazując, że z tego można wyciągnąć wniosek, iż Niemcy mieli do dyspozycji co najmniej dwadzieścia dwie minuty na ewentualne odbycie narady w sprawie jednakowych zeznań, które fałszywie oświetlały faktyczny przebieg wydarzeń. Ponieważ Niemcy byli wmieszani w sprawę, tę możliwość należało tym bardziej wziąć pod uwagę.

Długo rozwodził się Stefan nad tymi dwudziestu dwoma minutami. Co Niemcy w tym czasie robili? O czym rozmawiali? Zadawał wymyślne i podchwytliwe pytania, lecz Niemcy nie dali się zbić z tropu. Twardo utrzymywali, że nie dlatego zwlekali z powrotem na to miejsce, aby wymyślić jakieś kłamstwo, ale dlatego, że bali się nowego rozlewu krwi. Dlaczego jednak nie zawiadomili policji? Owszem, w końcu postanowili to zrobić, ale chcieli jeszcze raz wrócić na miejsce i zobaczyć, co się dzieje z Fritzem Heilmannem. To było mimo wszystko ważniejsze od zawiadomienia policji. Dlaczego jednak upłynęły aż dwadzieścia dwie minuty, zanim wrócili do swego kolegi, skoro tak się o niego niepokoiли? Czy ociągali się tylko z obawy

przed nowym rozlewem krwi? Czy doprawdy nigdy nie zostawiali żadnego kolegi własnemu losowi? Dwadzieścia dwie minuty to wiele czasu. Jakiś szaleniec mógłby w znacznie krótszym czasie stłuc go na miazgę.

Co do tej okoliczności Niemcy jękali się niepewnie. Naprawdę bali się nowego rozlewu krwi, ale nie mogli uzgodnić, co należy dalej robić, dyskutowali więc i ociągali się z pójściem, a sam Bóg świadkiem, że dostali tęgie lanie i byli trochę oszłamieni.

Pozwalam sobie przedstawić w skrócie treść zeznań Niemców:

Jawohl, odbywali przejażdżkę na motocyklach po Holandii. W nocy na dziesiątego sierpnia znaleźli się w „Czerwonym Amsterdamie”. W jakimś zaułku spotkali oskarżonego i jego towarzysza, ci dwaj zagrodzili im drogę i wyraźnie zdradzali jakieś złe zamiary. Tamten drugi zapytał: „*Are you Dutch?*”^[27]. – „*Nein*”^[28] – odpowiedzieli Niemcy. – „*Aha, verdammte deutsche Schweinehunde*”^[29] – wrzasnęli tamci z nienawiścią, szczególnie Bragesson dyszał tą nienawiścią. Jednemu z nich napluł w twarz!

Bragesson i jego towarzysz zamienili kilka słów w języku, którego Niemcy nie rozumieli. Jaki to był język? Norweski? Czy Niemcy pamiętają ja-

kieś słowo? Owszem, pamiętają, że Bragesson stale powtarzał jedno słowo, które przypomina niemieckie „nein”. „Naj, naj” albo „nej, nej” powtarzał Bragesson kilka razy. „A więc Bragesson mówił po norwesku «nie» – skonstatował Stefan. – Z tego możemy się domyślać, że ten dziewiąty, jeżeli w ogóle istniał, był prawdopodobnie Norwegiem, Duńczykiem albo Szwedem. Czy rozmawiali ze sobą szybko i płynnie?” „Tak” – odpowiedzieli Niemcy. „A czy ich język brzmiał podobnie?” „Tak”. „Czy przypadkiem jeden nie mówił bardziej miękko niż drugi?” Tego Niemcy nie pamiętali. „Hm” – mruknął Stefan i rzucił mi srogie spojrzenie.

Jawohl, Bragesson i jego towarzysz pchali się na nich i nie dali się uspokoić. Nagle rzucili się na nich, waląc z całej siły, przy czym Bragesson bił poniżej pasa (roześmiałem się pogardliwie), tak że Niemcy musieli się bronić. *Selbstverständlich*^[30], chętnie by wszyscy uciekli, ale czy mogli to zrobić? Nein, bo napastnicy ciągle zagrażali któremuś z nich. Nawet ci, którzy mieli okazję uciec, nie zrobili tego, bo przecież nie opuszcza się kolegów w niebezpieczeństwie. „*Selbstverständlich, nicht*”^[31].

Natomiast w trakcie bójki ten dziewiąty zwał, Bragesson wściekle za nim ryczał, a potem jeszcze

bardziej morderczo zabrał się do Niemców. Był kolosalnie silny i piekielnie brutalny.

Bragesson koncentrował swoje ataki głównie na Fritzu Heilmannie, bo ten znał boks i najlepiej się bronił. Po pewnym jednak czasie Heilmann się przestraszył i uciekł, a Bragesson puścił się za nim w pogoń. Inni Niemcy próbowali mu w tym przeszkodzić, ale przedarł się przez nich jak rozjuszony byk, dopędził Heilmanna dość daleko od miejsca bójki i powalił go na ziemię. Bragesson jednym jedynym uderzeniem pozbawił Heilmanna przytomności. Heilmann leżał nieruchomo, z daleka mogli to widzieć. Ale Bragessonowi to jeszcze nie wystarczyło, nie, szalał z wściekłości, ryczał jak wół i kilka razy kopnął Heilmanna z prawej strony w pierś (właśnie w tym momencie rzuciłem się w sądzie na jednego z niemieckich świadków), bił go i bił, a potem porwał go za nogi i zaczął nim wywijać jak maczugą.

Ale u Heilmanna nie stwierdzono żadnych śladów uderzeń po prawej stronie piersi, natomiast na prawym biodrze (całe szczęście!) miał ślad, który mógł powstać od kopnięcia butem. „Tak, tak, a więc musiał kopać Fritza w biodro – skwapliwie przytaknęli Niemcy – z pewnej odległości wyglądało to, jak w pierś, z prawej strony”.

Gdy pozostali Niemcy znów zbliżyli się do Bra-

gessona i Heilmanna, zobaczyli, że twarz ich kolegi przypomina „krwawy befsztyk”, i mogli dosłyszeć, że oddycha; z jego ust wydobywały się chrapliwe świsty. Nie śmieli jednak zaatakować Bragessona, bojąc się, żeby nie stracił równowagi i nie zluzował uchwytu wokół kostek Heilmanna. Krzyczeli jednak, że ich kolega jest nieprzytomny, że Bragesson musi zwolnić stopniowo obroty i opuścić go ostrożnie na bruk. Prosilili go o to, błagali go o to, grozili mu nawet i wściekali się na niego, ale nic nie pomagało, „*der norwegische Slugger*”^[32] puszczał wszystko mimo uszu i kręcił się coraz prędzej i prędzej, a oni stali zupełnie bezradni!

Gdy Norweg rozluźnił chwyt, Heilmann poleciał głową wprost na mur, prostopadle do ściany; dokładnie widzieli, że nie osłaniał się rękoma.

Rzuciwszy Heilmannem o mur, Bragesson znów zabrał się do nich. Ale oni byli już tak rozsierzdzeni, że bili się równie brutalnie jak Norweg. Udało im się go powalić, ale wtedy dwóm z nich zdawało się, że słyszą jakieś zbliżające się kroki, że ktoś nadbiega. Ogarnęła ich panika. „To tamten wraca z posiłkami” powiedzieli sobie... dlatego puścili Bragessona i uciekli. *Selbstverständlich*, nie mieli zamiaru dać się zakatrupić.

Czyje to kroki słyszeli Niemcy? Nikt tego nie wie. Może był to ów samotny przechodzień, który

pobiegł zawiadomić policję, ale przecież jego kroki oddalały się, nie zbliżały, a ponadto ten przechodzień nie widział nikogo leżącego nieruchomo pod murem.

Może to był ten dziewiąty...?

Albo może policja ich tak wystraszyła? Albo sama myśl o możliwości przybycia policji na miejsce bójki? Może ten dziewiąty poleciał po gliny?

– Oskarżony Bragesson! Według pańskich własnych zeznań pan pierwszy przystąpił do rękoczynów.

– To nieprawda. Nie ja zacząłem.

– Ale pańskie własne oświadczenie brzmi, że pan pierwszy przystąpił do rękoczynów.

„Oskarżony ma niepewną minę i czerwieni się. Milczy jednak, mocno zaciskając zęby”.

– Pan oświadczył, że pan szturchnął jednego Niemca w pierś. Czy mocno?

– Nie.

– Pan powiedział, że z piersi tego Niemca odezwało się „pip”. A pan jest przecież silny.

– Nie szturchnąłem go mocno.

– Może pan jest silniejszy, niż pan sam sądzi.

– A więc powiedzmy, że w pełni panowałem nad swymi ruchami.

– Czy to szturchnięcie było konieczne?

– Przecież nie chcieli mnie przepuścić. Otoczyli

mnie i w którąkolwiek stronę chciałem pójść, wszędzie ta sama cholera.

– Ale oni jeszcze wtedy nie podnieśli na pana ręki. Według pańskiego własnego zeznania pan pierwszy podniósł rękę na nich.

„Oskarżony czerwieni się, ale milczy”.

Obrońca wstaje zirytowany:

– Do czego właściwie zmierza rzecznik oskarżenia? Niemcy otoczyli Bragessona, wielokrotnie zagradzali mu drogę. Grozili mu. Już to jest jakimś rodzajem rękoczynów, a w dodatku zapowiedzią rychłego użycia siły. Oskarżony chciał tego uniknąć, chciał utorować sobie przejście. Jeżeli chciał spokojnie pójść dalej, mu się udało utorować drogę. A chyba nie możemy mu brać tego za złe, że chciał pójść dalej.

Prokurator uśmiecha się i składa swemu szanownemu oponentowi wytworny ukłon:

– A więc na razie zapomnijmy o początku tej całej awantury. Przyjrzyjmy się natomiast bliżej jej przebiegowi i zakończeniu.

I zaczęło się niebezpieczne wypytywanie, dotyczące moich zamiarów:

– Pan twierdzi, panie Bragesson, że był pan sam jeden przeciw siedmiu Niemcom. Tych sześciu, którzy żyją, zeznało pod przysięgą, że z początku, może nawet przez połowę czasu trwania bójki, był

pan w towarzystwie kogoś drugiego, kto, zanim uciekł, pomagał panu. Pan odmówił zaprzysiężenia swojego zeznania. A mimo to oczekuje pan, a nawet pan żąda, abyśmy wierzyli panu, a nie niemieckim świadkom.

– Co by sądowi przyszło z mojej przysięgi? Przecież Niemcy też ją złożyli. Byłaby więc przysięga przeciw przysiędze, słowo przeciw słowu.

– Dlaczego odmawia pan zaprzysiężenia zeznań?

– Powiedziałem, że nie chcę składać przysięgi.

– A czym pańskim zdaniem kierują się Niemcy, zaprzysięgając, że pan był w towarzystwie kogoś drugiego?

– O! Mimo wszystko są na tyle ludźmi, że mają jakieś poczucie honoru. Za nic w świecie nie przyznaliby się, że napadli na samotnego człowieka, więc wydaje się im, że „dwu” brzmi lepiej.

– Pan opisuje bójkę tak, jakby cały czas groziło panu wielkie niebezpieczeństwo. Czy groziło panu?

– Nie przez cały czas. Z początku postępowałem bardzo oględnie, a Niemcy bili się według własnej metody... ale już o tym wszystkim mówiłem. Jeżeli pan prokurator zapomniał, co powiedziałem w swoim wyjaśnieniu, to odsyłam go do protokołu, gdzie ma to czarno na białym. Czarno na białym,

panie prokuratorze. Proszę więc nie próbować podstępem wydobyć ze mnie jakichś sprzeczności. Mam dobrą pamięć.

– Dlaczego nie udało się panu uciec na początku? Temu dziewiątemu udało się uciec.

– Ten dziewiąty jest wytworem wyobraźni.

– No dobrze, ale dlaczego pan nie zdołał uciec?

– Bo Niemcy zagrodzili mi drogę, a nie chciałem żadnego z nich powalić na ziemię. Czy mam powtarzać całe swoje wyjaśnienie?

– Pan powiada, że w miarę nasilania się bójki powiększało się grożące panu niebezpieczeństwo. Komu właściwie groziło większe niebezpieczeństwo? Panu czy Niemcom? Pan, panie Bragesson, niewątpliwie wygląda na poturbowanego, ale wielu Niemców jest znacznie gorzej poturbowanych. Może wymienię końcowe rezultaty pańskiej akcji: jeden zabity, jeden ze złamaną ręką, jeden w szpitalu z poważnym wpływem krwi, jeden również w szpitalu z obrażeniami wewnętrznymi, a trzech pozostali mniej więcej w takim stanie, jak pan. A więc pytam raz jeszcze: komu groziło największe niebezpieczeństwo?

– Walczyłem o życie. Pod koniec nie przebierałem w środkach.

– Ciągłe pan powtarza, że pan walczył o życie. A czy wołał pan o pomoc? A czy wzywał pan pomo-

cy?

– Nie.

– To dziwne, Bragesson. Osoba znajdująca się w niebezpieczeństwie zwykle wzywa pomocy.

– Nie wzywałem pomocy. Nie jestem byle kim.

– Dlaczego nie wzywał pan pomocy?

– Nawet nie wpadło mi to do głowy.

– Dlaczego nie?

– Myślałem tylko o tym, żeby się jak najlepiej bronić. Nie mam wprawy w wołaniu o pomoc. Jestem przyzwyczajony sam dawać sobie radę.

– Naprawdę? Czy jest pan przyzwyczajony do śmiertelnego niebezpieczeństwa?

– Co proszę?

„Oskarżony jest lekko zaskoczony. Momentalnie pojmuje, do czego zmierza prokurator”.

– Bragesson, czy pan jest otrzaskany ze śmiertelnym niebezpieczeństwem?

– Kilka razy w życiu byłem w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– O tym wiemy. Ale czy przeżywał pan śmiertelne niebezpieczeństwo aż tak często, aby się z nim otrzaskać?

– N... nie.

– A więc to ustalamy zgodnie z pańskimi słowami, Bragesson.

– Ale jestem przyzwyczajony do tego, aby sam

dawać sobie radę, chociaż nie jestem otrząskany ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. A broniąc się wtedy, miałem i tak już dosyć do myślenia. Całą uwagę koncentrowałem na obronie.

Prokurator wzrusza ramionami. Może zdobył jeden punkt przeciw mnie. Jestem skonfundowany. Mogę tylko powtórzyć, że nigdy nie przyszłoby mi do głowy wołać „Na pomoc!”. Prokurator uważa za dziwne, że to nie przeszło mi nawet przez myśl. Zabiera się więc do systematycznego oplątywania mnie siecią podejrzeń; udaje mu się zarzucić sieć złożoną z różnych prawdopodobieństw:

– Według pańskiego własnego zeznania udało się panu uciec. Ta ucieczka w końcu się panu udało. Pobiegł pan uliczką, ale potknął się pan w rynsztoku i stłukł sobie lewe kolano. Czuł się pan słaby i trochę oszołomiony, dlatego zrezygnował pan z dalszej ucieczki, mimo że po podniesieniu się z upadku miał pan jeszcze nieco przewagi.

– Zgadza się.

– Był pan zbyt wyczerpany, aby biec dalej?

– Nie, największą przeszkodą było kolano. Zrozumiałem, że z bolącym kolanem nie będę mógł biec dość szybko.

– A czy teraz kolano jest już w porządku?

– Trochę mi dokucza, ale na ogół w porządku.

– Czy zranił pan sobie to kolano?

– Lekko zraniłem, ale samo uderzenie w kolano może powodować ból przez kilka dni.

– Za bardzo więc bolało, aby pan mógł biec dalej. Zamiast tego powalił pan na ziemię Heilmanna, chwycił go pan za nogi i zaczął nim wywijać. A wtedy pańskie kolano musiało znosić nie tylko pański własny ciężar, ale i ciężar Fritza Heilmanna.

– Tak.

– To musiało być nie do wytrzymania, Brageson.

– Prawie nie do wytrzymania.

– Może dalsza ucieczka byłaby mniej dokuczliwa dla pańskiego kolana?

– Trudno mi powiedzieć na pewno. Zdaje mi się jednak, że gorzej by było biec. Największy ból czułem przy zginaniu kolana.

– A czy wywijając Heilmannem, nie musiał pan uginać kolana?

– Owszem, ale nie tak bardzo, jak przy szybkim biegu.

– I to wszystko rozważył pan sobie w pośpiechu, przed rzuceniem się na Heilmanna?

– Tak.

– Musiał więc pan być zupełnie przytomny.

– Zdaje mi się, że byłem, choć nie mogę być tego całkiem pewien. Ja również oberwałem niezłe po

głowie.

– Teraz proszę dokładnie uważać, Bragesson. Pan jest inteligentnym człowiekiem. Nie jest pan chory umysłowo. W momencie popełnienia zarzucanego panu czynu był pan w pełni władz umysłowych. Proszę słuchać uważnie. Sześciu Niemców mówi, że najpierw uderzył pan Fritza Heilmanna tak, że stracił on przytomność, a potem chwycił go pan za nogi i wywijał nim jak maczugą. Biegli uważają zeznania Niemców za zgodne ze stanem faktycznym; cała siła uderzenia o mur skupiła się na głowie Heilmanna, na rękach zmarłego nie znaleziono śladów tynku, tylko na głowie. W świetle orzeczenia biegłych świadczy to, że Heilmann nie zasłaniał się rękoma przed uderzeniem w mur, a więc prawdopodobnie był już wtedy nieprzytomny. A więc i co do tego Niemcy mają po swojej stronie opinię biegłych. Z tego wynika, że pan pozbawił Heilmanna przytomności jednym uderzeniem pięści. A jedynym człowiekiem, który tego nie widział, był ten, kto pozbawił go przytomności, czyli pan. Czy to brzmi rozsądnie?

– Nie, nie brzmi rozsądnie. Ale mogę powtórzyć tylko to, co powiedziałem poprzednio. Nie zauważyłem, że był nieprzytomny.

– Jak mógł pan nie zwrócić na to uwagi?

– Działiałem szybko.

- Mimo nadwerężonego kolana i osłabienia?
- Tak, walczyłem o życie.
- Ale chyba musiał pan zauważyć, że Heilmann nie stawiał żadnego oporu, gdy pan go podnosił za kostki u nóg?
- Nie zwracałem na to uwagi.
- Ale czy zauważył pan, że on stawia opór? „Oskarżony milknie i zamyśla się”.
- Nie pamiętam.
- To bardzo dziwne, Bragesson. Bo zwykle ma pan przecież doskonałą pamięć, nieprawda?
- Mówię przecież, że działałem szybko! Chwyciłem go bardzo mocno za kostki. Możliwe, że się wyrwał, ale nie pamiętam ani tego, aby się bronił, ani tego, aby się nie bronił.
- A więc jest możliwe, że był wówczas nieprzytomny?
- Możliwe.
- Tak, bo gdyby na przykład Heilmann uderzył pana w twarz, zwróciłby pan na to uwagę?
- Oczywiście.
- Wobec tego zwróciłby pan uwagę także na to, gdyby on podkurczył nogi, prawda?
- Tego nie pamiętam.
- Jest chyba mało prawdopodobne, aby on, będąc przytomny, nie ruszał nogami jedynie po to, aby panu pomóc?

– Nie pamiętam. Nie pamiętam tego. Nie zastanawiałem się nad tą sprawą.

– Doskonale! Pan nim wywijał, przez dość długi czas kręcił pan w koło Fritzem Heilmannem! A pozostali Niemcy ostrzegali pana. Między innymi krzydzeli: „*Vorsicht! Er ist bewusstlos!*”^[33]. Czy pan rozumie to, co przed chwilą powiedziałem, Brageson?

– Tak. „Ostrożnie. On jest nieprzytomny”.

– Czy pan nie słyszał, co ci Niemcy krzydzeli?

– Nie. Słyszałem, że krzydzeli, ale nie wiedziałem, co krzydzą. Przedtem też się darli. Nie zwracałem uwagi na ich nowe krzyki.

– Pan nim obracał, aż go pan puścił.

– Wyśliznął mi się z rąk. Wyśliznął się, powtarzam!

– No, więc pan nim wywijał, aż wyleciał panu z rąk. Wyśliznął się, powiada pan. A dlaczego się wyśliznął? Przed chwilą oświadczył pan, że mocno chwycił pan Heilmanna za kostki. Jak mógł się wyśliznąć z pańskiego żelaznego uchwytu, Brageson?

– Zmęczyłem się w końcu.

– A jak się panu wyśliznął z rąk? Czy najpierw z jednej ręki, czy równocześnie z obydwu?

– Zdaje mi się... zdaje mi się, że najpierw z jednej.

- Czy jest pan tego pewien?
- Nie całkiem.
- Ale sądzi pan, że najpierw wysliznął się panu z jednej ręki. Która to była ręka?
- Nie wiem.
- Ale jest również możliwe, że wypuścił go pan równocześnie z obydwu rąk, nieprawda?
- Wysliznął mi się!
- Dobrze, dobrze, a więc jest również możliwe, że wysliznął się panu równocześnie z obu rąk?
- Powiedziałem, że nie wiem. Nie jestem pewien.
- Pan mówi, że nie wie. Ale pan musi to wiedzieć.
- Stanowczo nie mogę wiedzieć.
- No, dobrze. Zostawmy to na razie. Pan wywił Fritzem Heilmannem, i to dość długo.
- Nie tak znów długo. W końcu nie jestem słoniem.
- Ale kręcił pan nim przez kilka sekund.
- Tak, na pewno kilka sekund.
- Czy w tym czasie myślał pan o czymś konkretnym?
- Myślałem o tym, że muszę się bronić.
- O niczym więcej? Czy nie nasunęły się panu jakieś inne myśli, choćby przelotne?
- Tak, owszem.

– Jakie?

– Nie wszystko pamiętam... myślałem o swym bolącym kolanie, myślałem o Norwegii, myślałem o tym, co mam zrobić z Niemcami po rzuceniu w nich Heilmannem, wzdrygałem się przed kontynuowaniem bójki, bałem się, pomyślałem o tym... o...

– O kim? – krzyknął Stefan.

Milczałem.

– Czy myślał pan o tym dziewiątym uczestniku bójki, Bragesson?

– Nie.

– Dlaczego nie?

Pauza.

– He, he! Bo żadnego dziewiątego nie było.

Prokurator:

– A inne impulsy, Bragesson? Inne przelotne myśli?

– Hm, słyszałem krzyczących Niemców, jeden głos był cienki jak głos kobiety... głos... taki cienki.

– Słuchał pan tego cienkiego głosu, powiada pan. A co ten głos mówił?

– Tego nie słyszałem. Słyszałem tylko jego brzmienie.

– A czy ten głos nie mówił na przykład: „*Vorsicht! Er ist bewusstlos*”?

– Nie słyszałem. Nie rozróżniałem słów.

– Ale wsłuchiwał się pan w głos!
– Sam to powiedziałem. Słuchałem tylko jednym uchem, a na rozróżnienie słów nastawiony był może jakiś setny ułamek mojej świadomości. Skoncentrowany byłem przede wszystkim na obro-
nie.

– A więc myślał pan o tym i owym. Ale o Heil-
mannie pan nie pomyślał?

– Cały czas wiedziałem przecież, że trzymam go
za kostki!

– Czy ociągał się pan z rzuceniem Heilmanna?

– Nie.

– A dlaczego nie rzucił pan nim od razu?

– Żeby zwiększyć siłę odśrodkową.

Wśród publiczności na sali rozlega się szum
i głosy „ach!”.

– Chciałem się bronić! Rozumie pan! Chciałem
się bronić! Musiałem, do cholery, zwiększyć
szybkość obrotów.

Prokurator, zupełnie obojętnie:

– Czy rzeczywiście nie zauważył pan, że Heil-
mann zwiślał panu z rąk jak nieżywy?

– Nie!

– Musiał pan więc zauważyć, że nie stawiał opo-
ru?

– Nie, patrzyłem na innych Niemców. W nich
chciałem rzucić Heilmannem.

– Zwrócił pan uwagę na jeden cienki głos wśród Niemców, natomiast nie zauważył pan tego, że Heilmann jest nieprzytomny. Kapitalne! Wręcz kapitalne!

– Nie patrzyłem na niego! Trzymałem go tylko za nogi!

– Gdy jednak pan schylił się nad Heilmannem leżącym na ziemi, gdy pan się nad nim pochylił i chwycił go za kostki, nie widział pan wtedy tego?

– wykrzyknął prokurator z nutą wielkiego triumfu w głosie.

– Nie patrzyłem na jego twarz.

– Ale patrzył pan na jego nogi!

– Tak.

– Czy ruszał nogami?

Długa pauza.

– Powtarzam pytanie! – wrzasnął prokurator. – Czy ruszał nogami?

– Wszystko... wszystko odbywało się tak szybko... nie pamiętam... nie pamiętam, czy ruszał nogami, czy nie.

– Bzdura! Powtarzam: bzdura!

„Oskarżony jest teraz ostatecznie przyparty do muru. Wyzywająca pewność siebie zupełnie go opuszcza”.

– Nie widział pan jego twarzy. Nie widział pan, że jego nogi leżały bezwładnie jak dwie kłody.

Może pan nie widział również tego, że pańskie ręce chwyciły jego kostki?

– Owszem, to widziałem.

– Niemożliwe! Jestem zdumiony!

– Ale przecież działałem szybko! Nie widziałem wszystkiego!

– Ale widział pan, że tam była para nóg, po które wyciągnął pan ręce!

– Tak.

– I widział pan, że to są nogi jakiegoś człowieka!

– Oczywiście.

– Widzi więc pan różnicę między człowiekiem a strusiem. Natomiast nie widzi pan różnicy między człowiekiem ruszającym się i człowiekiem nieruchomym. Dla pana trup i biegnący zawodnik to wszystko jedno.

– Nie, ale działałem szybko! Musiałem się spieszyć! Czy pan prokurator nie może zrozumieć, że musiałem się spieszyć? Sześciu innych drani rzucało się na mnie!

– Z całym pośpiechem chwyta go pan, w pośpiechu kręci pan nim młynka, wywija nim jak narzędziem, jak maczugą, w pośpiechu leci Heilmann głową na mur, nie zasłaniając się rękoma, i momentalnie ginie. Umarł momentalnie, Bragesson!

– Tak, to właśnie nieszczęście, że poleciał głową

na mur, że wyśliznął mi się z rąk, przeklęte zrządzenie losu! Nie chciałem go zabić! Chciałem się bronić!

– No tak, i właśnie o tym musi nas pan przekonać. Zdaje mi się jednak, że nie bardzo się to panu udaje. Trzeba czegoś więcej niż...

Stefan skoczył na równe nogi i krzyknął:

– Panie prezesie! Ja protestuję!

Pauza.

– Przeciw czemu obrona protestuje?

– Czy rzecznik oskarżenia jest prawnikiem? Czy pierwszy raz występuje na sali sądowej? Tak, pytam o to, bo nie mogę nie wyrazić zdumienia. Przecież nie do oskarżonego należy przekonać sąd o tym, że działał w obronie własnej! Rzeczą oskarżyciela jest udowodnić, że było inaczej!

– Muszę przyznać obronie słuszość.

– A jeżeli Bragesson przekroczył wymogi obrony koniecznej, rzecznik oskarżenia musi to udowodnić, nie można natomiast żądać, żeby oskarżony udowodniał, że było inaczej. Panowie sędziowie! Wysoki sądzie! Proszę o rozróżnianie tych pojęć! Proszę mnie nie pozbawiać możliwości skorzystania z uświęconej zasady, że wątpliwość przemawia na korzyść oskarżonego!

O, przewodniczący nie chciał pozbawiać Stefana tej możliwości, toteż ostro upomniał rzecznika

oskarżenia. Prokurator przeprosił i natychmiast przystąpił do dalszych pytań:

– Lecz to naprawdę dziwne, Bragesson, że pan, będąc w chwili popełnienia tego czynu zupełnie przytomny, nie zwrócił uwagi na to, że rzuca się pan brutalnie na człowieka ciężko rannego i nieprzytomnego.

– Widocznie musiałem być niezupełnie przytomny. Jeżeli to prawda, że Heilmann stracił przytomność po moim uderzeniu, a ja tego nie zauważyłem, to chyba też nie byłem zupełnie przytomny.

– Biegli twierdzą, że był pan przytomny.

– Biegli tam nie byli w danym momencie, ani na miejscu popełnienia czynu, ani w mojej mózgowicy.

– Pan próbuje, jak mi się zdaje, korygować psychiatrię sądową.

– Staram się tylko używać zdrowego rozsądku.

Krótką pauza. Sędziowie robią notatki. Ważne notatki, jak przypuszczam.

Prokurator głosem pełnym triumfu:

– Zdołałem ustalić, że pan uprawiał również rzut młotem.

– Zgadza się. I zapewne znów zamierza pan wykombinować z tego jakiś dowód, co?

– Prezes pańskiego klubu nazwał pana obiecującym miotaczem i wyraził żal, że pan porzucił tę

gałąź sportu.

– Chciałem poświęcić się tylko biegom narciarskim.

– Ale ma pan za sobą dobry trening w rzucie młotem?

– Trochę treningu mam.

– Użył pan Heilmanna zamiast młota. Okręcił pan nim dokoła, mniej więcej według zasad rzutu młotem.

– Pewne podobieństwo oczywiście było.

– Niemieccy świadkowie zgodnie oświadczają, iż rzut został wykonany z taką siłą i precyzją, że Heilmann uderzył prostopadle o ścianę. Biegli to potwierdzają i określają, że „kierunek uderzenia w ścianę można uznać za prostopadły”.

Wygłaszając mowę oskarżycielską, prokurator wołał:

– Czy mamy to uznać za czysty przypadek, że ofiara trafiła w ścianę prostopadle? Czy mamy uwierzyć w to, że wysliznęła mu się z rąk? Że tym silnym dłońmi nie udało się trzymać dość mocno? Czy możemy być aż tak naiwni, aby uwierzyć, że ten osiłek, zawsze skłonny do bójki i wyćwiczony między innymi w rzucie młotem, dokonał imponująco precyzyjnego rzutu w kierunku ściany zupełnie przypadkowo? Nie!

Dziewiąty uczestnik bójki, wymieniany w zeznaniach świadków, jak duch przewijał się przez cały proces i zapładniał ludzką fantazję.

Kto to był, ten „towarzysz Bragessona”? Istniał czy nie istniał? Jeżeli zaś istniał, to czy mógłby się stać koronnym świadkiem po którejś stronie albo nawet nadać sprawie jakiś nowy bieg?

Jeszcze przed rozprawą sądową policja prowadziła dochodzenia w tym kierunku i między innymi przesłuchiwała całą załogę mego statku „Harald Dagestad”.

Trzech marynarzy zwróciło na siebie uwagę, gdyż nosili świeże ślady walki. Dwaj z nich, jeden zezowaty blondyn, a drugi dobroduszny grubas, przyznali się do wesołych „drak” w „Czerwonym Amsterdamie”, ale dodali, że wszystko zostało dawno „załatwione z glinami”. To się po sprawdzeniu potwierdziło.

Żaden z nich nie spotkał mnie w Amsterdamie, w każdym razie żaden nie mógł sobie tego przypomnieć. Ale też obaj byli tak zalani, że gdyby mnie nawet spotkali, bez trudu uwierzyliby, że jestem cesarzem chińskim. Może nawet mnie widzieli, a może nie, może zobaczyli kogoś innego i myśleli, że to ja, ale zupełnie nie pamiętali, czy tak myśleli, czy nie myśleli. Stali z minami niewiniątek i pletli ni w pięć, ni w dziewięć, pamiętając tylko

tylę, że byli kompletnie zalani i prali się z jakimiś facetami, którzy potem okazali się marynarzami z duńskiego statku.

Pozostał jeszcze trzeci. Ten nie umiał jasno powiedzieć, co robił. On też został zraniony w „Czerwonym Amsterdamie” – i to tej samej nocy, co ja. Nie pamiętał dokładnie, kiedy i gdzie, bo był trochę pod gazem, ale ktoś go tej nocy napadł, powalił na ziemię i zrabował mu portfel. Zauważył trzech osobników – a może było ich czterech, bo nie będąc zupełnie przytomny, nie widział wyraźnie. Zawiadomił o tym napadzie policję. To się zgadzało.

Ten trzeci był ciemnowłosym adonisem wzrostu nieco wyższego niż przeciętny u Skandynawów, a szpeciły go tylko spadziste ramiona i obgryzione paznokcie. Gdy statek odpływał, jego zatrzymano i potem powołano do sądu w charakterze świadka.

Nowy świadek przedstawił się jako Bentein Dagestad, lat dwadzieścia trzy, obecnie pracujący jako smarowacz na statku „Harald Dagestad” należącym do firmy armatorskiej „Dagestad Lines Ltd., Oslo”. Ten zbieg okoliczności zdziwił sąd, więc Bentein wyjaśnił: – Jestem synem właściciela firmy. Zamierzam zostać inżynierem mechanikiem okrętowym i pływam w celu odbycia praktyki.

– Nie zamierza pan zostać armatorem? – zapytał Stefan.

– Nie. Zresztą... mam trzech starszych braci. Za dużo do jednej miski, a ja chcę być samodzielny.

Ten świadek wzbudził natychmiast szczególne zainteresowanie. Po pierwsze, zatrzymano go w Holandii i należało się domyślać, że zrobiono to z jakichś konkretnych powodów. Po drugie, na ławie dla świadków przybierał przedziwną pozę; starannie unikał spojrzenia w moją stronę – jakbym w ogóle nie istniał na tej sali, jakby mnie nie znał, jakby nie wiedział, kim jest oskarżony – tak się odwracał i tak kręcił głową, żeby na mnie nawet nie zerknąć. Choć robił to na pozór naturalnie, jego manewry rzucały się jednak w oczy i każdy obserwator musiał zwrócić uwagę, że Bentein Dagestad nie zachowywał się jak normalny świadek, nie przybierał normalnej postawy, przeszkadzała mu i drażniła go bliskość oskarżonego.

Trzeba dodać, że był bardzo przystojny, miał wprost klasyczną męską urodę; już choćby głowa – jej kształt, profil, szyja, kark, karnacja skóry, delikatne nozdrza, łagodny łuk ust, broda, brązowe oczy, czarne i ostro zarysowane brwi – wszystko, absolutnie wszystko było subtelne, stanowiło skończoną formę południowego piękna. Na jego widok ktoś mógłby pomyśleć o pięknym księciu

z bajek „Z tysiąca i jednej nocy”.

O swym stosunku do mnie Bentein powiedział krótko: Znał mnie od wielu lat, należeliśmy do tego samego klubu sportowego. Pewnego dnia przyszedłem do niego i zapytałem, czy mógłby jak najszybciej wystarać się dla mnie o pracę na statku. Nie chciałem zaciągać długów na studia, za to chciałem zarobić trochę pieniędzy i w dodatku zobaczyć kawałek świata. Przypadek sprawił, że właśnie jeden członek załogi statku „Harald Dagestad” zachorował i w ten sposób Bentein i ja znaleźliśmy się na tym samym pokładzie.

Gdy Bentein wkroczył na salę sądową, ja od dłuższego już czasu drzemałem, byłem głuchy i niemożliwy, a jeżeli ostatecznie zabierałem głos, to „wygadywałem głupstwa”.

Ale na dźwięk jego głosu zbudziłem się, wyprostowałem i spojrzałem na nowego świadka z szyderczym uśmiechem. Ktoś mógłby pomyśleć: aha, jeszcze jeden człowiek znieawidzony przez oskarżonego.

Nagle mu przerwałem:

– Witam cię w sądzie, Bentein!

Przewodniczący uderzył młotkiem, ale Bentein nie zmienił wyrazu twarzy. Był, jak się to mówi, „blady, lecz opanowany”. Bardzo opanowany. Intensywnie opanowany. Wiele ust wymawiało sło-

wo „dziewiąty”. Tamten osobnik był też „ciemnowłosy i niższy od oskarżonego”.

„Między tymi dwoma, Benteinem Dagestadem i Bragem Bragessonem, panuje stan napięcia” pisały prawie wszystkie gazety. „Wszyscy to odczuwali. Zdawało się, że Bragessonowi zjeżyły się włosy, gdy w końcu zdał sobie sprawę z obecności nowego świadka”.

Czy to Bentein zapytał: „*Are you Dutch?*”.

Jeden z Niemców sądził, że poznaje jego głos, dwaj nie byli tego pewni, a trzech pozostali twierdzili, że Bentein ma wyższy głos niż osobnik towarzyszący Bragessonowi.

Bentein miał głos miękki, przyjemny – i wysoki, świetnie się nadający do szeptania miłosnych zaklęć.

Czy niemieccy świadkowie mogli się dopatrzeć jakiegoś podobieństwa między towarzyszem Bragessona a Benteinem Dagestadem?

Tak. Chyba tak. Chyba ten sam wzrost, może też ten sam kolor włosów, twarz jakby skądś znajoma, ale...

Niemcy dyskutowali między sobą, nie doszli jednak do porozumienia. Przy szczegółowym przesłuchaniu pięciu z nich nie potrafiło wypowiedzieć się na pewno. Tylko ten, który sądził, że poznaje głos, obstawał przy swoim: Bentein Dagestad towarzy-

szył Bragessonowi.

Bentein zaprzeczył, poważnie i spokojnie.

Ja powołałem się na swoje poprzednie zeznania i nie miałem zamiaru ich zmieniać.

Zauważono jednak, że tylko powołałem się na poprzednie zeznania. Nie powiedziałem: To nie był Bentein.

– Czy niemieccy świadkowie zechcieliby użyzyć mi chwili uwagi? – zapytał Stefan. – Dziękuję. W uliczce było ciemno i panowie nie mogli dobrze widzieć tego dziewiątego. Uciekł zresztą dosyć wcześnie. To wiemy. Ale chyba któryś z panów musiał znaleźć się w pewnej chwili dość blisko niego?

Niemcy coś bełkocą.

– Któryś z panów bił się przecież trochę z tym dziewiątym, prawda?

– Prawda.

– Czy panowie widzą, że pan Dagestad ma wielki plaster na lewej skroni?

– *Jawohl.*

– Został zraniony tej nocy, kiedy zginął Fritz Heilmann. Kto z panów bił się z tym dziewiątym?

Zgłosili się dwaj.

– Czy któryś z panów mierzył w twarz, bijąc tego dziewiątego?

Obaj.

– Doskonale, moi panowie. A czy któryś z was trafił tego dziewiątego w skroń?

Nie pamiętali. Jeden przypuszczał, że trafił w czoło lub oko.

– A więc blisko skroni. Dziękuję. Na razie nie mam dalszych pytań.

Wystąpił szereg innych świadków, co jeszcze wzmogło zainteresowanie osobą Benteina. Pewnemu barmanowi „zdawało się”, że owej nocy widział oskarżonego w towarzystwie jakiegoś pana, który „mógłby być Benteinem Dagestadem”. Nie mógł jednak nic powiedzieć na pewno.

Pewna kelnerka z małej kawiarni widziała oskarżonego razem z drugim panem i Dagestad w gruncie rzeczy przypomina tego drugiego.

– Bzdury! – oświadczyłem. – Przebywałem w towarzystwie różnych ludzi, przypadkowo tu i ówdzie spotkanych. Gadałem z nimi i chodziłem razem z nimi, bo chciałem dokładnie poznać tę zgniłą atmosferę.

Trzeci świadek również widział „Norwega” w towarzystwie znacznie niższego mężczyzny, ale czy to był Dagestad? Może... nie... chyba... chyba tak... nie, raczej nie.

Bentein oświadczył, że tej nocy miał na sobie czarne ubranie, białą koszulę i czerwony krawat. To się zgadzało. Również ja mogłem to poświad-

czyć. Widziałem go, gdy wychodził na ląd w Rotterdamie.

Wszyscy Niemcy przysięgali, że towarzysz Bragesson ubrany był w czarny garnitur, koszulę żółtą albo białą, albo jasnoniebieską, albo... itd. Inni twierdzili, że ubranie było granatowe, ciemnoniebieskie, czarne w białe paski, ciemnobrązowe, krawat zielony, liliowy, fioletowy, czerwony, ciemnoniebieski, itd.

Prokurator wziął się na kelnerkę:

– Droga pani. Proszę uprzejmie obejrzeć dokładnie twarz pana Dagestada.

Kelnerka wykonała polecenie.

– Czy widzi pani coś szczególnego?

– Tak...

– Co pani widzi?

– Widzę... widzę... chi, chi, chi! Że jest przystojny.

– Słusznie. Jako mężczyzna nie mogę oczywiście oceniać męskiej twarzy tak, jak by to zrobiła kobieta, ale mnie też rzuca się w oczy fakt, że pan Dagestad ma niezwykle regularne rysy. Pani, jako kobieta, może powiedzieć lepiej: czy mam rację?

Kelnerka oblała się pąsem:

– No! On wygląda jak Tony Curtis.

– O, widzi pani. Świetnie. Przypomina gwiazdora filmowego. Doskonale. A powiedzmy, że pewne-

go wieczora Tony Curtis zjawia się u pani w kawiarni, czy nie zwróciłaby pani na niego uwagi?

– Chybabym zemdlała.

– Możliwe, możliwe, ale zanimby pani zemdlała, chyba spojrzełaby pani wpierw na niego, nieprawda?

Sala wybucha śmiechem.

– No, tak.

– A więc powiedzmy sobie: Dagestad jest podobny do tego osobnika, którego pani widziała razem z oskarżonym, Dagestad jest podobny do Tony’ego Curtisa, wobec czego ów nieznany mężczyzna również jest podobny do Tony’ego Curtisa.

– Wtedy o tym nie pomyślałam.

– Dlaczego nie?

– Zwróciłam uwagę przede wszystkim na Bragessona.

– Dlaczego zwróciła pani uwagę przede wszystkim na Bragessona?

– W lokalu było wielu gości i strasznie dużo dymu, a on tam...

– A kuku! Jestem tutaj!

– Cicho, panie Bragesson!

– No bo on, to znaczy Bragesson, górował nad wszystkimi, a tego drugiego ledwie zauważyłam. I zdawało mi się, że Bragesson ma straszne oczy, ubrany był w taką dziwaczną, śmieszoną kurtkę.

- Ale pani jest niedobra!
- Proszę nie przeszkadzać, Bragesson!

Prokurator:

– To się zgadza. Miał na sobie norweski kaftan ręcznie robiony na drutach.

– Od razu to zauważyłam.

– Zauważyła pani od razu, że kaftan jest ręcznie robiony na drutach, ale nie zauważyła pani człowieka, który był podobny do Tony’ego Curtisa? Jak to może być?

– Jak? No... nie wiem. Uff, pan zadaje takie nie-mądre pytania, że...

Wybuch śmiechu. Uderzenia młotkiem. Potem prokurator znów zabiera głos:

– A proszę mi powiedzieć, czy ci panowie nie usiedli i czegoś nie zamówili?

– Nie, Bragesson miał taką niezadowoloną minę, strasznie był niezadowolony, kręcił nosem, zrobił minę pełną obrzydzenia i poszedł sobie.

– Dokąd poszedł?

– Wyszedł.

– Sam?

– Tak, ale zaraz potem, za kilka sekund, poszedł za nim ten drugi. Nie, pobiegł za Bragessonem.

– Skąd pani wie, że za Bragessonem?

– Przecież rozmawiali ze sobą, gdy byli w lokalu.

- To jeszcze nic nie znaczy. Kiedy to było?
 - Zdaje mi się, że tuż przed dwunastą.
 - A więc prawie cztery godziny przed bójką. Panie Bragesson, czy tamtej nocy spotkał pan Dagestada w Amsterdamie? Byliście tam przecież równocześnie.
 - Nie pamiętam.
 - Nie pamięta pan?
 - Nie, często bywam pogrążony we własnych myślach i nie zawsze jestem pewien, czy kogoś spotkałem, czy nie.
 - A pan, panie Dagestad, pamięta, czy pan owej nocy widział oskarżonego, czy też nie?
 - Widziałem go z chodnika przez okno jakiejś kawiarni.
 - A zatem Bragesson był wtedy w kawiarni. Czy wszedł pan tam?
 - Nie.
 - To murowane – mruknąłem. – Bentein nie wszedł.
 - Dlaczego nie, panie Bragesson? Może dlatego, że już był w lokalu.
 - Tego nie powiedziałem.
 - Proszę zaprzestać tej zabawy na oczach sądu! Był w środku, czy nie był?
 - Bentein już na to odpowiedział!
- Przewodniczący:

– Ale pytanie zostało skierowane do pana!
– A ja odpowiadam: Bentein już odpowiedział!
– Więc co pan właściwie wygaduje?
– Chwileczkę! – krzyknął mój obrońca, nagle zdradzając nowy przyływ energii. – Bragesson, czy pan lubi pana Dagestada?

– Nie.

– Nie lubi go pan?

– On jest śliski.

– Co to znaczy?

– To, co powiedziałem. Zawsze jednak żywię nadzieję, że ujawni jakieś sympatyczne cechy charakteru. Ma okazję również teraz i tutaj. Weź to pod uwagę, Bentein! I pamiętaj również, że życie bywa długie, dłuższe, niż sądzisz, i że ja jestem młody, bardzo, bardzo młody, Bentein!

Długie milczenie.

– Co ma oznaczać ten ton groźby u oskarżonego?
– dopytywał się prokurator.

– Jaki pan ma powód, aby grozić świadkowi Dagestadowi? – wtórował mu Stefan.

– Powiedziałem swoje.

Obrońca:

– Panie Dagestad, jaką ma pan odpowiedź na słowa Bragessona, zawierające krytykę pańskiego charakteru?

Pauza.

– Nie rozumiem, co on ma na myśli.
– Cha, cha, cha!
– Proszę być cicho, Bragesson!
– Sądzę, że mu się wszystko pomieszało.
– Pomieszało! To wspaniałe! Pomieszało! O ty...
ty...!

– Nic więcej nie ma pan do powiedzenia w związku z krytyką Bragessona?

Pauza.

– Nie. Może sobie mówić, co mu się podoba.

Ogólne zainteresowanie jeszcze wzrosło. Prokurator pytał dalej:

– Panie Dagestad, pan jest, jak już wiemy, starym znajomym oskarżonego. Kolegowaliście w sporcie, byliście członkami tego samego klubu, oprócz tego przez pół roku pływaliście na tym samym statku.

– Nie, to znaczy...

– O właśnie, proszę się zastanowić.

– Nie potrzebuję – odparł Bentein aroganckim tonem. Nawet dziennikarze uznali, że był arogancki. – Owszem, bywaliśmy razem na zebraniach klubu narciarskiego i przy podobnych okazjach.

– Co znaczy „bywaliście razem”?

– Mam na myśli to, że byliśmy w tym samym pokoju, stykaliśmy się z tymi samymi ludźmi, za-

mienialiśmy parę słów ze sobą, itp.

– W jakim charakterze pracuje pan na statku?

– Smarowacza, jak już powiedziałem.

– Pan pracuje w maszynowni. Bragesson na pokładzie. Mimo to spotykaliście się często?

– Naturalnie.

– Łączyły więc was jakieś stosunki, ale, o ile rozumiem, nie można was nazwać przyjaciółmi.

– Jesteśmy znajomymi.

– Dlaczego zostaliście tylko znajomymi?

– Tak się ułożyło.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Nie wszyscy koledzy z klubów sportowych i nie wszyscy marynarze stają się przyjaciółmi.

– Czy nie jest to jednak dziwne, że panowie, należąc do tego samego klubu, uczestnicząc w tych samych zawodach i obchodach sportowych, przebywając wreszcie na tym samym statku, że mimo to nie zaprzyjaźniliście się ze sobą.

– Nie widzę w tym nic dziwnego.

Obrońca:

– Czy odczuwa pan niechęć do oskarżonego?

– Nie, nie bezpośrednio. Tylko jest w nim zbyt dużo bufonady, jak na mój gust.

– A pana denerwuje ta jego pewność siebie?

– Tak.

– Proszę mi jednak powiedzieć – upierał się mój

obrońca – jaki jest powód tego, że pan zwraca się do oskarżonego po nazwisku, a on mówi do pana po imieniu?

Milczenie.

– To jest naprawdę dziwne, panie Dagestad. Czy na pokładzie wszyscy nie mówią sobie po imieniu?

– Owszem.

– A czy w klubie sportowym wszyscy nie byli ze sobą „na ty”?

– To prawda, ale myślałem, że tu w sądzie powinienem się wyrażać bardziej formalnie.

– Zdajemy sobie z tego sprawę. Proszę mi powiedzieć, czy pan i Bragesson rywalizowaliście ze sobą w jakiś sposób?

– Czy rywalizowaliśmy?

– Tak, o to mi chodzi, o ostre współzawodnictwo.

– Owszem. Na boisku, w biegach narciarskich, raz nawet w zapasach i tym podobne.

– Kto wygrywał?

– Ja wygrywałem w skokach narciarskich i w skoku wzwyż. W innych zawodach wygrywał oczywiście Bragesson.

– Z dużą przewagą?

– Oczywiście.

– Pana to denerwowało?

– Nie. On jest doskonałym sportowcem. Musiał zresztą wygrywać, bo nikt tyle nie trenował, co on.

– Pan mu zazdrościł?

– Nic podobnego.

Prokurator:

– Jaka jest pańska opinia o oskarżonym jako o koledze klubowym i marynarzu?

– OK.

– Czy był lubiany na statku?

Obrońca:

– Uważam to pytanie za zupełnie zbędne. Zarówno kapitan jak i cała załoga wystawili oskarżonemu najlepsze świadectwo.

– Ja chciałbym jednak znać szczególnie opinię pana Dagestada. Czy lubiano go na statku?

– Owszem, ci, którzy znosili jego bufonadę, lubili go.

– Słuchaj, Bentein, wszyscy Skandynawowie są bufonami, szczególnie Szwedzi.

Nikt się nie roześmiał.

– Czy wielu było takich, którzy tolerowali jego pewność siebie?

– Nie wiem dokładnie ilu, ale byli tacy.

– A czy w klubie był lubiany przez kolegów?

– Nie pamiętam.

– To powinien pan chyba pamiętać.

– Dlaczego? W końcu Brage nie jest pępkiem świata. Przepraszam... chciałem powiedzieć... że zajmowałem się czym innym niż Brage-ssonem.

– Czy miał opinię człowieka równego i porządnego?

– Tak, to na pewno można powiedzieć.

– Czy dawał innym szanse zwycięstwa?

– Tego nie wiem.

Prokurator przystępuje do ataku:

– Czy pan widział kiedy, aby Bragesson się bił?

Bentein zdradza wahanie.

– No? Czekam.

Bentein odpowiada:

– Owszem, kilka razy widziałem.

„Bragesson wybucha dzikim śmiechem”:

– E, stary, na pewno widziałeś, jak się biję.

Bentein dodaje spiesznie:

– Ale to było tylko dla zabawy. Na śniegu, podczas świąt klubowych.

Wobec tego ja szepczę Stefanowi do ucha:

– Słyszałeś to, stary? Ratuje mnie tym od więzienia. Rycerski facet, cholera!

Stefan podskakuje jak ukłuty szpilką i wyrzuca z siebie:

– To dziwne, panie Dagestad. Pan mówi, że Bragesson prosił pana o wystaranie się dla niego o miejsce na statku pańskiego ojca. Takiej prośby nie mógł chyba wyrazić w tonie pogroźki. Nic też nie wskazuje na to, aby występował z jakimiś pogroźkami wobec pana na statku. Dlaczego więc od-

graża się panu tu w sądzie?

– Sam się nad tym zastanawiam.

– Aha, pan też się nad tym zastanawia. Jeżeli Bragesson ma jakiś słuszny powód, to ten powód musiał powstać niedawno.

W miarę zeznań Benteina wzrastało podniecenie na sali sądowej. Powietrze było naładowane elektrycznością, pisały niektóre gazety, „można to było wyczuć prawie namacalnie”.

Wbrew wszelkim przewidywaniom cierpliwość stracił właśnie mój obrońca, który jak lew rzucił się – na mnie:

– Mam pełne zaufanie do pańskich zeznań, z wyjątkiem jednego punktu. Jestem pewien, że ten dziewiąty naprawdę istniał. Nie twierdzę, że tą osobą jest pan Dagestad, wyrażam tylko głębokie przekonanie, że pan kłamie co do tego punktu, Bragesson. Proszę mi odpowiedzieć: dlaczego kryje pan tego dziewiątego uczestnika bójki?

– Nie kryję nikogo!

– Nie wierzę panu!

– Wierz mi, mój kochany!

– Nie, znam pana zbyt dobrze. O ile zdążyłem zauważyć, kiepski z pana kłamca. Jestem pewien, że pan kryje tego dziewiątego, tylko nie wiem, dlaczego pan to robi, może ma pan jakąś idée fixe, nie wiem jaką, ale wiem jedno: nie kryje go pan dla

własnej korzyści.

Prokurator:

– Dlaczego nie? Czy nie można sobie wyobrazić takiej możliwości, że oskarżony kryje swego kolegę, a ten kolega milczy, bo obydwaj liczą się z tym, że to brzmi bardziej prawdopodobnie, iż oskarżony bronił się przeciw siedmiu, czyli że jest mniej prawdopodobne, aby sam rzucił się na siedmiu, natomiast bardziej prawdopodobne, że mógł to zrobić razem z kimś innym?

Obrońca:

– Ale takie postępowanie ze strony tego dziewiątego można interpretować jako przysługę wyrządzoną Bragessonowi. Twierdzi się jednak, że ten dziewiąty uciekł przed popełnieniem zabójstwa, wystawił kolegę do wiatru i, co gorsza, nie zawiadomił policji ani nawet nie wezwał pogotowia. Mój oponent formułuje pytania tak, jakby ów dziewiąty uczestnik wydawał się czymś nieprawdopodobnym.

– Mój szanowny oponent ma zupełną rację.

– A teraz przesłuchiwaliśmy pana Dagestada, aby się przekonać, czy on nie jest tym dziewiątym. Załóżmy, że pan Dagestad jest tym dziewiątym. Dlaczego oskarżony odnosi się wrogo do osoby, która, według słów pana prokuratora, uczyniła mu być może przysługę?

– Pozwolę sobie podsunąć obronie odpowiedź. Zakładając, że ten dziewiąty uciekł ze strachu albo dlatego, że nie chciał dłużej brać udziału w bójce, którą sam pomógł wywołać, zakładając dalej, że ze względu na nieczyste sumienie, albo znowu z tchórzostwa, nie zawiadomił policji – w takim wypadku łatwo można zrozumieć, że oskarżony wyraźnie potępia pana Dagestada.

– Jeżeli pan Dagestad jest tym dziewiątym.

– Naturalnie – kiwa głową prokurator – nie uważam tego za pewnik.

– A ja sądzę, że istnieje wiele przesłanek po temu, iż pan Dagestad mógłby być tym dziewiątym. Niemcy twierdzą, że ten dziewiąty i Brageson mówili tym samym językiem, i to płynnie, a więc prawdopodobnie rozmawiali ze sobą po norwesku. Pan Dagestad jest Norwegiem. Niemcy twierdzą, że ten dziewiąty był niższy od oskarżonego i miał ciemne włosy. Dagestad ma ciemne włosy i jest niższy od oskarżonego. Niemcy twierdzą, że ten dziewiąty miał na sobie ciemne ubranie. Dagestad miał tej nocy na sobie ciemne ubranie. Jeden z Niemców rozpoznał głos Dagestada. Wszyscy Niemcy twierdzą, że ten dziewiąty umiał się trochę boksować. Pan Dagestad przez szereg lat amatorsko uprawiał boks. Pan Dagestad zgłosił kradzież portfelu na policji o godzinie 4.27,

a więc już po zabójstwie Fritza Heilmanna. Pan Dagestad nie może sobie przypomnieć, gdzie się znajdował, gdy go napadnięto tu, w Amsterdamie. I tak dalej, i tak dalej. Czy nie sądzi pan, panie Dagestad, że to wszystko stanowi zabawny zbieg okoliczności?

– Nie. Jest przecież wielu takich, którzy umieją się trochę boksować, wielu takich, którzy...

– No, nie tak znowu wielu. Dlaczego pan się nie oburza, gdy ja insynuuję, że pan jest tym dziewiątym?

– Pan po prostu spełnia swój obowiązek.

– Hm. To prawda. Proszę wysoki sąd o wzięcie pod uwagę tego, że stoimy w obliczu wielu możliwości. Jedna z nich jest taka, że istniał ten dziewiąty, który rozpętał bójkę z Niemcami, i że właśnie on, a nie oskarżony, krzyknął „*verdammt deutsche Schweinehunde*”, a oskarżony próbował załagodzić sprawę i powtarzał słowo „nie, nie”. Może Niemcy mylą się sądząc, że również oskarżony wołał „*verdammt deutsche Schweinehunde*”.

Prokurator:

– Ale w takim razie dlaczego oskarżony nie wydaje tego dziewiątego?

– Właśnie, dlaczego. Bragesson jest stuprocentowym indywidualistą. Przy wielu jego zaletach nie można jednak zaprzeczyć, że jest trochę dziecinny.

Nie można wykluczyć, że wbił sobie do głowy, iż on nie będzie donosicielem i denuncjatorem. Może chce, aby ten dziewiąty sam się zgłosił. Tak, wysocki sędzie, uważam to za bardzo prawdopodobne i jestem zdania, że mamy tu odpowiedź na dwa pytania, które nas intrygowały. Po pierwsze: dlaczego Bragesson tak uparcie zwlekał ze złożeniem sądowi zeznania? Dlatego że w ten sposób chciał dać temu dziewiątemu czas do namysłu i zgłoszenia się samemu. Bragesson czekał na tego dziewiątego. Czekał jednak daremnie, a z tego z kolei wynika odpowiedź na drugie pytanie: dlaczego Bragesson, cieszący się powszechnie opinią człowieka prawdomównego, w tym wypadku odmawia zaprzysiężenia swego zeznania? Dlatego że w tym zeznaniu tkwi jakieś kłamstwo. A jeżeli z kolei postawimy trzecie pytanie: dlaczego Bragesson tak wrogo odnosi się do Dagestada? – cała sprawa wygląda jasno. To są wszystko przypuszczenia, poszlaki. Brak jest dowodów. Ale w tej sprawie operuje się przecież swobodnie poszlakami, więc i ja sobie na to pozwalam. Twierdzę, iż wiele poszlak wskazuje na to, że Bentein Dagestad jest tym dziewiątym uczestnikiem bójki.

Stefan zwraca się nagle do Benteina:

– Widzę, że pan jest zlany potem. Widocznie tu jest za gorąco. Może trzeba poprosić o otwarcie

okna?

Oskarżony:

– Nie, tu jest zimno. Grobowy chłód.

„Można odnieść wrażenie, że świadek chwieje się lekko”.

Obrońca przystępuje do generalnego ataku:

– Proszę wysoki sąd o szczególnie baczną uwagę. Chcę przeprowadzić pewien eksperyment.

Grobowa cisza. Ja oddycham ciężko. Ręce Benteina błędzą po poręczy ławy dla świadków.

– Proszę oskarżonego i świadka, aby bez przerwy patrzyli sobie w oczy.

„Wśród publiczności słyhać szmer oddechów zdradzających pełne napięcia oczekiwanie. Oskarżony natychmiast wbija wzrok w świadka. Ale ten ociąga się, tak że obrońca musi powtórzyć swoją prośbę. Wreszcie świadek odwraca się powoli i sztywno w kierunku oskarżonego. Co się dzieje? To, że oczy Dagestada biegają lekko, zanim napotkają wzrok Bragessona”.

– O tak. Ja nie twierdzę z całą stanowczością, że pan, panie Dagestad, jest tym dziewiątym. Ponieważ jednak pan nie może wypowiedzieć się dostatecznie jasno w tym względzie, naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, co w ludzkiej mocy, aby nabrać przekonania, że pan nim nie jest. Panie Dagestad! Proszę, aby pan bez przerwy, po-

wtarzam, bez przerwy patrzył w oczy oskarżonemu. Jeżeli ma pan czyste sumienie, na pewno nie sprawi to panu przykrości.

Przewodniczący:

– Jeżeli jednak tego nie potrafi, sam ten fakt nie musi koniecznie świadczyć przeciw niemu.

– Zrozumiałe. Mimo wszystko chciałbym doprowadzić ten eksperyment do końca. Czy pan prezes się zgadza?

– Proszę.

– Dziękuję. Panie Dagestad! Nie, proszę patrzeć oskarżonemu wprost w oczy! O, tak! I proszę odpowiedzieć na następujące pytania: Czy to pan był tym dziewiątym? Czy bił się pan razem z Bragesonem owej nocy w Amsterdamie? Nie, proszę nie spuszczać oczu. O, tak! Proszę odpowiedzieć! Słyszysz pan? Proszę mi odpowiedzieć!

Odpowiedź była przytłumiona, bardzo przytłumiona:

– Nie.

– Dlaczego pan to mówi szeptem?

– Nie mówię szeptem.

– Dlaczego drżą panu wargi?

Przewodniczący:

– Zdaje mi się, że obrona posuwa się trochę za daleko.

– Nie mogę się z tym zgodzić. Mamy przed sobą

dwie osoby, które wobec siebie zachowują się co najmniej dziwnie, śmiem nawet twierdzić, że podejrzanie. Dlaczego jedna z nich jest wyraźnie zdeenerwowana; dlaczego mój klient tak przywitał tę drugą osobę, gdy zjawiała się w sądzie; co mój klient ma na myśli, wyrażając nadzieję, że Dagestad ujawni sympatyczne strony swego charakteru? Jeszcze raz proszę o pozwolenie na kontynuowanie eksperymentu.

– Proszę.

– Bragesson. Ale zaraz, znów proszę pana Dagestada, żeby bez przerwy patrzył oskarżonemu w oczy! Bragesson, tu chodzi o pańską przyszłość. Proszę o tym pamiętać, gdy pan odpowie mi na następujące pytanie: czy Bentein Dagestad jest tym dziewiątym?

Bentein ma czoło zlane potem.

Ja odpowiadam:

– Czego pan ode mnie chce. Ja już swoje powiedziałem.

Benteinowi drżą usta.

– Bragesson! Proszę sobie wyobrazić długoletni pobyt w więzieniu! Czy to Dagestad zaczął tę bójkę z Niemcami, czy to on zostawił pana własnemu losowi i dlatego, jak zeznali Niemcy, krzyczał pan wściekle za nim?

– Powiedziałem już swoje, słyszy pan. Jeżeli pan

mi nie wierzy, proszę spytać Benteina.

– Ja chcę usłyszeć pańską odpowiedź! Tak czy nie?

Pauza.

– Bragesson! Moim obowiązkiem jest bronić pana, a nie stosować się do pańskich fanaberii! Tak czy nie? Dagestad, proszę patrzeć oskarżonemu w oczy!

Nowa pauza.

Kropla potu ścieka Benteinowi po nosie.

Nagle ja „wybucham”, zrywam się na nogi, walę pięściami w poręcz i krzyczę:

– Nie zniosę tego, aby pan obrażał jednego z moich znajomych, chociaż go nawet nie lubię!

Ale Stefan triumfuje:

– Żądam odroczenia sprawy. Żądam, aby bliżej zbadano okoliczności związane z osobą Dagestada. Co robił w nocy na dziesiątego sierpnia. Jaki jest właściwie jego stosunek do Bragessona? Czy można znaleźć więcej świadków, którzy widzieli oskarżonego w noc zabójstwa w towarzystwie innego mężczyzny? Czy policja wysiliła się dostatecznie, aby wyjaśnić sprawę Dagestada? Nie! Stwierdzam, że pod tym względem dochodzenia pozostawiają wiele do życzenia.

Sąd uwzględnił wniosek Stefana.

Znaleziono nowych świadków, ale rezultat pozo-

stał ten sam. Niektórzy widzieli mnie samego, inni w towarzystwie drugiego mężczyzny – a może nawet kilku mężczyzn?

Informacje otrzymane z Norwegii mówiły, że stosunki między mną a Benteinem były zawsze chłodne i pełne rezerwy, lecz brakowało dowodów jawnej wrogości.

Policja nie potrafiła wywąchać, kto napadł Benteina w nocy na dziesiątego sierpnia i kto go obrałował. Bentein uparcie podtrzymywał swoje zeznania i nie zdradzał zamiaru oskarżenia Stefana o oszczerstwo, gdy ten w pewnej chwili stracił panowanie nad sobą i krzyknął:

– Pan złożył fałszywe zeznania! Pan jest tym dziewiątym! Jeżeli pan się przyzna, może pan tym pomóc oskarżonemu! Ale pan nie chce! Pan mu źle życzy! Pan żywi do niego urazę! Pan jest kłamcą!

W swojej mowie obrończej powiedział Stefan między innymi tak:

– Nie ulega wątpliwości, że opinia publiczna domaga się głowy Bragessona. Świadczą o tym artykuły i reportaże w prasie. Nie ulega też wątpliwości, że nastrój w tym sądzie, w Arrondissement-srechtbank, jest od pierwszej chwili nieprzychylny dla oskarżonego. Skoro wkrótce ten sąd ma ocenić wszystkie dowody i rozważyć konkretne fakty w świetle przepisów prawa, aby potem ewentual-

nie wymierzyć karę, która pozbawi człowieka jego najlepszych lat, tak, może go nawet zupełnie zła-
mie, czuję się zmuszony jeszcze raz przypomnieć
pytanie, które w tej sprawie ma zasadnicze zna-
czenie. To pytanie brzmi: czy oskarżony działał
w obronie koniecznej, czy też nie? To właśnie, wy-
soki sędzie, stanowi jądro sprawy i gdy wy, pano-
wie sędziowie, w zgodzie z własnym sumieniem
przystąpicie do spełnienia swego odpowiedzialne-
go zadania, to zagadnienie zadecyduje o przyszło-
ści Bragessona. To właśnie, i nic innego. Fakt, że
oskarżony bił się przedtem w taki czy inny sposób
i z takimi czy innymi rezultatami, że jest wybu-
chowym psychopata – te wszystkie momenty mają
znaczenie podrzędne. Pierwszym i najważniej-
szym obowiązkiem sądu jest zająć stanowisko wo-
bec czynu, który zarzuca się oskarżonemu tu,
w Amsterdamie, a nie wobec jego dawniejszego po-
stępowania w Norwegii. Gdyby miała decydować
przeszłość oskarżonego, sprzeciwiałoby się to zasa-
dom sprawiedliwości. Według powszechnie panu-
jącej opinii orzeczenie biegłych psychiatrów może
być tylko jednym z elementów pomocnych przy
rozstrzygnięciu zagadnień prawnych, bo nikt jesz-
cze nigdy nie wystąpił z poglądem, że psychopata
lub człowiek cierpiący na inne zaburzenia umyśle-
we ma być karany tylko za to, że jest psychopata

lub cierpi na inne zaburzenia umysłowe.

Wysoki sędzie! Panowie sędziowie! Waszym zadaniem jest orzec, czy organ oskarżający przedstawił dostatecznie przekonujący dowód na to, że Bragesson nie działał w obronie koniecznej, natomiast ani oskarżony, ani ja nie mieliśmy obowiązku udowodnić, że działał w takiej obronie. Obowiązek udowodnienia cały czas spoczywał na stronie oskarżającej. Nie zapominajcie o tym, panowie sędziowie! Powtarzam: nie zapominajcie o tym!

Obrona konieczna jest, jak wiadomo, formą prywatnej ochrony porządku prawnego, jest więc w pełni legalna. Jeżeli oskarżony przekroczył granicę obrony koniecznej, to rzeczą oskarżenia było udowodnić również tę okoliczność. Tymczasem pan prokurator postawił wszystko na jedną kartę i wystąpił z twierdzeniem, że oskarżony nigdy, w żadnym momencie nie działał w obronie koniecznej. Dziękuję za to memu oponentowi, bo to ułatwia mi zadanie.

Jednym z argumentów oskarżenia jest to, iż przestępcy używający przemocy najczęściej przytaczają na swoją obronę, że zostali napadnięci i działali w obronie koniecznej. Nie ulega wątpliwości, że to jest prawdą, ale prawdą jest również, że oskarżony musi być w takim wypadku uniewinniony, jeżeli istnieje podstawa do wątpliwości, czy

działał w obronie koniecznej. W tej sprawie, jak we wszystkich innych sprawach, wątpliwość powinna przemawiać na korzyść oskarżonego. A w tej sprawie nie ma ani jednego wyraźnego i niezbitego dowodu na poparcie oskarżenia. Mamy do czynienia tylko z poszlakami. Nie muszę chyba przypominać sądowi, że nie można wydawać wyroku skazującego, jeżeli główny i istotny moment zarzucanego czynu pozostaje nie wyjaśniony, oraz że dowód z poszlak można uznać tylko wtedy, gdy każda poszlaka daje się samoistnie utrzymać, a równocześnie zgadza się dokładnie z wszystkimi pozostałymi poszlakami. Jeżeli natomiast, tak jak w tej sprawie, zachodzi wątpliwość nie co do jednej, lecz co do wielu poszlak, oskarżonego należy uniewinnić. Bo wina jest albo udowodniona w całej pełni, albo nie jest wcale udowodniona!

Według dalszych wywodów Stefana zeznania niemieckich świadków były „zaskakująco” zgodne w najistotniejszych punktach, ponieważ jednak ci świadkowie byli wmieszani w sprawę i mieli czas na ewentualne porozumienie się co do jednakowych zeznań, ich wypowiedzi nie można przyjąć za dowód, można je traktować jako jedną z poszlak, jeżeli oczywiście zgadza się ona z szeregiem innych niewątpliwych poszlak. Rzecz w tym jed-

nak, że te właśnie poszlaki są wątpliwe. Fakt, że oskarżony, wpadając w pasję lub kierując się chłopcą czupurnością, wdawał się kiedyś w różne bójki, a raz nawet rozprawił się z kimś, kto mu groził łomem, nie przesądza wcale, aby cały czas pozostawał awanturnikiem i w roku 1955 rzucił się z premedytacją na „siedmiu spokojnych młodzieńców” i z premedytacją jednego z nich zabił. Targnięcie się na świadka w sądzie również nie stanowi żadnej poszlaki, bo ten wybuch mógł być równie dobrze odruchem rozpaczy niewinnego człowieka. Okoliczność, że ktoś stracił ojca zamordowanego w roku 1944 w Oslo przez niemieckich okupantów i że ten ktoś żywił od tego czasu niechęć do Niemców, nie przemawia wcale na rzecz zemsty dokonanej przez zabicie dziewiętnastoletniego Niemca w Amsterdamie po upływie jedenastu lat od śmierci ojca.

Jeden po drugim omawiał Stefan elementy sprawy, ważne lub mniej ważne, i w każdym odkrywał jakiś powód do wątpliwości. Aby zaś podkreślić wrażenie niepewności i błędzenia po omacku w całej sprawie, długo rozwodził się nad dziwiącym uczestnikiem bójki, nad tym „upiorem procesu Bragessona, tym widmem, nierozwiązaną zagadką, której wyjaśnienie mogłoby pchnąć sprawę na zupełnie nowy tor”. – Bo nie można przecież

wykluczyć i takiej możliwości, z czym rzecznik oskarżenia, wykazujący tak ogromną wiarę w prawdomówność niemieckich świadków, pewno się zgodzi – uśmiechnął się sarkastycznie do prokuratora.

Jedna tylko rzecz zdawała się nie ulegać wątpliwości, to mianowicie, że jestem wybuchowym psychopata. Ale nawet i tu Stefan nie chciał uznać żadnego bezwzględного autorytetu. Psychiatria sądowa jest młodą nauką, oświadczył, cytując wypowiedzi kompetentnych uczonych na temat niezgłębionych tajemnic, które otaczają małe jądro wiedzy i wszystkie dość wątpliwe teorie w dziedzinie psychopatologii.

– Powtarzam: nie sądzimy żadnego psychopaty, póki nie zostanie popełnione przestępstwo. Gdy zaś go sądzimy, robimy to nie dlatego, że jest psychopata, lecz dlatego, że naruszył prawo. Pytanie, czy mój klient jest psychopata, czy nie, nie ma więc w tej sprawie żadnego znaczenia dopóty, dopóki oskarżenie nie dostarczy nienaruszalnych dowodów winy oskarżonego. Dopiero wtedy orzeczenie biegłego psychiatry może być pomocne w znalezieniu drogi wyjścia. W obecnym stanie rzeczy może prowadzić tylko na manowce.

Tak, tak, Stefan dzielnie walczył o moją wolność, lecz nastroje kierowały się zdecydowanie

przeciwko mnie, a poszlaki wydawały się wprost urzekająco prawdziwe, mimo wszystko, mimo wszystko, nawet w braku tego dziewiątego. A niezależnie od tego, kim by był ten dziewiąty, nie mógł być brutalniejszy od Bragessona. Prawdopodobnie odgrywał tylko rolę statysty przy tym „wulkanie brutalnej siły”. Może brak stuprocentowego dowodu, ale czy nie wystarczy spojrzeć na tego brutala, aby wiedzieć, że jest niebezpieczny?

Niewielu tylko oburzało się na postępowanie prokuratora, który swoją mowę oskarżycielską zakończył takimi słowami: „Ten człowiek jest wybuchowym psychopata, bezwzględnym, brutalnym, społecznym osobnikiem przepełnionym nienawiścią i pogardą, rozpitym barbarzyńcą, groźnym dla siebie samego i dla innych ludzi! Powinien być na zawsze odizolowany od społeczeństwa!”.

Sąd uznał mnie winnym. Ogarnięty paniką, krzyknąłem: „Niewinny!”. Jeden z dziennikarzy napisał: „Słowo «niewinny» padło z taką wybuchową siłą, że nawet policjant siedzący po lewej stronie Bragessona skulił się ze strachu. Ten hiperbrutalny Norweg jeszcze raz udowodnił, że jest wybuchowym psychopata”.

Wyrok opiewał na dwadzieścia lat więzienia. Sąd dopatrzył się okoliczności obciążającej w brutalnym i bezwzględnym sposobie, „w jaki oskaržo-

ny potraktował nieprzytomnego człowieka”.

„Po ogłoszeniu sentencji wyroku Bragešson raz jeszcze zademonstrował swoje gwałtowne usposobienie. Zerwał się na równe nogi, zaczął wydawać nieartykułowane ryki, tak szarpał na wszystkie strony kajdankami, że dwaj skuci z nim razem policjanci musieli tańczyć w takt jego ruchów, aż nadbiegli inni przedstawiciele prawa i założyli mu kaftan bezpieczeństwa. Wtedy załamał się zupełnie i zaniósł się niepowstrzymanym płaczem”.

„Historię nowoczesnego prawa karnego można wywieść z prywatnej zemsty” – pisze Stefan w swojej książce „Burzyciel, zbrodniarz, twórca”. „Psychologiczny i historyczny związek między karą i zemstą jest zupełnie wyraźny i chociaż wiele się wydarzyło od czasu powstania prawa karnego, to jednak dziś, zarówno w teorii, jak i w praktyce, jesteśmy właściwie bliżej Mojżeszowego prawa «oko za oko, ząb za ząb», niż słów Chrystusa: «Nie trzeba zdrowym lekarza, ale źle się mającym». Systemy karne opierają się na pojęciach odwetu i pokuty, czego korzenie znajdujemy w zemście prywatnej, a choć odwet i pokuta nie muszą koniecznie być tym samym, co zemsta, to jednak nie ulega wątpliwości, że według powszechnego

przekonania w odwiecie prawnym często kryje się, świadomie lub nieświadomie, dążenie do zemsty. To dążenie znajduje też wyraz w samym aparacie wymiaru sprawiedliwości; choć panuje tam wola dokonania czegoś innego niż zemsty, a nawet prowadzi do pewnych praktycznych następstw, to jednak jest rzeczą oczywistą, że duch zemsty pozostaje nadal prawdziwą siłą przewodnią systemu karaniania i pozostanie nią dopóty, dopóki będzie istnieć kara.

Chcemy więc rozprawić się z samą karą. Bezkom promi sowo. Aby zaś móc bez reszty wstąpić na drogę wskazaną przez psychiatrów i innych badaczy, musimy wpierw wyjść z błędnego koła: musimy z naszego aparatu myślowego wyrugować pojęcia «sprawiedliwości» i «kary». Musimy się nauczyć myśleć bez nich, bo one właśnie, i sfera związanych z nimi pojęć, prowadzą nas na manowce.

Przestępstwo człowieka o biernej postawie jest na pewno zagadnieniem moralnym – utrzymujemy pojęcie winy moralnej – ale nie pozostaje w żadnym stosunku do jakiegokolwiek sprawiedliwości, lecz tylko w stosunku do cierpień, które obalają każdą możliwą formułę sprawiedliwości. Mimo wszystko człowiek o biernej postawie ponosi winę moralną, którą może zmyć tylko czynem

przeciwdziałającym nadużyciom. Nie wchodzi więc w grę pokuta ani zadośćuczynienie. Mowa jest tu o dwu stanach – a nawet o dwu ludziach w jednym ciele, choć nie równocześnie działających. Jeden stan obciążony winą, która znika z chwilą, gdy przechodzi się w drugi stan, a pojawia się na nowo z chwilą powrotu do pierwszego stanu. Osoba przechodząca ze stanu biernego do twórczego nie odpowiada więc dłużej za winy tego człowieka-przestępcy, którym już oczywiście nie jest. Jest to wzniosła nauka, dodająca ochoty do życia, lecz stawia ogromne wymagania! Nie ściele wygodnego łoża człowiekowi o biernej postawie, nie wybacza mu tak długo, jak długo stroni on od działania. Bo ta nauka żąda działania, a działanie wyzwala człowieka spontanicznie i bez reszty!

Odpowiedzialność człowieka o biernej postawie jest znacznie większa niż odpowiedzialność wynikająca z warunków, które wytworzyły pojęcie sprawiedliwości. To pojęcie powstało w wyniku praktycznej próby stworzenia porządku społecznego. Stworzenie takiego porządku drogą długotrwałej przemocy jest sposobem najłatwiejszym; udaje się to w oborze, udaje się w obozie koncentracyjnym, więc udało się także w społeczeństwie”.

Później Stefan omawia „nowy porządek”: „Społeczeństwo powinno posiadać przepisy prawne i po-

licję, ale bez prawa karnego, więzień, itp. Policja chwyta i zatrzymuje osoby łamiące prawo, zbiera materiały dowodowe i przekazuje sprawę instancji prawnej, która stwierdza, że nastąpiło naruszenie prawa. Stamtąd sprawa wędruje do instancji psychiatrycznej, która decyduje o dalszym sposobie leczenia. W wypadku mniejszych wykroczeń, takich jak drobne kradzieże, bezprawne prowadzenie pojazdu mechanicznego, itp., sprawa kończy się w instancji prawnej, która nakłada grzywnę lub podobną karę. Jeżeli jednak ktoś zostaje na przykład schwytyany na kradzieży kilka razy, wtedy traktuje się go jako burzyciela nadającego się do leczenia.

Możemy to określić tak: dziś psychiatra jest na usługach prawnika. Jutro będzie odwrotnie.

Drogi Czytelniku. Marzenie o lepszym człowieku leży w granicach możliwości. Od nas zależy ządanie w imieniu ludzkości, aby wreszcie pójść za rewolucyjnymi słowami Chrystusa!”.

Podczas pobytu w więzieniu najbardziej dręczył mnie brak znaku życia od Siv. Ostatni list od niej dostałem na Wielkanoc 1956 roku.

Trudno chyba sobie wyobrazić, jaką pociechę dają więźniowi świadomość, że jego ukochana cze-

ka, jaką radość sprawiają mu jej listy pełne miłości, nadziei i optymizmu. Taką ukochaną była właśnie Siv, i z wyjątkiem ostatniego wszystkie jej listy były zawsze ogromnie pocieszające. Mam jeden z nich przed sobą. Zaczyna się tak:

„Kochany Brage. Uczę się teraz bardzo pilnie. Ciągłe żyję nadzieją, że Stefan wkrótce uzyska twoje zwolnienie, ale gdyby to się jeszcze trochę przeciągnęło, to może już będę zarabiać, gdy wyjdiesz. Kto wie. Marzę o tym, aby wtedy już czekał na ciebie gotowy dom, do którego moglibyśmy się wprowadzić. Jeżeli wyjdiesz wcześniej, tata przyrzekł, że i tak zaraz będziemy mogli się pobrać i zamieszkać u nas na piętrze. Skończysz studia, a ja już nie będę zarabiać, tylko będę miała dziecko. Prawda? Nie mam wcale ochoty zostać lekarzem. Chcę być zwyczajną żoną i matką, do tego nadaję się najlepiej. Bo czy w gruncie rzeczy kobieta nie jest pępkiem świata? Przecież to my rodzimy dzieci, my się nimi opiekujemy, my też głównie tworzymy dom rodzinny, jeżeli się nim oczywiście zajmujemy. Moje przyjaciółki śmieją się ze mnie i mówią, że mam przestarzałe poglądy. A ja im odpowiadam: dziękuję za komplement!

Bardzo się cieszę, że ty się także pilnie uczysz. Tak powinno być. Nie dawaj się, Brage! Nie pozwól, aby cię to wszystko złamało. Już przedtem

dawałeś sobie radę w ciężkich sytuacjach. I tak powinno być. Właśnie tak, jak napisałeś: jak kolos będziesz górować nad swoim losem, pokonasz go siłą własnej woli. Kochany mój, takim cię widzę: jesteś silny i niezłomny.

Wczoraj byłam u twoich przyjaciół, u doktora Johana. Wszyscy byli dla mnie niesłychanie mili i do późnej nocy rozmawialiśmy o tobie i różnych twoich kawałach. Doktor powiedział, że ty wspólnie potrafisz mobilizować nowe siły w obliczu każdej przeciwności. On jest przekonany, że wyjdiesz z więzienia jeszcze mocniejszy. Wszyscy w to wierzymy. Wyjdiesz jako zwycięzca. Tak, bo przecież oboje jesteśmy młodzi i silni”.

Lecz z ostatniego listu Siv przebijała ogromna, trudna do pokonania tęsknota; była to jakby poetycka spowiedź mówiąca o tym, że Siv straciła nadzieję zobaczenia mnie przed upływem dwudziestu lat. Dwadzieścia lat. Ona będzie wtedy miała czterdzieści, a ja czterdzieści trzy. Cała wieczność dla nas obojga. Całe życie. Cały świat. Nie, cały wszechświat.

Najgorsze było to, że siedząc za kratami, nie mogłem zbadać sprawy i stwierdzić, co się właściwie stało. Do kogo się zwróciłem, zawsze dostawałem taką samą odpowiedź: Siv żyje, ale chce o tobie zapomnieć. Nie znalazła sobie nikogo innego,

i nie chce nikogo innego znaleźć, ale mimo to chce o tobie zapomnieć. Nie rozumiemy tego, ale taka już jest. Uspokój się, Brage. Ona na pewno się zmieni.

Również ojciec Siv, stary niedźwiedź, napisał to samo, lecz z jego listu przebijał bezdenne smutek, co jeszcze bardziej pogłębiło moje obawy, że Siv nie żyje. Dlaczego jednak miałyby umrzeć ta zdrowa i silna dziewczyna? Jakiś nieszczęśliwy wypadek? Obiecywała przecież stale, że będzie bardzo na siebie uważać. Przyrzekła mi to. Nie mogła chyba popełnić czegoś tak żalnego, jak samobójstwo. Gdyby nawet chciała, nie zrobiłaby tego ze względu na mnie; taką egoistką nigdy nie była.

W listach zaklinałem wszystkich o potwierdzenie moich podejrzeń, że Siv nie żyje. Jestem przecież mężczyzną, do jasnej cholery! Wszyscy przecięli się nawzajem w zapewnianiu mnie, że Siv żyje; stała się tylko trochę dziwna. Ale to na pewno przejściowe. Mogę być spokojny.

„Siv żyje, ale chce o tobie zapomnieć”. Czy mogłem sobie to logicznie wytłumaczyć?

Usiłowałem znaleźć logiczne wytłumaczenie. Były trzy możliwości. Mogła oszaleć z tęsknoty i dostać się do domu obłąkanych. Mogła dać się uwieść i jakiś łobuz zrobił jej dziecko. Mogła zrezygnować z czekania na mnie przez dwadzieścia lat

i ulec pokusie posiadania własnego domu i zostania matką.

Wszystkie te możliwości wydawały mi się nieprawdopodobne, żadna nie pasowała do Siv, ale ponieważ chciałem się bronić przed myślą, że ona nie żyje, chwyciłem się najmniej niesympatycznej ewentualności, a mianowicie tego, że Siv – na jakimś towarzyskim spotkaniu albo przy podobnej okazji – wpadła w przygnębienie i przyjaciele poczęstowali ją alkoholem, aby poprawić jej nastrój. Potem była lekko zamroczona i jakiś znajomy zawiózł ją do siebie, mając zamiar jeszcze bardziej ją uspokoić i pocieszyć, tak aby nie wracała z płaczem do domu i do swego przewrażliwionego ojca. Ale ten łobuz pocieszał ją w nieodpowiedzialny sposób, ona zaś pod wpływem alkoholu pozwoliła na wszystko i zaszła w ciążę. Potem myślała o przerwaniu ciąży, ale powstrzymywał ją szacunek dla nowego życia i ostatecznie zwyciężyła tęsknota za macierzyństwem. Teraz jest więc matką i nieszczęśliwą żoną. Najprawdopodobniej wkrótce rozwiedzie się z tym łobuzem i wyzna mi całą prawdę.

Lecz Siv mi nic nie wyznała. Nie nadszedł od niej żaden znak życia. I nikt nie mógł nic nowego powiedzieć. Z początku przemyślałem o tym, żeby po zwolnieniu zamordować tego łobuza – tak,

wywołać sądny dzień; zabić łobuza, zabić dziecko, zabić Siv – a na ostatku skończyć ze sobą! Potem złagodniałem, miałem zamiar przebaczyć jej, nawet przyjąć dziecko za swoje, byleby tylko rozwiodła się z tym łobuzem i wyszła za mnie. Jeszcze później na przemian oscylowałem między tymi dwoma rozwiązaniami, żądzą mordu i chęcią wybaczenia. To było prawdziwe piekło i holenderski de Rechtbank nie brał pod uwagę, że taka będzie najgorsza część nałożonej na mnie kary. Tak, tak, kara jest czymś bardzo względnym.

Przez ostatnie półtora roku pobytu w więzieniu trochę się uspokoiłem. Uporczywie trzymałem się myśli, że Siv żyje, ale wszystko, co się z nią wiązało, właściwie umarło. Żyła dla mnie tylko Siv z dawnych czasów, kiedy oboje cieszyliśmy się wolnością i życiem. W marzeniach i snach przeżywałem wszystko na nowo, spisywałem też wspomnienia ze wspólnie spędzonych chwil. Niesłychaną krzywdą wydawało mi się, że mimo wszystko, mimo wszystko, nigdy nie będzie już dla mnie taką, jak wówczas; cała moja i tylko moja, nie skałana przez nikogo innego, chroniona przez prawdziwą miłość. Przecież my dwoje przeżyliśmy razem wielką rzecz, jaką współczesny człowiek zna tylko powierzchownie: miłość. W każdym razie ona mnie na pewno tą miłością obdarzyła, bo jeżeli

któremuś z nas brakło zdolności kochania, mogłem to być tylko ja, bo ja się do niej nie umywałem. Tak, powtarzam raz jeszcze: Wiem, co to jest miłość, bo zostałem nią obdarzony. Wiem, co znaczy być kochanym przez kogoś innego. To nie da się wypowiedzieć! To jest coś ogromnego! Coś, co przewyższa wszystko! To jest najśodsza i najcenniejsza rzecz w życiu, i nikt, stanowczo nikt – choćby największy cynik powołujący się na swoje doświadczenie życiowe – nie potrafi we mnie wmówić, że na świecie nie istnieje coś, co się nazywa wielką miłością, i że taką można spotkać więcej niż jeden raz. Nie, miłość nie jest towarem, nie można jej przenosić z jednego partnera na drugiego. Miłość jest iskrą, jest mistyczną inspiracją wzniecającą ogień, który może strawić duszę na popiół. Czy to nie jest przedziwne, że, w promieniach cudzej miłości człowiek potrafi jakby urósć, wyjść ze swojej skorupy, stać się lepszy? Niech żyje eros, niech żyje caritas! Niech żyje Siv! Dzięki za nią.

Zasyłałem dzięki również wtedy w więzieniu, lecz bez tej ulgi, co teraz. Zasyłałem dzięki i byłem za kratami. Dziękowałem i nic nie wiedziałem. Byłem wdzięczny i w duszy odtwarzałem to, co minęło. Ale ciągle wracały uparte myśli, ciągle medytowałem nad różnymi możliwościami, a wszystkie

stanowiły tylko teoretyczne przypuszczenia; że Siv nie żyje, że żyje i ma męża i dziecko, że wpadła w chorobę umysłową – i te przypuszczenia podniecały mnie, choć przez ostatnie półtora roku nigdy na długo, bo przecież pragnąłem, żeby żyła i żeby ją mógł spotkać taką, jaka jest, naprawdę tego pragnąłem i w pewien sposób w to wierzyłem, choć zdrowy rozsądek dyktował, że to nie może nastąpić.

Ponad cztery lata siedziałem za kratami i mogę powiedzieć, że kara – zasłużona czy nie zasłużona – działa właśnie tak, jak została pomyślana: jak ciężki dopust, jak plaga.

Nie chcę jednak wiele pisać o tym okresie. Ograniczę się tylko do streszczenia, do kilku faktów:

Z sądu przewieziono mnie wprost do kliniki psychiatrycznej. Tam zapadłem na chorobę, na którą nigdy przedtem nie cierpiałem, a mianowicie na długotrwałą depresję. Dzięki temu przez jakiś czas byłem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Stefan przychodził, aby mnie pocieszać i dodawać mi otuchy, prawił też kazania na temat „snów o lepszym człowieku”.

W chwili zapadnięcia wyroku Siv i jej ojciec przebywali w Holandii. Siv nie pozwolono odwiedzić mnie w klinice, a ze względu na mój stan zakaz obowiązywał bezterminowo. Wobec tego ojciec

zabrał ją z powrotem do Norwegii, a później uzgodniliśmy pisemnie, że nie zobaczymy się przed moim zwolnieniem. Zgodziliśmy się oboje, że jej wizyty nikomu by nie wyszły na dobre; ani ona, ani ja nie znieśliśmy ciągłych i smutnych rozstań. Najlepiej było pogodzić się z jedną długą rozłąką.

Po depresji przyszedł okres apatii i sennaści. Opanowała mnie zupełna obojętność, a równocześnie nachodziły mnie skojarzenia, które się zupełnie wymykały spod kontroli. Myśli pojawiały się i znikwały – jeden Bóg, owo mistyczne X, może wie, według jakich prawideł! Byłem tylko ośrodkiem niejasnych prądów, które we mnie krążyły, sam zaś wierzyłem, że jestem na granicy zupełnego rozkładu psychicznego, zupełnej utraty woli. Nie pragnąłem niczego. Nie oczekiwałem niczego i nie tęskniłem za niczym, przez kilka tygodni nie tęskniłem nawet za Siv. A najdziwniejsze jest to, że dobrze się czułem w tym stanie; albo może zdawało mi się, że dobrze się czuję, że poddanie się temu stanowi sprawia mi przyjemność.

Ożywczy optymizm Stefana musiał jednak w końcu oddziaływać, tak że okres apatii minął. Jakież to było proste: kilka dawek marzeń, kilka dawek nadziei, i znów byłem dawnym Bragem.

Kilka miesięcy po wyroku przeniesiono mnie na

próbę do zwykłego więzienia. Postawiłem sobie za cel unikać za wszelką cenę bezczynności. Za wszelką cenę muszę się zająć czymś, co wykracza poza otaczającą mnie, uprzykrzoną rzeczywistość. Muszę myśleć konstruktywnie i patrzeć w przyszłość. Opanowała mnie żądza wykorzystania czasu. „Wykorzystam cię do maksimum” – mruczałem chwilami nienawistnie, tak jakby czas był moim najgorszym wrogiem.

Oprócz zwykłych zajęć więziennych wykorzystywałem czas następująco: uczyłem się dalej, kontynuując przerwane studia, czytałem masę innej literatury, a w celu utrzymania ciała w jakiej takiej formie zacząłem regularnie uprawiać dwa razy dziennie intensywną gimnastykę. Ta ostatnia część dziennego programu wymagała największej siły woli, bo okropnie nudne jest dzień po dniu i rok po roku trenować samemu w ciasnym pomieszczeniu, bez żadnego widoku na jakiegokolwiek współzawodnictwo.

Potem nadszedł ostatni list od Siv, ale dopiero latem 1956 uświadomiłem sobie, że z tego lub innego powodu ten list był ostatni. Jeszcze raz się załamalem i zostałem przeniesiony z powrotem do kliniki. Zachowywałem się jak szalony, wściekałem się na wszystkich dokoła, włączając Stefana, który nie chciał powiedzieć nic pewnego na temat

Siv. Nie mogłem znieść jego oczu, bo gdy mówił o niej, zawsze traciły wyraz i gdzieś błędziły.

Ale już po tygodniowym pobycie w klinice zamknąłem się znów w sobie i nie dawałem po sobie poznać wściekłości. I nikt inny, tylko Stefan, pomógł mi wydobyć się z tego stanu, przekroczyć tę barierę. Po dwu miesiącach znalazłem się ponownie w więzieniu.

W celi wróciłem do swego programu dziennego, a w drugim roku pobytu naczelnik więzienia wynagrodził moją wytrwałość w gimnastyce w ten sposób, że pozwolił mi używać do ćwiczeń przyrządów ręcznych – ciężkich przedmiotów, którymi „wybuchowy psychopata” mógł przecież rozwalić łeb pierwszemu z brzegu strażnikowi. Oprócz tego zacząłem znów pisywać listy do Siv. Długo jeszcze to robiłem.

Tylko raz urządziłem awanturę. Było to wtedy, gdy próbowano mnie ulokować w dwuosobowej celi; zaczepiałem tego drugiego, groziłem mu zabiciem, wyprawiałem różne psikusy strażnikom, a uspokoiłem się zupełnie dopiero wtedy, gdy uznano, że „wybuchowy psychopata” jednak wymaga pojedynki.

Nie potrzebowałem towarzystwa. Po co miał mi ktoś śmierdzieć pod boki. Ten współwięzień był jeszcze w dodatku pederastą.

Groziły mi nowe okresy depresji, starałem się ją zwalczać na różne sposoby. Między innymi udawałem klauna i wyprawiałem różne błazeństwa: stanąć na palcach, skakać i tańczyć, zaśpiewać piosenkę, okręcić się dokoła, upaść i uderzyć się, ale zaraz wstać i nie krzywić się, myśleć o czym innym, zająć się czymś innym... na przykład wygłosić przemówienie: „Szanowne panie i szanowni panowie! Dzisiaj przystąpię... O, jak pani na mnie patrzy! Proszę bliżej! Proszę bliżej...”.

Nie pamiętam już, kiedy i jak to się zaczęło, ale po prostu raz i drugi ołówek zaczął spacerować po papierze i sam się zdziwiłem na widok słów i zdań. A gdy to się powtarzało przez pewien czas, odkryłem w końcu, że... tak, w końcu znalazłem właściwą rozrywkę, najlepszą broń przeciw depresji. Gdy więc ona nadchodziła, zaczynałem gryzmolić coś na papierze, obojętne co, szalone czy bez sensu, prawdopodobne czy nieprawdopodobne, to nie miało żadnego znaczenia; już sam fakt, że pod moją ręką formowały się słowa, pozwalał przećdzić nastrój depresji. I czy nie jest godne podziwu, jak jedno rodzi drugie. Bo proszę posłuchać. Z tej bezsensownej bazgraniny zaczęły się krystalizować określone figury, a z tej krystalizacji zaczęły się wyłaniać żywe postacie ludzkie, które mrugały do mnie, mówiąc: „Chodź, zobacz, kim je-

steśmy”. Ulegałem więc temu wezwaniu, najpierw potykałem się, brakowało mi tchu, kilka razy upadłem, ale zawsze się podnosiłem i szedłem dalej! Dalej! Dalej za nimi, a dni mijały, miesiące mijały, moje kroki były coraz dłuższe, szybsze, pewniejsze, wreszcie mogłem powiedzieć: „A jednak was znalazłem” i gdy po siedmiu miesiącach moja wędrówka zbliżyła się do kresu, na stole przede mną leżało opowiadanie oparte na dawnych wspomnieniach, nazwałem je „Zgrywa”.

Pisałem wiele innych rzeczy: niewielkie szkice, dialogi, bajki, powiastki – w końcu napisałem nowe opowiadanie, które nazwałem „Jasnowłosa noc”. Mowa w nim jest o jednej jedynej, krótkiej i jasnej letniej nocy, od zachodu do wschodu słońca, i o młodej kobiecie i młodym mężczyźnie, którzy tę noc spędzili razem. Nic tam więcej nie ma. Tylko jasna noc, jasne włosy, jasna skóra i jasne myśli.

Wkrótce straciłem zainteresowanie studiami filologicznymi. Wystarczyła mi „wolna literatura” i moja własna pisanina. Aby zaś nie być zupełnie samotny, stworzyłem sobie wyimaginowanego słuchacza, który po jakimś czasie jakby nabrał życia; stary poczciwy wujaszek w białym surducie, z białą brodą i białymi oczyma. Posadziłem go na tronie i nazywałem go „Jego Mością”, a siebie samego

skaldem Jego Mości, i co wieczora wkraczałem uroczyście – jakże uroczyście! do jego białej komnaty, aby mu przeczytać słowny plon tego dnia: czarne słowa, czerwone słowa, zielone słowa, słowa we wszystkich barwach. „A więc teraz posłuchajmy na własne uszy i zobaczmy na własne oczy – mawiał za każdym razem Jego Mość – co też młodemu twórcy tkwi w jego niespokojnym sercu”. Bo Jego Mość był zawsze pełen wyrozumienia, cierpliwy i niesłychanie łagodny – akurat tak samo, jak dobra Bozia z dziecinnych lat. I po każdym czytaniu wypowiadał do mnie takie białe słowa: „Sprawiłeś mi radość. Wiele zyskałem. Przyjdź wkrótce jeszcze raz, mój skaldzie”. Wtedy wybucham gromkim śmiechem i wypadam z komnaty, a szkarłatnoczerwony płaszcz powiewa za mną miękkimi fałdami; moje stopy krzeszą iskry, z oczu buchają języki ognia, które łopoczą jak dwie flagi.

Czasami miewałem niedobre sny. Jednej nocy rozwalilem mury więzienia, na czarnych skrzydłach poszybowałem do Norwegii, jak burza spadłem na pewien dom, przedarłem się przez ścianę i zobaczyłem... dwa białe ramiona, które na mnie czekały... tylko te dwa białe ramiona... tylko dwa białe ramiona leżące po obu stronach czarnej poduszki... czekające na mnie... czekające tylko na

mnie... ramiona Siv, ręce Siv, palce Siv. Zobacz! Tu jest malutka blizna na wskazującym palcu prawej ręki! To musi być Siv! Moja ukochana! – wybucham. – Czy to wszystko, co z ciebie zostało?

O, tylko to życie seksualne! Tylko to jedno. Pamiętam pewnego więźnia. Miał okno od ulicy. Mógł przez nie oglądać przechodzące kobiety. Jednego dnia skończyła się jego cierpliwość i zaczął obrzucać te kobiety najwulgarniejszymi wyzwiskami.

Do więzienia przemycano pornograficzne zdjęcia, które krążyły z rąk do rąk; pewien więzień, który umiał rysować, dostawał papierosy i czekoladę w zamian za obrazki przedstawiające akt spółkowania. Normalni dotąd ludzie nagle odkrywali w sobie perwersyjne skłonności. A jeżeli sami ich nie odkryli, to nigdy nie zabrakło kogoś, kto im w tym pomógł.

W moim wypadku sprawy seksualne dominowały w tym, co pisałem. Erotyczne fantazje często prowadziły do przejawionych opisów na tematy seksualne. Pod ołówkiem wyrastała niezmiennie naga kobieta, małe „d” przypominało mi coś z Siv, jej delikatne, gładkie, kochane... O...! Piersi i tyłeczek widziane z profilu, a wielkie „V” stawało się... naturalnie, że właśnie tym. Najgorzej jednak bywało wtedy, gdy w trakcie jakiejś pracy mózg

zaczynał nagle wytwarzać szereg powiązanych ze sobą scen erotycznych... od chwili gdy Siv zjawia się u mnie, aż do chwili gdy w pełni zaspokojona dziękuje i mruga kocimi oczyma, które miłośnie ogarniają cały świat.

Może jednak mimo wszystko byłem uprzywilejowanym więźniem. Wielu zazdrościło mi moich snów – „ten Bragesson potrafi o wszystkim zapomnieć” – a gdy kapelan więzienny dowiedział się, że umiem grać na harmonii, „zaangażował” mnie na występy artystyczne. Sam miał niezły głos, razem wykonaliśmy parodię jakiejś opery. Kapelan śpiewał rolę kobiecą, ja męską. Było to o miłości na najwyższych koturnach i zostało doskonale przyjęte.

Ale więzienie jest i zawsze będzie tylko więzieniem. Prowadzą cię z powrotem do celi, drzwi zamykają się za tobą, nawet w wieczór wigilijny, nawet chociaż wtedy urodził się Zbawiciel. I księżyc świeci na ciebie zimnym blaskiem, i podwójnie widzisz kraty; widzisz je w oknie, o ile taka dziura w murze jest oknem, i widzisz ich rysunek na podłodze, a z daleka, gdzieś na zewnątrz, słyszysz szum wolności – albo głos strażnika używającego sobie na krnąbrnym więźniu, który nie chce się zgodzić z takim traktowaniem w wieczór wigilijny.

A potem przychodzi Nowy Rok. Słyszysz dzwony

i odgłosy wesołej zabawy. Stary rok nieodwołalnie mija, a ty stoisz sztywno i uroczyście, myśląc o ukochanej.

Gdzieś tam jakiś więzień płacze. Obok inny klnie wściekle. Słyszysz niespokojne kroki i wsłuchujesz się w bicie własnego serca. Ile razy to głupie serce uderzyło przez ten rok? Nie przez ten, przez zeszły rok. Próbujesz obliczyć. Ile uderzeń przeciętnie na minutę? Powiedzmy, że 70. 70 pomnożone przez 60 daje 4200 uderzeń na godzinę. 4200 pomnożone przez 24 daje 100800 uderzeń na dobę. 100800 pomnożone przez 360 daje na rok... niesłychaną wprost liczbę uderzeń. Ponad, nie, prawie 363 miliony uderzeń serca! Oszaleć, naprawdę można oszaleć!

Melancholijny oszust Wim van Nix, jak sam się nazywa, śpiewa smutną piosenkę. Strażnik woła: „Stul pysk, ty tam!”.

Ejże, Brage. Chyba się pomyliłeś. Czy to nie będzie 36 milionów uderzeń?

70 pomnożone przez 60 daje 4200 uderzeń na godzinę, 4200 pomnożone przez...

Sprawiedliwość?

Orzeł schwytyany za młodu może przywyknąć do klatki. Orzeł, który spory kawał życia spędził na swobodzie, może w klatce zdechnąć.

Dla ogiera uwięzienie w stajni jest karą. Rzadko

dla wałacha.

Eunuch nie tęskni za kobietą. Oszkapały koń za klaczą.

Dwa lata może znaczyć dla więźnia tyle, ile dla innego dziesięć. Wszystko zależy od charakteru i umysłowości więźnia, od sumy jego temperamentu i intelektu.

Sprawiedliwość?

Sprawiedliwość jest iluzją. Pod każdym względem.

Przez te lata, kiedy ja siedziałem za kratami, Stefan tak często, jak tylko mógł, wyjeżdżał do Niemiec, aby „obudzić człowieka” w niemieckich świadkach, kolegach nieżyjącego Fritza Heilmanna. Stawiał wszystko na tę jedną kartę, poświęcał wiele czasu i pieniędzy, nierzadko spotykał się z nieprzyjemnym przyjęciem ze strony tej bandy.

Pewnego razu odwiedził również Benteina Dagestada w Norwegii. Zrobił to „dla eksperymentu”, wbrew mojej woli. Bentein był uprzejmy dla małego adwokata, ale nie miał nic nowego do powiedzenia na temat swego pobytu w Amsterdamie tej nocy, której wydarzyło się nieszczęsne zabójstwo. „Byłem bardzo zdziwiony, że Brage przyjął wobec mnie taką agresywną postawę w sądzie, jakbym ja był tym dziewiątym – oświadczył Bentein i dodał: – Wiem, że mnie nie lubi, ale tego nie pojmuję.

Przecież nie jestem tym dziewiątym. Rozumie pan, panie mecenasie? Proszę więc, aby pan dał mi już spokój z tą sprawą”.

Co działo się z niemieckimi świadkami po bójce w „Czerwonym Amsterdamie”?

Dwaj ożenili się i żyli jak pracowite pszczoły – samochód, telewizor, radio w każdym pokoju, robot kuchenny, lodówka, pralka elektryczna, kredyt, raty, itd. Czterej pozostali nadal urządzali wspólne wyprawy i kilkakrotnie wpadali w konflikt z policją za niedozwoloną szybkość i różne awantury. Jeden z nich, po wypadku przy wyprzedzaniu na autostradzie z szybkością 160 kilometrów na godzinę, został na całe życie kaleką, a drugi uczestniczył w gwałcie, który skończył się śmiercią dziewczyny. „Nie chcieliśmy jej zabić, chcieliśmy ją tylko trochę nastraszyć” – twierdzili. Ale fakt pozostał faktem, dziewczyna nie żyła.

Ten wypadek dostarczył memu obrońcy nowej broni w psychologicznej wojnie ze świadkami. Okazało się, że mimo wszystkich poprzednich niepowodzeń upatrzył sobie jednego z nich jako człowieka o stosunkowo „normalnej psychice”. Był to młody robotnik przemysłowy, jasnowłosy, szczupły mężczyzna, żonaty, mówiący nerwowo i gestykulujący. Po aresztowaniu kolegi załamał się zupełnie i pewnego dnia wyznał Stefanowi, że to właśnie on

i jego koledzy rozpoczęli bójkę w Amsterdamie. Już z góry ułożyli sobie, żeby „komuś spuścić man-to”, a Bragesson cały czas tylko się bronił i kilka razy próbował od nich uciec.

Jeden świadek na moją korzyść.

Współuczestnik gwałtu i zabójstwa dziewczyny miał niewiele do stracenia, więc i on się przyznał.

Dwaj świadkowie na moją korzyść.

Pozostało czterech.

Upływ czasu przeszkadza, szczególnie pamięci ludzi z nieczystym sumieniem. Ci Niemcy, którzy przed czterema laty składali jednakowe zeznania, zaczęli się podejrzenie wikłać w wielu szczegółach. Kłamliwe wymysły mieszały się ze wspomnieniami prawdziwych wydarzeń zaszłych owej nocy w Amsterdamie, tak że w końcu zaplątali się w labirynt sprzeczności. Po pięciu dniach przesłuchań wszyscy się przyznali.

Stanowczo podtrzymali jednak dwie okoliczności z poprzednich zeznań: że Fritz Heilmann był nieprzytomny już wtedy, kiedy ja rzuciłem nim o ścianę, oraz że ten dziewiąty uczestnik naprawdę istniał. Bragesson był nie sam, lecz z jakimś drugim facetem, który mu z początku pomagał. Oprócz tego – bardzo skwapliwie to podkreślali – ów dziewiąty, towarzysz Bragessona, był tak samo wojowniczo usposobiony, jak oni, też miał chęć na

drakę. Bo to właśnie on powiedział pierwsze słowa „*Are you Dutch?*” i po ich odpowiedzi krzyknął: „*Verdamme deutsche Schweinehunde*”. Prawdą okazało się również, że Bragesson starał się im wszystkim przemówić do rozsądku, kłamstwem natomiast to, że splunął na kogoś lub że uderzył kogoś poniżej pasa. To wszystko zrobił ten dziwiąty. Gdy jednak Bragesson zabrał się na dobre do rzeczy, był bardzo brutalny.

Nie chciałem, aby im wytaczano sprawę o cokolwiek. Guzik mnie wszyscy razem obchodzili. Nie mam też pojęcia, czy wszczęto przeciw nim jakieś kroki prawne. Miałem dość własnych kłopotów. Chciałem wracać do domu, do Norwegii, i to możliwie jak najszybciej. Oprócz tego nic mnie nie interesowało.

I w ten sposób wybuchowy psychopata, człowiek, który „powinien być na zawsze odizolowany od społeczeństwa”, został uniewinniony i zwolniony z odszkodowaniem wysokości 40000 koron za straty materialne.

Ale później Stefan jeszcze podbudował swą teorię o winie człowieka o biernej postawie. Przytaczam tu z jego książki rozdział noszący tytuł: „Do wielu występków i cierpień dochodzi właśnie dlatego, że

ty uchylasz się od udzielenia pomocy”:

„Człowiek bierny jest przestępcą przez zaniechanie. Posiadając znajomość zła i cierpienie, dla własnej wygody uchyla się od przeciwdziałania. Postępuje wbrew nakazom rozumu. Postępuje świadomie.

Mówi się, i ciągle powtarza na nowo, że jeden człowiek może tylko bardzo niewiele uczynić wobec całego oceanu prywaty i egoizmu, który charakteryzuje większość ludzkości, a ponieważ tak wielu ludzi to powtarza i stosuje w praktyce, jest to niemal prawdą. Jeżeli jednak rozpatrzy się sprawę z uczciwszego punktu widzenia niż ten, który służy do usprawiedliwiania biernej postawy, to rzecz przedstawia się całkiem inaczej. Widzi się wtedy, że twórca działa na rzecz lepszego świata równocześnie na wiele sposobów: Zmniejsza o jedną osobę grupę ludzi biernych i zwiększa w tym samym stosunku grupę ludzi myślących społecznie, co już samo przez się stanowi dwa punkty na rzecz dobrej sprawy. Stara się przeciwdziałać cierpieniom, odwracać je lub łagodzić ich skutki, co daje nowy punkt. A swoim przykładem udziela moralnej nagany ludziom o biernej postawie, dodając dalsze punkty na rzecz dobrej sprawy. Możliwości każdego twórcy są więc kolosalne, zwłaszcza gdy pamiętamy, że są osiągnięciami jednego

jedynego człowieka. Tak zaś należy je traktować.

Człowiek o biernej postawie nie jest głównym powodem zła i tym samym cierpień, bo nikt nie zna tego głównego powodu. Dlatego mówimy, że on tylko ponosi winę wobec ogółu. Jeżeli jednak wyobrazimy sobie pewien rozsądnie ograniczony zespół występków i cierpień, to widzimy, że za nie ponosi winę bezpośrednią.

Tak więc uchylanie się człowieka biernego utożsamiamy z tym, co się zwykle rozumie pod pojęciem działania uwarunkowanego odpowiedzialnością. Jego uchylanie się uznajemy za przyczynę skutków, bo ma możliwość zapobiegania tym skutkom. Taka myśl opiera się na założeniu, że stawiamy znak równości między przyczyną a koniecznym warunkiem. Jest zaś faktem, że koniecznym warunkiem powstania zła i cierpień jest właśnie to, że wielu uchyla się od udzielania pomocy. Poszczególne człowiek o biernej postawie ponosi więc winę za pewną mniejszą liczbę występków i cierpień, którym mógł przeciwdziałać, odwracać je lub łagodzić ich skutki, gdyby był twórcą. Wszyscy zaś ludzie normalni fizycznie i umysłowo mogą zostać twórcami. Nie ma bowiem na świecie takiego człowieka, który by mimo uczciwej próby w tym kierunku nie potrafił nigdy, przez całe życie, zostać twórcą. Wszyscy o tym wiemy, bo przecież wszyscy

znamy cudze cierpienia, rozumiemy je, potrafimy się w nie wczuć i dziękować losowi, że nas one nie dotknęły. Jedna jest tylko ujemna strona: aby zostać twórcą, potrzebny jest wysiłek, a my mamy już tyle do zrobienia, że nasze siły są niewystarczające itd. Nie zbywa nam też ani grosza z zarobków. Na to ja odpowiadam: Kłamstwo! Zawracanie głowy! Sił i pieniędzy macie aż nadto! Tylko raz spróbujcie, to się przekonacie! A gdy będziecie próbować jeszcze trochę, to sami się zdziwicie, jak wiele sił i pieniędzy bez najmniejszego własnego uszczerbku możecie poświęcić dla cierpiących.

Zdaję sobie jasno sprawę, że wprowadzenie systemu leczenia będzie procesem długotrwałym i stanie w obliczu trudnych problemów natury praktycznej. Ten system będzie również znacznie kosztowniejszy od systemu karnego. Lecz obowiązkiem społeczeństwa jest zapłacić tę cenę i żadne przeszkody nie powinny nas powstrzymać od robienia tego, co jest bezwzględnie słuszne i sprawiedliwe”.

Potem Stefan przedstawia poglądy na temat systemów karnych w różnych krajach i zbija różne zastrzeżenia wobec możliwości wprowadzenia w praktyce systemu leczenia. Zajmuje się też Norwegią i tak pisze o profesorze Johs. Andenaesie:

„Zasadniczo nie sprzeciwia się on naturalnie

temu, że ludzie wykraczający przeciw prawu powinni w coraz większym stopniu podlegać leczeniu, a nie karze. Ale w swojej książce «Ogólne prawo karne», w części ósmej «Profilaktyka karna, leczenie i kara», w paragrafie zatytułowanym «Czy należy zrezygnować z pojęcia kary?» – wypowiada się, jako przedstawiciel wielu prawników, następująco: «Z czysto praktycznego punktu widzenia należy stwierdzić, że jak dotąd pojęcie winy i kary tkwi głęboko w ogólnej świadomości. Prawodawca musi ten fakt uznać za rzeczywistość społeczną. Jeżeli kiedyś dojdziemy do tego, że myśl o karze jako o czystej formie obrony społecznej, pozbawionej aspektu potępienia, utrwali się w opinii publicznej i wywrze wpływ na instytucje systemu karnego, wtedy zmiana może się w końcu okazać naturalnym rezultatem procesu rozwojowego. Dziś jednak nie stanowi to aktualnej polityki w Norwegii».

Jak widzimy, nie chodzi tu tylko o spór dotyczący znaczenia słów, i oczywiście zgadzamy się z norweskim profesorem co do tego, że nigdzie nie ma takiej polityki aktualnej, która zalecałaby naklekanie etykiety «wino» na butelce, o której wiemy, że zawiera salmiak. Radzimy najpierw wylać salmiak, wypłukać dokładnie butelkę i dopiero potem napełnić ją winem. Wtedy obejdziemy się bez

wyjaśnienia, że etykieta może stanowić naturalny rezultat procesu rozwojowego, bo będzie to dla każdego czymś oczywistym.

Profesor Andenaes zaleca jednak również, by z ewentualnie słusznym rozwojem poczekać na to, co jest ospałe, pełne uprzedzeń i ciemne, a co nazywa się opinią publiczną. Względ na cierpienia jednostek musi ustąpić względom na opinię większości.

Na czym opiera się to potworne rozumowanie? Przede wszystkim na argumencie, który z biegiem czasu stanie się ostatecznym szańcem systemu karnego: na względzie ogólnozapobiegawczym. Kara jest więc rodzajem propagandy moralności. Pojęcia odpowiedzialności moralnej i winy mają «tak wielkie znaczenie dla utrzymania morale społeczeństwa», że «byłoby niezwykle niebezpieczne, gdyby prawodawca sam wyrzucił te pojęcia za burtę» (Andenaes).

Wobec tego pytam: czy wszyscy jesteśmy aż do tego stopnia potencjalnymi burzycielami, że morale społeczeństwa ucierpi przez wyeliminowanie kary?

Nie ma na to dowodów. Nigdy nie zostało to nawet dostatecznie uprawdopodobnione. Nowy porządek nie został wypróbowany. Jeszcze nie można wypowiedzieć się na podstawie doświadczenia.

Można najwyżej przypuszczać. Czy jednak obawa przed konsekwencjami, które są niepewne i tylko do przewidzenia, powinna powstrzymać nas od wprowadzenia rzeczy słusznej, skoro wiemy, że jest słuszna?

Jedno jest pewne. Rozwój ludzkości w pozytywnym kierunku nigdy nie szedł tą drogą. Nowe zdobycze były zawsze rezultatem wysiłków elity, często stojących w sprzeczności z opinią publiczną.

Proszę sobie wyobrazić rzecz okropną: że nauka o krążeniu ziemi dookoła słońca nie mogłaby znaleźć zastosowania dopóty, dopóki opinia publiczna nie wypowiedziałaby się, że chce tej prawdy. Prawda o systemie heliocentrycznym została tymczasem narzucona podstępem, przy wielkiej opozycji i krzyku ze strony Kościoła. Ale Bóg nie umarł przez to w świadomości ludzkiej. Podobnie i morale społeczeństwa nie poniesie szwanku z powodu naszej prawdy. Ono przeżyje, bo ludzie wstrzymują się od popełniania przestępstw nie tylko z obawy przed karą i jej konsekwencjami, jest wiele innych pobudek. W walce między dobrem a złem groźba kary odgrywa tylko skromną rolę. Może ona mieć jakieś znaczenie w wypadku drobnych przestępstw, gdy należy odstraszać ludzi od jeżdżenia lewą stroną ulicy albo znieważania sąsiadów, albo malwersacji pieniężnych. Ale wielkich

potencjalnych burzycieli, notorycznych i pozbawionych skrupułów, nie powstrzyma żadna groźba – a przecież oni stanowią główny problem społeczny. Elementy destrukcyjne są u nich zbyt silne. Jeżeli cokolwiek może ich powstrzymać, to coś zupełnie innego: pełne zrozumienie, że postępują źle. A takiego zrozumienia nie da się im wmusić w świadomość żadną groźbą. Groźba nie tylko nie pomaga, ale w wielu wypadkach jeszcze bardziej podnieca agresywność burzyciela wobec społeczeństwa”.

[1] Czort zachwala każdy sektor piekła (ang.)

[2] Tak, tak, czort, proszę pana, czort. (ang.)

[3] Witaj, żeglarzu! (ang.)

[4] Cóż, wybiorę się na krótką wycieczkę (ang.)

[5] Niebawem tu wrócę, ale takie rzeczy to ja już widziałem w Hamburgu na Reeperbahn, ale jednak... (niem.)

[6] Dziękuję, proszę pana (fr.)

[7] Cholerny zabijaka (niem.).

[8] Przekłête świnie. To oni są świniami, nie my (niem.)

[9] przekłête niemieckie świnie (niem.)

[10] na szczęście (niem.)

[11] wiele hałasu o nic (niem.)

- [12] radość z cudzego nieszczęścia (niem.)
- [13] chuligan (niem.)
- [14] cud gospodarczy (niem.)
- [15] bardziej szczęśliwi (niem.)
- [16] Niemcy (niem.)
- [17] Ale nie (niem.)
- [18] Słucham? Heil Hitler i już koniec żartów,
dobrej nocy chłopcy (niem.)
- [19] Przemoc, co? (niem.)
- [20] Uwaga! (niem.)
- [21] Ale przecież (niem.)
- [22] jeden, dwa, trzy (niem.)
- [23] Absolutnie koniec! Już nic więcej, nic więcej!
(niem.)
- [24] człowieku (niem.)
- [25] Krew i honor! (niem.)
- [26] Lekarza! Lekarza! Chłopcy, nie, stać, szybko
lekarza... (niem.)
- [27] Jesteście Holendrami? (ang.)
- [28] Nie (niem.)
- [29] Aha, przekłete niemieckie świny (niem.)
- [30] Oczywiście (niem.)
- [31] Oczywiście nie (niem.)
- [32] norweski zabijaka (niem.)
- [33] Ostrożnie! On jest nieprzytomny! (niem.).

II

WOLNOŚĆ

Dopiero nad Wyspami Fryzyjskimi przyszło mi to na myśl: w pośpiechu zapomniałem o Stefanie. W chwili mego odlotu był w sądzie, ale przedtem ciągle powtarzał, że zaprasza mnie do swego domu przy Keizersgracht na małe „święto wyzwolenia”. „Nie zapominaj o swym starym przyjacielu i mentorze” – mawiał. A jednak o nim zapomniałem, zapomniałem podziękować i pożegnać się z człowiekiem, który zwrócił mi wolność i z własnej inicjatywy obdarzył mnie jeszcze czymś więcej.

Zlany zimnym potem ze wzruszenia złapałem na lotnisku Kastrup pierwszy samolot powrotny i tego samego wieczoru znów znalazłem się w mieście tak mocno związanym z moim losem.

Nie było to przyjemne wrażenie. Prawie jak powrót do zaułków i krwawej łaźni, i zabójstwa, i sali sądowej, i więzienia... prawie jak prowokowanie losu, żeby się powtórzył.

Drżąc i szczękając zębami, szedłem brzegiem kanału wzdłuż Keizersgracht. Myślałem o Siv. Wolność i świadomość, że teraz już nikt nie może mi przeszkodzić w zdobyciu bliższych informacji o tym, co się z nią stało, pozwalały mi spojrzeć w oczy faktowi, że nigdy nie spotkam jej takiej,

jaką była przedtem. Ponieważ jednak nie chciałem, aby umarła, nie wierzyłem również w tę ewentualność, dlatego drżąc z przejęcia, rozważałem najrozmaitsze teoretyczne możliwości: gdzie ona jest? Co robi? Czy jest chora? Czy wyszła za mąż? Wyszła za mąż! Ma dziecko! Czy wie, że mnie uniewinniono? Co dzieje się teraz w jej mózgu? Czy myśli o mnie? Pielęguje dziecko i myśli o mnie? Patrzy na swego męża i myśli o mnie? Idzie wieczorem na samotny spacer i myśli o mnie? Staje przed domem, gdzie kiedyś mieszkałem, i myśli o mnie?

Wieczór był jesienny, ale na niebie błyszcząły gwiazdy. W dół kanału cicho sunął statek wycieczkowy pełen gapiących się turystów, na przednim pokładzie tuliła się do siebie czule jakaś młoda para, bo przecież wieczór był taki romantyczny, jakby stworzony do pieszczot, no właśnie, „such a wonderful night, Johnny”, i z brzegów kanału mrugały do nich tysiące elektrycznych żarówek, świeciły tak „wunderbar” i tak „beautiful” na cześć Jima i Johna, i Teda, i Mr McFatbody z Texas City, *und für einen ehemaligen SS Panzergrenadier Joseph Schmüchelstein Schlachtbank, und für alle Menschen in der Welt*^[34] świecił księżyc, tak że były główny mistrz komory gazowej Heinz Krauch Nechenknuch Kanonenburg von Schnuc-

keldorf – niech go Bóg strzeże – nie mógł się powstrzymać, aby uroku natury jeszcze nie upiększyć brzmieniem swego czystego głosu: „Ach, du lieber Augustin, Augustin, Augustin”.

Wszystko to byłoby nie do zniesienia, gdyby do tego krzykliwego chóru ze statku nie włączył się jakiś głos śpiewający po norwesku ordynarną piosenkę o jakiejś „Josseffiiine”. Dziękowałem mu za to. Wdzięczny mu byłem za celne wyczucie komizmu tej sytuacji, biegłem nawet kawałek obok statku i wykrzykiwaliśmy do siebie nawzajem różne sprośne słowa.

Potem zawróciłem i znów ruszyłem do domu Stefana.

Po mojej stronie Keizersgracht panowała cisza i nie było przechodniów – wzdłuż obu brzegów kanału ciągną się ulice – wsłuchiwałem się więc we własne kroki – Pac! Pac! – na bruku. Tak kroczy morderca, pomyślałem i uśmiechnąłem się do siebie. Ale to był krzywy uśmiech.

W pewnym miejscu dojrzałem z daleka plac Rembrandta; światła reklam błyszczały nad „symfonią wodną”, barami, restauracjami, nocnymi lokalami i innymi przybytkami bzdurnych rozrywek dla mieszczuchów... Zgiełk jazzu, jakiś krzyk, lubieżny chichot, a w powietrzu woń perfum zmieszana z zaduchem spalin.

Pac! Pac! Pac! Tak kroczy morderca.

Kilka minut później stałem przed jego domem; brunatny budynek z czterema wysokimi i obszernymi kondygnacjami, chyba z czasów prapradziadków co najmniej, spiczaste szczyty, tuż pod nimi urządzenie dźwigowe przypominające szubienicę, wysokie i dostojne okna, biało pomalowane gzymsy, wygodne marmurowe schody i majestatyczne drzwi wejściowe. Stefan mieszkał na pierwszym piętrze. Wiedziałem o tym. Chwilę odczekałem. Nasłuchiwałem. Najłżejszy głos nie dochodził z wnętrza domu. Ale świeciło się w dwu oknach. Czułem, że za jednym z nich siedzi Stefan i nad czymś duma. Doznałem pokusy podpatrzenia go przez szybę, obmacałem więc najbliższą rynnę, sprawdzając, czy mógłbym się po niej wdrapać. Ale stara rura z blachy ledwie się trzymała.

Wobec tego wszedłem w cywilizowany sposób... skrzypnęło... sza! Nasłuchiwałem... taki mamy zwyczaj, my, mordercy... skradałem się po schodach... i w końcu znalazłem się pierwszy raz przed jego drzwiami. Mosiężna tabliczka ogłaszała wielkimi literami, że tam mieszkał on, „Stefan Borovic”.

Dzwonię. Przez chwilę nic się nie dzieje. Ciche kroki wewnątrz. Drzwi otwierają się powoli. Pokazuje się kobieta o białej twarzy. Ze zdziwieniem

wyziera przez uchylone drzwi. I z troską. Potem mówi:

– Przecież... chyba to nie... chodź, ale chodź! Jak to dobrze, że przyszedłeś. Bo właśnie powiedziałam mężowi: „On jednak przyjdzie. Na pewno wróci”. I rzeczywiście jesteś. Poznają cię z fotografii. – Wprowadziła mnie do ciemnego korytarza, zapaliła światło i wtedy zobaczyłem miłą, drobną kobietę około czterdziestki. Przyjęła mnie serdecznie, ogromnie serdecznie, ale wraz z ożywieniem zdradzała też ślady troski. – Chodź, chodź, Stefan jest w swoim gabinecie – szepnęła – ale go nie przestrasz. Bo słyszałam, że lubisz robić kawały.

– Bardzo dziękuję za wszystkie keksy i ciasto, za wszystkie pisma i wszystkie książki, i wszystkie... – odszepnąłem tak, że zasyczało aż pod sufitem. – Cóż to za cholerna akustyka?

Zaśmiała się krótko, łagodnie. I miała taką małą, ciepłą rękę, która wprowadziła mnie do salonu. Był to bardzo wysoki pokój; ciężkie zasłony na oknach, cała podłoga wyłożona miękkimi dywanami, stare i ładne meble, wiele portretów: przedstawicieli rodziny Boroviców z Polski, z Rosji, z Niemiec, z Austrii, z Norwegii i Holandii... cała rodzina Boroviców na ścianie nad kominkiem. Stefan Borovic. Jedyne pozostały przy życiu ojciec rodziny ze wszystkich Boroviców. O tym wiedziałem.

Wywłócił się z hitlerowskiej fabryki śmierci na nowy wojowniczy świat, świat upadających wartości i zanikających pojęć moralnych, taki świat, że miał dość powodów, aby z rezygnacją osunąć się na ziemię i powiedzieć: „Walczyłem i cierpiałem nadaremnie”. Lecz Stefan postąpił właśnie wręcz przeciwnie. Zrujnowany na ciele i chory na duchu chwycił się pierwszej okazji, aby zacząć dzieło odbudowy. Nie chciał bowiem dać za wygraną. Nie chciał zawrzeć paktu z piekłem ani na tym, ani na tamtym świecie. Toteż na jego grobie można by wyryć słowa: „Nigdy nie uwierzę, że człowiek jest taki zły”.

Jego żona cofnęła rękę, ale znów chwyciłem małą dłoń i pocałowałem. Wdychałem zapach kobiety. Była pierwszą osobą tej płci, z którą się zetknąłem po upływie ponad czterech lat.

Znów krótki śmiech, łagodny i pełen wyrozumienia. Potem skinienie głową w stronę lekko uchylonych drzwi, skąd do salonu wpadał strumień jaśniejszego światła.

Żona Stefana zostawiła mnie samego. Stałem w półmroku na środku pokoju z twarzą zwróconą ku świecącej szparze w drzwiach.

Ociągałem się z pójściem do niego. Może czuje się dotknięty? Czy mam prosić o wybaczenie? Tak trudno mi przychodzi prosić o wybaczenie. Co się

stało, to się nie odstanie, a w każdym razie słowa nic już nie pomogą.

W tym momencie słyszę skądś słowa:

– To dziwne, Bragesson. Osoba znajdująca się w niebezpieczeństwie zwykle wzywa pomocy.

– Nie wzywałem pomocy. Nie jestem byle kim.

– Dlaczego nie wzywał pan pomocy?

– Nawet nie wpadło mi to do głowy.

– A dlaczego nie?

– Myślałem tylko o tym, żeby się jak najlepiej bronić. Nie mam wprawdy w wołaniu o pomoc. Jestem przyzwyczajony sam dawać sobie radę.

– Naprawdę? Czy jest pan przyzwyczajony do śmiertelnego niebezpieczeństwa?

– Co, proszę?

– Bragesson, czy pan jest otrząskany ze śmiertelnym niebezpieczeństwem?

– Kilka razy w życiu byłem w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– O tym wiemy. Ale czy przeżywał pan śmiertelne niebezpieczeństwo aż tak często, aby się z nim otrząskać?

– N... Nie.

– A więc to ustalamy zgodnie z pańskimi słowami, Bragesson.

Słowa chwyciły mnie za gardło. Ogarnął mnie lodowaty strach, stałem na skraju przepaści i sły-

szałem, jak pokój wypełniają głosy z sali sądowej, w tym i mój własny:

– A czy teraz kolano jest już w porządku?

– Trochę mi dokucza, ale na ogół w porządku.

– Czy zranił pan sobie to kolano?

– Lekko zraniłem, ale samo uderzenie w kolano może powodować ból przez kilka dni.

– Za bardzo więc bolało, aby pan mógł biec dalej. Zamiast tego powalił pan na ziemię Heilmanna, chwycił go pan za nogi i zaczął nim wywijać. A wtedy pańskie kolano musiało znosić nie tylko pański własny ciężar, ale i ciężar Fritza Heilmanna.

– Tak.

– To musiało być nie do wytrzymania, Brageson.

– Prawie nie do wytrzymania.

– Może dalsza ucieczka byłaby mniej dokuczliwa dla pańskiego kolana?

Tam w środku coś świszczuje i szumi. Stefan przesuwa taśmę magnetofonową na inne miejsce. Szuka. Stefan szuka. Bada. Studiuje. Próbuje. Wątpi?

– Zwrócił pan uwagę na jeden cienki głos wśród Niemców, natomiast nie zauważył pan tego, że Heilmann jest nieprzytomny. Kapitalne! Wręcz kapitalne!

– Nie patrzyłem na niego! Trzymałem go tylko

za nogi!

– Gdy jednak schylił się pan nad Heilmannem leżącym na ziemi, gdy pan się nad nim pochylił i chwycił go za kostki, nie widział pan wtedy tego?

– Nie patrzyłem na jego twarz.

– Ale patrzył pan na jego nogi!

– Tak.

– Czy ruszał nogami? Powtarzam pytanie! Czy ruszał nogami?

– Wszystko... wszystko odbywało się tak szybko... nie pamiętam... nie pamiętam, czy ruszał nogami, czy nie.

– Bzdura! Powtarzam: bzdura!

Nie, nie mogłem już znieść więcej. Waliło mi w głowie jak młotem, czarno mi się zrobiło przed oczyma, łapałem oddech i zaciskałem pięści, próbując się opanować. Siedzi tam i szpieguje mnie, a ja idiota sądzę, że jestem mile widziany, pomyślałem. Siedzi tam sobie i przeżuwa swoje wątpliwości. Natychmiast wracam do Norwegii. Nie będę mu dziękował, nie, wyjeżdżam momentalnie! Gdzie są drzwi wyjściowe? Do jasnej cholery! Tam Siv czeka... czekaj! Stój, Brage! zachowuj się jak człowiek, opanuj się, musisz podziękować staruszkowi... wyskocz na miasto i kup stukilowy bukiet tulipanów... tulpen uit Amsterdam^[35]... kwiaciarnie są zamknięte, już późny wieczór. Podziękować

staruszkowi? Przecież do cholery byłem tylko obiektem jego chorobliwych badań nad przestępcą, byłem zwierzęciem doświadczalnym, a teraz on tam siedzi i podpatruje to zwierzę, ten obiekt. Do wszystkich diabłów! Zmiataj stąd, Brage, żeby się aż kurzyło!

Ale zatrzymał mnie szpinet, tak, mały i śliczny szpinet z jasnego mahoniu zatrzymał mnie na miejscu. Czy Stefan gra na szpinecie? Mozarta? Bacha? Vivaldiego? Niech zagra „Marsz na wkroczenie Diabła”!

Nie mam pojęcia, jak długo zmagalem się w ten sposób ze sobą, ale nagle stwierdzam, że on stoi w pokoju i patrzy na mnie, patrzy na mnie swymi wielkimi, brązowymi oczyma. O, jaki blady! O, jakie ma podkrążone oczy... bezsenność, bezsenność!

Nie mogę już dłużej nad sobą panować, unoszę go w górę, przyciskam do piersi i dziękuję mu całym potokiem nieskoordynowanych słów. Potem znów go puszczam, a on stoi przede mną drżący, z wypiekami na policzkach – wygląda prawie zdrowo, mruga oczyma i woła:

– Gerda! Gerda! Przynieś kieliszki i coś do picia!

Uczta była jak na Boże Narodzenie, z norweską flagą na stole, udźcem baranim i grzankami opie-

kanymi w maśle. No cóż, skoro Stefan chciał mnie przyjąć po norwesku, tak musiało być.

Wspaniale jest znów siedzieć jako wolny człowiek przy wystawnie nakrytym stole. Wspaniale jest jeść, pić i wznosić toasty w gronie przyjaciół. Zapychać się potrawami, przyrządzonymi z wiktuałów kupionych za pieniądze wolnego człowieka przez kobietę, która korzysta z wolności, potrawami podsuwanymi przez wolnych ludzi przy stole, który też stoi na wolności! Wspaniale jest być znów w domu!

Zbudzono i przywołano dzieci. Troje ich było; mały, sześciolatek Dawid, ośmioletnia Sara i piętnastoletnia Ruth. Przywitały się ze mną poważnie i uroczyście. Dawid chciał siedzieć przy mnie. Był to czarnowłosa, szczupły smyk z drobną twarzyczką i białymi, wąskimi i ruchliwymi rączkami. Obserwował mnie uważnie, nic nie biorąc do ust, nawet tortu. Wreszcie nie mógł już dłużej wytrzymać, klepnął mnie po ramieniu i krzyknął z zachwytem:

– Prawdziwy bandyta!

Trochę mnie w środku zakłuło, ale próbowałem uśmiechnąć się do szczeniaka.

– Nie, wcale nie – śmiał się Stefan. – Są go uniewinnił, a to znaczy, że wcale nie jest prawdziwym bandytą.

Dawid doznał zawodu. Chciał, żebym był prawdziwym bandytą, i cały czas przy tym się upierał. – On jest prawdziwym bandytą! – powtarzał co chwila z coraz większym przekonaniem.

Sara była wysoka i szczupła, wzrostem prawie dorównywała starszej siostrze. Uśmiechała się nieśmiało i oblewała pąsem przy każdym moim spojrzeniu, choćby przelotnym. Staralem się więc na nią nie patrzeć.

Ruth, jako młoda Żydówka, od dawna już była kobietą pod względem fizycznym. Delikatna i śliczna, miała krucze włosy, mlecznobiałą skórę i jasnoniebieskie oczy – przedziwne, przedziwne, inne dzieci miały brązowe – a w ustach rząd najpiękniejszych i najrówniejszych zębów, jakie w życiu widziałem. Poruszała się z gracją, dyskretnie, lecz dostrzegalnie kołysząc biodrami. Chodziła do szkoły baletowej.

Ruth siedziała obok mnie z prawej strony i z wielkim przejęciem rozmawiała o literaturze. Jej ulubionym pisarzem był Tołstoj. Czy czytałem „Wojnę i pokój”? Zadawała trafne pytania i w rozmowie zręcznie szermowała słowami. Jakie jest moje zdanie o tym i o owym? Później Stefan powiedział mi, że jej ulubioną powieścią nie była wcale „Wojna i pokój” Tołstoja, lecz książka Dostojewskiego na temat przestępcy Raskolnikowa.

A więc rozmawiała ze mną bardzo rozsądna i wyrobiona młoda osoba: ani jednym słowem nie zdradziła swego zainteresowania Raskolnikowem, a z wszystkich jej wypowiedzi – albo raczej z tego, czego nie mówiła – mogłem wywnioskować, że wie o mnie wszystko doskonale.

Mały Dawid zaczął się naprzykrzać:

– Jak ci się to udało? Draka z siedmioma naraz! Buch! Związałeś ich do kupy! O tak, prawda? Spuściłeś im manto! Buch! Rozpędziłeś całą bandę! Jak prawdziwy marynarz!

Rodziciel się rozgniewał. Albo Dawid przestanie terkotać jak karabin maszynowy, albo...!

Dawid nadąsany. Patrzy na ojca spode łba.

Przez jakiś czas jedliśmy i piliśmy w milczeniu. Uniosłem kieliszek w stronę gospodyni i skinąłem głową z uznaniem. Gospodyni przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się kokieteryjnie; mój komplement został przyjęty.

– Ho, ho! – oświadczył Stefan między jednym kęsem a drugim. – Gerda zna się na sztuce kulinarnej. Niezrównana żona, wierzaj mi, Brage.

Ruth zaśmiała się, krótko i gruchająco. Ale z czego się śmiała? Nikt o to nie pytał. Może miała taki zwyczaj, że nagle wybuchała gruchającym śmiechem. Bardzo silnie odczuwałem jej bliskość.

Dawid znów na cały regulator:

– Siedmiu naraz! A to siłacz! Wszystkich napa-
rzył, całą bandę! Buch! Jednego za drugim...

Senior Borovic wstał, aby wyekspediować junio-
ra do łóżka. Wielka awantura. Junior nie miał
ocho ty iść spać.

Mrugnąłem do Sary. Spuściła oczy, zarumieniła
się i zaczęła obracać talerz.

– Sara?! – zawołałem. – Halo, Sara!

Wybuchnęła śmiechem – i okropnie się zawsty-
dziła.

– No, moja kochana, teraz dostałaś się we wła-
ściwe ręce – krzyknął Stefan z zachwytem. –
Wreszcie spotkałaś kogoś, kto potrafi dokazywać.
I wiesz co, córeczko, mnie się zdaje, że ty jesteś za-
kochana w Bragem.

O, ten okrutny ojciec! Sara prawie zniknęła pod
stołem.

– He, he, he! – rechotał jej rodzic. – Sara zako-
chuje się z miejsca. Prawda, córeczko? Ale ja my-
ślałem, że ty jesteś zakochana w tym gońcu! Nie-
wierna kobieta! Oj, jaka niewierna kobieta!

Sara schowała się jeszcze głębiej pod stołem:

– Cicho, tatek, jesteś całkiem głupi!

O, la! la! Wkracza Dawid w pantoflach, pizamie
i szlafroku. Nadąsany i obrażony. Mamusia zapo-
mniała zmówić z nim paciorek.

– Moje maleństwo. Że też mogłam zapomnieć.

Chodź, dziecinko, razem zmówimy paciorek.

– Ale ja nie chcę.

– Nie chcesz?

– Nie. Jeżeli zapomniałaś, to chyba mogę tu zostać.

– Słuchaj, mały – wtrącił stanowczo Stefan. – Paplesz bez przerwy i przeszkadzasz nam.

– Będę już cicho. Nie powiem ani słowa.

Dyskusja między rodzicami. Tymczasem Dawid wraca na swoje miejsce i siada obok mnie naburmuszony, wyniosły i niedostępny.

Morowy malec. Musiałem się za nim wstawić:

– Chciałbym, żeby Dawid został!

Wrzask godny Tarzana. Jubel na sto dwa.

– Dawid musi siedzieć obok Goliata.

Jeszcze większy jubel. Malec chwycił mnie za rękaw i krzyknął:

– Dawid pokonał Goliata! Ja jestem mocniejszy od ciebie!

O, jak mi się zrobiło ciepło na duszy, jak głęboko odczuwałem przyjemność, że znów jestem w domu, w prawdziwym domu. Pławiłem się w tej atmosferze, zapomniałem o Siv, wznosiłem jeden toast za drugim, byłem tak miły i przyjacielski, że pozwalałem Dawidowi pytać o wszystko, co mu ślina przyniosła na język.

– Tak, jednego z nich powaliłem, buch, ale nie

wszystkich. Widzisz, musiałem się bronić. Jednego podniosłem w górę i rzuciłem go na księżyc, drugiego ulokowałem na Marsie, bo tam było jego właściwe miejsce, a innymi zonglowałem tak, jak sztukmistrz zongluje kulami.

– O! – jęknął Dawid w zachwycie.

– Ale trochę przesadzam, nie było aż tak źle.

Dawid zaraz się spostrzegł, że go nabieram.

– Właśnie! Ale jeden umarł, może nie? A co powiesz o tej wielkiej bliźnie, którą masz na policzku? Zobacz, mam! To musiał być nóż...

– Ale trajkoczesz – syknął Stefan. – Ale trajkoczesz!

Ojciec i syn wymienili mordercze spojrzenia.

Ruth chciała rozmawiać o Norwegii. Była tam trzy razy. Chyba tęsknię teraz do domu? No, oczywiście, tęskniłem do domu. Długo, z zapałem i serdecznie opowiadałem o Norwegii. Ruth wpatrywała się we mnie bez przerwy, czułem, jak jej oczy głaszczą moją szyję, tym więc goręcej, serdeczniej i rozwlekłej perorowałem o kraju. Podczas mojej przemowy ona przeciągała dłońmi po własnej szyi, po karku – powolne, hipnotyzujące ruchy, wyraźnie zmysłowe ruchy.

– Hej! Słuchaj – przerwał mi Dawid. – Co powiedzieli policaje?

– Dziecinko, nie możesz przeszkadzać Bragemu

– skarciła go matka.

– Dobrze, już nie będę.

Dalej opowiadałem o Norwegii, o górach i szczytach, i lasach, i reniferach, i polowaniu na lisa, i tropach kicającego zająca, i śladach różnych drapieżników na śniegu oblanym księżycową poświatą. A potem opowiadałem o swoim szałasie wysoko w górach, pod Trollhornem, o górze Skaget, leżącej mniej więcej na północnym wschodzie i szczycie Blaatind, mniej więcej na północnym zachodzie. Słuchała jak urzeczona. Jej oczy śledziły mnie z największą uwagą. Rozpaliłem w niej ogień. Zakochała się od pierwszego spojrzenia. To nie ulegało najmniejszej wątpliwości. To mnie bawiło. Byłem przecież prawie dwa razy od niej starszy. Zacząłem więc dyskretnie flirtować. O ile wiem, tańczy w balecie, prawda? Tak, a czy ja umiem tańczyć? Ma się rozumieć, staromodnego walca i różne takie hopsasa. Cóż to takiego? Wyjaśniam. Ruth roześmiała się i położyła mi rękę na ramieniu. Była pewna, że ją nabieram. Nigdy nie bujam, przysiągłem, i na poparcie tego opowiedziałem taką historię: W pewnej desce zabitej dziurze w Norwegii był raz taki facet, który przepadał za szybkim tańcem. Gdy inni zrobili jeden krok, on już zdążył zrobić dziewiętnaście. Pewnej nocy, przy ognistej polce, powstało takie tarcie między

jego zelówkami i podłogą, że buchnął płomień. Cały dom się spalił. Nie ocalała ani jedna deska.

Mówiłem po norwesku. Ruth chciała, żebym mówił po norwesku, bo trochę rozumiała nasz język. Nie wszystko, tak że Stefan musiał od czasu do czasu tłumaczyć.

Zrzuciła już uroczystą literacką maskę, siedziała zasłuchana i czekała na dalsze nieprawdopodobne historie.

Flirtowałem coraz śmieiej. Głośno stwierdziłem, że ma takie piękne, czarne włosy. Nie spodziewałem się, żeby Stefan miał aż tak ładną córkę.

Ruth zażenowana, ale pochlebiona. Kobięcy uśmieszek, jeszcze nie całkiem wyrobiony, pojawił się i słodko usadowił w drgających kącikach jej ust.

– A ty łotrze! – wtrącił się Stefan. – To mnie uważasz za brzydala, co?

– Wszyscy mężczyźni są brzydcy, mój drogi. Ale twoja córka, a właściwe obie córki – bo Sara to też jest pączek, a jak rozkwitnie, będzie kwiat, że ho! Sara to miła dziewczuszka. I Ruth też. A z Dawida fajny chłop. Na zdrowie, Dawid. Na zdrowie, Sara. I twoje zdrowie Ruth, wypij ze mną.

Spojrzałem jej głęboko w niebieskie oczy. Wspaniałe są takie oczy w takiej twarzy. Nie można nie zauważyć takich oczu w takiej twarzy.

– Taki kontrast, prawda Stefan? Skąd ona wzięła te oczy?

– Mój ojciec miał niebieskie oczy i rude włosy, jeżeli chcesz wiedzieć.

– Kto by to powiedział – zwróciłem się do Ruth.
– Rude z niebieskimi oczami. Miał niebieskie oczy, jak ty. Twój dziadek, Ruth, miał takie spojrzenie, że nikt nie mógł przejść obok niego obojętnie. Mogę sobie dokładnie wyobrazić, jak takimi oczyma patrzył na jakąś kobietę. Musiał więc nastąpić rezultat w postaci Stefana i ciebie. Takie oczy...

Mała Sara była trochę obrażona. Nie rozumiała po norwesku. Przypięłem do niej i obsypałem ją najwyszukańszymi komplementami, jakie potrafiłem szybko wymyślić. Dlaczego jednak mam mówić po holendersku, skoro Sara i tak siedzi pod stołem?

– O, opowiadaj po norwesku – szepnęła Ruth. – Znacznie zabawniejsze jest wszystko, gdy mówisz po swojemu.

– Stefan! Ratunku! Na pomoc! Broń mnie przed tymi twoimi kobietami. Czyich rozkazów mam słuchać? Jedna chce, żebym mówił po holendersku, a druga, żeby po norwesku.

– Zdaje mi się – oświadczył Stefan po chwili namysłu – że tu musi zdecydować wiek.

Wyciągnąłem kielich do Sary:

– Sara! Sara! Moja królowo! Twoje zdrowie! Ik hou van jou!

To znaczy: ja cię kocham.

Sara złamana do reszty.

A więc zwróciłem się znów do Ruth, zdając sobie jasno sprawę, że może przeciągnąłem trochę strunę w tych żartach. Nie mogłem jednak zapanować nad sobą, a gdy młoda kobieta przez cały czas patrzyła na mnie z wyzywającym uśmieszkiem i zainteresowaniem, które rosło z sekundy na sekundę, doszło do tego, że wszystko przestało być żartem. Sam uległem nastrojowi i cały mój zachłanny i wygłodzony organizm palił się do młodego ciała tej kobiety, której głowa przecież rozumiała, że ją lubię, której skóra przecież odczuwała ciepło mojej skóry, ale głowa, głowa! Ta młoda głowa nie pojmowała jeszcze konsekwencji.

Stefan chrząknął.

– No powiedz, Stefan, co ci leży na sercu, stary przyjacielu.

– Twoje zdrowie, Brage, i niech żyje wolność!

Podniósł się uroczyście. Ja podniosłem się uroczyście. Wypiliśmy toast. Wszyscy podnieśli się uroczyście. Również Dawid.

– Niech żyje Brage! – krzyknął mały smyk, widocznie bywał już przedtem na uroczystych przyjęciach. – Hip! Hip!

Trzykrotne „hura!” na cześć Bragessona.

Stefan trzyma błyszczący kieliszek i mówi, że przygotował na moją cześć długą i uroczystą mowę. I czy mogę sobie wyobrazić, że ta mowa okazała się podobna do przemówienia na rozprawie sądowej. Pełna prawniczych argumentów. Jak gdyby proces jeszcze się nie skończył.

Zamyślam się nad tymi słowami. Jak głęboko sięga ich znaczenie? Co on właściwie chce przez to powiedzieć?

– Widzę, że nagle straciłeś humor, Brage, musiałeś więc mnie źle zrozumieć. Miałem na myśli to, że siedzący we mnie prawnik zepsuł całą mowę. Nadał jej jakieś akademickie, sztywne brzmienie, zupełnie nie pasujące do tej miłej okazji, do naszego prywatnego spotkania... chyba rozumiesz, o co chodzi.

– O, Stefan! – krzyknąłem. – Oczywiście. Oczywiście. Siadajmy. Bądźmy dziś weseli. Wypijemy jeszcze raz na zdrowie. Od wielu lat nie byłem w takim wesołym nastroju. Niech żyje życie! Wszyscy piją! Niech żyje życie!

Wszyscy przyłączyli się do tego toastu. Uroczysta chwila. Błyszczące oczy. Och, ci Żydzi! Ci naprawdę wspaniali, zdolni ludzie. Czym by świat był bez nich.

Siadamy. To znaczy, że ja się przewracam. Moje

krzesło zniknęło. Walę się na podłogę jak worek kartofli. Dawid, ten kawalarz, wymyślił podstęp na Goliata.

Ogólna wesołość. Gramolę się na nogi:

– Szanowni zebrani! Dawid miał zupełną rację. Nie powinienem był jeszcze siadać. Bo mam wygłosić przemówienie dziękczynne do gospodarza.

Ogólna cisza. Mówię po holendersku. Wszyscy powinni mnie zrozumieć.

– Stefanie! – zaczynam, opierając się o kant stołu. – Stefanie! – powtarzam, myśląc o tym wszystkim, za co mam mu dziękować. – Mam głowę nabitą myślami o tym wszystkim, za co mam ci podziękować. Lecz tego jest tak wiele, taki ogrom, Stefanie, nie mogę nawet ogarnąć, nie... nie...

Wracają wspomnienia, ogarnia mnie wzruszenie, nie potrafię wysławiać się wyraźnie, ściska mnie w gardle i ten ucisk podchodzi aż do oczu.

– Stefan, to niemożliwe, żebym ci dziękował. Po prostu... po prostu nie potrafię.

Potem siadam i zaczynam płakać, po omacku szukam kieliszka i przewracam go. Duża plama. Nikt się tym nie przejmuje.

Stefan dzwoni w kieliszek i wstaje:

– Borovic musiałyby się wstydzić, gdyby jednak nie potrafił się zdobyć na wygłoszenie mowy. Bo lepszego podziękowania nie mogłem oczekiwać.

W rzeczywistości podziękowałeś mi, i to w sposób najbardziej typowy dla BrageSSona. Wielkodusznie i mocno. Więc teraz moja kolej. Teraz ja chcę tobie podziękować. Chcę ci podziękować za to, że jesteś i że miałem okazję zająć się tobą. Jesteś człowiekiem duchowo bogatym, jesteś człowiekiem silnym, masz swoje wady, bo kto ich nie ma, ale...

Zdaje mi się, że Stefan też się trochę wzruszył.

– ...ale jesteś człowiekiem o ogromnych możliwościach. Dla mnie było niezwykle pouczające śledzić cię przez te lata, bardzo wiele mi to dało. Tak, muszę powiedzieć, że bardzo mi zaimponowało twoje... twoje... twój pobyt w więzieniu. To było twoje zwycięstwo nad samym sobą, mój chłopcze, szczególnie w ostatnich trzech latach. Dokonałeś czegoś twórczego. Wykorzystałeś każdą chwilę, stworzyłeś nowe wartości, wypełniłeś życie nową treścią zamiast tej, której cię pozbawiono. Brawo, Brage. Dobrze się spisałeś. Skoro jednak występuję tu w charakterze mentora, chciałbym ci też udzielić pewnego ostrzeżenia. Nie, nie zrozum mnie źle, nikt nie powinien mnie źle zrozumieć, a ty, Ruth, nie patrz tak morderczo na swego starego ojca, nie chcę wcale psuć wesołego nastroju, chcę tylko... bo czym, moi drodzy, jest radość bez odrobiny powagi? Powaga zwiększa radość. Podobnie jak światło wydaje się silniejsze i piękniejsze wtedy, gdy kon-

trastuje z ciemnością. A więc jedna poważna rada na przyszłość, drogi Brage. Proszę cię, żebyś zdał sobie sprawę, szczególnie w odniesieniu do najbliższej przyszłości, że życie nie wystawiło cię jeszcze na ostatnią próbę. Oczekują cię nowe próby, nowe i może trudniejsze od tego wszystkiego, przez co musiałeś dotąd przejść.

– Chyba pleciesz, ojczulku – powiedziała Ruth.

– Hm, to się dopiero okaże, czy plotę, czy nie. Ale jedno jest pewne. Brage nie uniknie nowych prób. Ani on, ani nikt inny nie może się ustrzec przed próbami aż do grobowej deski.

Tu wmieszała się żona Stefana:

– Mój drogi, przecież może być i tak, że również po śmierci człowieka czekają próby.

– O, Gerdo, moja kochana Gerdo. Widzisz, Brage, gdy idzie o sprawy religijne, nigdy z żoną nie mamy wspólnego języka.

To mówiąc, usiadł ciężko, z miną dość posępną i niezadowoloną.

Dawid podskoczył z uciechy:

– Tatuś jest zły, cha, cha, cha!

Ale Stefan zaraz się uśmiechnął:

– To nie było dobre przemówienie, Brage. Musisz mi wybaczyć. Alkohol.

– Wspaniała mowa, Stefan. Krótka, rzeczowa, słuszna. Nowe próby, to prawda. Jestem na nie

przygotowany.

Znów wstałem, Bóg wie który raz, i przypiłem do swego starego przyjaciela. Jeszcze bardziej wzruszony.

Potem ponownie usiadłem. Zapanowało milczenie. Wszyscy byli zatopieni w myślach. Dziwnie zamyśleni i poważni.

– Ale co to ma właściwie znaczyć? – przerwałem milczenie. – Czy nie powinniśmy się cieszyć? Uśmiechnąć się! Do diabła z ponurymi minami, przyjaciele!

– Tak, tak – otrząsnął się Stefan. – Opowiedz nam coś, Brage. Opowiedz nam, co myślałeś wtedy, gdy cztery lata temu znalazłeś się w tamtym zaułku. Opowiedz. „Jak okiem sięgnąć, w zaułku panowała przeraźliwa pustka” – tak zacząłeś. Opowiedz nam to jeszcze raz.

– Jak okiem sięgnąć, w zaułku panowała przeraźliwa pustka – zacząłem ochoczo.

– O tak, właśnie tak się zaczynało.

– A noc była ciemna i parna. Ja zaś pomyślałem: u nas, w Norwegii, noc jest teraz jasna, a na dalekiej północy nie różni się właściwie od dnia.

– O, to właśnie. „U nas, w Norwegii, noc jest teraz jasna”, to myślałeś, stojąc oko w oko z przeznaczonym ci losem. I tańczyli, coś tam było jeszcze o tańcach, prawda?

– A w domach młodzieżowych odbywają się teraz tańce, niektórzy chłopcy już się rozgrzali i okręcają dziewczynami w powietrzu, bo przecież jest sobota... nie, to już jest niedziela, tak...

– O, właśnie. Młodzież, piękno natury, taniec, radość. Tak powinno być.

– Słusznie. Słusznie. Młoda para kroczy po mokrej od rosy trawie, obejmują się ramionami, noc jest jasna, jasna, na drogach pełno kawalerów i grajków, warzone w domu piwo leje się strumieniem do szklanic, leje się jak za sprawą czarodziej-skiej różdżki, słysząc rozmowy na temat sztuki odegranej tego wieczoru w amatorskim teatrze, ktoś tam gdzieś się odgraża, że komuś pokaże, i patrzcie, hej, hej, oto nadchodzi stolarz Rasmus ze swym najnowszym wynalazkiem, rabarbarowym winem, prawie tak mocnym, jak samogon, bo w gruncie rzeczy to wino jest samogonem, rabarbaru ani krzty w nim nie увидzi, a niejaki Sivert Grobakken zajeżdża po kawalersku traktorem, hej, będzie zabawa, będzie ruch... i cała kawalkada zdąża drogą w kierunku domu młodzieżowego, gdzie ze ścian patrzą odkrywcy piękna ludowej poezji, Aasen i Vinje, i nieżyjący już wiejscy skrzypkowie, gdzie tańce trwają jeszcze w całej pełni i pot leje się z rozochoconych kawalerów... hm, a gdyby tak jeszcze tam wpaść na chwileczkę? „E,

nie, Grabakken jedzie do domu, ja jadę z nim, a ty?” „A ja jeszcze zaczekam, hej, jak się bawić, to się bawić!”

Dawid siedział jak na tureckim kazaniu. Ale co za jubel! Nigdy jeszcze nie widział tak śmiesznego faceta! A w dodatku bandyty! I marynarza!

A potem nastąpił najważniejszy moment. Stefan dał znak Ruth, która pobiegła do drugiego pokoju.

– Cisza! – zarządził Stefan. – Teraz ani słowa.

– A ja wiem, co teraz będzie! – wrzasnął Dawid.

– Cicho, ty gaduło! Ani mi się waż pisnąć choć słowo! Gdzie jest twoja harmonia, Brage?

– O, psiakrew! Zostawiłem w samolocie! Teraz jest na lotnisku w Oslo.

– A obiecałeś, że przyjedziesz tu z harmonią.

– Nawaliłem, przyznaję.

– Nie szkodzi. Bo popatrz, Ruth niesie nową harmonię, to dla ciebie.

Rany! Co za harmonia! Największa i najwspanialsza ze wszystkich, jakie bywają w sprzedaży, cud, organy, nie, cała orkiestra.

– No, w takim razie powinniśmy usłyszeć trochę śpiewu i muzyki – zawyrokował Stefan.

Był to prezent dla mnie od całej rodziny Boroviców. Nowusienka, błyszcząca harmonia.

– Zaśpiewaj, Brage. Zaśpiewaj i zagraj. Potem Ruth zagra coś dla ciebie na szpinecie. A ja zaśpie-

wam. Jakiś romans. Schuberta. „*Wer reitet so spat durch Nacht und Wind, es ist der Vater mit seinem Kind*”^[36].

– Tatusiu, błagam, nie śpiewaj!

– Właśnie, że zaśpiewam!

– Nie!

– Owszem! Każdy ma prawo śpiewać tak, jak umie.

Zagrałem i zaśpiewałem kilka urywków, Stefan, we wspaniałym humorze, okręcał się w kółko z kieliszkiem uniesionym w górę, a jego żona wodziła za nim wilgotnymi oczyma.

Ruth przez cały czas siedziała na kanapie obok mnie. A Dawid ani na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku. Czegoś podobnego jeszcze nie widział, żeby bandyta umiał też grać na harmonii.

Co za wspaniali ludzie: Stefan, Gerda, Sara, Dawid i Ruth. Co za dom. Prawdziwy dom. W pełni godny zazdrości. O północy Ruth siadła przy szpi-necie i wszyscy zaśpiewali jakąś żydowską pieśń. Nawet Dawid uczestniczył w tym chórze. Każdy śpiewał innym głosem. Przedziwna pieśń. Jakaś obca. Jakaś taka południowa. Nawet orientalna. Melancholijna. Jednotonowa. Fascynująca.

Urzekający ludzie. Nigdy nie zapomnę przywitania, które mi zgotowali. Nigdy. Zupełnie, jakbym wstąpił do nieba. Nikt też nie wziął mi za złe,

że tak późno w nocy przyszła mi ochota zatańczyć z Ruth. Dawid zajął się wyłapywaniem stacji nadających jeszcze muzykę taneczną, ja trzymałem Ruth tak delikatnie, jak tylko umiałem, ona zaś poruszała się z niezwykłą lekkością, pełna wyrozumienia dla moich niezgrabnych kroków.

Cóż to za noc. Prawie nierealna.

Tak ładnie pachniała. Była taka miękka. I patrzyła na mnie takimi mądrymi, młodymi oczyma.

Wszystko takie nierealne. Tam siedział Stefan z Gerdą, wodzili za nami oczyma z łagodnym uśmiechem, odniosłem wrażenie, że chętnie oddaliby mi to młode stworzenie.

Zaledwie jednak o tym pomyślałem, zjawiała mi się przed oczyma twarz Siv. Prawie zupełnie wyraźnie ujrzałem ją na tle ciemnej kotary. To ona! Ona! Jasne włosy, gęste i bujne, oczy niebieskie jak niebo, zmysłowe, wyraziste usta, miękko zaokrąglone policzki... to ona, Siv, ona, Siv, i porusza ustami. Zobaczyłem, co te usta mówią, i poczułem ukłucie bólu. Zobaczyłem, co mówią: „ty i ja”, tak mówiły. Nic więcej. Tylko te proste słowa: „ty i ja”. Typowe dla Siv.

Skąd zjawiała się ta twarz?

Przerwałem taniec. Popadłem w roztargnienie, straciłem poczucie czasu i miejsca. Nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Stefan później opo-

wiadał: „Długo tak stałeś, musieliśmy cię podprowadzić do kanapy i pomóc ci usiąść. Nie zauważyłeś tego?”.

Nie, nie doszło to do mojej świadomości. Byłem jak w narkozie. Bo pojąłem prawdę. Zrozumiałem wszystko. Siv nie żyje. Już nie żyje. Nie może żyć. Dlatego chcieliby mi oddać to młode stworzenie.

Och, jak wszystko się doskonale zgadzało. Nagłe „zerwanie” ze strony Siv, dziwne wyjaśnienia Stefana, jego ciągle powtarzane zaproszenia na uroczysty wieczór po moim wyjściu z więzienia, teraz już wkrótce pozwoli opaść zasłonie, potwierdzi wszystko... tak, zgadzało się co do joty: jego ostrzeżenie o nowych próbach w życiu, jego nagła powaga przy stole, i Ruth! Ruth! I Siv! Twarz Siv!

– Siv nie żyje – powiedziałem.

Wtedy Gerda, Dawid, Sara i Ruth cicho wyszli z pokoju. Stefan usadowił się na krześle, czyniąc to z nadmierną dokładnością. Chciał widocznie zyskać na czasie. Teraz miało się to stać.

– Nie potrzeba, Stefanie, przecież już rozumiem. Już od dawna powinienem był zrozumieć. Ale nie chciałem. Ona nie żyje, i co ja teraz zrobię. Co ja mam zrobić ze sobą? Proszę cię, powiedz, na co umarła?

– Tego nie wiemy, Brage.

– Nie wiecie? Musicie wiedzieć! A więc to prawda, że umarła! Nie mogę jeszcze uwierzyć. To nie do pojęcia. Siv umarła. To nie może być prawdą.

– Niestety, Brage. Jednak nie żyje. I umarła prawdopodobnie przed kilku laty.

– Prawdopodobnie?! – wrzasnąłem, unosząc się z kanapy, ale zaraz znów na nią opadłem. – Prawdopodobnie?! Cóż za okropności chcesz mi opowiadać?! Przecież musisz wiedzieć, jak ona umarła!

Stefan milczał.

– Powiedz mi całą prawdę. Chcę ją znać.

– Na pewno pamiętasz – zaczął Stefan – ten ostatni list, który od niej dostałeś, wysłany z gór. Na Wielkanoc 1956 roku.

– Oczywiście, że pamiętam. Mam go jeszcze.

– Zaginęła w górach podczas tamtej Wielkanocy. Poszła samotnie na wycieczkę i przepadła bez śladu. Nigdy jej nie znaleziono. Śnieg był twardy i oblodzony.

Natychmiast chwyciłem się resztki nadziei:

– Może więc jeszcze żyje. Może chciała o mnie zapomnieć. Może chciała wymazać z pamięci wszystko, co mnie dotyczyło. Może potajemnie wyjechała za granicę... na jakąś południową wyspę... zacząć nowe życie... nie chciała, żeby ją odkryto... wyspę z palmami... może tam teraz przebywa, gdzie monsun...

– Mało prawdopodobne, żeby żyła.

– Jak możesz mówić z takim przekonaniem! – zawołałem tonem oskarżenia. – Przecież jej nie znaleziono! Wobec tego równie dobrze może jeszcze żyć!

– Wykluczone. Już w dniu jej zaginięcia zaczęły się dokładne i bardzo długie poszukiwania. Nie mogła niepostrzeżenie opuścić gór i Norwegii. Wszystkie gazety podawały jej fotografie. Nie, Brage, musisz się niestety z tym pogodzić.

– Ja nie chcę uwierzyć, że ona nie żyje!

– Ale zrozum, niewiele pomoże, czy chcesz, czy nie chcesz. Pogódź się z tym, że nigdy już jej nie zobaczysz.

– Muszę ją zobaczyć! Muszę! Muszę!

– Brage, pomyśl rozsądnie. Czy uwierzyłybyś w to, że Siv chciałaby pójść własną drogą, zrobić ci zawód?

– Wobec tego znajdę ją! Czy szukaliście, czy ktośkolwiek dokładnie przeszukał okolice Ornebre? Czy szukano we wszystkich żlebach pod tym szczytem? Będę jej poszukiwał, będę, będę poszukiwał, przetrząsnę wszystkie żleby, wszystkie szczeliny, każdy zakątek, nie spocznę, póki jej nie znajdę. Muszę ją znaleźć. Brage Bragesson ją znajdzie. Bo ja wiem, gdzie mogła zaginać. Musiała zaginać w którymś z takich miejsc, gdzie była

razem ze mną. Dlaczego nie zapytaliście mnie? Mógłbym wam być podać wszystkie możliwe miejsca.

– Przyszło nam to na myśl. Ale już było za późno. Nie mogła przeżyć tak długo.

– Kto to powiedział? Kto odpowiada za to, że mnie nie zapytano?

Milczenie.

– Ja, Brage.

– Ty?

– Tak, chciałem ci tego oszczędzić. A zresztą było za późno. Nikt już nie liczył się z tym, żeby mogła jeszcze żyć.

– Aaaaaaaa! Durnie! Dlaczego nie porozumieście się ze mną natychmiast po wypadku? Dlaczego ekipy ratownicze nie zasięgnęły natychmiast mojej rady? Może potrafiłbym ją uratować! Powinni mnie byli zwolnić na ten czas w więzienia! Byłbym ją znalazł po śladach, tam gdzie może leżała jeszcze żywa ze złamaną nogą! Stefan! Jak to właściwie było? Kto prowadził poszukiwania?

– Nie masz prawa oskarżać kogokolwiek. Nie szczędzono żadnych wysiłków.

– Kto prowadził poszukiwania?

– Fachowi ratownicy.

– Durnie! Idioci prowadzili poszukiwania! A nie spytano człowieka, który zna każdy centymetr

kwadratowy w promieniu dziesięciu kilometrów!

– Załóżmy, że zostałbyś zwolniony z więzienia, powiedzmy, że znalazłbyś ją nieżywą? I co? Ty, więzień odsiadujący karę, nie przeszedłbyś nad tym do porządku dziennego. To byłoby dla ciebie za wiele.

Długo jeszcze Stefan do mnie przemawiał. Mówił o innych wartościach w życiu, o nowych wartościach, o nowym człowieku, że mimo wszystko świat, że wszelkie możliwości stoją przede mną otworem.

Wkrótce przestałem go słyszeć. W wyobraźni widziałem martwą Siv. Widziałem jakieś ciasne miejsce, ciemne miejsce, tam leżała, tam umarła. Nie umarła natychmiast. Cierpiała. Trwało to jakiś czas. Potem mróz odebrał jej przytomność. Zasnęła. Tak, wiedziałem na pewno, że w końcu zasnęła spokojnie, ukołysana litościwą ręką. Wielki stwórco, zesłałeś jej wreszcie przyjacielską śmierć! Wiem o tym! I dziękuję ci za to!

Zapadłem w głębokie odrętwienie. Gdzieś z daleka słyszałem głos Stefana.

O świcie uświadomiłem sobie, że tuż obok mnie rozlegają się nabrzmiałe radością słowa:

– Zobacz! On śpi! Śpi głęboko! Niech Bogu będą dzięki! Mój najdroższy Stefan śpi! Dzięki Ci, Boże!

Zatrzymałem się u Boroviców przez kilka dni. Starali się zrobić dla mnie wszystko, co było w ich mocy. Ruth nie chodziła do szkoły i całymi dniami przebywała ze mną jak anioł stróż. Gdy Stefan był w sądzie, Dawid i Sara w szkole, a Gerda zajęta gospodarstwem, Ruth cierpliwie dotrzymywała mi towarzystwa. Milczała, bo ja też milczałem. Siedziałem kamieniem na jednym miejscu, ciągle jakby w półśnie. Obecność ślicznej dziewczyny tylko częściowo docierała do mojej świadomości. Raz zwróciłem się do niej z zapytaniem:

– Czy nie musisz pójść do szkoły? – Odpowiedziała przeczącym ruchem głowy. – Masz tu zostać ze mną? – Potwierdzające skinienie. – A chcesz być ze mną? – Takie samo skinienie. – Czy poleceno ci mnie pilnować? – Na to odpowiedziała już słowami:

– Nie. Po prostu chcę być z tobą. Czy pozwolisz?

Pozwoliłem. Byłem wzruszony. Ale czułem się teraz przy niej bardzo stary.

– Wkrótce nas opuścisz – skarżyła się. – Pewnego dnia pojedziesz.

– Czy będzie ci wtedy smutno? – chciałem wiedzieć.

– Jestem taka głupia – padło w odpowiedzi. – Mam dopiero piętnaście lat.

Umilkliśmy oboje. Czułem się nieskończenie

stary. Przez okno widziałem statek wycieczkowy na kanale Keizersgracht. Znów zapadłem w półsen. Przesuwały się przede mną różne obrazy. Raz Siv, raz jej ojca, jej matki i brata, obrazy z tych dni, które spędziłem razem z nią. Przeżywałem też ponownie fragmenty procesu...

– Co mówisz? – usłyszałem głos Ruth.

– Czy powiedziałem coś?

– Tak. Wyglądałeś tak dziwnie.

– A nie wiedziałaś o tym? Że jestem znikowany? Wygaduję tyle dziwnych rzeczy. Niedługo już się mnie pozbędziesz. Nie mogę tu przecież tkwić bez końca. Muszę coś ze sobą zrobić.

– Co chcesz ze sobą zrobić? – popatrzyła na mnie z przestachem.

– Nie wiem, Ruth. Muszę się wziąć w garść. Zrobić porządek. Bylem tylko miał dość inicjatywy.

– Porządek? Co to znaczy?

– Wkrótce odjadę od ciebie. Czy będzie ci żal?

– Tak.

– Lubisz mnie?

– Tak – szepnęła.

– To bardzo ładnie.

Znów zacząłem drzemać. Nowe obrazy... Jasna noc. Mój głos: Chodź za mną, chodź za mną. Noc jest jasna jak twoje włosy. Jasna, jak twoja skóra, jak twoje myśli, w tej chwili. Jasna, jasna, tylko

jasna. Jasna noc. Pójdź, obejmijmy się, pójdź...

Gdy noc umiera, świta dzień. Wtedy wyrzucam w powietrze mój stary kapelusz...

Lodoszreń. Twarda jak kość lodoszreń. Och, jak niesie. Narty uderzają głośno o lodowe fałdy na powierzchni śniegu. Nie zostawiają za sobą najmniejszego śladu. Jakby człowiek pędził w przestrzeni kosmicznej, w pogoni za Bogiem. Nie zostawiasz za sobą śladu. Pochłania cię tajemnica.

Zasnąć wiecznie na ręku mistrza. Ukołysać się w nicość.

Tylko dwa ramiona. Tylko dwa białe ramiona, jedno po każdej stronie czarnej poduszki. Jedno po każdej stronie. Ręce Siv, palce Siv, takie same bliźny. To musi być Siv. Nikt inny, tylko Siv.

Moja najdroższa, mówię, czy to wszystko, co z ciebie zostało? To wszystko?

Przerażający sen. Nie może być prawdziwy. Zabraniam, żeby to było prawdą.

Rosomak. Lis. Łasica. Rosomak. Żarłoczny rosomak. Zwinny jak kot. Ty, z ostrymi zębami i pazurami. Ty, ze stalowymi mięśniami, szybkimi jak błyskawica. Rosomak. Lis. Łasica. Rosomak.

I ptaki. Śnieżna sowa. Kruk. Orzeł. Ostre dzioby i szpony, i zęby. Tak jesteście stworzone. Wy jesteście niewinne. Całkiem niewinne. A czas też ma przecież zęby.

Ruth postawiła przede mną na stoliku szklanę mleka i kilka kromek chleba.

– Nic nie jadłeś od dziesięciu godzin – szepnęła.

– Dziesięć godzin. Cóż to jest? Cóż znaczy dziesięć godzin? Prawie nic. Naprawdę nic. Czy chciałabyś, abym cię objął? Czy miałabyś ochotę położyć mi głowę na ramieniu? Przytulić się do wujka Bragego?

– Nie mów tak. Nie jesteś wujkiem.

– Chcesz się do mnie przytulić? Chcesz, żebym cię objął?

Ociągając się trochę, ale z ochotą przytuliła się do mnie. Delikatna dziewczęca dłoń dotykała mojej marynarki, z drżeniem, z lekkim drżeniem, jakby dla próby. Och, jak nowy i niewypróbowany był świat!

– A teraz ja ciebie obejmę. A ty przytul głowę. I tak posiedzimy trochę.

Czarne włosy łaskotały mnie w policzek. Jej ręka chwyciła mój sweter, trzymała go mocno, jakby dziewczyna się bała, że lada chwila mogę od niej uciec.

Jaka delikatna ręka.

Nie pożałowałem jej. Ale jej bliskość działała na mnie kojąco. Wiedziałem też, że nie wyrządzam jej żadnej krzywdy. Mały romans dla małej dziewczynki. To nigdy nie może zaszkodzić. Ot, wspo-

mnienie, które może jej zostać.

– Chciałabym, żebyś nigdy nie odjechał – westchnęła.

Długo rozmyślałem nad jej słowami, zanim odpowiedziałem:

– Gdy minie jakiś czas i uporządkuję swoje sprawy, wtedy może wrócę.

Kłamałem? Nie, chyba nie było to tylko kłamstwo.

– Wrócisz do mnie?

– Do ciebie, jeżeli wrócę. Do ciebie.

Usnęła u mego boku. Spała obok mnie głębokim, młodym snem. Bo też poprzedniej nocy nie zmrużyła oka.

Przyszedł Stefan, ale zatrzymał się w drzwiach, łagodnie pokiwał głową i cicho wymknął się z pokoju.

Nie śmiałem się poruszyć.

I przyszły myśli, odurzające myśli.

Jakieś ciasne miejsce. Jakieś ciemne miejsce.

Coś w rodzaju szybu.

Kółko od kija narciarskiego wskazuje kierunek.
Kółko od kija.

Czy jestem jasnowidzem?

Lecz po co roztrząsać to, co jest nieodwracalne? Takie rozmyślanie nie przynosi ulgi. Żadnej ulgi. Jest tylko szpetne, okropne, denerwujące. Ale rzu-

ca światło. Daje pewność. A to już coś jest. Zobaczymy...

Pewnej nocy ogarnął mnie gwałtowny niepokój. Ścisnęło mnie w gardle, tętno mi rosło, ręce były rozpalone i drżały, miałem uczucie, że serce chce mi wyskoczyć z piersi. Nie mogłem uleżeć spokojnie, więc wstałem i ubrałem się, aby przejść się wzdłuż kanału.

Stefan usłyszał, że się kręcę, i włożywszy szlafrok, oczekiwał mnie w przedpokoju. Co to ma znaczyć? Dokąd się wybieram? Wyglądałam zupełnie nieprzytomnie. Wystarczy, żebym się przyjrzał sobie w lustrze, a sam się siebie przestraszę. Brrr.

– Muszę się trochę przejść.

– Nie, zostaniesz tutaj!

– Nie zatrzymuj mnie. Muszę wyjść.

– Powtarzam, że nie pójdziesz!

Odsunąłem go na bok, otworzyłem drzwi i wyszedłem. Za plecami słyszałem pełen niepokoju głos Stefana.

Ten jego niepokój jeszcze bardziej mnie podniecił. Zacząłem biec wzdłuż Keizersgrachtu. W tym biegu chciałem wytrząsnąć z siebie wewnętrzny bunt. Biegłem więc i biegłem tak długo, aż poczułem w ustach smak krwi. Zatrzymałem się przy Dworcu Centralnym. Biegłem znaną trasą. Stary zwyczaj panujący wśród nas, morderców. Na lewo

leżał „Czerwony Amsterdam”. Drugi raz w życiu kierowałem tam swoje kroki. Po co? Nie wiem. Może jednak bywa tak, że człowiek w stanie wielkiego wzburzenia odczuwa potrzebę jakichś teatralnych gestów – jak gdyby cały czas publiczność obserwowwała jego tragiczną rolę.

Znalazłem się na miejscu zabójstwa. Przy schodach, kilka metrów od miejsca gdzie Fritz Heilmann rozstał się z życiem, leżał jakiś pijak i głośno chrapał. A ja – sentymentalny kłown – poczułem wzruszenie, siadłem obok pijaczyny, ująłem jego bezwładną i wilgotną dłoń, ścisnąłem ją i wyobrażałem sobie, że robię coś wielkodusznego i patetycznego. Rozpłakałem się, a potem zapadłem w odrętwienie.

Nagle słyszę, że zatrzymuje się jakiś samochód, drzwi się otwierają, czyjeś kroki zbliżają się szybko w moim kierunku. Policja, myślę. Nadchodzi policja! Przychodzą mnie aresztować, wpakować do więzienia, ukarać! Dreszcz mnie przebiega: a niech przychodzą! Niech się dzieje co chce!

To był Stefan. Wiedział, gdzie ma mnie szukać.

Proszę, żeby sobie poszedł, nie, żeby zmykał, choć wewnętrzny głos we mnie prosi, żeby został. On nie zgadza się, abym został sam w tym stanie. Wstaję, klnę i odchodzę.

– Zostaw mnie w spokoju!

Ale Stefan w milczeniu zdąża za mną. Idąc, zdaję sobie sprawę, że mógłbym się jeszcze powstrzymać. Ale moje wzburzenie na to nie pozwala, musi się wyładować, wkraczam więc do pierwszego z brzegu baru.

Stefan za mną.

– Podwójna whisky z wodą sodową.

Stefan zamawia pojedynczą.

Piję. On też. Jakaś kurwa ślini się i próbuje nam zaproponować swoje obrzydliwe towarzystwo.

Przestań się wygłupiać jak jakiś gówniarz, szepce sumienie. Ale wzburzenie odparowuje. Daj mi się wyżyć. Daj mi się wypalić. Wtedy będziesz miał spokój. A jeżeli nie dasz mi się wyżyć, zerwę cię na drobne kawałki.

– Jeszcze raz podwójna whisky.

Stefan ciągle jeszcze popija pierwszą szklankę.

– Whisky to właściwie wcale niezły trunek – mówi cicho i blade się przy tym uśmiecha.

– Gadanie. Takiś odważny dopóty, dopóki nie przyjdzie kelner, co? Jeszcze raz podwójna!

Stefan podnosi głos:

– Wiesz co? Czasami jesteś głupi! Jak najgłupsze bydlę!

Mijają minuty, może kwadrans. A gdy do baru wchodzi na chwiejnych nogach dwu młokosów z wyzywającymi gębami i zamawia dzin z coca-

cola, Stefan ma dość.

– Czy nie powinniśmy mieć trochę względu dla Gerdy, Brage? Wstała z łóżka i teraz przygotowuje dla nas coś do jedzenia. Chyba powinniśmy wracać do domu. Gerda niepokoi się tam nie tylko o ciebie, ale i o mnie. Wiesz przecież, że nie jestem już młody i wcale nie mam żelaznego zdrowia, chyba wiesz.

– No więc wal do domu – odparłem ostro i brutalnie.

– Ale Ruth – próbował dalej Stefan. – Ruth bardzo się tym przejmie.

Alkohol zaczął działać. Przyćmił zdolność oceny realnej sytuacji, tak że byłem gotów przelać swoją gorycz na wszystko i wszystkich wokoło, jakby wszystko i wszyscy byli winni i to dawało mi „pełne prawo” rzucania najdzikszych oskarżeń pod adresem kogokolwiek i czegokolwiek, według upodobania. Opanowało mnie fałszywe, ale tym silniejsze poczucie pretensji i gniewu, nawet Stefan nie był już dłużej bezpieczny. Wściekły patrzyłem na tego człowieka, wrzało we mnie przeciw temu człowiekowi, który dla mnie poświęcił Siv! Może ją nawet pośrednio zamordował!

– Jeszcze raz podwójna!

Zaszła rzecz następująca: skurczył się czas, skurczyła się przestrzeń. Bar stał się całym świa-

tem. Wzburzenie rosnęło, ciągle w jednym kierunku, aż wszystkie jego przyczyny zlały się w jeden strumień – w rozgoryczenie, w szukanie ujścia.

– Powinni mnie byli wypuścić! Powinni byli zwolnić mnie na jakiś czas z więzienia! Byłbym ją znalazł! Ty temu przeszkodziłeś! Ty wiedziałeś, że ja wiem, dokąd ona mogła pójść, ty wiedziałeś o tym od samego początku! Jej życie było w twoim ręku! Tylko w twoim!

Stefan nie odpowiadał.

– Lodoszreń, powiadasz. Narty nie zostawiały śladów, powiadasz. Ale kijki! Człowieku, kijki na pewno zostawiały ślady! Można było pójść śladami spiczastych okuć na kijkach.

Stefan uparcie milczał.

– No to cyk! A co to za dwaj zasrani frajerzy tam siedzą? Hej wy tam, łachudry!

Ale wiedziony nagłym impulsem rzuciłem na kontuar kilka banknotów, na pewno za wiele, i wypadłem na ulicę.

Stefan za mną. Tam wybuchnął:

– Nie pozwolę, byś mnie w ten sposób tyranizował! Jeżeli się nie uspokoisz, zawołam policję! Nie wolno ci tak rozrabiać, rozumiesz!

– A wołaj sobie blacharzy! – syknąłem. – Zawołaj tych bydlaków! Dla mnie to nie nowość!

– Pleciesz bzdury, mój drogi! Uporządkuj sobie

zapłon we łbie, i lepiej się z tym pośpiesz!

Chichoczę dość niemrawo i odwracam się na pięcie.

I teraz następuje coś, co mogło doprowadzić do katastrofy, czego bym sobie nigdy nie darował.

Opanowany iście piekielnym szaleństwem, włączę w jakiś wąski i ciemny zaułek i przyśpieszam kroku, choć wiem, że Stefan usiłuje mnie dogonić. Słyszę przecież, jak tam za mną sapie z językiem na brodzie, lecz mimo to maszeruję coraz szybciej i szybciej. W końcu zaczynam biec i myślę: e, staryszku, i tak odpadniesz!

Stefan też zaczyna biec. I biegnie niewiarygodnie szybko. To mnie rozśmiesza, kwiczę na całe gardło i daję spurt.

Wtedy słyszę, jak on krzyczy z daleka:

– Będę cię gonił, aż padnę trupem!

Okropne. Okrutne. Wiedziałem, że nie żartuje. Mimo to śmiałem się tylko. Na cały głos. I pędziłem przed siebie jak ogier, który się urwał z uwięzi.

Później za mną ucichło.

Ha! – pomyślałem. – Dostał za swoje.

Trafiłem na jakiś inny bar. Chcę wejść. Ale na chodniku czeka na mnie łaskawy los. Potrącam jakiegoś beznogiego kalekę... on gubi kule i zaczyna wymachiwać ramionami, aby utrzymać równowa-

gę, wzywając przy tym ratunku jak ktoś tonący w morzu.

Natychmiastowe otrzeźwienie. Nic nie mogło lepiej temu posłużyć, niż ta zrozpaczona, skrzywiona gęba z wyrytym na niej piętnem długoletniego cierpienia i zwątpienia. I te kule! Kule! O, widziałem już w życiu kule!

Błyskawicznie rozjaśniło mi się we łbie. Coś mnie skusiło, pchnęło naprzód, tak że w ostatnim momencie, tuż nad asfaltem, schwyciłem upadającego kalekę, uniosłem go z triumfem w górę, zacząłem wylewnie przeproszać, zachowywałem się jak wariat, odnalazłem kule, podałem mu je tak, aby jego szponowate dłonie mogły chwycić się podpory – o tak! tutaj! – zacząłem mu dziękować, bez tchu obsypywałem go słowami podzięki, wpakowałem mu do kieszeni kurtki wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie – masz tu! masz! bierz! bierz wszystko! zrób sobie jakąś przyjemność – i pognałem z powrotem do Stefana.

Stał na rogu jakiejś ulicy, oparty o mur. Gdy mnie zobaczył, skinął głową. Uśmiechnął się lekko i powiedział:

– No to idziemy do domu, mój kochany.

I ruszyliśmy w stronę domu, a Stefan szedł wsparty na moim ramieniu.

Duży mężczyzna i mały mężczyzna społem idą

do domu. Rozmawiają, a ich słowa rozbrzmiewają miękko na bezludnej ulicy. Mamroczą i szepcą, i zapewniają się nawzajem, że wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży. Powiadają, że nastaną dla nich nowe czasy, jeden będzie miał dosyć snu, a drugi odzyska spokój i równowagę.

Ten mały, choć właściwie największy, zaczyna się zapalać:

– Ja też – powiada – ja też miewałem ochotę popełnienia jakiegoś gwałtu. Trudno mówić o czymś określonym, ale tak w ogóle. Po prostu jakieś bezprawie. Burzycielski czyn bez racjonalnego uzasadnienia. Bezsensowna skłonność do niszczenia. Coś człowieka do tego pcha. Tak, tak. Tak, tak. Rozejrzyj się za taksówką, Brage.

Wyteżam wzrok, ale wąska ulica jest zupełnie pusta.

– Różnica napięć między tworzeniem i niszczeniem. Sprawa okryta zupełną tajemnicą.

– Z natury jesteśmy tacy ułomni, Stefan.

– To prawda, ale jesteśmy nie tylko ułomni. Widzisz, tkwią w nas również wszelkie możliwości. I to właśnie jest zagadką.

Z tyłu nadjeżdża i mija nas jakiś samochód. Radiowóz policyjny. Wzdrygam się. Stefan szepcem mnie uspokaja. Wóz policyjny zatrzymuje się opodal i policjant przygląda się nam. Pozna mnie? Po-

znaje Stefana i twarz mu się rozjaśnia.

– Czy mógłbym w czymś panu pomóc, panie mecenasie?

– Owszem, gdyby pan mógł znaleźć dla nas taksówkę, byłbym bardzo wdzięczny.

Policjant wyskakuje z wozu i trzymając otwarte drzwi, zaprasza nas do swego patrolowego volks-wagena.

– Dziękuję, ale czy pan się nie naraża?

– Zaryzykuję, panie mecenasie.

– He, he! Malutkie wykroczenie przeciw regulaminowi, he, he!

W samochodzie Stefan ciągnie dalej:

– Ta zagadka, ta tajemnica, jest samą istotą życia ludzkiego, jedyną rzeczą, która obejmuje wszystko i zawsze jest tak samo aktualna, powszechnie i w niezwykle wysokim stopniu działa na całym świecie: rozpiętość między tworzeniem a niszczeniem. W tej chwili ktoś gdzieś morduje, ktoś kradnie, ktoś oszukuje, ktoś kłamie, ktoś torturuje, ktoś gwałci i ktoś niszczy tylko dla niszczenia, ale równocześnie w tym samym momencie jest także ktoś, kto pomaga biednym, broni słabych, pomaga chorym i upośledzonym, walczy przeciw przemocy i uciskowi, składa życie w ofierze, broniąc prawa i prawdy. Może ci ludzie są w mniejszości. Ale są! Istnieją! Możemy wątpić

w wiele rzeczy. Człowiek może wymazać ze swej świadomości Boga, ale jednej rzeczy nie potrafi wymazać! Jedna rzecz jest zawsze niewzruszalna: walka między złem i dobrem. Ona ciągle się rozgrywa w nas i wokół nas, i wszędzie. Czy po to, aby walczyć o dobro, musimy wpierw wiedzieć albo wierzyć, że Bóg istnieje i wynagrodzi nas za to wiecznym życiem w raju? Czy musimy wiedzieć, kto lub co jest inicjatorem tej walki? Czy nie wystarczy fakt, że walka już została wszczęta i że my zostaliśmy w nią wmieszani? To jest zupełnie wystarczające uzasadnienie działania najlepszych instynktów, jakie w nas tkwią!

Samochód jechał już wzdłuż Keizersgrachtu. Dochodziło wpół do trzeciej.

A Stefan mówi, wciąż po norwesku:

– W księdze mego ludu, Brage, zapisana jest mądrość, która brzmi tak: „Ale każdy, kto by zabił Kaina, siedmiorako będzie karany”. Miej to na uwadze, Brage, gdy spotkasz swego Kaina. Pamiętaj również o tym, że sam nie jesteś Ablem.

Policjant przypatrywał mi się w lusterku:

– Panie mecenasie, czy obok pana nie siedzi przypadkiem pan Bragesson?

– Tak. To on.

– Gratuluję panu uniewinnienia, panie Bragesson.

- Dziękuję.
- Gdy słyszy się o takich wypadkach, jak pański, człowiek ma ochotę rzucić służbę w policji.

Stefan nie szczędził wysiłków, aby nie dopuścić do mnie wiadomości o Siv. Osobiście lub pisemnie porozumiał się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi i znajomymi, a prenumerowane dla mnie pismo norweskie dokładnie „cenzurował”: on sam albo Gerda, a później także Ruth, dzień w dzień czytali szpaltę po szpalcie i albo mi to pismo doręczano, albo je wyrzucano – nazywało się to „wadliwą dystrybucją” itp. W okresie Wielkanocy i przez całą wiosnę 1956, kiedy to gazety zamieszczały wiele wiadomości i domysłów na temat Siv, często nie otrzymywałem norweskiej prasy, ale ani nie budziło to we mnie żadnych podejrzeń, ani nie odczuwałem specjalnie braku tej lektury. Doskonale, gdy prasa przychodzi, myślałem, lecz od czasu do czasu mogę się łatwo bez niej obejść.

Siv przyjęła proces i wyrok z godną podziwu dojrzałością i w sposób rokujący najlepsze nadzieje na przyszłość. A w następnych miesiącach jej zachowanie sprawiało radość wszystkim najbliższym. Rzadko o mnie mówiła, gdy ją jednak naga-

bywano, zawsze miała gotową odpowiedź, pozytywną i optymistyczną: wszystko wskazywało na to, że uwzględniała mnie w swoich planach życiowych. W tym czasie pisywała żartobliwe listy, mające podtrzymać mnie na duchu. Jeden jedyny raz byłem odrobinę zaskoczony: „Ciągłe powtarzasz, że skazano cię niewinnie, ale chyba wiesz, że stoję przy tobie niezależnie od tego, czy jesteś winny, czy niewinny”. W odpowiedzi prosiłem o wyjaśnienie. Czyżby wątpiła w moją niewinność? Czyżby naprawdę uwierzyła, że jestem bestialskim mordercą? Pospiesznie wyjaśniła, iż oczywiście w to nie wierzy, chciała tylko w ten sposób wyrazić, że należy do mnie, niezależnie od wszystkiego, ponad wszelkie granice, na wieki!

Tak się wtedy tym cieszyłem.

Zmiana nastąpiła nagle, kilka tygodni przed Wielkanocą 1956. Pewnego dnia była bardzo milcząca i blada, a gdy ojciec ostrożnie zapytał, co też gnębi jego drogą córeczkę, rozdrażniona odpowiedziała ostro:

– Przestańcie się ciągle mieszać w moje sprawy!

Za chwilę jednak usiadła ojcu na kolanach z taką czułością, jakiej nigdy przedtem nie okazywała. Próbował ją uspokoić i prosił, aby się nie denerwowała, a wtedy ona ukryła twarz na jego piersi i zaniosła się niepohamowanym płaczem.

Z niczym mu się jednak nie zwierzyła.

W następnych dniach była coraz bardziej zamknięta w sobie, milcząca i jakby nieobecna, i taką właśnie pamiętają ją najbliżsi z tego ostatniego okresu: zupełnie nieobecną, chwilami uśmiechającą się jak w rozkosznym śnie. Zawsze taka impulsywna i szczerą, teraz odcięła się od wszystkich. Nikomu nie okazywała najmniejszego zaufania. Czy warto było do niej mówić, starać się odgadnąć jej myśli i uspokajać ją tak, jakby się je właściwie odczytało? Przecież i tak na wszystko w milczeniu potrząsała głową i uśmiechała się blade. Zdarzało się wprawdzie, że i ona się odzywała, ale na jakie tematy? Zawsze mówiła tylko o sprawach obojętnych, o drobnych rzeczach i przedmiotach, które można zobaczyć lub wziąć w rękę: jakiś nóż, wazon na kwiaty, rysunek, szal, liczne i doskonale przepalone fajki ojca, i tym podobne. Owszem, na temat takich mało ważnych rzeczy potrafiła mówić zadziwiająco długo. Czasami też nagle wpadała w egzaltację i przy jakimś żarcie, którym ktoś próbował ją rozbawić, wybuchała głośnym, lecz zupełnie pozbawionym radości śmiechem.

Dla tych, którzy ją znali, wszystko to oznaczało ogromną zmianę. Mówiono, że jest prawie nie do poznania.

Mniej więcej w miesiąc po wyroku przyjeżdża do

Norwegii przyjaciel Sigurda, Bentein Dagestad. Rzucił służbę na statku i miał nowe plany życiowe. Spotyka siostrę Sigurda, moją Siv, i pociesza moją Siv. Moja Siv potrząsa głową, nie potrzebuje pocieszeń, lecz dziękuje za przyjazne słowa.

Skoro już jednak o tym mowa, jakież to są te nowe plany życiowe Dagestada. Pokróćce: obejmuje kierownictwo jednego z działów w firmie amatorskiej swego ojca, a prócz tego odnosi się bardzo wytwornie, poprawnie i uprzejmie do Siv. Objawy zainteresowania, od czasu do czasu jakiś kwiatek, czekoladki, a przy tym pełne galanterii dowody sympatii... jest się przecież džentelmenem.

Na Wielkanoc 1956 Siv, jej ojciec i Sigurd z narzeczoną pojechali w góry do Björnehiet. Ojciec Siv ma na imię Björn, gdy więc zbudował w górach domek, taki większy i wygodniejszy szalas, nazwano tę urlopową rezydencję „Björnehiet”, czyli „niedźwiedzi barłóg”.

Björnehiet leży wysoko w górach, nieco ponad cztery kilometry od mojej własnej nory, która nazywa się „Nordablaas”, bo jest wystawiona na podmuchy północnego wiatru.

Są to jedyne szalasy w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Położone w dzikiej i pięknej okolicy.

Pierwszy i jedyne list, jaki tej Wielkanocy Siv

napisała do mnie z gór – był to zresztą też jej ostatni list – zaczynał się tak:

„Wiesz, znów zrobiłam coś niemądrego. Całkiem sama poszłam twoim szlakiem z Björnehiet aż do naszych bliźniaczych szczytów, do Tvillingene. Było wprost bajecznie, wspaniała pogoda i warunki narciarskie takie, jakie ty nazywasz «pieszczotą ziemi» albo «posadzką do tańca», cienka powłoka świeżego śniegu na szreni. Och, ale było stromo, kilkakrotnie musiałam odpinać deski i zjeżdżać na pupie po kilkaset metrów. Jestem teraz taka zmęczona, taka zmęczona, i już nigdy, przenigdy czegoś podobnego nie zrobię. Na pewno wściekasz się na mnie, ale jesteś też chyba trochę ze mnie dumny, prawda? Bo to było przecież ponad czterdzieści kilometrów, a ja nie mam jeszcze kondycji. Brakowało mi czasem tchu, teraz jestem taka sztywna i obolała, wiem, że byłam nieposłuszna, ale to było takie wspaniałe, choć już nigdy tego nie zrobię. Tatuś wraca jutro rano do miasta, wóz gąsienicowy zabierze go jak zwykle z Kvitskaret, no i tatuś weźmie ze sobą ten list do ciebie, mój misiu. A stary niedźwiedź przesyła pozdrowienia”.

Odwrotną pocztą odpisałem, że zakazuję jej takich długich samotnych wycieczek. Czy nikt jej nie pilnował? Czy też może postawiła na swoim? Musi

pamiętać, że nie jest mężczyzną, i musi wiedzieć, że po przeczytaniu takiego listu zimny dreszcz spływa mi po krzyżu. Co ona sobie właściwie myśli! Wcale nie była dzielna, tylko głupia, więc zapowiadam, że będę się na nią gniewał przez trzy tygodnie.

Jej list brzmiał dalej tak:

„Dziś siedziałam pół dnia koło Nordablaas i tam się opalałam. Cały szalas jest zasypany śniegiem, widać tylko szczyt dachu i komin, bo nie ma Bragego, żeby odgarnął śnieg i zrobił porządek. Myślałam sobie: tam głęboko pod śniegiem stoi nasze łóżko, Bragego i moje.

Brage, mój kochany, daruj mi, jestem dziś taka nieszczęśliwa. Tak strasznie za tobą tęsknię i zdaje mi się, że mnie ta tęsknota rozsadzi. Jestem w niewoli tej tęsknoty, jestem niewolnicą swego wspomnienia o tobie, niewolnicą – bo wspomnienie nie jest Bragem, wspomnienie nie może być Bragem. Ty jesteś czymś, co nie może się zmieścić w moim mózgu, jesteś czymś nieskończonym, potężną grą barw, z których tylko niektóre mogę sobie przypomnieć, ale i te wystarczą, aby mnie oczarować. Bo ty mnie zawsze zaskakiwałeś niespodziankami, co dzień odkrywałam w tobie nowe barwy, nowe niespodzianki. Jesteś nieskończony, ty mój najdroższy, tak dużo ciebie jest, i właśnie

dlatego, że ciebie jest tak dużo, i że jesteś taki żywotny, rozumiem doskonale, jak się w tej chwili czujesz. Wszystkie twoje zmysły są w pogotowiu. Byłoby ci chyba teraz lepiej, gdybyś był mniej żywotny.

Jestem więźniem. Życie bez ciebie wydaje się więzienną pustką (kochany, wybrałam to słowo po namyśle). I jestem z tego zadowolona. Kocham tę niewolę, bo wiem, że ty jesteś w gorszej, bo w ten sposób mogę choć częściowo dzielić twój los. Tak, jest tak, jak mówisz. Karze się nie tylko oskarżonego, lecz jego najbliższych i jego przyjaciół. Ja dysponuję swoją wolnością. Mogę pójść tam, gdzie chcę. Ale wszędzie i zawsze jesteś mi bliski, bliski, lecz daleko. Bliski, lecz daleko.

Pisz do mnie, przelej dla mnie swoje barwy na papier, żebym cię nigdy nie zapomniała. Podtrzymuj we mnie wspomnienie o tobie i odnawiaj je w każdym liście. Powiedz mi, kim jesteś teraz. Teraz, gdy czytasz ten list. Powiedz. Tak się boję czasu. Czas niszczy wspomnienia. Tylu ludziom je zniszczył. Mój najdroższy, pisz do mnie, wczaruj swoją postać w papier i trzymaj mnie zawsze krótko.

Dwadzieścia lat. Mam nadzieję, że tak nie będzie, ale może przyjdzie nam czekać na siebie prawie dwadzieścia lat. Chcę być przygotowana na

najgorsze, aby nie doznać rozczarowania. Pomóż mi, Brage, a ja tobie pomogę. Postawmy sobie cel, żyć wspólnie dzięki naszym listom.

Mój kochany, czy u ciebie jest teraz ciemno? Czy to wieczór? Czy noc? Czy mury są zimne? Czy strażnicy są źli? Co wieczór będę błagała Pana Boga, żeby dla mnie tobą się opiekował, żeby nam obojgu dodał sił.

Jak ty musisz tam cierpieć, ty, który tak kochasz wolność. Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić? Daj mi jakieś zadanie, jakie tylko możesz, mój najdroższy. Zrobisz mi tym przysługę. Och, powiedz, że mogłabym coś dla ciebie zrobić! Powiedz, że nie jesteś taki silny! Nie możesz być taki silny! Nie wolno ci być takim kolosem! To nie jest dla nas dobre. Musisz się przede mną trochę pożalić. Wiem przecież, że żalisz się w głębi duszy. Dlaczego nie miałabym w tym uczestniczyć? Dlaczego masz być tak osobno? W ten sposób odbierasz mi część siebie. Ale chcę mieć także i to. Chcę mieć dla siebie także twoją słabość, bo bez niej nie jesteś żywym człowiekiem. Błagam, nie rób ze mnie kogoś zupełnie bezużytecznego, pisz smutne listy, gdy jesteś smutny, nie spalaj się wewnątrz, nie stosuj do mnie względów «psychologicznych», bo najlepsze, co możesz dla mnie zrobić, to dać mi wyczuwać bicie twego pulsu tak w dobrym, jak

i w złym.

Dziś Siv jest niemożliwa. Nie jest dzisiaj mądra. To chyba wpływ gór, bo przecież to są twoje góry. Sam powiedziałaś: «To są moje góry», tak powiedziałaś i miałaś rację. Wszystko należy do ciebie. A ja tu wędruję po twoich włościach i wydaje mi się, że cię gdzieś tutaj znajdę, bylebym tylko dobrze wypatrywała i pilnie nasłuchiwała. To takie dziwne. Coś we mnie ciągle oczekuje, że zjedziesz tu nagle takim szusem, że aż wytryśnie cała fontanna śniegu. Tymczasem bez przerwy nasłuchuję. Mogłabym prawie przysiąc, że ktoś z daleka krzyknął «hej-ho!». Może to ty. Może tak tęskniłeś w tej chwili, że duchem zawędrowałeś aż tutaj, w kurzawę śnieżną pod Digerhó! A ja się dziwię, że te góry ciągle tu jeszcze stoją, chociaż ty nie chodzisz po nich na swych mocnych nogach.

Taka byłam uradowana i taka roztrzęsiona po twoim ostatnim liście. Nosiałam go cały czas przy sobie, tak że dotykał mojej skóry, a gdy myślałam o tobie, przebiegały mi po całym ciele i słodkie, i bolesne dreszcze.

Mówisz, że mogę czuć się wolna, że nie muszę na ciebie czekać, gdyby to się ciągnęło zbyt długo. Wiem, dlaczego tak piszesz. Bo mnie kochasz, Brage.

Nie, będę się cię trzymała tak długo, aż po-

wiesz, że mnie już nie kochasz. Nie, nawet gdybyś tak powiedział, nie uwierzyłabym w to wcale. Nigdy więc tak nie pisz! Pamiętaj, nigdy!

Czekam na ciebie. Bez przerwy czekam na ciebie. Czekam na to, aby usłyszeć twój chrapliwy głos i poczuć twoje gorące ręce na swoich piersiach – oby Bóg sprawił, że nie postarzeją się zbyt do tego czasu! Oby Bóg sprawił, że pozostaną młode! Żeby ci nie zrobiła zawodu! Oby Bóg pozwolił memu ciału i mojej duszy oddać się bez reszty memu najdroższemu.

Czekają na ciebie moje uda. Czekają na ciebie moje biodra, moja kibić będzie się dla ciebie wyginać, moje plecy będą się prężyć pod pieśczętą twojej brody jak łania – ty tak powiedziałaś: jak łania – koniuszki moich palców będą się bawić twoimi grubymi wargami, moje paznokcie będą stukały o twoje zębiska, a gdy się znów zobaczymy, przypomnimy sobie dawne czasy i będziemy sobie wyobrażać, że znów jestem dziewicą, że drugi raz pozbawisz mnie cnoty. Musisz tak zrobić. Bo przecież Brage Bragesson rozpałił we mnie żar. Nikt inny tego żaru nie rozpałi. Nikt inny nie potrafi mnie rozpałić. Wielki Brage Bragesson. Brage Bragesson. Twoje imię kojarzy się dla mnie z igliwiem.

Mam teraz dwadzieścia lat. Może za dwadzie-

ścia lat, gdy będę miała czterdzieści, znów się zobaczymy. Będę miała czterdzieści, ale dalej będziemy młodzi, zupełnie młodzi, prawda?

Och, tyle myśli przychodzi mi dziś wieczór do głowy. Przez okno widzę Skaget, a jeszcze dalej majaczy Blaatind. Wieczór różowi twoje góry, a ja sobie przypominam twoje bajki. Czy je dobrze pamiętam? Powiedz, czy czegoś nie przekręcam? «Blaatind jest królem. Hej, przyjaciele, padnijcie na twarz przed królem! Skaget jest królową. Tak, przyjaciele, klękajcie, gdy królowa wita brzask dnia. Wielki Boże, wielki Boże, cóż to za przeżycie oglądać, jak rano na wschodzie królowa otwiera wrota słońcu. Wtedy słońce oświeca najpierw króla Blaatinda. Oto pierwszy na dziś pocałunek dla Waszej Królewskiej Mości, mówi królowa, i na promieniu słonecznym posyła mu miłosny znak. A przedtem była nieśmiała i trzymała słońce za plecami. I tak barwy ulegają często zmianie, wiesz dobrze, i tak dzieje się co rana z królem, gdy wstaje słońce. Najpierw jest czarny i naburmuszony po nocy, potem coś nieskończenie tajemniczego pieszczotliwie go łaskocze po czubku głowy, a on dalej jest naburmuszony, wykręca się, jakby z tym nie chciał mieć nic wspólnego, ale to coś dalej go łechce delikatnie i ostrożnie, och! Jak delikatnie i przyjemnie łaskocze! Potem rozchodzi się po nim

całym i po kolei zabarwia go najpierw białoróżowo, później niebieskoczerwono – uff, ileż to trzeba znieść – później żółtoczerwono, później pomarańczowoczerwono, później łososiowo i wspaniale, potem znów białoróżowo, aż w końcu jest cały jasny, oślepiająco jasny, nie, żółtawy, białozółtawy, pałac królowy Bajki, i uśmiecha się całym masywnym cielskiem, czekając na pocałunek królowej. Aż wreszcie – wreszcie nadchodzi... już... tuż, tuż... teraz. Słońce wschodzi! Słońce wschodzi! Wiwat życie!»

O, Brage, jak dobrze pamiętam nasze spacerunki i nasze tańce, wszystkie tańce, zdaje mi się, że jeszcze teraz czuję zapach ostatniego, i twoje ręce, twoje dłonie, Brage, i twoje słowa, twój chrapliwy głos, Boże, chyba nie potrafię skończyć tego listu, chcę pisać i pisać, pisać!

Ale nie mogę. Ja też muszę się podporządkować rytmowi dnia i nocy. Skończę więc, położę się na łóżku i będę myśleć o tobie, wiedząc, że ty tęsknisz za mną i myślisz o mnie... że myślimy o sobie i tęsknimy za sobą wzajemnie.

Mój najdroższy. Chciałabym, żebyśmy się zaręczyli. Bo jesteś moim towarzyszem życia. Moim współtowarzyszem. Moim współmałżonkiem. Chciałabym kupić obrączki. Na mojej będzie wyryte, że ty należysz do mnie, a na twojej będzie wy-

ryte, że ja należę do ciebie. Jeżeli się z tym zgadzasz, przyślij mi miarę swego serdecznego palca. Dobranoc, mój najdroższy. Dobranoc.

Twoja Siv”.

Posłałem jej miarę serdecznego palca. Pozałem się też na trapiący mnie niepokój, czym spełniłem jej życzenie, bo niewątpliwie miała pod tym względem słuszość. Równocześnie jednak musiałem ją ostrzec przed poddawaniem się takim nastrojom. Bo one człowieka wyniszczają, napisałem.

Nie wiem, czy moja odpowiedź była najlepsza. Lecz to nie ma znaczenia, list i tak nie doszedł na czas.

W Wielki Piątek zjawił się w Björnehiet Bentein Dagestad; przyjechał przez góry na nartach. Przyjęto go przyjaźnie. Sigurd oczywiście zaprosił go, aby u nich przenocował. Bo gdzież, do licha, miał się podziać tej nocy? Może w Nordablaas?

Nazajutrz, w Wielką Sobotę, Siv wstała skoro świt i oświadczyła, że przed śniadaniem chciałyby pojechać na nartach. Nic w tym nie było nadzwyczajnego, Siv często tak robiła. A przy dobrej pogodzie nie przedstawiało to żadnego ryzyka. Pogoda zaś dopisywała, bajeczna wprost pogoda panowała przez cały ten dzień, który był może ostatnim w życiu Siv.

Nie wszystko jednak przedstawiało się całkiem normalnie! Przez noc śnieg zamarzył na lodoszreni, twardą jak szkło, a oprócz tego Siv była w stanie niezwykłego wzburzenia! Mieli obowiązek roztaczać nad nią opiekę. Sigurd, dureń, chciał jej towarzyszyć, ale dał się odstraszyć, gdy mu zaczęła wygrażać kijkiem! Chciała być sama!

Wyruszyła więc i oglądała wschód słońca z Nordablaas, tak jak go wielokrotnie oglądaliśmy razem. Nie ulegało wątpliwości, że była tam tego dnia. Ktoś odgrzebał śnieg z okna i napisał na szybie moje imię. Sigurd poznał pismo Siv. Dokąd jednak poszła stamtąd, tego nikt nie wie. Ratownicy szli przez jakiś czas śladami po ostrzach kijków, ale te później zniknęły.

Siv nie wróciła na śniadanie. A ci durnie, Sigurd i Bentein, wyruszyli na poszukiwania dopiero około południa.

Szukali przez kilka godzin, lecz oprócz odgrzebanego okna z moim imieniem na szybie nie znaleźli żadnego innego śladu. Późnym popołudniem Sigurd wyruszył do najbliższego hotelu górskiego, aby zaalarmować ekipę ratowniczą, a Bentein dalej prowadził poszukiwania w pojedynkę.

Muszę powiedzieć, że ten porządek, który wykonypował Bentein, był bardzo nierozsądny. Powinni byli zrozumieć, że należy możliwie jak naj-

szybciej postawić na nogi pogotowie górskie. W tym celu do hotelu powinien był wyruszyć Bentein, który jeździł na nartach znacznie lepiej i szybciej. Zamiast niego jednak do hotelu powlókł się Sigurd, zatruty nikotyną fajtlapa, któremu droga zabrała oczywiście o wiele więcej czasu!

Gdzie szukał Bentein? Nie mógł podać dokładnej trasy, lecz zrobił prawdopodobnie wiele dziesiątków kilometrów, przeszukując bardzo dokładnie teren między Trollhornem a Skagetem. Gdy o pierwszej w nocy wrócił do Bjørnehiet, był szary na twarzy i słał się z wycieńczenia.

Po przybyciu do Oslo czułem się z początku niemrawo. Nie miałem żadnych określonych planów, nie wiedziałem, na co zużyć resztę życia, a przede wszystkim nie miałem zielonego pojęcia, dokąd się udać z lotniska Fornebu. Jakiś mężczyzna w mundurze wziął mnie pod ramię i zapytał, czy mi coś dolega. Odpowiedziałem, że nic. Gdy jednak po dłuższym czasie ciągle jeszcze tkwiłem w tym samym miejscu, ten sam człowiek w mundurze znów się zjawił z pytaniem, dokąd chcę się udać i czy może mi służyć pomocą. Pod żadnym warunkiem nie mogłem zostać w tym miejscu, bo wkrótce oczekiwano lądowania innego samolotu. Poprosi-

łem o znalezienie taksówki, więc zaprowadził mnie na postój.

Gdy ktoś bierze taksówkę, powinien podać adres docelowy.

Podąłem adres Siv.

W domu Siv zastałem tylko jej matkę, która na mój widok tak zaczęła rozpaczać nad stratą córki, że po nieudanych próbach uspokojenia jej uciekłem.

Wiele godzin włóczyłem się po ulicach, potem poszedłem do swego starego przyjaciela, doktora Johana. Ale i tam przywitały mnie łzy Magdy, łzy radości i smutku zarazem; radości na mój widok, a smutku nad stratą męża, który niedawno zmarł na zawał serca.

A więc i doktor Johan nie żyje. Iluż to umiera bliskich mi ludzi. Wkrótce gotowa nadejść kolej Stefana.

Tak, czas leci. W ogrodzie stał kucyk Jompi i skubał siano.

Nie poznał mnie, ale coś mu się musiało wydawać znajome, bo obwąchał mnie całego, dotykając chrapami, i chyba zrozumiał, że nie jestem kimś zupełnie obcym; tylko nie potrafił tak szybko umiejscowić mnie w pamięci.

Nazajutrz obwąchał mnie jeszcze ciekawiej, a trzeciego dnia zaczął znów biegać za mną truch-

cikiem, jak gdyby nigdy nic.

Cóż znaczy cztery i pół roku dla konika, który przez cały ten czas stał sobie zadowolony w tym samym ogrodzie? Dla niego wszystko było nieokreślone i równie obojętne.

Czas jednak robi swoje, Jompi też o tym świadczył. Jego młodość już minęła; posiwiał, był gruby i ociężały.

Na strychu u Magdy leżało trochę moich starych rzeczy, książki, coś z ubrania i różne drobiazgi, zatrzymałem się więc u niej kilka dni, aby to wszystko przejrzeć. Magda cieszyła się moim towarzystwem i bardzo mi dogadzała. Lecz dawny wzajemny stosunek, zawsze pełen humoru, minął bezpowrotnie. Ja nie należałem już do ludzi zabawiających otoczenie kawałami, ona też nie była już nastrojona do przyjmowania żartów z udanym oburzeniem. Okazało się więc, że właściwie nie mamy już ze sobą wiele wspólnego. Każde z nas piastowało swój własny ból, żyło we własnym świecie. Gdy po upływie tygodnia zapragnąłem znów być sam, przeniosłem się do pensjonatu w mieście.

Całymi dniami właściwie tylko zabijałem czas. Nie miałem ochoty na te wszystkie spaceru, o których marzyłem przez ponad cztery lata. Nie miałem też chęci do czytania ani pisanu, ani zajmo-

wania się czymkolwiek konkretnym. Również planów na przyszłość nawet nie próbowałem układać. Albo siedziałem kołkiem w pokoju, albo włóczyłem się bez celu po mieście. Unikałem znajomych. Bez przerwy myślałem o Siv i o szczątkach jej martwego ciała. Wiedziałem, że kiedyś je odnajdę. Nie było jednak powodu do pośpiechu...

Dlaczego nie widziałem potrzeby pośpiechu? Dlaczego siedziałem w mieście? Czy nie czułem się zawsze źle w miejskim otoczeniu? Czy nie miałem środków, żeby się z miasta wydostać? Byłem przecież zamożnym człowiekiem. Miałem 40 000 koron gotówką. Czy nie powinienem był szukać, szukać, szukać...?

Może psycholog powiedziałby: Postanowiłeś nie zetknąć się nigdy z tym dziewiątym, ale siedzisz w mieście, bo w gruncie rzeczy chcesz go spotkać. Tylko boisz się sam sobie do tego przyznać. Tak by może oświadczył psycholog.

Czy nie można jednak przyjąć, że byłem fizycznie wyczerpany, że potrzebowałem tego okresu beczynności?

Pewnego dnia wysłedzili mnie dziennikarze. Chcieli dostać długi wywiad: kim był ten dziewiąty? Jedno pismo chciało kupić moje wspomnienia z całego życia, kusiło mnie czterocyfrowym honorarium. Odrzuciłem wszystkie oferty. Nie dawali

się łatwo zbyć, nachodzili mnie ciągle, lecz Brageson nie ustąpił. Niektóre gazety wykombinowały mimo to coś w rodzaju „reportażu”. Jeden nosił tytuł: „Ten dziewiąty istnieje” i podtytuł: „Spróbujcie go znaleźć, odpowiedział Brageson”.

Pewnego dnia dostałem list od Stefana:

„Moja córka, Ruth, zupełnie wyraźnie zakochała się w tobie. Jest jeszcze młoda i może się trochę zmienić, lecz mnie się zdaje, że nie jest aż taka młoda. Jest już bardziej kobietą niż młodą dziewczyną i ma swój rozum. Mam wrażenie, że znam ją dobrze i mogę powiedzieć, że bierze to poważnie.

Nie jesteś, rzecz oczywista, idealnym zięciem, ale tak po cichu myślę, że jednak moglibyście tworzyć dobraną parę. Jeżeli więc rzeczywiście myślisz o Ruth po uporządkowaniu swoich spraw, jak to jej powiedziałeś, to mimo wszystko chętnie bym cię widział jako zięcia.

Słuchaj, Brage. Weź się w garść i posłuchaj mojej rady. Nie zatapiaj się w rozpamiętywaniu straty, nadaj swemu życiu jakiś konstruktywny cel. Nie możesz przecież kręcić się w kółko, musisz się do czegoś wziąć, jak wszyscy ludzie. No i musisz zarabiać na chleb, bo pieniądze, które masz, na długo ci nie starczą.

Tak, mój drogi, ponieważ nie odzywasz się od czasu wyjazdu z Amsterdamu, jestem prawie pe-

wien, że zbijasz bąki i dlatego nieczyste sumienie każe ci się wstydzić starego mentora, który ci zawsze prawi morały. Przestań zbijać bąki. Zaczynj coś robić, coś pozytywnego. Dlaczego nie miałbyś zostać nauczycielem w szkole ludowej? Umiesz postępować z dziećmi, jest w tobie coś, co się dzieciom podoba, po prostu lubisz dzieci. A więc wszystko się doskonale składa. Zapisz się na studium nauczycielskie. Za dwa lata będziesz miał w rękę zawód. W tym zawodzie będziesz miał dość czasu na inne zainteresowania. Weź pod uwagę choćby długie ferie i długie wakacje. A pamiętaj, że za dwa lata Ruth skończy siedemnaście lat. Ho, ho! Chciałbym, żeby pędziwiatr Brage o tym pamiętał! Wiedz też, że stary Stefan chętnie zobaczyłby swoją córkę jako panią profesorową w jakimś norweskim miasteczku albo zgoła na wsi, z daleka od wielkowiejskiego zgiełku. Jeżeli chciałbyś mi się naprawdę odwdziżyć za to, co dla ciebie zrobiłem, to musiałbyś przyjąć na siebie odpowiedzialność za moją córkę. Wiem zaś na pewno, że jeżeli raz poweźmiesz postanowienie, to będziesz postępował odpowiedzialnie. A więc głowa do góry, mój chłopcze, i pomyśl o swojej przyszłości.

Twój przyjaciel Stefan”.

Odpisałem:

„Chcesz, żebym wziął na siebie odpowiedzialność za inną ludzką istotę, jeszcze do tego nie dorosłem”.

Stefan odpisał:

„Właśnie takiej odpowiedzialności potrzebujesz. Zbyt długo byłeś sam. Nie jest dobrze, gdy człowiek nie ma się o kogo troszczyć. Zatrósz się o Ruth. Znajdź sobie sposób zarabiania na chleb codzienny. A potem ożeń się z tą wartościową dziewczyną. Pewnego dnia mnie zabraknie i wtedy moi najbliżsi zostaną sami. Przekazuję ci odpowiedzialność za jedno z moich dzieci”.

Odpisałem:

„Stefanie, trudno mi jest przeciwstawić się tobie, musisz mi jednak zostawić trochę czasu. Muszę nad tym pomyśleć. Wszystko jest dla mnie nowe, muszę się z tym oswoić”.

Stefan:

„Rozumiem. Lecz nie zastanawiaj się zbyt długo. Dla ciebie rozwiązaniem jest teraz długofalowe działanie. I kobieta”.

Kobieta. Właśnie tym, co zbliżyło mnie ponownie do życia, okazała się kobieta, pokojówka w pensjonacie. W głębi duszy wstyd mi było przed Stefanem i Ruth, nie mogłem się jednak powstrzymać, aby jej pewnego dnia nie uwieść. Postąpiłem

tak delikatnie i ostrożnie, jak tylko potrafiłem. Była to wiejska dziewczyna, prawdziwa rzepa, a ja ją nazywałem „pieszczotką”, tak że aż jej burczało w brzuchu i bulgotało w gardle. Biedactwo. Wierzyła, że byłem jej królewiczem z bajki.

Gdy raz zacząłem, już do końca pobytu w Oslo jak oszalały uganiałem się za kobietami. Nie potrafię zliczyć wszystkich, które skosiłem; pokojówki, Rzepkę prawie co dzień, urzędniczki, ekspedientki, jedną malarkę z oczyma łani, pewną mężatkę z mężem grubasem, jakąś gimnazjalistkę...

Nie mówię tego dla przechwałek. Phi, nie jestem jak wiadomo donżuanem, tym bardziej z tą szpetną blizną na gębie, ale w naszych czasach nie trzeba też być wcale donżuanem, aby kosić babki całymimi tuzinami.

Te kobiety. Nie mogłem się nimi nasycić. Nie dawały mi spokoju. Polowałem na nie wszędzie i bez przerwy. Wszędzie węszyłem nową okazję. Potrafiłem dostrzec najlżejsze mrugnięcie i, jeżeli się dało, wyciągnąć z niego korzyść. Okropne postępowanie. Bez sumienia. Egoistyczne. Ale ludzkie, prawda? Gratisowa miłość. Kosztowało to tylko kilka słów, kilka spojrzeń, kilka romantycznych piosenek i trochę alkoholu. No i trochę kłopotów, jeżeli potem okazywało się, że któraś mnie źle zrozumiała.

Aż pewnego dnia na ulicy zobaczyłem nadchodzącego z przeciwka Benteina Dagestada. Automatycznie, jak sprawna maszyna, skręciłem w prawo w pierwszą przecznicę. On mnie nie zauważył. Ale na mnie ścierpła skóra, zupełnie dosłownie.

W następnych dniach często o nim myślałem. Nie powinien mnie być już obchodzić. Dla własnego dobra powinienem był go wymazać z pamięci, na zawsze wykreślić ze swego życia. Ten chwast w mojej świadomości!

Potem przyszło ogromne zaskoczenie, rzecz niewiarygodna. Moja obecność w mieście musiała mu działać na nerwy i gdy pewnego wieczoru wróciłem do pensjonatu, czekał na mnie w moim pokoju. Jego krzywy uśmiech zdawał się mówić: chyba tego się nie spodziewałeś, Brage?

Rzeczywiście, zupełnie oniemiałem i przez chwilę nie wierzyłem własnym oczom. Bentein Dagestad w moim pokoju! Bentein Dagestad! Stałem z ręką na klamce i patrzyłem na to, co z początku wydawało mi się halucynacją.

Chciał ze mną pomówić. Jeżeli mu pozwolę. Jeżeli mu pozwolę wyjaśnić pewne nieporozumienie. Dlatego do mnie przyszedł. Fałszywe wyobrażenie. Nieporozumienie. Błędną ocenę. Nieporozumienie. Coś, co nas obu gnębi. Nieporozumienie. Nie mógł

znaleźć żadnego lepszego słowa, ciągle wracał do tego: nieporozumienie!

Wydawał się trochę podniecony, lecz trzymał się w karbach. Był panem sytuacji, bo ja nie mogłem się przecież przedtem nastawić na tak szokujące spotkanie. Poczułem zamęt w głowie, lecz nie aż taki, abym sobie nie zdawał sprawy z tego, że muszę się też przygotować. Nie chciałem dopuścić, aby nadal panował nad sytuacją. Dlatego przeprosiłem go na chwilę mówiąc, że muszę zejść coś załatwić na parterze, o czym przedtem zapomniałem, potrwa to tylko chwilę.

Bentein skinął głową z uśmiechem. Gwizdałem na to, czy mnie przejrzał. Bylebym tylko mógł się trochę przygotować...

Zbiegłem na dół. Teraz trzeba było szukać pozorów. Najpierw zadzwoniłem do zegarynki. Godzina dwudziesta pierwsza zero trzy... Świetnie! Potem zamówiłem dużą szklanekę mleka, wszedłem do salonu i wdałem się z jednym z gości w rozmowę o pogodzie. Przyniesiono mleko. Tak się złożyło, że obsługiwała Rzepka. Ukradkiem wymieniliśmy wymowne spojrzenia, podczas gdy tamten gość rozwódził się nad niżem zalegającym Szkocję. Pomyślałem sobie: A może mały seansik z Rzepką byłby teraz w sam raz? Dać trochę upustu energii, co?

Wstałem i zostawiłem niż nad Szkocją jego własnym losom. W drzwiach szepnąłem Rzepce do ucha, że jeżeli natychmiast nie da mi się ugryźć w udo, to zaraz będzie po mnie. Odparła mi też szeptem, że się boi, bo „stara” kręci się po pensjonacie, czy jednak nie mógłbym wytrzymać do jedenastej trzydzieści, kiedy skończy dyżur i pójdzie do siebie?

Zapowiedziałem, że o jedenastej trzydzieści poczuje moją brutalną siłę. Stłumiony okrzyk radości.

O, właśnie nadchodzi właścicielka. – Dobry wieczór pani! Nowy niż znad Szkocji przemieszcza się na wschód i jutro spowoduje opady w zachodniej Norwegii. Pojutrze opady spodziewane są w Oslo. Paskudna prognoza, proszę pani! Ale przy okazji, czy ja już pani zapłaciłem? Tak, rzeczywiście zapłaciłem? I to prawie za dwa miesiące z góry? To świetnie. Dobranoc pani! Bardzo mi smakuje jeżdzenie, pani kucharz zna się na rzeczy!

Potem znów nakręciłem numer zegarynki. Godzina dwudziesta pierwsza czternaście... Bentein czeka tam już jednaście minut. Cały czas koncentrowałem myśli na nim. I trochę się uspokoilem. A on... prawdopodobnie ma teraz bardziej roztrzęsione nerwy. Psychologicznie wszystko się zgadzało. Punkt na plus dla mnie i punkt na minus dla

Benteina.

Wolno wspinałem się po schodach. Wolno. Ociągałem się z każdym krokiem. Myślałem o tym, co mam mu powiedzieć. Układałem plan batalii. Muszę go potraktować chłodno i z rozwagą. Rozprawić się z jego argumentami tak, jak adwokat w sądzie.

Proces trwa dalej.

Bentein czekał w pokoju. Był blady, lecz opanowany, jak się to mówi, ponury i świadomy celu – tak wyglądało – lecz niezbyt pewny siebie co do tego nieporozumienia, tej błędnej oceny, tego, co nam obu ciążyło. Czy mógłby usiąść? Jeżeli się odważy, to proszę. Z czujną miną zdobył się na odwagę. Czujnie też śledziły mnie jego piękne oczy.

Powiedziałem:

– O ile pamiętam, nie żądałem od ciebie, abyś wyjaśniał jakieś nieporozumienia.

Bawił się rękawiczką. Patrzyłem nań uważnie. Wyraziłem się przed chwilą, że jego oczy mnie śledziły, ale to nie znaczy, aby patrzył wprost w moje. Wodził wzrokiem wszędzie: po moich butach, ramionach, dłoniach, brodzie, szyi, pierśsiach...

Stwierdziłem, że czas wyposażył go w interesującą szpakowate skronie, trochę schudł i miał bardziej wyrazistą twarz, bardziej może męską, ale

w całości pozostał właściwie takim samym wymuskanym gogusiem, jak przedtem. Był nienagannie ubrany. Bardzo reprezentacyjny pan. Z wyglądu dyrektor banku. A z manier nie mający pewności siebie dyplomata.

Zapalił papierosa. Złota papierośnica, rzecz oczywista. A na ręku złota Omega, w pełni automatyczne чудо, odporne na wstrząsy, wodoszczelne, antymagnetyczne i wskazujące datę, na masie rubinów, ze szczerozłotą tarczą i szkłem z polerowanego szafiru, ho, ho! Wszystko razem: wymarzony prezent gwiazdkowy!

Białe, sztywne mankiety, srebrne spinki z niebieską emalią, spiczaste włoskie buty, pachnąca woda do włosów, patrzcie, patrzcie, facet miał na sobie całą fortunę!

Ale miał też te same obrzydliwe ręce.

Te ręce. Te niepokojące ręce. Z daleka można było zobaczyć, że są wilgotne, chłodne jak u płaza, że przykro pachną, że mają małe, brzydkie, trójkątne paznokcie, cienkie i miękkie jak u oseska...

Jakież wyjątkowo obrzydliwe ręce! Czy jakakolwiek kobieta mogła poddawać się ich pieścizocie bez dreszczu wstrętu? Człowiek się wzdryga na myśl, że te ręce przesuwają się po biodrach jakiejś kobiety... aksamitnych biodrach... guma indyjska po aksamitnych biodrach...

Przypomniałem sobie spotkanie z nim w Amsterdamie. Rozpromieniony przybiegł do mnie w poprzek ulicy, jakbyśmy co najmniej byli od kołyski serdecznymi przyjaciółmi. Potem oparł mi te swoje obrzydliwe ręce na ramionach i powiedział: „Brage, przyjacielu, trzymajmy się razem tej nocy”, a ja miałem takie uczucie, jakby z jego rąk pociekł na mnie wstrętny śluz; obrzydliwy, zielonkawy śluz. Musiałem się powstrzymać, aby wściekłym ruchem nie strącić ich z siebie.

Zdziwiło mnie, że nie czuję doń nienawiści. Nie, nie odczuwałem wobec niego nienawiści. Podobnie jak wobec jadowitego węża. Kto może nienawidzić jadowitego węża? Człowiek nie czuje do takiego węża nienawiści, człowiek się go boi albo odczuwa wstręt, ucieka przed nim albo go tępi. Ale nienawiść nie wchodzi w rachubę. Nie czuje się też nienawiści do obcego człowieka. Można nienawidzić tylko kogoś, z kim się było uprzednio związanym emocjonalnie, na kogo przelewało się część swoich intymnych uczuć – jeszcze zanim pojawiła się nienawiść.

Wąż budzi we mnie wstręt. Brzydzę się go. Fascynuje mnie, lecz jeżeli trzyma się ode mnie z daleka, nic mnie nie obchodzi. Inaczej mówiąc: nie czuję do węża nienawiści.

Gdyby jednak wąż raz i drugi zaczął mi grozić

na moim własnym terenie, zapewne starałbym się go wykryć, aby go obejrzyć, schwytać i ewentualnie unieszkodliwić, nie z nienawiści, lecz z takich powodów, które się określa mianem rozsądku, samoobrony i uzasadnionego gniewu.

Bentein wzbudził we mnie głęboką, tępą irytację, działał równocześnie odpychająco i magnetycznie... jak hipnotyzujące spojrzenie wstrętnych oczu węża. Pomyślałem: ten człowiek, którego nigdy nie prosiłem, aby mi się do czegoś przyznał, jest najważniejszą osobą w moim życiu.

Palce Benteina leciutko drżały, tak że popiół z papierosa spadł mu na spodnie. Ale elegancki pan tego nie zauważył i zagaił rozmowę tymi słowami:

– Zdaje mi się, że mamy sobie coś niecoś do powiedzenia.

Odpowiedziałem:

– Tak, pomówmy o swoich bliznach. O bliznach po ranach. Rrranach! Rrranach! Rrranach! Widzę, że masz szramę na jednej skroni. Nazywamy to blizną po ranie. Rrranie! Rrranie! Raz, ciach, mach, ryp, rąb, rznij! Rrrany! Bragesson dziś warrrczy!

Przez mgnienie spojrzał mi badawczo w oczy. Czy rzeczywiście Brage zwariował? Choroba umysłu? Biegły psychiatra wspominał...

– Jeszcze rrraz rrryp! Jeszcze rrraz rrrym! Ciach! Mach! Rrrąb! Rrrznij! Rrrany, rrrany! Nie bój się, nie zwariowałem. Wspominam tylko pewien incydent. Ty też masz bliznę, białą szramę. Czy nie słyszałeś o chirurgii plastycznej? Skoro już jesteś cały taki przystojny, powinieneś się poddać operacji plastycznej. A przy okazji: co myślisz o mojej bliźnie? Tu na policzku? Potężna, co? Mam ich więcej. Zobacz! Na rękach! Ten mały palec został krzywy, ale mam to gdzieś! Zobacz tu pod szyją. Nowa blizna! Chciałem powiedzieć: jeszcze jedna blizna. Tak, przypatrz się dobrze, Bentein!

I żeby zademonstrować mu wszystkie blizny, rozebrałem się szybko i stanąłem przed nim nagi. Nie wyrzekł ani słowa, lecz jego oczy długo błędziły po moim ciele, ciężko oddychał i zaczerwienił się, spłonął rumieńcem jak młoda kobieta. W końcu spuścił oczy i potrząsnął głową.

– Ależ zobacz, Bentein! Blizna w pachwinie! Blizna na udzie! Blizna na łydce! Blizna na plecach! Blizna nad lewym mięśniem piersiowym! Tam jest dziura! Brakuje jednego żebra! Zostało chyba zmiażdżone przy zranieniu! Rrrany, rrrany, rrrany! Rrrany i blizny! Przyjrzyj się im, Bentein! Ja jednak dalej żyję. I wcale nie wyglądam na niedołęznego kalekę, co? Tak, to prawda. A w dodatku miałem złamaną rękę. Niewielkie, bagatelne zła-

manie, ale na pewno i po nim jest blizna na kości.

Tak się pienień i tym samym pozbawię go inicjatywy do ataku. Zaskoczyło mnie jednak to, że był taki zawstydzony. Moja nagość wywierała na nim znacznie większe wrażenie niż moje blizny. Wobec tego znów się ubrałem. W gruncie rzeczy w pokoju panował chłód, a w dodatku wcale mi nie było przyjemnie paradować przed nim nago. Gdy się ubierałem, Bentein bawił się rękawiczkami.

Potem siedzimy, każdy na swoim krześle, twarzą w twarz, i jeden czeka na drugiego. No tak, teraz może się wygadać.

Ociąga się, kilka razy powtarza „tak, tak”.

Ja czekam i kilka razy powtarzam „a więc”.

– Może nie masz mi właściwie nic do powiedzenia, Bentein?

– Mam. Stanowczo. Widzisz... pomyślałem sobie... Niezależnie od wszystkiego gratuluję ci uniewinnienia.

Kłaniam się tak głęboko, jak mi pozwala siedząca postawa. Bentein uprzejmie kiwa głową, jakby chciał powiedzieć z uznaniem: tak, tak, dobrze przyjąłeś ten cios, mój chłopcze!

– Chciałem do ciebie napisać, Brage. Kilka razy zamierzałem napisać, gdy siedziałeś. Ale po namyśle zawsze dawałem spokój. I sądzę, że nasz kontakt do niczego by wówczas nie doprowadził. Moje

argumenty nie przemawiałyby wtedy do ciebie, co jest całkiem zrozumiałe. A zresztą to nie było takie potrzebne... myślę o tym, że wówczas nie było potrzeby, żebyś poznał moje argumenty. Ale teraz może trzeba wyjaśnić ewentualne nieporozumienie. Dlatego tu przyszedłem.

– Niemal wprost do jaskini lwa, Bentein!

– Hm. Jak chcesz. Niech będzie, że do jaskini lwa.

– Jesteś odważny.

Milczy, patrzy na moje buty.

– A o jakim nieporozumieniu ty mówisz?

– Przypuszczam – podjął tonem wykładowcy – że często zastanawiałeś się nad przyczyną, nad ewentualną przyczyną, dlaczego ja... dlaczego ja postąpiłem w ten sposób w Amsterdamie i w sądzie... Zdaje mi się, że masz, albo miałeś, jakieś brzydkie podejrzenia.

– Jakie?

– Właśnie chciałbym cię o to zapytać.

Namyślałem się chwilę i oświadczam:

– Mnie się zdaje, że chciałeś mnie usunąć z drogi.

Bentein z rezygnacją:

– Ano, właśnie. Tego się właśnie bałem. Więc wierzysz, że dybałem na twoje życie.

Chwila milczenia.

Nie bez odrobiny przyjemności poprawiam:

– Powiedziałem, że chciałeś mnie usunąć z drogi. Nie mówiłem nic o „dybaniu na życie”.

Znów chwila milczenia. Teraz z kolei Bentein się namyśla.

– Cóż, tak to zrozumiałem, względnie tego się obawiałem.

– Dlaczego?

– Hm, ja właśnie ciebie o to pytam.

– W więzieniu ułożyłem sobie całą listę możliwości.

– Na przykład?

– Siv.

– O tym już mówiliśmy przedtem.

– Ale nie udało ci się mnie przekonać.

Bentein z udaną obojętnością:

– Mówiąc szczerze, nie róbmy z tej sprawy banalnego trójkąta.

– A czy pan Dagestad ma inne propozycje?

– Mówiąc szczerze, zazdrościłem ci, rzecz prosta, Siv, ale miałem dość innych dziewcząt i – mówiąc szczerze – nie jestem takim romantycznym trubadurem, abym dybał na życie... abym chciał kogoś usunąć z drogi dlatego, że...

– Może Siv nie była warta aż tyle zachodu?

– Siv była wspaniałą dziewczyną. Pod tym względem gusta mamy podobne. Kto jednak po-

wiedział, że się w niej nieszczęśliwie kochałem?
Czyś może coś takiego zauważył?

– Byłeś prawie zawsze przy nas; gdy tylko mogłeś, zawsze trzymałeś się w pobliżu.

Przez chwilę patrzy na mnie spode łba, potem spuszcza oczy:

– To mogła być sprawa przypadku. Należeliśmy do tego samego klubu, byłem przyjacielem jej brata i...

– A jednak.

– Nie, Brage, uczciwie mówię, porozmawiajmy o tym rozsądnie.

Rozgniewała mnie w końcu ta jego gra i ten ton wyższości. Jeżeli miał zamiar zamydlić oczy głupiemu Bragemu, to warto mu dać nauczkę:

– Odważny jesteś, Bentein, tak odważny, że aż mnie korci spytać, czy nie masz przy sobie spluwy.

Bentein, zaskoczony, rzuca mi nieufne spojrzenie.

Aha, pomyślałem. Ale się udało. A powiedziałem tylko tak sobie.

– Nie – mówi Bentein. – Nie jestem uzbrojony. Co ty sobie wyobrażasz?

– Coś mi się zdaje, że zaczynasz się jąkać. Zastanów się. Czy idąc tu, nie włożyłeś do kieszeni spluwy?

– Bzdury!

- Ale myślę, że warto to zbadać.
- Śmieszne, Brage, wręcz śmieszne!
- Ale czy mogę przeszukać twoje kieszenie?

Bentein zerka na drzwi.

Maska opadła. Jest uzbrojony!

– Jeżeli rzeczywiście nie jesteś uzbrojony, to chyba nie zabronisz mi przeprowadzić małej rewizji osobistej, co?

– Przestań się wygłupiać! – spazmatycznie łapie powietrze. – Mamy ważniejsze sprawy!

– Tak. Musimy popertraktować. To prawda. Ale chciałbym się wpierw upewnić, że druga strona nie zasiada do stołu obrad uzbrojona.

Bentein milczy. Milczy jak zaklęty i wie, że go przejrzałem na wylot.

– Co za nietakt! Poczciwy Bentein siedzi sobie z pistoletem w kieszeni, a ten wstrętny Brage musi mu to zaraz wytykać.

Bentein siedzi jak na rozżarzonych węglach.

– Bzdury. Nie jestem uzbrojony.

– Wyciągnij spluwę! Wiesz dobrze, że nie ustąpię. A więc wyciągaj tę swoją armatę!

Próbuje zmienić taktykę. Wesoły śmiech.

– Cha, cha, cha! Dowcipy się ciebie trzymają! Pistolet! Broń! Przeceniasz sam siebie, myślisz, że jesteś taki straszny. E, daj spokój tym bzdurom. Powtarzam, że nie jestem uzbrojony!

Marny jednak z niego aktor.

– Murowane, że masz spluwę w kieszeni. Z obawy przed wybuchowym psychopata, co? Wyciągaj, póki proszę!

Mija kilka minut. Bentein waha się i zastanawia. Daję mu dosyć czasu. Wiem, że mam go w rękę. Wiem, że mogę się z nim pobawić w kota i myszkę.

– Bentein! Ostrzegam cię! Jeżeli dobrowolnie nie pokażesz mi tej zabawki, obszukam cię siłą!

W końcu wydobywa mały, ładny pistolet i mówi:

– Śmiem jednak twierdzić, że miałem uzasadnione powody. Ty na mnie czyhasz, ciągle mnie śledzisz!

Aha. W tym rzecz. Jemu się zdaje, że na niego nastaję, a nigdy go nie prześladowałem ani nie śledziłem. Czy to jego uczucie nie nazywa się przypadkiem dowodem psychologicznym?

– Ja na ciebie czyhałem? I jakież miałeś z tego powodu uczucie?

– Bardzo nieprzyjemne.

– A jeżeli przysięgnę, że nigdy na ciebie nie dybałem i nawet mi na myśl nie przyszło, żeby cię śledzić?

Ale Bentein podnieca się i upiera przy tym, że go śledziłem. Ma przecież oczy w głowie.

– Widziałeś mnie, masz pewność?

- Na tyle, żeby się domyślić, że to byłeś ty.
- Może widziałeś jakiś cień w mroku, może jakiś cień w cieniu, może słyszałeś jakieś kroki, miałeś wrażenie, że ktoś cię śledzi i pomyślałeś, że to ja.
- To byłeś ty! Musiałeś być ty!
- Zmieńmy temat. Chcesz tak cały czas grozić mi pistoletem?

Odpowiada:

– To niemiecki pistolet gazowy, na gaz łzawiący, nic groźnego, nie ma niebezpieczeństwa, tylko trochę nieprzyjemne.

Ale wstydzi się wyraźnie. Nie potrafi ukryć, że jest wściekły na sytuację, szczególnie na siebie samego. Dodaje:

- Używam go tylko w konieczności.
- Nie sądzisz, że dość już w życiu wylałem łez?

Wierci się na krześle i wykrzywia twarz kurczowym grymasem. Zaczynam tracić cierpliwość, więc podchodzę do umywalni i łykam trochę zimnej wody z dzbanka.

Za mną Bentein ciężko dyszy. Odwracam się i patrzę na niego; siedzi mocno pochylony do tyłu i tak się przyciska do krzesła, jak gdyby mu groziło ukąszenie jadowitego węża; twarz ma woskowo białą i błyszczącą.

- No więc jak, Bentein?
- Masz do mnie pretensje! Musimy to wyjaśnić!

– Liczyłeś pewnie na to, że wyjdę z więzienia dopiero jako złamany, bezzębny, skończony człowiek, co?

– Na nic nie liczyłem! Zapewniam cię!

– No więc nie siedź tu i nie wymachuj tym pistoletem! Zrób z niego użytek! Zastrzel mnie i pozbądź się strachu, ty psie, ty niezdaro, ty... ofiaro niegodna nazwy człowieka!

– Powiedziałem ci już, że tą bronią nie można nikogo zabić.

– A gdyby było można?

– Wtedy nigdy bym jej nie użył, możesz być pewien.

– Oczywiście, taki łebski facet jak ty, nie musi się uciekać do ogranych chwytów. Ty jesteś zdolny do czegoś bardziej wyrafinowanego.

Piekielnie wstydzi się pistoletu, nie może już dłużej znieść tego, korzysta więc z okazji i kładzie broń na stole.

– Proszę bardzo. Możesz go wziąć.

O nie, tak łatwo mu się nie uda. Niech go jeszcze trochę ten wstyd pomęczy.

– Dziękuję, lepiej, żebyś go miał pod ręką. Może się przecież zdarzyć, że go będziesz potrzebował. Kto wie. Ja jeszcze nie wiem.

Udaje, iż nie widzi pistoletu:

– Powiedziałeś, że kalkuluję na zimno.

– Ja tak powiedziałem? Kiedy?

Bentein milczy.

– Jeszcze jeden dowód psychologiczny. Już od dłuższego czasu myślałeś: „Kalkuluję wszystko na zimno. Brage wie, że tak robię”. W tej chwili myślisz: „Teraz mu udowodnię, że tak nie jest”. Ale Brage Bragesson nie jest taki w ciemną bitą, jak ci się zdaje.

– Ale uważasz, że kalkuluję na zimno – odparł słabym głosem.

– Owszem, tak uważam, a ciebie to wcale nie dziwi, na to nie wygląda.

– Mylisz się. To nie było wykalkulowane. Przyznaję jednak, że Niemcy i ja, przy czym ja przez zuchwalstwo, to przyznaję, jednym słowem, razem cię w to wciągnęliśmy.

– Byczo! Przyznajesz się do współwiny w zabójstwie. Pospołu z Niemcami!

– Poczekaj... przyznaję, że chciałem się bić, że razem z Niemcami wciągnąłem cię w awanturę, przyznaję też, że chciałem cię zobaczyć w większej rozróbie, idiotyczne z mojej strony, ale zdawało mi się, że we dwóch możemy się z nimi trochę pobawić bez żadnej szkody dla kogokolwiek.

– Stwarzasz sobie alibi! „*Verdammt deutsche Schweinehunde!*” Siedmiu chłopa! Bawić się z siedmiu wilkiem patrzącymi facetami! Alibi, nie

ma co! Owszem, owszem, może udałoby się z nimi trochę pobawić, gdybyś się bił po ludzku. Ale ty zastosowałeś defensywę. Umiesz się przecież boksować. Zastosowałeś defensywną taktykę, udawałeś bójkę po to, żeby większość z nich mogła się rzucić na mnie! Wykalkulowałeś to sobie!

– Nie, nic podobnego, postąpiłem tylko głupio. I byłem trochę pod gazem.

– Po pierwsze: nigdy w życiu się nie wygłupiałeś. Po drugie: nie byłeś pod gazem. Powiedziałeś mi przecież – ty... ty kłamco! – że cierpisz na nadmiar kwasów żołądkowych i nie możesz pić, tak powiedziałeś!

– A jednak byłem trochę pod gazem.

– W „Czerwonym Amsterdamie” nie byłeś pod gazem! Celowo chciałeś zostać trzeźwy, natomiast mnie chciałeś upić. Pan Dagestad z gestem!

– Byłem trochę... podekscytowany, jak powiedziałem... i... i... głupi... po prostu zbyt pochopny. Potem sam to zrozumiałem, gdy miałem czas się zastanowić, sam zrozumiałem, że postąpiłem idiotycznie i... ale nie oczekiwałem takiego obrotu sprawy. Zdaje się, że wystąpiłeś zbyt gwałtownie. Ja myślałem o niewielkiej rozgrzewce, a nie o dracie na serio.

– Śmiesz jeszcze bawić się w prokuratora?

– Ja... ja... wołałem do ciebie, przysięgam, krzy-

czałem... kilka razy krzyczałem, żebyś dał temu spokój i wiał razem ze mną. Widocznie mnie nie słyszałeś, ale krzyczałem kilka razy. Wobec tego sam zwałem. Ale wcale cię rozmyślnie nie wpakowałem w tę sprawę. Tego nie można powiedzieć. Tylko nie chciałem, żeby policja się w to wmieszała, bo to by ci, moim zdaniem, wcale nie wyszło na dobre.

– Temu dziewiętemu!

– Nam obu. Nie wyszłoby nam to na zdrowie.

– I nie wyszłoby też na zdrowie tym Niemcom, takim samym typom jak ty!

– Ale może i nam też, Brage. Dlatego nie chciałem w to mieszać policji. Zamiast tego pobiegłem na Zeedijk poszukać naszych chłopaków ze statku. Zwołać ich na pomoc, rozumiesz. Spotkałem jednak tylko Blingsena i Bollerunda, w dodatku obaj byli pijani w sztok i bełkotali nieprzytomnie.

– Też mi pomoc!

– No właśnie. Próbowałem znaleźć pomoc, ale mi się nie udało. I wtedy... wtedy znów pomyślałem, czy zawiadomić policję... i na wszelki wypadek wezwać pogotowie... ale odrzuciłem tę myśl... w tej sytuacji zawiadomienie policji mogło mieć nieprzyjemne konsekwencje. W takiej niejasnej sytuacji. Nie zawsze można liczyć na sprawiedliwość.

- Patrzcie! I to ty tak mówisz, Bentein!
- Znałem przecież stan twego konta. Twoja przeszłość mogłaby ci zaszkodzić.
- To jest chyba najpiękniejsza historia i najniezdarniejsze wykręty, jakie w życiu słyszałem! Bycze, Bentein! Bycze! Tylko, widzisz, trochę przesadzane. Ale słucham cię, możesz bujać dalej, proszę bardzo!
- Odrzuciłem więc ten pomysł z policją i liczyłem na to, że ty ze swoją siłą, jeżeli tylko zechcesz, sam potrafisz się pozbyć tych Niemców.
- Bajeczne! Bajeczne!
- Miałem wątpliwości, zastanawiałem się, rozważałem wszystko... z wszystkich stron. W końcu pobiegłem znów w to miejsce... żeby zobaczyć, co się z tobą dzieje. Niemcy właśnie wtedy uciekli, gdy usłyszeli moje kroki.
- Te kroki, o których czytałeś w sprawozdaniach z rozprawy.
- Przysięgam.
- Już raz fałszywie przysięgałeś! I to publicznie. W de Rechtbank. Zrabowałeś mi cztery lata życia.
- To moje kroki przestraszyły Niemców, dlatego uciekli! Stałem w jakiejś bramie i widziałem... widziałem ciebie... upewniłem się, że żyjesz.
- Ale krwawiłem jak świeżo zadźgane bydło. Dlaczego nie przewiązałeś mi ran swoją koszulą?

- Policja się zjawiała.
- Miałeś cztery lata na obmyślenie tego wszystkiego.
- Mogę opisać całą scenę.
- Została już przedtem opisana. Nie mogę tego przyjąć, to nie dowód, teraz, po czterech latach!
- Krzyczałem do ciebie! Wołałem, żebyś się starał wiać! Ale ty się nie ruszałeś, siedziałeś przy Fritzu Heilmannie.
- Kłamiesz!
- Nie mogę tego udowodnić, ale nie kłamię.
- Już przedtem kłamałeś. Fałszywie zeznawałeś w sądzie. A wiedziałeś, że chcę, żebyś się przyznał i poniósł odpowiedzialność razem z tamtą bandą.
- Wiedziałem, ale nie widziałem w tym żadnej korzyści. Tobie by to nie pomogło. Bo przecież ty go zabiłeś.
- We własnej obronie! Prawo uznaje obronę konieczną!
- Niemniej jednak ty go zabiłeś, a nie ja. I to jest najważniejsze.
- Pojmuję, że chcesz strugać wariata. Ale wiesz doskonale, tak jak i ja wiem, że twoje uczciwe zeznania spowodowałyby uniewinnienie mnie. Wiedziałeś, że odskocznią prokuratora... wiedziałeś, że jego argumentacja oparta była na twierdzeniu, że ja chciałem się bić, że ja zacząłem!

Bentein siedział teraz jeszcze bledszy i ręce mu drżały coraz bardziej. Zauważyłem też, że w jego oczach zjawiała się jakby senność, a głos miał trochę ochrypliwy. Pomyślałem: to są fizyczne objawy nieczystego sumienia. Dobrze mu tak.

– Nie chciałem brać udziału w rzezi – powtarza „ten dziewiąty”. – Nie chciałem być za to odpowiedzialny.

– Ta rzeź, jak ją nazywasz, zaczęła się dopiero po tym, jakies mnie wystawił do wiatru, ty psie!

– Mnie się wydaje, że już od pierwszej chwili postępowałeś brutalnie. Kilka razy wołałem, żeby cię ostrzec. Nie czułem się odpowiedzialny za te jatki.

– I liczyłeś na moją rycerskość, że nie będę zeznawał przeciw tobie.

– Takie zeznania nie byłyby dowodem. Ja bym zaprzeczył, a Niemcy mieli wątpliwości. Policja nie mogłaby mi nic udowodnić.

– Proszę, proszę! Mówisz jak zawodowy bandyta!

– Twoje zeznania nie stanowiłyby żadnego dowodu.

– I nikt by nie uwierzył wybuchowemu psychopacie, co?

Ten dziewiąty milczy.

– A jeżeli dzisiaj złożyłbym na ciebie doniesienie, Bentein? Dziś jestem człowiekiem sądownie

uniewinnionym. Dziś moje słowa mają większą wagę. Niemcy dalej upierają się przy istnieniu tego dziewiątego. A gdybym ja ci wytoczył sprawę?

Ten dziewiąty milczy. Wie, że mu nie wytoczę sprawy, że mogę sobie pozwolić na wspaniałomyślne milczenie.

– Zostałeś przecież napadnięty owej nocy, pobity przez nieznaną sprawców.

Bentein dalej milczy.

– Jesteś bardzo inteligentny, Bentein, i bardzo przewidujący, ale i ja mam na tyle rozumu, że nie warto wobec mnie grać głupiego. Tym razem się przerachowałeś.

Benteinowi głowa opadła na dół, dolna warga mu zwisa, mówi niewyraźnym, dziwnym głosem:

– Miałem też trochę pietra.

– Nie, bracie, nie miałeś pietra! Chciałeś mnie usunąć z drogi! Wyczytałem to z twoich oczu w sądzie. Gdybyś był powiedział prawdę, nie uznano by Niemców za wiarygodnych świadków. Dobrze o tym wiedziałeś!

– Ty zabiłeś Heilmanna!

– No dalej, chwytaj się każdego źdźbła słomy!

– Strach mnie obleciał, to też przyznaję.

Wiedziałem, że kłamię. Kłamał przez cały czas. Sprytny taktyk gra wobec mnie komedię.

– Nie chciałem takich jatek! – krzyczy z nagłym

wybuchem. – Posunąłeś się za daleko! Mogłeś uciec, jak ja! Obydwaj byliśmy dobrymi biegaczami!

– No, no, lepiej stul pysk!

– Ja cię w to wciągnąłem, ale już nieraz się biłeś, a ja nie myślałem o czymś aż takim.

– Liczyłeś na mnie! Pod osłoną mojej siły zaczępiłeś siedmiu rozwydrzonych młokosów!

– Nie przewidywałem takich następstw!

– Świetnie zdawałeś sobie z nich sprawę!

– Nie liczyłem się z takimi następstwami!

Lecz ja wiedziałem – teraz bardziej niż kiedykolwiek – że tam w Amsterdamie spełniło się najskrytsze życzenie Benteina Dagestada.

– All right, Bentein. To już teraz nie ma żadnego znaczenia. Sprawa sądowa została zakończona, nie możesz mi zwrócić ani tych czterech lat, ani Siv. Młócenie tego jest bezcelowe. Ty zaś też już dla mnie nic nie znaczysz. Skończyłem z tobą. Dla mnie jesteś moralnym karłem, a nie godnym przeciwnikiem. Aby jednak zakończyć sprawę pod względem czysto prawnym, mogę to tak sformułować: poszlaki przemawiają przeciw tobie, brak jednak dowodów. Biorąc sprawę teoretycznie, twoje twierdzenia mogą być prawdziwe. Wobec tego przyjmujemy, że wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego. Uniewinniam cię więc i proszę,

żebyś się stąd ulotnił.

– Mogłeś tego uniknąć, nie musiałeś go zabijać!

– No, no, zastanów się, co mówisz!

– Mogłeś tego uniknąć! – powtarza ten dziewiąty szeptem, bardzo blady.

– W porządku, niech ci będzie. Myślę jednak, że czas zakończyć naszą dyskusję. Umówiłem się na wieczór, chciałbym się wykąpać, wystroić i korzystać z wolności i życia.

Wstałem i podałem mu pistolet:

– Proszę, weź to. Nie masz się czego bać. Jesteś chyba ostatnim, na kogo bym podniósł rękę. Żyj sobie jak najdłużej.

Wtedy ten dziewiąty wstaje i... słania się na nogach. Opiera się o mnie.

– Czy źle się czujesz? – pytam z prawdziwą troską.

Kiwa głową potwierdzająco i zaczyna szukać czegoś po kieszeniach, gorączkowo i z wysiłkiem. Wygląda naprawdę kiepsko. Widocznie mu dogodziłem.

– Kilka kostek cukru! – szepce.

Nie wierzę własnym uszom. Kostek cukru?

– Musisz zdobyć dla mnie pięć kostek cukru!

Jestem jeszcze bardziej zaskoczony:

– A po co?

– Pięć kostek cukru. Pięć kostek – powtarza na

pół sennym głosem. – I szklanke letniej wody.

– Co ty właściwie wygadujesz?

– Choruję na cukrzycę. Zapomniałem dziś wziąć ze sobą cukier, a teraz zaczynam tracić przytomność. Proszę cię, bądź tak dobry.

Tym razem nie kłamał. Wobec tego pędem zbiegłem na parter, do kuchni, i wziąłem Rzepkę do galopu. Pięć kostek cukru. I letniej wody. Szybko. Ale Rzepka zaczęła stroić sobie ze mnie żarty. Straciłem męską krzepę? Brak kalorii? Muszę się wprawdzie trochę podkarmić? Jeżeli ze mną aż tak źle, mogę mieć tej nocy wolne, ona nie nalega.

– Przestań, to poważna sprawa – szepnąłem jej do ucha – mam u siebie w pokoju diabetyka.

– Diabeł... co?

– Diabetyk, taki gość chory na cukrzycę.

No, no, coś jej się zdaje, że to ja jestem chory na cukier. Albo może zabieram się do pędzenia samogonu.

Chwyciłem ze stołu nóż:

– Jeżeli nie zrobisz tego, co każę, utnę ci nos!

Chichot. Wiedziała przecież, że może raczej oczekiwać kilku klapsów w tyłek.

Wtedy chwyciłem ją za rękę.

– Dźgnę cię w łapę, jeżeli natychmiast nie dasz mi chleba i wody... nie, cukru i wody, do cholery! I to migiem, gołąbeczko!

Znów chichot. Chyba raczej może oczekiwać takiego całusa, że no, jak o tym stoi w różnych piśmach. Ale chyba mogę trochę zaczekać, i tak wkrótce kończy dyżur.

Wobec tego dźgnąłem ją nożem w rękę. Wrzask, że nie daj Boże.

– Teraz rozumiesz? A więc dawaj pięć kostek cukru i szklankę ciepłej wody, i to już, bo inaczej oderżnę ci całą łapę!

Ruszyła się wreszcie. Przygotowując cukier i wodę, wysysała krew z dłoni i pochlipywała. Jeżeli tak, to nic z tego dzisiejszej nocy ani następnej. Widział to kto, żeby człowieka krajać nożami. Ostatni raz słyszała o czymś podobnym jeszcze u siebie, w Toten, gdy chłopcy pobili się w szynku.

Wyrywam jej szklankę z rąk i pędem na górę.

Pogotowie ratunkowe już jest, działa. Bentein po omacku szuka cukru i wody omdlewającymi rękoma. Och, te jego ręce! Gdy pije, pomagam mu trzymać szklankę, a wtedy czuję, jak jego zimne i wilgotne palce zaciskają się na moich. Potem prosi, żeby mógł kwadrans spokojnie posiedzieć.

Pozwalam mu siedzieć, a sam wyciągam kilka butelek piwa i zwilżam sobie gardło. Rajskie uczucie. Miałem takie pragnienie, jak 33 361 dorożkarczy do kupy wziętych.

Mniej więcej po upływie kwadransa Bentein

wstał, dość energicznie, i naciągnął rękawiczki ze świńskiej skóry. Nie jest aż tak źle, jak się z początku obawiał. Ale cukrzyca to cholerna choroba, oświadczył. Cierpi na nią już od trzech lat. Tak, piekielna choroba. Nie wolno wziąć za dużo insuliny, ani też za mało... cukier w krwi... utrata przytomności... Właśnie teraz groziła mu utrata przytomności... szok insulinowy... ale gdyby w ogóle nie brać insuliny, to koniec i kropka. A w dodatku trzeba ważyć każdy kęs... przestrzegać najrozmaitszych środków ostrożności... nigdy już nie odzyska zdrowia.

– Tak, każdemu życie daje w jakiś sposób po skórce – zakończył niemal braterskim tonem. – Muszę wracać do chałupy. Jeżeli cię bieda przycisnie, gdybyś potrzebował pożyczki lub coś w tym rodzaju, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dziękuję, ale dostałem 40 000 koron odszkodowania za straty materialne.

– Aha, prawda.

– Odprowadzę cię do wyjścia.

– Dziękuję.

W drzwiach zatrzymał się i spytał:

– Czy będziesz jej szukał?

Aż mnie zatkało. Czy w jego oczach nie mignął dziwny błysk?

– Może – odparłem.

– Na pewno jest w którymś z tych miejsc, gdzieście razem łązili. Nie sądzisz? Tylko niestety już nie żyje.

– Oczywiście.

– Jeżeli chcesz, mogę naznaczyć na mapie te miejsca, które na pewno dokładnie przeszukałem.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Odpowiedziałem jednak najbardziej obojętnym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć:

– Dziękuję, ale nie trzeba. Jeżeli będę szukał, to niezależnie od tego, czy ktoś to już zrobił przede mną, czy nie.

Skinął głową. Może to i rozsądnie.

– Żegnaj.

– Żegnaj.

Podał mi rękę, ale zbyłem go skinieniem głowy.

Potem ruszył swoją drogą, ten dziewiąty, poszedł razem ze swoją cukrzycą, swym nieczystym sumieniem, złotym zegarkiem, złotą papierośnicą, swymi spiczastymi włoskimi butami i wytwornym ubraniem. Nie zazdrościłem mu niczego.

Teraz chciałem się bawić i tylko bawić. Wszystkie ponure myśli wywietrzeją, obiecywałem sobie, bo ten dziewiąty już na zawsze zniknął z mego życia i mojej świadomości.

Niech szczeną wszystkie złe myśli! Niech paplanie Rzepki pomoże wymieść cały kurz!

Niech żyje radość i zabawa!

Ale byczy dzień! Byłem zachwycony sam sobą, niemal sam sobie imponowałem.

Wziąłem więc kąpiel, w wannie zaś ćwiczyłem piosenkę, która miała ostatecznie przepędzić całą złość Rzepki: „Tam na grani podniebnego szczytu, gdzie nie splamił śniegu ludzki ślad”. Ho, ho! Gdy doda się jeszcze trochę głaskania po nóżkach, sprawa będzie załatwiona.

Starannie dokonywałem toalety, wybrałem najlepsze ubranie, ciemny garnitur, białą koszulę, biały krawat – przyczesalem włosy, wyczyściłem paznokcie, pokrygowałem się trochę przed lustrem – o ho! ho! jak jaki hrabia! – a potem pełen męskiej dumy na palcach wszedłem na poddasze, gdzie za jednym zamachem trzeba było się rozstać z tym wytwornym przyodziewkiem.

Bo tam w łóżku czekała na mnie Rzepka wyfio-kowana z wyszukaną elegancją. W gruncie rzeczy była jednak smutna i zła, nawet się trochę pobe-czała do poduszki. Wszystko dlatego, że sprawdzi-ła na własne oczy i nie zauważyła ani śladu jakiegó choroby u tego gościa, którego odprowadzałem do wyjścia.

– Moja ty królowo piękności i największa ozdoba wsi Toten! Tak właśnie jest przy cukrzycy, rozumiesz?

Nie, ani nie rozumiała, ani nie wierzyła. Okazałem się zwykłym sadystą. Dla przyjemności dźgałem ją nożem. Tak, właśnie tak zrobiłem!

– Ojej, czy kto widział kiedy taką śliczną nóżkę? Powiedz, skąd ją wzięłaś?

– Ha?

– Nie do pojęcia. I czy widział kto kiedy takie malutkie, słodkie, różowe, świeżo wymyte paluszki?

– Ha?

– Chodź, pieszczotko, przytul się do Bragessona, on ci...

Pokojóweczki w pensjonatach mają naprawdę gorącą krew.

Dzień mijał za dniem. Zgodnie z moją wolą lub wbrew niej – sam nie wiem, i któż potrafi osądzić, czy wiem, czy nie wiem, czy zdawałem sobie sprawę, czy nie, może jakiś psychiatra – zgodnie lub wbrew mojej woli ten dziewiąty ciągle krążył w mojej świadomości, i to coraz wyraźniej. Wiem jednak, że zdawałem sobie sprawę z tego, jakie to było dla mnie szkodliwe; to krążenie tworzyło zupełnie wyraźny obrys błędnego koła.

Nie tak łatwo zapomnieć o podobnym człowieku, o jego istnieniu. Próbowałem jeszcze więcej rozpu-

sty, jeszcze więcej alkoholu, czasami ze skutkiem, jak mi się zdawało. Oprócz tego próbowałem sformułować hipotezę, że Bentein jest niewinny, zabrałem się więc gruntownie do zbadania tej sprawy. Najpierw przypomniałem sobie dokładnie i spisałem wydarzenia w „Czerwonym Amsterdamzie”, tak jak moim zdaniem naprawdę przebiegały od chwili mego spotkania z Benteinem na Zedijk aż do jego ucieczki. Następnie jeszcze raz przebrnąłem przez zeznania świadka Dagestada, a w końcu spisałem z pamięci ostatnią rozmowę i wszystkie inne rozmowy, które z nim przeprowadziłem. Uważałem i nadal uważam, że przeciw hipotezie o jego niewinności przemawiają ciężkie przesłanki oraz wysoki stopień prawdopodobieństwa psychologicznego. Tak, nabrałem podejrzania, że jego wina może być jeszcze większa, niż myślałem: „Na pewno jest w którymś z tych miejsc, gdzieście razem łązili. Nie sądzisz? Tylko niestety już nie żyje”. „Jeżeli chcesz, mogę naznaczyć na mapie te miejsca, które na pewno dokładnie przeszukałem”. I czy to nie on prowadził poszukiwania Siv w pojedynkę, czy to nie on zdecydował, że Sigurd ma udać się do hotelu po ekipę ratunkową, podczas gdy właśnie on, Bentein, świetny biegacz, powinien był się podjąć tego zadania. Zamiast niego jednak do hotelu powlókł się Sigurd, zatruty niko-

tyną fajtłapa...

Rozumowałem tak: Skoro oficjalne czynniki wymiaru sprawiedliwości na nic się nie zdadzą, nie ma innego sposobu, jak wziąć sprawę we własne ręce, o ile oczywiście Bóg na niebie nie ukarze winnego. Czy jednak Bóg jest w niebie i czy karze winnych, tego ja nie wiem i nie mogę powiedzieć, czy w to wierzę, czy nie. Pozostaje więc wziąć sprawę we własne ręce i kierując się uzasadnionym poczuciem krzywdy dochodzić swojej racji.

Ale myślałem też tak: Słuchaj, Bragesson, sam zostałeś skazany na podstawie poszlak i psychologicznego prawdopodobieństwa, a teraz chcesz podobnie potraktować tego dziewiątego? Czy wątpliwość nie powinna przemawiać na korzyść oskarżonego?

A czy zachodzi wątpliwość?

W teorii, tak. Teorie zaś mają w tym wypadku znaczenie. Jeżeli więc on jest winny, staraj się pójść po linii rozumowania Stefana: Bentein jest chory, zasługuje na litość, wymaga leczenia, a nie kary. I dalej: „Nikt inny jak tylko burzyciel może, jeżeli jest do tego zdolny, wczuć się w motywy swego postępowania. Tylko jedna osoba zdolna jest wydać sprawiedliwy wyrok – sam oskarżony. Taki jednak wyrok pada tylko raz na sto lat. Sprawiedliwość jest rzadkim gościem na ziemi”.

Tam i z powrotem. Mijały dni. Mijały tygodnie. Wieczorami łąziłem po mieście, włóczyłem się po knajpach i różnych spelunkach, wdawałem się w bezsensowne i nudne rozmowy z innymi pijaczynami, włóczykijami i tragarzami portowymi, a pewnego wieczoru wylądowałem w jakiejś norze w dzielnicy Kampen, gdzie jedna zdzira ofiarowała swoje usługi czterem mężczyznom, włączając w to mnie. Była bezzębna, gruba i obrzydliwa, i taka głupia krowa myślała, że się na nią skuszę! I to jeszcze na spółkę z trzema innymi moczymordami! He, he, nawet gdyby była najpiękniejszą kobietą świata, nie dzieliłbym jej z nikim. Tamci pijacy już zaczęli się z nią gzić. Prawdziwy chlew! Zabrałem się stamtąd.

Nie, trudno to było nazwać dobrym okresem. Wdawałem się w różne awantury. Pewnej nocy doszło do bójki na Studenterlunden obok gmachu uniwersytetu i tylko pamięć o moim zamazanym koncie powstrzymała mnie od przyłożenia jakiegoś zasranemu gówniarzowi z tej hałastry; byli to zresztą norwescy „bracia” Fritza Heilmanna: takie same typy w dzinsach i skórzanych kurtkach, z oczyma łotrów.

Innej nocy, z kilku jeszcze zalanymi facetami, zaszedłem na nabrzeże portowe. Zataczając się, śpiewaliśmy i darliśmy się na cały głos. Nagle –

„dla zabawy” – dałem nurka do basenu portowego... do wody tak brudnej, że widzialność nie przekraczała jednego centymetra.

To było dość symboliczne: dobrowolnie skoczyć do kloaki.

A co robiłem w dzień? Albo spałem, albo piłem i siedziałem ociężały, albo włóczyłem się bez celu. Jeżeli spotykałem dawnych znajomych, nie naprzykrzałem się, pozdrawiałem ich krótko i wlokłem się dalej.

Ale brak jakiegoś wytkniętego celu zaczął mi działać na nerwy. Między innymi za dużo było tego macania w pokoju Rzepki i pewnego wieczoru, gdy zobaczyłem, że słania się i trzyma ściany, zrobiło mi się wstyd. Czułem się winnym uwiedzenia młodej dziewczyny. Przyjechała do stolicy, aby znaleźć tu wymarzonego księcia z bajki, a nie po to, żeby się zachłystywać rozpustą i alkoholem.

Biedna Rzepka, myślami była ciągle w łóżku, zaczęła się zaniedbywać w pracy, nie wstawiała na czas i wyklócała się z przełożonymi. Gdy pewnego pięknego dnia zdradziła w dodatku zbytnie zainteresowanie stanem mojego ubrania i kieszeni, postanowiłem spalić za sobą mosty od razu, choć nasza idylla na poddaszu wciąż wydawała się przyjemna.

Najpierw zamierzałem przeprowadzić się do ja-

kiegoś wynajętego pokoju albo do innego pensjonatu. Później jednak pomyślałem: I co z tego, Bragesson? Przeprowadzisz się na inne miejsce, i co dalej?

Tak, co dalej?

Zdawałem sobie jasno sprawę, że muszę się intensywnie za czymś rozejrzeć. Muszę stworzyć sobie określony cel, dla którego warto pracować, inaczej przyjdzie mi utonąć we własnej dezintegracji i ponurych myślach. Wobec tego zacząłem układać plany na przyszłość.

Czy mógłbym podjąć studia filologiczne? Nie. Czy mógłbym pomyśleć o innych studiach? Nie. Może jakieś inne fachowe wykształcenie? Też nie. Stała praca? Nie. Dorywcza praca? Nie. No, może w takim razie kontynuować zbijanie bąków, co? Owszem, to mi najbardziej odpowiadało, mogłem, cholera, zbijać bąki, ale właśnie to, na co miałem największą ochotę, równocześnie najbardziej działało mi na nerwy. Wiedziałem, że jeśli dawniej nie groziło mi stoczenie się na drogę przestępstwa, teraz było inaczej. Gdybym zdał się na łaskę przypadku, mógłbym ulec dzikiej nienawiści do całego zła i do wszystkich ludzi, którzy by w moim mniemaniu zasługiwali na miano złych. Mógłbym oszałeć. Tak, mógłbym zwariować, na własną rękę podjąć „krucjatę” przeciwko złu, według własnego

widzimi się wybierać sobie zło i złych ludzi, i tępić ich, tępić; świadomie niszczyłbym samego siebie, aż w końcu, gdyby ktoś na czas nie zdążył zamknąć mnie za kratami, mógłbym postanowić, że trzeba ze sobą skończyć, bo świat jest bezsensowny, absurdalny, szaleńczy! W ten sposób, rozgoryczony na zło w sobie samym i wokół siebie, mógłbym rzucić się zło w objęcia – bo „zło niech się złem wyciska” – i pierwszym aktem tej „krucjaty” mógłby być sąd doraźny nad Benteinem Dagestadem; schwytać go, zwięzać, zakneblować mu usta, uprowadzić go w jakieś bezludne miejsce, odczytać mu punkt po punkcie listę jego podłości, aby potem wydać wyrok, wyrok śmierci! Po wykonaniu egzekucji, jeszcze drżąc, lecz z odzyskanym zapalem do działania – choć w perwersyjnej postaci – popuściłbym sobie cugli.

Wiedziałem, że mam dość siły fizycznej i sprytu na to, aby być bardzo niebezpiecznym złoczyńcą. Raz powziąwszy postanowienie, miałbym wystarczającą inteligencję do obmyślenia planów przestępstwa, a także dość silne mięśnie i nerwy do ich wykonania. Jeżeli bym się przejął „zadaniem”, byłbym idealnym bandytą. Miałem właściwe uzdolnienia potrzebne do zbrodni doskonałej i mógłbym zrobić na tym polu taką karierę, że w porównaniu z moimi wyczyny Caryla Chessma-

na zbladłyby zupełnie. Miałem to, czego brakowało Chessmanowi: idealne warunki fizyczne, cierpliwość i zdolność wyczekiwania na odpowiedni moment, wreszcie wrodzoną, pedantyczną dokładność; nie tylko ja sam, lecz również inni ludzie uważali, że potrafię się koncentrować na zadaniu, które mnie dostatecznie zainteresuje; tego zdania był na przykład biegły psychiatra sądowy. Tak, tak, tak, potrafiłem się skupiać, to znaczy koncentrować całą uwagę na wybranym zadaniu, posiadałem umiejętność zawężania pola widzenia i ogniskowania w nim wszystkich sił.

Chessman był oczywiście inteligentny, ale ja byłem we własnym mniemaniu inteligentniejszy i potrafiłem lepiej od niego organizować swoje sprawy. Popełnił cały szereg fałszywych kroków, co wynikało u niego z braku dostatecznej umiejętności przewidywania i kalkulowania, często też zdradzał brak rozeznania sytuacji; rzadko przewidywał to, co miało nastąpić. Prawda, knuł dość odważne plany, ale gdy raz coś ukartował, szedł naprzód na ślepo i nieostrożnie, niepotrzebnie ryzykując. Ja bym nigdy tak nie postępował. Ja zawsze brałbym pod uwagę to, że plan może się okazać częściowo niewykonalny, już od początku byłbym zawsze przygotowany na różne nieprzewidziane okoliczności. Nigdy też nie włączałbym

w swój plan żadnych czynników związanych z uczestnictwem innych ludzi. Chessmana kilka razy wydał gadatliwy kolega. Ja bym się nigdy na to nie naraził, moja znajomość ludzi nie pozwalałaby mi podejmować się czegoś, czego nie mógłbym wykonać sam jeden. Mało tego. Nadawałem się świetnie do działania w pojedynkę, zarówno moje ciało jak i mentalność były do tego przyzwyczajone, nawet więcej, wytrenowane w tym kierunku; bez użycia broni mógłbym stawiać czoło gromadzie nieuzbrojonych ludzi; z bronią w ręku mogłem się przeciwstawić całej uzbrojonej bandzie, bo odznaczałem się bardzo szybkim refleksem. Wiedziałem, że potrafię reagować tak błyskawicznie, że akcja uprzedzała odruch zbudzony w świadomości. Kilka razy już to przeżyłem.

Bywało, że wieczorami zabawiałem się układaniem planów różnych przestępstw. Na końcu zwykle mogłem się dumnie uśmiechnąć w przekonaniu, że gdybym ja, Brage Brageesson, tylko zechciał, mógłbym wykonać taki plan z minimalnym, najwyżej jedynoprocentowym ryzykiem niepowodzenia. Na ten jeden procent składały się rzeczy zupełnie nie do przewidzenia, ale trudno też powiedzieć, żeby ich było dużo.

Dziś jestem przekonany, że te myśli nie były tylko intelektualną rozrywką. Wyrażały one drze-

miące we mnie możliwości, możliwości drzemiące w każdym człowieku, które jednak w moim wypadku miały bardziej konkretne znaczenie, gdyż posiadałem zdolności potrzebne do ich wykorzystania i równocześnie mój stosunek do własnego losu był taki, że nie cofnąłbym się przed niczym.

Wiele powodów, jak przypuszczam, złożyło się na to, że jednak nie zostałem przestępcą. Jednym z nich był chyba Stefan. Drugim zaś na pewno to, że dostateczny stopień inteligencji pozwalał mi przewidzieć następstwa w postaci rozkładu moralnego, a tego nie chciałem, bo doskonale rozumiałem, iż taki rozkład stanowiłby rezultat sam w sobie. Nie chciałem popełniać występku dla jakiejś korzyści, lecz tylko dla przyjemności popełnienia występku. W pewnym stopniu pociągało mnie „przestępstwo dla przestępstwa” – perspektywa wyżycia się była diabelnie kusząca – ale równocześnie gardziłem zawartą w tym bezpłodnością, bo fakt, że tkwiące we mnie zło przyczyniłoby się do wytępienia kilku złych ludzi, nie stanowiłby żadnej korzyści ani dla mnie, ani dla świata traktowanego jako całość, nie musiałem zaś popełniać jakiegoś przestępstwa tylko po to, aby samego siebie przekonać, że potrafię je popełnić. Na to byłem zbyt pewny siebie i doskonale wiedziałem, że sportowy i fizyczny wysiłek związany z przestępstwem

świetnie się mieści w granicach moich możliwości. A więc jakikolwiek czyn przestępczy potwierdziłyby tylko to, o czym już dawno wiedziałem, a takie potwierdzenie nie było mi wcale potrzebne. Czyli że szaleństwo nie łączyłoby się z żadnym triumfem, jedynie, ale to dosłownie jedynie, ów czysty, niszczycielski instynkt mógłby być niebezpieczny – bo zawsze rozumiałem i nadal rozumiem, że działanie przestępcze może być czymś upajającym i fascynującym.

Byłem więc za zdolny na bezkształtne bytowanie, a czy nie zawdzięczałem tej zdolności samemu sobie? Czy moją zasługą było, iż umiałem przewidywać następstwa? Czy w tym decydującym momencie byłem zbyt zdrowy na to, aby stać się chorym? Co bym zrobił bez tego daru? Czy nie prowadziłbym dalej tego bezkształtnego bytowania, nie wiedząc, że stanowi ono tylko przejściowy etap do czegoś gorszego? I czy nie stoczyłbym się na drogę występku?

Jako sprawdzian formułuję następujące rozumowanie:

Jeżeli sam sobie mam do zawdzięczenia, że jestem właśnie taki, że jestem rozsądny, w takim razie idiota sam sobie zawdzięcza to, że jest idiotą, że jest głupi.

I tytułem założenia konstatuje:

Zanim doszedłem do tego punktu, kiedy mógłbym się stoczyć na drogę przestępstwa, pojąłem, że mi to grozi, czyli innymi słowy zrozumiałem swoje położenie; konstatuję więc, że świadomie wybrałem, postanowiłem nie wejść na taką drogę. Stwierdzam również, że gdybym nawet nie pojmował, co mi grozi, nie wybrałbym przestępstwa, bo w tym punkcie nie byłoby już drogi odwrotu. Byłbym już w stanie rozkładu, cierpiałbym na aberację umysłową; byłbym człowiekiem chorym.

Bardziej z myślą o Stefanie i Ruth niż o sobie samym wybrałem się pewnego dnia do Studium Nauczycielskiego, aby się dowiedzieć, czy mogę być tam przyjęty najbliższej jesieni. Sekretarka oświadczyła, że moje świadectwo maturalne nie wystarczy, ze względu na niezbyt dobre stopnie, ale gdybym przez jakiś czas praktykował jako zastępca nauczyciela, mógłbym za to zyskać dodatkowe punkty. Poinformowałem ją więc o swojej przeszłości i spytałem, czy z tego powodu mogą powstać jakieś przeszkody w przyjęciu na Studium. Spojrzała na mnie dość krytycznym wzrokiem i oświadczyła, że nie może tak od razu zająć w tej sprawie stanowiska.

To mnie rozgniewało:

– Co pani chce przez to powiedzieć?

Speszyła się, umilkła i nerwowo bawiła się ołów-

kiem. Opanowała mnie straszna gorycz. W tym rozgoryczeniu powiedziałem:

– Zostałem przecież uniewinniony. Czy w tym tkwi coś złego, że ktoś zostaje uniewinniony? Dlaczego jakiś pan Hansen, który nigdy nie został skazany, nigdy nie siedział w więzieniu i nigdy nie został uniewinniony, bardziej się nadaje na nauczyciela ode mnie?

Z nerwowym grymasem na twarzy odpowiedziała, że jej bardzo przykro i że zbada moją sprawę dokładnie.

Nie wiedziałem, czy jest mężatką i czy mam ją tytułować „fru”, czy też panną, do której powinienem mówić „fröken”.

– Droga pani lub panno... – zacząłem, ale naraz wpadło mi do głowy, że mogę skombinować z tych dwu tytułów swój własny nowotwór: „fruken”.

Pochyliłem się więc nad jej biurkiem i ciągnąłem dalej:

– Fruken! Na pewno nie istnieją żadne przepisy przewidujące taki wypadek i zakazujące przyjmowania na Studium Nauczycielskie ludzi uniewinnionych przez sąd. Pani jednak kieruje się swoim własnym rozumkiem i dochodzi do wniosku, że we mnie jest coś podejrzanego, ponieważ siedziałem w więzieniu! Pani uznaje moje uniewinnienie za podejrzanę! Każdy rozumek uważa każde unie-

winnienie po wyroku lub więzieniu za podejrzone!
A dlaczego uważa je pani za podejrzone? Bo wydaje się pani, że oficjalna sprawiedliwość może popełnić omyłkę! Wydaje się pani, że mogę być winny, chociaż zostałem uniewinniony!

Wstała i przerażona zaczęła się wolno posuwać ku drzwiom w tyle pokoju.

– Fruken! Fruken X! Jak brzmi pani nazwisko? Aha, nie odpowiada pani? A więc fruken X! Proszę mnie wysłuchać! Gdy ktoś zostanie skazany i uwięziony, wówczas przeciętne rozumowanie brzmi tak: „Zasłużył na to. Społeczeństwo obroniło się przed nim”. Gdy wobec kogoś skazanego i uwięzionego uchyla się wyrok, uniewinnia, nawet daje mu odszkodowanie, co wtedy dyktuje przeciętne rozumowanie? Dyktuje: „Jeżeli pierwszy wyrok był błędny, to i drugi może być błędny”. Gdyby jednak jeszcze raz wznowiono moją sprawę i ponownie zostałbym skazany i uwięziony, wówczas przeciętne rozumowanie brzmiałoby tak: „W końcu dostał to, na co zasłużył. Społeczeństwo ostatecznie i w pełni się przed nim zabezpieczyło!”.

Gapiała się na mnie oniemiała. Żadnej jednak satysfakcji z tego nie miałem, że przeze mnie zapomniała języka w gębie. Wiedziałem, że miała ów przeciętny rozumek i że tego faktu ani ja, ani nikt inny nie potrafi zmienić. Była uosobieniem opinii

publicznej, zawsze tym pozostanie. Zaś opinia publiczna zawsze musi być taka, bo kieruje nią strach, ślepy egoizm i chęć zemsty. Opinia publiczna prawie zawsze postępuje przestępczo, chyba że przypadkowo pokrywa się ze sprawiedliwością.

– Proszę mnie traktować jak wolnego obywatela! – zażądałem. – Proszę mi dać druk na podanie!

Z wrażenia rozdziawiła usta.

– Czy pani słyszała, co powiedziałem, fruken X?

– Co... co proszę? – wyjąkała, patrząc na mnie szeroko rozwartymi oczyma. Nie ulegało wątpliwości, że w każdej chwili oczekiwała rozkazu „ręce do góry” lub noża przy gardle.

– Proszę mi dać druk na podanie, do cholery! – krzyknąłem.

Wówczas zatrzepotała rzęsami, drobnymi kroczkami przysunęła się znów do biurka i nie spuszcżając ze mnie baczne go spojrzenia, zaczęła na oślep szukać druku. Podała mi go sztywno wyciągniętą ręką, ale cofnęła ją szybko, puszcżając druk, zanim zdążyłem go odebrać, tak że musiałem złapać papier w powietrzu. Jak każdy taki przeciętny kobiecy rozumek musi być też stuknięta, pomyślałem, i z szatańskim uśmieszkiem zapytałem, czy jest w tej chwili sama w biurze. Oczywiście nie była sama, skądże. W biurze jest też pan Evensrud, pan Bengsrud, pan Grevstad... i... i...

bardzo wielu mężczyzn tu pracuje, szepnęła i jak omdlała opadła na krzesło. Zapewne pomyślała, że zbliża się jej koniec.

Posunąłem się w żarcie jeszcze dalej. Zgrzytając zębami, wrzasnąłem dziko:

– Ha! Teraz pani pokażę!

Takie narwane babki potrafią uwierzyć w każdą bzdurę. – Oh! – krzyknęła nieprzytomna ze strachu, a z oczu jej mogłem wyczytać przekonanie, że zostałem uniewinniony tylko z braku dostatecznych dowodów i że za chwilę chwycę ją za włosy, zacznę bić i kopać, obetnę jej piersi, zgwałcę ją, zamorduję powoli i okrutnie, w dodatku jeszcze poćwiartuję, potem obrabuję kasę i podpaliwszy cały kram, pobiegnę z okrutnym uśmiechem i pianą na ustach na sąsiednią ulicę, aby tam dokonać nowej zbrodni!

Takie więc było moje pierwsze od wielu lat spotkanie z dobrowolną pracą. Mówiąc prawdę, nie miałem zresztą najmniejszej ochoty zostać nauczycielem. Z głową nabitą innymi myślami jak bym wyglądał w roli praktykanta – wychowawcy naszych słodkich pociech? Nie ulega wątpliwości, że umiem odpowiednio podejść do dzieci, bo dzieci mnie zawsze lubią. Rozumieją mnie momentalnie. Choćbym udawał nie wiem jak srogiego, zawsze radośnie wykrzykują i mają pełne zaufanie do

„wujaszka Bragego”. Z młodymi urwisami daję sobie radę, uprawiam z nimi sporty i nie żałuję odrobiny własnej siły, tak że przy mnie przestają łobuzować. Nigdy jednak nie miałem do czynienia z podlotkami, z tymi zadatkami na kobiety, malującymi usta i paznokcie, i rzucającymi powłóczyście spojrzenia typu „Jaś-kocha-Kasię-i-Kasia-kocha-Jasia”. Te by mi dopiero dały szkołę!

Uśmiechając się na myśl o sobie w roli nauczyciela, udałem się do biura firmy przeładunkowej i dostałem pracę jako tragarz portowy. To już było w każdym razie coś, a na nabrzeżu istniało nieograniczone zapotrzebowanie na facetów w typie Bragessa. Pracowałem tam przez tydzień.

Pewnej niedzieli wieczorem na nabrzeżu Langkai zaszedł niezwykle wypadek. Na akord wyładowaliśmy siedem tysięcy worków cementu, pracowaliśmy cały dzień bez przerwy i nawet najsilniejsi robotnicy byli już zmęczeni. Stałem na dole w ładowni. Moja brygada układała worki na zbitych z desek platformach, a potem dźwigi unosiły te platformy na ląd.

Wszyscy w ładowni byliśmy tak pokryci cementem, że przypominaliśmy widma. Kichaliśmy cementem, kaszłaliśmy cementem, płakaliśmy cementem, pociliśmy się cementem, myśleliśmy cementem. Byliśmy tylko cementem i na całym

świecie istniała jedna, jedyna rzecz: cement. Majster się wściekał i kłął ten cholerny cement na czym świat stoi.

Majster wściekał się coraz bardziej, a pod wieczór zaczął robić potajemne wyprawy na ląd i za każdym razem wracał w nieco lepszym humorze. Potem zrobił się łagodny, a po każdej nowej wyprawie coraz łagodniejszy. Podczas tych wypadów musiałem obejmować jego funkcje, co wcale nie zwalniało mnie od mojej własnej roboty. – Zastąp mnie, Bragesson – to było wszystko, co mówił. W końcu ogarnęło go takie zamroczenie, że słał się na nogach i z trudem utrzymywał worki, które rzucał na platformę jak popadło. Czasami nawet zapomniał wypuścić worek z rąk i wtedy na łeb, na szyję leciał z nim razem, fikając kozła. A gdy się podniósł, poganiał brygadę do zwiększenia tempa. Musiałem przejąć wszystkie jego funkcje i długo pracowałem za dwóch. Nie pyskowałem jednak, traktowałem to jako sport i doskonale wiedziałem, że – czy będę protestować, czy nie – majster i tak będzie niezdolny do pracy. Inni też nie pyskowali, albo dlatego, że guzik ich obchodziła moja harówka za dwóch, albo dlatego, że majster jest majstrem. Majster zaś był łagodny. Wszyscy chcieli dobrze żyć z majstrem. Majster mógł zrobić to i owo, starzy dokerzy tworzyli zgraną sitwę,

a pozostali, studenci i inni dorywczo pracujący jako tragarze, chcieli zarobić maksimum. Wobec tego majster mógł postępować tak, jak mu się podobało. Był dobrym królem z dawnych czasów.

Musiał się jednak czymś zajmować w ładowni, kręcił się więc wszędzie, wydając instrukcje i pilnując pracy. Nikt nie wiedział, co mu kiedy strzeli do łba. Nagle wyłania się z chmury cementowego pyłu i krzyczy: – Szybciej, do cholery, szybciej! To akordowa robota! – Równie nagle odsuwa mnie na bok, jak szalony zaczyna narzucać worki na pełną już platformę, worek za workiem. Ktoś zbiera się na odwagę i mówi, że będzie za ciężko. Majster jest innego zdania i ładuje dalej: akord, do jasnej cholery!

Podnosi się więcej głosów przeciw temu szaleństwu, ale majster nie daje się przekonać; platforma wytrzyma, dźwig wytrzyma, wszystko wytrzyma! Hej, ciągnąć, do jasnej...! W górę! Wszyscy jednak wiedzą, że drewniana platforma nie ma nieograniczonej wytrzymałości. Nie mieszam się do dyskusji, czekam tylko, jak daleko majster się posunie w swym komedianctwie.

Dźwigowy nie widzi platformy w ładowni, tylko na znak „gotowe”, dany przez człowieka stojącego przy relingu, włącza dźwig na pracę i platforma jedzie w górę. Majster stoi pod nią. Platforma zaczy-

na trzeszczeć. Ktoś chce majstra usunąć na bok. Ale nie daje się ruszyć, stoi z rozstawionymi nogami nadęty własną potęgą i chciałby wiedzieć, kto wątpi w jego kompetencję. Stoi dziwnie pochylony, z pałakowatymi nogami wygiętymi równocześnie do tyłu, ma wypięty zadek, nabrzmiałą gębę, ciemną i zniszczoną, oczy czujne i kłujące, a na plecach mały garb; z tym wszystkim wygląda na jakiegoś gнома z podziemi, w dodatku skręconego w korkociąg. Ma jednak potężne siły, a teraz stoi, już nie łagodny, ale obrażony i wściekły. Rozjuszony tym, że ktoś śmie mu oponować, daje teraz upust złości za wszystkie poniżenia, wszystkie upokorzenia, których doznał w swym pięćdziesięcioletnim życiu.

– Słuchajcie, zasrańcy! Już trzydzieści lat pracuję jako doker! Trzydzieści lat, gówniarze! Zsra-
ne lizusy! A nigdy się nikomu nie podlizywałem!

Znajduje się w bardzo niebezpiecznym miejscu i niezależnie od tego, czy platforma jest niedostatecznie załadowana, normalnie obciążona czy przeładowana, stanie pod nią jest wbrew niepisanemu prawu. Majster też o tym wie, lecz jest pijany, wściekły i ma wszystko gdzieś.

Zastanawiam się, czy nie powinienem podbiec i wywlec go z tej niebezpiecznej strefy. Jeżeli tak zrobię, a zaraz potem worki z cementem runą w dół na żelazny pokład, majster oprzytomnieje

i podziękuje mi, bo nie będzie miał wątpliwości, że uratowałem mu życie. Jeżeli jednak wyciągnę go stamtąd, a platforma normalnie znajdzie się na ładzie, będzie szalał z triumfu i wściekłości.

Dochodzę do przekonania, że majster jest na tyle dorosły, aby myślał o sobie. Niech tam stoi i puszy się jak paw. Również nikt inny z obecnych nie zdradza ochoty do wdawania się z nim w drakę.

Przychodzi nieszczęście. Platforma pęka, my wszyscy wrzeszczymy ostrzegawczo, a majster dalej stoi głuchy, z groźną miną.

Póltorej tony cementu wali się na niego i przytłacza go do żelaznego pokładu. Podbiegamy, odrzucamy całe worki i rękoma rozgrzebujemy cement, który rozsypał się z pękniętych. Wreszcie widzimy majstra, zakrwawionego, nieruchomego, zmiażdżonego. Pracujący z nami student medycyny stwierdza, że śmierć nastąpiła momentalnie. Nie żyje, rzecz oczywista. Takiej rzeczy nikt nie może przeżyć.

Sprawa zrobiła na mnie tak małe wrażenie, jakby zamiast majstra worki z cementem zmiażdżyły skrzynię margaryny. A właściwie nie zareagowałem zupełnie, nic nie odczuwałem, nic nie wyprowadziło mnie z równowagi. Jak gdyby to było zupełnie normalne, że pęka platforma i cały ładunek

pięćdziesięciokilogramowych worków spada i miążdzy człowieka, który nie chciał się usunąć. To wszystko. Mogłem tego człowieka odciągnąć, wszyscy mogliśmy go odciągnąć wbrew jego woli, aleśmy tego nie zrobili, pozostawiliśmy sprawę losowi. Byliśmy wszyscy współwinni katastrofie, ale nasza współwina wydawała się czymś zwykłym, powszednim i wybaczalnym. Osobiście nie odczuwałem żalu, i zdaje mi się, że podobnie było i z innymi. Większość myślała po prostu, że majster sam sobie zgotował taki marny koniec. Ja szedłem nieco dalej. W każdym razie uświadamiałem sobie problem winy. Sam majster nie ponosił bezpośredniej winy za swoją śmierć. Był winien temu, że używał alkoholu podczas pracy, a zaczynając pić, wiedział przecież, że to obniży jego sprawność. Nie wiedział natomiast, że picie może go przyprawić o śmierć. Gdyby wiedział, nie zacząłby pić. Tymczasem pił i liczył się ze zmniejszoną sprawnością, ale też chciał sobie użyć. Chlał ile wlezie, gdy jednak raz wstąpił na drogę prowadzącą bezpośrednio do śmierci, nie ponosił już bezpośredniej winy, gdyż miał znacznie ograniczoną zdolność rozeznania, a wobec tego mowa o winie byłaby czystym absurdem. Za to my wiedzieliśmy, że on nie panuje już nad sobą. Wszyscy, jak nas było pięciu, o tym wiedzieliśmy, zdawaliśmy sobie sprawę

z sytuacji. Dlatego jesteśmy bezpośrednio współwinni śmierci majstra.

Rozważałem to wszystko na zimno, jakbym rozwiązywał jakieś zadanie matematyczne. Ale z sytuacji wyłaniał się również obraz Siv zagrzebanej pod śniegiem i lodem. Również i ten obraz potraktowałem zupełnie na zimno, postanawiając jeszcze raz, że muszę ją odnaleźć.

Gdy tej nocy opuszczałem port, miałem już gotowe postanowienie: przez długi czas nie chcę mieć do czynienia z ludźmi! Chcę być od nich z dala, sam ze sobą. Bo czy nie jest tak – powiedziałem sam do siebie – że szaleństwo prawie zawsze rodzi się z przebywania z innymi ludźmi? Broń się, Bragesson, szukaj samotności!

Wszystko takie oczywiste. Żadnej rewelacji. Żadnego zaskoczenia. Spokojnie i świadom wytkniętego celu zabrałem się nazajutrz do szkicowania najbliższej przyszłości. Muszę znaleźć Siv, muszę tymczasowo zamieszkać w mym górskim szałasie Nordablaas. Mało tego, muszę kultywować swoje zainteresowania, czytać, może trochę pisać, a prócz tego muszę znów podjąć trening, odzyskać sprawność fizyczną z okresu przed więzieniem, muszę się gimnastykować, jeździć na nartach, biegać i ogólnie się uspokoić. Może znów wezmę udział w zawodach narciarskich, w biegach.

Im dłużej rozmyślałem nad tymi planami, tym większej nabierałem ochoty, aby je zrealizować. Czułem, że potrzeba mi takiego pobytu w górach; samotności i zdrowego trybu życia. Wiedziałem, że to byłoby coś konstruktywnego.

W ten sposób zbudziła się we mnie tęsknota za górami. Upiłem się tą myślą i natychmiast zabrałem się do dokładnych planów przezimowania. Równocześnie nastąpił przypływ energii. Rzuciłem się w wir przygotowań, cały świat zniknął za mgłą, a jego dostrzegalne kontury stały mi się zupełnie obojętne. Sporządziłem pisemny plan, przygotowałem listę rzeczy i spraw, aby niczego nie zapomnieć. Nic nie mogłem pozostawić przypadkowi, wszystko musiało być dokładnie dopasowane, do najdrobniejszego szczegółu. Och, co za wspaniałe uczucie, gdy człowiek jest znów aktywny, gdy zajmuje się tym, co go w pełni i uczciwie interesuje! Pierwszy raz od chwili zwolnienia poczułem, co znaczy wolność! Wytyczałem sobie szczegółowe plany na najbliższą przyszłość i nikt mi w tym nie przeszkadzał, nikt by nie mógł mi przeszkodzić. Mogłem robić, co chciałem! Moje życie należało znów do mnie, cała moja istota aż drżała z radości.

Najpierw muszę wprowadzić różne ulepszenia na Nordablaas, zaopatrzyć ściany szałasów w izolację cieplną. Miałem to już dawniej w programie,

ale wówczas nie mogłem sobie pozwolić na kupno materiałów.

Po doprowadzeniu szałas do odpowiedniego stanu miałem się podporządkować takiemu rozkładowi zajęć, który nie pozostawiałby żadnej możliwości gnuśnienia: pobudka, gimnastyka, mycie, śniadanie, krótki odpoczynek, porządki domowe, trening kondycyjny, trening narciarski połączony z poszukiwaniami Siv, gimnastyka, kąpiel w śniegu, mycie, obiad, odpoczynek, porządki domowe, czytanie i pisanie, kolacja, do łóżka.

Zadowolony z siebie napisałem raport do Stefana, ale opuściłem to, że mam zamiar poszukiwać Siv, dodałem natomiast, że przez ten czas będę myślał o Studium Nauczycielskim i o Ruth. Stefan odpowiedział z pewną rezerwą, ale przyznał, że to może rozsądny pomysł.

Zaczęły się pracowite dni. Należało kupić nowe narzędzia, nowy śpiwór, materiały budowlane, gwoździe, śruby, klej, kit, lakier, trzy zwoje konopnej liny, nową odzież zimową podbitą futrem, nowe narty i buty narciarskie, zapasowe kijki, prowiant, książki, papier, naftę, piecyk naftowy, nową lampę naftową, nowy prymus, nowe koce i pościel, nowe rondle i garnki, toboggan, bateryjne radio do słuchania muzyki i komunikatów meteorologicznych, dwa nowe noże fińskie, przybory

opatrunkowe, itd., itd. Musiałem się wyekwipować prawie tak, jak na wyprawę polarną. Ale też czekało mnie coś w rodzaju arktycznej zimy.

Bagażu było tyle, że musiałem zaangażować biuro koncertowe.

Tak właśnie napisałem, i zaraz zrozumiałem, jaki jestem zmęczony. Chodziło oczywiście o biuro transportowe.

Tak było pierwszy raz. Podarłem tę kartkę papieru i na nowo napisałem: bagażu było tyle, że musiałem zaangażować biuro koncertowe.

Przesunąłem dłonią po czole i poczułem, że jest wilgotne. Skąd się bierze to głupstwo? Czy winna jest koparka, która pracuje na ulicy, czy ten bohater spalin, który embaluje wyścigowy wóz na podwórzu, czy ten odrzutowiec, który właśnie przeleciał nad miastem, czy wreszcie wóz straży pożarnej, który przed chwilą przejechał, jeszcze z daleka słysząc jęk syreny.

Ze złością przekreśliłem słowa „biuro koncertowe” i dużymi literami napisałem nad tym „biuro koncertowe”.

Rozległ się histeryczny śmiech, dopiero kilka minut minęło od chwili, gdy wybuchnąłem tym histerycznym śmiechem. Jestem przewrażliwiony, przepracowany, muszę się uspokoić; takie jest zresztą zalecenie lekarza.

Przypuszczam, że słowo „angażować” kojarzy się bardziej z muzyką niż z transportem.

Na dziś kończę.

Bagażu było tyle, że musiałem wynająć ciężarówkę. Wyjechaliśmy pewnego dnia pod koniec października i tego samego wieczoru dobiliśmy do górskiego hotelu turystycznego. Tam razem z szoferem wyładowaliśmy wszystko, przykryliśmy brezentową płachtą i poszliśmy załatwić sobie nocleg.

W hallu spotkaliśmy mego starego znajomego, dyrektora hotelu. To drugi człowiek małego wzrostu w moim życiu. Prócz tego że mały, jest też okrągłutki, blady, trochę kobiecy w typie i ma dwie małe i miękkie łapki, które są w bezustannym ruchu: albo opadają komuś na ramiona gestem niby męskiej poufałości, albo przesuwają się po rękach rozmówcy, jakby pytały: „jak się miewamy?”, albo głaszczą pekińczyka imieniem Kleopatra, który toczy się za swoim panem, drzemie w jego ramionach czy też zwisa mu przez rękę jak włóchaty mop – albo robią mnóstwo innych rzeczy. Pracowitsze jeszcze niż ręce są jego usta. Mimo najlepszej woli nie może milczeć, ma swoje zdanie o wszystkim i o wszystkich, a zwierzenie się mu z czymkolwiek grozi śmiertelnym niebezpieczeń-

stwem, bo bywa bardzo niedyskretny, nie umie utrzymać języka za zębami i zanim sam sobie z tego zda sprawę, potrafi chlapać coś, czego później „strasznie” żałuje. Wyraża ten żal tak niepowstrzymanym potokiem słów, że wkrótce powstaje z nich nowa lawina uwag i spostrzeżeń, zwykle pełna nowych niedyskrecji. Nazywam go pleciugą, za co się wcale nie obraża. To jest dodatnia strona jego charakteru; nie można go obrazić, nie umie żywić urazy. Dlatego nigdy nie bierze sam siebie poważniej niż potrzeba, dlatego ma poczucie humoru i zdolność samokrytyki. Jednym słowem jest dziwną mieszaniną wybitnie dodatnich przymiotów i śmiesznych ułomności.

Chciałby być duży, silny i nieposkromiony, ale jest mały, słaby i bojaźliwy, lęka się piorunów, grzmotów, burzy, dalekich lawin, ciemności i samotności, a w jego wybujałej wyobraźni codziennie wybucha nowa wojna światowa. Sam sobie wyrzuca, że jest takim „słabeuszem i strachajłą”, sam siebie głośno za to gani, i to znów takim potokiem słów, że wkrótce nagany zmieniają się w nową lawinę niepokojów. Potrafi żartować z siebie samego, ze swych mocnych i słabych stron, czasami nawet trudno odróżnić, gdzie kończy się żart i kiedy zaczyna mówić serio.

W piwnicy ma pomieszczenie, gdzie bez ładu

i składu idiotycznie ćwiczy hantlami i sprężynami, a równocześnie ogromną radość sprawia mu widok u innych takich zdolności, jakie by sam chciał mieć. Ze mną potrafi utożsamiać się bez reszty. Gdy widzi mnie na nartach, oczy mu tak błyszczą, jakby sam jeździł. Jeżeli na jego prośbę podnoszę coś ciężkiego – a prawie zawsze znajdzie okazję, aby wynaleźć jakiś ciężar, który koniecznie trzeba podnieść – wybucha takim entuzjazmem, jakby sam tego dokonał. Gdy jakieś moje powiedzenie wydaje mu się „mocne i męskie”, robi taką marsową minę, jakby padło z jego własnych ust. A jeżeli uda mu się w jakiś sposób, najczęściej przy pomocy alkoholu, wywołać u mnie nastrój silnego wzruszenia, kołysze się całym ciałem do przodu i do tyłu z taką miną, jakby właśnie on, a nie ja, przeżywał tę wielką emocję. Lubi moje towarzystwo i niezliczoną ilość razy zapraszał mnie do swojej piwnicy, gdzie go zabawiałem podnoszeniem hantli, rozciąganiem sprężyn, stawaniem na rękach itp. Z jego oczu wycierał wówczas wiking, jaskiniowiec, siłacz i nadczołowiek, za nic w świecie by nie uwierzył, że ja też mam swoje ludzkie słabości. Jestem dla niego wzorem mężczyzny, a gdy ktoś próbuje mu odebrać ten ideał, reaguje szybko i zdecydowanie. Otacza swój ideał najczulszą opieką, pieści go niemal. Jeżeli oświadczam, że nie mam dość

siły do podniesienia w pojedynkę jakiejś skrzyni, wpada w złość i w obraźliwy sposób zarzuca mi sabotaż. Tym sposobem z biegiem czasu dał mi немало kopniaków i nieraz nastąpił mi na odcisk. Jeżeli odradzam któremuś z gości zjeżdżania szu-
sem po południowym zboczu góry Trollnuten, mój dyrektor zaraz rzuca uszczypliwe pytanie, czy ta rada dotyczy również i mnie samego. Na twierdzą-
cą odpowiedź wpada w ogromne podniecenie, na przemian kona ze śmiechu i zgrzyta zębami, a w końcu wyraża opinię, że jestem wielkim, kolo-
salnym, potężnym, strasznym głupcem. Gdy ktoś postronny poddaje w wątpliwość moje umiejęt-
ności narciarskie, uśmiecha się z politowaniem, szepcząc przy tym tajemniczym głosem, że niech-
by ten ktoś zobaczył na własne oczy. Jeżeli przy rozmowie w większym gronie chcę coś powiedzieć, potrafi mi przerwać, zanim zdążę na dobre zacząć, i z niesłychaną pewnością siebie wzywać słucha-
czy, by nastawiali uszu, bo warto, bo sam Brage teraz coś powie. Brawurowymi grymasami i wy-
mownym spojrzeniem daje przy tym do zrozumie-
nia, że prawdziwy mężczyzna wyraża się właśnie tak, jak to Brage zaraz zademonstruje. Skutek jest taki, że jeżeli mówię dalej, wychodzi to zupeł-
nie głupio. Gdy jednak milknę, bierze mnie w ogień krzyżowych pytań i nie spocznie, póki nie

rozrusza mnie na nowo.

Śmieszne, ale przy tym wszystkim nie jest wcale głupi, wręcz przeciwnie, rozumuje bardzo bystro, ma wiele trafnych pomysłów i konceptów, jest rozsądnym przedsiębiorcą, doskonałym administratorem wysokogórskiego hotelu, czujnym szefem i w ogóle człowiekiem jakby z natury rzeczy grającym pierwsze skrzypce w prawie każdym przedsięwzięciu podejmowanym przez dwu lub więcej ludzi. Jeżeli zaś taka rola nie przypada mu z natury rzeczy, umie ją sobie wywalczyć łokciami.

Zabawne, ale jest żonaty, ma gromadkę dzieci i szczęśliwie współżyje ze swą pulchniutką połowicą. Dzieci zaś bardzo są do niego podobne, wszystkie mają takie same okrągłe twarzązki z ruchliwymi pyszczkami. Ponieważ dyrektor nie posiada brata bardziej ognistego niż on sam, prawe pochodzenie potomstwa nie może ulegać najmniejszej wątpliwości. Zresztą jemu samemu też nie brak temperamentu, jeżeli wierzyć pokojówkom, które sąsiadują przez ścianę z sypialnią małżeństwa. Pleciuga nie przestaje podobno gadać również i wtedy, gdy oddaje się rozkoszom małżeńskim.

Tyle jednak brzydkich rzeczy o nim opowiedziałem, że muszę teraz przejść do dobrych stron. Jest uczynny, niesłychanie uczynny, tak uczynny, że już ułamek tej jego uczynności przyprawia czło-

wieka o gorące poty i rozdrażnienie, ale nie można zaprzeczyć, że jest uczynny. Oprócz tego lubi sprawiać ludziom przyjemność, a jego pomysłowość w tym zakresie nie ma wprost granic. Gdy w jakiś deszczowy dzień goście ziewają z nudów, potrafi jak na zawołanie wyczarować wesoły nastrój. Jest mistrzem w wytwarzaniu wokół siebie miłej atmosfery, umie też urządzać najrozmaitsze przyjęcia, od uroczystych bankietów aż do zaimprovizowanych spotkań w zacisznym kącie. Przy urządzeniu większych imprez jest niezrównanym i niezmordowanym dostawcą zabawnych pomysłów. Wiem, co mówię, bo raz występowałem u niego jako święty Mikołaj i musiałem się tej roli uczyć pod jego despotycznym kierownictwem przez kilka tygodni. Znalazłem się prawie na granicy załamania nerwowego, a Siv także nie uszła cało. Musiała być aniołem, a Bóg świadkiem, że nie widziałem ładniejszego anioła! Rezultat przeszedł wtedy wszelkie oczekiwania, w ten wieczór wigilijny niektórzy goście hotelowi dostali kolki ze śmiechu.

Moja rola była tak ustawiona, by zabawić i dzieci, i starszych. Najpierw miałem wyczarować prezenty gwiazdkowe, w sposób oczywiście jak najbardziej skomplikowany i tajemniczy. Ponadto miałem się zalecać do anioła, on zaś ze strachu miał mi przeszkadzać w moich magicznych sztucz-

kach. Zrobiliśmy z tego wszystkiego taki ubaw, że trudno go opisać, a na chwałę pleciugi i jego aktorów należy powiedzieć, iż niektóre dzieci dopiero wtedy przypomniały sobie o prezentach, gdy ja sam, niosąc Siv w worku, wybiegłem na dwór i zacząłem wołać o renifery. A trzeba dodać, że szło o dwa żywe renifery zaprzęgnięte do prawdziwych sanek. Wskoczyłem na te sanie i śpiewając „Cicha noc” ruszyłem przed siebie, tak że wkrótce ciemności skryły mnie przed oczyma gości.

Oj, ten pleciuga, ten pleciuga! Niezwykły facet, wesoły i bardzo lubiany przez wielu stałych gości, choć w moich oczach dość męczący. Zawsze trzymałem go trochę na dystans. Mówię do niego per „pan”. On do mnie mówi „ty”.

Gdy go teraz spotkałem w hallu „po tylu latach rozłąki”, przyjął mnie tak, że trudno to opisać. Mogę tylko powiedzieć, że czułem się osaczony przez dziesięć tysięcy pleciug; dziesięć tysięcy pchało się na mnie i nie szczędziło wysiłków, aby na najrozmaitsze sposoby okazywać radość z tego spotkania. Dwadzieścia tysięcy miękkich łapek obmacywało mnie, głaskało i poklepywało, a dziesięć tysięcy usteczek wyrażało zachwyt z faktu, że jeszcze żyję. Zmęczony własnym wybuchem, ale bez przerwy piszcząc z radości na widok swego „domowego trolla”, swej „maskoty”, swego „dzikusa”,

swego „pomyleńca”, zaimprovizował we własnym prywatnym mieszkaniu powitalne przyjęcie, podczas którego utwierdziłem się w przekonaniu, że nadal żywił dla mnie ten sam, zgoła psi podziw.

Rzecz oczywista, że kierowca ciężarówki też został zaproszony. Biedak nawet nie przypuszczał, co go czeka.

Na stole stało mnóstwo palących się świec. Pleciuga nie zapomniał, że lubię ten rodzaj oświetlenia.

Najpierw wygłosił mowę na moją cześć, przerywałem mu dokładnie dziesięć razy. Potem wznosił toast za uniewinnienie, wolność, możliwości i marzenia, a w pewnej chwili wydał mi się podobny do Stefana, choć nie zasłużył na takie porównanie, gdyż mój stary mentor jest przecież osobistością dużego kalibru.

W końcu zajął się Siv. Delektował się tym tematem, rozwodząc się szeroko o „pięknej kobiecie, która leży gdzieś w górach martwa”. Zdecydowanie nietaktownie, ale bez żadnego świadomego celu. Takie paplanie leżało w jego naturze, gdy się zaś w dodatku wzruszył, paplanie urastało do rozmiarów prawdziwego przemówienia. O Siv mówił z takim przejęciem, że wreszcie popłakaliśmy się obaj. Spełniłem toast, pociągałem nosem i kłąłem sam siebie, że dałem mu się doprowadzić do takie-

go wzruszenia, które na pewno wykorzysta. Robił też to zachłannie, nie krępując się nawet obecnością kierowcy, który siedział zażenowany i małymi łykami pociągał z kieliszka.

– O Boże, jakież to romantyczne! – zakończył zachwycony sam sobą.

Przeczuwałem to; nie traktował mnie jak kogoś prawdziwego. W jego oczach nie zaliczałem się w pełni do grona żyjących. Byłem opowiadaniem, jego opowiadaniem, byłem legendą, jego legendą, bohaterem powieści, jego powieści, której on, człowiek niezwykle, sam był twórcą. Byłem jego dziełem, wcieleniem jego snów o pierwotnym ideale człowieka, a teraz Siv leżała nieżywa w górach i uniewinniony więzień służył mu do naszkicowania wzruszająco romantycznej historii o miłości, tęsknocie, smutku, samotności, złamanym sercu. Z dumą i triumfem patrzył na swoje literackie dzieło, a ja – mnie zasugerowały jego słowa i jego alkohol, tak że nad własnym życiem widziałem atmosferę nieprawdopodobieństwa i snów.

Po pewnym czasie przestałem być punktem ośrodkowym przyjęcia. Pleciuga wdał się w rozmowę z kierowcą, obsługując go przy tym gościnnie. Ja patrzyłem na płomyki świec i powoli ogarniał mnie spokój. Zacząłem się zastanawiać nad zagadką bytu.

Nadeszła noc, a z nią sen. Usnąłem przy stole, tak że prawie bezwładnego zaniesiono mnie do łóżka. Tam rozebrał mnie pleciuga, na samą myśl o tym chce mi się śmiać. Wyobrażam sobie, jak skorzystał z okazji, aby na drugi dzień móc dokładnie opisać mój „najintymniejszy” wygląd; liczbę blizn, myszek i brodawek, kolor skóry, kształt mięśni i kości, owłosienie tu i tam, stopy – w stylu greckim, wreszcie rozmiar organów płciowych i ich przypuszczalną sprawność. Powtarzam, ten facet jest zupełnie beznadziejny, jak rozpedzona maszyna. Potrafi wleźć w prywatne życie każdego – z wyjątkiem gości hotelowych. Ci są nietykalni, bo to przecież interes.

Lubię go i nie lubię. Męczy mnie i śmieszy, irytuje i wzrusza. Zawsze mu jednak przebaczam. Każdy musi wybaczyć pleciudze. Wszystkie jego wady idą w cień w zestawieniu z jego fachowymi umiejętnościami, zupełnym brakiem złośliwości i przyjaznym stosunkiem do ludzi.

Nazajutrz była brzydka pogoda, padał deszcz ze śniegiem, ale bez wiatru i z niezłą widocznością. Spod cienkiej pokrywy śnieżnej wszędzie wystawały kamienie i krzaki, co wykluczało jazdę na nartach.

Jako pierwsze zadanie wyznaczyłem sobie wyprawę do Hampetrossefallet. Ta dziwna nazwa, oznaczająca „urwisko konopnej liny”, pochodziła ode mnie. Urwisko stanowiło pierwszą większą przeszkodę w drodze z hotelu do Nordablaas. Nadałem zresztą nazwy i innym partiom gór, takie jak Suget i Isskapet. Nie znajdzie się ich jeszcze na mapie, ale wszyscy turyści ich używają, a pleciuga z wielkim zadowoleniem wypisał je na swojej własnej mapie w hallu hotelowym.

W miejscu, gdzie zaczyna się najniższa i najbardziej stroma partia urwiska Hampetrossefallet, urządziłem przed wielu laty własnego pomysłu wyciąg dla siebie i do transportu bagażu w góry i w dolinę. W skałę wbiłem hak z nierdzewnej stali i na nim zawiesiłem konopną linę. To było dla mnie. Obok zaś skonstruowałem już właściwy wyciąg z blokiem, skrzynią i wszystkim jak należy. To służyło jako winda na bagaż i czasami dla Siv. Wszystko na żelaznych kształtownikach osadzonych w skale i zabetonowanych. Aby zaś móc odnaleźć to urządzenie nawet w najgłębszym śniegu, tuż na skraju urwiska wbiłem wysoki żelazny słup i pomalowałem go czerwoną farbą odblaskową. Po dziś dzień ten słup wskazuje drogę, a gdy mój wyciąg jest zasypany śniegiem, wystarczy odmierzyć dwa metry w lewo od czerwonego słupa, aby go

znaleźć.

Moim pierwszym zadaniem było więc dokonanie przeglądu całego urządzenia, bo gdyby coś w nim szwankowało, nie mógłbym ani sam dostać się na dół, ani spuścić bagażu.

Wyruszyłem pieszo, niosąc na plecach zwój nowej konopnej liny, narzędzia i trochę innego ekwipunku. Przebywszy dziesięć kilometrów, dotarłem na miejsce i stwierdziłem, że wszystkie metalowe części są w porządku, tylko zardzewiałe. Stara lina zniknęła, nawet śladu po niej nie zostało. Gdy pokręciłem korbą, bęben wyciągu zaskrzypiał głośno, ale skrzyni i liny nie było, gdzieś przepadły.

Naprawa zajęła mi dwa dni. Najpierw papierem szmerglowym oczyściłem z rdzy słup sygnałowy i na nowo pomalowałem go czerwoną farbą odblaśkową. Potem naoliwiłem i nasmarowałem bęben i korbę, wymieniłem niektóre części, podokręcałem śruby, sporządziłem nową, odpowiednio dużą skrzynię i założyłem nową linę wyciągu. W końcu zawiesiłem na haku nową linę konopną i z namaszczeniem opuściłem ją w przepaść.

Gdy na trzeci dzień wyruszałem z hotelu, nadal panowała tak samo marna pogoda, padał śnieg z deszczem, mowy być nie mogło o jeździe na nartach. Poszedłem więc pieszo z pierwszym ładunkiem do Nordablaas, czterdzieści pięć kilometrów

w głąb gór. W najbliższych dniach czekało mnie jeszcze wiele takich wypraw z podobnym ciężarem i wkrótce miałem się przekonać, że z moją kondycją nie było jeszcze całkiem dobrze.

Pokonawszy Hampetrossefallet, znalazłem się znów w swoim górskim królestwie. Szczyty były ukryte w chmurach, powietrze ostre, a koloryt krajobrazu nieprzyjazny, mimo to czułem, że powróciłem do domu. To były moje strony, moja droga i moje góry, i choć widziałem tylko ich podnóża, rozpoznawałem wszystkie. A jaka cisza panowała dokoła. Mogłem słyszeć bicie własnego serca... waliło jak młotem ze wzruszenia i nadmiernego wysiłku fizycznego.

Na szczycie Ornebre zaszło coś przedziwnego. Ogarnął mnie niepokój, przystanąłem i rozejrzałem się dokoła. Niespodziewanie zjawiała się myśl, że właśnie przeszedłem obok ciała Siv, że leży gdzieś poza mną lub na prawo ode mnie. Im głośniejszy rozsądek mówił, że to tylko produkt wyobraźni, tym bardziej myśl ta przeradzała się w pewność.

Tego nie brałem dotąd pod uwagę; nie przewidywałem, co przeżyję w pobliżu miejsca, gdzie musi leżeć ciało Siv – ciało lub szkielet. Uczucie zupełnie różne od tego, jakiego doznawałem na odległość, gdy mi o tym opowiadano. Teraz było to coś

bliskiego, co szeptem wzywało do siebie. Nie wywoływało dreszczu ani przykrości, niepokoiło tylko i przykuwało.

W mojej starej kryjówce nic się nie zmieniło. Stos drzewa był na swoim miejscu, obok niego pień do rąbania, brzydko zardzewiała siekiera, stary prymus, żelazny piecyk, stół, zydle, buty narciarskie, płaszcz nieprzemakalny. Na pryczy jeszcze widoczny był odcisnięty zarys ciała, a może dwu ciał – nie pamiętam. Wszystko, wszystko jak dawniej, tylko pokryte pajęczyną i kurzem.

Następnego dnia, gdy w drodze po nowy ładunek mijalem szczyt Ornebre, znów to samo: zjawił się niepokój i uczucie, że Siv leży gdzieś przede mną lub na lewo ode mnie. To samo powtórzyło się w odwrotnym kierunku – tym razem, jak i za pierwszym, zdawało mi się, że Siv leży albo za mną, albo na prawo.

Zacząłem penetrować okolicę jak różdżkarz, gdy szuka wody. Niepokój wzmagął się i opadał, lecz nie znalazłem Siv. W czasie wielodniowych poszukiwań myślałem ciągle o tym, że może jej zwłoki pozwolą mi rozwiązać zagadkę: dlaczego umarła?

Ale okres zimowych ciemności i śnieżycy stał już u progu, musiałem najpierw doprowadzić do porządku Nordablaas, aby mieć schronienie przed zimnem i wiatrem. Odłożyłem więc na razie za-

gadkę, zająłem się natomiast dalszym transportem materiałów i ekwipunku z hotelu do szałas.

W pierwszych dniach listopada spadło tyle śniegu, że przy transporcie reszty bagażu mogłem się już posługiwać tobogganem. Teren nie pozwalał jednak na duże ładunki, musiałem więc robić niezliczoną ilość nawrotów, co było bardzo męczące.

W końcu listopada wyłożyłem cały Nordablaas płytami izolacyjnymi; ociepliłem podłogę, dach, ściany i drzwi, wszystko od wewnątrz. Zbudowałem też nową i lepszą spiżarnię, okitowałem okna, a na zewnątrz od północnej strony obiliśmy szałas dodatkowymi płytami. Nordablaas stał się ciepłym schronieniem.

Dalej prowadziłem poszukiwania w okolicy szczytu Ornebre. Nigdy w żadnym innym miejscu. Ciasne miejsce... ciemne miejsce... kółko od kija narciarskiego wskazuje drogę... poczucie jej bliskości nie dawało mi spokoju. Grzebałem w śniegu, rozbijałem lód, wchodziłem do żlebów, rozpadlin i szczelin, badałem każdą dziurę i z narażeniem życia opuszczałem się w najniebezpieczniejsze przepaście... gdzie jesteś, Siv, co się z tobą stało?

Nocami, gdy zimowe wichury szalały z taką siłą, jakby chciały porwać Nordablaas i rzucić go z pogardą w przestrzeń kosmiczną, czasami w wyciu wichru słyszałem jej imię. Czasami mi się śniła,

w młodzięcnych snach, bez męczących mar. Była ubrana w niebieskie spodnie narciarskie i czerwoną wiatrówkę, uśmiechała się zalotnie i szelmowsko zerkała na mnie swymi ogromnymi, niebieskimi oczyma; rozbiera się, obnaża białe, gładkie, toczone ciało, obraca się w kółko tak, abym mógł ją całą obejrzeć, oczyma pyta, czy jestem zadowolony – och, jaki jestem zadowolony, moja miła! – podchodzi ku mnie pachnąca wiosną i ciepłem, pokazuje w uśmiechu zęby i ostrożnie kładzie się na mnie, przytula twarz do mojej, jej jasne włosy opadają na moje skronie; łechce, łechce radośnie, pieści, pieści miłośnie, i słyszę, jak szepcze dwa proste słowa: „Ty i ja”.

Nic więcej. Tylko to. „Ty i ja”. Taka była Siv.

Ale pewnego razu powiedziała: „Jestem letnim dniem i letnią nocą, która kładzie się nad tobą, nad górą trzymającą się kurczowo zimy. Ale kiedyś zwyciężę bez reszty. Kiedyś całe zimno stopnieje pode mną. Prawda? O, masz takie groźne oczy, ale usta ci się śmieją. Śmieję się! Śmieję się! Śmieję się, bo mnie kochasz!”.

Zimowy mrok i świadomość jej bliskości czasami mnie deprimowały, ale zacząłem realizować obmyślony przedtem program. Pod względem fizycznym rezultat dał o sobie znać bardzo szybko. Już w grudniu byłem w całkiem dobrej formie. Z uczu-

ciem ulgi obserwowałem, że z dnia na dzień ciało stawało się lżejsze, płuca pojemniejsze, mięśnie silniejsze. Upojenie i triumf. Tylko ciemności i śnieżyce powstrzymywały mnie od dłuższych wypraw.

Zima była ostra, śnieżna i mroźna, ale zaopatrzony w dobrą odzież i z odpowiednim ekwipunkiem nie odczuwałem żadnych niedogodności. W dni, kiedy zła pogoda nie pozwalała mi na trening na świeżym powietrzu, prowadziłem zaprawę w szałasie, wykorzystując w tym celu wszystkie znane sobie ćwiczenia.

Masy śniegu utrudniały też poszukiwania Siv. Stwierdzałem jednak, że się ode mnie nie oddalała.

Czasami odwiedzały mnie renifery, niektóre były dość oswojone i ciekawskie, inne natychmiast uciekały, wzbijając tuman śniegu. Pewnego dnia spotkałem ogromne stado – na pewno kilkaset sztuk – zaskoczyłem je, schodząc z zasłoniętego stoku – zrobiłem to, rzecz oczywista, celowo, nie mogłem odmówić sobie zabawy, wrzeszczałem i pohukiwałem tak głośno, że spokojne zwierzęta porządnie się przestraszyły. Najpierw stały jak wryte i z przerażeniem obserwowały mnie wielkimi oczyma, potem jakaś łania, jeszcze chyba jałówka, pierwsza dała drapaką, za nią ruszyła

inna, i następna, a w końcu całe stado było już w ruchu. I to w jakim ruchu! Reny biegły, zataczając koła, tworzyły w ten sposób potężną żywą spiralę, która zniknęła w szerokim wąwozie na północnym zachodzie. Piękne zwierzęta! Wspaniałe stworzenia! Łobuz Bragesson!

Tego samego dnia spotkałem także rannego renifera, młodą łanię, może dwulatkę; spadła z urwiska i złamała obie przednie nogi. Wysoko w powietrzu krążył nad nią jakiś duży ptak, może kruk, może orzeł albo myszołów górski, wyczekując na ścierwo. Biedna mała łania tak cierpiała, że natychmiast nożem skończyłem jej udrękę i na plecach zataszczyłem ją do Nordablaas, gdzie przyrządziłem z niej sobie posiłek. Był to oswojony ren. Popełniłem kradzież, nie ma co ukrywać. Do głowy mi jednak nie przyszło szukać właściciela. Gdybym ja jej nie zjadł, zrobiłby to pierwszy lepszy skrzydlaty drapieżnik. Albo może lis górski. Zauważyłem zresztą ślad, chyba lisa, bo na pewno nie psa. Zresztą kto wie, raz widziano w tych stronach i rosomaka.

Wieczory spędzałem przy stole nad pracą: „Sprawca a chwila dokonania aktu przemocy”. Miałem zamiar zgłębić, co dzieje się w umyśle sprawcy przed popełnieniem czynu, przede wszystkim zaś w samym momencie jego popełnie-

nia. Sądziłem, że taki wybór tematu pozwoli mi odpowiedzieć na pytanie: „Czym jest występpek? Klęską żywiołową? Czy też...?”.

Muszę przyznać, że nie miałem szczęścia. Mimo najuporczywszych wysiłków wszystko zawsze trafiło na mur nie do przebycia! Chwila dokonania czynu. Co się dzieje w takiej chwili? Wiedziałem, że coś więcej niż koncentracja na samym czynie.

Dni mijały. A jednocześnie wzrastało przekonanie, że odnajdę Siv, jeżeli nie w zimie, to wiosną lub latem. Będę jej szukał całą wiosnę i całe lato. Dzień w dzień. Systematycznie przeczeszę całą okolicę Örnebre. Trzeba zbadać każdą rozpadlinę skalną. Trzeba do tego zdobyć jak najlepszy ekwipunek.

Wieczór wigilijny przeżyłem w niezwykłej atmosferze. Zdawało mi się, że Siv jest ze mną. Czytałem też list od Stefana i Ruth, którzy zapraszali mnie – holenderska wigilia na wolności! Dostałem prezenty od całej rodziny Boroviców. Butelkę dobrego koniaku od dyrektora hotelu. Melancholijny list od Rzepki wraz z całą furą świątecznych przysmaków z Toten.

Dla sprawiedliwości trzeba dodać, że ja też o nich wszystkich nie zapomniałem. Stefan dostał piękny malowany kredens, dzieło starej sztuki ludowej, który kosztował masę pieniędzy, na trans-

port też niemało wydałem. Dla Ruth i Sary wysłałem norweskie stroje ludowe, Dawidowi fiński nóż, procę, wiatrówkę z zapasem naboju, piłkę nożną i dres treningowy, Gerdzie wzorzysty norweski sweter. Dyrektorowi hotelu ofiarowałem włóczkę i druty, a Rzepce, mojej pieściotce, posłałem nasyjnik. Nie zapomniałem również o Magdzie, ale ona, biedna pocziwina, o mnie nie pamiętała. Kto by pomyślał, Magda, zawsze taka miła i dobra! Niech szlag trafi całe to życie!

Poza tym dni miały monotennie, lecz to mi odpowiadało. Raz tylko monotonię zakłóciła grypa z wysoką gorączką, co mnie zaniepokoiło i unaoczeniło nonsens przebywania w takiej samotności. Gdy jednak gorączka opadła i powróciłem do sił, znów odrzuciłem wszystkie zastrzeżenia. Bo dni były już dłuższe. Nadszedł luty i zdawało mi się, że w powietrzu czuję zapowiedź wiosny.

Właśnie wtedy postanowiłem zostać pustelnikiem. Myśl ta drzemała we mnie już od dłuższego czasu. Może zresztą nie było to postanowienie, lecz tylko tak zwane naturalne następstwo, tak zwany wewnętrzny przymus czy impuls powstały na skutek trybu życia, nie dający się opanować. Uciekłem od atmosfery, która mogła mnie zatruć, znalazłem się w innej. Gdy zaś stwierdziłem, że w tej nowej mogę oddychać swobodniej, pragnąłem

oczywiście w niej pozostać.

Powiedziałem sobie, że resztę życia spędzę w górach, jak niedźwiedź samotnik, którym właściwie zawsze byłem. Nordablaas stanowił mój prawdziwy dom, tu się najlepiej czułem, tutaj też mogę być najlepszym Bragessonem, tu, i nigdzie indziej; góry i samotność oczyściły mnie zarówno fizycznie, jak duchowo; wspomnienie tego dziewiątego bardzo zbladło, jego znaczenie przedziwnie zmalało w bezkresnym oceanie czystego powietrza, w skondensowanym pięknie dzikiej przyrody.

Nie tylko wspomnienie o tym dziewiątym zbladło, ale również inne gorzkie myśli, niektóre nawet zmarły bez reszty. Okres pobytu w więzieniu także zaczął mi się wydawać nie własnym przeżyciem, lecz jakby opisem cudzego przeżycia, nie mnie dotyczącą historią. Postanowiłem, że takie oczyszczenie powinno postępować dalej, aż osiągnie maksimum, aż cały świat zmieni się dla mnie tylko w historię, tylko w sagę, w odległą przeszłość. Tak będę też umierać, patrząc na świat jak na historię tylko. Z uczuciem przyjemnego zmęczenia, syt życia, będę, jak niewinne zwierzę, umierać.

Wiedziałem, co znaczy samotność, moje „postanowienie” było wynikiem doświadczenia. Dlatego wiedziałem, że samotność nie jest tylko roman-

tycznym snem, niewzruszonym spokojem, lecz również ciężką pracą; zdobywanie i przygotowywanie posiłków, rąbanie drzewa, walka z górami śniegu, itd., itd. Gdy zaś wyprawiałem się po prowiant i sprzęt, przerywałem swoją samotność. Oprócz tego nasuwało się zagadnienie finansów. Obliczyłem jednak, że starczy mi pieniędzy na wiele lat, a gdy kieszeń będzie już pusta, przyjdzie mi połknąć gorzką pigułkę, pojechać do stolicy, popracować w porcie i wytapetować kabzę kilkoma patykami. Zresztą, myślałem, mogę przecież wziąć się do napisania historii swego życia i dobrze ją sprzedać. Cóż mnie będzie obchodzić, że inni wdrą się w moje życie, skoro nigdy ich nie spotkam, skoro dla mnie będą jak umarli? A gdybym wbrew przewidywaniom spotkał kiedyś swoich czytelników, i tak bym sobie z nich nic nie robił. Owszem, mógłbym napisać pamiętniki i sprzedać, postanowiłem.

A później, gdy już będę stary i słaby, mógłbym zamieszkać w domu starców. Z trzęsącą się głową, pełną wspomnień o samotności, mógłbym tam sobie siedzieć, głuchy na wszystko dokoła.

Krótko mówiąc, rozważałem sprawę samotności oraz swoją zdolność przystosowania się do niej i doszedłem do przekonania, że największe niebezpieczeństwo tkwi w popędzie płciowym. Bo ten po-

poęd dawał się odczuwać również w odosobnieniu, uporczywy i niezależny, jakby nic nigdy nie zaszło. Ten właśnie poęd, nic innego, mógł mnie wypłoszyć z mojej samotni. Pomyśleć tylko; dwa jądra i członek między nogami stanowiły największe zagrożenie dla życia, za którym opowiadało się serce i rozum! Żeby ten pospolity organ okazał się najniebezpieczniejszym wrogiem moich marzeń i pragnień, mego ducha i woli!

Nie trzeba mi tłumaczyć, że poęd płciowy może nadać życiu najpiękniejszy sens, może stać się najwznieśliwszym dążeniem miłości. Lecz tak bywa tylko wówczas, gdy jednoczy się z sercem; to go uszlachetnia. Bez tego zjednoczenia, w oderwaniu od serca, jest zawsze tylko pospolitą żądzą, brudną sprawą. Gardzę nim w takiej postaci; wtedy bowiem nie przebiera, nie kieruje się ku czemuś określonymu, tylko wyłącznie ku kobiecemu ciału. Jest jak kot, który miaucząc, ociera się o każdą nogę. Siedzi we mnie to brudne stworzenie i chce żyć nadal niezależnie od serca. Moje serce nie należy już do nikogo żywego, bo ta, która miała je na zawsze posiadać wraz z moimi męskimi siłami, ta już umarła, natomiast ów brudny i cudzołożny poęd seksualny trwa samoistnie nadal, tak jakby ona nie umarła, jakby nią były wszystkie pociągające kobiety na całym świecie. To równa się pogar-

dzie dla pamięci zmarłej, pogardzie dla samego siebie, ześwinieniu tego, co jest we mnie szlachetne, a to ześwinienie nie wynika z praw życiowych, lecz z powodów czysto fizycznych, czysto chemicznych.

Chcę być silny i będę silny! Chcę oczyścić się maksymalnie i dokonam tego! Pozbyć się popędu płciowego nie potrafię, tylko czas może tu działać swoje, mogę jednak nad nim panować i będę nad nim panował, podporządkuję go swojej woli, samodyscyplinie. Mogę mu nie ulegać i zrobię to. Będzie mnie nadal dręczył, torturował we dnie i nocami sprowadzał na manowce w snach. Temu nie mogę przeszkodzić. Mogę jednak stawiać mu opór. I na to ja, Brage Bragesson, potrafię się zdobyć! Już od bardzo dawna nie miałem stosunku z kobietą.

Lecz przy pomocy pióra we własnej świadomości obudzę Siv z jej śmiertelnego snu. Siłą ducha sprawię, że dla mnie wstanie. Bo piękny sen stawiam ponad brudną rzeczywistość. Świadomie przestawiam energię z rzeczy niskich na sprawy duchowe, świadomie okradam z sił ciało, świadomie marzę, i w tym procesie zachodzi uszlachetnienie wulgarnego impulsu, bo w mojej duszy, w mojej fantazji, spotyka się on z sercem, które go bierze w objęcia – jak marnotrawnego syna, kiedy

wraca do domu. Chcę się uszlachetnić! Muszę się uszlachetnić! Muszę być lepszym człowiekiem! Wznieść się na szczyt, tak, to muszę uczynić. Oczyszczyć się, oczyścić, obmyć...

Problemy. Niepowodzenia. Tego nie brak także i w samotności. Samotność jest też problemem sama w sobie, bo chwilami nawet i u najsilniejszej jednostki budzi się instynkt stadny, potrzeba współżycia pcha ją do kontaktu ze zbiorowiskiem. U mnie zdarzyło się to szesnastego lutego. Poczulem nieodparte pragnienie spotkania się znów z ludźmi, niekoniecznie, by rozmawiać z nimi, ale patrzeć na nich, słuchać ich głosów, przebywać w ich pobliżu. Zachciało mi się usiąść przy stole, którego sam nie nakryłem, zjeść posiłek, którego sam nie przyrządziłem. Chciałem znów powąchać cywilizacji, a ponieważ spadło to na mnie około południa, dopiero późnym wieczorem dotarłem do hotelu.

Zgodnie ze swoim zwyczajem przystanąłem na podwórzu i obejrzałem się na północ, skąd przybyłem. Wspaniale mi przeszła ta długa droga, było zupełnie bezwietrznie, mróz szczypał w uszy i nos, świeciły gwiazdy i zorza polarna, a deski niosły tak, że miało się rajskie uczucie, jakby człowiek

tańczył. Białą pokryta ziemia pieściła moje narty, białą pokryta ziemia miłośnie niosła mnie naprzód, łagodnie, lecz szybko, teraz zaś stałem u celu i patrzyłem, jak zorza polarna obejmuje szczyty Nordveggen, Raudhorn i Trollnuten. Piękne są te moje strony, pomyślałem.

Z budynku hotelu dosłyszałem przytłumiony, urywany śmiech, wszedłem więc do środka.

W hallu panowała senna atmosfera. Słabe światło podkreślało głęboki ton ciemnoczerwonych obić, w piwnicy szumiał palnik pieca na ropę, nieliczni goście snuli się ślamazarnie, jakaś pani na schodach przeciągała się i bez żenady ziewała, jakiś pan następował jej na pięty ze szklanką whisky w ręku, i chlap! Rozlało się trochę, ale cóż to szkodzi o tej porze, już wkrótce będzie noc, a musiał przecież umoczyć usta i oblizać je ze smakiem, skoro z tą szklanką kroczy za kobietą o tak zgrabnym tyłeczku, i mniam mniam, ale co ja widzę? Co widzą moje oczy? Cóż to za piesulek łasi się do Bragessona? Kleopatra, jedwabisty, zasapany, prychający pekińczyk pana dyrektora podszedł do Bragessona, od niechcienia obwąchał mu spodnie, warknął służbiście i kołyszącym kroczkiem wolno wycofał się pod drzwi, gdzie kilkoma „hau!”, „hau!” domagał się otwarcia, lecz gdy nikt nie pofatygował się otworzyć domowemu pieszczochowi – o! –

gdy nikt się w ogóle nie zatroszczył o kudłaty kłębek futra na czterech nóżkach, wtedy położył się tam, gdzie stał, i przymknawszy ślepki natychmiast zaczął śnić o miękkich dłoniach swego pana, nie przeszkodziło mu w tym nawet bicie ściennego zegara, i – ho, ho! ho, ho! – gdziekolwiek spojrzalem i cokolwiek złowiłem uszyna, wszystko świadczyło o gnuśnej, ociążalej senności.

Drzwi od salonu stały otworem, buchały przez nie do hallu kłęby dymu, zapach najlepszych cygar i mocnych trunków. Widać było zarys jakichś pleców schylonych nad czymś, co musiało być stolikiem do gry, rozległo się plaśnięcie i dwa uderzenia; brydż lub poker; ktoś podniósł szklankę i powiedział „ho, ho!” – szklanka uśmiechała się do mnie błyszcząco.

Lecz nagle znad pleców wyłoniła się jakaś twarz, podskoczyła w górę jak spłoszone słońce, biała i nie całkiem wyraźna przez smugi dymu zawisła w powietrzu, i wtedy zauważyłem, że bacznie mi się przygląda. He, he! Jeszcze jeden taki, który wie, kim ja jestem, którego drażni moje uniewinnienie, szpilka wbita w spokojne bytowanie, rysa na świadomości prawnej. Zirytowało mnie stwierdzenie, że już przedtem byłem obiektem obserwacji, więc poszedłem do jadalni. To ten przekłety pleciuga, pomyślałem, to on klepie się po

piersiach jak małpa i trąbi na wszystkie strony świata: „No i mamy tu, proszę państwa, mamy tu w naszych górach dzikusa, pustelnika, awanturnika z jednym zabitym i sześciu rannymi na koncie. Został skazany na więzienie, ale później uniewinniony i teraz, jak państwo myślicie, co teraz? Teraz wycofał się do swojej samotni głęboko w górach i żyje tam jak romantyczny bohater. Cała ta sprawa aż łzy wyciska z oczu. Bo muszą panie wiedzieć... – słyszę, jak pleciuga zniża głos do tajemniczego szeptu – ...muszą panie wiedzieć, że narzeczona tego człowieka zaginęła tu w górach przed wielu laty i nigdy jej nie odnaleziono. Sam brałem udział w akcji ratunkowej, nieludzki wysiłek, proszę mi wierzyć, lecz wszystko nadaremnie. Mogą sobie panie wyobrazić, ona leży gdzieś w górach nieżywa, a on krąży samotnie i wie, że ona jest blisko. Prawie jak w ludowej baśni. Czy to nie wspaniałe? Czy to nie jest coś niezwykłego? Innym razem słyszałem, jak mówił: „Ona przypominała królową z bajki. Tak, proszę mi wierzyć! Z przyjemnością patrzyłem na tę młodą parę. Byli tacy mili. Szczególnie ona. Proszę sobie wyobrazić, raz słyszałem, jak on śpiewał jej piosenkę o królowie. «Raz królowa złotowłosa»... i tak dalej, to właśnie jej śpiewał. A ona? Boże najświętszy! Wyglądała, jak promyk, jak światło bijące z ołtarza, i patrzyła

w niego oczyma, które... nie, więcej już nic nie powiem, nie mogę. Ale co powiedziała, gdy on skończył śpiewać? Powiedziała, a była strasznie wzruszona, powiedziała coś, jak... coś, że... o, o, już sobie przypominam... coś, że... nie, nie mogę sobie przypomnieć, ale co właściwie powiedziała? Mniejsza zresztą o dokładne słowa. Coś bardzo pieśczołliwego, przypuszczam. A on? Zupełnie oszalał! Jak mnie nogi noszą, nie widziałem czegoś podobnego. Naprawdę, i więcej nie potrzebuję nic mówić, stanowczo nic! Porwał ją na ręce i krzyczał, nie, darł się z radości, uniósł ją sobie ponad głowę, taki był uszczęśliwiony, tak wyrażał swoją radość”.

– Chyba zgodzą się panie, że to romantyczne, prawda? On jest właśnie tutaj, czy panie chcą go zobaczyć? Czy mam go przyprowadzić? Wygląda groźnie! Naprawdę groźnie!

– Straszydło! – wypaliłem, gdy pleciuga przyszedł po mnie.

– Never mind, jestem tylko bardzo wzruszony – usprawiedliwiał się szeptem; ponieważ skończył szkołę hotelarską w Anglii, używał „never mind” czy trzeba, czy nie.

– Nie pozwolę, żeby pan robił ze mnie przedstawienie.

– Już nigdy tego nie zrobię, Brage. Nigdy. Ale,

never mind, chodź, pójdziemy do mnie i napijemy się czegoś.

– Żebym się znów upił i zaczął się romantycznie mazgać? Dziękuję, pan chce się tylko zabawić moim kosztem!

– Ależ, Brage – wybuchnął zaskoczony. – To nieprawda. Chcę dla ciebie jak najlepiej, tylko czasami bywam głupi, nawet często. Nie, właściwie zawsze. Przecież sam wiesz.

– Ja na prawdę wyglądam groźnie. Na prawdę zabiłem człowieka i moja narzeczona na prawdę zaginęła w tych górach. Nie wolno panu stroić z tego żartów.

– Masz zupełną rację. Strasznie cię przepraszam. Daruj mi. To okropne, co ja wygaduję. Tak, jestem niepoprawny gaduła, bez cienia taktu, podły, chamski, ale przebacz mi, daruj mi. Słowa więcej nie powiem.

Ale wróćmy do szesnastego lutego. Upolowałem wtedy kelnerkę.

Ta kelnerka, zalotna dziewczyna z orzechowymi oczyma, była dla mnie w górach najniebezpieczniejszą pokusą, wyglądała jak sama prowokacja do cudzołóstwa. Ukłoniłem się wytwornie i powiedziałem:

– Dobry wieczór, o pani mej duszy.

W odpowiedzi parsknęła śmiechem, bo była na

tylko inteligentna, żeby zrozumieć, że jeżeli w ogóle coś miałem na myśli, to na pewno coś wręcz przeciwnego.

Przyniosła mi zamówione kanapki i piwo oraz cztery sadzone jajka, których nie zamawiałem.

– Bardzo odważnie z pani strony. Ale to podobno tylko przesąd.

Znów parsknęła śmiechem i znikła, ale zdążyła jeszcze zatrzymać się w drzwiach, aby trochę pokołysać biodrami. Była z tym bardzo wulgarna, lecz również – to muszę przyznać – bardzo kusząca. W dodatku jeszcze śmiała się najbardziej zmysłowym śmiechem, jaki można było usłyszeć w tych stronach.

No cóż, wbiłem w siebie te cztery jajka. I to prawie za jednym zamachem. Bogu dzięki, że nikt mnie nie widział i nie słyszał. Już dawno przestałem zważać na dobre maniery przy stole.

Stół, no proszę. Siedziałem przy stole, przy jednym z wielu stołów. Piwo miało taki smak, jakby było przeznaczone dla niewinnych dziewic. Szczypało mnie w nosie i w gardle, bulgotało w przełyku i rozlewało ciepło po całym brzuchu. Myślałem o „Wampusiu”, bo tak nazwałem kelnerkę, i o łóżku Wampusia. Miękkie łóżko, biała pościel, ciało Wampusia też białe i miękkie, piersi jak dwa dojrzałe owoce... ale przestań, Bragesson, wiesz prze-

cież, co sobie powiedziałaś, przecież gardzisz takimi uciechami, prawda?

Tak, dalej nimi gardzę, gardzę tą zmysłowością, która każe mi pragnąć jakiegoś ciała, choć serce w tym ciele jest mi obce.

Po pewnym czasie otworzyły się drzwi od hallu i do jadalni wkroczył wysoki jegomość, chudy i żylasty, z wyrazistą, końską twarzą. Zatrzymał się blisko progu, wyprostowany jak struś. Zauważyłem, że ma niezwykle długą szyję, i zaraz pomyślałem: jeżeli masz taką długą szyję, człowieku, to nie powinieneś stać bezbrinnie przy drzwiach. Chciałem zawołać „kukuryku”, ale, do licha, przecież rozumiałe, że struś nie pieje kukuryku, ale jak w takim razie woła struś, może coś między gęgę a kukuryku?

Proszę cię, Bragesson, przecież facet nie może cierpieć za to, że przypomina strusia. Z oczu mu patrzy poważnie i uczciwie. Tylko dlaczego te oczy tak mu biegają? Dlaczego zerka na mnie od czasu do czasu, niby zupełnie przypadkowo, co? O nie, mój drogi panie, tej przypadkowości już nieco za wiele, teraz wiem, że pan właśnie mnie szuka!

Chudeusz uśmiechnął się raptem energicznie, jakby chciał zademonstrować przyjazne zamiary, i powiedział:

– Przepraszam, zdaje się, że trzasnąłem drzwia-

mi. – Gdy jednak nie odpowiadałem: „Nic nie szkodzi”, czy coś podobnego, i pierwsza próba zbliżenia spaliła na panewce, twarz mu bardzo szybko spowazniała i skinął lekko głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Rozumiem. Nie będę panu przeszkadzał”. Wahał się jeszcze jakiś czas w progu, ale wiadać pokusa była zbyt wielka, bo zaczął z innej beczki: – Przepraszam, nie zabawię długo, chciałbym tylko... – Z tymi słowy zaczął krążyć od stołu do stołu, podnosił krzesła, zaglądał pod spód i pragnął nawiązania takiej rozmowy:

Ja: Czy mogę panu pomóc w poszukiwaniach?

Chudeusz: Nie, proszę się nie fatygować, szukam tylko portfelu, ale sam sobie dam radę, jestem taki roztargniony, że nie pamiętam, przy którym stole jadłem kolację, a zresztą kelnerka mogła... O! Właśnie już znalazłem!

Ja: To świetnie. Przykro jest gubić pieniądze.

Chudeusz: Właśnie, pieniędzy zawsze potrzebujemy. Ale szczęśliwie się znalazły. To trzeba uczcić. Zapraszam pana na kieliszek wina.

Ja: Och, te pokusy.

Chudeusz: Właśnie, te pokusy. Jak to powiedział poeta: „Mogę się oprzeć wszystkiemu z wyjątkiem pokus”. Wspaniale. Wspaniale. Pan pozwoli, że się...

Ja: Brage Bragesson.

Chudeusz: Naprawdę? Bardzo się cieszę. Sam dużo jeżdżę na nartach.

Ta rozmowa nie doszła jednak do skutku. Natomiast nie mogłem sobie odmówić przyparcia go do muru, w chwili gdy zaczął myszkować pod moim stołem:

– Dlaczego pan nie przyzna się po prostu, że pan mnie szuka?

W pierwszym momencie wyprostował się i udawał, że nie rozumie, szybko jednak dał za wygraną i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na twarzy pojawił mu się uśmiech błogiego zadowolenia. Zaniósł się dziecinnym śmiechem i śmiał się długo, trochę za długo, a potem oświadczył:

– Tak, przejrzał mnie pan. Szukam towarzystwa na dzisiejszy wieczór. Moja żona już poszła spać, ale ja nie jestem jeszcze śpiący i miałbym ochotę zawrzeć nową znajomość.

Odpowiedziałem mu tępym spojrzeniem, on zaś znów, jakby pod wpływem magicznej siły, przybrał poważną minę:

– Czy pozwoli pan, że się przysiędę do pańskiego stolika?

Mówił zupełnie swobodnie, słowa płynęły mu z ust gładko jak po maśle; był przyzwyczajony do mówienia i otrzaskany z ludźmi, teraz zaś miał ochotę porozmawiać ze mną i nic nie mogło go zbić

z tropu. Mimo wszystko podobał mi się, choć w jego bladej twarzy rozpoznałem te oczy, które obserwowały mnie z salonu. Patrzyły z uczciwej twarzy przenikliwie, lecz zarazem przyjaźnie, nie mogłem więc uważać go za człowieka powodowanego tylko zwykłą ciekawością czy też amatora plotek bądź łowcę sensacji. Musi być prawdziwym mężczyzną, pomyślałem, choć równocześnie nie mogłem się powstrzymać od uwagi, że ma dosyć towarzystwa w salonie. Ta uwaga wcale go nie dotknęła, raczej rozbawiła; szczególnie rozśmieszyło go moje sformułowanie i powtórzył kilka razy: „Ma pan dosyć towarzystwa w salonie”. W ten sposób, twierdził, kilku słowami opisałem go jako człowieka. Kiwnąłem głową na znak, że dobrze mnie rozumiał. Śmiał się serdecznie, pokazując złote zęby.

– Proszę mnie źle nie rozumieć – ciągnął potem dalej. – W salonie są porządni ludzie, he, he, ale mnie oni nie interesują, w każdym razie nie dziś wieczorem.

– Dziś wieczorem chciałby pan porozmawiać o czymś specjalnym.

– Słusznie.

– I sądzi pan, że ja się do tego nadaję?

– Jestem pewien. Czy nie zwrócił pan uwagi na to, jak pasujemy do siebie w dyskusji?

Pomyślałem natychmiast, że ma rację. Pomyśla-

łem też o czymś jeszcze: potrzebna mi była rozmowa. Cieszyły mnie własne słowa. Skłonność do gadulstwa! Upajanie się słowami!

– Mogę się okazać niegrzeczny – oświadczyłem.
– Mogę powiedzieć, że pan narzuca się komuś, kto wyraźnie daje do zrozumienia, że chce być sam.

– Nic podobnego. Pan naprawdę chce ze mną porozmawiać.

Szybko i uparcie reagował ten strusiołaty jegomość, żartował ze mnie i z siebie samego, tak że w końcu i ja musiałem wydusić z siebie coś w rodzaju uśmiechu.

– Pan nie daje tak łatwo za wygraną.

– Nie, w moim zawodzie potrzebna jest pewna doza natręctwa, oczywiście z rozmysłem dobrana do różnych ludzi.

– I pan twierdzi, że w moim wypadku postępuje pan z rozmysłem?

– Tak, choć z początku zachowałem się trochę niezręcznie.

– Ma pan dużo pewności siebie.

– Owszem, kiedy się już rozkręcę. *Alle Anfang ist schwer*^[37].

– *Aller*^[38].

– Słusznie, *aller*.

– Pan musi być sprzedawcą.

– Sprzedawcą? Nie, skądże, jestem rybakiem,

chyba tak, rybakiem i hodowcą ryb. Pastor Johannes Staervik, do usług.

Mógł mieć od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat.

– Wybrał się pan na połów dusz?

Jak już wspomniałem, miał tę właściwość, że z nastroju promiennej wesołości potrafił momentalnie przejść na najbardziej poważny wyraz twarzy. Zmiany dokonywał po mistrzowsku, tak że wyglądała na szczery odruch, ale właśnie zbyt mistrzowski sposób świadczył, że robił to świadomie, zawodowo; jego gra miała dwa powody: z jednej strony chciał być uprzejmy, prosty, dowcipny, chciał budzić zaufanie – być takim duchownym, z którym można sobie po prostu porozmawiać – lecz z drugiej strony usposobienie skłaniało go do traktowania poważnych stron życia tak, jak na to zasługiwały. Wypracował sobie taką aktorską technikę w tym celu, aby szybko nawiązywać kontakty z ludźmi i możliwie równie szybko przechodzić do spraw poważnych. Dlatego też jego głos zabrzmiał tak serio przy następnych słowach:

– Pan daje się jednak schwytać tylko we własne sieci.

Ponieważ znałem sam siebie, zaimponowała mi ta uwaga. Odparłem więc:

– Jestem Brage Bragesson, byłem student, byłem

zawodnik narciarski, były marynarz i były więzień karny, ale pan pastor o tym wszystkim wie.

Potwierdził, siadając przy stole:

– Wiem, bo czytam prasę, a pańską sprawę śledziłem bardzo dokładnie. Bardzo mnie interesowała ta pańska sprawa.

– To ja pana interesowałem.

– Tak.

Odczekał chwilę, położył przy tym na stole parę dużych, żylastych rąk, wpatrywał się we mnie. Przyznał się do zainteresowania moją osobą i teraz życzył sobie, żebym się wypowiedział. To życzenie nie zostało jednak spełnione. Mogłem zapytać: „Pan zapewne wątpi w moją niewinność?”. W ten sposób zaspokoiliłbym jego ciekawość komentarzem własnym osoby najbardziej zainteresowanej rozprawą sądową i okresem pobytu w więzieniu. Nie dałem się jednak sprowokować, chciałem go trzymać w pewnym napięciu i równocześnie na dystans, co dałoby mi pewną przyjemność.

W końcu stracił cierpliwość:

– Przede wszystkim muszę się przyznać, że jestem wścibski. Moje zainteresowanie ludźmi nie ma wprost granic. A pan chyba sam rozumie, że taki wypadek jak pański musi budzić ciekawość u duchownego.

– A cóż tak nieznośnie dręczy pana pastora?

– Właściciel tego hotelu opowiadał mi, że pan został pustelnikiem.

– Zgadza się – odpowiedziałem, choć nic jeszcze nie mówiłem pleciudze o swoim postanowieniu. Ale z jego skłonnością do teatralnych efektów facet już dawno „obwołał” mnie „dożywotnim pustelnikiem”. Ciekawe: nie wyraził się „pustelnikiem do końca życia”, tylko „dożywotnim”, bo moja osoba kojarzy mu się z „dożywotnim więzieniem”.

– Przypuszczam, że przyczyną pańskiego postanowienia jest to, co zaszło w Holandii.

– Nie mam ochoty dyskutować nad tym – odpowiedziałem, a pastor uśmiechnął się ujmująco i skinął głową na znak, że się nie dziwi. Czy jednak mógłbym mu coś niecoś wyjaśnić? Jego zdaniem moglibyśmy przedyskutować zagadnienie pustelnicstwa w ogóle, bez wnikania w moją przeszłość. Choć przecież nie ulega wątpliwości, że owa przeszłość musi być współczynnikiem mego obecnego życia.

Ani nie zaprzeczyłem, ani nie potwierdziłem.

– Czy dobrze się pan czuje w samotności?

– Tak. Ten tryb życia najbardziej mi teraz odpowiada.

– To zrozumiałe; to, że pana zdaniem taki tryb życia teraz panu najbardziej odpowiada – skomentował Staervik dialektycznie, ale zaraz go popra-

wiłem:

– Jestem tego pewien. I nie uda się panu zachwiać mnie w tym przekonaniu.

Skądże, pastor Staervik był daleki od tego, aby mi się z czymkolwiek narzucać. Musiałem go źle zrozumieć.

– Nic podobnego, dobrze pana zrozumiałem, panie pastorze – odparłem. – I ostrzegam pana: jeżeli chce pan ze mną rozmawiać, musi pan zapamiętać o tym, że jest pan duchownym.

Zaśmiał się krótko i chrapliwie; czy jednak nie mógłbym mu udzielić pewnych bliższych wyjaśnień? Powiedziałem, że najbardziej odpowiada mi teraz samotny tryb życia. Świetnie. To jest wszakże tylko twierdzenie, a on nie byłby prawdziwym duchownym, gdyby po prostu przyjął je za dobrą monetę. Muszę go jeszcze przekonać, że sam w to wierzę. Więcej już nic nie będzie się starał ze mnie wydobyć. – Wezmę się w ryzy – dodał z uśmiechem, skinął przyjaźnie głową i długim, kościstym palcem potarł sobie równie długi i śmieszny nos.

Powtórzyłem więc, że jestem pewien, i dodałem: przekonany na podstawie doświadczenia, że w samotności jestem lepszym człowiekiem. Samotność najlepiej mi służy, powtórzyłem uparcie. Staervik przeszedł błyskawicznie na poważny ton i stwierdził, że obcowanie z ludźmi stawia wielkie wyma-

gania, na co ja również szybko zareplikowałem, iż samotność również ma swoje wymagania, a Staervik zakończył konkluzją – nie bez namaszczenia – że życie niezależnie od tego, jak się człowiek do niego ustosunkowuje, wymaga od nas bardzo wiele. Co do tego obaj byliśmy zgodni. Ale ja twierdziłem dalej, że każdy ma prawo wybrać taki tryb życia, jaki według jego własnego mniemania najlepiej służy do wydobycia tych dobrych sił, które w nim tkwią. Odpowiedni jest dla człowieka taki tryb życia, który mu najbardziej odpowiada i w którym wyrządza najmniej szkody. Staervik rozsądnie nie wyraził sprzeciwu.

Czy mógłbym jednak wyjaśnić to jeszcze dokładniej? Mogłem, bez zwłoki więc wypowiedziałem szereg twierdzeń, nad którymi już się od dawna biedziłem:

– Im mniej styczności z ludźmi, tym mniej pokus, mniej konfliktów i więcej spokoju. Im mniej styczności z ludźmi, tym więcej człowieczeństwa... przynajmniej dla Bragessona, mogę dodać, bo to jest filozofia, która mnie odpowiada. Mówię w swoim imieniu, nie w imieniu innych.

Ale Staervik prawie podskoczył na krześle – teatralnym zresztą gestem – bo doskonale wiedział, co mam na myśli, tylko udawał, że nie rozumie, bo chciał mnie przycisnąć do muru:

- Człowieczeństwa? – prawie wykrzyknął.
- Tak, człowieczeństwa – potwierdziłem.
- W moim rozumieniu człowieczeństwo to przede wszystkim: być ludzkim wobec bliźniego.
- Nie będziemy dyskutować, co jest ważniejsze, możemy tylko stwierdzić, że w tym pojęciu mieści się i to, co pan wymienił, czym człowiek jest wobec bliźniego, lecz również i to, co ja mam na myśli, czym człowiek jest sam wobec siebie.
- A w takim razie co to oznacza, że człowiek jest ludzki sam wobec siebie?
- To oznacza dążenie do możliwie zupełnego wyeliminowania z przeklętej duszy złych skłonności. Albo, aby wyrazić to pańskim językiem: oznacza to walkę z szatanem.
- Te dwie rzeczy łączą się ze sobą – zaopiniował Staervik. – Być ludzkim wobec bliźniego i być ludzkim wobec siebie, to rzeczy nierozłączne.
- Te rzeczy idą w parze – poprawiłem – być może jedna zależy od drugiej.
- W jakim sensie?
- Czyż nie jest tak, że aby człowiek mógł zachować się po ludzku wobec bliźniego, musi sam w sobie zwalczyć złe skłonności?
- Oczywiście, oczywiście. Ale też musi mieć pewne dobre skłonności, które przeważają szalę.
- Czy jednak dążenie do możliwie zupełnego wy-

eliminowania złych skłonności w samym sobie nie jest zaletą najbardziej godną szacunku?

– Na dłuższą metę to nie jest z ludzkiego punktu widzenia dążenie dostatecznie aktywne ani też wystarczające. Ja żądam, aby człowieczeństwo wobec samego siebie rozwijało się w ludzki stosunek wobec bliźniego.

– Pan żąda miłości bliźniego.

– Tak.

– Lecz to nie było przesłanką mego poglądu, panie pastorze. Zwracałem panu uwagę, że pańska interpretacja jest zbyt wąska, i rzeczywiście jest zbyt wąska, bo wiąże człowieka z bliźnim. Ja widzę to tak: jeżeli ktoś jest ludzki wobec siebie, oznacza to również ludzki stosunek do bliźniego. Pan żąda, aby obie rzeczy miały praktyczne następstwa; chętnie przyznaję, że pański pogląd jest wznioślejszy od mojego, bo wymaga bardziej aktywnego działania. Mój zadowala się skrajną biernością. Pozwala człowiekowi zajmować się tylko sobą i nie żąda żadnych dobrych uczynków oprócz tego, aby w możliwie najwyższym stopniu wyeliminować w samym sobie złe skłonności.

Pastor Staervik masował sobie komicznie długi nos śmiesznie długim palcem i dumał nad tym, jak mi dać łupnia – ale bez prawienia kazań. Chciałem go uprzedzić:

– W czym się właściwie różnimy? Mój cel polega na tym, aby trzymać diabła w szachu, i koniec. Pański jest taki sam, lecz oprócz tego pan żąda, aby bezpośrednio walczyć o bożą sprawę pozytywnymi i dobrymi uczynkami, dla dobra bliźniego. Mogę przyklasnąć pańskiemu celowi i oświadczyć, że jest więcej wart niż mój.

– Hm... – westchnął Staervik. – Zastanawiam się, czy w pana wypadku jednak diabeł nie osiągnął swego. W każdym razie z powodzeniem odwodzi pana od kierowania się miłością bliźniego.

– All right, panie pastarze, all right! Powiedzmy więc, że nie należę ani do szatana, ani do Pana Boga. Trzymam się od nich obu w bezpiecznej odległości, ale szatan jest większym kusicielem, zawsze przecież nim był.

– Hm... – westchnął znów Staervik, nie poddając się jednak. – Kto nie robi nic pozytywnego dla drugich, jest chyba bardziej narzędziem szatana niż Pana Boga.

– A więc przestańmy o tym mówić, Staervik! – zaproponowałem. – Uniosłem się zupełnie niepotrzebnie, ale nic na to nie poradzę.

Staervik natychmiast zaczął udawać żal:

– Przepraszam, bardzo przepraszam, pojmuję teraz, że pana dotknąłem! Wyraziłem się... ale nadal utrzymuję, że trzeba trochę niżej oceniać zna-

czenie tego człowieczeństwa w warunkach samotności. Bo wtedy mamy do czynienia z człowieczeństwem, które nie zostało wystawione na największe próby. Pan ich przecież uniknął, tych prób, prawda?

– Czy już nie powiedziałem, że to jest istotny punkt mego rozumowania? Że opiera się on na twierdzeniu, iż największa pokusa do złego powstaje w obcowaniu z bliźnim?

– Słusznie, słusznie. Jeszcze raz przepraszam.

– Proszę pamiętać, że ja się nie stroję w pańskie pióra, może więc pan oszczędzić sobie mówienia tak, jakbym się bezprawnie w nie stroił.

Staervik przekrzywił głowę i uśmiechał się łagodnie.

– Z czego się pan śmieje! – zawołałem ostro, oczywiście udając gniew, bo chciałem go zmusić do szybkiego odwrotu.

Uśmiech zniknął z oblicza pastora tak nagle, jakby ktoś jednym machnięciem skalpela przeciął mu wszystkie mięśnie twarzy; zadrżał, może przestraszony moim wybuchem. Może przyszedł mu na myśl „barbarzyńca z de Rechtbank”.

Wówczas wybuchnąłem gromkim śmiechem i palnąłem go w plecy – silne miał zresztą plecy, prawie się nie ruszył.

– Cha! Cha! Cha! panie pastorze! Słowo daję, że

z pana zabawny facet!

– He! He! He! – wtórował mi Staervik ochryple, czujnie strzygąc oczyma.

– Cha! Cha! Cha! – ryczałem dalej, ale nagle przerwałem i zrobiłem najgroźniejszą w świecie minę, tak że biednemu duszpasterzowi aż gęba skurczyła się z przerażenia.

– A więc, panie pastorze, wybrałem samotność, bo w jej warunkach mam najmniej pokus. I co pan na to powie?

A Staervik kilka razy nerwowo zamrugał powiekami, nie, cała twarz mu zadrgała, i spytał tak uprzejmie, jak tylko umiał:

– Czy pan stroi sobie ze mnie żarty?

– Skusiły mnie te pańskie „hm, hm”.

– Aha, a z jednej pokusy zrodziły się następne.

Pełen namaszczenia apostoł znów nabrał do mnie zaufania. Tylko dalej mrugał oczyma i nerwowo marszczył twarz. Wyglądało to tak, jakby mięśnie wokół oczu pociągały za sobą mięśnie dolnej części twarzy, cierpiał widocznie na jakiś nerwowy tik, coś w rodzaju lokalnego tańca świętego Wita, i z trudnością opanowywał ruch mięśni. Teraz, gdy i tak się zdradził, poddał się tym piekielnym skurczom, a marszczyły i wykręcały mu gębę tak, że mógłbym skonać ze śmiechu, gdyby mi go nie było żal; jakież to musi być nieprzyjemne dla

duchownego pokazywać się z twarzą, która się komicznie i bez powodu wykrzywia w dziwne grymasy.

– Aby jednak wrócić do tematu, Bragesson. Ustalamy, że pan ułokował się tak, aby jak najmniej ulegać pokusom. Lecz tym samym ma pan równocześnie najmniej bodźców do czynienia czegoś dobrego. Odciał się pan od wszystkich otaczających nas cierpień i nędzy.

– Owszem, i wystarczy mi to, żeby trzymać diabła w szachu.

– A czy w samotności on pana nie napada?

– Może pan być pewien, że nie ma okazji stosowania swych najlepszych chwytów, którymi się posługuje w zbiorowości.

– Ale pan ma pewną przeszłość za sobą.

– To prawda, i niestety nie zapomniałem o sprawach z nią związanych, mogą mnie nawet kusić, ale czy mogą mnie sprowadzić na złą drogę, póki jestem samotny? Nie. To fizycznie niemożliwe, w samotności po prostu nie mogę robić nic złego, bo nie ma nikogo, komu mógłbym wyrządzić krzywdę. Widzi pan, to właśnie jest najbardziej dodatnią stroną samotności. Nikczemne myśli i uczucia nie mogą się przeradzać w czyny i powoli wygasają, bo nic w otoczeniu ich nie pobudza. W samotności nie mam wokół siebie zła, nie ma

nic, co stanowiłoby pożywkę dla zła tkwiącego we mnie. Jestem sam na sam tylko z dobrocią i niewinnością, ze zwierzętami, roślinami i tak piękną naturą, że wywołuje jedynie szlachetne impulsy.

– Czy jest pan pewien, że pod wpływem samotności zło może w panu zupełnie umrzeć?

– Nie, ale przygasa. Większość pobudek do rzeczy złych i niegodziwych spotykamy przecież w zbiorowości, bo jesteśmy równocześnie i stworzeniami towarzyskimi, i egoistami. Te dwie tendencje przeciwdziałają sobie.

Staervik podumał chwilę i oświadczył:

– Pańska sztuka życia opiera się więc na zerwaniu ze środowiskiem, moja zaś na pozostaniu w środowisku, ale zerwaniu z egoizmem.

– Bardzo bystra uwaga, Staervik, i dla mnie kompromitująca.

– Czy jednak sprawy tak nie wyglądają?

– Przypuszczam, że jako duchowny działający w zbiorowości częściej ponosi pan winę za różne postacie egoizmu, niż ja w mojej samotni.

– To możliwe.

– Więcej niż możliwe, niemal pewne. Bo ze wszystkich form egoizmu ja mogę hołdować tylko jednej, mianowicie samotności. Mnie interesuje tylko własny spokój, a to jest egoizm. Egoizm oznacza miłość własną, własną korzyść. Żeby wła-

sna korzyść i miłość własna mogły dać znać o sobie, każde „ego” musi pozostawać w jakimś stosunku do innego „ego”. A czy mój egoizm pozostaje w jakimś stosunku do kogoś? Czy mój egoizm pozabawia kogoś jakichś korzyści lub miłosiernej opieki? Owszem, tych wszystkich biedaków i nędzarzy, którym mógłbym pomagać będąc na przykład członkiem Armii Zbawienia.

– Tak, właśnie tak – przytaknął Staervik z zadowoleniem, które mu jeszcze bardziej wykrzywiło twarz. – Aż przyjemnie pomyśleć o tym wszystkim, co pan ze swymi zdolnościami mógłby zdziałać, gdyby pan poszedł za głosem słusznego powołania.

– Ale nie mam takiego powołania.

– Może się pan zmusić, wyrobić je w sobie.

– Drogi pastorze, nie jestem stworzony do tego, aby poddawać się przymusowi, chyba w najkonierniejszych wypadkach. Nie czuję żadnej potrzeby ani żadnego obowiązku zmuszania się do czegokolwiek, jak się to panu wydaje. Pan nie wie, o czym pan mówi. Pan każe mi lizać cudze rany, ale ja mam dość roboty ze swoimi.

– Oczywiście rozumiem, że pan musi leczyć swoje rany – odparł Staervik ze współczuciem, z głębokim współczuciem. – Lecz moim zdaniem najlepszy sposób leczenia własnych ran polega na le-

czeniu cudzych. Powinien pan raz spróbować i zobaczyć, jaką to daje satysfakcję.

Tym razem udało mu się, temu bliźniemu, zdenewować mnie na dobre. Pogroziłem mu pięścią i krzyknąłem, jak mi się zdaje, dość głośno:

– Czy pan nie rozumie, że mam dość ludzi, że muszę choć trochę od nich odpocząć? Potrzebuję spokoju! Takiego spokoju, jakiego sam chcę!

– Ale to jest dla pana szkodliwe. Proszę mi wierzyć. Bo pan ucieka od samego siebie.

– Uciekam od tego, co budzi we mnie zło!

– Ucieka pan, zamiast podjąć walkę. „Nikt nie może uciec od własnej słabości – powiedział Robert Louis Stevenson. – Kiedyś człowiek musi się od niej wyzwolić albo zginąć. Dlaczego więc nie podjąć walki?” – to jego słowa.

– Stevenson nie znał Bragego Bragessona.

– Jednak jego słowa dotyczą i pana.

– Pastor Staervik nie zna Bragego Bragessona.

– To są sprawy ogólnoludzkie.

– Nie istnieje nic, co można nazwać sprawami ogólnoludzkimi. Każdy człowiek jest swoim własnym światem. Ja zaś walczę na swój własny sposób. Dla mnie on jest słuszny, choć może dla pana błędny. Mnie wydaje się słuszne walczyć z pokusami w ten sposób, że od nich uciekam. Jestem pewien, że dobrze robię. Zbiorowość przyciąga czło-

wieka, stwarza pokusy, którym trudno się oprzeć. Ja walczę z tymi pokusami w ten sposób, że unikam sytuacji, w których mogą one działać.

– A jeżeli taka sytuacja sama się panu narzuci?

– Wówczas muszę podjąć bezpośrednią walkę. Proszę posłuchać, Staervik. Czy ja zalecam swoją filozofię życiową większości ludzi? Nie. Dla większości ta filozofia nie nadawałaby się zupełnie do zastosowania w praktyce. A czy oceniłem swoją filozofię jako szczególnie godną uznania? Też nie. Na największe uznanie zasługuje zawsze to, co jest aktywne, co dąży naprzód w pozytywnym kierunku. Ale mnie teraz w moim życiu najlepiej odpowiada bierność. Ona stanowi dla mnie bez wątpienia najlepsze rozwiązanie.

Nastąpiło długie milczenie, Staervik patrzył na mnie tak, jakby chciał przejrzeć mnie na wylot.

– Brageesson, czy pan aż tak dalece boi się samego siebie?

– Tak.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Ja znam siebie.

– Nie mogę w to uwierzyć! – powtórzył z naciskiem.

– Proszę posłuchać, do licha, jeżeli powstanie odpowiednia sytuacja, mogę wpaść w szal i uciec się do przemocy. Mam do tego skłonności. Mogę

nawet świadomie szukać takiej sytuacji; szukać zła i złych ludzi i miażdżyć ich, tłuc na miazgę! Bo we mnie siedzi dzikie zwierzę! Bardzo rozdrażnione dzikie zwierzę! A dzikie zwierzę nabiera chęci unicestwienia złego, przegnania złego takim samym złem! Pan jest pastorem, pan mnie nie może zrozumieć. Pan nie potrafi nawet pojąć, jak ja muszę panować nad sobą. Jestem piekielnie silny, rozumie pan!

– Pan został uniewinniony! – szepnął ze strachem, ale równocześnie tonem oskarżenia.

– Oczywiście, że zostałem uniewinniony, i to sprawiedliwie, lecz mimo to nie rzucam słów na wiatr.

Mój rozmówca pochylił się ku mnie w skupieniu i przyciszonym głosem, jakby diabeł podsłuchiwał z sąsiedniego pokoju, powiedział:

– Czy zaprzeczy pan, że są dobre uczynki?

– Nie.

– Wobec tego nie przeczy pan, że istnieją dobrzy ludzie?

– Nie, ale jest ich żałośnie mało. Nie rządzą i nigdy nie zarządzili światem.

– Ale pana fakt istnienia ludzi dobrych nie zobowiązuje?

– Co pan ma na myśli? Obowiązuje. Usunąłem się w cień. Wierzę, że dzięki temu stanę się możli-

wie dobrym człowiekiem. Co, do wszystkich diabłów, ma pan na myśli? Że jestem wcieleniem szatana? Ja też mam obowiązek być dobrym człowiekiem. Gdyby pan, nudny teoretyk, leżał tu w górach śmiertelnie chory wśród zamieci śnieżnej, a ja, Brage Bragesson, natknąłbym się na pana, to pańskim zdaniem co bym zrobił? Powiedziałbym: „Cha, cha, życzę panu wszystkiego najlepszego”? Nie, udzieliłbym panu pomocy. Zaniósłbym pana do ludzi, choćbym miał przy tym narazić własne życie.

– Nawet gdybym był pańskim wrogiem?

– Przyjemność byłaby tym większa, kolego. A pan, czy pan chętnie zaryzykowałby własne życie na rzecz śmiertelnie chorego wroga?

Pastor Staervik pobożnie złożył ręce:

– Gdybym miał po temu okazję, uznałbym to za błogosławieństwo.

– Wspaniale. W takim razie narażanie życia dla zwykłego bliźniego jest dla pana chlebem powszednim. Doskonale. Mam nadzieję, że nie nadarzy się panu taka okazja, bo wtedy by pan, z pomocą Pana Boga lub bez niej, pomyślał o żonie i dzieciach, o wdowie i sierotach, znalazłby pan różne usprawiedliwienia. Ale à propos: pan jest duszpastierzem. Państwo płaci panu za to wcale nieźle. Jaką część swoich dochodów przeznaczają pan mie-

sięcznie i regularnie dla biednych? Ile to wynosi, panie pastorze?

– Nasze pensje nie są tak wysokie, jak pan przypuszcza.

– Patrzcie, nawet duchowni nie są zadowoleni! Ma pan samochód?

Spochmurniał i skinął potakująco głową.

– Jakiej marki?

– Volvo.

– Kosztuje 18 000 koron, prawda? W jakich celach pan używa samochodu? Jeździ pan na wakacje, jeździ pan do kościoła, do umierających, do chorych, jeździ pan na zebrania, na których podają kawę i ciastka, jeździ pan i gada, gada, gada. Ale co pan robi dla tych, którym potrzebne są czyny? Dla tych, którzy potrzebują jednej z pańskich dwu koszul? Jaką część swoich dochodów przeznaczają pan miesięcznie i regularnie dla biednych, powtarzam pytanie? Ile, panie pastorze?

– Pomagam ludziom. Pomagam potrzebującym pomocy w mojej parafii.

– Czy w pańskiej parafii jest wielu biednych?

– Nie, stopa życiowa jest ogólnie biorąc raczej wysoka.

– Doskonale, ale świat jest pełen innej biedoty. Ile może pan przeznaczyć miesięcznie na pomoc dla nich? Czy nie może pan ograniczyć swoich wy-

datków, żyć trochę skromniej? Proszę pomyśleć, na pewno mógłby pan. 18 000 koron. Za taką sumę mógłby pan rocznie ocalić życie wielu ludziom. A na przykład pobyt w tym hotelu jest bardzo kosztowny. To jest bardzo luksusowy i drogi hotel, panie pastorze.

– Pan próbuje mnie pognębić.

– Przypominam panu tylko naukę Chrystusa!

Zapanowało długie milczenie.

– Ta nauka – przerwałem je w końcu – i mnie nie daje spokoju. Ale jeżeli się na nią powołuję, to tylko wobec duchownych. Tak, do diaska! Niech diabli wezmą wszystkie pokusy związane z przebywaniem wśród ludzi! Dziś dałem się skusić pikantnej kelnerce, a potem dałem się panu we znaki. Gdybym tu dziś nie przybył, nie kusiłaby mnie ta kelnerka ani też panu bym nie dokuczał, bo tam u mnie nie ma ani kelnerek, ani pastorów.

To powiedziawszy, miałem już dość pastora Staervika. Chciałem wstać i pójść, wrócić w swoje strony, do swej maksymalnej wolności i maksymalnego spokoju. Ale Staervik, jakby czekał na ten nagły koniec rozmowy, zerwał się natychmiast na równe nogi, przytrzymał mnie i powiedział:

– Dziękuję panu za to, że mi pan dokuczał. To karząca ręka Boga dziś pana tu zesłała.

Wyrwałem się, ale znów mnie przytrzymał

i chwycił się tego, co uważał za ostatnią deskę ratunku dla zbawienia mojej duszy.

– Ale kobiety, Bragesson, czy pan może żyć bez kobiet?

– Gwiżdżę na nie!

– Nie, mój przyjacielu, tylko nie spotkał pan odpowiedniej kobiety.

– Ta, która mi odpowiadała, leży tu gdzieś w górach. Już od wielu lat. Zaginęła w okresie Wielkanocy, gdy ja siedziałem w więzieniu. Czy pan chce jeszcze rozbabrywać tę sprawę? Czy słyszał pan o tym dziewiątym? On istnieje. Tu w Norwegii. To on właśnie zrobił mnie w tę bójkę. Czy jeszcze coś? Nie usłyszał pan dosyć? Proszę więc nie przypominać mi o Bogu, bo mogę zacząć kląć. Niech pan zostawi Bragessona w spokoju. Niech pan pozwoli Bragessonowi lizać swoje rany... pod pięknym, choć nie bożym niebem! Żegnam!

Wściekły wyskoczyłem do hallu, porwałem leżącą na krześle wiatrówkę i plecak i wypadłem na dwór, pod piękną kopułę nieba. Niebiańskie uczucie! Niebiańskie! Wracam do domu! Do domu!

Ale Staervik też ukazał się na dworze ubrany w futro i obserwował mnie, gdy nakładałem wiatrówkę. Zauważyłem, że ma pokorną minę.

Poszedłem tam, gdzie zostawiłem narty i kije. Staervik towarzyszył mi i z takim przejęciem pro-

sił o wybaczenie i zgodę, że w końcu sam się wzruszyłem i zapewniłem go, że wszystko w porządku, że wina jest po mojej stronie.

Wolno szliśmy przez podwórze i Staervik, chcąc mi widocznie zrobić przyjemność, rozwodził się nad powabami turystyki i pięknem natury. Nagle przystanął:

– Pan musi dziwnie odczuwać bliskość tej kobiety.

Odparłem:

– Oczywiście. Dziwnie. Jest blisko, ale nie żyje. Szukam jej i kiedyś na pewno znajdę. Może leży w jakiejś rozpadlinie skalnej, wmarznięta w lód, może jest gdzieś pod zwałami śniegu, niezmieniona, taka jak była. Tak, to możliwe. W każdym razie mam nadzieję. Bo chciałbym ją jeszcze kiedyś zobaczyć.

– A ja mam nadzieję, że pan jej nie znajdzie, Bragesson.

– Dlaczego?

– Nie sądzę, aby pan mógł to znieść.

– Czy ma pan na myśli to, że próbowałbym zostać przy niej? W takim razie pan mnie nie docenia. Nie jestem cierpiętnikiem, nic podobnego. Mam zamiar żyć dalej. Traktuję to jak sport. Może pan mi zaufać. A zresztą mam tyle wspomnień o Siv, mam zdrowie i mam swoje góry. Proszę zo-

baczyć, jakie wspaniałe.

– Tam jest szczyt Trollnuten. Potężny, co? I proszę spojrzeć na zorzę polarną. Nic podobnego. Siła! Siła! Siła! Ja mam siły! Proszę się o mnie nie martwić.

Była już późna noc, więc przypiąłem narty, aby ruszyć do domu. Staervik wypytywał, czy mam daleką drogę. Czterdzieści pięć kilometrów. Wyraził pewne obawy. Uspokoilem go.

– W takim razie dobrej nocy, przyjacielu. Dobranoc.

Po tym pożegnaniu ruszyłem ku równinie, stanowiącej pierwszy etap drogi powrotnej. Ale jeszcze raz mnie dogonił.

– Bragesson, niech pan ma trochę przyjaźni dla nas, dla ludzi.

Zatrzymałem się i odpowiedziałem mu ponuro i gorączkowo:

– Proszę sobie wyobrazić orła, który spada na zdobycz, na jagnię, wbija w nie szpony i dziób, tak że tryska fontanna krwi. Nie ma w tym cienia winy orła. Mordowanie jest celem jego życia. Został stworzony do żywienia się w ten sposób. Podobnie i inne drapieżne zwierzęta są niewinne, te zaś, które nie żywią się krwią i mięsem, nie są ani bardziej, ani mniej winne, lecz po prostu niewinne jak lilie. Ludzie natomiast, ponieważ zostali stwo-

rzeni w ten sposób, że jeżeli tylko chcą, mogą żywić się bez stosowania przemocy, i jeżeli tylko chcą, mogą współżyć bez wyrządzania sobie wzajemnej szkody, właśnie ludzie są splamieni winą. Zaslęgują na bezdenną pogardę, bo mając tyle przyrodzonych darów zostali przeznaczeni, można powiedzieć, do większych rzeczy.

– Dlatego mamy wiarę chrześcijańską, Bragesson. Dlatego Chrystus zstąpił na ziemię, aby nam pomóc. Jest dla nas nieomylnym przykładem.

Odpowiedziałem:

– Pan wierzy w zdolność przemiany i jeszcze w coś więcej. Ja nie wierzę. Dla mnie byt ogranicza się do ziemi. Życiem jest to, co widzę. Kropka. Pan kieruje się nadzieją, bo pan widzi więcej, niż rzeczywiście istnieje. A ja widzę tylko tyle, że to, co jest, pozostanie niezmiennie dopóty, dopóki będzie istnieć ludzkość.

– Chrystus pomógł wielu ludziom wznieść się ku dobremu, tu na ziemi.

– Ale nie udało mu się ulepszyć całej ludzkości.

– Panu może pomóc, jeżeli pan zechce, a gdy pan zechce, już przez to samo ludzkość zostanie w jakimś stopniu ulepszona.

– Pan dalej wyciąga ku mnie krzyż.

– Nie, Bragesson, nie czynię już tego. Pan już dźwiga swój krzyż.

– Ja dźwigam krzyż?

Milczenie.

– Krzyż?

Zostawiłem go samego. Długimi krokami podążyłem w kierunku Nordveggen. Ja miałbym dźwigać krzyż? Nie jestem Chrystusem, choć cierpiałem niewinnie. Najwyżej mógłbym być jednym z łotrów. A może kimś pośrednim między łotrem a Chrystusem? Nie, raczej łotrem niż Chrystusem. Jeśli dźwigam krzyż, to jest to ciężar nie krzyża Chrystusowego, a raczej łotrowskiego. Widocznie Staervik ma nadzieję, że jeżeli kiedyś zostanę ukrzyżowany, będę prosił Chrystusa, aby pomniał na mnie, gdy przyjdzie do królestwa swego. A Chrystus wypowie te najpiękniejsze w świecie słowa, wychodzące naprzeciw wiecznej ludzkiej tęsknocie – słowa o raj.

Lecz Chrystus był tylko człowiekiem, a nie synem Boga. Stefan ma rację. Gdybym jednak wisiał obok Niego na krzyżu, czułbym się wtedy mały. Nie powiedziałbym wtedy, jak jeden z łotrów do tego drugiego, bluźniącego: „Ani ty Boga się boisz, gdyżżeś teje skazniej podległ?”. Lecz wzruszony mitem, który Chrystus stworzył ludzkości, wzruszony postacią tego człowieka, i z desperacką nadzieją, że ten mit jednak może być prawdą – mimo wszystko, mimo wszystko – poprosiłbym Chrystu-

sa, aby pomniał na mnie, gdy przyjdzie do królestwa swego. Chrystus zaś uśmiechnąłby się przez krew i łzy i powiedziała: „Zaprawdę mówię tobie: dziś ze mną będziesz w raju”. A ja bym z uśmiechem przyjął jego błogosławioną obietnicę.

Ale nie dźwigam krzyża. Nie dość wiele cierpię. Czy cierpisz, człowieku? Cierpisz?

Krzyż? Krzyż?

Nie, nie dźwigam krzyża. I nie oczekuję raju tam. Piekło i raj są tu.

Jeden krok. Dwa kroki. Tu. Tam. Dwa kroki. Tu. Tam. Tam. Tam. Tam.

Kocham moje góry. Jestem tu prawie szczęśliwy. Nie dźwigam więc żadnego krzyża. Nie ma na mnie grzechu. Ale...

Ale.

Jakaś myśl wraziła mi się w mózg niby czarny szpon. Ale, pomyślałem, ale... i zatrzymałem się, odwróciłem głowę i spojrzałem za siebie. W dali majaczył czarny punkt. Staervik. Pognałem ku niemu tak, jakby szło o życie.

– Staervik!

– Mój przyjacielu.

Słyszałem w jego głosie namaszczenie, ale mnie to nie obchodziło. Nie teraz.

– Staervik! Może ja jestem chory, może oszalałem? Właśnie przyszło mi na myśl, że może zwa-

riowałem. Psychiatra sądowy... biegły psychiatra... powiedział... powiedział...

Pastor uśmiechnął się uspokajająco, ale głos mu drżał:

– Nie jest pan chory.

– Nie? Jestem zdrowy? Czuję się tu tak zdrowo i szczęśliwie, prawie radośnie, choć równocześnie mi smutno – za Siv – ale taki jestem radosny, tak przedziwnie szczęśliwy, mam tu na własność tyle piękna, mnóstwo, prawda? Tyle, tyle piękna. I będąc tu, staję się coraz radośniejszy, a pewnego dnia będę zupełnie szczęśliwy. O, jak bardzo chciałbym komuś podziękować za to, że jestem taki zdrowy i mocny, i za to, że miałem taką kobietę jak Siv. Kocham ją! Kocham ją!

I wreszcie już na dobre ruszyłem do domu, na północ, a pierś rozpierała mi radość, że ją kocham.

Wspaniała była ta zimowa noc. U podnóża szczytu Digerhó zakopałem się w śnieg, wlałem w śpiwór i usnąłem, mając w oczach obraz gwiazd i zorzy polarnej, i Siv.

W piątek 20 lutego wybrałem się na dłuższą turę z namiotem i śpiworem. Przez cztery dni odczuwałem błogi spokój. We środę 24 lutego wieczorem wróciłem do Nordablaas, ledwie trzymając się na nogach z wycieńczenia, ale w dobrej formie. Natychmiast usnąłem i zbudziłem się dopiero na-

zajutrz o siódmej rano z wrażeniem, że ktoś lub coś stuka w szybę. Nie od razu wstałem z pryczy, ale dalej leżałem, zastanawiając się, czy mnie słuch nie myli, czy w ogóle coś słyszałem. Bo to, co słyszałem, lub co mi się przysłyszało, brzmiało jak ludzki głos, a przecież o tej porze roku nie powinno być tu ludzi w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Goście hotelowi trzymali się zwykle blisko ciepłego schronienia, a nawet w kulminacyjnym punkcie sezonu niewielu narciarzy zapędzało się aż w moje strony. Najbliższym odwiedzanym przez ludzi miejscem był oddalony o cztery lub pięć kilometrów szalas Björnehiet, ale tam przyjeżdżano zwykle dopiero na Wielkanoc, a w tym roku Wielkanoc przypadała w połowie kwietnia. Kalendarz zaś mówił, że jest 25 lutego. Czy to mógłby być pastor Staervik? Nie, przywidziało mi się coś we śnie i to mnie obudziło, pomyślałem, odwracając się na drugi bok.

Wtedy pukanie rozległo się ponownie.

[34] i dla byłego genadiera pancernego Josepha Schmövelskina Schlachtbanka i dla wszystkich ludzi na świecie (niem.)

[35] tulipany z Amsterdamu (nider.)

[36] „Kto podróżuje przez wiatr i noc? To ojciec

syna otula w koc” (J.W. Goethe, *Król Elfów*, przeł.
T. Piątkowski).

[37] Każde początek jest trudny (niem.)

[38] Każdy (niem.)

III

BURZA ŚNIEŻNA

Ktoś szybko i niecierpliwie pukał w drzwi szafasu, a męski głos, którego nie mogłem poznać, wołał:

– Brage! Otwórz! Pilna sprawa!

Jakbym przeczuwał oczekujące mnie przykrości, bo leżałem dalej i próbowałem przez wolne miejsca między lodowymi kwiatami na szybach dojrzeć, co się dzieje na dworze. Już świtało i niebo było pogodne, na północy i północnym wschodzie może trochę ciemniejsze niż zwykle; podmuchy wiatru tłukły przewodem od anteny o północne okno, co mi przypomniało, że właśnie wyczerpała się bateria radioaparatu. Od wielu dni nie słyszałem komunikatu meteorologicznego i sam się na siebie złościłem, że nic na to nie potrafię poradzić.

Człowiek na dworze coraz bardziej się niecierpliwił i zaczął walić w drzwi. Kto to jest, pomyślałem; sądząc po tym, jak się piekli, na pewno nie przychodzi z dobrą nowiną. A wcale go tu nie zapraszałem. Nikogo, na dobrą sprawę, nie zapraszałem. Chcę przecież spokoju i ciszy. Ale jakaś „pilna sprawa”. Co za pilna sprawa może dotyczyć Bragego Bragessona? Kto to jest, jakim prawem wali w moje drzwi i robi tyle hałasu?

Słońce powinno wzejść o siódmej dwadzieścia dziewięć, a dla mieszkańców nizin cienki sierp księżyc w trzeciej kwadrze widoczny jest nad horyzontem od godziny szóstej czterdzieści cztery. Słońce i księżyc mają żyć obok siebie na tym samym niebie przez cały dzień, sześć minut po czwartej na mojej części świata ma zniknąć księżyc, a zachód słońca ma nastąpić mniej więcej półtorej godziny później. Jako mieszkaniec gór interesowałem się tymi danymi i znów ze złością pomyślałem o wyczerpanej baterii.

– Brage! Brage! – skomlił ten ktoś za drzwiami, ale jak miałem go po takim głosie rozpoznać? Powinien się przynajmniej przedstawić.

– Brage!

No tak. Wkrótce powinno wzejść słońce. Tak, tak. Słońce. Gdybym tego ranka był na szczycie Skagetu, spotkałoby mnie całkiem coś innego: przeżyłbym jedną z tych niezwykłych chwil, kiedy noc, świt i dzień równocześnie spotykają się nad tą samą okolicą, a o brzasku widziałbym to słońce, księżyc i błyski kilku upartych gwiazd na zachodzie... wszystko równocześnie podczas tych kilku niezwykłych sekund, zmieszanych pór doby. Czasem bywały one jeszcze niezwyklesze, te sekundy. Pewnej zimowej nocy, już chyba całą wieczność temu, szedłem pod miękką i migotliwą, żółtozielo-

ną firanką zorzy polarnej i stanąłem przy kopcu kamieni na szczycie Skagetu właśnie w chwili takiego mieszania się dnia i nocy. Zobaczyłem wówczas nie tylko słońce, księżyc, gwiazdy i ostatni błysk zorzy polarnej, ale na dodatek i spadającą gwiazdę. W milczeniu stałem na tym swoim małym globie i pragnąłem pokoju, pokoju, pokoju!

– Brage!

O Boże, co mam robić.

Zawszę życzę sobie pokoju. Gdy na drzewie zakuka kukułka, życzę sobie pokoju. Gdy znajduję czterolistną koniczynę, życzę sobie pokoju. Rzadki kamień uprawnia do trzech życzeń, więc moje marzenie brzmi: pokój, pokój, pokój! A gdy widzę spadającą gwiazdę, jak aktor na scenie recytuję swoje: pokój, pokój, pokój! Znam bowiem hasła i umiem swoją rolę.

Być pod firmamentem. Stać ze stopami mocno wpartymi w glob. Być pod firmamentem. Czuć się poruszonym przez tajemniczą siłę po kolistym torze wśród niezliczonej mnogości innych kolistych torów, w niepojętej przestrzeni. Jako mały człowieczek stać twarzą w twarz z bezgłośną nieskończonością, to oznacza prywatny pokój dla Bragego Bragessona.

– Hej! Jesteś tam? Zbudź się, Brage! Przecież tam jesteś!

Lecz podczas zaćmienia słońca 30 czerwca 1954 roku poczułem dreszcz. Razem z Siv staliśmy na Skaget, ona tuliła się do mnie i drżała, bo nagle – jak cień kosmicznego ptaszydła – przy nas i nad nami zjawiała się ciemność... zamilkł górski myszółów, który właśnie skarżył się przeciągłym pjeeepjee. Wszystko zamilkło. Wszystko czekało, obserwując. Zagadka przypomniała o swym istnieniu tym wszystkim, którzy o niej zapomnieli.

– Hej! Brage! Hej! Obudź się wreszcie! Pilna sprawa!

Lecz potem księżyc znów odsłonił wspaniałość słońca i wszyscy wojowniczo nastawieni, i wszyscy wyzuci z myśli, i ci pełni zła, wszyscy przyjęli to jako rzecz najzupełniej naturalną, na którą najsprawiedliwiej w świecie zasłużyli, zwrócili się więc znów twarzami do ziemi i podjęli swe spory i zawiści. Jak gdyby nic nie zaszło.

Ale satelita naszego globu jest dalej tam, gdzie był. I słońce jest na swoim miejscu, równie tajemnicze. I my poruszamy się wokół niego, poruszamy się na satelicie słońca równie tajemniczo, jak przedtem.

Człowieku! Spójrz w górę i podziwiaj! Spójrz na słońce! To jest źródło twego życia, twoja kula świecącego gazu o średnicy jeden i cztery dziesiąte miliona kilometrów. Jej przeciętna odległość od cie-

bie wynosi sto pięćdziesiąt milionów kilometrów. Człowiecze, czy ty to pojmujesz? Słońce ma jeszcze paliwa na kilka miliardów lat!

A dziw się coraz bardziej, bo ta twoja kula świecącego gazu jest tylko jedną z niezliczonej ilości innych... w niepojętym wszechświecie. Zobacz, tam masz meteoryt, który zapewne nazwiesz spadającą gwiazdą. I zobacz, tam masz meteor. Obserwuj, jak po łukowatym torze leci przez atmosferę, aż zgaśnie, i niech te kosmiczne ciała, te resztki globów i wszechświatów, rozsypanych w proch Bóg wie jak daleko, przypomną ci raz jeszcze o istnieniu zagadki.

– Brage! Przecież cię widzę, ty beznadziejny pustelniku!

Gwiazda spada. Glob eksploduje. Dwie galaktyki wpadają na siebie, dwa systemy złożone z miliardów kul gazowych, mających satelitów lub nie mających, zderzają się i tworzą morze ognia, które za kilka milionów lat świetlnych zbliży się do ziemi. A uczeni przerzucają karty ksiąg i piszą, i liczą, i stwierdzają, że – podziwiaj, człowieczku! – miliony lat temu dwa kosmosy zderzyły się gdzieś daleko we wszechświecie, a na podstawie barwy światła wywołanego przez tę kolizję można przyjąć, iż owe dwa kosmosy oddalają się od nas – i na tym nie koniec, wcale na tym jeszcze nie koniec.

Wszechświat jest prawdopodobnie w toku ekspansji!

Przestrzeń wszechświata coraz bardziej się rozszerza. Dokąd? I po co? Ludzie zabijają się nawzajem, choć to wcale niepotrzebne, i po co? Pewien człowiek przed prawie dwu tysiącami lat nazwał się synem Boga – lecz kiedy to było? Cóż to był za moment?

Głowa nakryta kapturem wiatrówki przesuwała się za szybami jak pokutujący duch, jej właściciel pokrzykiwał i pukał w okna. Czułem, że jestem obserwowany, ale nie mogłem dojrzeć oczu, które mnie obserwowały. Bardzo nieprzyjemne uczucie, wstałem więc i podreptałem do drzwi.

– Brage, to ja – szeptał tam ktoś.

Otworzyłem. Powiało zimnem. Byłem tylko w pizamie. Jakaś szczupła postać, od której mocno jechało cebulą, chuchnęła mi w twarz.

Był to Sigurd, brat Siv, „Sigurd Chudy”, jak go kiedyś nazywałem.

– Robisz tyle hałasu, jakby szło o śmierć albo życie – mruknąłem.

– Bo właśnie o to chodzi – odparł Chudy.

Długi, niezdarny, słaniający się na nogach i siny z zimna – tak przedstawiał się po wejściu do Nor-

dablaas. Jeszcze ciężko dyszał, widocznie musiał pędzić co tchu; niesłychany wysiłek dla takiego mózgowca jak on, który już w wieku osiemnastu lat był statecznym panem, spokojnym i rzeczowo myślącym panem, z zamiłowaniem do bilardu, dobrego tytoniu i nie kończących się dyskusji nad filizanką szatańsko mocnej kawy.

Teraz jednak stał przede mną bardzo podniecony, pierwszy raz widziałem go w takim stanie.

– Tej nocy byłem tu już kilka razy! Całą noc szukaliśmy! – wystękał.

– Cieszę się, że cię widzę. Twoje oczy przypominają mi Siv. Uśmiechnij się do mnie, Chudy.

– Pukałem do ciebie! Wołałem i krzyczałem! – narzekał.

– Możliwe. Wczoraj wróciłem z długiej wyprawy, dlatego spałem mocno.

– O, Brage, dzięki Bogu, że tu jesteś! Dzięki Bogu!

– Odkąd jesteś tak pobożny? Zawsze byłem przekonany, że konsekwentnie trzymasz się materialistycznego światopoglądu.

– O, jak to przyjemnie, że jesteś w dobrym humorze. To mnie pociesza i dodaje mi otuchy.

– Co do humoru, to jestem w morderczym nastroju, bo mnie obudziłeś. No i szukaliście mnie, a tego nie lubię.

– Nie ciebie szukaliśmy, tylko Benteina. I jużemy go znaleźli. Ale nie możemy go wyciągnąć, a w dodatku zabrakło mu insuliny.

– Chwileczkę, uspokój się, uspokój. Benteina, powiadasz?

Właściwie nie byłem zaskoczony. I to mnie zdziwiło, że nie byłem zaskoczony; jakbym go tu tak czy owak oczekiwał.

– Usiądź, Chudy. I powiedz, co to wszystko ma znaczyć? Powiadasz, że Bentein jest tutaj, tak? I że nie możesz go wyciągnąć? Skąd? Wyciągnąć – ale skąd?

Sigurd ciężko usiadł na zydlu.

– Z półki skalnej.

– Gdzie?

– Na ścianie nad doliną Langfjell!

– Ściana jest długa.

– Przy iglicy Örnebre!

Coś mnie ukłuło w środku:

– O! A co Bentein tam robi? I dlaczego w tym roku jesteście tu tak wcześnie?

– Brage, nie ma czasu do stracenia!

– Zgoda, ale musisz wypowiedzieć się na tyle jasno, żebym mógł się zorientować, co mam robić. Czy nie sądzisz, Chudy, że mam rację?

– Musisz nam pomóc!

– Na tyle już zrozumiałem sytuację. Bentein nie

może się wydostać o własnych siłach. A jak znalazł się tam na dole?

– Po linie.

– Więc dlaczego nie może wspiąć się po tej samej linie?

– Jest chory! Tu chodzi o życie! Jeżeli w najbliższych godzinach nie zastrzyknie mu się szybko działającej insuliny, dostanie śpiączki i umrze!

– Czy lina jeszcze tam jest?

– Tak, chcieliśmy go wyciągnąć, ale nie mógł się obwiązać. Nie potrafi zrobić węzła.

– A ty nie miałeś odwagi opuścić się na dół i związać mu węzła, co? Dobra, mów dalej. Powieadasz, że nie ma insuliny, tak?

– Miał, ale mu przepadła.

– Diabetyk nie dopuszcza przecież do tego, aby mu przepadła insulina.

– Brage, nie mamy czasu! On tam może spaść czterysta metrów w dół! Może też zamarznąć na śmierć!

– Przestań histeryzować! Ja będę pytał, a ty odpowiadaj, krótko i węzłowato! Najpierw mam go stamtąd wyciągnąć, czy tak?

– Tak! Całą noc spędził na tej półce. Jest przemarznięty, a w dodatku już od kilku dni nie brał insuliny!

– Jasne. Gdzie można dostać insulinę?

- W hotelu.
- Jak szybko musi ją mieć? Powiedziałeś, że w ciągu kilku godzin. Co znaczy w tym wypadku „kilka godzin”?
- Dwie godziny. Może trzy.
- Ale widzisz, Chudy, to zabierze znacznie więcej czasu.
- Musimy jednak spróbować.
- Oczywiście. Tylko ja nie mogę go przewieźć na tobogganie swoją trasą, to znaczy w górę przez Hampetrossefallet. Nie mógłbym wziąć za to odpowiedzialności. Czy jest czas na to, aby go przewieźć drogą okrężną?
- Rób, co chcesz, Brage, byłeś tylko jak najprędzej zdobył dla niego insulinę o przyspieszonym działaniu!
- Wobec tego pojedę sam do hotelu i zaalarmuję pogotowie górskie. To najszybszy sposób, bo oni zaraz wyruszą z insuliną i psim zaprzęgiem. Może nawet uda się zorganizować helikopter.
- Szybko działająca insulina! Nie zapomnij, Brage! Nie zwykła insulina, tylko o przyspieszonym działaniu!
- Ile jej potrzeba?
- Porozmawiaj z lekarzem, który mieszka w hotelu. Nazywa się Vian. Sam też choruje na cukrzycę. Insulinę szybko działającą, pamiętaj.

– No, przystępujemy do działania. Ja się ubiorę i spakuję plecak. Ty w kuchni posmarujesz chleb i zagrzejesz wodę z sokiem z czarnych porzeczek do termosu. Przygotujesz też śniadanie dla mnie. Weźmiesz to wszystko w plecaku nad urwisko. Zjem potem, jak wyciągnę już Benteina na górę. A muszę wtedy coś włożyć do gęby. Będę gotów przed tobą i podjadę tam pierwszy. Ty potem przyjdź z plecakiem i tobogganem. Toboggan stoi tam pod ścianą od północnej strony. Weź też tę baranicę. Owiniemy w nią Benteina. Potem ja zjem i zaraz ruszę do hotelu, a ty z żoną zaciągniesz Benteina na tobogganie do Björnehiet.

– O tak, damy radę!

– Byczo, nie traćmy więc czasu.

Najpierw spakowałem plecak. Niczego nie wolno było zapomnieć: mapa, kompas, latarka, zapalniczki, okulary przeciwsłoneczne, gogle, lina, śpiwór, łopatką, siekierka, apteczka, czekolada, pomarańcze, zapasowy sweter, zapasowy kij, zapasowe wiązania, metalowy dziób na wypadek złamania narty, smary, nóż, obcęgi, kominiarka...

– Wiesz co, Chudy? Gdybyś mnie słuchał i zamiast bez przerwy czytać, siedzieć na tyłku, palić i gadać, trochę potrenował od czasu do czasu i nabrał sprawności, to teraz mógłbyś sam pojechać do hotelu po insulinę dla swego kochanego przyjaciele-

la.

– Już teraz nic na to nie poradzę – odparł Chudy z kuchni.

– To tylko twój upór. Chciałeś robić ojcu na złość. Był niedźwiedziem zakochanym w Siv, ale jemu też zależało na tym, żebyś się fizycznie rozwinął. Cóż, może z natury byłeś dość słabowity, ale ja też kiedyś taki byłem. A takie zaniedbywanie własnego ciała, jakie uprawiasz, powinno być karalne. Wstydzilibyś się, Chudy. Rzygać mi się chce, gdy patrzę na takie postępowanie. Ale jeszcze nie jest za późno na naprawienie choćby części szkód. Jesteś jeszcze młody i przez sport możesz nabrać sił. Zabierz się do tego bez zwłoki, chłopcze!

Sigurd milczał.

Zacząłem głośno myśleć:

– Wiesz, dziwnie się składa z tym Benteinem. On mnie właściwie prześladowuje tą swoją cukrzycą. A w dodatku nigdy nie przejeżdżaliście tu przed Wielkanocą.

– Tego roku chciał przyjechać wcześniej.

– Ciekawym, dlaczego.

– Taki pomysł wpadł mu do głowy.

– Ale Bentein nigdy nie miewa takich pomysłów. Zwykle przecież zjawia się tuż przed Wielkanocą, w dokładnie ustalonym i pedantycznie okre-

ślonym czasie.

– Nie wiem, Brage. Zrozumiałem tylko tyle, że bardzo mu na tym zależało.

– Tak, mogę sobie wyobrazić.

– Bentein bardzo się zmienił w ostatnich latach. Zrobił się bardzo nerwowy.

– No, to ma swoje przyczyny, rzecz oczywista.

– Na pewno są jakieś powody – odparł Chudy. – Może cukrzyca.

– Aha, cukrzyca. Widocznie dokucza mu cukrzyca.

Ubierając się, dalej prowadziłem z Sigurdem konwersację w tym stylu:

– Kto mnie właściwie prosi o to, abym zrobił przysługę Benteinowi?

– Wiesz... przecież to ja cię proszę.

– A Bentein?

– On prawie nie może mówić.

– Chyba może!

– Z nim jest kiepsko. Jedyna rzecz, którą potrafił tak powiedzieć, że coś zrozumiałem, to było: „Nie ma insuliny”. Wtedy wpadłem w panikę, musisz wiedzieć. Zacząłem go wypytywać, a on tylko dawał głową znać, tak albo nie. Od kilku dni nie miał już insuliny.

– Razem wzięte, brzmi to bardzo tajemniczo.

– We właściwym czasie chyba się wyjaśni.

Sznurując buty, powiedziałem:

– Być może. Lecz między nami, Chudy. Wiesz, że nie lubię Benteina. Jeśli go wyratuję, chcę w nagrodę, by trzymał się ode mnie możliwie najdalej. Nie chcę go więcej widzieć, a ty nie będziesz go tutaj więcej zapraszał. All right?

Chudy milczał.

– Odpowiedz, do licha! Mam powody, po tym, co zaszło w de Rechtbank.

Po chwili Chudy odezwał się, a z brzmienia jego słów wyczułem, że zrozumiał, kto był „tym dziewiątym”.

Powiedział zduszonym głosem:

– Postaram się, żeby było, jak chcesz.

Podziękowałem. A gdy powtarzałem słowa podziękui, rozmyślnie nadałem głosowi fałszywe brzmienie, choć równocześnie sam dosłyszałem ukryty ton głębokiego niepokoju, wcale nie zamierzony. Jakby jego źródłem była jakaś istota tkwiąca w moim wnętrzu. Nie wiem, czy to dotarło do świadomości Sigurda, ale z jego drżących warg wydobyło się westchnienie: – O Boże!

Wtedy przyszło mi do głowy, że sam mogę zabrać toboggan, plecak i baranicę. Chudy mógłby przynieść resztę, używając plecaka Siv, który wisiał w przybudówce osłaniającej drzwi wejściowe.

– Wszystko będzie byczo – powiedziałem, stara-

jąc się nadać słowom beztroskie brzmienie.

– Tak, będzie byczo – mruknął Chudy. – Dobrze, że mam ciebie.

– To Benteinowi dobrze, że mnie ma. No, bywaj.

– Moja żona, Elza, czeka na dole, przy krawędzi. Zobaczysz ją na pewno.

Wyskoczyłem na dwór, umocowałem plecak i baranicę na tobogganie, przypiąłem narty, założyłem szelki i szybko zjechałem na dół.

Śnieg był twardy i niesło tak wspaniale, że aż w uszach świszczalo. Dwie łyzy uroniłem i sapałem jak miech; nie jadłem śniadania, a zjadłbym za trzech. Patrzenie, wyszło do rymu. Jak w szkole. Trudno to nazwać perłą. Nie cierpię rymów, mówiąc szczerze. Rymy człowieka wiążą. Rymy są jednostajne. Za to uwielbiam rytm; zmienny, unoszący się i zniżający rytm, który tańczy w takt mego pulsu i gdy moja krew tego chce, jest gorący i intensywny. Gdy zaś wtedy jakiś rym sam się nawinie, potrafi być perłą, zbiegiem okoliczności, czymś przypadkowym i pięknym, jak para kochanków, która się pierwszy raz spotyka. Tego się nie słyszy, to się tylko robi, robi rękoma i oczyma, i ustami, ciałem i małym kroczeniem ku... o miła, zrób jeszcze jeden krok, ciągle zostaje właśnie to: „Jeszcze jeden krok”. Wiedziałaś o tym, prawda? Prawda? Bliżej ciebie. Bliżej ciebie. Coraz bliżej

ciebie, moje życie. Chodź bliżej do mnie, Siv.

Owszem, zobaczyłem jakąś kobietę, leżała na brzuchu nad samym skrajem przepaści. Coś wołała tam na dół, do Benteina.

Nie słyszała, że przyjechałem. Stałem i słuchałem. Wołała całym sercem, żałościwie i tęsknie. Całe serce w to wkładała.

Zażenowany zawróciłem i z pewnej odległości krzyknąłem: – Hej! Halo! – Wtedy drgnęła i zaraz wstała, okropnie zmarznięta, ale bardzo ucieszona moim przybyciem.

Podąłem jej rękę:

– Jestem Brage Brageason – przedstawiłem się z uśmiechem. Robiła wrażenie osoby miłej i naturalnej.

– O! – wybuchnęła, kładąc mi na dłoni rękę w mokrej rękawiczce. Uścisnąłem ją tak, że aż zatrzeszczało.

Był spory mróz, coś około dwudziestu stopni, i nic nie zapowiadało, aby wiatr miał się uspokoić; dmuchało coraz mocniej i szczypało nas w policzki. Wiało z różnych kierunków, między innymi z północy.

Spojrzałem na północ; za szczytem Skaget niebo było ciemniejsze, coś się tam kłębiło i zbierało. Bardzo mi to przypominało nadciągającą burzę śnieżną. Tylko że burza śnieżna z północy jest

rzadkim zjawiskiem.

– Czy słuchaliście dziś komunikatu o pogodzie?
– spytałem.

– Nie.

– A wczoraj?

– Też nie, niestety.

Potem zaczęła płakać:

– On nie daje już żadnego znaku życia! Proszę się pospieszyć!

Wydobyłem baranicę, rozwinąłem ją i rozłożyłem dwa metry od skraju urwiska, gotową na przyjęcie zamrożonej powłoki cielesnej Benteina. Potem podpełzłem na samą krawędź.

Na dole, jakieś dwadzieścia metrów poniżej, Bentein siedział oparty plecami o skałę, z głową zwieszoną na piersi. Cztery metry pod nim, u stóp pionowej ściany, czerniała otchłań doliny Langfjell. Tam, gdzie był Bentein, skalny występ tworzył tak małą półkę, że mężczyzna średniego wzrostu z trudem mógłby się na niej ułożyć. Raz tam byłem, przed wielu laty, aby zerwać kwiatek dla Siv. Fiołek górski, o ile pamiętam.

– Bentein! Brutal z de Rechtbank melduje się do usług!

Poruszył się nieco, a ja znów krzyknąłem:

– Zaraz tam przyjdę i wyciągnę cię. Zgoda?

Wtedy on powoli pokiwał ręką, tak jakbym tam

stał na dole przed nim, zjawiwszy się w roli mile widzianego gościa.

Lina opadająca poza krawędź była umocowana do oczyszczonego ze śniegu kamienia. Upewniwszy się, że trzyma mocno, opuściłem się po niej na półkę.

Tak mało miałem miejsca, że cały czas musiałem trzymać się liny. Wolną ręką wziąłem Bentina pod brodę i uniosłem mu głowę, aby spojrzeć w twarz.

Jego oddech miał dziwny, owocowy zapach. Obwisłe wargi, a oczy tak zamglone, jakby nic nie widziały. Bez trudu stwierdziłem, że jest bardzo chory.

– Czy myślałeś, że insulina jest tutaj? – spytałem.

Odpowiedział słabym skinieniem głowy.

– Człowiecze, dlaczego właśnie tutaj? No, ale teraz chodź. Trzeba cię wywindować na górę.

Opasałem go liną, przeciągając mu ją pod pachami. Nie mógł mi w tym pomóc. Musiałem go unieść i obwiązać jak pakunek.

W tym momencie zwymiotował. Trochę zielonkawego śluzu pociekło mi po spodniach, on zaś bełkotał coś niezrozumiale. Zapewne chciał przeprosić, ale ja właśnie w tej sytuacji nie poczułem obrzydzenia. Obwiązany liną przypominał mi ze-

psutą chińską lalkę, która wyobraża kiwającego głową mandaryna.

Wdrapałem się z powrotem na górę, odpocząłem trochę, potem chwyciłem linę obu rękoma, pochyliłem się do tyłu i zacząłem ciągnąć. Krok za krokiem odsuwałem się od krawędzi, a po własnych śladach na śniegu mogłem ocenić, ile za każdym razem Bentein uniósł się znad półki. Wszystko szło całkiem gładko, tylko czasami Elza ostrzegała, że Bentein o coś zawadził; wówczas zwalniałem trochę linę i zaczynałem ciągnąć od nowa.

Z radością powitaliśmy jego ukazanie się na krawędzi. Elza chwyciła go za wiatrówkę i pomogła wyciągnąć na górę.

Zawlekliśmy Benteina do baranicy i postawiliśmy go na nogi. Ale złamał się wpół jak składany nóż i upadł w śnieg.

– Wody! – jęknął.

Otrzepałem go ze śniegu i owinąłem baranicą. Potem ułożyłem na tobogganie. Elza wlała mu do ust jakiś płyn z termosu.

Chwilę później zjawił się Chudy. Dyszał, był ledwie żywy i wręczywszy mi jedzenie oraz termos zwałił się jak długi w śnieg. Dwa ludzkie wraki. Zabrałem się do śniadania. Muszę coś włożyć do gęby.

– Słuchaj, Bentein – zwróciłem się do tłumoka

z baranicy. – Zaraz polecę po insulinę dla ciebie. Cieszysz się z tego?

Nie skinął głową. Odwrócił twarz w drugą stronę.

– Chudy mnie o to prosił. No, dobra. Na zdrowie. Chudy, aleś wyczynił piekielnie mocną mieszankę! Morderca! Chciałeś, żebym wykitował, czy co?

Wąskie plecy Chudego podrygiwały konwulsyjnie. Leżał na brzuchu i starał się złapać oddech.

– Przepraszam – wyjąkał chrapliwie.

– Bentein! Kiwnij głową na znak, że mówisz „tak”. Czy prosisz mnie grzecznie o to, abym ci zrobił przysługę?

Nie kiwnął głową. Leżał nieruchomo.

– Ha! Nie chce się upokorzyć. Nieprzyjemne sprawy pozostawia innym. Potrafi wystękać „wody!”, ale nie może wystękać „tak” albo „dziękuję”. No proszę, jak to jest.

Jadłem i piłem, ale właściwie czułem niesmak do siebie za własne postępowanie. Widocznie rozgniewało ono i Elzę, która spytała:

– Dlaczego pan chce koniecznie, żeby Bentein sam poprosił? Czy panu nie wystarcza to, że człowiek potrzebuje pomocy?

– Cicho, Elza! – odezwał się Chudy. – Nie wiesz, co mówisz.

– Owszem, wiem, co mówię. Pan Bragesson zupełnie niepotrzebnie dokucza choremu człowiekowi. To chyba potrafię ocenić.

– A dlaczego to pani tak się interesuje moim postępowaniem? Czy może dlatego, że siedziałem w więzieniu?

– Nic podobnego.

– A może pani nie podoba się, że ja tu zajadam śniadanko przed czterdziestokilometrowym spacerkiem?

– Wybacz jej, Brage. Elza jest śmiertelnie zmęczona i wyczerpana.

– Twoja żona wyraża stosunek opinii publicznej wobec byłego więźnia. Na zdrowie! Nieważne, że zostałem uniewinniony! Skąd! Na zdrowie! Tego by jeszcze brakowało, żebym miał wyrzuty sumienia, bo pierwszy raz dzisiaj coś jem! Pani Chudzińska, dlaczego pani tak na mnie patrzy? Proszę się odwrócić! Proszę mi dać zjeść w spokoju! Proszę nie odbierać mi apetytu!

Elza rozdziawiła usta.

Chudy powiedział:

– Zrób to, o co prosi, Elza. I zrozum Bragego. Bo musisz wiedzieć, że Bentein był tym dziewiątym.

Elza jeszcze szerzej rozdziawiła usta i ciężko oddychała; spojrzała na mnie, potem na Benteina, potem znów na mnie, wreszcie zaczęła się jękać,

że przecież Sigurd raz... nie, kilka razy mówił, że nie wierzy, aby...

– Chudy, czy ty nigdy nic nie podejrzewałeś, jeżeli szło o niego? Rozumiem, byłeś przekonany, że ja jestem szalony. Zawsze sądziłeś, że mam lekkiego bzika. Znalazłeś też na to naukowe potwierdzenie. Wybuchowy psychopata. Brutal z de Rechtsbank. Gdy jednak zostałem uniewinniony, co wtedy? Czy wtedy też nic nie podejrzewałeś?

– Widzisz... ja... no, bo przecież to mógł być ktoś inny...

– Ten dziewiąty? Nie!

Milczenie. Dalej jadłem śniadanie. Byłem zły.

– Czy on mógł wpłynąć na twoje uniewinnienie, Brage?

– Oczywiście. Ale sam by na tym zasłużył. Muszę kończyć śniadanie. Czy nie moglibyście się stąd zabrać? I to zaraz! Przeszkadzacie mi! Przez was się rozgadałem!

– Zaraz, Brage. Natychmiast ruszamy.

Lecz nagle bez żadnego wstępu zaczyna poważny wykład o cukrzycy i śpiączce cukrzycowej.

Cukrzyca, według jego słów, jest chorobą przemiany materii, polega na zaburzeniu przemiany węglowodanowej. Zamiast ulec zupełnemu spaleniu, węglowodany zostają wydzielane z moczem w postaci cukru gronowego, a w następstwie tego

wzmaga się przemiana tłuszczowa i tworzą się duże ilości szkodliwych kwasów, tak zwanych ketonokwasów, spokrewnionych z kwasem masłowym, o ile wiem, co to jest. Ponieważ nie wiedziałem, wyjaśnił dalej, że wzrost tych kwasów w organizmie powoduje tak zwaną acydozę, czyli kwasicę, czyli zatrucie kwasowe. To z kolei prowadzi do śpiączki cukrzycowej, zupełnej utraty przytomności i w końcu do śmierci, jeżeli na czas nie wstrzyknie się insuliny.

Bentein ma pragnienie i nudności, bóle żołądka i napady wymiotów, oddycha głęboko i jego oddech przypomina zapach owoców, jest bliski omdlenia, nie rozróżnia dobrze rzeczy przed oczyma, z trudnością się wysławia i jego senność przejdzie ostatecznie w śpiączkę, która skończy się śmiercią, jeżeli insulina o przyspieszonym działaniu...

– Tak, tak. Dzięki ci za tę przerażającą historię – przerwałem. – Ale to zupełnie zbędne.

Chudy zamilkł speszony.

Wkrótce wstałem, zarzuciłem plecak, umocowałem go i spojrzałem na Benteina. Leżał z zamkniętymi oczyma.

– W gruncie rzeczy, Bentein, wcale by mnie to nie wzruszyło, gdybyś ty mnie prosił. A więc, moi państwo, będę gnał tak, jakby sam diabeł deptał mi po piętach z wiadrem gorącej smoły.

Wtedy Chudego ogarnęło wzruszenie:

– To jest... to jest... wielkie...

– Przymknij się! Lepiej życz mi szczęśliwej podróży! To pomoże!

To mówiąc, ruszyłem w drogę i zacząłem się wspinać na szczyt lodowca Örnebre. Daleko za mną Chudy krzyczał:

– Szczęśliwej drogi, Brage!

Pozbywszy się ich towarzystwa, odczułem wielką ulgę. Z każdym krokiem było mi lżej na sercu.

Na szczycie Örnebre przystanąłem i spojrzałem za siebie w dół. Zobaczyłem, że tam daleko poruszają się trzy czarne punkty, które powoli oddalały się ode mnie.

Wspaniały widok: ogromna, biała przestrzeń z trzema małymi postaciami ludzkimi, a na północy, nad Skagetem, wznosi się jakiś olbrzym. Rośnie coraz wyżej i wyżej, wkrótce obejmie potężnym ramieniem nawet Skaget. Wszystko jest kwestią czasu, i to krótkiego.

Burza śnieżna z północy! Olala! Ale ja zdążam na południe.

A więc zobaczymy, olbrzymie, kto z nas pierwszy dotrze do hotelu!

Hej, kolosie! Zmierzymy się siłami!

– Hej, ha! – wrzasnąłem, odbijając się kijami. Zaczynał się zjazd. I czy mi się tylko zdawało, że

jakiś głos z głębi lodowca Örnebre dodawał mi otuchy?

– Tak, ty mój wielkoludzie, ty mój kochany!

Dokładnie tak, jak podczas zawodów w dawnych latach, jak podczas biegu. Siv ukazała się nagle na trasie i dopingowała mnie, gdy przebiegałem obok niej.

– Przed tobą Bentein i numer szesnasty! Nie daj się! Weź ich obu!

– Hej, dziewczyno!

Przez jezioro – na przodzie plecy Benteina. Na jeżdżam na niego i wołam: „Droga!”. On zwiększa tempo. Znów wołam: „Droga! Czy nie znasz sportowych obyczajów?”. Niechętnie mnie przepuszcza.

Hej! Jeszcze raz Siv ukazała się obok trasy, a tak ślicznie wyglądała na tle świerków, że przerwałem bieg i skręciłem ku niej. Było to pod koniec marca, w powietrzu już pachniało wiosną, świeciło słońce i śnieg topniał pod jego promieniami.

– Hej! Hej! Ha! Hej! Hej! Ha! Już pędzę do ciebie. Boże, jak ja ciebie kocham!

– Cha! Cha! Cha! Oszalałeś zupełnie! Nie, żadnych głupstw teraz! Wracaj na trasę!

– Ale twoje oczy proszą, żebym został.

– Zobacz. Zamykam oczy.

– Twoje usta proszą, żebym został.

– O, Brage! Dalej, dalej, dalej!
Dalej. Dalej.
Insulina. Insulina.
O przyspieszonym działaniu.

Jak to możliwe, że Benteinowi przepadł cały zapas insuliny? Pytanie nie jest obojętne. Należy na nie zwrócić uwagę właśnie dlatego, że ten fatalny błąd popełnił człowiek będący z natury pedantem.

Jedno jest pewne: decyzję przyspieszenia wiosennego urlopu o prawie dwa miesiące powziął Bentein nagle i zrobił wszystko w tym celu, aby wyjechać możliwie jak najprędzej. Z jakiegoś powodu lub może nawet z wielu powodów zależało mu na wyruszeniu w góry przed Wielkanocą, a przed wyjazdem zdradzał liczne objawy niepokoju i zdenerwowania. Jego najbliżsi dziwili się, ale jedyne wyjaśnienie, jakie podał, brzmiało, że w tym roku chce spędzić urlop zimowy właśnie w tym czasie i tym miejscu.

Zupełnie naturalnie nasuwa mi się przypuszczenie, że musiał istnieć jakiś związek między moim pobytem w górach i nagłym wyjazdem Benteina. Mam prawo sądzić, że chciał zrobić coś, co mnie dotyczyło. Ale co? Jakie sprawy ciągnęły go jeszcze

raz do „brutala z de Reichtbank”?

Musiałoby to być coś bardzo pilnego, skoro się tak bardzo zmienił, stał się nerwowy i rozdrażniony. Wpadał też czasami w egzaltację i mówił o górach z zachwytem, który wcale do niego nie pasował.

Wyobrażam sobie, że gdy w Oslo pakował plecak, jego myśli też błądziły gdzie indziej. W każdym razie pewne jest, że pierwotnie zamierzał umieścić insulinę w samym środku plecaka, bo gdy jego matka martwiła się cukrzycą i długą wyprawą w góry, Bentein uspokoił ją między innymi zapewnieniem, że zapakuje lekarstwo bezpiecznie między innymi rzeczami. Pierwsze przygotowania były więc dokładnie przemyślane, zgodnie ze zwyczajną Benteinowską pedanterią. Ułożył wszystkie potrzebne diabetykowi rzeczy na stole, jak na wystawie, żeby przed zapakowaniem stwierdzić, czy czegoś nie brakuje. Był tam więc na przykład spirytus do dezynfekowania, strzykawkę, igły i insulina. Jako ciężko chory diabetyk musiał wszystko dokładnie przewidywać i przy wyjazdach zaopatrzyć się nie tylko w zwykłą porcję insuliny, obliczoną na cały okres podróży, lecz również w pewien zapas lekarstwa i zapasową strzykawkę. Tym razem także o tym wszystkim pomyślał. Każda strzykawka leżała sobie pięknie w niklowanym paratusie, otoczona igłami. Wszystkie fiołki insuli-

ny owinał dokładnie w watę i włożył do termosu. Wiedział bowiem to, o czym nie wszyscy diabetycy wiedzą, że insulina sporządzana jest w roztworze wodnym i nie znosi temperatury niższej niż pół stopnia poniżej zera. Zwykły termos stanowi dla niej dostateczne zabezpieczenie podczas transportu w górach.

Do tego momentu Bentein czynił wszystkie przygotowania nienagannie, mimo że był trochę nieuważny i roztargniony.

Potem jednak nastąpił wypadek, który jeszcze bardziej wzmógł jego roztargnienie. Właśnie gdy sprawdzał jedną ze strzykawkę, jego młodszy brat, czternastoletni zbytnik Jörgen, wpadł do pokoju, zatraskując za sobą drzwi z takim hukiem, że zatopiony w myślach Bentein na dobre się przestraszył. Zatrząśł się ze złości, „zrobił się siny na gębie”, jak opisywał później Jörgen, i gwałtownie odłożył na stół strzykawkę, aby mieć wolne ręce i móc dać młodszemu bratu nauczki. W podnieceniu trącił jednak nogę stołu, tak że strzykawka upadła, a nałożona na nią igła wbiła się w podłogę i złamała.

Sprawiwszy lanie Jörgenowi i wyrzuciwszy go z pokoju, Bentein wrócił do pakowania bardzo rozdrażniony. Myślami musiał też krążyć całkiem gdzie indziej, bo przerwał sprawdzanie przygoto-

wanych rzeczy i z wielkim pośpiechem skończył pakować plecak. Igieł miał dostateczny zapas, więc tę złamaną wyrzucił, a strzykawkę włożył do paratusa. Potem zaczyna działać coraz szybciej, jakby w panice. Paratusy ze strzykawkami wkłada do jednej zewnętrznej kieszeni plecaka, a termos z insuliną do drugiej, i przestaje już o tych rzeczach myśleć aż do czasu, gdy przyjdzie mu ich użyć. Jest zdenerwowany, nie czeka na Chudego i jego żonę, tylko sam pędzi na dworzec, mimo że ma jeszcze mnóstwo czasu. Pośpiech zupełnie niepotrzebny.

Tak więc insulina i strzykawki znalazły się w najbardziej eksponowanej części plecaka. Mimo to zarówno termos, jak i metalowe paratusy jako tako wytrzymały uderzenia i przy pewnej ostrożności wszystko mogło się dobrze skończyć. Nic się jednak nie kończy dobrze wówczas, gdy ktoś zachowuje się w moich górach z błazeńską brawurą.

Björnehiet i Nordablaas leżą na północy, hotel na południu. Zimą można przejechać samochodem na gąsienicach z hotelu aż do wschodniego krańca Kvitskaret. Mieszkańcy Björnehiet często korzystali z tego środka lokomocji i tak zrobili również tym razem.

Jest to droga okrężna. Najpierw biegnie szosą

z hotelu wprost na południe, a więc w przeciwnym kierunku, potem skręca na wschód i częściowo na północ, ciągnie się brzegiem jeziora wzdłuż masywów górskich za Digerhö, wreszcie zawraca na północny zachód aż do wschodniego krańca Kvitskaret, gdzie weasel musi spasować. Stamtąd już idzie się na nartach przełęczą pod kopą Velsehö, mija Velsehö w drodze na szczyt Örnebre, a potem zostaje tylko zjazd na mokradła i podejście do Björnehiet.

Moja droga z hotelu biegnie przez teren, na którym są bardziej strome i znacznie trudniejsze zjazdy. Oprócz tego przechodzi przez typowe obszary lawinowe, ale dla wprawnego narciarza, znającego okolicę i grożące niebezpieczeństwa, nie jest to znów takie groźne, może nawet stanowić przyjemność.

Przy użyciu samochodu na gąsienicach droga wynosi ponad siedemdziesiąt kilometrów, wliczając w to przebywany na nartach odcinek z Kvitskaret. Chudy z żoną i przyjacielem Benteinem przybyli do Kvitskaret dwudziestego drugiego lutego; przywiózł ich tam weasel. Panowała piękna pogoda i doskonałe warunki narciarskie. Wszystko więc im sprzyjało. Gdy jednak tacy chorowici ludzie, jak Bentein, cierpią równocześnie na manię udawania atletów, może dojść do nieszczęścia.

Mając tak ważne dla siebie rzeczy zapakowane w plecaku bez należytego zabezpieczenia, Bentein poruszał się w moich górach z błazeńską brawurą, a jeżeli wierzyć Chudemu, to nawet jodłował wesoło, puszczając się wariackim szusem z Kvitskaret. Owszem, jestem z całym uznaniem dla narciarskich umiejętności Benteina, lecz zawsze należy brać pod uwagę możliwość upadku, a już szczególnie wtedy, gdy ktoś jest diabetykiem i ma przy sobie insulinę w termosie. No i stało się – dobry klaun zawsze z wywracania się robi całe przedstawienie – na stromym zjeździe ze szczytu Örnebre ku mokradłom Bentein stracił panowanie nad deskami, przewrócił się i jak beczka potoczył w dół jakieś pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt metrów.

Najpierw trafił na twarde muldy lodowe. Upadł do tyłu i plecak złagodził pierwsze uderzenie. Pojchawszy kawałek na plecaku, zdołał wstać, aby jednak zaraz ponownie stracić równowagę i runąć w dół; wtedy właśnie potoczył się po śniegu i lodzie jak żywa beczka. Leciał w dół, wywracając koźły na wszystkie strony, aż zakończył tę podróż w ten sposób, że łbem utknął w śnieżnej zaspie.

Wspaniale. Wygramolił się z tej zasy i po stwierdzeniu, że – dziwnym trafem – nic nie zламаł, otrzepał się dokładnie ze śniegu i bez słowa ruszył dalej.

Jakże typowe dla Benteina. Bez jednego słowa. Bez żadnego komentarza. Bez najlżejszego uśmiechu. Tylko ta ponura powaga i ta głęboka irytacja z powodu upadku.

Chudy i jego żona też nie przyjęli tego z humorem. Wiedzieli, że Bentein jest święty i nietykalny, że nie lubi żartów na swój temat; należało go zawsze traktować z najwyższym szacunkiem, taktem i wyrozumiałością, teraz więc nie wolno go było rozdrażniać śmiechem lub dowcipnymi uwagami. Trzeba go było zostawić w spokoju, aby wyparowała zeń złość za ten upadek, za ten narciarski kiks, naprawdę nie pasujący do jego ambicji i umiejętności sportowych.

Nie, w towarzystwie Benteina rzadko dochodziło do śmiechu i zabawy. Wielu ludzi odczuwało to tak, jakby stale promieniowała od niego powaga zabijająca wszelką wesołość; coś w jego nerwowej osobowości tłumiło w zarodku objawy dobrego humoru otoczenia. Dla tych jednak, którzy nie przejmowali się jego usposobieniem, potrafił być nieograniczonym źródłem wesołości. Mnie osobiście okropnie komiczny wydaje się uroczyście nadęty osobnik, który potyka się na progu i nie widzi w tym nic śmiesznego. Mogę też sobie dokładnie wyobrazić, co by było, gdyby Bentein usiadł na torcie z kremem. Z głęboką odrazą dotknąłby tego

obrzydlistwa na siedzeniu, a potem z nadąsaną miną powędrował do najbliższej łazienki.

Raz na zabawie klubowej Bentein pośliznął się, tańcząc polkę z Siv... Upadając, pociągnął ją za sobą i potem twierdził, że ktoś zrobił „głupi kawał” i podstawił mu nogę. Oczywiście nie ja, bo właśnie wtedy stałem w drzwiach i zapychałem się kawałkiem tortu. – Kto mi podstawił nogę? – wołał Bentein wojowniczo. – Ależ nie, Bentein, to było tylko małe nieszczęście – uspokajała go Siv ze śmiechem.

Wspaniale. Bentein stanął na nogi i ruszył dalej bez jednego marnego słowa. Tamci dwoje próbowali przyłożyć mu na ranę kojący balsam w postaci rozmowy o „wspaniałych górach”. Lecz nikomu z całej trójki nie przyszło na myśl zastanowić się nad tym, że ten gwałtowny upadek mógł zaszkodzić insulinie. Bentein upadł przecież do tyłu, plecak zamortyzował więc impet pierwszego uderzenia, ale co nastąpiło potem? To, że oderwała się sprzączka przy klapie na jednej kieszeni plecaka i gdy Bentein robił któryś z kolejnych kozłów, termos z insuliną wyleciał i zaczął się toczyć w dół, coraz dalej i dalej, aż prawdopodobnie zniknął za krawędzią urwiska spadającego do doliny Langfjell. Kto zresztą może wiedzieć. W każdym razie nigdy go nie znaleziono, tego termosu.

Zrozumiałe, że Bentein nie zauważył, jak termos wypadł. Również zrozumiałe, że nie zauważyli tego Chudy z żoną, bo w chwili upadku „króla nart” byli daleko za nim. Ale fakt, że „król nart” po upadku nie sprawdził plecaka, a idąca za nim para poddanych nie zauważyła nic nadzwyczajnego w wyglądzie królewskiego ekwipunku, już ten fakt pozwala zakwalifikować ich wszystkich jako sportowe ofiermy. Tak bywa, gdy jeden traci rozum z chorobliwej ambicji, a inni tylko potakują zarozumialcowi.

Dotarli do Björnehiet. Tego samego wieczoru Bentein stwierdził katastrofę i wszystko mogłoby jeszcze przybrać lepszy obrót, gdyby natychmiast uderzył na alarm. Zamiast tego jednak pycha poddyktowała mu nadzieję, że sam potrafi odnaleźć termos. Nawet na pół ślepy staruszek, pomyślał, dałby sobie radę ze znalezieniem takiego dużego, w każdym razie dość dużego i w dodatku błyszczącego termosu. Późnym wieczorem udaje się więc samotnie pod szczyt Örnebre i długo szuka przy świetle latarki. Zmęczony, ale nie zniechęcony, wraca do Björnehiet i spokojnie przesypia noc w przekonaniu, że w termosie insulina jest zabezpieczona przed działaniem mrozu przez wiele dni. Czy myśli o opadach? O nowym śniegu? Nic podobnego. Spotkała go zresztą niezasłużona nagro-

da w tym sensie, że do 25 lutego nie było żadnych opadów. Czy jednak bierze pod uwagę działanie wiatru i tworzenie się zasp? Bóg jeden wie.

Dnia 23 lutego do południa trąci wiele cennych godzin na szukanie wokół miejsca upadku, męczy się przy tym i przekreśla w ten sposób wszelkie szanse dotarcia na czas do hotelu. Nadzieja każe mu jednak dalej grać tę tragikomedię i po południu znów wraca do poszukiwań, ciągle utrzymując sprawę w tajemnicy, tłumacząc się „potrzebą samotności”. Wydaje mu się, że jeżeli zakwaszenie organizmu już się zaczęło, to kwasica jest w stadium powolnego rozwoju, a ponieważ bardzo przestrzega diety, jest nadal przekonany, iż ciągle ma jeszcze dość czasu na ostatnią próbę „załatwienia sprawy we własnym zakresie”. Ale pojawiły się już objawy nieleczonej cukrzycy: ma nadmierne pragnienie, oddaje mocz częściej i w większych ilościach, czuje też lekkie zamroczenie, a może nawet trochę nudności.

Bentein, choć taki pedant, widocznie nie zdawał sobie dostatecznie sprawy z istoty swej choroby, bo gdyby ją znał, wiedziałby, że jeżeli u ciężko chorych diabetyków nagle wstrzyma się podawanie insuliny, kwasica rozwija się bardzo szybko. Nie ulegało zaś wątpliwości, że należał do ciężko chorych diabetyków. W dodatku przeziębził się, lekko

wprawdzie, lecz miał gorączkę, co tym bardziej wymagało zastosowania insuliny. O tym również powinien był Bentein wiedzieć, a jeżeli wiedział, to decydował się na piekielne ryzyko.

Student medycyny Sigurd Chudy też chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że owo przeziębienie samo przez się stanowiło sygnał alarmowy. Zauważył wprawdzie, iż Bentein gorzej wygląda, lecz dał się uspokoić słowami o „niewielkim i przemijającym zakatarzeniu”.

Bentein wyrusza więc pod Örnebre po raz trzeci. Gdy szuka tam swego życiodajnego eliksiru, przychodzi mu nagle na myśl, że termos mógł się przez krawędź urwiska potoczyć do doliny Langfjell. Aby dokładnie zbadać tę możliwość, zaczyna odmierzać krokami odległość między miejscem upadku a krawędzią i dochodzi do przekonania, że ta ewentualność jest mało prawdopodobna. Tuż przed zachodem słońca jeszcze raz jednak wraca do zbadania tej możliwości i na występie skalnym zauważa jakiś przedmiot błyszczący w śniegu, który natychmiast bierze za swój termos. Ponieważ półka skalna leży dwadzieścia metrów poniżej krawędzi i ściana urwiska jest niemal prostopadła, rozumie, że potrzebna jest lina i odkłada zejście na półkę do następnego dnia, gdy będzie zupełnie jasno. Obok krawędzi znajduje duży ka-

mień, który może służyć do zaczepienia liny. Nabiera więc przekonania, że jednak potrafi w pojedynkę odzyskać zgubioną insulinę.

Już wtedy musiał mieć osłabioną zdolność rozumowania, bo ani przez chwilę nie pomyślał o tym, że było rzeczą niemal wykluczoną, aby termos mógł się zatrzymać na tak eksponowanym miejscu. Wraca do Björnehiet w dość optymistycznym nastroju, choć bardzo zmęczony i ze strasznym pragnieniem. W nocy śpi niespokojnie, kaszle, prawdopodobnie wzrasta mu gorączka, w miarę upływu czasu brak insuliny staje się wyraźniejszy, trochę drzemie, ale często wstaje, szukając po ciemku wody lub nocnika. Tym budzi Chudego, który pyta, czy nastąpiło jakieś pogorszenie związane z cukrzycą. Nie zdając sobie prawdopodobnie sprawy z głębszego znaczenia własnych słów, Bentein odpowiada, że „to przeziębienie wywołało może jakieś komplikacje”. Chudy uważa to za zupełnie prawdopodobne, radzi więc Benteinowi pozostać przez następny dzień w łóżku.

Po tej nocy stan Benteina znacznie się pogorszył i Sigurd ma nazajutrz wrażenie, że w oddechu chorego wyczuwa zapach owoców. Oprócz tego zdaje mu się, że Bentein oddycha głębiej niż normalnie i ma senny wzrok. Chudy ustala, że przeziębienie pogarsza objawy cukrzycowe, jeszcze raz

zatem radzi Benteinowi, by leżał w łóżku i bardzo dokładnie przestrzegał diety i dawek insuliny. – Nie ulega wątpliwości – mówi do przyjaciela – że twój organizm potrzebuje więcej insuliny niż zwykle. Proponuję więc, żebyśmy spróbowali dziś dać ci jeden dodatkowy zastrzyk. – Ale Bentein uważa, że wszystko wkrótce przejdzie, uśmiecha się do Chudego i prosi, aby się o niego nie martwił.

No cóż, Chudy nie ma zielonego pojęcia o tym, że Bentein nie brał insuliny od rana 21 lutego, daje się więc łatwo uspokoić. Na wszelki jednak wypadek zostaje przy nim jakiś czas, pielęgnuje go i nakłania do ostrożności.

Bentein znalazł się między młotem a kowadłem. Zdaje sobie sprawę z tego, że kwasica wystąpiła zbyt szybko i może mu pokrzyżować plany opuszczenia się na półkę skalną, wobec czego najchętniej pobiegłby niezwłocznie nad urwisko. Ale Chudy i jego żona otaczają go troskliwą opieką i nie pozwalają mu wyjść. Bentein jest wprawdzie przyzwyczajony do stawiania na swoim, ale zna również Chudego i wie, że ten nie da się przekonać. Może by więc Chudy pomógł mu opuścić się tam na dół? Albo może nie pozwoli mu w ogóle wyjść i będzie sam szukał. Może nawet wezwie pogotowie górskie?

Tak, coś mu się wydaje, że sprawa nie przedsta-

wia się całkiem bezpiecznie, czuje się dość niepewnie i sennie, a w dodatku coś go kusi, aby poprosić Chudego o pomoc. Ale... tak, właśnie to „ale”; najchętniej „załatwiłby sprawę” na własną rękę, pod tym względem jest zupełnie niepoprawny.

Pojmuje niektóre rzeczy, lecz nie rozumie ich dość wyraźnie. Eliminuje wszystko, co przemawia przeciw. Jego wyobraźnia wraca uporczywie do tego, że termos, że insulina jest właśnie tam, a choć wstydzi się okropnie upadku pod lodowcem Örnebre, jeszcze bardziej wstydzi się następstw tego upadku. Jego ambicja, jego pedanteria, jednym słowem wszystko w nim buntuje się przeciw takiemu nonsensowi, jak myśl, że ktoś miałby się o niego troszczyć niczym o niemowlę. Nie chce być aż do tego stopnia przedmiotem litości, nie chce w ogóle, żeby ktoś się nad nim litował, gdy więc Chudy z żoną wyruszają wreszcie na górę Trollhorn, Bentein wstaje, ubiera się i na chwiejnych nogach wychodzi, zabierając zwój liny. We własnym przekonaniu jest doskonale przygotowany; ubrał się przecież wyjątkowo ciepło, wszystko podwójne, a w kieszeni ma strzykawkę. To prawda, że czuje się bardzo osłabiony – a zna przecież objawy, już raz miał śpiączkę, wtedy gdy stwierdzono u niego cukrzycę – ale mimo wszystko wierzy, że jeszcze jakiś czas wytrzyma, może ze dwa dni, bo

dłaczego tym razem kwasica miałyby się rozwinąć tak raptownie, jeżeli ostatnim razem wcale tak szybko nie wystąpiła? Wtedy czuł się chory przez wiele, wiele dni, zatrucie i śpiączka rozwijały się bardzo powoli i stopniowo, we własnym więc przekonaniu jeszcze dużo czasu dzieliło go teraz od tego stadium, w którym będzie zupełnie bezradny. A w dodatku, i to jest ważne, wcale nie planował, że zaraz wydrapie się z półki z powrotem na górę. Nie, najpierw opuści się na dół i temu musi podołać, nawet chociaż czuje się słaby, senny', i ma różne inne dolegliwości... może już widzi wszystko trochę jak przez mgłę...? Ale opuszczanie się na dół nie wymaga aż tak wielkiego wysiłku, a gdy raz znajdzie się tam na dole, będzie miał insulinę, będzie uratowany, wyjmie z kieszeni strzykawkę i po napełnieniu jej zrobi sobie zastrzyk, a potem będzie czekał, aż zbawczy płyn zacznie działać i wtedy... dopiero wtedy... z odzyskanymi siłami... zacznie się wspinać z powrotem na górę.

Dochodzi do krawędzi urwiska. Odgarnia śnieg i dokładnie umocowuje linę. Rzuca ją w przepaść i widzi ją podwójnie. Dwie liny. Widzi je jak przez mgłę. Chociaż powietrze jest czyste. Wzdryga się. Wie, co to znaczy. Momentalnie dostaje bólu brzucha i nudności. Na chwiejnych nogach krąży w kółko i wymiotuje.

Zastanawia się, czy nie iść za Chudym na górę Trollhorn, ale porzuca tę myśl. Nie potrafi zająć tak daleko, a może ich nie odnajdzie...

Potem rozważa inną możliwość, czy nie odłożyć zejścia na półkę, póki Chudy nie wróci i będzie mu mógł pomóc, ale i tę myśl odrzuca. Pogoda jest ładna, wkrótce będzie zachód słońca, sporo czasu może upłynąć, zanim Chudemu przyjdzie ochota wracać do domu. A przecież tu na dole jest insulina, na Boga, to, co błyszczy w słońcu, musi być insuliną! Musi dać sobie radę! Da sobie radę! Musi dać sobie radę!

Chwyta za linę. Powoli i ze strachem opuszcza się na dół, lecz nie do insuliny. To, co błyszczało w słońcu, było tylko gładkim, okrągłym kamieniem, pokrytym lodem. Ten właśnie kamień sterczał ze śniegu.

W panice próbuje Bentein wspiąć się z powrotem na górę, lecz jest za słaby, za słaby! Nie ma już siły! Ramiona nie chcą go unieść, porusza się tak jak dziecko chore na Heinego-Medina, stęka jak zdychające ciele, które usiłuje się podnieść, zapiera się nogami o skalną ścianę, ale nogi się ślizgają, bo ścianę w wielu miejscach pokrywa lód, ślizga się więc i wspina od nowa, wspina i ślizga, udaje mu się przełożyć jedną rękę ponad drugą, ale te przekłete ramiona zawodzą go dziś zupełnie,

a gdy chce się wspiąć po linie jeszcze przy pomocy nóg, poryw wiatru kołysze nim i rzuca bezlitośnie o skałę – jak wahadło zegara kiwa się tam i z powrotem, tik-tak, tik-tak, i buch o ścianę, a jeżeli teraz puścisz chłopcze linę, runiesz czterysta metrów w dół, a ostre jak nóż i twarde jak kość piargi zrobią z Ciebie prawdziwą siekaninę, i długo, długo poleży to pożywienie dla lisów w tymczasowej spizarni, głęboko ukryte w śnieżnej zaspie, a matka zaleje się gorzkimi łzami i kobiety będą wzdychać: „Taki przystojny chłopiec i zginął!”, pastor zaś wypowie piękną mowę o przedwczesnej śmierci i o wyrokach boskich: „Nic nie dzieje się na tym świecie bez woli Najwyższego. Amen”.

Rezygnuje. Wszystko jest beznadziejne, czy wiatr wieje, czy nie. Zaczyna wzywać pomocy. Nikt go jednak nie słyszy. Słońce zachodzi, godzina mija za godziną i Bentein woła o ratunek, a jest coraz ciemniej i zimniej. Próbuje się rozgrzać gimnastyką, lecz na występie skalnym jest za mało miejsca, drży więc z zimna, jest bezgranicznie wyczerpany i czuje, jak kwasica rośnie i rośnie w jego ciele, które woła o insulinę! Insulinę! Insulinę! Oddech głębszy... kurcz chwyta go za nogi... nowy atak wymiotów, żołądek się w nim przewraca... noc już zapadła, godziny płyną, godziny mijają, a gdy nadchodzi nowa doba, dwudzie-

stego piątego lutego, wie, że skończy życie na tej półce skalnej wystającej z urwiska, które opada ku dolinie Langfjell. Tak, tak, myśli (tak twierdził), a więc nieznane już się zbliża.

Dopiero nazajutrz około piątej Chudy zauważył przy krawędzi urwiska narty i kije Benteina.

Gdy opuściłem tych troje i na nartach pobiegłem na południe, Bentein był przytomny i później – już w Björnehiet – opowiedział Chudemu historię poszukiwania insuliny tak, że można się było domyślić reszty. „Sam dałbym sobie radę” – brzmiał powtarzający się refren. A chociaż zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, był spokojny i dobrej myśli. Ten dziewiąty, ten słabeusz z gazowym pistoletem ani przez chwilę nie wątpił, że brutal z de Rechtbank, wybuchowy psychopata, człowiek, który powinien być na zawsze odizolowany od społeczeństwa, zdąży mu na czas dostarczyć insuliny.

Czterdzieści pięć kilometrów z Nordablaas do hotelu przebiegłem w maksymalnym tempie. Wytrzymałem wszystkie siły i nie zmarnowałem nawet jednej sekundy. Gdy nabrałem odpowiedniego rytmu, szło mi już dobrze. Płuca i serce pracowały równo i sprawnie jak maszyny. Mniej więcej w połowie drogi miałem wprowadzić okres zmęczenia,

lecz po kilku kilometrach potrafiłem je zwalczyć. Dopingiem do tego ogromnego wysiłku było napięcie nerwowe, świadomość, że chodzi o życie ludzkie, wreszcie nastrój jakby zawodów sportowych, który wiązał się z tym biegiem. Przewróciłem się dwa razy; pierwszy raz na ostatniej muldzie pod szczytem Örnebre. Zeskoczyłem zbyt mocno, zła małem lewy kij, straciłem równowagę i upadłem. Wydobyłem więc zapasowy kij i ruszyłem dalej na południe.

Nigdy jeszcze tak szybko, jak tym razem, nie wspinałem się na Hampetrossefallet. Prawie biegłem w górę po pionowej ścianie i niemal wisząc w powietrzu, czepiałem się liny krótkimi, gwałtownymi chwytami. Ręce tak mi się przy tym rozgrzały, że miałem uczucie, jakby w każdej chwili mogły się od nich zapalić konopne sploty.

Świetny sport. Z początku miałem jednak kłopoty z wiatrem. Najpierw stał się uporczywy, a potem silny. Był zmienny, nagle porywy przychodziły to z boku, to z tyłu. Naciągnąłem na głowę kaptur wiatrówki i ruszyłem dalej przygotowany na to, że nagle uderzenie wichru z boku może mnie rzucić o ziemię. Do tego nie doszło, lecz nic bardziej nie złości, niż takie podskakiwanie przy każdym podmuchu i oczekiwanie potem na nowy atak wichury. Człowiek tylko zgrzyta zębami z gniewu.

Czy wiesz, bracie, kto to jest król Wicher? Z tym panem nie ma żartów. Jego królestwo to góry zimową porą. Dwieście razy w roku ugania po szczytach. Latem bywa zdrową, pocieszną małpą, ale w zimie, w zimie, wtedy jest chytrym tyranem posługującym się oszustwem i podstępem, czatuje za plecami dalekich olbrzymów, kryje się za słoneczną i bezwietrzną pogodą, wabi nieostrożnych turystów daleko, daleko w głąb „wspaniałych, słońcem oblanych gór”, a potem nagle zwala się na nich, zaciekle potrząsa wysokogórskimi schroniskami, tańczy po śnieżnych polach, kręci się w kółko, szumi i śpiewa, huczy i wyje, bije i kopie, rozrywa i rozdziera, jęczy i syczy, gna i przewraca, i przesłania słońce, zdusza krajobraz, młóci śnieg, miele go na drobny pył, zbija go w zaspę, wymiata stoki i ubija je tak, że są twarde jak kość, jak stal. A jeżeli jesteś zbyt lekko ubrany, jeżeli nie masz dość zaprawy, jeżeli jesteś z dala od domu, wtedy biada ci, wtedy nawieje ci drobnego śniegu w każdy fałd odzienia, w rękawy, w nogawki i za kołnierz, zrabuje ci twoje ciepło, tak że wreszcie musisz się położyć, aby odpocząć, a wtedy ogarnia cię senność, wkrótce przestajesz odczuwać ból i wierzysz, że wszystko obróci się na dobre – ale jesteś już trupem, bracie, jesteś trupem!

Po wichurze nadchodzi niewielka burza, a po tej

małej większa, może się nawet zdarzyć, że w pobliżu czai się nawałnica. Jeżeli zaś bóstwom pogody tak się spodoba, zjawia się ostatecznie przekleństwo, delikatne tchnienie „Zmierzchu bogów”: huragan.

A teraz posłuchaj, bracie. Zawsze byłem na baki z bogami pogody, ale posłuchaj, co mi się przydarzyło obok kopy Veslehö. Tam wiatr zdecydował się dąć wprost z północy, a ja wędrowałem na południe. Inaczej mówiąc: stały wiatr w plecy. Taka rzecz zdarza mi się raz w każdy rok jubileuszowy... Podejrzliwie krzyknąłem „ho, ho!”, ale tym razem oto, co się zdarzyło: diabelny wiatr pomógł mi właśnie, podmuch wiatru niósł mnie przez dalszą część drogi.

Hej, czy zdarzyło ci się kiedyś w górach, żeby wiatr popychał cię po błyszczącym i skrzypiącym śniegu? Hej, kilometry wydają się wtedy krótkie, poruszasz się jak pod żaglem, płyniesz niemal, po każdym odbiciu kijem pokonujesz dystans kilkakrotnie większy niż podczas bezwietrznej pogody.

Czterdzieści pięć kilometrów z Nordablaas do hotelu. Nie wiem nawet, kiedy tam dotarłem, musiało to być wcześniej rano. Termometr przy wejściu wskazywał dwadzieścia sześć stopni zimna. A więc mróz robił się coraz gorszy.

Byłem z siebie ogromnie zadowolony. Dotrzymanem obietnicy danej Chudemu, gnałem jakby sam

czort gonił za mną z wiadrem gorącej smoły. Zakończyłem ten bieg w całkiem dobrej formie, mięśnie miałem rozluźnione i elastyczne, choć przy odpinaniu nart i wchodzeniu do hotelu trochę dyszałem, tak, dyszałem trochę, czułem trochę zmęczenia i pragnienia. Lecz przede wszystkim czułem radość, upajającą radość i zadowolenie, że miałem już tę drogę za sobą i że spełniłem swój obowiązek.

Teraz stałem znów na hotelowej werandzie. I chyba musiałem być rzeczywiście solidnie wyczerpany, bo zwałem się na wiklinowy fotel z taką siłą, że mebel aż zatrzeszczał podejrzenie. Chciałem trochę wypocząć. Musiałem wypocząć, żeby nie wiem jak potrzebny był pośpiech. Nie chciałem odkładać sprawy, lecz musiałem odpocząć, by móc mówić. Chrypiąc i sapiąc, nie potrafiłbym sprawy dokładnie przedstawić.

Te czterdzieści pięć kilometrów stanowiło jednak niemały wyczyn. Przekonałem się na nowo, że ciągle dysponuję potężną siłą fizyczną.

Prawie widziałem siebie jako bohatera dnia. Brakowało tylko wiwatującego tłumu, wrzasku głośników i kolegów nadbiegających, aby mnie unieść w górę.

Raz mnie tak niesiono. I na pewno zasłużyłem na to samo także 25 lutego roku 1960. Mógłbym

jeszcze stanąć do ciężkich zawodów, a dwadzieścia osiem lat to nie taki znów posunięty wiek dla zawodnika w biegach narciarskich.

W pewnej chwili usłyszałem dochodzący z hallu śmiech i brzęk szkła. Jakiś głos szepnął:

– Spójrz, on znów tu jest.

Drugi głos odpowiedział:

– Kto?

Pierwszy głos:

– Ten z blizną.

Drugi głos:

– Rzeczywiście. Dziś też wygląda na szaleńca.

Uniewinniony, powiadasz?

Pierwszy głos:

– Tak, uniewinniony.

Wstałem, wszedłem do hallu i powiedziałem z najbardziej anielskim uśmiechem:

– Niewinnie skazany, proszę panów.

Zaczerwienili się oczywiście, kłaniali, pocili ze wstydu i rozpływali w przeproszeniach. Żeby ich źle nie rozumiał.

– Nie, co do panów trudno się pomylić – odparłem. – Przecież Barabasz wyglądał podobno odpychająco, natomiast Judasz na pewno był człowiekiem budzącym zaufanie.

Trafiłem celnie. Obaj zniknęli.

Akurat przechodził Wampus. Zatrzymałem ją

i poprosiłem:

– Daj mi ze dwie butelki piwa słodowego i lekarza.

Uśmiechnęła się kokieteryjnie, pytając, co ma być najpierw – piwo, czy lekarz? Odpowiedziałem jej uśmiechem, i to widocznie dostatecznie wymownym, bo skinęła głową tak, jakbyśmy zawarli porozumienie.

Znalazłem sobie krzesło. Usiadłem. Drzwi do salonu stały otworem, dochodziła stamtąd muzyka z płyt i zgiełk wesołych głosów. Na stole stały butelki, kieliszki, szklanki, a w powietrzu kłębiły się chmury dymu tytoniowego. Jakaś młoda kobieta w elastycznych spodniach i z wysoką fryzurą przedefilowała obok mnie, kołysząc biodrami, rzuciła mi pytające spojrzenie – o cóż, do licha, mogła mnie pytać? – i takim samym wyzywającym krokiem skierowała się do salonu. W drzwiach jednak przystanęła i odwróciła się ku mnie z uśmiechem, który zdawał się mówić: Dlaczego siedzisz tam ze smutną miną? Chodź lepiej do nas i zabaw się trochę.

Ale ja znam kobiety tego typu. Znam ten mizdrzący się i kołyszący biodrami rodzaj, to panie z kurzymi mózdkami, tęskniące za spermą i małżeństwem, małżeństwem za każdą cenę. E, wolę piwo słodowe! A jeżeli już miałbym się z kimś

przespać, to wolę dziewczynę z prawdziwym i uczciwym sexem, jak Wampuś. Morowa z niej dziewczyna. Zadowala się samym zmysłowym przeżyciem, świetnie potem prosperuje. Zwolenniczka nieszkodliwej erotyki...

Lekarz jakoś nie nadchodził. Zjawił się natomiast pleciuga z Kleopatram na ręku. Przywitał mnie jeszcze nachalniej niż zwykle.

– Wielkie nieba! Wielkie nieba! Brak mi słów! Co za szczęście! Co za szczęście! Brak mi słów! Właśnie ciebie tu potrzebujemy! Witaj, nasz kochany trollu!

– Nie mam tym razem czasu na żadne popisy.

– Hau! – szczeękęła Kleopatra.

– Na taki popis będziesz miał czas. Jeden z moich gości polazł w góry i przepadł, ogromna ekipa wyruszyła na poszukiwania, ale już dwadzieścia cztery godziny szukamy bez skutku. Co teraz robić? Czas nagli, bo zbliża się burza śnieżna! Brage! Ty szczęściarzu! Masz teraz okazję uratowania życia ludzkiego!

– Proszę posłuchać, ja...

– Nie przyjmuję żadnej wymówki! Ty znasz te góry jak własną kieszeń, więc never mind, zaraz ruszaj, już go właściwie uratowałeś, tylko zaraz ruszaj, znasz tu w okolicy wszystkie niebezpieczne zakamarki i pułapki, więc never mind, i jak my-

ślisz, gdzie on może teraz być? Przedwczoraj wyruszył w kierunku południowo-zachodnim...

– Może pan zamknie buzię i posłucha teraz mnie. Zrobiłem już dziś kilkadziesiąt kilometrów, a oprócz tego...

– Nie o to chodzi! Nie o to chodzi! Jeszcze kilkadziesiąt kilometrów nie ma żadnego znaczenia.

– Pan przecenia moje siły, jak zwykle zresztą.

– Nie gadaj bzdur, Brage, nie gadaj bzdur, bo wiesz, że tego nie znoszę. Mówisz tak tylko po to, żeby sobie pokpić ze mnie. Figlarz!

– Nie mam nawet połowy tych sił, które pan mi przypisuje.

– Nie kpij ze mnie, bo wybuchnę. Natychmiast. Żartujesz sobie ze mnie, widzę to wyraźnie. O, o, oczy ci tak błyszczą! Figle ci w głowie! Już brak mi słów.

Rozstawił szeroko nogi i sam sobie chciał zaimponować tą narciarską postawą. A nigdy nie jeździł na nartach.

– Jak myślisz, gdzie mamy szukać?

– Powiedziałem, że nie będę go szukał! Proszę natychmiast przyprowadzić doktora Viana! Sprawa bardzo pilna!

– Doktora Viana?

– Tak.

– Jesteś chory? Ty chory? Nie zgadzam się,

żeby Brage Bragesson chorował! Po prostu na to nie pozwalam. Skończ z tym. Musisz być zdrowy. Zresztą wcale nie wyglądasz na chorego, jesteś tylko trochę spocony i masz ponurą minę, cha, cha!

– Wrrr! – warknęła Kleopatra.

– Proszę wyrzucić tego mopsa. Działa mi na nerwy.

– Ależ Brage, przecież ty tak lubisz zwierzęta.

– Jeszcze raz powtarzam: proszę zawołać lekarza! Czy słyszy pan?

– Słyszę, jasne, ale sam mogę ci dać aspiryny.

– Myśli pan, że zrobiłem czterdzieści pięć kilometrów po aspirynę?

– U ciebie wszystko jest możliwe.

– Przestańmy na dziś żartować!

– Ależ ja przepadam za żartami, Brage. Przecież wiesz. Podczas całej swojej kariery zawsze żartowałem. Tylko u mnie za żartem kryje się czujne oko i ręka, która potrafi uderzyć szybko jak błyskawica. Strzeż się! Widzę, że dziś jesteś inny!

Miałem nadzieję, że uda mi się ominąć pleciugę, ale okazało się to niewykonalne. Musiał pierwszy wszystko wiedzieć.

– Tu chodzi o Benteina Dagestada – oświadczyłem.

– Dagestada? Miałem niedawno bardzo miłą rozmowę z Dagestadem. Mówił też dużo o tobie.

Masz w nim serdecznego przyjaciela, jak wyczułem.

– Pan Dagestad choruje na cukrzycę.

– Gadanie. Na pewno nie.

– Gdy mówię... ech, idiota!

– Co ty mówisz, rzeczywiście choruje na cukrzycę? No, proszę, wcale nie wiedziałem.

– Chodzi o życie lub śmierć.

– Znowu bzdury pleciesz, cukrzyca w naszych czasach nie jest już śmiertelną chorobą. Przepraszam, mam na myśli... co proszę? Burza śnieżna i lawina, ale never mind, mów dalej!

– Wydarzył mu się nieszczęśliwy wypadek i stracił cały zapas insuliny, a jego choroba jest ciężka, teraz grozi mu niebezpieczeństwo, grozi mu śpiączka i jeżeli w najbliższym czasie nie dostanie zastrzyku insuliny o przyspieszonym działaniu, to umrze, rozumie pan? Rusz się pan! Niech pan natychmiast przyprowadzi doktora Viana!

– Ależ na miłość boską, dlaczego od razu tego nie powiedziałeś?

– Bo pan bez przerwy mełł ozorem.

– Ale przecież mogłeś wtrącić...

– Niech pan przyprowadzi doktora Viana, bo inaczej...

– Dobrze, już dobrze, postaram się o wszystko, ale musisz sam dostarczyć insulinę Dagestadowi.

– Niech pan najpierw postara się o lekarza i insulinę, a potem porozmawiamy, kto z nią pojedzie.

– Hau! – szcześnie Kleopatra.

– Kochany piesulek – wymamrotał pleciuga i podreptał po lekarza. Wkrótce zjawił się z młodym, opalonym mężczyzną. Doktor Vian. Brage Bragesson. Przy przedstawieniu wyraziliśmy wzajemne zadowolenie.

– Gdzie jest insulina? – spytałem.

– A o co chodzi? – odpowiedział pytaniem doktor Vian.

Powtórzyłem, że idzie o sprawę życia lub śmierci i jeszcze raz spytałem, czy ma szybko działającą insulinę. Miał, rzecz oczywista. Sam zresztą chorował na cukrzycę i wyraził zdziwienie, że jakiś diabeł mógł wyruszyć w góry bez insuliny.

Zapisać kredą w kominie: pleciuga nie powiedział ani słowa. Znów musiałem zacząć od nowa:

– Dagestad miał ze sobą insulinę, ale pod Örnebre upadł i zgubił cały zapas. A jeżeli pan będzie teraz pytał o dalsze szczegóły, nie mam czasu na opowiadanie. Potrzebna insulina o przyspieszonym działaniu, i to natychmiast!

Doktor Vian stanął na wysokości zadania i wkrótce wrócił z lekarstwem.

Ale pleciuga zdradzał podniecenie:

– Czy wolno mi zapytać, to jest śmiem zapytać:

kto dostarczy insulinę panu Dagestadowi?

– Musi się znaleźć ktoś, kto się tego podejmie – odparłem, zwracając się tym razem do lekarza i dodając, że zrobiłem już długą drogę. Doktor Vian odpowiedział:

– Trafił pan na niefortunny moment. Już wezwaliśmy jedną ekipę pogotowia górskiego i wszyscy jej członkowie uczestniczą teraz w poszukiwaniach. Zupełnie niemożliwe jest ściągnąć tu któregoś z nich.

– Ależ oczywiście możemy znaleźć kogoś, kto to zrobi! – krzyknął pleciuga z zapalem – tylko na to trzeba czasu. Musielibyśmy zatelefonować po nową ekipę, a to potrwa. Tymczasem sprawa jest pilna, o ile dobrze zrozumiałem, nie ma czasu do stracenia, prawda?

– A tu nie ma nikogo, kto mógłby to zrobić?

– Co ty sobie wyobrażasz, Brage, że tu jest ośrodek sportowy?

– Może wśród gości znajdą się silni i chętni mężczyźni?

Doktor Vian poparł ten pomysł, ale pleciuga jeszcze bardziej się zdenerwował, pobiegł do okna i wskazał na niebo:

– Proszę zobaczyć! Na północ. Tam właśnie leży ten szalas. Proszę spojrzeć na groźne, czarne chmury kłębiące się nad horyzontem! Burza z pół-

nocy!

Przemawiał jak poeta.

– Czego pan chce? – wymachiwał mi rękami przed nosem i widocznie uważał, że zasłużyłem na karę w postaci tytułu „pan”. – Czy pan nie wie, że zapowiedziano burzę, groźną burzę z północy? Wybieranie się dziś w góry to narażanie życia na niebezpieczeństwo. A skoro wiemy, że ma być burza, i skoro ja sam odradzałem dziś gościom wypraw w góry, to musi pan, do wszystkich diabłów, zrozumieć, że nie mogę teraz pójść do tych samych gości i namawiać, żeby jeden z nich albo kilku wyruszyło na długą wyprawę. I to twoją trasą, mój drogi Brage. To jest przecież czyste samobójstwo, kochany przyjacielu!

W gruncie rzeczy miał słuszość. Namawianie kogoś na tak długą wyprawę w tak trudnym terenie, w burzę śnieżną i przy takim mrozie równało się prawie, a może i całkowicie, wyrokowi śmierci. Z drugiej strony nie było w tej propozycji przymusu, oznaczała apel o udzielenie pomocy bliźniemu w potrzebie, ale nie przymus. Wystąpiłem więc z wnioskiem, że skoro plecuga nie może zwrócić się z takim apelem do swoich gości, ja mogę to zrobić. Nic na to nie odpowiedział, patrzył tylko na mnie z przestraszoną i ponurą miną.

Nie mogliśmy oczywiście przyjąć pierwszego

z brzegu zapaleńca, który zgłosiłby się jako kandydat na bohatera. Musieliśmy mieć jakąś gwarancję, że zna góry i zdaje sobie sprawę z tego, co go czeka. Spytałem więc pleciugę, czy wśród gości są mężczyźni obeznani z górami. Nie wiedział, nie miał zielonego pojęcia. Oświadczył natomiast:

– Mogę tylko przypuszczać, że gdyby tacy byli, to zgłosiliby się do naszej akcji ratunkowej.

– A czy apelowano do gości?

– Co? Nie, nie było potrzeby. Mieliśmy przecież pod ręką fachowców.

– Cóż, w takim razie możemy spróbować – powiedziałem.

Na to doktor Vian rzucił uwagę:

– Czy pan sądzi, że ludzie naprawdę otrzaskani z górami spędzają urlopy w takim hotelu, jak ten?

– Nic nie można z góry przewidzieć – obstawałem przy swoim. – Trzeba spróbować. Do tego nie trzeba znów mistrza narciarskiego.

– Cha! Cha! – krzyknął pleciuga.

– Wrrr! – warknęła Kleopatra.

– Powtarzam, że nie musi to być wcale mistrz narciarski! Może pojechać wozem gąsienicowym okrężną drogą aż do Kvitskaret i stamtąd zupełnie wypoczęty pójść dalej na nartach. Może też posługiwać się mapą i kompasem.

– Wóz gąsienicowy? – pisnął pleciuga, uderzając

się po brzuchu. – Boże wielki! Weasel bierze udział w naszej akcji ratunkowej! Zresztą dziś rano był tu jeden z członków ekipy pomocniczej po jakąś część zamienną do silnika, który nawalił kompletnie.

O ile nam wiadomo, weasel stoi teraz opuszczony gdzieś w górach.

– Jak na zamówienie! – krzyknąłem wściekle.

– Nie, drogi Brage, musisz mi darować, ale ja znam tutejsze góry. Znam, znam je dobrze! Ho! Ho! I widzisz, mój przyjacielu, sprawa tak się przedstawia, że czas nagli. Trzeba pójść najkrótszą drogą. A która droga jest najkrótsza? Odpowiedź brzmi: twoja trasa! A ilu ludzi potrafi ją przebyć, w dodatku przy takiej pogodzie? Odpowiedź brzmi: tylko jeden! Dla wszystkich innych byłaby to zwykła próba samobójstwa. Ten, kto podejmie się zadania, musi znać teren jak własną kieszeń, musi być silny jak niedźwiedź, wytrzymały jak rosomak i ciężki jak słoń. Mniejsze stworzenia wiatr zdmuchnie, cha, cha!

– Opowiada pan bzdury – mruknąłem.

– Co mówisz, mój drogi? Czy nie widziałem na własne oczy – a pamiętaj, że nie używam okularów, nigdy nie używam okularów! – czy nie widziałem, jak robiłeś te swoje eksperymenty dotyczące warunków podczas burzy śnieżnej?

– To było na równinie, bardzo blisko hotelu. I byłem wtedy wypoczęty.

– Ale udowodniłeś, że potrafisz się zorientować w najgęstszej zamieci i przy najgorszym wietrze! Właśnie! Przy najgorszym wietrze!

– To całkiem coś innego.

– A czy nie widziałem, jak zarzucałeś sobie na plecy ogromne ciężary i ruszałeś tą samą trasą? Czy nie mam podstawy do tego, aby dziś też oczekiwać od ciebie czegoś równie wielkiego?

Lekarz obserwował mnie ciekawie:

– Jeżeli człowiek bez mistrzowskich umiejętności narciarskich mógłby łatwo podołać temu zadaniu przy pomocy wozu gąsienicowego, to chyba pan też potrafiłby dać temu radę w podobny sposób.

– A cóż właściwie pan doktor o mnie wie? Przecież nie może pan wiedzieć, jak ja się teraz czuję. Zrobiłem już dzisiaj na nartach czterdzieści pięć kilometrów po ciężkim terenie, rozumie pan? A tego faceta, Dagestada, już dzisiaj raz ratowałem, wyciągnąłem go z półki skalnej nad urwiskiem! Nie jestem przecież nadczłowiekiem!

– Czaruje – szepnął pleciuga. – Z półki skalnej, powiadasz? Z urwiska? Jak żyję, nigdy jeszcze...

– Panowie! – przerwał mu doktor Vian. – Nie ma czasu do tracenia. Dagestad musi jak najszyb-

cię dostać insulinę!

– Więc proszę, niech pan coś zrobi! Pan chyba powinien wiedzieć, że niezależnie od wszystkiego musi się go przewieźć do szpitala. Dlaczego więc pan sam czegoś nie zrobi? Niech pan zadzwoni po pogotowie ratunkowe i niech pan nie będzie taki skory do przerzucania odpowiedzialności na innych!

Doktor Vian spiesznie odszedł.

Rozważyłem sprawę dokładniej. Pleciuga miał oczywiście rację twierdząc, że wprawdzie można by się postarać o nową ekipę ratunkową, lecz to zajęłoby dużo czasu, może wiele godzin. Tymczasem to jest sprawa życia lub śmierci, dosłownie wyścig ze śmiercią. Dalej: oczekiwać pomocy ze strony tej ekipy, która teraz prowadzi poszukiwania, byłoby rzeczą nierealną. Jeżeli zadanie ma mieć jakiś sens, trzeba je wykonać jak najszybciej. Według moich przypuszczeń Bentein był już w stanie śpiączki, nieprzytomny, i zgodnie z przewidywaniami Sigurda śmierć krążyła już w bezpośredniej bliskości.

W tej chwili pleciuga znów rozpuścił jęzor:

– Mówiąc uczciwie, Brage, nic nie pojmuję. Ta sprawa pasuje do ciebie jak ulał. Znasz teren dokoła lepiej niż ktokolwiek inny, od maleńkości włóczysz się po tych górach, jesteś wreszcie mocny

jak tytan. Mówiąc uczciwie, co znaczy dla ciebie tych dodatkowych kilkadziesiąt kilometrów? Hm...? Oczywiście będzie burza, ale możesz w razie potrzeby zagrzebać się w śnieg. Robiłeś to już tysiące razy. Mógłbyś więc spróbować. Ty, specjalista w szukaniu schronienia pod śniegiem. Hm...?

– A dlaczego to pan tak hojnie szafuje moim życiem?

Zdenerwował się:

– Brage, co się z tobą dzieje? Nie poznaję cię zupełnie! I dlaczego patrzysz na mnie takim wzrokiem?

– Ja żyję, panie dyrektorze – szepnąłem.

– Więcej niż żyjesz. Ty tryskasz życiem. Nie zapominaj o Siv. Pamiętaj, co Siv powiedziała: że ty tryskasz życiem!

– Bzdury!

– Mam już tego dość! Przestań kpić! Już dość strugałeś ze mnie wariata! Nie wystawiaj mojej cierpliwości na zbyt ciężką próbę. Jesteś urodzonym ratownikiem górskim, człowiekiem najbardziej do tego powołanym, masz serce gorące i wielkie jak u niedźwiedzia, jesteś człowiekiem z charakterem, jesteś idealistą, jesteś wspaniałomyślny, masz silną wolę, męską decyzję i stuprocentową odwagę. A więc bierz nogi za pas i ratuj życie Benteinowi Dagestadowi! A zresztą już tak jakbyś

był w drodze. Tylko nic nie mówisz, żeby ze mnie pożartować. Ej, chłopcze, ja cię znam! Patrzcie, znalazł się figlarz! Morowy z ciebie chłop, Brage. Nie ma drugiego takiego, jak ty! Ty jesteś, do diabła, prawdziwym mężczyzną, i chyba więcej nie muszę mówić, chyba...

– Zamknij się pan, do jasnej cholery! – syknąłem.

– Ależ na miłość boską, Brage! Przecież tam leży chory człowiek i może umrzeć. Mało tego, w takiej sytuacji jest nawet pewne, że umrze!

– Pan nie wierzy w to, że chcę go uratować? Oczywiście, że chcę. Zdecydowanie. Trzeba jednak próbować zrobić to jak najrozsądniej. Potrzebny jest ktoś wypoczęty. Ja mogę być brany pod uwagę tylko w ostateczności.

W tym momencie usłyszeliśmy z salonu okrzyki radości. Wielu gości wstało z miejsc i pobiegło na podwórze. Pleciuga momentalnie stwierdził przyczynę tego zamieszania. Zaginiony gość – hokus pokus – powrócił! Na podwórzu inni goście otoczyli go ze wszystkich stron, a on stał wśród nich jak bohater dnia. Był to rudy mężczyzna średniego wzrostu, mocno zbudowany, z zadartym nosem i biegającymi, niemądrymi oczyma.

Wkrótce wszedł do hallu, otoczony całą czeredą. Był zmarznięty na kość i wyczerpany, mimo to tłu-

maczył donośnym, egzaltowanym głosem:

– O co właściwie tyle hałasu. Miałem tylko ochotę przenocować pod gołym niebem w śpiworze. Wspaniałe przeżycie.

– O, zupełnie jak pierwotny człowiek! – zachłysnęła się podziwem jakaś Dunka, prawie nieprzytomna z uwielbienia dla tej męskiej siły.

Ale pleciuga przybrał groźną minę. Podniósł do góry tłusty palec i zwrócił amatorowi pierwotnych wrażeń uwagę na to, że wysłano na poszukiwania za nim całą ekipę ratowniczą.

– Hau! – szczeknęła Kleopatra.

– Ekipa ratownicza? Nikogo na oczy nie widziałem – zachichotał bohater dnia z wyraźną dumą.

– Tak się nie postępuje, proszę pana! – krzyknął pleciuga.

– Ależ drogi panie, pan przecież wie, że ja dobrze jeżdżę na nartach. *Am I not, friends? A good skier?*^[39]

Jakiś głos odpowiedział po angielsku:

– *Oh, yes, indeed, you are. He is a very good skier, sir*^[40].

– *But this was dangerous!*^[41] – wrzasnął pleciuga. Zresztą my nie wiemy, czy pan jest dobrym narciarzem. Dobry narciarz nie wyrusza z hotelu bez zostawienia wiadomości, dokąd się wybiera, a nie idzie również za głosem instynktu i nie nocu-

je na śniegu w śpiworze po to, aby przeżyć zimową noc pod gwiazdami! Nie!

Czyjś głos po szwedzku:

– *Vansinnigt! Vansinnigt, min herre!*^[42]

Jakiś głos niemiecki:

– *Was los? Der Wiking zurückgekehrt?*^[43]

Potem jakiś przymilny głos kobiety, niewyraźny od nadmiaru dzinu z lemoniadą, zaczął prosić pleciugę, aby przestał się gniewać. W końcu bohater ze swiłą ruszył do salonu, a po drodze całe towarzystwo śpiewało chóralnie: „*For he’s a jolly good fellow!*”.

Wtedy spostrzegłem, że bohater dnia kuleje. Gotów bym zadusić go gołymi rękoma, tego zarozumiałego durnia, przez którego bezcenna w tej chwili ekipa ratownicza zajęta była niepotrzebnym przetrząsaniem gór. A wkrótce miała się na nas zwalić burza. Słyszałem już za oknami wycie wichru, po niebie pędziły ciemne chmury. Wszystko wyglądało groźnie i odstraszająco.

Wściekłem się jednak na to wszystko i oświadczyłem, że sam wyruszę na północ, w pojedynkę. Pleciuga objął mnie głęboko wzruszony. Wyrwałem się z jego objęć i tonem sierżanta w koszarach zacząłem wydawać rozkazy:

– Coś do jedzenia! Lekkostrawnego! Biegiem!

– Koniecznie coś lekkostrawnego! – wtórował mi

z zapalem pleciuga.

– I proszę napełnić mój termos gorącym sokiem z czarnych porzeczek!

– Gorącym! Napełnić! – szalał pleciuga jeszcze głośniej. Wyrwał mi termos z rąk, ucałował go – cmok! – i pognął w głąb hotelu. Nareszcie zaczął się ruszać.

Wampus i dwaj kelnerzy, oddani mi na usługi, zaczęli podawać jedzenie.

Poprosiłem doktora Viana, żeby usiadł ze mną. Razem mieliśmy opracować plan batalii.

Czy nawiązał kontakt z nową ekipą ratowniczą? Tak, ale tamci nie potrafili określić, jak szybko zdążą przybyć. Muszą mieć czas na zwołanie ludzi, a droga do hotelu też zabierze trochę czasu. Mają przyjechać z psim zaprzęgiem i samochodem gaśnicowym.

Odczuwałem niepokój. Nogi mi drżały. Lęk był niewyraźny, nawet łagodnie oszłamiający, coś w rodzaju stałego, miłego a równocześnie nieprzyjemnego podeksycytowania w całym ciele.

Którą drogą mam pójść? Czy w tych warunkach moja trasa okaże się najszybsza? Zapowiedziana była przecież burza od północy, co oznacza przeciwny wiatr przez całą drogę. Próbowałem wyobrazić sobie tamtą siedemdziesięciokilometrową trasę. Na niej miałbym wiatr z boku, i to mocny,

a właściwie pewniej idzie się nawet przy mocnym wietrze w twarz niż przy bocznym. A zresztą moja trasa prowadzi raz pod górę, raz na dół, a to oznacza mniejszą siłę wiatru na odcinkach pod górę.

Wobec tego wybrałem moją trasę, jak zwykle zresztą.

Na mapie narysowałem kółko oznaczające Björnehiet, potem wykreśliłem drogę prowadzącą tam od samego hotelu. Naznaczyłem najważniejsze punkty i obiecałem, że będę się starał trzymać możliwie najbliżej swej zwykłej trasy między tymi punktami. W wypadku bardzo słabej widoczności mogę liczyć tylko na kompas. Jeżeli po moim przybyciu do mokradeł burza nie ustanie, będę z najbardziej pedantyczną dokładnością szedł z lodowca Örnebre do Björnehiet według wskazówki kompasu. Wyjaśniłem dlaczego. Podczas burzy śnieżnej ten odcinek może się okazać najniebezpieczniejszy. Nie chciałbym wylądować u stóp urwiska nad doliną Langfjell.

Jeżeliby więc coś mi się przydarzyło, ekipa ratownicza będzie mnie prawdopodobnie mogła znaleźć, pod warunkiem dokładnego trzymania się mego kursu. Dlatego poprosiłem doktora Viana, aby w każdym razie postarał się, by ktoś poszedł już po mnie tą samą trasą. Ja też zasługuję na jakąś opiekę. Ponieważ doktor Vian miał o tym po-

mówić z członkami pogotowia górskiego, dodałem:

– Proszę się też postarać, żeby ten, kto pójdzie w moje ślady, wziął ze sobą rezerwowy zapas insuliny, na wypadek gdyby mnie coś po drodze spotkało.

Jako ostatnią możliwość zaproponowałem, aby doktor spróbował sprowadzić helikopter. Na to odpowiedział, że raz brał udział w udanej akcji ratunkowej po rozbiciu się jakiegoś statku przy brzegu Jaeren. Helikopter ratował marynarzy w ten sposób, że jednego po drugim windował do góry na linie, mimo że siła wiatru była dwakroć większa od tej, którą uważa się za granicę bezpieczeństwa dla helikopterów. Tamtej akcji sprzyjał jednak jednolity kierunek wiatru i stosunkowo dobra widoczność. Tu, w górach, helikopter musiałby przelatywać między niebezpiecznymi szczytami podczas burzy i zamieci śnieżnej. Widoczność byłaby minimalna.

– Ale niech pan spróbuje i tej możliwości – oświadczyłem. – Wiatr może osłabnąć. Może się też przejaśnić. Nigdy nic z góry nie wiadomo. I proszę pamiętać: może zajść taki wypadek, że będę się musiał zagrzebać w śniegu. Dlatego trzeba uruchomić wszystkie rodzaje akcji ratunkowej: Jedną ekipę puścić moją trasą, drugą zaś, ewentualnie z samochodem gąsienicowym, drogą okrężną

do Kvitskaret. A w razie możliwości – helikopter. Wtedy nikt nie będzie mógł nikomu robić wyrzutów, że zaniedbano czegoś, co można było zrobić.

– Słusznie – przytaknął doktor Vian, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

Przy jedzeniu towarzystwa dotrzymywał mi pleciuga ze swym świergotem. Doktor Vian poszedł zamówić międzymiastową. Pleciuga przyrzekł, że natychmiast po powrocie „jego” ekipy ratunkowej, pošle jej członków moim śladem. Musiał jednak zrobić takie zastrzeżenia:

– Jeżeli po powrocie chłopcy będą wyczerpani, nie mogę kazać im wyruszyć natychmiast. Ale never mind, Brage, wszystko będzie na pewno w porządku. I pamiętaj, że możesz dostać medal za ratowanie ginących. Napiszę sprawozdanie do odpowiednich instancji. O, nawet już widzę przed sobą gazetę: „Bohaterski wyczyn byłego więźnia i zawodnika Bragego Bragessona”. Albo coś W tym guście. Z fotografią. „W najgorszą burzę wyruszył na ratunek bliźniemu”. Albo: „Wręcz niewiarygodny wyczyn, mówią fachowcy”. A kobiety wzdychają: „Co za mężczyzna! I jego kiedyś podejrzewano o przestępstwo? Tego pełnego poświęcenia, wspaniałego, fantastycznego człowieka, który gotów był ofiarować życie dla bliźniego?”. Tak, Brage. Otrzymasz pełne zadośćuczynienie. Korzystaj z okazji!

Chwytaj Pana Boga na nogi!

– Nie potrzebuję żadnego zadośćuczynienia. Zostałem uniewinniony.

– O, ale taka afera zostawia zawsze pewien osad. Mogę to wyraźnie zauważyć, obserwując moich norweskich gości.

– Co pan zauważył?

– O, never mind, ludzie są poczciwi, ale głupi, wiesz o tym.

– Co oni o mnie mówią?

– Never mind, niektórzy pytają, czy ty jesteś tym Bragem Bragessonem, tym uniewinnionym po oskarżeniu o zbrodnię.

– No i co dalej?

– Never mind, Brage, rozumiesz przecież, że niektórym na twój widok cierpnie skóra i robią takie miny, jakby mieli pewne wątpliwości. Bo też ty wyglądasz dość groźnie, szczególnie teraz z tą bliźną, ale jesteś przecież dużym dzieckiem, dużym, grzecznym dzieckiem, nawet muchy byś nie skrzywdził, chyba we własnej obronie. Jestem tego pewien. Więc teraz jedz, Brage. I pomyśl o medalu za ratowanie ginących.

– A co bym robił z takim medalem?

– Przy uroczystych okazjach przypinałbyś go sobie na piersi.

– Niech mnie pan pocałuje poniżej pleców.

– O, to przykre, naprawdę przykre. Ale ty dasz sobie radę. Masz kolosalne siły, więc never mind, cały czas będziemy o tobie myśleć.

Musiałem się roześmiać:

– To taka nagroda mnie czeka za popisowy występ?

– Popisowy? Przecież widziałem, jak przeprowadzałeś doświadczenia w czasie burzy. A ja bardzo lubię wszelkiego rodzaju doświadczenia. W młodości chciałem zostać inżynierem chemikiem. Ale chyba pamiętasz, jak się na ciebie złościłem, bo tego się nie robi. Po prostu tego się nie robi. Nie rzuca się wyzwania siłom natury tylko dla zabawy. Ale przysięgam, że ogromnie mi imponowałaś, gdy wracałeś podczas zadymki, a wiało tak, że omal cię nie rozgniotło o ścianę, jak muchę. Pamiętasz? Ale gniewałem się, bo tego się po prostu nie robi.

W końcu wszystkie przygotowania zostały ukończone. Przypiąłem plecak i chwilę stałem jeszcze w hallu, w tym momencie zadzwonił telefon i plecigu pobiegnął go odebrać.

– Nie podoba mi się to, że pan rusza w taką pogodę samotnie – powiedział doktor Vian i tą uwagę pomógł mi wyobrazić sobie, jak to za kilka godzin będę leżał ze złamaną nogą w górach podczas burzy śnieżnej, przy dwudziestu sześciu stopniach

mrozu – a za sprawą bogów pogody wkrótce mogło być tych stopni trzydzieści, nie, czterdzieści albo nawet czterdzieści pięć! Zwyczajne nadstawianie karku!

Nie mogłem się dłużej powstrzymać i poszedłem do salonu. Panowała tam ożywiona atmosfera, jeszcze świętowano powrót tego durnia, kilka par tańczyło. Poprosiłem o spokój. Momentalnie zaległo milczenie. Musiałem wyglądać naprawdę groźnie, bo zrobiła się taka cisza, jakbym wszystkich naraz zakneblował.

Opowiedziałem im więc wszystko, o zadaniu, którego się podjąłem, o śmierci grożącej człowiekowi, jeżeli na czas nie dostarczę mu szybko działającej insuliny. Nic nie ukrywałem:

– Boję się – powiedziałem. – Boję się iść sam. Dlatego chciałbym spytać, czy wśród państwa jest jakiś dobry narciarz i czy zechciałby mi towarzyszyć. We dwóch łatwiej damy sobie radę.

Chwila ciszy. Ktoś tłumaczy moje pytanie na angielski i niemiecki. Zaraz wstał jakiś najwyżej osiemnastoletni chłopiec i aż palił się do ratowania życia ludzkiego. Nie mogłem przyjąć jego oferty. Jakaś starsza pani westchnęła: „Bogu dzięki”.

Zapytałem bez osłonek:

– Nie ma nikogo odważnego?

Śmiertelna cisza. Stałem prawie w roli oskarży-

ciela, który żąda tortur albo kary śmierci przez wolne wieszanie.

– Przecież chyba niemożliwe jest wyruszać w taką burzę śnieżną? – szepnął jakiś głos.

– Tak, to jest prawie niemożliwe – odpowiedziałem. – Ale ten człowiek leżący o czterdzieści pięć kilometrów stąd na pewno umrze, jeżeli nie dostanie insuliny. Nawet wyruszając w burzę śnieżną, mamy większe szanse zachowania życia, niż ten chory, który tam czeka. I pomyślmy: każdy z nas mógłby być tym potrzebującym pomocy. Ludzie, przecież każdy z nas mógłby być w podobnym położeniu!

Strugałem bohatera, do jasnej cholery. Poczulem mdłości z obrzydzenia do siebie samego i spytałem wprost grubiańsko:

– Nikt inny?

Wtedy wreszcie z kanapy w ciemnym rogu pokoju podniósł się jakiś wysoki mężczyzna. Podeszedł do kręgu światła.

Pastor Johannes Staervik!

Do wszystkich diabłów! Zupełnie o nim zapomniałem.

Pastor Staervik!

Pastor Staervik w kompletnym stroju narciarskim. Pastor Staervik opalony i dobrze wyglądający – służyła mu pogoda, wiatr i wysoka stopa ży-

ciowa. Pastor Staervik – nadal jeden z gości luksusowego i drogiego hotelu. Ten hipokryta: „Dziękuję panu za to, że mi pan dokuczał. To karząca ręka Boga dziś pana tu zesłała”.

Ponuro i zdecydowanie powiedział:

– Idziemy?

W ten sposób zgłosił się do mojej wyprawy ratunkowej, a jego przygnębienie dawało się łatwo rozszyfrować: Poprzedniego dnia organizowano inną akcję ratunkową. Staervik nie zgłosił się do niej. Zawstydzony, z wyrzutami sumienia wobec samego siebie i Pana Boga, długo nie mógł zasnąć, potem, 25 lutego, wstał bardzo późno i ubrał się w strój narciarski nic nie wiedząc o nadciągającej burzy, zjadł obiad, posłuchał komunikatu o pogodzie, rozsiadł się w salonie – a wtedy ja się zjawiłem. Nastawiał uszu i słyszał, o co chodzi, ale nie mógł niepostrzeżenie zwać, bo jedyne drzwi z salonu prowadziły do hallu, gdzie ja robiłem tyle zamieszania i byłem gotów schwytać go w swoje szpony. O tym wiedział. Dlatego znalazł sobie w salonie ciemny kąt, coś jakby niszę, i miał nadzieję, że go tam nie dostrzegę.

Rzeczywiście go nie dostrzegłem. Własny wstyd wypędził Staervika z tego ciemnego kąta na światło dzienne.

Jak wszyscy inni duchowni, nieraz używał wiel-

kich i wzniosłych słów o miłości bliźniego i poświęcaniu się dla drugich, teraz zaś zrozumiał, że nie ma prawa wygłaszać takich kazań, chyba że poprzez je własnym przykładem. Stał więc świadomy tego, że został zdemaskowany, i wstydził się potrójnie – przede mną, przed sobą samym i przed Panem Bogiem.

Miał znacznie więcej ode mnie moralnych pobudek do podjęcia się tego zadania. Miał swoją wiarę i swego Pana Boga, co nakładało nań określone obowiązki niezależnie od względów osobistych i rodzinnych. Ja nie miałem jego wiary i jego Boga, tylko jakiś głos wewnętrzny zawsze nakazywał mi działać wtedy, gdy nikogo innego nie było pod ręką. W dodatku Staervik nie znał tej osoby, której miał się przysłużyć, Bentein był dla niego zwykłym bliźnim, cierpiącym bliźnim, podczas gdy dla mnie był cierpiącym wrogiem; ja sam odcierpiałem swoje przez Benteina. Jedynym powodem, dla którego Staervik mógłby nie podjąć się zadania, byłby ewentualnie zły stan zdrowia albo niedostateczne opanowanie jazdy na nartach. Dlatego zapytałem go o te dwie rzeczy. Odpowiedział – cicho, bardzo cicho – że jest zdrowy i że jeździł trochę na nartach w górach, zresztą przez kilka lat pełnił obowiązki duszpasterskie za kołem polarnym, ma więc nadzieję, że jego kondycja fizyczna okaże się

wystarczająca, ale nie może oczywiście nic obiecywać, nigdy zresztą nie przeżywał burzy śnieżnej w szczerym polu.

Szybko skoczyliśmy na pierwsze piętro, gdzie Staervik miał pokój. Pomogłem mu przy pakowaniu i postarałem się, by o ile możliwości niczego nie zapomnieć.

Potem nastąpiło wzruszające pożegnanie z gośćmi, którzy ubrani w płaszcze i powiewające szale otaczali nas zwartym tłumem. Szczęśliwej drogi, bądźcie ostrożni, nie ryzykujcie niepotrzebnie, pamiętajcie!

Pleciuga ścisnął mnie serdecznie za rękę, choć raz w życiu milczał i był naprawdę wzruszony. Jakiś pan, którego nigdy przedtem nie widziałem, zbiegł ze schodów, wołając, że nie może nawiązać łączności, ich aparat musiał się zepsuć.

– Czyj aparat? – zapytał pleciuga, odwracając się zirytowany ku przybyłemu.

– Ekipy ratunkowej, ma się rozumieć. Musimy znaleźć kogoś, kto ich odszuka i poinformuje, że...

– O tym pomówimy później. Najpierw wyekspe-
diujmy tych. Brage! Brage! Gdy zajdzie potrzeba,
zakop się w śnieg! Nikt ci tego za złe nie weźmie!
Rób, co się da! Staraj się! Szczęśliwej drogi!

Ale drzemiący w nim bufon musiał dać w końcu znać o sobie. Pełen zachwytu krzyknął: – Mężczyź-

ni! – a mnie znów ogarnęło to idiotyczne uczucie, że jestem przygodą stworzoną przez niego, tego niezrównanego geniusza.

Dziękowałem i kłaniałem się na wszystkie strony, lecz właśnie w momencie, gdy mieliśmy się pierwszy raz odbić kijkami, jakaś kobieta przywarła do Staervika. Ze łzami błagała, aby został.

Jego żona.

Zirytowany odwróciłem się i spojrzałem w kierunku Trollnuten. Prawie cały szczyt skrył się za chmurami i śniegiem. Zamieć musiała szaleć tam diabelna, bo nawet tu na dole gnały już przed oczyma pojedyncze płatki śniegu. Robiło się też ciemno. Coraz ciemniej.

Nie mogłem znieść płaczu rozpaczającej kobiety. Czułem się wobec niej jak egoista, jak człowiek, który w celu uratowania własnej skóry zabierał jej jedyne szczęście. Nie wiem nawet, jak bym postąpił, gdyby Staervik nie zachował się bardzo serdecznie, lecz równocześnie stanowczo.

– Pamiętaj o Bogu, Ingeborgo! Wiesz, że to Jego wola, więc zaufaj Mu również dzisiaj. Módl się za mnie! Módl się za nas! – dodał pastor Staervik.

Ruszyliśmy.

Zaczęła się niebezpieczna wyprawa. Czarny i potężny mocarz zdążył nam na spotkanie.

Nie liczyłem wcale na to, że Staervik potrafi wykonać razem ze mną całe zadanie, spodziewałem się jednak, że będę mieć towarzystwo przez spory kawał drogi. Im dłużej, tym lepiej: mogę się przewrócić przy jakimś zjeździe, utknąć w zaspie i nie zdołać wydostać się o własnych siłach, mogę natknąć się na lawinę; jeżeli jednak będzie ze mną ktoś drugi, kto pomoże mi się wygrzebać, mam większe szanse dostarczenia insuliny. Gdybyśmy obaj ugrzęźli, zawsze jest prawdopodobieństwo, że jeden się wydostanie i pomoże drugiemu. Tak, we dwóch łatwiej sobie poradzić w wielu wypadkach. Jak długo Staervik potrafi dotrzymać mi kroku, gwarantuje pewną pomoc, a gdy już nie będzie mógł iść dalej, przyjdzie mi wykopać dla niego dziurę w śniegu, ułożyć go tam w śpiworze i podążyć dalej samotnie – z insuliną o przyspieszonym działaniu.

Przez pierwsze pięć kilometrów Staervik spisywał się doskonale, szedł długimi, pewnymi krokami, z mocnym odbiciem. Kipiał dosłownie energią i ochotą, wielokrotnie mnie doganiał i nawet wyprzedzał. Najpierw byłem zaskoczony i imponowała mi jego postawa, facet zdradzał niezwykle zacięcie do biegów długodystansowych, styl miał niemal idealnie diagonalny; mogłem mu jedynie zarzucić, że robi trochę za długie kroki i wyrzuty kij-

kami, przez co obciąża ramiona bardziej niż trzeba, ale pomyślałem, że widocznie jest piekielnie silny i może sobie na to pozwolić.

– Dobrze jeździsz na nartach! – krzyknąłem w jego stronę. Nie zwrócił na to uwagi, a gdy wkrótce zwiększył bardzo wydatnie tempo, zacząłem się zastanawiać, bo albo facet musiał być szaleńcem przeceniającym własne siły, a może również łaskę Opatrzności, albo też fenomenem, który mógłby stanąć do zawodów ze światową elitą biegaczy i w dodatku okazać się zwycięzcą. – Mamy przed sobą długą drogę – zaznaczałem przy wyruszeniu, ale nic to nie pomagało, przeciwnie, jakby na złość brał coraz bardziej mordercze tempo.

Denerwują mnie takie idiotyzmy, rozgniewałem się więc, dogoniłem go i zmusiłem, żeby stanął.

– Pan widocznie wierzy w cuda – powiedziałem.

Patrzyła na mnie twarz skurczona z wysiłku. Ciężko sapiąc, zapytał:

– Jakie cuda?

W groźnym otoczeniu, przy pomrukach nadciągającej burzy, żądanie dokładnego określenia zabrzmiało wręcz komicznie. Ale sprecyzowałem:

– Pan wierzy, że Bóg dopomoże panu w tym wysiłku ponad możliwości, a jeżeli tak dalej pójdzie, to wkrótce się pan przekona, że ze swoim Bogiem jest pan równie samotny, jak ja bez Boga.

Uwaga była prawdopodobnie niepotrzebna i zbyt ostra, facet tak był rozdygotany, że wymagał innego potraktowania, ale nie miałem litości:

– Czy pan zrozumiał? Musi pan oszczędzać siły!

Twarz zaczęła mu drgać w dziwnych skurczach, przypominał niezdarę schwytanego na kradzieży jabłek i na próżno usiłującego udawać niewiniątko przed tym, kto go przyłapał.

– Co, proszę? – spytał wyraźnie rozgniewany, jakby jego dotychczasowa cierpliwość wobec moich wybryków nagle uleciała z wiatrem. – Co, proszę? – powtórzył raz jeszcze, ale już nie tonem pytania, tylko oskarżenia.

– Słyszał pan, co powiedziałem. Proszę zwolnić tempo. Mamy przed sobą długą drogę. I burzę. Proszę to wziąć pod uwagę.

– Burza! – prychnął gniewnie. – Burza!

Odczekałem milcząco, myśląc równocześnie: wstydzi się swego strachu i gniewa go własne upokorzenie, dlatego jego nędzna duszyczka domaga się ukarania mnie, tak jakbym ja był winien jego tchórzostwu.

– Burza! – powtórzył, dodając tonem najświętszego oburzenia: – Mój drogi panie! Burza czy nie burza, naszym obowiązkiem jest dać ze siebie maksimum!

Cóż miałem odpowiedzieć na taki nonsens? Ro-

ześmiałem się, on zaś oblał się ciemnym rumieńcem. Jak ten człowiek potrafi się wstydzić! Żal mi się go zrobiło.

– *All right, Staervik*. Niech będzie. Da pan z siebie maksimum, tylko jeszcze nie teraz. Blisko celu będzie pan mógł się zwalić z wyczerpania, teraz jeszcze za wcześnie. *All right, Staervik?*^[44] Zgoda?

Gdyby dalej się popisował, do reszty bym go zawstydził, mówiąc mu, że już go dawno przejrzałem. Ale on wziął się w garść i poprosił o wybaczenie.

Dziwny manewr: Staervik wiedział, że go przejrzałem na wylot, mimo to chciał się na mnie odegrać, tak jakbym nie wiedział, iż on zdaje sobie sprawę z tego, że go przejrzałem. Albo: może właśnie dlatego, że wiedział, iż go przejrzałem, miałem ponieść karę, jako winny jego upokorzeniu – zupełnie paradoksalne, irracjonalne, ale taki właśnie bywa często umysł ludzki – ja ze swej strony mogłem mu powiedzieć, że go już dawno przejrzałem, chociaż wiedziałem, iż on o tym wie. Teraz prosił o wybaczenie, zdając sobie sprawę, że wiem, dlaczego to robi; nie żeby żałował swego strachu, lecz ponieważ wiedział, że ja wiem, iż upokorzenie skłoniło go do posłużenia się argumentem, że siedziałem w więzieniu i, kto wie, może nawet „nie bez powodu”; stąd ta ukryta insynuacja: „Naszym

obowiązkiem jest dać z siebie maksimum?”. Domniemanie: „Pan, panie Bragesson, nie chce może dać z siebie maksimum?”. I dalsze domniemanie: „Nie, pan nie chce, bo ma pan, biedny grzeszniku, przestępcze skłonności”. Konkluzja: „W tym przedsięwzięciu pan może góruje siłami fizycznymi, lecz ja, pastor Staervik, góruję siłą moralną. To prawda, że wahałem się przez chwilę, wszyscy jesteśmy ułomni, lecz z Bożą pomocą na czas jeszcze przystąpiłem do działania”.

Co by się stało, gdybym tam w salonie nie był tak oględny i zdradził się ze znajomością psychiki ludzkiej; zaczął triumfować i ujawnił jego małostkowość – i to w obecności tak wielu świadków? Może uznałby błąd i w ten sposób uratował swą reputację, lecz bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że w tym stanie umysłu, w jakim się znajdował, raczej szukałby jakiejś kłamliwej wymówki w rodzaju: „Pan się myli, byłem pogrążony we własnych myślach” albo „Czytałem gazetę, pojęcia nie miałem, co się dzieje”, a wreszcie bardzo sprytnie wygrałby ten pojedynek, rzucając uwagę: „No więc teraz chodźmy, Bragesson, nie traćmy cennego czasu na czczą gadaninę”. Później może by powiedział: „Co panu przyszło do głowy, żeby mnie tak oskarżać, Bragesson?” i prosiłby Boga o przebaczenie, a Bóg by mu na pewno przebaczył, bo biedny

grzesznik okazałby głęboką skruchę bezpośrednio Panu Bogu.

Lecz moje względne postępowanie i rezygnacja z triumfu, do którego – co na pewno rozumiał – miałem prawo, bynajmniej nie skłaniały go do poddania się tym większemu upokorzeniu i przyznania się otwarcie do kłamstwa; a ponieważ wiedziony obrażoną dumą popełnił kapitalne głupstwo, teraz łatwiej mógł prosić o przebaczenie niż w wypadku, gdyby przedtem przyznał się otwarcie do kłamstwa. Teraz starczyło słowo „przepraszam”.

– W porządku – przeciąłem sprawę. – Idziemy dalej.

I Staervik skinął potakująco głową.

Od tego momentu ja nadawałem tempo. Poleciałem mu trzymać się tuż za mną, abym mógł go trochę osłaniać przed naporem wiatru. Do tego rozkazu też natychmiast się zastosował. Byłem jednak z niego niezadowolony, nie dlatego że okazał się tchórzliwy, myślał przede wszystkim o własnej skórze i ośmieszył swoje poprzednie słowa o poświęcaniu się dla drugich, i nie dlatego że próżność skusiła go do czegoś, co ja uważałem za idiotyzm – bo pastor, czy nie pastor, jest tylko człowiekiem, a po ludziach spodziewam się takich słabości i wybaczam im je – natomiast drażnił mnie

tym, że po powzięciu postanowienia dalej był słaby, podniecony i nie zrównoważony; w górach potrzebne są właśnie przeciwne cechy – spokój i zimna krew.

Miałem nadzieję, że się jakoś uspokoi.

Na 25 lutego meteorologom udało się przepowiedzieć pogodę dla tej okolicy bardzo trafnie. Wszystko świadczyło, że idziemy na spotkanie piekielnej burzy. Góry się skurczyły, przełęcze, turnie, żleby i lodowce, prawie wszystko zniknęło, majaczyło przed nami tylko podnóże najbliższego masywu.

Choć nie nawiązaliśmy jeszcze bezpośredniego kontaktu z mocarzem, już na pierwszym etapie naszej drogi, na równinie, odczuwaliśmy jego bliskość. Wicher nadciągał w nagłych porywach, uderzał jak taranem i chwilami zupełnie nas zatrzymywał. Z trudem chwytałyśmy wtedy oddech, kuliłyśmy się i siłą odpowiadali na siłę.

Po piętnastominutowym szybkim marszu trafiliśmy na pierwszą nawianą zaspę śnieżną i tam też zaczynało się pierwsze podejście. Na lewo, w zadymce śnieżnej, wznosiła się pionowo potężna, czarna ściana skalna: Nordveggen. Jest to część wielkiego masywu górskiego, którego najwyższymi punktami są szczyty Raudhorn i Trollnuten. Teraz mieliśmy się wspiąć blisko osiemset

metrów w górę wzdłuż Ostveggen na płaskowyż ciągnący się między tymi dwoma szczytami, który miał nas podczas tego podchodzenia osłaniać przed północnym wiatrem.

Pierwszą połowę wzniesienia pokonaliśmy zupełnie łatwo. Echo spod Trollnuten odbijało głos, więc w wesołym nastroju zaśpiewałem bojową piosenkę z czasów dzieciństwa, która kończyła się słowami: „Z drogi, zmykaj ty i on, bo tu idzie Bragesson!”. Potem obejrzałem się, aby stwierdzić, jakie wrażenie ta pieśń zrobiła na pastorze, ale sługa boży został daleko w tyle: zobaczyłem, że ruchy ma sztywne, całe ciało trochę ociężałe, i że oddycha z trudnością. Zwolniłem tempo i krzyknąłem doń, żeby sobie trochę odpoczął.

Bo też wspinaliśmy się właśnie wtedy po bardzo przykrym odcinku, stromym żlebie, który mógłby nas żarłocznie połknąć i zapewne chętnie by to zrobił. Raudhorn i Trollnuten sterczały w niebo jak dwa białe duchy; choć nie widzieliśmy ich poszarpanych, upiornych sylwetek, właśnie między nimi, przez przełęcz, prowadziła nasza droga. Tam już sam czort musi nas obu przenieść! Czułem w sobie siły, które wkrótce wezmą się za bary z mocarzem, pewność zwycięstwa rozsadzała mi rozkosznie pierś. Cha, cha, cha! Staervik obrzucił mnie pytającym spojrzeniem, a ja właśnie wtedy

myślałem: Jakiś ty mocny, Brage! Chyba mógłbyś skręcić kark wołu! O, co za wspaniały sport! Wspaniały sport! Raz podczas silnej wichury ciągnąłem Siv na nartach przez mokradła. Holowałem ją na linie uwiązanej do paska. „Wspaniały koń z mego misia!” – szalała za mną z uciechy, a nie była wcale piórką, było co wziąć do ręki – cudna dziewczyna!

Uwielbiam opór, bo chcę go pokonywać. Uwielbiam zmagania z siłami natury, bo budzą we mnie nowy zapał do życia. A gdy plucha i wichura zwałą mnie z nóg, na czworakach szukam jakiegoś schronienia i cieszę się, bo przegrana też daje dreszcz emocji.

Mógłbym przecież być już tylko wspomnieniem dla nielicznego grona. Mógłbym nie żyć już 25 lutego 1960 roku. Mógłbym paść ofiarą paraliżu dziecięcego. Mógłbym dostać łomem po głowie. Siedmiu młodych bandytów mogło mnie zamordować w „Czerwonym Amsterdamie”. Mogłem utonąć w wodzie, w masie wody... Pewnego razu wypadłem za burtę na wzburzonym morzu, żarłoczna fala porwała mnie w swą paszczę, nikt tego nie zauważył i trzy godziny pluskałem się w wodzie, zanim nadpłynął jakiś kuter rybacki. Trzy godziny. I to w nocy. Mógłbym więc być tylko wspomnieniem dla szczupłego grona i Chudy na próżno by

jęczał: „O, żeby Brage tu teraz był!”.

Na próżno wzywałby mnie Chudy po imieniu. Pomyśl o tym, Bentein! Chudy nadaremnie wzywałby mego imienia ze względu na ciebie!

Gdybyś jednak był uczciwy, mógłbyś na swoją obronę – co za obrona! – powiedzieć, że 25 lutego 1960 roku nie znajdowałbyś się w górach, gdybym ja od dawna już nie żył.

Wszystko się za nami zatarło. Domyśliliśmy się, że na prawo mamy jakieś wzniesienie, które powinno być szczytem Trollnuten. Przed sobą widzieliśmy coraz bliższą ścianę śnieżnej zamieci. Zrobiło się zimniej i bardzo szaro, poruszaliśmy się jakby w coraz mniejszym kręgu. Widzialny świat stale się kurczył.

Po pewnym czasie mój towarzysz przyszedł do siebie, tak że znów mogliśmy przyspieszyć tempo.

Mimo wszystko morowy facet ten pastor Staervik. Potrzebny mu był tylko jakiś wstrząs, aby mógł się bardziej zespolic z tą nauką, za której głoszenie mu płacono.

O, teraz Staervik był zachwycony, nieustraszenie patrzył w oczy nadciągającej burzy, jego zadowolenie rosło coraz bardziej, zmieniało się w szczęście. Bo tu odnalazł swego Boga, to mogłem dostrzec na odległość, wcale się więc nie zdziwiłem, że sługa boży nie potrafił już dłużej panować nad

swą radosną pokorą, lecz musiał przystanąć, uklęknąć na nartach i zatopić się w dziękczynnej modlitwie, która obejmowała też prośbę o opiekę nad Bragem Bragessonem i o jego rychłe zbawienie.

Jako mądry dowódca pokiwałem z zadowoleniem głową. Nic nie szkodzi, że pastor czerpie siłę z odnowionej wiary w Boga i w jego bliskość, byle tylko mnie, a nie Bogu, pozostawił decyzję co do tempa i trasy.

Nie mogliśmy jednak długo zatapiać się w dziękczynieniach, więc ruszyliśmy dalej! Naprzód! Ruchy Staervika stały się bardziej elastyczne, szedł szybciej i pewniej, z jego oczu bił spokój. „Wiara w Boga – jak mawiał Stefan – ma widocznie jakąś misję do spełnienia na świecie, skoro potrafi słabych zmienić w silnych”.

Czy zazdrościłem pastorowi Staervikowi? Nie. Uważałem za coś bardziej dojrzałego i godnego dumy, może nawet podziwu, mieć taką siłę ducha bez Boga pomagającego, pocieszającego i wynagradzającego wiecznym życiem w raju. Moim zdaniem Bogu, jeżeli istnieje, większą radość powinien sprawiać człowiek, który bierze odpowiedzialność na własne barki i potrafi z narażeniem życia spełnić dobry uczynek bez oczekiwania na nagrodę na tym lub tamtym świecie, niż taki, który, by spełnić

dobry uczynek, musi sobie pomagać myślą o jakimś Bogu, przykazaniach, Biblii, męce Pańskiej i nagrodzie na tamtym świecie. Tak, wtedy podzielałem i nadal podzielam opinię Stefana, że dobry uczynek jest sam dla siebie dostatecznym uzasadnieniem, dostatecznie podnosi na duchu i zachęca, a człowiek spełniający dobry uczynek bez dodatkowych powodów jest jednostką silniejszą i moralnie bardziej wartościową. Od tego, kto kieruje się również innymi powodami. Człowiek, jakiego mam na myśli, udzielając pomocy, nie kieruje się miłością bliźniego, jeżeli ten bliźni nie jest drogą mu kobietą, bratem, siostrą, ojcem, matką lub przyjacielem, bo wie, że miłość bliźniego w ogólnym pojęciu jest fikcją, czystym wymysłem, a jego bierze obrzydzenie już na myśl o kłamliwym wmaiwaniu samemu sobie, że kieruje się miłością do jakiejś obcej istoty. Nie kieruje się też nadzieją uzyskania moralnego zadowolenia po dokonany uczynek, bo wie, że zadowolenie, jeżeli nadchodzi, nie stoi w żadnym stosunku do wielkości wysiłku, ani na początku działania, ani podczas jego trwania, a gdy staje w obliczu ewentualnej konieczności poświęcenia własnego życia, nadzieja na uzyskanie moralnego zadowolenia po dokonany uczynek wydaje mu się strasznie śmieszna; komar obok słonia, komar wyzywający słonia na pojedy-

nek.

Jedyną rzeczą, która decydująco wpływa na postępowanie człowieka udzielającego pomocy drugiemu, jest sama istota dobrego uczynku. Przez chwilę może wprawdzie traktować swój postępek jako czysto sportowy wyczyn, wtedy kieruje się chęcią udowodnienia samemu sobie, że potrafi zrobić rzecz prawie niemożliwą, wie jednak, że gdy trudności okażą się zbyt duże – jak zwykle w takich wypadkach – znika także zadowolenie sportowe i jedyne, co pozostaje, to stawiane samemu sobie wymaganie, że oczywiście musi starać się ratować życie człowieka, któremu grozi śmierć. „Mimo wszystko mam więcej szans niż on”, mówi sobie i jego działanie jest czystym działaniem, od niczego niezależnym. Dlatego staje się człowiekiem poświęcającym siebie samego. I takim człowiekiem ja miałem być tego dnia. Z konieczności zresztą, bo Bentein nie był ani zwykłym bliźnim, ani drogim bliźnim. Powinienem był go uważać za kogoś zupełnie postronnego, jakąś nieznaną wielkość X, nie obchodzącą mnie jako osoba, obchodzącą mnie tylko jako końcowy punkt mej wyprawy. „W plecaku mam szybko działającą insulinę – powiedziałem sobie. – Jestem zdrowy, obeznany z terenem, muszę dostarczyć eliksir życia człowiekowi w potrzebie. Koniec. Jestem posłuszny kategorycz-

nemu imperatywowi: musisz”.

Widok pastora Staervika, tego wielkiego człowieka, klęczącego na śniegu w obliczu straszliwej burzy i w groźnym otoczeniu, był oczywiście piękny. Sam wiele razy miałem ochotę tak uklęknąć i dziękować za to, że istnieję, że jestem zdrow, silny fizycznie i zdolny, dziękować za słońce, księżyc, gwiazdy, noc i dzień, ziemię, Nordablaas. Ale klęczeć i dziękować czemuś, czego się nie widzi, za coś, co się widzi, to słabość zrodzona z głęboko w człowieku tkwiącej i chorobliwej potrzeby towarzystwa, ze strachu przed samotnością, z cierpiętnictwa. Dziękować słońcu i tylko słońcu za to, że istnieje, dziękować wszystkiemu, co piękne, i tylko temu, jeszcze raz dziękować słońcu, jako pierwszej widocznej przyczynie naszego życia, za to, że istniejemy, a wreszcie dziękować sobie samemu za to, czym człowiek jest w dobrym i złym sensie, to wydaje się bardziej samodzielne i dojrzałe niż mieć Boga, aby móc mu dziękować za wszystko dobre, i Szatana, aby go przeklinać za wszelkie zło.

Ale można być równie wdzięcznym i za to.

Pierwszy raz spotkałem Siv przy równomiernym szumie deszczu i łagodnym nocnym wietrze... w tych stronach.

Teraz, gdy widzę swego towarzysza i siebie samego na pierwszym trudnym podejściu, opiszę te

moje strony. Nie odmaluję jednak krajobrazu tak, jak się przedstawia w tej chwili, bo jest zbyt ponury. Pokażę go w krasie letniego dnia, gdy świeci słońce i wieje przyjemny wietrzyk.

Okolica jest bezludna, ponieważ najkrótsza prowadząca tu droga odstrasza trudnościami, a najdłuższa wydaje się zbyt długa. Brak jednak języka dostatecznie bogatego, aby móc opisać różnorodność i piękno górskich formacji, umysł ludzki nie ma dość wyobraźni, aby to odtworzyć. Ci, którzy umieją patrzeć, widzą ogromną różnorodność krajobrazu: lodowce, granie, przełęcz i płachty wiecznego śniegu, grzbiety, filary, ściany, urwiska i żleby, liczne żleby, kominy, kotły, liczne kotły, doliny, liczne doliny, stoki, niezliczone stoki, szerokie zbocza, kamienne usypiska, piargi, głazy, okrągłe kopy, turnie, hale, zaroślaki, łachy piasku w wyschniętych łożyskach, rozległe mokradła, zamczyisko obwarowane łańcuchami gór, armia olbrzymów stojących ogromnym koliskiem i trzymających straż nad tym pierwotnym rajem. Wszystko tu jest, wszystko, od zacisznych zakątków aż do smaganych wichrem, sterczących w niebo baszt, a między nimi wszystkimi – to mówię – Skaget, Trollhorn, Digerhö i Blaatind, Örnebre i Trollnut, Langfjell i bliźniacze szczyty Tvillingene są bez porównania największe.

Wznoszę kielich na cześć turni zwanej Skaget! Niech żyje! Przypomina piramidę, czasami kościół, ale widziana z Nordablaas i Björnehiet, olśniewająca, biała, jak rok długi dziewiczo biała, najbardziej jest podobna do królowej w sukni z trenem i z diademem na głowie.

Wznoszę kielich na cześć Trollhornu! Leży na południowy wschód od Nordablaas, wyniosły, stromy, spiczasty, poszarpany, czarny i od lipca prawie bez śniegu, przypomina trolla prychającego ze złością na pogodę i wiatr.

Wznoszę kielich na cześć czerwonych ścian Raudhornu! Wznoszę kielich na cześć szarego masywu Trollnutu, i potężnego Digerhö, tak, potężnego Digerhö, wszystko jest tutaj potężne z wyjątkiem tej małej kopy Veslehö, grubej i przysadzistej, jedna mała koza też musi być w tym towarzystwie, do licha!

Örnebre! Siedem toastów na cześć lodowca Örnebre! Niebieskawozielony, błyszczący bielą lodu i śniegu, na całe kilometry rozwiera ramiona i sięga nimi w dół aż do doliny Langfjell – a dolina Langfjell jest długa i ciemna, tajemnicza i groźna, ciągnie się pod miękko sfalowanym, łukowatym masywem Langfjell, od którego bierze nazwę. A w dali, bardzo daleko, widać bliźniacze szczyty Tvillingene.

Wszędzie śnieg. Wszędzie lód. Wszędzie kamienie, głązy, granit, skąpa roślinność, barwy, małe kwiatki kołyszące się na wysokogórskich łąkach.

Ostatni kielich wznoszę na cześć szczytu Bla-atind! On jest królem, wznosi się na zachodzie. Cóż to za przeżycie obserwować rankiem, jak Ska-get, królowa leżąca na wschodzie, otwiera wrota wschodzącemu słońcu. Wtedy pierwszy promień ozłaca króla Blaatinda. „Oto pierwszy na dziś pocałunek dla Waszej Królewskiej Mości” – mówi królowa i na promieniu słonecznym posyła mu miłosny znak. Przedtem była nieśmiała i trzymała słońce za plecami. I tak barwy ulegają zmianie, wiesz dobrze, i tak dzieje się co rana z królem, gdy wstaje słońce. Najpierw jest czarny i naburmuszony po nocy, potem coś nieskończenie tajemniczego pieśczośliwie go łaskocze po czubku głowy, a on dalej jest naburmuszony, wykręca się, jakby z tym nie chciał mieć nic wspólnego, ale to dalej go łechce delikatnie i ostrożnie – och! – jak delikatnie i przyjemnie łaskocze! Potem rozchodzi się po nim całym i po kolei zabarwia go najpierw białoróżowo, później niebieskoczerwono – uff, ileż to trzeba znieść! – później żółtoczerwono, później pomarańczowoczerwono, później łososiowo i wspaniale, potem znów białoróżowo, aż w końcu jest cały jasny,

nie, żółtawy, białozółtawy, jak pałac królowy Bajki, i uśmiecha się całym masywnym cielskiem, czekając na pocałunek królowej. Aż wreszcie... wreszcie nadchodzi... już... tuż, tuż... teraz: słońce wschodzi! Słońce wschodzi! Wiwat życie!

Potem dzień mija. Ziemia obraca się i król robi się szary i siny, i naburmuszony, i męski, i nadchodzi wieczór, i król uśmiecha się do swej królowej, i mówi: „Wkrótce skończy się jeszcze jeden piękny dzień, moje kochanie!”. I słońce zachodzi za królem Blaatindem i nadchodzi noc, i czas iść spać, i teraz król widzi swoją królową, najpierw białozółtawą, jak pałac królowy Bajki, później białoróżową, potem łososiową i wspaniałą, później pomarańczowoczerwoną, potem żółtoczerwoną, potem niebieskoróżową, potem znów jasno białaworóżową, a w końcu coś nieskończenie tajemniczego pieśczośliwie łaskocze ją po czubku głowy: „Oto ostatni na dziś pocałunek, moja królowo” – szepce król, i nastaje noc, i wszystko jest czarne i głucho, i słychać cichnący szepc: „Dobranoc, kochanie, dobranoc. Zobaczymy się w następnym dniu życia”.

W plecaku miałem insulinę o przyśpieszonym działaniu, dobrze zabezpieczoną w termosie. Również pastor Staervik niósł termos z insuliną. Na wszelki wypadek.

Nie mogłeś się więc skarżyć na brak troskliwo-

ści, Bentein! Wszystkie możliwe siły zostały zmobilizowane dla ciebie, wszystkie dostępne siły: ja, Staervik, Chudy, jego żona Elza, lekarz, pleciuga, wkrótce może pogotowie górskie, pojazd gaśnicowy, zaprzęg psów, może nawet helikopter!

Nie mogłeś się więc skarżyć na brak opieki w żadnym wypadku. Troszczyliśmy się przecież o ciebie tak, jakbyś był najbardziej wartościową jednostką w historii świata, jakby zbawienie wszystkich zależało od uratowania tego twego życia, za wszelką cenę, nawet kosztem życia innych ludzi, nawet takim kosztem.

Tymczasem mieliśmy jeszcze tylko kilka metrów do przełęczy między szczytami Raudhorn i Trollnuten. Wiało nam w twarz coraz mocniej, w miarę jak zbliżaliśmy się do tej otwartej przestrzeni. Usłyszeliśmy też wyraźniej odgłosy burzy, jeden grzmot za drugim, głucho grzmoty, głębokie grzmoty, długotrwałe grzmoty, krótkie i ostre jak wystrzał grzmoty – gwizdało nam w uszach, trzepocące na wietrze kaptury wiatrówek wydawały odgłosy podobne do wystrzałów. Wszystkie siły natury sprzysięgły się przeciw nam!

Dokładnie w tym momencie, gdy osiągnęliśmy środek przełęczy i poczuliśmy początek stromizny, runął na nas pierwszy atak burzy. Gwałtowny poryw wichru, nie, impet eksplozji powietrza zmie-

szanego ze śniegiem był tak potężny, że zmiotł nas momentalnie. Ja wiedziałem, że żaden opór nic w takim wypadku nie pomoże, dałem się więc obalić, ale Staervik próbował przeciwstawić się sile uderzenia, tak że prąd powietrza uniósł go w górę i rzucił nim do tyłu. W zadywce zniknął mi z oczu.

Stracić towarzysza wyprawy przy takiej pogodzie to tyle, co zgubić igłę w stogu siana. Natychmiast więc rzuciłem się w ślad za pastorem, ale nie zdążyłem jeszcze zejść daleko w kierunku południowym, gdy o jakieś dziesięć metrów na prawo ujrzałem zarys postaci zdążającej na północ. Był to Staervik, zdążył już stanąć znów na nogi. On jednak mnie nie widział.

Gdyby mijał mnie w większej odległości, ja też bym go chyba nie dojrzał, a ślady nart zostałyby momentalnie zasypane.

Przy następnej próbie sforsowania łąku wicher był nieco słabszy, choć i tak dość silny. Bił w nas śniegiem, każdy kryształek wbijał się w skórę jak igła, jak gdyby przed nami stał jakiś wielkolud z Madejowym łóżem i regularnie kłuł nas kolcami po twarzach. Prawie niemożliwe było otworzyć oczy, prawie nie można było oddychać pod naciskiem tego prądu powietrza, właściwie najlepiej byłoby odwrócić się i iść tyłem, gdyby człowiek nie miał nart przypiętych do butów.

Nałożyliśmy gogle. Musiałem przecież widzieć i pilnować Staervika.

Powoli posuwaliśmy się naprzód. Chwilami musieliśmy się kłaść, trzymając się jeden drugiego. Świat skurczył się do minimalnych wymiarów, tak że każdy z nas widział tylko trochę siebie samego i swego towarzysza. Wszystko inne zniknęło. Gdybyśmy nie byli zorientowani w terenie, moglibyśmy równie dobrze przypuszczać, że przepławiamy się przez lodowiec Jostedalubre. Nie patrzyłem jednak na kompas, bo na pewno szliśmy w dobrym kierunku i na razie nie mogliśmy zabłądzić. Przełęcz się zwężała, zboczenie więc z drogi na prawo lub lewo zaraz odczulibyśmy, bo trzeba by było podchodzić w górę, natomiast spadek oznaczał właściwy kierunek. A cały czas jechaliśmy teraz w dół. Po jakimś kilometrze lekkiej pochyłości miał się zacząć pierwszy stromy stok, ostry spadek ponad czterysta pięćdziesiąt metrów do wąskiego kotła z jednym tylko wyjściem, właśnie na północ. Nie mogliśmy zresztą nie trafić do tego kotła, bo przezeń wiodła teraz jedyna możliwa droga. Gdy się jest w kotle, nie ma już wątpliwości co do położenia, bo tuż, na południu, sterczy Trollnuten, na wschodzie ciągnie się południowo-zachodnie zbocze turni Digerhö, a po zachodniej stronie masyw Raudhornu. Ale stamtąd już trzeba się kierować

według kompasu.

Najgorsze czekało nas prawdopodobnie tam w kotle, gdzie północny wiatr mógł sobie swobodnie dać przez wąską dolinę. Tam na dole leżało zimowe piekło w skondensowanej postaci.

Gdy poczułem, że znaleźliśmy się na początku stromego zbocza, przystanąłem i wrzasnąłem do Staervika, ostrzegając go, czego ma oczekiwać: ostrego zjazdu po twardym śniegu i przy silnym wietrze. Musi się mnie trzymać tak blisko, jak tylko możliwe. Obiecałem, że będę jechał ostrożnie. Przez pierwszą część zbocza, około trzystu metrów, zjedziemy na nartach, potem zacznie się urwisko Hampetrossefallet.

Na wszelki wypadek rzuciłem okiem na kompas. Z początku powinniśmy się trzymać na wschód od kierunku północny wschód, bo w moim przekonaniu najniebezpieczniejsze byłoby zboczenie zbyt daleko na północ, pod masyw Raudhornu, gdzie ciągnie się teren znany z lawin. Jadąc wprost w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, ominiemy to niebezpieczeństwo.

– Hej! – wrzasnąłem w ucho mego towarzysza, aby mu dodać odwagi, a w tym właśnie momencie poryw wiatru zwałił mnie z nóg. Staervik był gotów, stał w przykucniętej pozycji skoczka przed startem z rozbiegu i zapierał się kijami, przeciw-

działając sile wiatru. Z twarzy biła mu śmiertelna powaga.

Piekielnie poważny facet, ten mój pastor. Na obliczu miał wypisane: „Ratuję życie ludzkie”. Ojej, ta ciągła powaga w życiu! To prawda, że ziemia jest padołem płaczu, prawda, oczywista prawda! Lecz trochę śmiechu nie zawadzi od czasu do czasu.

Pozbierałem się i jeszcze raz wrzasnąłem: – Hej! Wtedy Staervik zdobył się na ślad uśmiechu i dobroduszny grymas.

Śmiałem się i robiłem dużo krzyku, choć trudno było przegnać z pamięci wspomnienie, że tam na dole, daleko na dole, gdzieś na północ od turni Digerhö, płynęła sobie pod lodem i śniegiem mała górską rzeczka. Może zresztą była teraz zamrznięta. Jednego lata kąpaliśmy się w niej z Siv, biegaliśmy nadzy i beztroscy, rozbryzgując fontanny zimnej wody, a tuż obok znajdowała się nasza „plaża”, trzy metry białego, miękkiego piasku, na którym opalaliśmy się, mordując chmury komarów. Pewnego wrześnieowego dnia, gdy góry tonęły w jesiennych barwach i wszystkie odległości wydawały się złudzeniem, skakaliśmy po taflach trzeszczącego lodu pod turnią Digerhö, grzęźliśmy w bagnie pod kopą Veslehö, zbieraliśmy przemarznięte moroszki, a w końcu rozkoszowaliśmy się wido-

kiem naszego rajy z samego szczytu Digerhö.

– Naprzód! – zawołałem i ruszyliśmy po zboczu, gdzie naprzemian występowały łąchy nawianego śniegu i łąsiny czystego lodu.

To strome zbocze było też usiane wielu niebezpiecznymi, rozrzuconymi tu i ówdzie nawisami, ale mniej więcej znałem ich położenie – tak dalece polegałem na wyrytym w pamięci obrazie tych okolic, że jak mi się zdawało, potrafiłbym jechać prawie na ślepo.

Przez pierwsze metry – sądzę, że chyba z pięćdziesiąt metrów w dół – poszło nam dobrze. Jechaliśmy w szerokim rozkroku, aby móc hamować pługiem i żeby wiatr nas nie przewrócił. Po tym pierwszym etapie zobaczyłem znany mi głaz – teraz zaśnieżonego potwora – i skręciłem wprost na północ, puszczając się szusem przeciw wiatrowi. Pastor Staervik poszedł w moje ślady. Szybkość jazdy nie była mimo stromego stoku zbyt duża, bo przeciwny wiatr silnie hamował pęd. Po chwili znów skręciłem w kierunku wschodnio-północno-wschodnim i wtedy właśnie zaszedł ten wypadek.

Może moja w tym wina, może trzeba było wcześniej odpiąć deski, zanim jeszcze rozdzieliło nas to wściekłe uderzenie wiatru. Położyłem się prawie i zobaczyłem tylko tylną część ciała pastora, który zupełnie stracił równowagę i runął w dół na

miejsce pokryte gołym lodem. Momentalnie zniknął mi z oczu.

Zebrałem się możliwie najszybciej i pognałem za nim, odbijając się z całej siły kijkami. Najpierw deski stuknęły o twardy lód, potem wpadłem na fałdę nawianego śniegu, tak że sam omal nie upadłem na mordę, wreszcie zobaczyłem ślady jego nart po lewej stronie, zrobiłem obskok, wjechałem w nie i gnałem, gnałem przed siebie. Cóż innego mi pozostawało? Oczywiście mogłem przy tym sam złamać kark, wpadając na niego albo w jakąś przepaść, ale musiałem ryzykować, nie mogłem ponownie zgubić Staervika.

A więc gazu, a potem ręce w gipsie, nogi na wyciągach, kwiaty i rozkoszne pielęgniarce.

Oczywiście musiałem trafić na nawis. Oczywiście. Nie potrafiłem już zahamować, gdy więc mnie wyrzuciło, jeszcze odbiłem się do skoku w nadziei, że nie wyląduję na Staerviku. Ale w powietrzu wywróciłem kozła i upadłem na plecy. Mogło się to źle skończyć, gdyby plecak nie zamortyzował trochę uderzenia i gdybym nie miał tak dużej szybkości, a równocześnie teren nie był taki stromy i miękki. W chwili ponownego uderzenia wiatru przemknąłem obok jakiejś zagrzebanej w śniegu postaci, więc gramoląc się sam z białego tumanu, gorąco dziękowałem losowi. Tą postacią

był bowiem pastor Staervik. Amen.

Nie złamałem ani żadnej z nart, ani kija. I ani jednego zadraśnięcia. Cholerne szczęście. Staervikowi, niestety, nie poszło tak dobrze. Gdy go znalazłem, leżał nieruchomo. Zacząłem nacierać mu policzki śniegiem, krzychałem doń i masowałem go tak długo, aż wydał żalorny pisk. Obowiązkowo, rzecz oczywista, spytał, gdzie się znajduje.

No więc tak. Próbował wstać, wrzasnął boleśnie i upadł na plecy.

– Ręka! – jęknął.

– Która ręka? – ryknąłem, bo w tym zatykającym uszy wietrze mogliśmy się porozumiewać tylko krzycząc z całych sił.

– Prawa! – padła odpowiedź.

Prawy nadgarstek Staervika wyglądał jak balon. A obrzmienie rosło jeszcze w moich oczach. Czy było to złamanie, czy zwichnięcie, nie umiałem ocenić.

No więc tak. Zabandażowałem mu ramię i nadgarstek, na wypadek złamania ręki miałem też ze sobą temblak, który teraz ofiarowałem pastorowi. Jeżeli ja z kolei złamałbym rękę, musiałbym sobie zrobić temblak, zdejmując chustkę z szyi i ryzykując trzydniowy ból gardła.

Exit Staervik. Muszę iść dalej bez niego.

Ale on zaczął mi robić trudności. Nie chciał się

zgodzić, żebym go zagrzebał w śniegu i żeby tak przeczekał do lepszej pogody. Chciał natychmiast wracać do hotelu, i to o własnych siłach, oczywiście, abym ja mógł bez zwłoki ruszyć dalej na północ.

Próbowałem go odstraszyć opisem czyhających niebezpieczeństw, skusić obietnicą znalezienia odpowiedniego miejsca i wykopania bardzo zacisznej jamy w śniegu. Taki był jednak uparty i kłótniwy, że miałem tylko jedno wyjście: pomóc mu wejść aż do tego punktu, gdzie masyw Raudhornu zacznie go zasłaniać od północnego wiatru.

Nawet temu jednak próbował oponować.

– Musi pan mnie słuchać! – krzyknąłem.

– Niech pan robi tak, jak ja mówię, Bragesson. Tak, jak ja mówię!

– Nie mam czasu na głupie gadanie! Teraz ruszam, a pan za mną!

Usiłował mnie zatrzymać, musiałem więc nawet stoczyć z nim krótką walkę, aby facetowi przemówić do rozsądku i zmusić go do posłuszeństwa.

Nigdy nie zapomnę tych zapasów z pastorem. Było to tak bez sensu, takie bzdurne i tak tragikomicznie nie na miejscu, że miałem ochotę usiąść i śmiać mu się w nos.

Zabrałem jego narty, a on szedł pieszo, bo w ten sposób mógł się najszybciej i najpewniej poruszać

pod górę.

Na przełęczy położył się grzecznie na śniegu, ja zaś przypiąłem mu deski. Potem go podniosłem i razem ruszyliśmy naprzód przy słabszym już wietrze. W drodze podpierałem go i tylko raz wyróciliśmy się obaj. Wtedy mocno zacisnął wargi i grymas bólu skrzywił mu całą twarz.

Nadeszła chwila rozstania. By dotrzeć na równinę, musiał pokonać zjazd różnicy wzniesienia wynoszącej osiemset metrów! W jego obecnym stanie było to piekielnie ryzykowne przedsięwzięcie.

– Niech się pan zastanowi, panie pastorze! – namawiałem, lecz bezskutecznie, a nie mogłem go przecież związać i przemocą zagrzebać w śniegu.

Na wszelki wypadek nastawiłem jego kompas na kierunek prowadzący od skraju równiny do hotelu, a jednocześnie pouczyłem go, że gdy znajdzie się na równinie i zacznie używać kompasu, niech lepiej trzyma się prawej strony wskazówki, aby nie zboczył na lewo i w tej zamieci nie minął hotelu. Na prawo bowiem przetnie drogę i linię telefoniczną z wyraźnie widocznymi, ciemnymi słupami.

– Potem proszę się trzymać na lewo od tej drogi, Staervik! Cały czas na lewo!

– Wszystko w ręku Boga – oświadczył Staervik.
– Będę się cały czas modlił za pana, modlił bez przerwy. Niech pana Bóg prowadzi!

– Ma pan śpiwór. Ma pan łopatkę do śniegu. Ma pan żywność. Ma pan jedną zdrową rękę. Proszę się więc zagrzebać w śnieg, póki pan jeszcze jest osłonięty od wiatru. To jest ostatnia rada, jakiej panu udzielam – odpowiedziałem i po tych słowach rozstaliśmy się; ja ruszyłem na północ, a on na południe do swej najdroższej żony.

Właściwie należało go odprowadzić aż do hotelu, ale nie było na to czasu, a rozumowałem mniej więcej tak: Staervik, idąc na południe przy słabszym wietrze i w dodatku popychającym go od tyłu, ma więcej szans przeżycia niż Bentein, który leży zupełnie bezradny w górach o kilkadziesiąt kilometrów na północ. Jeżeli pastor okaże dość rozsądku, może się uratować. A nawet bez rozsądku jest w znacznie lepszym położeniu od Benteina. Tak rozumowałem.

A więc dalej. Na północ.

Sam. Sam.

Wkrótce znów burza wzięła mnie w ramiona i groziła, że zedrze ze mnie odzież.

Nic nie widziałem. Teraz nic. Tylko swoje własne ręce, swoje własne nogi, narty i kije, które poruszały się przed moimi oczyma w miarowym tempie.

Nic więcej nie widać.

Nic więcej.

Sam. Sam.

Gorzki uśmiech.

Cicho! Ktoś się śmieje.

Stanąłem. Kto się śmieje? Staervik?

Ja.

Znów gorzki uśmiech.

Dalej. Na północ.

Sam. Sam.

No cóż, przecież bywałem sam i przedtem, choć może w innych okolicznościach.

„Pilnuj się! – mówił wewnętrzny głos. – Pilnuj się! Masz tylko to jedno życie, potem nic. Teraz masz w każdym razie zdrowie, masz wspomnienia o Siv i o tych miejscach, które do was wspólnie należały. Dbaj więc o siebie, Brage, pilnuj się, dbaj o siebie, dbaj...”

Nowy uśmiech. „Pilnuj się, co?” Pusta gadanina, nie dam się zahipnotyzować. Dodaj gazu, Brage, stara szkapo! Dodaj gazu!

„Pilnuj się!”

Gazu!

„Pilnuj się!”

Gazu! Dawaj gazu!

Raz dwa! Raz dwa!

Trzymaj równe tempo.

Obraz zbolącej twarzy Benteina wywołał współczucie, które przygłuszyło we mnie dawną preten-

się, że nigdy nie był równym chłopem.

Przy zjeździe do kotła ryzykowałem straszliwie, ale przyszło mi na myśl powiedzenie, że najczęściej wypadków zdarza się w domu; kawałek mydła, śliska wanna, ścierka, uchodzący gaz, skórka banana, spadająca dachówka, nieznośny współmałżonek...

W miejscu, które nazywam Suget, człowiekowi wydaje się, że ziemia urywa się mu pod stopami. Suget jest tej samej szerokości, co Hampetrossefallet, czyli ma około stu metrów i stanowi nieomylny znak świadczący o bliskości urwiska Hampetrossefallet. Tu właśnie można powziąć ostateczne postanowienie, czy człowiek chce popełnić samobójstwo, czy nie.

Gdy poczułem pod sobą Suget, zaraz po wylądowaniu rzuciłem się na bok i mniej więcej po trzydziestu metrach zdołałem się zatrzymać. Na wszelki wypadek już tam odpiąłem narty i na kolanach zacząłem się opuszczać ku Hampetrossefallet.

Nie od razu jednak trafiłem na słup służący jako kierunkowskaz. Dobrą chwilę musiałem pełzać tu i tam wzdłuż krawędzi urwiska, aż go znalazłem. Za to nie musiałem odgarniać śniegu, bo wiatr omiótł do czysta całe urządzenie wyciągowe.

Konopna lina wisiała na haku, kołysząc się

i wyginając jak wąż. Widziałem z niej tylko kilka metrów. „Winda”, czyli skrzynia, stała dobrze przywiązana do urządzenia dźwigowego, ale natychmiast zrozumiałem, że nie mogę jej użyć do spuszczenia w dół nart, kijków i plecaka; wiatr był zbyt silny, mógł rąbnąć skrzynią o skałę tak, że wszystko poszłoby w kawałki. Nie chciałem ryzykować. Dlatego musiałem się zdecydować na zabranie ze sobą wszystkiego na dół za jednym razem. Związałem więc narty z kijkami i umieściłem je na śpiworze pod klapą plecaka, wszystko mocno ścisnąłem rzemieniami i zarzuciwszy plecak na grzbiet, dobrze go przywiązałem w pasie.

Potem wziąłem głęboki oddech i sam sobie życzyłem: „Niech ci szczęście sprzyja, Bragesson!”.

Podczołgałem się do przodu, ostrożnie przysunąłem do samego brzegu przepaści i sięgnąłem po linę. Gdy już ją chwyciłem, zobaczyłem, że zapomniałem zdjąć rękawice i pokrowce. Pierwszy ostrzegawczy znak, że nie mogę skoncentrować myśli. Za wsze i niezależnie od pogody opuszczałem się po linie z gołymi rękoma, bo w ten sposób miałem najlepszy uchwyt. Zorientowawszy się teraz, że mam rękawice na rękach, uznałem to za zły omen. Przez chwilę leżałem na samej krawędzi urwiska i odczuwałem wyraźnie, jak bardzo jestem zmęczony i wyczerpany.

Jak bardzo jestem zmęczony?

Jak bardzo jestem wyczerpany?

Hm, trudno to ocenić w pośpiechu, ale nie ulega wątpliwości, że nie mogłem się uważać za tego samego, czujnego i mocnego człowieka, co zwykle.

Ostrzegłem sam siebie, skarciłem sam siebie, przesunąłem się trochę dalej od brzegu, zmobilizowałem cały zapas uwagi, zdjąłem rękawice wraz z pokrowcami i wcisnąłem je w kieszeń wiatrówki.

Ponownie chwyciłem za linę, uczepiłem się jej mocno obu rękoma i powoli zsunąłem się z krawędzi.

Bęc! Wisiałem na rękach.

Zacząłem się opuszczać w dół.

Hampetrossefallet nie jest czymś aż tak strasznym, jak sądzą ludzie mający skłonność do zawrotów głowy. Kto ma dość siły i odwagi, da sobie świetnie radę. Na całej prawie ścianie jest sporo, i to dobrych, oparcie dla stóp, małych występów i pęknięć. Tam zaś, gdzie natura ich poskapiła, po-wbijałem w skałę haki. Nie, normalnie przejście przez Hampetrossefallet trudno nazwać jakimś nadludzkim wyczynem, lecz tego właśnie dnia, 25 lutego – o, co za dzień! – było to niebezpieczne przedsięwzięcie. Po pierwsze, miałem na sobie plecak. Po drugie, piekielny wiatr odchyłał mnie ciągle od pionu, tak że musiałem prawdziwe łamańce

wyczyniać, aby mną nie rzuciło bokiem o ścianę. Dalszy taniec miał mnie potem sprowadzić znowu do pozycji pionowej zwisu, ale przy tych wygibasach w tę i w tamtą czasem nie trafiałem na znane mi oparcia dla stóp, wobec czego ramiona i dłonie musiały pokonywać znacznie większe obciążenie. Znałem tylko te oparcia, które ciągnęły się w dół przy linie zwisającej pionowo, po nich mogłem łączyć z zamkniętymi oczyma, ale wahadłowy ruch liny stawiał mnie w zupełnie nowej sytuacji.

Pierwszy, pionowy odcinek urwiska Hampetrossefallet, gdzie lina zwisa, ma osiemdziesiąt sześć metrów. Miałem jeszcze ze dwadzieścia metrów liny, gdy wydarzyło mi się nowe nieszczęście. Trzy rzeczy zdarzyły się równocześnie: – dłonie ześliznęły mi się po oblodzonym kawałku liny, straciłem oparcie dla obu stóp i przyszło potężne uderzenie wiatru. Wszystko tak piekielnie równocześnie, że w oszołomieniu wypuściłem z rąk linę i spadłem w dół.

Spadałem, spadałem, spadałem i byłem przekonany, że wybiła moja ostatnia godzina. Oczekiwanie na śmierć nie było żadnym wielkim doznaniem, wcale nie ukazało mi się przed oczyma duszy całe życie, nie odczułem esencji bytu w skondensowanej, przejrzystej postaci. Spadałem tylko, spadałem i spadałem, a przelotne obrazy i urywa-

ne słowa pojawiały się i znikaly, pojawiały się i znikaly. Ujrzałem Siv, matkę, Siv, ojca, matkę, ojca, Siv, matkę... pieśczoćę... miłość... ty i ja... Stefan... ty i ja... niebo jest dziś ogromne i otwarte... Siv, ojciec, Siv, matka, ojciec, matka, Siv, ojciec...

Dosięglem ziemi.

Jeszcze raz jednak jakoś mi się udało. Czort rządzący wiatrem nazmiał w to miejsce ogromną kupę sypkiego, miękkiego śniegu, tak że wpadłem jak w puchową pierzynę. Utonąłem w niej bardzo głęboko.

Nie szalałem ze szczęścia i nie czułem wdzięczności. Po prostu skonstatowałem, że mimo wszystko nie umarłem. Nie, obeszło się bez szalu szczęścia i bez wdzięczności, bo nie przeżywałem wcale strachu. Już sama myśl, że miałbym być wdzięczny, skłaniała mnie do szyderczego uśmiechu!

Jedna narta miała złamany szpic. Przykręciłem zapasowy, z aluminium. Kostki trzech palców krwawiły. Nałożyłem kawałki plastra. Bolało mnie jedno udo. Na to już nic nie mogłem poradzić.

Wydobyłem rękawice z pokrowcami. Potem ześliznąłem się w dół aż do końca urwiska.

Pilnuj się, Brage! Albo: nie ryzykuj niepotrzebnie, pamiętaj!

Cha, cha!

Dalej.

Kawałek zjeżdżam na siedzeniu. Wstaję. Potem znów... buch!

Na nogi. Dalej.

I to był dopiero początek.

Czy nie wspaniały sport?

No powiedz, ty, co siedzisz w domu przy piecu.

Z drżącymi kolanami dotarłem na dno kotła. Tym samym znalazłem się we wnętrzu górskiej maszyny do mieszania ciasta. I powiadam, przysięgam z ręką na sercu, że żadnymi słowami nie można opisać śnieżycy, którą tam przeżyłem. Grzmotnęło mną o ziemię – bęc! – leżę na płask. I jeszcze się powinienem cieszyć, że leżę!

Cieszyłem się? Nie. Pod pewnym względem było mi wszystko jedno. Mogło mnie zwiać, mogłem leżeć, mogłem umrzeć lub przeżyć, każdą ewentualność przyjąłbym jako rzecz równie oczywistą. Śnieg sypie, deszcz leje, słońce świeci, noc jest ciemna, dzień jasny. Lecz dopóki tli się we mnie życie, dopóty muszę iść naprzód, naprzód, naprzód... jak maszyna. Wypróbować moją wolę i siłę moralną – jedna rzecz jest oczywista: musisz, niezależnie od wszystkiego! – to stało się moim celem. Nie widziałem jednak w tym celu nic wielkiego i wzniosłego, tak bywa, skoro rzecz jest oczywista.

Kocioł. Co to właściwie jest kocioł? Nazywam go Lodówką. Strome skały na wschodzie, zachodzie i południu. Niewiele słońca, nawet w środku lata. Wieczny śnieg. Język lodowca sięgający po wschodniej stronie prawie do dna. Chaotycznie rozrzucone bloki lodu i śnieg wyrzeźbiony przez wiatr w dziwaczne formacje. Arktyczny krajobraz. Lodówka. Ścierwo padłego renifera. Lodówka. Głodne kruki. Lodówka. I teraz – burza śnieżna z północy, napór wichru, który chce gnać dalej, lecz trafia na przeszkodę, kotłuje się, gwizdże, wyje, ryczy, dziki zwierz wściekle atakujący zapórę. Utrzymanie się na nogach zupełnie wykluczone. Posuwanie się naprzód w pozycji stojącej też niemożliwe.

Czekałem, aby wicher osłabł. Tymczasem wygrzebałem mapę i kompas. Nawet studiowanie mapy i kompasu jest w takich warunkach trudnym zadaniem.

Czas upływał. Wichura nie słabła.

Miałem zamiar nastawić kompas na północno-zachodni cypel masywu Digerhö, bo to wydawało się najkrótszą trasą. Teraz musiałem zmienić plan i próbować popełznąć, tak, popełznąć wprost na wschód i schronić się przed wiatrem na południo-zachodniej stronie Digerhö, aby wzdłuż niej dostać się na cypel północno-zachodni. Normalnie

nazywałyby się to zwykłą drogą okrężną. Ale nie dziś, bo jest dziś niebezpieczna, bardzo niebezpieczna. Prawie cały masyw Digerhö jest terenem nieustannych lawin. Teraz, przy zimnie i wichurze, były idealne wprost warunki do powstawania lawin pyłowych.

Nie miałem jednak żadnego wyboru. Musiałem się wydostać z tego piekła w Lodówce, a nie mogłem przecież czołgać się aż do północno-zachodniego cypla masywu Digerhö.

Schowałem mapę do kieszeni wiatrówki. Teraz należało wyjąć narty i trzymając je mocno używać jako ręcznych płóz; każda dłoń zaciśnięta na kijku i wiązaniu, a między nartami pełźnie Bragesson.

Przygotowania wymagają całej batalii. Trzymać plecak, narty, kije i równocześnie nie wypuszczać z rąk śpiwora, który trzeba dobrze umocować pod klapą plecaka.

Jakoś się udało. Uniosłem się do postawy na pół stojącej, jak pies. Nawet w tej pozycji trzęsło mnie jak nieszczęście. Zrobiłem pierwszy ruch, pierwszy krok w tym pełzaniu, potem drugi ruch, drugi krok, po nim z kolei trzeci – wszystko w żółtym tempie, a wiatr zdawał się wysysać resztki tlenu z mych ust, dyszałem jak w próżni i... do wszystkich diabłów, nic nie widzę przez gogle, szkła zapociły się zupełnie... precz z goglami, próbować

bez nich... och... nałożyć gogle... wytrzeć je, jeżeli tylko potrafię... potem robię czwarty pełzający krok, z kolei piąty pełzający krok i jeszcze szósty pełzający krok...

Po omiecionych przez wiatr bąblach lodu, przez głębokie zaspy... ale dalej, dalej, dalej.

Fontanna śniegu. Fontanna śniegu. Fontanna. Fontanna.

Kompas bije mnie po szyi, a chwilami wiatr z wyciem daje mi po uszach.

Pilnuj swego kompasu, Brage!

Gogle. Spróbować bez gogli. Zmrużyć oczy. Gębę odwrócić na południe.

Pełznąć sto metrów. Pełznąć dwieście metrów. Może pełznąć pięćset metrów, może cały kilometr, a może dostać po skórze już po kilkuset metrach.

Pełznąć i mieć nadzieję.

Mieć nadzieję i pełznąć.

Pełznąć i pełznąć. Przez ostre krawędzie zbitego śniegu, po wymiecionych lodowych posadzkach, przez zaspy, zaspy, zaspy...

Tak zapuszczałem się coraz głębiej i głębiej w ten najdłuższy dzień. Rozmawiałem sam ze sobą. Liczyłem kroki. Sto jeden. Sto dwa. Sto trzy. Czy mam spróbować wstać?

Chyba nie.

Sto cztery. Sto pięć. Sto...

Tak, życie jest tutaj walką, Bragesson, walką, walką, walką. Powinieneś mieszkać gdzie indziej, na jakiejś wyspie porośniętej palmami; rano idziesz pod swoją palmę, potrząsasz nią, orzech wali cię w łeb i leżysz nieprzytomny aż do wieczora. Wtedy budzisz się, mając obok ten orzech kokosowy, wypijasz z niego mleko i zjadasz mięsz, a potem jest czas na śpiew, taniec i miłość. W końcu zasypiasz i zbudziwszy się następnego ranka idziesz pod swoją palmę, potrząsasz nią, orzech wali cię w łeb i leżysz nieprzytomny aż do wieczora. Wtedy budzisz się, mając obok siebie ten orzech kokosowy, wypijasz z niego mleko i zjadasz mięsz, a potem jest czas na śpiew, taniec i miłość. W końcu zasypiasz i zbudziwszy się następnego ranka, znów idziesz pod swoją palmę, potrząsasz nią i orzech kokosowy wali cię w łeb!

Musiałem już dość długo pełznąć przy słabszym wietrze, zanim sobie to uświadomiłem. Stwierdziłem więc, że jestem coraz bardziej oszołomiony.

Gdy w pewnej chwili zatrzymałem się i stanąłem jak czworonożne zwierzę, coś się wydarzyło nade mną w chmurach. Jakiś poryw wichru lub jakiś wir powietrzny rozrzedził je do tego stopnia, że krąg jaśniejszego światła otoczył mnie migocą-

ca łą poświata, przy której prawem kontrastu wszystko wokół wydawało się jeszcze ciemniejsze i bardziej ponure. Przepiękny efekt świetlny, pomyślałem, i usiadłem, aby go podziwiać. Siedzę jak na scenie, pomyślałem sobie, w świetle naturalnego jupitera, ale tak fantastycznej gry światła i cienia nie potrafi wyczarować żaden teatr na świecie. Oto piękno dzikiej natury, Brage, coś prawie niewiarygodnego! A popatrz na płatki śniegu wirujące w tym półświatle! Wygląda to strasznie, wygląda to groźnie, czy nie jest jednak piękne, czy nie jest malownicze, bracie?

Oczywiście! Naturalnie! Lecz cóż to? Oj! Zjawisko mnie opuszcza, światło się oddala, biegnie po lodowej posadzce, ale rośnie, przybiera na sile – słońce, słońce! Boże wielki, toż to słońce! Promień słońca pada na ośnieżoną powierzchnię lodowcowego języka, snopem kolorowych kształtów przebija się przez ścianę wirujących płatków śniegu i mknie aż ku mnie – wielkie to jest, wielkie, mam ochotę zaśpiewać hymn! – lecz nagle, nagle wszystko znów ciemnieje, wszystko robi się znów mroczne i ponure, znów siedzę niemy i skostniały w ciemnościach dnia. Boże mój, czyżbym się znalazł aż tak blisko lodowca? Bynajmniej tego nie zamierzałem.

Drżałem z zimna. Na czole poczułem zamarznię-

ty kosmyk włosów. Rozkruszyłem go ręką i wepchnąłem pod kaptur.

Tak, a potem wstałem i na chwilę pociemniało mi w oczach. No cóż, byłem dość wyczerpany i skutki tego dawały znać o sobie.

Trochę zmęczony, trochę zeszywniały z zimna, w dodatku z podrapanymi kolanami, twarzą i kostkami palców, a także z bólem w udzie. Obejrzałem nogi. Wierzchnie spodnie do ochrony przed wiatrem pękły nad prawym kolanem.

Byłem przygotowany na różne przypadki. Miałem także igłę z nitką, migiem więc zaszyłem dziurę.

Ręce zsiniały mi z zimna. Czy duży jest ten mróz? Może trzydzieści stopni?

Na nogi. Na nogi.

Dalej. Dalej.

Insulina. Insulina.

Zacząłem biec.

Biegłem szybciej.

Ciągle przyspieszałem tempo. Chciałem maksymalnie wykorzystać chwilowe osłabienie wiatru.

Ja, Brage Bragesson, wiedziałem o tym języku lodowca i nikt przecież nie znał tych okolic lepiej i dokładniej ode mnie. Cholera, że też musiałem podejść do lodowca bliżej, niż zamierzałem. Zupełnie przypadkowe nieszczęście, które nigdy – przy-

sięgam, nigdy! – więcej się nie powtórzy.

Niezdara z ciebie, Bragesson! Idzie o życie innego człowieka, a ty włączysz prawie pod sam lodowiec. Co byś powiedział, gdyby ci się na łeb zwałił kawał lodu wagi jednej tony, co? Niezdara! Weź się w kupę, bądź przytomny, staraj się do diabła wykorzystać każde włókno mięśni swego grzesznego ciała!

Gazu! Byczo! Wkrótce zbliżyłem się do południowo-zachodniego zbocza masywu Digerhö. Posuwałem się wzdłuż tego zbocza, nasłuchując, czy nie lecą głązy zapowiadające zejście lawiny. Obliczyłem, że w takim wypadku nie będę miał wiele czasu na ucieczkę z zagrożonego miejsca. Przy zimowej burzy spadające głązy można usłyszeć dopiero wtedy, gdy potwór jest zupełnie blisko, a jeżeli się go już zobaczy, jest za późno.

Raz, dwa.

Raz, dwa.

Trzymaj tempo! Nie, musisz zwiększyć tempo, ty stara szkapo! Zwiększać, zwiększać, stara szkapo! Właśnie tak! Tak właśnie trzeba robić! A widzisz, że potrafisz! Dlaczego nie miałbyś potrafić? Stać cię na to! I jeszcze na więcej!

Hej, byczo, stara szkapo! Hej, byczo, stara chabeto! Zwiększaj tempo i nastawiaj uszu!

Wszystko pięknie gra. Ratatatata!

Czuję odparzenie na lewej pięcie. Muszę je opatrzyć podczas pierwszego odpoczynku. Ale kiedy mam zrobić pierwszy odpoczynek? Nie prędeż, aż zajdzie ostateczna, ostateczna, ostateczna, ty stara chabeto... aż zajdzie ostateczna konieczność.

W pewnym miejscu trafiłem na stado reniferów szukających ochrony przed wichurą za kilku ogromnymi ośnieżonymi głazami, które jakaś potężna siła przytoczyła tu w przedpotopowych czasach. Zaskoczyłem zwierzęta, niektóre wstały nerwowo, lecz na ogół były przedziwnie spokojne. Żadnej paniki, żadnej chęci ucieczki. Wiele sztuk leżało sobie dalej, ile zaś ich było, trudno powiedzieć, bo nie wszystkie mogłem dojrzeć.

Obserwowały mnie wielkimi, wilgotnymi oczyma i zdaje mi się, były zdziwione i kręciły łbami: Patrzcie, ten tam dwunożny stwór, wydający taką ostrą woń, idzie sobie jakby nigdy nic, kiedy nawet my, zwierzęta, szukamy zacisznej kryjówki. Prr! Prr!

Obszedłem je od dołu. Bardzo chytrze. Bo gdyby z hukiem nadleciała lawina, nie musiałbym zmykać w sam środek stada i pod setki jego kopyt ani też wprost na głazy.

Wszystko świetnie przemyślane. Brawo, Brage! Tylko tak dalej!

Brawo?

Zwolniłem. Renifery, pomyślałem, leżą tu narażone na ogromne niebezpieczeństwo, ale wcale tego nie rozumieją, nic nie pojmują te piękne stworzenia. Nie można na to pozwolić. Równałoby się to morderstwu.

Zacząłem się wdrapywać pod górę. Jeden renifer, dwa, trzy... dalej w górę... cztery, pięć, sześć... Boże święty, renifer na reniferze, ale musicie się stąd zabierać, panowie! Gdy zbliżyłem się do renifera, który, jak mi się wydawało, leżał najwyżej, podniosłem kij i wrzasnąłem:

– Hajda!

Najwyżej leżący renifer podniósł się w panice.

Hajda! Hajda! Nie rozumiesz? Zjeżdżaj stąd! Hajda! Hajda!

Trąciłem go kijem tak, że skoczył w dół. Hajda! Hajda! Ostatni ren od góry wpadł na następnego, który w przestachu też zaczął zmykać, przemknął obok trzeciego, i w ten sposób panika rozszerzała się i obejmowała coraz więcej zwierząt, aż całe stado zniknęło na dole w śnieżycy. Zobaczyłem tylko, że na dnie Lodówki skrzyły w kierunku południowym. Owszem, owszem, w kotle też gdzieś można znaleźć schronienie.

Uśmiechnąłem się zadowolony. Dobry harcerski uczynek, Brage. Hm, przypomniało mi się, że przez całutki tydzień byłem harcerzem, póki mnie

nie wyrzucono. Bo wyrzucono mnie z harcerstwa. Zagrozałem stanowi moralnemu drużyny. Wciąż robiłem kawały i stroiłem małpie miny.

Tak. Tak.

Dalej. Dalej.

Insulina. Insulina.

Gazu, gazu, gazu, stara szkapo!

Odparzelina dokuczała mi coraz bardziej i zaczęło mnie ogarniać coraz silniejsze uczucie zmęczenia. Całe ciało miałem dziwnie sztywne i ciężkie. W dodatku ten plecak, co w nim właściwie jest? Ołów?

Tempo zmałało.

Ruszaj się, ruszaj się, szkapo!

Poruszaj się równo i systematycznie. Rozsądnie oszczędzaj siłę. Jeszcze bardzo daleko. O Boże drogi, jeszcze ogromnie daleko. Piekielnie.

Pocziwe renifery. Dobrze, niewinne stworzenia. Życzę wam długiego życia w tych górach, a na wszystkich myśliwych rzucam urok, życząc im chorób i niepowodzenia! Wszystkie oswojone reny w całej Norwegii: żeby właściciele nigdy was nie odnaleźli! Rozbiegnijcie się na wszystkie światy strony, kochane zwierzęta!

Przy słabszym wietrze bez żadnego wypadku dotarłem do północno-zachodniego cypla masywu Digerhö. Tam przystanąłem i chciałem spojrzeć na

zegarek. Która może być godzina? Ale nic z tego, szkiełko zegarka stłuczone, wskazówki i połowa tarczy zgniecione. No, tak. Trudno. Wyrzuciłem resztki zegarka w śnieg. Żegnaj, odmierzany czasie.

Północny wicher przy północno-zachodnim cyplu tworzył jakby ścianę nie do przebycia i spoza tej ostatniej zasłony, która mnie jeszcze chroniła, gnał ogromne masy śniegu. Nie, nie odczuwałem już strachu. Opuściła mnie zupełnie obawa, która przedtem tkwiła w mym ciele jak łaskoczący paskudny niepokój. Mimo to zadałem sobie pytanie, czy jest sens raz jeszcze nastawiać karku, jeszcze raz dobrowolnie wyjść na spotkanie niszczycielskiemu żywiołowi.

Przystanąłem i wahałem się chwilę.

– Tam się wszystko rozstrzygnie! – powiedziałem, patrząc na ścianę wichury.

Wahałem się nie ze strachu przed śmiercią, lecz z powodu wzrastającego poczucia absurdalności. Moje zadanie równało się przecież samobójstwu, a na to, by odebrać sobie życie, nie byłem przygotowany. Nie byłem przygotowany na śmierć, a trzeba się było na nią przygotować. Jak właściwie ma się sprawa z tą oczywistością? Że oczywiście należy podjąć próbę ratowania życia człowiekowi, któremu grozi pewna śmierć? Czy było teraz

takie pewne, że idąc dalej na północ, mam większą szansę utrzymania się przy życiu niż Bentein? Czy nie było tak samo oczywiste, że powinienem ratować własne życie, bo przecież jego życie nie jest aż tak dalece cenniejsze od mego? Czy wobec tego dalszy wysiłek z mojej strony nie jest absurdem? Czy zresztą nie spełniłem już swojej roli w akcji ratunkowej? Naturalnym i oczywistym punktem końcowym mojej roli był hotel, a poszedłem jeszcze znacznie dalej. Tymczasowe obliczenie zrobionych w tym dniu kilometrów wyglądało tak: czterdzieści pięć kilometrów z Nordablaas do hotelu, plus dziesięć kilometrów z hotelu do urwiska Hampetrossefallet, plus około trzech kilometrów nałożonych przez odprowadzenie Staervika z powrotem na przełęcz, plus droga okrężna w Lodówce, powiedzmy, pięć kilometrów, plus odległość w linii powietrznej od urwiska Hampetrossefallet do północno-zachodniego cypla masywu Digerhö, czyli około dziesięciu kilometrów. Rany boskie, to razem wynosiło dobrych siedemdziesiąt kilometrów! Czy było więc oczywiste, że mam zrobić pozostałe dwadzieścia pięć kilometrów – bo tyle czekało mnie jeszcze od cypla, i to pod warunkiem, że jakimś cudem, przez jakieś hokus-pokus, uda mi się iść prosto, trzymać się normalnej trasy. Czy właśnie w tym momencie, gdy czułem się tak źle, taki

wyczerpany, oczywistość nie nakazywała czegoś wręcz przeciwnego, tego mianowicie, aby zacząć myśleć trochę o własnej skórze, wygrzebać dziurę w śniegu i wleźć w ciepły śpiwór? A może nawet powinienem zawrócić, tyłem do wiatru?

Wtedy przyszedł mi na myśl pastor Johannes Staervik.

Biedny duchowny wędrował gdzieś tam na południe, jego misja w tym dniu sprowadziła się do tego, że mnie opóźnił i potem życzył, aby Bóg prowadził mnie w dalszej drodze. W swej bezsilności nie mógł zdobyć się na nic więcej niż to: „Niech pana Bóg prowadzi”. I pełen ufności poszedł z powrotem do hotelu, do żony. Jeżeli nie złamał ręki, była to wola boska. Jeżeli zaś złamał rękę, to widocznie Bóg chciał, aby ją złamał. Jeżeli na czas zdążę z insuliną, będzie to wola boska, ale równie dobrze będzie się ta wola wyrażać i w tym, że nie zdążę. Zgodne z wolą boską będzie to, że burza mnie pokona i zamarznię na śmierć, jak również i to, że taki wypadek nie nastąpi. Jeżeli zaś dojdę do celu, ale zostanę na całe życie kaleką, znów będzie się miało do czynienia z tą samą wolą. Cokolwiek by zaszło, pastor mógł się powoływać na bardzo wygodne przeświadczenie, że wyroki boskie są niezbadane, że Bóg ma zawsze swój cel w tym, co się wydarza, niezależnie od wyniku. Oczywiście;

tacy ludzie powinni być niezachwiani w swojej wierze. Dla nich Bóg musi być naprawdę trwałą ostoją.

Naprawdę genialny wynalazek to bóstwo, pasujące do wszystkich możliwych warunków i okoliczności.

Co się jednak stało z pastorem Staervikiem? Czy dotarł o własnych siłach do hotelu?

Opowiadał później dziennikarzom, że po rozstaniu się ze mną jechał w dobrym i równym tempie. Czuł się dość silny i był pewien, że potrafi sam wrócić.

Tymczasem jednak burza śnieżna objęła potężnym ramieniem również okolice hotelu, tak że po minięciu stoku Nordveggen i przeprawie przez równinę przeszedł o kilkaset metrów obok zabudowań hotelowych. Nie zdając sobie z tego sprawy, w gęstej jak kasza zadymce przeciął drogę łączącą hotel z wsią. Droga musiała być w tym miejscu zawiata i dlatego niewidoczna, a zamieć tak gęsta, że nie zauważył nawet słupów telefonicznych.

W ten sposób przeszedł obok swej ukochanej Ingeborgi i dążył w tym samym kierunku jeszcze przez wiele kilometrów, aż wreszcie wywnioskował, że coś nie jest w porządku. Cały czas trzymał

się dokładnie wskazań kompasu, zgodnie z moją radą: nieco na prawo od kierunku wskazówki, czyli nie mógł zatoczyć koła – tak twierdził. Nic innego tylko musiał przejść za daleko w lewo od budynku hotelowego.

Wobec tego skręcił pod kątem prostym na prawo i coraz bardziej i bardziej oddalał się od hotelu. Gdyby jednak trzymał się tego kursu, dotarłby w końcu do drogi w innym miejscu. Przeszkodził mu wypadek. Przy jakimś zjeździe złamał lewą nartę, a ponieważ nie miał ze sobą zapasowego szpica, najpierw próbował jechać tylko na prawej desce, ale wkrótce tego zaniechał i pieszo przedzierał się dalej po terenie pokrytym na przemian lodem i zaspami. Wiatr dawał mu się niemiłosiernie we znaki, bo szedł już w kierunku północnym. W burzy zupełnie stracił orientację.

Czy to moja wina, że Staervik nie miał ze sobą zapasowego, metalowego szpica do narty? Czy nie było moim obowiązkiem, jako doświadczonego narciarza, dopilnować tego wówczas, gdy mu pomagałem w pakowaniu plecaka?

Owszem, ale dla siebie też zapomniałem zapasowego kijka. Bo tym zapasowym, który miałem poprzednio, posłużyłem się po złamaniu jednego kija podczas upadku pod Örnebre. I zapomniałem zabrać nowy.

Trzeba zrozumieć: byłem zagoniony i zmęczony! Nie zaliczam się do nadludzi! Mogę czegoś nie dostrzec, nawet w zakresie swojej specjalności!

Po ogromnym wysiłku i wobec dokuczliwego bólu Staervik zrezygnował z dalszego marszu i wyczerpany schował się pod jakąś skalną ścianę. Tam oparł się o kamień, aby chwilę wypocząć przed wypakowaniem śpiwora. No i w tej pozycji zasnął, a Pan Bóg go nie obudził.

Pod tą ścianą ekipa ratunkowa znalazła gościa hotelowego, chociaż nie tego, którego poszukiwała. Staervik stał wyprostowany i spał, twarz miał pokrytą warstwą lodu. Był obydwoma nogami na drugim świecie. Uśmiechał się błogo. Ratownicy dali mu gorącej kawy i wody z cukrem, po czym powoli odzyskał świadomość i oświadczył, że nie czuje bólów ani zimna. Miał rozkoszny sen, śniły mu się zielone łąki i letnie słońce.

Nie rozstrzygnąwszy, co jest bardziej oczywiste: dążyć dalej na północ, czy też nie, poszedłem na północ. Najkrótszą drogą byłoby teraz pójść wprost z północno-zachodniego cypla ku kopie Veslehö, ale zawahałem się przed zejściem z trasy, na której miałem pewne znaki rozpoznawcze. Postanowiłem pójść jeszcze raz drogą okrężną;

wzdłuż masywu Digerhö na wschodnio-północny wschód aż do kilku głązów, które dawniej oznaczyłem na mapie. Stamtąd odległość do Veslehö była mniejsza i – jak przypuszczałem – po pewnym czasie znalazłbym się pod osłoną tej kopy. W ten sposób miałem też odsunąć chwilę, od której byłbym zdany tylko na łaskę i niełaskę kompasu.

Droga okrężna miała być dość długa, a niebezpieczeństwo lawin jeszcze większe niż na południowo-wschodniej stronie masywu Digerhö, która tego dnia była stroną odwietrzną.

Zanurzyłem się więc w burzę. Najbliższy odcinek północno-zachodniego cypla miał niewyraźny i tańczący zarys, jakby buchały stamtąd kłęby pary. Diabli śniegu i biesy wiatru zacierały za mną wszelki ślad, napadały na mnie od przodu, groziły, że mnie zmiotą. Samotność działała deprymująco. O, ta ogromna biała pustka przede mną, ta bezlitosna nicość. A jak tu huczy i wyje, jak zamraża twarz na sztywno i powoduje drżenie kolan! Uhuuu! Teraz wpadniesz w moje łapy!

Siła wiatru była może trochę mniejsza niż w Lodówce, ale za to zadymka znacznie gęstsza. Nie czułem policzków i nosa.

Mróz.

Życie jest ciepłem. Śmierć jest mrozem. Nicość musi być mrozem i ciemnością.

Hej, słońce! Co się dziś stało z twoją krzepą? Nic z niej nie możesz mi dziś użyczyć?

Nic.

Nie, nie.

Hej, Boże! Czy nie możesz pomóc biedakowi, który chce uratować bliźniego?

Żadnej odpowiedzi.

Nic.

Nie, nie.

Nie, nie, nie, ty szkapo! Nie, nie, nie, ty szkapo!

Oto przychodzi moje biedne maleństwo... sssss.

– Dobrze pojęty obowiązek, że oczywiście trzeba podjąć próbę uratowania życia człowiekowi, któremu grozi śmierć.

Dobrze pojęty obowiązek, dobrze pojęty obowiązek!

Obowiązek, obowiązek, obowiązek, ty szkapo!
Obowiązek, obowiązek, obowiązek, ty chabeto!

Dalej. Dalej.

Insulina. Insulina.

Szybko działająca. Szybko działająca.

Przyspiesz tempo!

Tempo, tempo, tempo, ty chabeto! Tempo, tempo, tempo, ty szkapo!

Igiełki śniegu kłuły mnie w nos. Usta miałem spuchnięte i pokryte śluzem, jak to bywa, gdy człowiek jest zmuszony do długotrwałego wysiłku.

Nowy poryw wiatru obalił mnie na śnieg i twarzą przejechałem po czymś ostrym – jakbym ją przetarł papierem szmerglowym.

Podniosłem się i ruszyłem dalej. Tak, robiło się coraz mroźniej i ciemniej, a odparzenie dokuczało coraz bardziej. Czy coś chlupocze w bucie?

O, to prawdziwa tortura iść tak godzinami pod wiatr. Każdy krok wydaje się skokiem, każde odbicie kijkiem przypomina podnoszenie ciężarów, i tak ciężko, ciężko, ciężko oddychać, człowiek łapie powietrze, sapie, dyszy, odwraca się plecami do wiatru, aby choć przez chwilę pooddychać swobodniej, ale potem musi iść dalej, musi iść dalej, dalej, dalej, bo wie, że chodzi o śmierć albo życie, te słowa palą go i pieką, chcą go omamić, niech palą i pieką, niech omamiają, bo jest tylko jedno inne wyjście; zawrócić i dać się wichurze zanieść w bezpieczne miejsce albo zagrzebać się w śnieg i czekać na lepszą pogodę, ale tego nie można, nie ma nawet prawa o tym myśleć!

Ciach go batem! Ciach go batem!

Batem, batem, batem, ty szkapo! Batem, batem, batem, ty chabeto!

Poczułem nowe odparzeliny; na stopach, na przegubach pod paskami kijów, a w dodatku zjawilo się zesztynnienie mięśni: sztywne uda i łydki, całe ciało jak rozbity kawał mięsa, po różnego

rodzaju przenikliwych bólach mogłem rozpoznać, że ten mięsień leży tu, a tam ten tam. Przez cały czas na przykład wiedziałem, że mam ścięgno po wewnętrznej stronie uda. Widocznie naciągnąłem je przy urwisku Hampetrossefallet.

Trzymaj się kursu, Brage! Uważaj, żebyś się nie oddalił od masywu Digerhö!

Trzymać kurs. Śmiechu warte. A więc się roześmiałem. Potrzebowałbym dwu serc, dwu par płuc i po dwie pary rąk i nóg, aby móc trzymać się kursu!

Może już teraz wyruszyli za mną tamci, pogotowie górskie i helikopter. Weasel i wypoczęci ludzie pędzą okrężną drogą do kopy Veslehö, mając ze sobą psi zaprząg i insulinę, insulinę! Wypoczęci ludzie, może idą też moimi śladami, byle tylko uważali przy urwisku Hampetrossefallet. Uważajcie, panowie! Nie ryzykujcie niepotrzebnie! Nie dajcie się zwieść pozorom! Nie puszczajcie liny! Trzymać się, trzymać! Zobaczysz, Brage, że za dwie lub trzy godziny dogonią cię i powiozą dalej na tobogganie.

Nie poddawaj się, nie poddawaj się, ty stara szkapo!

Wolno ci pomarzyć! Jak potrafią dać sobie radę ze sprowadzeniem psów w dół urwiska Hampetrossefallet? Marz sobie dalej! Może w tym mo-

mencie, gdy helikopter będzie warczał nade mną, znów zrobi się dziura w chmurach i załoga ujrzy mnie na dole, rzuci mi linę i wciągnie mnie na pokład? Nie jestem przygotowany na śmierć! Nie jestem przygotowany na śmierć!

Śmierć, śmierć, śmierć, ty szkapo!

Niestety, nie ma jeszcze na świecie helikoptera, który mógłby latać w taką pogodę nad tymi górami. Przestań marzyć! I dziura w chmurach dokładnie wtedy, gdy helikopter warczy ci nad głową? Bzdury, bzdury, bzdury, stara chabeto! Bzdury, bzdury, bzdury, stara szkapo!

A nie marz o tym, że ktoś wybierze się na pomoc bez psów i bez sani, potem jak pleciuga przedstawił cię jako nadczłowieka. Ten facet, ten dureń, będzie dziś sprawcą twojej śmierci!

A jeżeli znaleźliby się tacy, którzy chcieliby pójść w twoje ślady, to istny cud musiałby się zdarzyć, żeby nie ominęli cię bokiem. W dodatku nie idziesz swoją zwykłą trasą, często wybierasz okrężne drogi.

Wybierasz okrężne drogi! Wybierasz okrężne drogi! Wybierasz okrężne drogi! Jesteś zgubiony!

ZGUBIONY!

Jeżeli nie zagrzebiesz się w śnieg.

Zagrzeb się w śnieg!

Stój!

Stójże, człowieku!

Dlaczego nie stajesz? Stań i kop!

Nie, nie, nie, ty szkapo! Nie, nie, nie, ty chabeto! Nikt nie potrafi lepiej od ciebie wykonać tego zadania, nikt, nikt, nikt, ty szkapo, żeby był nie wiadomo jak wypoczęty, nie może się tutaj, tutaj, tutaj, ty szkapo, porównać z tobą, tobą, tobą, ty chabeto. Tysiąc groźnych pułapek czyha na ciebie, choć tak doskonale znasz te strony, sto tysięcy więc musi grozić temu, kto nie zna tych okolic. Wszyscy inni są tu już z góry skazani na zagładę. Wpadają w przepaść, z ludzi i psów zostaje miazga, sanie roztrzaskane, helikopter uderza o skałę, poryw wichru łamie śmigło nośne! Pomyśl nad tym, pomyśl, pomyśl, a jeżeli to zrobisz, wówczas zrozumiesz, jak mało jest prawdopodobne, aby w taką pogodę wysyłano helikopter lub ekipę ratowników z psim zaprzęgiem. Uciekają pod dach jak jeden mąż, jak jeden mąż! Chowają się przed burzą, wszyscy, jak jeden mąż! Tylko szalenie wysyła ludzi na ratunek życia, życia, życia, ty szkapo! Dzisiaj, dzisiaj, dzisiaj, ty chabeto! Bo kierownik pogotowia – ktokolwiek nim jest, ktokolwiek nim jest, ktokolwiek nim jest, szanuje życie, życie Benteina, ale również i życie członków swojej ekipy. Nikogo nie skazuje na śmierć. Kieruje się rozumem.

Tak, tak, tak, ty stara szkapo! Rozum u niego decyduje – ty chabeto!

Ty jesteś jedyną szansą ratunku dla Benteina. Jeżeli ktoś potrafi zdążyć na czas, to tylko ty! I kierownik powie: ten człowiek zasłużył na złoty medal. I jako inwalida o kulach, z amputowanymi nogami, z chorymi wnętrznościami i chroniczną migreną, będę z zapadłymi oczyma kuśtykał po świecie i obnosił na piersi ten złoty medal, a wszyscy będą mówić: to ten, co się poświęcił! A Bentein będzie dziękował i służył mi nieprzerwanie, a ja będę się błogo uśmiechał zadowolony z nas obu. Szlachetny czyn! Odkupienie grzechów! Katharsis! Katharsis!

Rzygać się chce. Nie chcę ani słów, ani znaku podziękii. Pragnę wokół siebie ciszy, pokornej ciszy.

Na północ. Na północ.

Insulina. Insulina.

Oczywiście. Oczywiście.

Podczas burzy śnieżnej wszystko jest trudnym problemem. Musiałem wypróżnić pęcherz, lecz jak to miałem zrobić? Najpierw próbowałem na stojąco zwrócony plecami do wiatru, ale zanim jeszcze zdążyłem opuścić brezentowe spodnie, wicher mnie przewrócił. Spróbowałem klęcząco; przede wszystkim musiałem opuścić wierzchnie spodnie,

potem treningówki, potem krótkie majtki chroniące krzyże, potem kalessony, a wtedy znów wichur pchnął mnie do przodu i znalazłem się na czworakach jak pies bez drzewa. Nie mogłem jednak tak zostać, bo mocz oblewał mi ręce. Położyłem się więc na boku plecami do wiatru i tak się załatwiłem, a przez ten czas wichura nawiała mi do spodni śniegu i mrozu.

Wzdrygnąłem się na myśl o tym, co mnie czeka, gdy przyjdzie załatwić grubszy interes.

Dalej. Dalej.

Na północ. Na północ.

Insulina. Insulina.

Oczywiście. Oczywiście.

Prędeż, prędeż, prędeż, ty szkapo!

Nowe podejście. Dawało trochę osłony przed wiatrem. Mogłem oddychać swobodniej. Mimo to czułem coraz większe zmęczenie.

Jestem zmęczony.

Głupstwo, wcale nie jestem zmęczony.

Wyj, wyj, wyj, wichuro! Wyj, wyj, wyj, wichuro!
Wyj mi w twarz! Wyj z boku! Wyj z góry! Wyj dookoła! Wiesz przecież, że nigdy ci się nie poddam!
Wiesz przecież, że jestem Brage Bragesson!

O własnych siłach wydobyłem się z łóżka, o własnych siłach wygramoliłem się z wózka na kółkach, potem stanąłem o kulach, potem przenio-

słem się na boisko, a stamtąd w lasy na narty, na narty. Wytrzymałem cztery lata więzienia, wytrzymałem śmierć Siv, i szedłem dalej, dalej, dalej! Po co? Piastuję marzenie o lepszym Bragem Bragessonie, marzenie o coraz większej czystości, mam wiele innych pięknych marzeń i kocham życie, czy nieprawda, Digerhö, że kocham życie? Warto żyć, nawet w obozie koncentracyjnym, jak powiedział Stefan Borovic.

Stefan, Stefan, żebyś mnie teraz zobaczył! Jestem teraz chyba wcieleniem twego marzenia o lepszym człowieku. Stefan! Odpowiedz! Czy nie jestem...

Życie! Jakie piękne, uwodzicielskie słowo! Twoje zdrowie! Wsadzam sobie do gęby kawałek lodu, połykam go, za twoje zdrowie! Tfu!

A wyj sobie! Wyj, jak chcesz! Wyj mi w twarz! Wyj z boku! Wyj z góry! Wyj dokoła! Wiesz przecież, że się nie poddam! Wiesz przecież, z kim masz do czynienia! Brage Bragesson! Człowiek o woli twardej jak stal, nie, jak dia... diament, człowiek, którego duch zrodził się z dalekich, dalekich, dalekich konstelacji! Tere-fere-kuku! Nic mi nie zrobisz.

Za mną skrada się mroczna, lodowata postać: śmierć. Nie boję się jej, ale nadal uważam ją za absurd, bo nie jestem przygotowany. Śmierci,

czym ty jesteś? Hej, ty tam za mną, kim jesteś? Widzę kosę sterczącą tam za pagórkim! Czy ktoś był kiedyś na ciebie przygotowany? „*Mehr Licht*”^[45], powiedział Goethe; czy on był przygotowany, on, autor „Fausta”, tego nierównego, lecz wspaniałego dzieła, dzieła o walce człowieka z tajemnicą. Czy on był przygotowany? „*Mehr Licht!*”, błagał Goethe. Czy śmierć nie była tylko nadchodzącą ciemnością i dlatego to błaganie o „więcej światła”? Suma wszystkich zmagania Goethego-giganta: „Więcej światła!”. Co za lament. Przychodzimy z ciemności, odchodzimy do ciemności, czy więc nie powinniśmy używać życia, cieszyć się światłem i kurczowo trzymać się światła w krótkim okresie między tymi dwoma ciemnościami?

Idę, aby zanieść światło jednemu z ludzi. Może sam przy tym stracę życie. Czy w tym nie tkwi absurd?

Ciemność. Pewnego razu uciekłem do lasu i zachorowałem. Jadłem odpadki, dary ziemi, mój ojciec nie żył, moja matka nie żyła, a ja byłem chory, chory, chory, ty szkapo! „Muszę zejść do rzeki i napić się wody, inaczej umrę z pragnienia”. Nigdy nie doszedłem do rzeki. Zemdlałem na brzegu. O, prawdziwe męki Tantalusa, jakby życie płynęło obok wraz z rzecznołą wodą! I ciemność... ciepło... gorączka trawiąca ciało... czy to ma się powtórzyć?

„Chcę być duży i mocny! Będę, muszę być, będę,
bo chcę być!”

W górę. W górę.

Insulina. Insulina.

Sprawa polega na tym, że musisz, musisz!

Takie proste.

Własny nakaz moralny.

Gdzieś tu jest Siv. Niedaleko stąd jest Siv.
Umarła. Ale ja żyję. Jeszcze.

W górę. W górę. O, jaki pagórek!

Przyszedł mi na myśl Fridtjof Nansen i Roald Amundsen, a także ich towarzysze. Porównywałem swoje zadanie z ich ekspedycjami, choć oczywiście nie zasługiwałem na takie porównanie, bo czym ja byłem przy tych ludziach. Czy nie miałem jednak prawa pomyśleć, że moje zadanie wymagało tyle samo odwagi i siły, co choćby jeden wyczerpujący i pełen niebezpieczeństw dzień podczas ich wypraw? Oni mogli właściwie zawsze rozbić namioty i schronić się w nich przed burzą. Ja nie mogę. Ja muszę przeć dalej, i to natychmiast. A czy moje góry są dziś mniej niebezpieczne od bieguna północnego, bieguna południowego albo lodów Grenlandii?

Odwaga, co to właściwie jest odwaga? Szczytem odwagi było na pewno, gdy Nansen i Johansen w pobliżu bieguna północnego zegnali się z „Fra-

mem” i resztą towarzyszy wyprawy, umawiając się z nimi, że po tylu a tylu miesiącach spotkają się w Norwegii.

Szczyt męskiej odwagi, pomyślałem i przypomniałem sobie Staervika. Poszedł ze mną, nie mając najmniejszego pojęcia o tych moich górach, bez doświadczenia, jak należy się w nich zachować podczas burzy śnieżnej i jak wspinać się po linie. Czy tak idąc – z Bogiem lub bez – nie był odważniejszy ode mnie, i tak odważny jak Nansen, Johansen i towarzysze ich wypraw? Tak, czy ten pozornie mały czyn Staervika nie był w gruncie rzeczy stosunkowo znacznie większy?

Dwaj mężczyźni, A i B, skaczą do morza. C tonie i wzywa ratunku. A jest sportowcem, mistrzem pływackim. B jest chorowity, cierpi na astmę i anemię. B myśli: „Człowiek tonie, muszę w każdym razie spróbować popłynąć mu na ratunek”. A myśli: „To dla mnie bagatela”. A dopływa pierwszy i wyciąga C na ląd. Tymczasem B dostaje kurczów i woła: „Ratunku, tonę!”. A skacze ponownie i ratuje B. Kto jest bohaterem, ten co uratował dwóch ludzi, czy ten, który sam wymagał ratunku, A czy B? Odpowiedź: rzecz oczywista, że B, ten anemiczny astmatyk!

Momentalnie nabrałem szacunku dla Staervika i to niezależnie od faktu, że na początku stchórzył.

Znów zjazd. Wiatr z boku. Długi i równy stok. Mimo wszystko trudno mi się wyprostować. Czas na odpoczynek.

Nagle zobaczyłem skalisty brzeg. Zorientowałem się, że podjechałem za wysoko, skręciłem więc w dół. Mocne uderzenie wichury pozbawiło mnie równowagi, tak że zacząłem tańczyć. Byłem przekonany, że wkrótce to opanuję, gdy nagle deski się skrzyżowały, a ja poleciałem do przodu, upadłem, przekoziółkowałem kilka razy, potłukłem się mocno i poczułem szum w głowie. Próbowałem wstać, ale nadaremnie, zachwiałem się i upadłem na nowo.

Oddychałem z wielką trudnością. Po wciągnięciu powietrza do płuc czułem ból w piersiach. Może złamałem kilka żeber? Próbowałem je obmacać i stwierdziłem, że nie mam czucia w końcach kilku palców. Uklęknęłam i zacząłem zabijać ręce, ale nic to nie pomogło, tylko ból w piersiach wzmagął się przy tych ruchach. Obmacałem się kostkami palców, przy naciskaniu czułem ból w piersiach. Prawdopodobnie złamałem albo jedno żebro, albo nawet kilka. Nie ma na to rady.

Podniosłem się i pługiem zjechałem ostrożnie w dół, niepewny siebie, ledwie żywy. Ból głowy. Mocny ucisk w oczach. Zachwiałem się, usiadłem na deskach i tak zjechałem w dół, po drodze trochę

wypoczywając. Czy wiatr odrobinę nie osłabł? Może, ale cóż z tego, skoro ja też jestem coraz słabszy. Wszystko jest przecież względne, trudno więc ocenić, czy wiatr zelżał.

Koniec zjazdu. Staję na równym. Teraz powinny tu być głazy. Czas na wypoczynek.

Podszedłem do najbliższego głazu. Tam odpoczywałem, ryzykując. Odpoczywałem zasłonięty od wiatru, innymi słowy po stronie zwróconej do masywu Digerhö. Niebezpieczeństwo lawin, większe niż w kotle, w Lodówce. Oczywiście pułapka, w razie zejścia lawiny przygniotłoby mnie na płask do głazu, ale nie miałem już sił znosić wichury i gęstej zamieci, musiałem trochę odetchnąć. Głaz wielkości domu daje dobrą osłonę. Nie musiałem już dźwigać wszystkiego na sobie, odpiąłem więc narty i zdjąłem plecak.

Wykopałem dziurę w śniegu tak, aby na pierwszy sygnał lawiny móc wyskoczyć ze śpiwora i obiegłszy kamień schować się po przeciwnej jego stronie.

Dziura długości grobu dla Bragessona. Ułożyłem w niej narty, na nich śpiwór. Tuż obok wetknąłem w śnieg łopatkę: muszę ją mieć pod ręką i zabrać ze sobą w wypadku lawiny, bo wtedy zasypie mi ona narty, kijki, plecak i śpiwór.

Wlazłem do śpiwora. Opatrzyłem odparzenia,

posmarowałem je maścią tranową i zabandażowałem. Palce u nóg zimne jak lód. Palce u rąk spuchnięte i bez czucia. Ciało przemarznięte. Wirowało mi w mózgu, myśli wyprawiały różne harce.

Wygrzebałem termos. Gorący sok z czarnych porzeczek, aha! Ale chyba wszyscy diabli zmówili się przy zakręcaniu korka, bo gdy mi wreszcie udało się odkręcić, byłem taki rozwścieczony, że tylko łaska boska uratowałaby jakiegoś rena, który znalazłby się w pobliżu; zadźgałbym go długim nożem, rozprułbym mu kałdun i zanurzyłbym zdrętwiałe ręce w dymiące bebechy.

Piłem jak smok. Piekło w język. Nagle wydało mi się, że żołądek mi się wywraca. Oho, nawet jeść i pić już nie mogę, pomyślałem, dodając przekleństwo.

Nudności. Lepiej wyciągnąć się równo w śpiworze. Spokojnie, Brage. Pij i jedz powoli, ostrożnie.

Tak postąpiłem. Pomogło. Żułem zmarznięty na kość chleb, który stawał mi w gardle i bez soku nie chciał wędrować dalej.

Znudził mi się chleb, więc spróbowałem czekolady, ale żołądek znów zaczął się buntować.

Wyplułem czekoladę i wróciłem do zmarzniętego chleba. Musiałem jeść. Musiałem się pożywić i nabrać sił.

Po jakimś czasie żołądek uspokoił się i błogie

ciepło zaczęło się z niego rozchodzić po całym ciele.

Należało odpocząć. Byłem senny. Tylko nie wolno mi zasnąć. W żadnym razie.

Ułożyłem się w śpiworze, zaciągnąłem błyskawiczny zamek, ale głowę zostawiłem na wierzchu. Musiałem nasłuchiwać.

O, jak to dobrze położyć się i na chwilę uciec od rzeczywistości. Jakby człowiek został uniesiony ojcowską ręką i ułożony na matczynym ramieniu, aby stamtąd znaleźć drogę do cieplejszego świata. Różne myśli plątały mi się po głowie. Najpierw była wokół mnie wiosna i pełno śmiechu, ktoś wygłaszał mowę na cześć dam, moja sąsiadka przy stole zapłoniła się, chwyciłem ją za rękę – flaga norweska łopotała na wietrze, było 17 maja, święto narodowe, orkiestra dęta, nowe przemówienia, stary, duży i gruby nauczyciel matematyki mówił o młodości i sam był bliski śmierci – potem ona podchodzi ku mnie, jasne włosy wymykają się jej spod czerwonej czapki, jaką noszą maturzystki; obejmuję ją, bo taki mam zwyczaj – jakiś głos mówi, że będzie wojna – na wojnie i w miłości – pod czerwoną suknią maturzystki rysuje się twoje udo, czy rzeczywiście możesz mnie bardziej podniecić? – czuję męską siłę, męską siłę, cały jestem męską siłą i dziękuję ci za to! – patrzcie, przeżyłem dwa naturalne okresy: swój i twój – jestem

jeszcze taki młody, taki młody, obnażam się, spójrz na moją młodzieńczą nagość, ty się obnażasz, oboje się obnażamy... pójdź!

Piaszczysta plaża. Bezchmurne niebo. Oczywiście. I ani śladu wiatru. Uśmiechnięci ludzie. Położyłem się między nimi na piasku. Nikt nic nie mówił, ale wszyscy byli szczęśliwi.

Ja to wszystko zbudowałem: wszechświaty spokoju i zadowolenia. Potem zbudowałem matkę karmiącą piersią dziecko. Tak, jeszcze ich widzę, widzę ojca delikatnie gładzącego dłońią pierś matki, widzę jego palce, które z tak nabożnym podziwem pieszczą i głaszczą, widzę jej palce, które delikatnie podają pierś poszukującym usteczkom dziecka, widzę, jak szorstka, silna dłoń ojca zatrzymuje się powoli, o, jak powoli! przy usteczkach dziecka – koniec palca przy czerwonych wargach – wargi ślinią się, zaczynają ssać, chwytają pierś kobiety. Tak, widzę ich wszystkich: mężczyzna podnosi dłoń, wymawia pierwsze słowo: „ZOBACZ!”, dwie krople matczynego mleka na palcu. Budzą się dziwne pożądania, pożądania pytające: „Czy wystarczy mleka dla obu? Ja biorę jedną pierś, mój syn bierze drugą – czy wolno, czy mogę tak zrobić?”, ale zawstydzona się okropnie i zadowala się tylko stwierdzeniem, że z powodu tych dwu kropli mleka jeszcze bardziej pożąda swej małżonki; pe-

łen pożądania siedzi milczący i oszołomiony przy jej boku i widzi – wielkie i łagodne oczy żony wpatrzone spokojnie w dziecko. Dwoje ludzi jak przykutych. I to dziecko łapczywie szukające pożywienia, całym jego światem jest miękka, ciepła część ciała innego człowieka. Misterium! Zagadka! Cud nad cudy: życie!

Poruszam ręką: cud!

Mój mózg myśli: cud!

Fale suną ku brzegowi jak giętkie, długie węże. Ogniska wielkie jak raje płoną na piasku. A wokół nich tańczą szczęśliwi ludzie.

Buduję wszechświaty szczęścia i spokoju. Uno-
szę nagie ciało ku niebu, obejmuję je i śpiewam:
„Wspaniały jest świat!”.

Miałem dwadzieścia jeden lat i od sześciu tygodni byłem właścicielem szałasów Nordablaas. Ofiarodawca powiedział:

– Od dzisiaj te wszystkie góry należą do ciebie.

Lecz po ośmiodniowym pobycie znalazłem na progu list, który mówił, że bym sobie przypadkiem nie wyobrażał, że te wszystkie góry są moje.

List był pisany ręką młodej osoby, a pismo świadczyło o zdecydowanym charakterze:

„Pan Bragesson, w miejscu.

Obserwowałam przez lornetkę, że Pan się tu wszędzie kręci. Niech Pan sobie jednak nie wyobraża, że te wszystkie góry należą do Pana. Poprzedni właściciel szałasów Nordablaas i mój tatuś zawarli porozumienie i Pan też musi się do tego stosować.

Do Pana należą: Trollhorn, Örnebre, Digerhö, Raudhorn, Blaatind i oprócz tego wszystkie szczyty na wschód od Trollhornu. Własnością mego tatusia jest Skaget, Langfjellet, dolina Langfjelldal, bliźniacze szczyty Tvillingene i oprócz tego wszystkie szczyty na północ od Langfjellet. Do nas należy też mokradło, a Pan ma tylko prawo tamtędy przechodzić, aby dojść na szczyt Örnebre, gdy Pan jest w drodze po prowiant lub w innych sprawach. Piszę to dlatego, że gdy wczoraj kąpałam się w potoku płynącym przez dolinę Langfjelldal, omal Pan na mnie nie wpadł. Nie widział mnie Pan, ale mógł zobaczyć. Ja kąpię się nago i opalam się też nago. Czy nie może się Pan dostosować do istniejącego porozumienia? My lubimy samotność, doktor Johan też lubił samotność. A miejsca wystarczy tu dla wszystkich, tylko dochowujmy umowy. Pozdrowienia od

Siv z Björnehiet”.

Nigdy nie spotkałem ani jej, ani nikogo z jej rodziny, lecz wiedziałem, że spędzają tam wakacje. Nie widziałem też nigdy ich szałasów Björnehiet, ponieważ jednak doktor Johan dokładnie nazначył mi na mapie jego położenie, trzymałem się z dala od tego miejsca.

Najbliższej nocy wetknąłem w drzwi szałasów Björnehiet list następującej treści:

„Panna Siv, w miejscu.

Dostałem Nordablaas dlatego, że pragnąłem jakiegoś miejsca na odludziu, może więc Pani być pewna, że nie mam ochoty spotykać Pani ani też kogokolwiek z Pani rodziny. Johan powiedział jednak, że wszystkie góry są moje, i tego się trzymam. No, ale zastosuję się częściowo do Pani wymagań. Ryby będę łowił w potoku tylko na zachód od Firkanten. Wybierając się na Skaget, Tvillingene lub jakąś inną górę na północ od Langfjellet, będę obchodził przez Trollhorn. Na koniec mała rada: proszę mniej patrzeć przez lornetkę”.

Za kilka dni nowy list leżał na progu mego szałasów:

„Boże, jak Pan chrapie i jaki z Pana uparciuch! Już z daleka można poznać, że Pan jest najbardziej zaciętym człowiekiem na świecie. A do tego

jest pan zarozumiały. Insynuuje Pan, że ja Pana oglądam przez lornetkę. To oczywiście nieprawda. Stronimy od przechodzących ludzi. A nasze nieporozumienie wynika chyba ze skłonności Johana do żartów. Powiedział, że wszystkie góry są pańskie tylko po to, żeby mi zrobić kawał. Jego zdaniem między nami powinien powstać »romans« i właśnie dlatego powiedział, że wszystkie góry są twoje, aby Pana podstępnie zwabić na mój teren. Skoro Pan teraz wie, że Johan tylko żartował, możesz chyba stosować się do umowy?

Siv”.

Ubawiło mnie to mieszanie „Pan” i „ty” i nie wątpię, że musiała słyszeć o mnie coś, co ją zainteresowało. Ale smarkula może się pocałować w nos, jeżeli myśli, że dojdzie między nami do jakiegoś flirtu! Byłem zły, gdy następnej nocy wtykałem w drzwi Björnehiet list takiej treści:

„Panno Siv,

Może pani być pewna, że nie będzie żadnego romansu. Będę jednak wchodził na wszystkie szczyty, na które mi się spodoba. To tylko ode mnie zależy i basta.

Brage Bragesson”.

Spodziewałem się nowej odpowiedzi i próbowałem czuwać nocami, aby ją nastraszyć, jeżeli przyjdzie pod szalas. Ale jakoś tak się złożyło, że jednak spałem, gdy zostawiła na progu paczkę z ciastem i list:

„Tatuś jest wściekły i nazywa Pana «bezczelnym młodym człowiekiem». Zostawiam Panu trochę ciasta, żeby się Pan miał czym pocieszyć, gdy mój tatuś przyjdzie i da Panu szkołę. Żal mi Pana. Gdy Pan śpi, wygląda pan całkiem miło.

Siv”.

Nie mogę zaprzeczyć, że po takich wymianach listów interesowała mnie ta młoda osoba. Szczególnie zainteresowała mnie w niej ta mieszanina słodczy, dowcipu i upor, choć sam przed sobą wówczas do tego się nie przyznawałem. Jeszcze bardziej się rozgniewałem – tak mi się zdawało.

O jej! Co proszę? Pani mnie żałuje? Patrzcie, ta smarkula śmie tak się do mnie odzywać, jakbym miał zrobić w spodnie przed jej ojczulkiem! Tak mnie poniosło, że następnej nocy pognałem do Björnehiet i położyłem im pod drzwiami największy kamień, jaki zdołałem unieść. „Ha!” – pomyślałem. Teraz wojowniczy pan Bjorn będzie wiedział, z kim przyjdzie mu ewentualnie mieć do

czynienia!

Przez następny tydzień nie było mnie w Nordablaas. Obozowałem przy urwisku Hampetrossefallet, gdzie kończyłem urządzenie dźwigowe. Gdy wróciłem do domu, czekała mnie niespodzianka: na moim progu leżał spory granitowy głaz. Cha, cha, cha! Pan Bjorn ma poczucie humoru! Wspaniale!

Próbowałem podejść do tego lekceważąco. Boziu, Boziu, powiedziałem, posuwając trochę kamień. Boziu, Boziu, hmmm, przecież stary niedźwiedź własnymi rękoma zbudował szalas Björnehiet, a teraz przytaskał ten kamień z mego potoku aż tutaj. Nieźle, jak na starego. Widocznie Bozia mu pomogła.

Podniosłem kamień. Był piekielnie ciężki. Rozzłościłem się jak jasna cholera! Co takiego? Stary dziadyga chce się ze mną mierzyć siłami, co? Wobec tego składam uroczyste ślubowanie: Słuchajcie, moje góry, słuchajcie! Pewnego ranka niedźwiedź znajdzie ten kamień pod swymi drzwiami. Nawet gdybym miał przez to zostać kaleką. Wtedy mu oko zbieleje! Wtedy zrozumie stare prawo: ten z nas, który uniesie najwięcej i zanieśie najdalej, będzie rozkazywać drugiemu!

Okropne postanowienie. Dziesięć nocy męczyłem się z tym granitowym głazem. Przez dziesięć

długich nocy, niezależnie od pogody, metr po metrze taszczyłem go prawie pięć kilometrów do Björnehiet. Ciągnąłem go na czymś w rodzaju sań, dźwigałem na plecach, toczyłem po ziemi, kopałem, przeklinałem. Lecz w końcu dałem radę. Stało się to pewnej cichej lipcowej nocy, przed wielu, wielu laty, a moja radość graniczyła prawie z histerią.

Właśnie byłem na ścieżce prowadzącej pod górę do drzwi szałasu i miałem przed sobą jeszcze dwadzieścia metrów, gdy drzwi otworzyły się niemal bezgłośnie i ukazała się jakaś biało ubrana postać. Stała cicho i długo mnie obserwowała.

Córka starego niedźwiedzia. W półmroku nie rozróżniałem jej kształtów, raczej się ich domyślałem, ale sądząc po sylwetce była to niewątpliwie młoda kobieta w nocnej koszuli.

– O! – zawołała postać zduszonym głosem. – Czy to nie ten kamień, który tatuś...

– Owszem – parsknąłem pogardliwie, kładąc kamień na ziemi.

Zaczęła błagać:

– Proszę tego nie robić! Tatuś nie może zobaczyć tu tego kamienia! Mój kochany, proszę go stąd zabrać i gdzieś schować!

Oświadczam: to był najbardziej urzekający głos kobiety, jaki sobie można wyobrazić. Jak pieszcz-

ta! Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem. Brak mi wprost słów, żeby opisać to pierwsze wrażenie.

– Drogi panie! Niech pan będzie taki kochany! I taki dobry!

Złapałem się za głowę, bo mi się w niej zakręciło.

– Chwileczkę – zacząłem, ale głos uwiązł mi w gardle.

– Cicho! – rozkazała. – Tatuś śpi.

– Chwileczkę, proszę pani. Dziesięć nocy męczyłem się, żeby przynieść ten kamień tutaj, a teraz pani chce, żebym go zabrał? Za nic w świecie! Za nic w świecie, powtarzam!

– Dziesięć nocy? – szepnęła, a w półmroku zobaczyłem, jak opiera się o ścianę i ręką zasłania usta, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– A teraz kamień będzie tu leżał jako pamiątka po Bragem Bragessonie. Za kilka dni przyjdę i wykuję na nim swoje nazwisko. Dokonałem nie byle jakiego wyczynu! Musi pani to zrozumieć!

– Nie, nie! – znów zaczęła błagalnym głosem. – Nie! Nie może pan tego zrobić! Tatuś zechce odnieść go z powrotem aż do Nordablaas, a takiego wysiłku już nie zniesie! Nie ma już takiego mocnego serca! Błagam, tatuś tyle się napracował, jest taki dobry i miły, niech mu pan tego oszczędzi!

Bezradnie rozłożyłem ręce i skapitulowałem.

Słabe serce. Stary, poczciwy wariatuccio. Dziesięć nocy daremnej orki.

Tak, ona postawi na swoim, ale nie tak łatwo, o nie. Najpierw niech trochę pocierpi, mała diabliska!

– Pani żąda rzeczy niemożliwej!

– Brutal – syknęła w odpowiedzi. – Bezwzględny brutal!

Dzika kotka i nie znosi sprzeciwu, wywnioskowałem.

Kotka zaś to pomrukiwała, to parskała na przemian:

– Niech pan będzie taki miły, taki dobry! E, pan jest najniezgrabniejszy i najgłupszy ze wszystkich mężczyzn, jakich spotkałam! Niech pan się stąd zabiera albo pójdę po strzelbę tatusia! Wynocha stąd i basta! Zrozumiano?

– Tak, ale...

– Nie tak głośno! Szeptem!

– Przynieś strzelbę. Ja tu poczekam.

– Osioł!

– Czarownica.

– Cham!

– Latawica!

– No, no, tylko niech pan sobie za wiele nie wyobraża!

– Fantazja pani nie zawodzi, droga pani.

Milczenie. Czekałem i bawiłem się świetnie.

Po chwili podeszła ku mnie, bosa, wyprostowana, pełna wdzięku młodości, z błagalną miną: żaden młody człowiek nie mógłby się jej oprzeć. Owiało mnie bijące od niej ciepło i krew we mnie zagrała, jak w koniu cyrkowym, gdy po długim pobycie w stajni znów poczuje zapach trocin na manżu. Jahahaha! Mógłbym rzeć i wierzgać!

– Proszę zabrać ten kamień i gdzieś schować, żeby tatuś nigdy go nie zobaczył – błagała, a jej ton nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że zdawała sobie sprawę z siły swego uroku.

Siąpił drobny deszcz i zaczynało świtać. Mogłem rozróżnić ładną buzię, a choć szeroka nocna koszula okrywała całe jej ciało, zarys piersi był ogromnie, ogromnie obiecujący. Ręce mię świerzbiły.

– Pani jest boso – szepnąłem tak czule, jak tylko umiałem.

– Nic nie szkodzi. Proszę zabrać ten kamień.

– Pani jest słodka.

– Gadanie.

– Tak ładnie pani pachnie.

– Bzdury.

– Co dostanę jako nagrodę?

– Po gębie.

– Ile pani ma lat?

– Osiemnaście. Niewinna. Ze sztyletem u pasa,

stale. Czy mam zacząć płakać, żeby pana wzruszyć?

– Do kogo należą te góry? – spytałem.

A ona chwyciła mnie za sweter i szarpała niecierpliwie.

– Do pana, brzydaku, wszystkie są pańskie! Proszę zabrać ten głaz!

No cóż, podniosłem kamień i spytałem, gdzie każe mi go zanieść. Poszła przodem, wskazując drogę.

Masa jasnych włosów. Tylko koszula nocna, jak już wspomniałem, była bezsensownie szeroka, a twarzy jej też jeszcze dokładnie nie zobaczyłem. Ale chód, ten chód! Sprężyste kroki po kamieniach, tu mały przechył, tam mały przechył, i spokojny, miarowy marsz, raz-dwa, raz-dwa. Widocznie chciała się trochę przede mną popisać.

– Tutaj, w tej kępie krzaków. Tylko cicho, bez hałasu.

Wpadłem w te krzaki.

– Ciiiicho! – prosiła.

Położyłem kamień i wylazłem z kępy.

– Tu pełno kolców, moja pani. Czy pani o tym wiedziała?

– Kolców? O, biedny... czy pokłuły pana?

– Pewnie, proszę zobaczyć krew, au!

Pokazałem jej rękę.

– Proszę trochę pożałować.

Milczała.

– Podziękuj mi! – rozkazałem w przekonaniu, że jestem panem sytuacji.

Uniosła schyloną nad moją ręką głowę i spojrzała mi w twarz. Była młoda i żywa.

– Podziękuj mi!

Zadrzała teraz lekko, jakby w napięciu. Co za samica!

Wtedy wyjąłem pudełko zapalek, zapaliłem jedną i potrzymałem przy jej twarzy. I długo potem, jak zapalka wypaliła się już w moich palcach, myślałem o tym, co zobaczyłem.

Zobaczyłem swoją kobietę, to nie ulegało żadnej wątpliwości. Nie byłem też wcale zaskoczony. Całkiem po prostu i oczywiście należała do mnie, cała, ze swymi oczyma, ustami, włosami, figurą i istotą: moja własność. I postanowiłem, że będę jej tak samo, jak ona będzie moją. Z lunatyczną pewnością siebie pochyliłem się i pocałowałem ją w policzek. O, jaki był miękki i delikatny!

Wtedy ona poprosiła o zapalki. Dałem jej. Teraz ona zapaliła jedną i oświetliła mi twarz.

Uśmiechnęła się leciutko i spytała:

– Czy to ty tak się zawsze cieszysz po każdym zwycięstwie?

A ja odpowiedziałem uroczyście, że tak, że to

właśnie ja. Wówczas ona zaśmiała się stłumionym śmiechem, który brzmiał tak, jakby dochodził z daleka, gdzieś z raj.

Żartowała dalej:

– Oooo, jesteś bardzo niebezpieczny – westchnęła, nie bez odrobiny strachu. Ale była czujna i doskonale wiedziała, co się we mnie dzieje.

Nie mogłem postąpić inaczej: upadłem na kolana, obu rękoma chwyciłem skraj jej koszuli i wydałem kilka nieartykułowanych dźwięków. Nie ruszyła się z miejsca, tylko przytrzymała koszulę i prosiła:

– Nie, nie... proszę, nie... ja mam tylko...

– Chcę cię zobaczyć całą!

– Nie, Brage, proszę cię!

– Masz mi podziękować w ten sposób, że pokażesz się całą!

– Nie, nie, kochany... powinnam ci była dać po buzi.

Targała mnie za włosy, ja zaś podniosłem jej koszulę aż do ramion.

– Przytrzymaj!

Posłuchała, a wtedy powoli obszedłem ją dokoła, oglądając dojrzałe i na mój gust bardzo ładne ciało. Ogarniało mnie coraz większe zadowolenie.

– Tu jest złe oświetlenie – gderała, jakby przywykła do pokazywania się na scenie. – Czy długo

jeszcze mam dziękować?

– Chwileczkę. Czy się wstydzisz?

Przekrzywiła głowę i zamyśliła się, potem wybuchnęła tym swoim urzekającym i zaraźliwym śmiechem, mówiąc:

– Wyobraź sobie, że nie czuję ani odrobiny wstydu. Czy to nie dziwne?

Potem ciągnęła dalej, jakby wyrażała coś najbardziej naturalnego i zwykłego:

– Nie, to nie jest dziwne. Bo ty jesteś przecież mój, a ja jestem twoja. Ja jestem twoja Siv, a ty jesteś mój Brage. Ty i ja. Już od dawna o tym wiedziałam, rozumiesz. Mogłam to wyczuć na odległość. Czy jesteś ze mnie zadowolony, Brage?

Zakręciło mi się w głowie i przewróciłem się na nią.

Wtedy koszula opadła i rozległo się głośnie plaśnięcie. Siarczasty policzek, po którym w mgnieniu oka odwróciła się i pobiegła w górę ścieżki, podczas gdy ja stałem z rozognioną gębą i myślałem o czerwonawych błyskach w jej włosach. Oczywiście, ty niezgrabie, w imię przyzwoitości musiało się tak skończyć, że dostałeś po gębie. Zawsze ci uderza do głowy, a tu miałeś do czynienia z przyzwoitą osobą! Masz za swoje!

Zostałeś przechytrzony! He, he! Miałem ochotę roześmiać się serdecznie i na cały głos i byłbym to

zrobił, gdyby z wnętrza szafasu nie rozległo się donośne wołanie:

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno! Dobrze, że jesteś, smarkata. Bo co to ma znaczyć? Budzę się i widzę, że łóżko mojej córki stoi puste. Chciałaś zamordować starego ojca? No, gadaj, co to było!

– To moja słodka tajemnica.

Jej głos był nabrzmiały szczęściem i radością. A niedźwiedź zainkasował jej zadowolenie jako swoją zasługę i mruknął ukontentowany:

– Mmmmmmmmm! Mmmmmmmmm!

O, z jaką miłością myślałem o nich obojgu w drodze do domu! Ale byłem też trochę markotny. Tak, markotny. Czarownica jedna! Chytra wiedźma! Długi czas udawała, że wszystko cacycacy, a potem nagle trzask i adieu! Moja kobieta? Ha! Powtarzam: ha! Jutro nazbieram dla niej duży bukiet kwiatów, oświadczę się, będę się trząśł i jąkał niezdarnie, wzdychał i błagał, a potem podniosę się z klęczek i rzucę jej całą wiązkę tych chwastów w tą zarozumiałą buzię. Tak zrobię. Potem przełożę ją sobie przez kolano, ściągnę jej spodnie i... i... i na tej jej cudnej i miękkiej pupce złożę taki pocałunek, że...

Bzdury! Znów zaczynasz się wygłupiać, idioto? Wygłupy, wygłupy, do wszystkich diabłów!

Przy pierwszym spotkaniu była tak bardzo i tak

niewątpliwie mną zainteresowana, że gdybyśmy wtedy przebywali wśród całej masy ludzi, i gdyby ona mnie zobaczyła, a ja jej nie, mimo wszystko odczułbym, że zbliża się ktoś, o kim myślę. Zacząłbym się wówczas rozglądać i dostrzegłbym ją, a ona zaśmiałaaby się tym swoim zaraźliwym śmiechem i powiedziałaaby: „Dzień dobry, czy to ty tak się zawsze cieszysz po każdym zwycięstwie?”.

Insulina. Insulina.

Życie albo śmierć.

Następuje niezupełne spalenie tłuszczu, tworzą się szkodliwe kwasy, ciało samo się zatrzuwa, świadomość zanika. „To – mówił Chudy – nazywa się śpiączką cukrzycową, a śmierć jest wtedy niebezpiecznie blisko”.

Znów trochę światła przebiło się przez chmury i zadymkę, niczym promienie Roentgena przez ciało, i to pozwoliło mi stwierdzić, jak chora była natura. Słońce powiedziało: „Jeżeli dotąd nie zrozumiałeś, demonstruję ci, jaka jest chora”.

Czarna burza okalała jasną plamę. „Jesteś otoczony! – ryczała. – Jestem rakiem, który stopniowo będzie cię pożerać, aż opadniesz zupełnie z sił i tylko resztką świadomości będzie ci mówić, że nadchodzą ciemności i na próżno oczekujesz nowe-

go światła!”

Nadal pod masywem Digerhö. Gdy wydobyłem się z dziury, jeszcze sztywny, ale odrobinę wypoczęty, byłem pokryty grubą warstwą śniegu, którą wichur zdmuchnął w milionowym ułamku sekundy.

Zachwiałem się na nogach. Miałem jednak nadzieję, że po jakimś czasie sztywność ciała ustąpi.

Następny etap. Rozstanie z ciepłym gniazdem. Dalej. Dalej. Dalej. Wiatr z boku. Upadłem, ale wstałem i poszedłem – dokąd? Dalej.

Jeszcze ciągle wzdłuż masywu Digerhö, lecz przy ostatnim głazie stanąłem. Teraz musiałem wyjść na otwartą przestrzeń.

Nastawiłem kompas na kopę Veslehö, na sam środek. Nie powinienem chyba zboczyć.

Przede mną leżał poszarpany teren, tylko gdzieś niedaleko trochę równej drogi. Bardzo urozmaicony odcinek, podstępny i nieobliczalny odcinek.

Gdy nastawiałem kompas, przez ryk burzy słyszałem coś, co wydawało mi się jakimś nowym głosem, ale ten wkrótce umilkł, więc o nim zapomniałem.

Nagle jednak głos rozległ się ponownie. Boże, jak późno zareagowałem na ten sygnał! Stałem i nasłuchiwałem ciekawie, jakby dusza mieszkańca gór dawno we mnie umarła. A głos zbliżał się

milowymi krokami po zboczu Digerhö.

Idzie! Wreszcie!

Lawina!

Gdy usta wypowiadały słowo „lawina”, przez mózg przemknęła myśl: „Jeszcze tego brakowało”, a potem jak dotknięcie rozpalonym żelazem: „Uciekać jej z drogi!”. Nie pamiętając zupełnie, że mogłem szukać schronienia za głazem, odwróciłem się i pomknąłem przed siebie.

Biegłem jednak pod wiatr, a huk za mną rósł. I nagle jakby ziemia usunęła mi się spod nóg – rzuciło mną i poleciałem jak postrzelony ptak – mordą zderzając się z całym globem. Zgubiłem jeden kij, nie mogłem go wyłowić, i teraz poczułem strach, przejmujący strach, który chciał mnie sparaliżować – biegłem, biegłem, biegłem, bo szło o życie, ale nogi robiły się coraz sztywniejsze. Pac! Uderzenie po nogach. Buch! Uderzenie po całym ciele. Ale jeszcze stałem. Aż potem – nowy cios, który mnie powalił.

Lawina jednak zatrzymała się, a ja leżałem na jej skraju, cały. To znaczy: stosunkowo cały.

Kij utkwił gdzieś pod śniegiem. Przez całą wieczność grzebałem i szukałem, bo przecież zapomniałem zabrać zapasowego kija z hotelu. Kopałem, krzyczałem, płakałem, namawiałem, kopałem, grzebałem, kopałem, jakbym szukał własnego

serca – i chyba na naszej planecie nie było nigdy szczęśliwszego człowieka niż ja w tym momencie, gdy głęboko w śniegu ujrzałem kółko. Wyszarpnąłem kij z taką siłą, że mało nie trzasnął, ucałowałem go, szalałem z radości, na nowo poczułem się niezwykłym gigantem.

Potem ruszyłem znów na północ, zdając się na kompas i wiarę we własne potężne siły. Było to przeżycie w takim samym stopniu psychiczne, co fizyczne. Niewiarygodnie osłabiająca jest świadomość, że człowiek nic nie widzi i zostaje zdany wyłącznie na kompas. Musi mieć wzrok bez przerwy utkwiony w igłę, bo ma mniej punktów oparcia niż statek na wzburzonym morzu. Nie ma radaru i nie ma gwiazd, ma tylko ziemię pod sobą, ale wkrótce musi przyznać, że nie orientuje się w okolicy, którą przedtem przemierzał setki razy.

Tak, masz, człowieku, kompas, ale nie możesz cały czas patrzeć na igłę, choć właśnie powinienes. Ręce są ci potrzebne do korzystania z kijów, idziesz więc na kompromis z możliwościami: kawałek drogi trzymasz kompas w jednej ręce i patrzysz nań, odbijając się tylko kijem w drugiej ręce, wkrótce jednak ta ręka jest zmęczona, puszczasz więc kompas i odbijasz się obu rękoma. Rychno musisz się ponownie zatrzymać i sprawdzić kierunek na kompasie, próbujesz przenieść odczyt

do głowy i zanotować go w pamięci, ruszasz więc dalej, ale ogarnia cię niepokój, znów chwytasz kompas i próbujesz na nowo odpychać się tylko jednym kijem. Za chwilę poryw wiatru lub upadek pozbawia cię jedyne go punktu orientacyjnego... Bóg wie, który raz z rzędu.

Marzysz o statywie do kompasu przymocowanym do pleców. Czujesz coraz większy niepokój. Gęsta zadymka może sprawić, że wjedziesz wprost w przepaść albo niespodziewanie wpadniesz w głęboką dziurę. Ciągłe towarzyszy ci nieznośne napięcie. Gdzie jestem? Czy może tam przede mną jest przepaść, i to głęboka? Nawet upadek z kilku metrów może być fatalny. Czy mam jechać wolniej? Czy mam wymacywać drogę kijem? Teraz zaczyna się zjazd. Jaki on jest? Czy mam hamować pługiem? Czy zjechać zygzakiem? Zakosami? A może zejść bokiem? Jedno jest pewne: jeżeli będę schodził bokiem z każdej pochyłości, nie dojdę do Björnehiet nawet do wiosny. A na dłuższą metę niepraktyczne jest również zjeżdżanie na siedzeniu, ze względu na spodnie i rękawice. I słuchaj, Brage, czy nie powinieneś zwiększyć tempa? Przecież idzie o życie lub śmierć. Pamiętaj jednak: trzymaj się wytyczonego kursu!

Zwiększyłem szybkość. I widać tego dnia los koniecznie zapragnął jednego z mych kijów. Stało się

to na jakimś zjeździe. Z zadymki wyłonił się nagle przede mną czarny, zębaty kamień i jak mordercze narzędzie chciał ze mnie na miejscu zrobić siekany kotlet. Próbowałem objechać go łukiem, ale nie zdążyłem skręcić na czas, byłem za blisko tego potwora i zawadziłem kijem tak, że utkwił w jakiejś szparze i trzasnął jak zapałka. Szarpnęło, jakby mi chciało urwać ramię, i przez chwilę myślałem, że zwichnąłem staw barkowy. Lecz aż tak źle nie było.

Nie dało się naprawić kija samą taśmą izolacyjną, złamanie było zbyt skoncentrowane w jednym miejscu. Wymagało wzmocnienia okładzinami, a mogłem poświęcić na to tylko dwie cienkie drewniane łopatki do smarowania masła. Podzieliłem każdą na dwie połowy, wzmocniłem złamane miejsce czterema okładzinami i mocno owinąłem taśmą. W gruncie rzeczy szło tylko o desperacką próbę. Nie oczekiwałem, żeby to trzymało, i nie czekałem długo. Wzmocnienia trzasnęły i dolna część kija dyndała żałośnie na taśmie izolacyjnej.

Wsadziłem obie części złamanego kija do plecaka, aby je ewentualnie zużyć do naprawy drugiego – i ostatniego.

Dalej.

Hura!

Ogólne hura! Hip, hip, hura! Cała Norwegia

wznosi toast na cześć Bragego, a burza grzmotem dodaje swoje słowa uznania. Hura, hura, hura!

Teraz rozdaję obietnice! Spójrz na północ, idź na północ, usłyszysz tony walca i ujrzysz tańczącą parę, i zobaczysz: to ty i ja!

O! Teraz krzyczę do ciebie ostro! Biegiem! Biegiem! Biegiem! Tu idzie o życie lub śmierć! Nie szczędź sił! Przyłóż sobie batem! Twoje życie jest mniej warte niż jego! A więc przyłóż sobie batem, ciach, mój niewolniku, jeszcze raz batem. A może mam chwycić za kij? Hej, wio!

Lepko, paskudnie w gębie. Smak krwi. Ból głowy. Żołądek znów zaczął się przewracać. Najgorszy ten ból głowy. Serce wskoczyło do czaszki i ulokowawszy się gdzieś za gałkami ocznymi, oplątane nitkami nerwów, pompuje i pompuje jak najęte.

Zwymiotowałem. Całe jedzenie, które z takim trudem w siebie wmusiłem, znalazło się na śniegu.

Wytarłem usta i natychmiast ruszyłem dalej. Coraz trudniej przychodziło wyławiać różne żartobliwe myśli i zaprzętać nimi wyobraźnię. Samotność ciążyła coraz bardziej. O, jaki byłem samotny!

Nie ma złego, co by nie wyszło na dobre. Teraz z konieczności mogłem częściej spoglądać na kom-

pas. Cały czas trzymałem go raz w jednej, raz w drugiej ręce, na przemian z kijem. Tempo znacznie osłabło, wzrosła natomiast praca nóg, które musiały zastąpić brakujący kij. W rezultacie w znacznie większym stopniu odczuwałem siłę wiatru. Coraz częściej musiałem przystawać, coraz częściej ulegałem naporowi.

Zacząłem sporządzać listę swych nieszczęść: połamana narta, tylko jeden kij, sztywne mięśnie nóg, odparzeliny, złamane żebro lub żebra, ból w krzyżach, brak czucia w palcach u nóg i rąk, ból w płucach, przemęczone serce, pokiereszowana twarz, ból głowy, wymioty... wzmagający się mróz, kopny śnieg, niezwykle kopny... wszystko układało się w diabelną próbę wytrzymałości.

To Bóg chciał cię wystawić na próbę – mógłby powiedzieć Staervik. – Jego ręka cały czas była wyciągnięta nad tobą.

Ja zaś mówię: żaden Bóg nie wystawiał mnie na próbę i nie wyciągał nade mną ręki, bo nie wierzyłem w to. Wierzyłem, że jestem zupełnie sam i cokolwiek się dzieje, jest rezultatem moich własnych wysiłków i mojej własnej odpowiedzialności, niczego, absolutnie niczego innego. Jestem tu z jednego powodu: z własnej woli. A po co? Bo wierzę w to, co robię. Jeżeli człowiek wierzy w to, co robi, robi to. Dla mnie postępowanie moje jest tym, za co je

uznaję w chwili działania, a jeżeli później ocenię je inaczej, nie zmienia to zasadniczego podejścia. Jest dalej tym, czym było w chwili dokonywania. Później mogę spojrzeć na nie „innymi oczyma” – może – ocenić je w szerszym lub węższym związku logicznym niż w chwili dokonywania, lecz wiem, że w momencie dokonywania ten związek był inny. To jest sedno sprawy. Dlatego mogę powiedzieć, że jeśli człowiek wierzy w to, co robi, robi to.

Staervik mógłby powiedzieć: mimo wszystko Bóg był z tobą i wznosił nad tobą opiekuńczą dłoń, nawet jeśli o tym nie wiedziałeś.

Ja zaś odpowiadam: możliwe, nie miałem jednak takiego wrażenia, nie odczuwałem jego pomocy, jego bliskości, czułem tylko siłę własnej woli i wytrzymałości, mój własny pot, moje własne łyzy. I dlatego byłem samotny przy tym zadaniu.

Wiara, że jakiś Bóg wystawia mnie na próbę, ochrania mnie i obiecuje w nagrodę raj, zapewne dodałaby mi sił. Jeżeli jednak człowiek wierzy, że dobry uczynek jest sam w sobie dostatecznym motywem działania, i tak czuje się dość silny. Jest tym bardziej dumny, samotny i wymagający. Tak, silny, bo ma w sobie jakiegoś Boga, który jest według rzucających się w oczy dowodów zawsze obecny na ziemi i który zawsze jest jednością, i dlatego człowiek nie może się na tym Bogu zawieść.

Wobec tego Boga nie można zachować się tak, jak Hiob wobec swego. Człowiek się nie wścieka, nie robi nic nadaremnie, a niezależnie od wyniku sława lub niesława jest jego własna.

Człowiek ma jakiegoś Boga i jakiegoś szatana, instynkt tworzenia i instynkt niszczenia, i nie usiłuje zbudować między nimi mostu, malując obraz czegoś wszechobejmującego. Nie potrzebuje więc później ani piekła, ani raju, ani też czegoś pośredniego, bo ma to wszystko razem tu na ziemi i ma swoje życie – a to jest dużo, bardzo dużo.

„Boga pomniejszyć, a człowieka wywyżżyć”, powiedział Stefan. Dobry człowiek to wystarczająca religia. Chrystus bez Ojca, Ducha Świętego, raju, zmartwychwstania i cudów jest wystarczającą religią. Międzynarodową religią z Chrystusem-człowiekiem jako wzorem.

Tak, ten Stefan, ten Stefan.

Dalej, dalej.

Sam. Sam.

Dumny. Dumny.

Insulina. Insulina.

Ile razy upadłem od masywu Digerhö? Diabli wiedzą.

Coś się ze mną stało. Nie oblewał mnie już gorący pot, lecz zimny. Pociłem się i marzłem.

Przypomniałem sobie, że w plecaku mam dodat-

kowy sweter. Cholera, dawno powinienem był go włożyć na siebie. Lepiej późno niż nigdy. Przecież jeszcze żyję.

Zerwałem z siebie wiatrówkę, aż kawałki lodu prysnęły, a gdy stałem tylko w swetrach, wicher kłuł mnie przez nie zimnymi szponami, wyciągał je, znów kłuł, wyciągał, kłuł, wyciągał, kłuł... dźgnięcie – ulga, dźgnięcie – ulga...

Trząsałem się, szczekałem zębami i płakałem z żalu nad sobą samym. Ohydne znęcanie się nad jednym człowiekiem.

Włożyć wiatrówkę. Przypiąć plecak. I dalej. Ciężkie kroki. Zgarbiona postawa. Schylony kark. Głowa zrobiła się kilka razy cięższa.

Nie podobał mi się ten chłód przejmujący mnie od środka. Przejściowy objaw czy też zapowiedź czegoś gorszego? Czy może zaczyna się choroba, poważna choroba?

Nie, nie zniosę dłużej tego opisu burzy śnieżnej, nienawidzę go, streszczę więc krótko długą historię:

Marzłem coraz bardziej, wichura wzrastała i tworzyła przede mną istny mur, chwilami czołgałem się, chwilami wlokłem na nogach, chwilami zataczałem się, biegłem, potykałem się, padałem, chwilami leżałem bez ruchu i czekałem. Gdzieś między Digerhö a Veslehö – a może u podnóża Ve-

slehö? – albo może jeszcze dalej na północ? – jednym słowem gdzieś tam jakimś cudem znalazłem zaciszne wgłębienie między dwoma filarami i bez kopania dziury lub przygotowywania jakiegokolwiek osłony przed śniegiem rozłożyłem śpiwór i wlałem do niego cały, razem z głową. Otoczyła mnie zupełna ciemność, odciąłem się od rzeczywistości.

Więcej ciepła. Więcej ciepła. Pilna potrzeba ciepła.

Miałem mokre oczy. To nie łyzy. Gdzie są gogle? Nie mam ich w kieszeni, nie ma ich w plecaku, nie ma nigdzie w pobliżu. Kiedy mogłem zgubić gogle? Jak długo szedłem bez gogli?

Diabli wiedzą.

Myśl, Brage, myśl o czymkolwiek. Broń się przed snem.

Myślę. Myślę o Siv i czuję zapach konwalii.

Przez cztery dni i cztery noce padał deszcz, a na piąty dzień rano cały świat błyszczał w słońcu. Byłem taki zakochany, taki stęskniony.

Cztery dni włóczyłem się po deszczu i marzyłem, że ją gdzieś spotkam. W ciemnościach krążyłem wokół Björnehiet jak wilk, zaglądałem w okna i wkrótce doskonale znałem ich szafas. Była to bu-

dowla z belek, mająca jedną dużą izbę, małą kuchnię i dwie alkowy. Nad wejściem widniała drewniana tablica z kunsztownie wyrzeźbionym napisem „Björnehiet”. Pod nią, na łańcuchu, wisiał wystrugany z drzewa i pomalowany na brązowo niedźwiedź, taki ogromny, że biada temu, kto dostałby nim po łbie! Ten potwór, prawdziwy miecz Damoklesa nad wejściem, był dziełem zamieszkałego tam misia: rzeźba w drzewie stanowiła jego hobby, o czym świadczył cały wygląd szałas. Wszędzie stały „mistrzowskie dzieła”: jelenie, trolle, czarownice, wiewiórki, figury ludzkie i zwierzęce, jakieś fantastyczne postacie, naczynia, czerpaki i masa innych rzeczy. Prawie połowę izby zajmowała pracownia: duży stół-warsztat, pień do rąbania, szafa z narzędziami, stos polan i korzeni, mniejszy warsztat z imadłem, i obok dwa zydle – podstawy pod beczki. Reszta izby była urządzona po wiejsku; chodniki z gałganków, długi stół, krzesła na biegunach, malowana szafa – poza narzędziami nic tu nie świadczyło o tym, że żyjemy w dwudziestym wieku. Często myślałem: jaka szkoda, że Stefan nigdy nie widział tego niedźwiedzia i jego legowiska.

Czasami w świetle naftowej lampy dostrzegałem jej sylwetkę. Ubrana była w niebieskie spodnie narciarskie i czerwony sweter, a ponieważ

włosy miała jasne, zawsze przypominała mi norweską flagę. „Tak, kochamy...” nuciłem pierwsze słowa hymnu narodowego i jak głupi mokłem na deszczu, zakochany po uszy.

Miała niebezpieczną sylwetkę, tak bardzo kobiecą, że prawie wyzywającą. Mógłby ktoś powiedzieć, że za dużo było w niej tego dobrego, ale ja wraz z Johannesem V. Jensenem uważam, że nigdy nie może być za wiele dobrej kobiety, byle talię miała smukłą, ładne plecy i długie nogi. A Siv była jednak szczupła. Przy tym wszystkim była szczupła.

Ojciec przewyższał ją wzrostem tylko o kilka centymetrów, lecz miał tak silną budowę i potężne bary, tak szeroką klatkę piersiową, że wyglądało to aż śmiesznie. Prawdziwe skandynawskie niedźwiedzisko.

Widywałem tam i innych ludzi, ale mnie nie interesowali.

Wieczorami, gdy niedźwiedź rzeźbił, Siv często siadywała na drugim zydlu i przypatrywała się jego robocie. Pochylona do przodu, z łokciami na kolanach i głową wspartą na dłoniach, nie odrywała po kobiecemu rozmarzonych oczu od tych mocnych ojcowskich rąk. Czasami nachylała się ciekawie, a wtedy zdarzało się, że niedźwiedź unosił tworzone właśnie arcydzieło pod światło i po-

zwał ją delikatnie pogłodzić drzewo koniuszkami palców. Wymieniali kilka słów, ona wypowiedziała swoją opinię, a on obiecywał, że się zastanowi.

Potrafiła tak siedzieć godzinami. Później dowiedziałem się, że robiła to z konieczności: niedźwiedziowi rzeźbiło się najlepiej pod okiem Siv, przyszło mi nawet wypowiedzieć na ten temat kilka słów niezadowolenia. Pierwszego wieczoru, gdy stałem się świadkiem takiej idylli, na łeb na szyję pogałem do Nordablaas, wyostrzyłem nóż, znalazłem kawał drewna, bo ja też będę rzeźbił, a ona będzie i na mnie tak patrzeć. Już wtedy byłem zazdrosny.

Próbowałem desperacko, ale rzeźbienie było nie dla mnie, zawsze kończyło się tym, że ze złością zostawiałem napoczęte „dzieło” lub rozbijałem je na drobne kawałki. W dodatku pokrajałem sobie palce prawie tak samo jak drzewo.

Bardzo się kochali ci dwoje, ojciec i córka, a ja się z tym nigdy nie pogodziłem. Siv mówiła:

– Gdybym miała przeźrocyste serce, sam byś siebie w nim zobaczył, Brage.

Pewnego wieczoru z oczu niedźwiedzia wyczytałem, że był podniecony. Przysunąłem się jak najbliżej ściany i podsłuchiwałem:

– Powiadasz, że to ten, co? – mruczał niedź-

wiedź.

– Tak, właśnie ten.

– Już wiele razy tak mówiłaś.

– Przecież ty mnie nigdy nie słuchasz.

– No więc to ten, ale co to znaczy?

– Tylko tyle, że ten. Nic innego, tato.

Chwila milczenia.

– Coś podobnego! Przecież ty go nie znasz.

– Ale jestem pewna.

– Bzdury! Jeszcze jedno słowo, a pokraję na kawałki tego zwierzaka!

– Ależ tatusiu, kochany, nic się przez to nie zmieni!

– Słuchaj, Siv. Pod wielu względami jesteś jak na swój wiek bardzo dojrzała, ale tym razem wydajesz mi się dziecinna. Widział to kto! Nie, siedź cicho, bo zaraz odeślę cię do domu!

– Tatusiu!

Jej głos świadczył, że mówiła przez łyzy. Nie było żartów.

– Co mówisz? – mruknął niedźwiedź. – A więc nie posłuchasz?

– Nie, tato, stanowczo nie!

– Wobec tego powiem ci coś o tym facecie, którego nawet nie znasz. Ma bzika na temat sportu, typowy sportowy idiota, w dodatku lubi pijackie awantury, zaniedbuje się w studiach, krótko mó-

więc pędziwiatr i babiarz. Tak, babiarz pierwszej klasy!

– A skąd ty możesz wiedzieć?

– Wspomniał o tym Johan, człowiek godny zaufania.

– Bardzo głupio z jego strony, żeby coś takiego opowiadać.

– Co? Jak mam to rozumieć? Że chcesz takiego babiarza?

– Chcę jego!

– Babiarza!

– Jego, jego, jego!

– Cicho! Dziewczęce kaprysy. Wkrótce z tego wyrośniesz, wspomnisz moje słowa, wkrótce z tego wyrośniesz!

– Nigdy przedtem nie flirtowałam z chłopcami, a ty sam powiedziałeś, że jak się zakocham... i „szanuj swoje pierwsze prawdziwe uczucie, Siv”, sam tak powiedziałeś... właśnie ty tak powiedziałeś... i obiecałeś, że go obejmiesz i udusisz z radości. Teraz go znalazłam, więc proszę, możesz go udusić.

– Owszem! Uduszę go, uduszę, tylko nie z radości. Masz dopiero osiemnaście lat!

– A ty miałaś siedemnaście, gdy poznałeś mamę!

– Cicho bądź, ty go przecież nie znasz! Co to za dzieciństwo? O, niech diabli wezmą faceta, który

wniósł niepokój do Björnehiet.

Siv płakała.

– Właśnie, całkiem jak twoja matka. Gdy nie możesz inaczej, próbujesz płaczem. Ale przestań! Dłużej tego nie zniosę!

Siv zanosila się płaczem coraz głośniej.

– Niemądra dzierlatka! Traktujesz jako rzecz oczywistą, że on ciebie zechce!

– Żebyś wiedział! I bę dzie mnie miał!

– Cha, cha! Jak widzę, muszę użyć ciężkiej artylerii. Posłuchaj! Wiem na pewno, że narobił kłopotów pewnej dziewczynie.

Długie milczenie.

– Czy ma dziecko?

– Nie, udało się znaleźć sposób. Ale biedna dziewczyna, powtarzam. I chcesz, żebym ja oddał moją śliczną, niewinną córeczkę takiemu ananasowi bez czci i wiary? Nie, i jeszcze raz nie! Cicho! Nigdy się na to nie zgodzę!

– O, Johan jest idiotą! Usłyszysz za swoje!

– Cicho! Idź i połóż się spać.

– Nie! Jesteś niedobry! Nie wiedziałam, że mój tatuś potrafi być taki brutalny!

– Zgoda, jestem brutalny. I więcej nie chcę o tym słyszeć.

– A on będzie mój! Będzie, będzie, będzie!

Zupełnie jakbym słyszał siebie samego: „Będę

duży i silny, będę, bo chcę być taki, chcę, chcę, i będę!”.

Miałem ochotę tańczyć z radości wokół Björnehiet.

Tak, na piąty dzień rano cały świat błyszczał w słońcu. Wieczorem znów zaczął się deszcz, a właśnie podczas najgorszej ulewy niedźwiedź przyszedł pod mój szałas i zastukał ciężką łapą.

Otworzyłem w wojowniczym nastroju.

On równie wojowniczo burknął:

– Gdzie moja córka! Przychodzę po nią!

– Co?

– Przychodzę po moją córkę!

– Po kogo?

– Moją córkę Siv! Ona jest tutaj!

– Dlaczego ma być tutaj?

Patrzył na mnie podejrzliwie i oskarżycielsko. Miał takie same duże i ładne oczy, jak Siv, z gęstymi rzęsami, jak szerokie, płaskie pędzelki. Ustąpiłem na bok i najbardziej aroganckim gestem, na jaki mogłem się zdobyć, zaprosiłem go do środka:

– Proszę! Niech pan sam sprawdzi!

– Hm – mruknął niedźwiedź, wpadł do szałasu i ze zmarszczoną miną zaczął się rozglądać. – Hm, to tak pan się tu urządził. I buduje pan wyciąg i inne bzdury. A nie przyszło panu do głowy, że

ktoś może się w panu zakochać i będzie się bał takich pomysłów?

– A co pana to obchodzi?

– Phi! – niedźwiedź nie zwracał uwagi na moje słowa. – Musi pan używać tej samej drogi, co my. Zimą dojeżdżamy samochodem gąsienicowym do Kvitskaret, a latem płyniemy spory kawałek łodzią. Jeżeli pana nie stać na wynajęcie samochodu lub łodzi, to ja te sprawy załatwię.

– Dziękuję, ale będę się trzymał swojej trasy.

– Widziałem to... to...

– Hampetrossefallet.

– No tak, widzę, że pan już nawet nadał nazwę temu urwisku. Muszę powiedzieć, że pan się tu trochę panoszy. Ale zobaczymy, zobaczymy.

Z ponurą miną węszył wszędzie i wszystko oglądał. Co to jest, a co tamto, do czego używam tego i owego? A przy okazji, czym właściwie mam zamiar być? Odpowiedziałem, a on coś burknął. Burczał na wszystko. Najdłużej zatrzymał się przy pace na drzewo. Na samym wierzchu leżał duży korzeń. Chrząknął, wzruszył ramionami i znów chrząknął. Milczałem. Jeszcze raz chrząknął, jeszcze raz wzruszył ramionami i powtórzył chrząknięcie. Nie mógł oderwać oczu od korzenia.

– Co to jest! – wskazał oskarżycielsko.

– To? – przełknąłem ślinę. – Przecież pan widzi,

że kawałek drzewa.

– Kawałek drzewa! – prychnął pogardliwie. – To, co leży na samym wierzchu?

– A, pan pyta o ten korzeń?

– Właśnie, właśnie! O ten korzeń! – odparł niedźwiedź, łakomie wlepiając wzrok w kawał drzewa. – Co pan z nim zrobi? Spali?

– Naturalnie.

– Co...!?

– A dlaczego nie? Jest suchy, będzie się dobrze palił.

Wziął korzeń do ręki, pogłodził pieśczośliwie, opukał i spróbował paznokciem:

– Twardy jak kość – uśmiechnął się zachwycony. – Jak stworzony do rzeźby! A pan dalej uważa, że to nadaje się na opał, co?

– Słusznie.

– Niech pan tylko spróbuje!

– A cóż innego miałbym z tym zrobić?

– Dać go mnie! – ryknął. – Właśnie mam świeżo warzone piwo. Dam panu za ten korzeń pięć litrów.

– Niestety, bardzo żałuję, ale właśnie mam wielką ochotę spalić ten korzeń.

– Jeszcze czego! Ja go panu kradnę!

Wsadził korzeń pod pachę.

– Ależ na miłość boską, na co panu potrzebny

ten korzeń?

– Na co? Jestem rzeźbiarzem! – oświadczył wyniośle, zadzierając nosa.

– O! Pan rzeźbi...

Chyba nigdy nie spotkał tak beznadziejnego faceta jak ja.

– W drzewie – burknął.

– No, teraz rozumiem. Pan się bawi stolarką, co? W takim razie proszę bardzo, chociaż nie wydaje mi się, żeby z tego można zrobić jakiś mebel.

– Młody człowieku! – aż syczał z przejęcia. – Ja rzeź bię w drzewie! Rzeźbię! To jest sztuka! Sztuka! Hm! Czy dużo pan spalił takich korzeni?

– O, masę.

Rzucił się na mnie:

– Szaleństwo! Odtąd będzie pan przynosił wszystkie korzenie do mnie na Björnehiet. Później pana pouczę, co to jest materiał rzeźbiarski. A teraz do rzeczy. Moja córka ukryła się gdzieś w górach. Pogniewała się na ojca, smarkata. Jestem już niespokojny. Wyszła z domu wczesnym popołudniem. Tymczasem zaczęło lać, a ta smarkata nie wzięła nieprzemakalnego płaszczka. Trzeba ją natychmiast odnaleźć.

– Dlaczego pan przypuszczał, że ona jest tutaj?

– Hm – mruknął, kręcąc się po szalasię. – Oświadczam panu, młody człowieku, że ten, kto

zrobi... niech Pan Bóg strzeże tego, kto zrobi jej jakąś krzywdę! Rozpieszczałem ją, wychowywałem ją na porządną kobietę, i to mi się udało, tak więc biada temu, kto by moje dzieło zniszczył!

– Ale mnie to przecież nie dotyczy.

– Tak, dotyczy! Ona się panem interesuje. Niestety!

– Co? Niemożliwe! Śmieszne.

– Oczywiście, że śmieszne! Święta racja!

Znów spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Ale kto powiedział, że ja się nią interesuję?

– Za takiego idiotę jeszcze pana nie uważam!

I święcie oburzony na samą myśl, że mógłby być na świecie jakikolwiek mężczyzna, który nie interesowałby się jego oczkiem w głowie, wrzasnął:

– Oświadczam panu, młody człowieku, że ten, kto dostanie moją córkę, będzie miał żonę, żonę przez duże „Ż”!

– Pan daruje, ale ja jej jeszcze nigdy nie widziałem.

– Właśnie, i to skandal, po prostu skandal, tak oświadczyłem mojej córce, a ona się na mnie dąsa i chce mi zrobić na złość. Tak, niech mi pan pomoże jej szukać. Ruszamy! – rozkazał i poszedł przodem.

A więc uznał mnie już za zięcia, którego się nie da uniknąć. Nie ze względu na mnie i moją war-

tość, bynajmniej. Ze względu na córkę. Niczego nie umiał jej odmówić, więc tylko tego brakowało, żebym ja starał się wykręcić! Niech mnie Bóg broni, jeżeli się nie zakocham do nieprzytomności!

Niedźwiedź miał szukać w okolicy Nordablaas, bo jego zdaniem Siv była gdzieś tam. Jego synowi, Chudemu, przypadł teren aż po Örnebre, a mnie przydzielono okolice Skagetu. Dolinę Langfjell już przeszukano.

Przed rozstaniem się niedźwiedź oświadczył jeszcze raz stanowczym głosem:

– Jedna sprawa, młody człowieku. U mnie obowiązuje niepisane prawo zakazujące mówić o polityce zagranicznej i nowych odkryciach naukowych. Pan też musi się do tego stosować. Nie chcę słyszeć nic a nic o równowadze sił, wojnie, broni jądrowej, rakietach i tym podobnych rzeczach. Chcę mieć spokój od tych spraw. Zrozumiano?

Wzruszyłem tylko ramionami, choć w głębi serca doskonale go rozumiałem.

– I jeszcze jedno. Do pańskiej wiadomości: ulubione kwiaty mojej córki to konwalie!

– Ach tak? Aha!

– Konwalie! – powtórzył.

Dość niezadowolony ruszyłem przed siebie, bo ja też przypuszczałem, że Siv powinna być gdzieś w okolicy Nordablaas.

Lecz los jest często łaskawy dla młodej miłości. Okazało się, że Siv nie „uciekła” po to, żeby się ze mną spotkać, lecz po to, żeby chytrze wykorzystać ojcowski niepokój. I właśnie przebywała w okolicy, która mnie przypadła w udziale.

Szukałem długo, była już późna noc i zbliżał się świt, ale letnia noc była też właściwie jasna i jeszcze miała trochę potrwać. Jasna noc.

Konwalie. Konwalie. Utopię ją w konwaliach. Codziennie konwalie dla mojej ukochanej. Po bukiecie dla każdego policzka, bukiet między piersi, między uda, do każdej ręki... konwalie... konwalie...

Podczas niespokojnej drzemki męczyły mnie wizje śmierdzących, jadownic zielonych konwalii i otrząsnąłem się z uczuciem, że omal nie zapadłem w głęboki sen.

Pierwszym odruchem świadomości była myśl, co też mogą oznaczać te obrzydliwe kwiaty. Ile żółci i jadu musi się kryć w zwojach ludzkiego mózgu, pomyślałem, jeżeli w pewnych okolicznościach potrafią tak wstrętnie skalać najdelikatniejsze uczucia, nigdy przedtem nie związane z niczym brudnym. I zadałem sobie pytanie: Czy człowiek jest odpowiedzialny za wszystko, co w nim tkwi? Czy

ja jestem odpowiedzialny za to, że podczas drzemki z mojej podświadomości wylazły owe śmierdzące, jadowicie zielone konwalie? Jeżeli zaś nie jestem odpowiedzialny, w takim razie moja nieodpowiedzialność rozciąga się nie tylko na te konwalie, lecz prawdopodobnie na wiele innych rzeczy!

Ponownie: czy człowiek jest odpowiedzialny za wszystko, co w nim tkwi? Jeżeli nie, to czy w ogóle można powiedzieć, że jest za cokolwiek odpowiedzialny? A w takim razie czy jest jakiś sens w pojęciu „częściowej odpowiedzialności” lub na przykład w sformułowaniu: „oskarżony ponosi częściową odpowiedzialność za zabójstwo pana X, dokonane świadomie i w celach zysku”?

Przysłuchiwałem się uważnie słowom Stefana i często wierzyłem, że się z nim zgadzam, w rzeczywistości jednak nigdy się z nim w pełni nie zgadzałem, bo za wsze buntowałem się wewnętrznie przeciw myśli, że człowiek naruszający prawo nie ponosi winy. Nigdy nie pozbyłem się w pełni przeświadczenia, że człowiek zawsze, niezależnie od okoliczności, powinien na własnych barkach dźwigać odpowiedzialność za swoje czyny. Takie podejście było dumniejsze, dojrzalsze i pozbawione błazeństwa, podczas gdy ta teoria o chorobie i klęsce żywiołowej, ta...

Gdy worki z cementem zmiażdżyły majstra, pomyślałem: „Mogłem tego człowieka odsunąć, wszyscy mogliśmy go odsunąć wbrew jego woli, ale nie zrobiliśmy tego, pozostawiliśmy sprawę losowi. Wszyscy więc jesteśmy współodpowiedzialni za katastrofę”. A Stefan powiedziałby: „Tak, w tym wypadku jesteś przestępcą, Brage, bo odegrałeś rolę człowieka wiedzącego i biernego, podczas gdy majster był burzycielem, czyli człowiekiem niewinnym”.

Prawda, urzekające są te myśli Stefana: przrzucanie odpowiedzialności z małej garstki na ogromną większość; przekształcanie złych czynów w rzecz bezkarną, w zagadnienie medyczne, kliniczne. A jednak nie mogę się do nich nagiąć, do tych poglądów Stefana, ani też do pojęcia częściowej odpowiedzialności. W takim razie do czego mogę się nagiąć? Gdy Staervik szedł za mną taki wniebowzięty, myślałem, że Bogu, jeżeli istnieje, bardziej powinien się podobać człowiek biorący całą odpowiedzialność na własne barki... a siebie uważałem za takiego właśnie. Gdy jednak otrząsnąłem się z tego półsnu z przywidzeniami o śmierdzących, jadowicie zielonych konwaliach, co wtedy? Wtedy opuściła mnie już ta pewność. Przypomniałem sobie sadystyczne sny i marzenia, to własne obrzydliwe i perwersyjnie wykrzywione

oblicze, które uśmiechało się do mnie z ciemności. Nie mogłem uznać się odpowiedzialnym za takie błoto, za takie brudy, które świadomy siebie i przytomny Brage chciałby posłać do wszystkich diabłów!

Najpierw takie myśli i refleksje pojawiły się w mojej świadomości. Następnym odruchem było otrząśnięcie się z nich i zdanie sobie sprawy z czasu, miejsca i zadania:

Insulina. Insulina.

O przyspieszonym działaniu.

Pilne.

Wysunąłem głowę z śpiwora i stwierdziłem, że jestem cały zasypany śniegiem. Gdyby ekipa ratownicza przechodziła o jeden metr ode mnie, nigdy nie wpadliby na myśl, że w tym miejscu może leżeć tłumok z ukrytym w środku żywym człowiekiem. Bez sensu zacząłem wypatrywać, czy nie zobaczę śladów nart.

Wstałem, otrzepałem śpiwór ze śniegu, zrolowałem go i wsadziłem pod klapę plecaka. Wycie wichury wskazywało, że nie osłabła, nadal czułem w całym ciele przenikliwe zimno, a ból głowy i lekki zawrót nie ustąpił, podobnie jak i wszystkie inne dręczące mnie plagi. Czy nic się więc nie zmieniło? Czy nie czułem się ani trochę silniejszy? Miałem wrażenie, że nie, dlatego począłem na

nowo dumać, czy jednak nie znaleźć jakiegoś bezpiecznego miejsca i nie zagrzebać się w śniegu na dobre. A może nie mam do tego prawa? „Tłuszcze nie zostają w pełni spalone, tworzą się szkodliwe kwasy, następuje samozatrucie organizmu i osłabienie świadomości. To nazywa się śpiączką cukrzycową, śmierć jest wtedy już niebezpiecznie blisko” – tłumaczył Chudy. Czy mnie też groziła śmierć? Groziła, lecz nie w takim samym stopniu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że przeżyję, jeżeli zagrzebię się w śnieg, również najmniejszej wątpliwości nie ulegało, że Bentein umrze z braku insuliny. Jeżeli zaś podążę dalej na północ, nie ma wcale pewności, że ja umrę. Wobec tego oczywiście wykonam podjęte zadanie, w każdym razie będę próbować.

Tak, ruszyłem dalej na północ. Z początku wlokłem się jak zreumatyzowany staruszek, ale czy później nie nabrałem elastyczności? Zdawało mi się, że nie, ale musiałem chyba jej nabrać, bo inaczej nie zaszedłbym daleko.

A tymczasem szedłem coraz dalej i dalej. Brnąłem o jednym kiju, z dosztukowaną nartą, z zapuchniętymi oczyma wbitymi w kompas. Przebijałem się naprzód, zataczałem się i chwiałem, raz po raz wichur obalał mnie na ziemię. Na wielu zjazdach upadałem z tej prostej przyczyny, że nie je-

chałem dość uważnie. Odwazałem się na takie szusy, jakby widoczność była zupełnie dobra, a tymczasem ciągle równała się zeru, bo warunki nic a nic się nie zmieniły. Ciągle mgła i mgła dookoła.

Zero, zero, zero, ty szkapo. Zero, zero, zero, ty chabeto.

O, znów powrócił mój refren. Prawie o nim zapomniałem. Pokaż, co potrafisz, niech cię poniesie, Bragegesson:

Prędeej, wio, prędeej, stara szkapo. Hej, wio, hej, stara chabeto. Kij, narta, narta, szkapo jedna.

Och, ten wiatr. Och, ten wiatr. A wyj sobie! Wyj jak chcesz! Wyj mi w twarz! Wyj z boku! Wyj z góry! Wyj wokoło! Gwiżdź, gwiżdź, gwiżdź! Wiesz przecież, że się nie dam. Ja tu idę! Brage Bragegesson tu idzie! Człowiek z wolą twardą jak stal, nie, jak dia-dia-ment, człowiek nie byle jakiego ducha, nie byle jakiego, nie byle jakiego... ej, ej, ej, nie ma już sensu samego siebie dłużej okłamywać, gówno to wszystko warte, Brage, gówno warte!

Tak, trzeszczałem, ale jeszcze się trzymałem. Maszyna dalej pracowała, oblewałem się na przemian gorącym i zimnym potem. Serce waliło i tłukło się w piersiach, coraz częściej zdawałem sobie sprawę z faktu posiadania serca.

Moje serce. Mój najważniejszy organie. Maszy-

no, od której zależy moje istnienie. Rozmyślałem nad tobą.

Hopsa!

Dureń. Ziemia uciekła mi spod nóg. Niewielkie, kilkumetrowe urwisko, lecz tak bezwładnie grzmotnąłem o twarde grudy lodu, że cały się boleśnie potłukłem. Leżałem na pół przytomny, ale jakimś cudem w myślach przesuwiał mi się film wspomnień z taką dokładnością, że sam nie mogę się nadziwić, iż mimo swego stanu potrafiłem te myśli później odtworzyć.

Bolesne potłuczenia przypomniały mi inne dotkliwe cięgi, które kiedyś brałem...

Uwaga! De Rechtbank! Zuchwały brutal na właściwym miejscu – na ławie oskarżonych. Skuty. – Nie lubi go pan? – On jest śliski! – Co to znaczy? – To, co powiedziałem. Zawsze jednak żywię nadzieję, że ujawni jakieś sympatyczne cechy charakteru. Ma okazję również teraz i tutaj. Weź to pod uwagę, Bentein! I pamiętaj również, że życie bywa długie, dłuższe, niż sądzisz, i że ja jestem młody, bardzo, bardzo młody, Bentein! – Długie milczenie. – Co ma oznaczać ten ton groźby u oskarżonego? – Jaki pan ma powód, aby grozić świadkowi Dagestadowi? – Powiedziałem swoje. – Panie Dagestad, jaką ma pan odpowiedź na słowa pana Bragessona, zawierające krytykę pańskiego cha-

rakteru? – Pauza. – Nie rozumiem, co on ma na myśli. – Cha, cha, cha! – Proszę być cicho, Bragesson! – Sądzę, że mu się wszystko pomieszało. – Pomieszało! To wspaniale! Pomieszało! O ty... ty...! – Nic więcej nie ma pan do powiedzenia w związku z krytyką Bragessona? – Pauza. – Nie. Może sobie mówić, co mu się podoba”.

Leżysz i możesz zamarznąć, Brage. Musisz wstać i ruszać dalej. Słuchaj, jak gwizdże, jak wiatr na ciebie gwizdże. Gdzie teraz jesteś? W pobliżu kopy Veslehö? „O tak. Ja nie twierdzę z całą stanowczością, że pan, panie Dagestad, jest tym dziewiątym. Ponieważ jednak pan nie może wypowiedzieć się dostatecznie jasno w tym względzie, naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, co w ludzkiej mocy, aby nabrać przekonania, że pan nim nie jest. Panie Dagestad! Proszę, aby pan bez przerwy, powtarzam, bez przerwy patrzył w oczy oskarżonemu. Jeżeli ma pan czyste sumienie, na pewno nie sprawi to panu przykrości. – Jeżeli jednak tego nie potrafi, sam ten fakt nie musi koniecznie świadczyć przeciw niemu. – Zrozumiałe. Mimo wszystko chciałbym doprowadzić ten eksperyment do końca. Czy pan prezes się zgadza?”

Wichura, Bragesson. Lodowata wichura. Czy nie powinienes wstać? Masz twarz zasypaną śniegiem. „Proszę. – Dziękuję. Panie Dagestad! Nie,

proszę patrzeć oskarżonemu prosto w oczy! O, tak! I proszę odpowiedzieć na następujące pytania: czy to pan był tym dziewiątym? Czy bił się pan razem z Bragessonem owej nocy w Amsterdamie? Nie, proszę nie spuszczać oczu. O, tak! Proszę odpowiedzieć! Słyszysz pan? Proszę mi odpowiedzieć! – Odpowiedź była przytłumiona, bardzo przytłumiona: Nie. – Dlaczego pan to mówi szeptem? – Nie mówię szeptem. – Dlaczego drżą panu wargi?”

Wargi mu drżały. W oczach miał złe, mordercze błyski – budził odrazę. „Bragesson. Czy to Dagestad zaczął tę bójkę z Niemcami, czy to on zostawił pana własnemu losowi i dlatego, jak zeznali Niemcy, krzychał pan wściekle za nim?” Wargi mu drżały. Stał jak uosobienie poczucia winy, lecz wrodzona inteligencja mówiła mu, że jeżeli będzie zdecydowanie przeczył, nikt nie potrafi mu nic udowodnić.

Temu człowiekowi mam ratować życie! Dla niego mam narażać swoje własne! Czy to sprawiedliwe? Takie pytanie zadałem sobie, leżąc na śniegu w swoich górach, gdzieś między kopą Veslehö a szłaśsem Björnehiet.

Wściekły, z szumem w głowie i rozpaczą w sercu, wstałem i chciałem zaraz pognać w przeciwnym kierunku – na południe. Natychmiast jednak zmieniłem zamiar: nie, lepiej zagrzebię się tutaj

w śniegu.

Oczywa szukałem odpowiedniego miejsca, zacząłem już palcami przebierać po rzemieniach plecaka. Ale przerwałem, bo przyszła nowa myśl: czy w gruncie rzeczy jest to pociechą dla jednego durnia, że istnieje drugi?

Jesteś durniem, Bentein, zawsze będziesz durniem, i teraz uratuję durnia.

Tak, uratuję cię.

Wrzasnąłem:

– Tak, uratuję cię! Zdruzgoczę cię moralnie!

Brage, musisz rozstrzygnąć. Masz go ratować, czy nie?

Ratować go. Przecież już to powiedziałem.

Insulina. Insulina.

Dalej. Dalej.

Na północ. Na północ.

Prędeej, prędeej, prędeej, stara szkapo. Gównno – wszystko – warte – ty chabeto. Ale chcę, chcę, chcę i zrobię to, zrobię, zrobię. Dokonaj tego, Brageson. Niech on okaże się przy tobie karłem. A w ogóle przestań o nim myśleć. Byłeś tylko spełnił swoje zadanie. Byłeś tylko dotarł z insuliną na czas. To wystarczy, rozumiesz. I nawet nie trzeba, żebyś go widział obok siebie jako karła, to zupełnie zbędne. On i tak odczuwa swoją małość, a ty przecież nie lubisz małych ludzi, skąd więc ta po-

trzeba widzenia go obok siebie?

Znalazłem się przed ścianą skalną. Chodziłem tam i z powrotem, szukając dogodnego miejsca, aby wspiąć się na górę. Cóż to znów za ściana? Jak wysoka? I jak długa? Czy to może ta, która leży na północny wschód od Veslehö? Nie, chyba niemożliwe.

Ściana okazała się krótka. Obszedłem ją dokoła. Co to oznaczało? Że naprawdę znajdowałem się na północny wschód od kopy Veslehö? Czy zaszedłem aż tak daleko? Na północnym wschodzie od Veslehö jest taka niewielka ściana skalna, właśnie tam, nie na wschód ani na południe od kopy. Mógłbym na to przysiąc.

„Nie” – pomyślałem uradowany. Czy to możliwe? Tak, Brage, kochany chłopcze, żebyś wiedział! Tak daleko zaszedłeś, tak daleko – i ta kiego wyczynu nie można zmarnować!

Coś mnie dźgnęło w środku. Kompas! Już sporo czasu nie patrzyłem na kompas.

Kompas. Wskazywał, że stałem zwrócony na wschód. Moje góry, moje góry, gdzie ja jestem?

Zawiedziony ruszyłem znów na północ. Zawiedziony. Gdzie jestem? Gdzież jestem?

Naraz stwierdziłem, że wichura słabnie. Albo więc burza się kończyła, albo znalazłem się pod osłoną jakiejś góry. Może to kopa Veslehö?

Długo posuwałem się dokładnie według wskazówek kompasu, a wiatr był coraz łagodniejszy. Szedłem teraz po równym, twardym śniegu. To też przypominało mi znajomy teren na północ od Veslehö.

Czy naprawdę dotarłem już na północ od tej kopy? Mogło się zgadzać; przez jakiś czas kierowałem się na wschód, oddalając się od Veslehö, nie wykluczone więc, że ją minąłem, nawet tego nie zauważywszy.

Uśmiechnąłem się słabo. I przez chwilę wcale nie myślałem. Byłem niczym w nicości. Gdy jednak siła wiatru zaczęła znów wzrastać, coś mnie nagle tknęło: zapragnąłem upewnić się, czy insulina jest bezpieczna i nieuszkodzona. Zdjąłem plecak, gorączkowo go otworzyłem i trzęsącymi się rękoma wygrzebałem ze środka termos – a gdy go w obu dłoniach trzymałem przed sobą, drżałem na całym ciele jak śmiertelnie przerażony pies. Insulina! Insulina! Benteinowy eliksir życia! Jakbym trzymał w ręku jego serce albo jego krew! Krew Benteina! Życie Benteina w moim ręku! O, „Bogu dzięki”, jak mawiała Siv, że fiołki z insuliną są całe!

Odkręciłem nakrywkę termosu. Teraz jeszcze korek. Chwyciłem go i zacząłem wyciągać obrotowym ruchem – aby zobaczyć – spojrzeć na insuli-

nę, sprawdzić każdą fiolkę z osobna: czy wszystkie są całe, czy wszystko w najlepszym porządku?

Brage, co robisz! Przestań! Zwariowałaś? Zastanów się, na wszystkie świętości! Jak myślisz, dlaczego doktor Vian włożył fiolki z insuliną do termosu? Czy dlatego, że właśnie miał taki termos pod ręką? Nie, dlatego, że insulina nie znosi mrozu. Dlatego! Dlatego!

Ale... ale... przecież ja o tym nie wiem, nie wspomniał o tym, że insulina nie znosi mrozu, wcale mi nie zakazywał otwierać termosu. Słusznie, wcale mi tego nie zakazywał, a jeżeli insulina nie może być narażona na mróz, to chyba wyraźnie by to powiedział. Bzdury wymyślasz, Brage. Doktor Vian brał pod uwagę fakt, że ty nie masz powodu wtrącać się do zawartości termosu, no i rzeczywiście nie masz. Trzymaj łapy z daleka, ofermo! Zgoda, ale jeżeli wszystkie fiolki są stłuczone... tyle razy przecież upadłem... wszystkie się potłukły, tak że zupełnie nadaremnie brnę przez tę burzę... niosąc zniszczoną insulinę... Czy wobec tego nie wolno mi zbadać, w jakim stanie są fiolki? Upewnić się, że nie męczę się na darmo, skoro doktor Vian ani słowem wyraźnie nie zakazywał otwierania termosu? Termos, termos, może tylko przypadkowy zbieg okoliczności sprawił, że to jest termos, a równie dobrze mogłoby to być jakiegokolwiek inne opakowa-

nie, bez izolacji cieplnej, a tylko zabezpieczające od wstrząsów i uderzeń. Jakieś małe pudełko, na przykład, albo skrzyneczka, ale doktor Vian przypadkowo miał pod ręką właśnie termos, uznał więc za zupełnie naturalne użycie tego pierwszego z brzegu naczynia, które wydawało się dostatecznym zabezpieczeniem przeciw różnym uderzeniom. A skoro wyraźnie nie zakazał otwierania... na miłość boską, przecież facet nie jest pozbawiony rozumu, na pewno musiał przewidywać, że się nie raz i nie dwa wykopyrtne, i zupełnie naturalne, że wobec tego zacznę się martwić o całość fiolek... doktor Vian musiał brać pod uwagę, że w pewnej chwili zechcę sprawdzić stan insuliny, a skoro mi tego nie zakazał, mam chyba prawo sprawdzić. Czy to nie brzmi logicznie? Skoro doktor Vian nie zakazał mi zrobienia czegoś, co musiało mu się wydawać z mojej strony oczywiste? Owszem, to brzmi logicznie. Doktor Vian nie mógł przyjąć z góry, że nie będę miał powodu, by wtrącać się do zawartości termosu, a ja właśnie mam powód. Mam go, bo wywróciłem się niezliczoną ilość razy. Nawet moim obowiązkiem jest sprawdzenie zawartości: może część cennej przesyłki uległa zniszczeniu, może niektóre fiołki przekrzywiły się i naciskają na inne, może potrafiłbym je znów należycie uporządkować.

Znów chwyciłem za korek.

Ale termos chroni insulinę przed mrozem i tego faktu nie zmienisz, mój Brage. Czy masz prawo wykluczyć możliwość, że właśnie dlatego wybrano termos? Masz prawo? Możesz wykluczyć? Nie. A więc nie masz również prawa wpuszczać tam zimna, rozumiesz.

Tak, ale jest możliwość, że ryzykuję życie, by dowieść bezużyteczny lek!

Zgoda, lecz jednak termos!

A ta możliwość?

Ale termos!

Co nie wyklucza tej możliwości!

Słuchaj, Brage, fiołki z insuliną na pewno wytrzymują uderzenia. Są owinięte w watę i miękki papier. Sam termos też jest do pewnego stopnia odporny na uderzenia. I można przypuszczać, że mu się dostało... chwileczkę, czy widać na nim jakieś ślady uderzeń?

Nie. Nic. Żadnych.

A wstrząs, jak wygląda ta sprawa? Gwałtowny wstrząs? Na Boga, muszę chyba... nie... muszę chyba... spokojnie...

Na termosie nie widać najmniejszego śladu, ani jednego wgnięcia. Był w plecaku dobrze owinięty.

No, teraz jestem pewien. Insulina pozostała najprawdopodobniej nietknięta. Wszystko w porząd-

ku. Schowaj termos z powrotem do plecaka, Brage. Zrób to zaraz i ruszaj dalej.

Nie otworzyłem termosu, nie wpuściłem do środka zimnego powietrza – dla bezpieczeństwa. I zaraz ruszyłem dalej.

Zacząłem myśleć o wietrze. Najpierw osłabł, długo posuwałem się przy niewielkim wietrze, nie zastanawiając się nad tym, potem długo szedłem przy niewielkim wietrze, zdając sobie z tego sprawę. Potem siła wiatru znów wzrosła... ale teraz... Czujesz?... Teraz ponownie osłabł.

O, spójrz na tamtą miniaturową turnię! Czy już kiedyś nie widziałeś tej charakterystycznej formacji skalnej? Czy ona może też nie leży na północ od Veslehö? Najpierw wiatr osłabł; to Veslehö posłużyła ci za osłonę. Potem wzmógł się, ale nie tak bardzo, bo między Veslehö a Örnebre wiatr północny nie jest nigdy zbyt dokuczliwy. A teraz... teraz wiatr znów osłabł... i co to może znaczyć? Ciesz się, Brage, majster z ciebie nie lada. Bo teraz ściana Örnebre osłania cię od wiatru z północy.

Taka konkluzja była zupełnie naturalna, a później okazała się słuszna.

Ściana Örnebre jest to dziesięciokilometrowa, pionowa i postrzępiona ściana, która stanowi południowy bok masywu lodowca Örnebre. Wzdłuż niej szukałem Siv, bo tu mogła spaść z zębatej gra-

ni. Zakazałem jej tam chodzić samej, ale tęsknota... tęsknota za mną... może ona zagnała ją w te niebezpieczne strony, któreśmy kiedyś razem przemierzali.

Ściana Örnebre. Jeszcze raz więc poszedłem drogą okrężną, lecz znów się okazało, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Ściana ciągnie się prawie aż do samej turni Örnebre, cały czas więc miała mi dawać świetną osłonę.

Tak, Brage, teraz wystarczy ci wędrować wygodnie na północ, aż zderzysz się ze ścianą Örnebre, a wtedy – tak, oczywiste – wtedy skreścisz na lewo. Trudno nie trafić na tę ścianę, chyba żebyś leciał samolotem. Ciesz się, Brage, hura!

Zacząłem posuwać się biegiem, a wtedy pojawił się dawny niepokój: zbliżam się do jej zwłok.

Ten niepokój zderzał się w mojej głowie z historyczną niemal dumą, że doszedłem tak daleko i przemogłem tyle plag, дума i Siv, дума i żal na przemian... istny chaos myśli i uczuć.

Biegłem długo, aż poczułem pulsowanie krwi za gałkami ocznymi i pragnienie. Stałem, aby się napić, bo miałem jeszcze trochę ciepłego soku z czarnych porzeczek. Jak na to zareaguje żołądek? Zdjąłem plecak, otworzyłem. Znalazłem termos. Odkręciłem pokrywkę i chwyciłem palcami za korek.

Ba! To nie był mój termos, tylko ten z insuliną. Mało się od siebie różniły. Znalazłem swój i trzymając go w drugiej ręce, porównywałem. Tak, bardzo podobne, tej samej marki, jakby stworzone po to, żeby je przy złym świetle zamienić. Trzeba uważać, trzeba o tym pamiętać.

Umieściłem termos z insuliną na samym spodzie plecaka i zabrałem się do otwierania swojego. Ale korek siedział jak zamurowany. Starąłem się go obruszać i wyciągnąć, ale palce mi się ślizgały, szarpałem i ciągnąłem coraz niecierpliwiej, aż korek tak nagle puścił, że połowa soku bryzgnęła na śnieg.

Resztę wlałem do kubka, wsadziłem tam palce i trzymałem tak jakiś czas, żeby je rozgrzać. Choć z kubka buchała para, nie czułem ciepła. Wobec tego łapczywie wypilem zawartość, zabiłem ręce i poczułem trzeszczenie kości.

Koniec. Spakowałem wszystko, zapiąłem sprzączki, narzuciłem plecak na grzbiet, przymocowałem go, wziąłem kij i ruszyłem w drogę.

Biegłem długo. Nagle jednak poczułem piekielnie bolesne klucie w piersiach po stronie serca – jakby ktoś mnie dźgał ostrym żelazem, a żołądek przy okazji fikał koziołki. Musiałem stanąć. Sta-
nałem. Przy każdym głębszym oddechu to ostrze kłuło mnie jak diabli, a byłem zziąjany i musiałem

głęboko oddychać – co mam robić? Wzdychać i skomleć żałośnie, starać się wstrzymać oddech.

Zaraz odezwał się żołądek. Poczucie nudności uderzyło w przełyk, skuliłem się w pół, potem upadłem i zwymiotowałem sok z czarnych porzeczek razem z jakąś gęstą mazią. Ostrze w piersiach dźgało mnie bez przerwy. Chciałem krzyczeć, płakać, ale nie mogłem wydobyć głosu, leżałem tylko z bolącym żołądkiem i pokłutym sercem.

Ten piekielny ból na pewno pozbawił mnie sił. Próbując jeszcze raz brać sprawę na wesoło, pomyślałem, że te moje tarapaty zaczęły przeradzać się w karykaturę.

Ile człowiek potrafi znieść? Gdzie jest granica ludzkiej wytrzymałości? Gdzie jest moja granica? Kiedy znajdę się w takim stanie, że nie potrafię już zrobić ani jednego kroku dalej?

Zgięty w pół, z otwartą gębą, ledwie łapiąc oddech, wysunąłem ramiona spod rzemieni plecaka, wyciągnąłem śpiwór, rozwinąłem go i wlałem do środka. Na próżno usiłowałem podciągnąć zamek błyskawiczny aż pod szyję... palce... palce nie mogły dość silnie uchwycić suwaka! Nie, Bragesson, gówno to warte, wszystko gówno warte! Twoja granica jest już blisko!

Bardzo powoli żołądek się uspokajał, ustąpiło też kłucie w piersiach. Z uczuciem ogromnej ulgi

wypełniłem płuca powietrzem. Te moje obolałe płuca...

O, losie, potężny losie, pozwól mi, biedakowi, po-
leżeć tu sobie chwileczkę, tylko chwileczkę, tak po-
trzebuję wytchnienia, i tak ładnie proszę, i taki je-
stem chory. Mam gorączkę, taki jestem chory...
jeszcze tylko jeden jedyny razik, a potem pomasze-
ruję dalej... słowo daję.

Wytchnienie i coś, o czym by można myśleć. Mu-
szę się bowiem bronić przed snem. Myśleć. Myśleć.
O czymkolwiek: „Pan go nie lubi? – On jest śliski.
– Co to znaczy? – To, co powiedziałem. Zawsze jed-
nak żywię nadzieję, że ujawni jakieś sympatycz-
ne...”.

Nie. Stop. Muszę myśleć o czymś pięknym, co
doda mi ciepła. Tak, moja pierwsza noc miłosna
z Siv. Dlaczego nie? Jeżeli to ciągle jeszcze mnie
rozgrzewa, jeżeli nadal potrafię wyczarować z tego
uczucie szczęścia... jeszcze ciągle... uśmiecham się
do siebie... wargi mi drżą... milcz... uśmiecham się
do siebie... „Zdaje mi się, że jest speszony”. Cha,
cha, cha...! Uśmiech, uśmiech, sam się do siebie
uśmiecham... na chwilę zapomnieć o tym, że wspo-
mnienia nie są rzeczywistością... co za radość, że
właśnie teraz mogę o tym zapomnieć. „Nie mówię
szepem”. Właśnie teraz... „Zdaje mi się, że jest
speszony”. Tak, właśnie teraz, teraz, teraz!

Ze snopu iskier, z moich gorączkowych majaków, wyłania się Siv, moje cudo, kojące cudo.

Leżała po północnej stronie Skagetu, odeszła bardzo daleko od Björnehiet.

Leżała w czymś, czego nigdy jeszcze nie widziałem, czymś maleńkim, najwyżej dwumetrowej długości, co przypominało szałas, ale nim nie było. Może kiedyś zbudowano to jako schronienie dla owiec, ale nigdy nie słyszałem, aby w tych okolicach hodowano owce, a w dodatku niewiele sztuk zmieściłoby się pod zarośniętym trawą dachem starego, niedbale skleconego z bierwion budyneczku. W jednym rogu dachu była dziura i przez nią wydobywała się cienka smuga delikatnego, niemal przezroczystego dymu.

Leżała na trzech popielatych ze starości, zmytych deszczem deskach, a w kącie, niebezpiecznie blisko ściany, tliło się jeszcze małe ognisko. Budyneczek nie miał okien, tylko otwór wejściowy i tę dziurę w dachu, wydrażoną ciężarem śniegu i przepuszczającą teraz smużkę dymu. Na kołkach powtykanych między bierwiona porozwieszała wszystkie części garderoby; jeszcze były mokre. Ale deszcz już ustał, tylko resztki chmur przesunęły się po zachodniej stronie horyzontu, a noc

była jasna i wysokie góry przepojone zapachem krótkiego, intensywnego lata.

Leżała na deskach naga, miała na ręce tylko tę złotą bransoletkę, która później stała mi się tak dobrze znajoma.

Leżała na brzuchu.

Leżała, leżała, leżała. Śliczna. Spała. Cichutko usiadłem przy wejściu i podziwiałem jej nagość. Czy widziałeś kiedy, Brage, taki jędrny, okrągły tyłeczek? I te nogi, i te uda, i jakie wspaniałe plecy, spójrz na te prężne, długie mięśnie wzdłuż krzyża, spójrz na te ramiona, na tę głowę spoczywającą na jednym z nich, te włosy o złotawym połysku rozsypane na plecach, barkach i policzku. Co za samica! Co za samica!

Usta! Spójrz na usta! Czy nie wyglądają jak gotowe do ssania? Albo ułożone do pocałunku? Hej, Siv, o czym teraz śnisz?

Leżała, leżała, leżała. SIV! Leżała głową ku ścianie, nogami do „drzwi”. Patrzyłem i patrzyłem, w swoim krótkim, ale grzesznym życiu nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego, tak pięknego, że czuło się nad nią muśnięcie skrzydeł boskiego wysłannika. Nie miałem żadnego bliżej określonego Boga, na ogół wystarczyło mi niejasne pojęcie jakiegoś twórczego misterium X, zawsze jednak uważałem słońce za pierwszy widomy znak nasze-

go istnienia i zawsze wystarczała mi myśl, że ono jest bóstwem, bo przecież słońce na firmamencie jest czymś niewytłumaczalnym i tajemniczym.

Gdy tylko słońce zdążyło zaróżowić szczyty gór, składałem mu dzięki. Tak gorąco dziękowałem, że potem widziałem, jak z wysiłku na każdej ręce występuje nabrzmiała żyła. Wypukła pręga na każdej z dwu rąk, mających własny charakter, stworzonych specjalnie do kochania i kierowania życiem.

To była Siv, a słowa „żenić się” i „małżeństwo”, na które przedtem wrzuszałem ramionami, zaczęły się śpiewnym rytmem powtarzać w świecie moich myśli. „Ożenić się”, medytowałem. „Małżeństwo”, fantazjowałem. Cóż za rozkoszne słowa. Ożenię się z nią, pragnę tego małżeństwa, chcę się z nią ożenić, zostać jej mężem, małżonkowie, ona i ja, my oboje, ślub: „Czy chcesz pojąć tę kobietę za...”. „Tak, tak, na pewno!” Mendelssohn. Marsz weselny. Złote obrączki. Na mojej wyryte: „Twoja Siv”. Na jej wyryte: „Twój Brage”. Potem w uroczystym orszaku wychodzimy z kościoła, idziemy na wesele, i niech wszystkie klęski i przekleństwa zwałą się na bóstwa pogody, jeśliby w tym momencie nie świeciło słońce!

Lekkie westchnienie i Siv porusza się przez sen. Może teraz się obudzi?

Powoli, przeciągając się sennie, przewraca się na plecy – co za widok dla młodego mężczyzny; tak ułożyła nogi, że widziałem wszystko, o czym mogłem marzyć. Wielkie nieba! Tu też blond włosy! Nieprawdopodobne!

Blond, blond, blond. Nie jakieś pierwsze lepsze ciało. Nie, miało własne oblicze, pełne życia oblicze, łaskawe oblicze, uduchowione, przemawiające. Przeważnie bywa tak, że śpiące ciało mówi: „Śpię, proszę mi nie przeszkadzać”. Ciało Siv nigdy tak nie mówiło, niezależnie od tego, jak leżała – na boku, na plecach, na brzuchu albo skurczona. Zawsze jakby przemawiało: „Proszę bardzo”. „Chodź tu”. „Kocham cię”. „Dlaczego się ociągasz?” „Chodź, odpocznij przy mnie”. „Pewnego dnia obdarzę cię dzieckiem”. A gdy nie spało, miało tyle wyrazu, co jej twarz. „Czy jesteś dziś spragniony?” „Chodź, powiedz”. Ciało, które bez mężczyzny nie ma sensu i którego nie można sobie bez mężczyzny wyobrazić. Ciało, które zawsze wywoływało u mnie uśmiech, jak gdyby służący przyniósł tacę pełną świeżych i soczystych owoców, a moja radość i podziw ciągle dyktowały pytanie: „Czy to wszystko dla mnie?”

Zrobiło się jaśniej, więc jeszcze dokładniej obejrzałem jej ciało i twarz, a równocześnie sam się rozebrałem, bo nie widziałem powodu, aby miała po-

zostać dziewicą choćby przez jeden jeszcze dzień. Byłem jednak trochę zdenerwowany, nigdy przedtem nie miałem z dziewicą do czynienia. Jak ten wulkan w ludzkim ciele to przyjmie? Może dostanę po gębie, będą łzy i sceny?

Najpierw nachyliłem się i pocałowałem ją w brzuch. Och, jaki mięciutki. Nie zareagowała. Dalej oddychała równo i głęboko. Pocałowałem ją w udo, ale nadal bez rezultatu. Nie obudziła się jeszcze. Pocałowałem ją więc w piersi, a wtedy cicho westchnęła i spała dalej. Głaskałem ją po plecach, policzku, ramionach, biodrach, wszędzie ją głaskałem i zauważyłem, że rytm jej oddechu zaczął się zmieniać; coraz krótszy, coraz szybszy...

Całowałem ją, całowałem, całowałem. Przeciągała się leciutko pode mną i cichymi urywkami słów zdradzała, że o czymś śni. Śniła o tym, że jakiś mężczyzna ją całuje, a to byłem właśnie ja, właśnie ja ją całowałem. No, może nie?

Ssałem brodawki na jej piersiach... ssałem... ssałem... i trzymałem jej twarz między dłońmi...

A ona o czymś śni, ciągle śni, a potem podnosi ręce, gładzi mnie po karku, po włosach, i woła: „Ach!”.

Osiemnaście wiosen.

Pocałowałem ją w usta. Jej wargi odpowiedziały mi niepewnym drgnieniem. Ale tylko przez mo-

ment.

Zatrzymała oddech.

Zbudziła się ze snu.

Siv się zbudziła.

Odsuwam się ostrożnie i czekam.

Boi się, nie śmie otworzyć oczu. Przestraszyłem ją. Szepcę:

– Brage.

Wówczas otwiera odrobinę oczy, przez dwie wąskie szparki widzę niebieskość, błękit nieba. Niebieskie oczy, a tego nie przypuszczałem, i piegi wokół nosa. Ludzie, piegi! I nozdrza drżą lekko:

– Siv – szepcę.

Oczy otwierają się, patrzy i patrzy. Na mnie patrzy. Na mnie całego. Unosi się nieco – i patrzy – ale znów opada na deski i przymyka oczy:

– Wariat.

Nie odpowiadam.

– Przestraszyłeś mnie.

Milczę.

– Jesteś goły.

Oddycha szybciej. Milczę. Ona też chwilę milczy. Potem mówi:

– Dlaczego jesteś goły?

I wargi drżą jej w lekkim uśmiešku:

– O, masz podejrzane plany! Jestem beznadziejnie stracona.

Już nie będę dziewicą. Nigdy. Czy nie ma dla mnie ratunku?

– Nie ma.

– A ja chciałam zaczekać aż... aż... o, jesteś taki niedobry! Czy nie powinniśmy się najpierw lepiej poznać?

Stara się mówić przekonująco, unosi się na łokciach, lecz czyni to z takim pośpiechem i tak gwałtownie, że jej twarz uderza o moją, a wówczas rozbłyskają jej oczy i nic jej nie pozostaje, tylko mnie objąć.

– Ty i ja – mruczy z ustami przy moim policzku.

Układam ją i patrzę: Jej twarz, szczerą i otwartą, rozjaśnia oczekiwanie romantycznego przeżycia. Jej ręce, ciepłe i ciekawe, spotykają moje i proszą je, aby broniły jej miłosnego przeżycia, jej radości, bo przecież tej letniej nocy nic nie może zastrzymać, nie może. Jej wargi poruszają się i nadają memu imieniu nowe życie. Jej oczy szukają moich i pytają: co sądzisz o Siv?

– Że jest blond, tylko blond.

Ogromna cisza stała na straży naszej miłości. Nic nie przeszkadzało. A ja od niedoświadczonej kobiety nauczyłem się, co miłość znaczy. Mowy nie było o tym, abym ja grał rolę nauczyciela, bo jej miłosny poryw okazał się erotycznym natchnieniem, które o całe niebo przewyższało moje do-

świadczanie, nabyte od doświadczonych. Musiałem znów zacząć od nowa i uznać, że miłości nie można się nauczyć, można ją tylko uprawiać, gdy nadejdzie po temu chwila. Wszystko, co robiła, było porywające, nie zamierzone, powstawało samo, ona szła tylko za głosem instynktu w szczęściu i bólu, taka zakochana, taka zakochana, że nie mogła inaczej; delikatnie, ale i świadomie tak rozkołysała moje zmysły, że jedynym celem stało się pożądanie. Na nim skupiłem całą siłę woli, ona zaś, nawet tego nie rozumiejąc, wystawiała je na próby wprost nie do zniesienia – w tym tylko dał o sobie znać jej brak doświadczenia, ale tylko w tym – wzruszająco zaskoczona, gdy ją chwilami mocno trzymałem, tak że nie mogła się ruszać. Bo musiała się ruszać, co zrobiłaby inaczej ze swym nadmiarem rytmu i żywotności? Ale już nie puściłem jej, póki nie zdobyłem się na odwagę i nie spełniło się moje marzenie. Siv bardzo krwawiąca, ale nieprzytomna ze zmysłowego upojenia. Z dumą – ani dawniej, ani później, nigdy nie odczuwałem takiej dumy – patrzyłem na rezultat i nie mogła mnie spotkać wspanialsza zapłata niż to, co wyczytałem z jej twarzy: otwarła się jak kwiecista łąka rankiem, gdy unosi się mgła i znikła rosa; otwarłszy się, rzekła: jestem kobietą. A oczy kobiety mówiły, że uważa mnie za dobrego

mężczyznę, tak dobrego, że nie może sobie wyobrazić lepszego. Oszalałem z radości i wałnąłem pięścią o ziemię, ona zaś wcale się nie zdziwiła, że jej mężczyzna w ten sposób daje wyraz szczęściu.

Robiło się coraz jaśniej, lecz my nawet nie myśleliśmy o tym, że gdzieś tam szuka jej dwóch ludzi – ojciec i brat. Byliśmy niewinni. Zapomnieliśmy o nich. Odpoczywaliśmy. Później zeszedliśmy do rzeki, wykąпалиśmy się, ale wkrótce wróciliśmy i po rozpaleniu nowego ognia położyliśmy się z powrotem.

Co myślisz o Siv?

Że jest blond, tylko blond. Jak ta jasna noc, tak jasna jak twoje włosy, twoja skóra, twoja dusza. Blond, tylko blond.

Słuchała uważnie.

– Powiedz: jasna noc.

Powiedziałem:

– Jasna noc.

– Obejmij mnie mocno.

– Obejmij mnie mocno.

– Bądź ze mną aż do śmierci.

– Bądź ze mną aż do śmierci.

– Kocham.

– Kocham.

Potem wstało słońce, rozpalając nowy ogień.

STEFAN 1955: W przeciwieństwie do zła dobro nie upaja, nie zatrzuwa, a zwłaszcza nie kusi, w dodatku wymaga samozaparcia i uporów. Nic nie zmusza człowieka do akcji konstruktywnej. Aby być twórcą, trzeba świadomie i jasno wybrać drogę tworzenia. Ktoś może się zmusić do takiego wyboru, ale nigdy, przenigdy nikt nie może się zmusić do złego, impuls musi przyjść zawsze z zewnątrz. I w tym tkwi istota sprawy. Możliwość wyboru. Kto nie ma możliwości wyboru, ten nie ponosi odpowiedzialności i winy. – Działanie przestępcze możliwe jest tylko przy zaniku świadomości, a taki zanik wyklucza wybór. Człowiek, który oświadcza, że zabije pana X., i potem to robi, wcale tego nie chciał, bo aktualnie nie odczuwał istnienia innej alternatywy. Gdyby odczuwał, nie popełniłby morderstwa. – Mój przyjacielu, czy nie sądzisz, że wujaszek Stefan wynalazł dość trafne określenie na zjawisko łamania prawa: klęska żywiołowa?

BRAGE 1961: Nie wiem, ale odtąd – bo wkrótce zacznę to, co uważam za najważniejszą część mego sprawozdania – będę próbował ustosunkować się do twoich twierdzeń. Pociąga mnie to, lecz i przejmuję dreszczem.

STEFAN 1961: Wspaniale. A co sądzisz o swym dotychczasowym sprawozdaniu?

BRAGE: Zdaje mi się, że próbuję przedstawić,

a nawet może rozwiązać zagadkę duszy ludzkiej. Innymi słowy: radosne szaleństwo. Nie będę się więc wstydził, jeżeli mądre głowy udowodnią, że skręciłem kark. Gdy mnie to spotka, znajdę się w dobrym towarzystwie; wszyscy, którzy próbowali tego przede mną, też porzobili sobie łby o mur tej zagadki.

STEFAN: Wobec tego trzeba dodać tylko – bo to dość ważne – że od czasu do czasu powinno się podejmować takie próby, aby świadomość ludzka nie skostniała w nieprawdach i dawnych prawdach, które są, o czym każdy powinien wiedzieć, niewystarczające.

BRAGE: W każdym razie nie będę szczędził wysiłku. Później – znacznie później – jeżeli będę żył – ponowię próbę. Może nie jestem jeszcze dość dojrzały, aby zgłębić tę zagadkę.

STEFAN: Mów tylko szczerą prawdę, a twoja relacja będzie miała wartość. Przyznaj się do bezsilności, jeżeli jej nie przewycięzysz, nie narzucaj też sobie żadnego rozwiązania; nie popełniaj takiego błędu, jak społeczeństwo, ani też odwrotnego błędu, który zdarza się wielu pisarzom: mącą wodę, aby wydawała się głębsza. Przyjacielu – życzę ci powodzenia.

BRAGE: O, gdybyś wiedział, ile kosztuje mnie siedzenie przy biurku. Ciało chce wstać, wyjść,

skakać, pędzić; moje ciało żąda, bym czynił z niego użytek, zżyma się coraz bardziej na to siedzenie. Ale sprawozdanie będzie wkrótce gotowe: wkrótce wrócę do Nordablaas, tam ciało będzie ćwiczyć, ćwiczyć, i Siv się odnajdzie.

Leżąc podczas burzy śnieżnej gdzieś blisko lodowca Örnebre, życzyłem wszystkim młodym kobietom i wszystkim młodym mężczyznom podobnego startu, jaki przypadł w udziale mnie i Siv: wielkiego przeżycia, które jest zapowiedzią albo wyniszczenia, albo wzrastających sił – co lepsze. Życzyłem im też, aby nie zaniechali niczego, co piękne, co romantyczne, w energicznym proteście przeciw czasom kamiennych serc.

I myślałem.

Bądźcie romantyczni, młodzi ludzie! Bądźcie otwarcie banalni! Nie wstyďte się swych wzruszeń, niech was nie obchodzi to, co myślą inni, starajcie się – choćby raz w życiu – w błogim spokoju zrodzić własne, prawdziwe uczucie. A jeżeli wam ktoś powie, że dajecie się zwodzić iluzjom i uciekacie od rzeczywistości, wówczas powinniście odpowiedzieć: Uciekamy na chwilę od tego, co istnieje naprawdę: Słońce jest tak piękne, księżyc tak urzekający, ziemia tak dobra, a nasza miłość tak porywająca. Później, już silniejsi, weźmiemy się za bary z twardą rzeczywistością, która również ist-

nieje. Przez chwilę nie chcemy jednak o niej wiedzieć. Przez chwilę pragniemy być nowymi ludźmi.

Kłamcie więc, młodzi ludzie, kłamcie tak, aby kłamstwo stało się prawdą: róże, zawilce, polne dzwonki! Jestem twój! Jaśminy! Twój na wieki! Niezapominajki! Nigdy cię nie zawiodę! Konwalie! Pocałuj! Konwalie! Obejmij! Konwalie! Tysiąc pocałunków dla ciebie, bo w oczach masz zielone łąki i długie letnie noce, w oczach mówiących: „Kocham! Tak bardzo kocham!”.

Bogactwo! Cóż za bogactwo dało mi przeżycie z Siv! Bentein, ten nie jest bogaty. Bogaty mężczyzna nigdy się tak nie ośmiesza. Bogaty mężczyzna umie się śmiać. Bentein jest ubogi. Ubogi. Czy mogę więc sobie pozwolić na to, aby podjąć ryzyko dla tego biedaka, który, choć na pierwszy rzut oka taki przystojny, wlecze się przez życie złamany i bez cienia radości?

Oczywiście.

Wstawaj, Brage! Wstawaj! Dokonaj swego męskiego czynu! Sprawa jest pilna! On tam leży i może umrzeć! Nie dopuść do tego!

Insulina. Insulina.

Dalej. Dalej.

Na północ. Na północ.

Z początku podniecenie dodawało mi skrzydeł.

Wiatr naprawdę osłabł, słabł coraz bardziej, wkrótce dosłyszałem odgłosy zapowiadające, że mam przed sobą jakiś wysoki masyw, i nie tylko to; dosłyszałem również, że stoję przed ścianą Örnebre, bo tylko tam północny wiatr tak gwizdał.

Szybciej, szybciej, szybciej, stara szkapo. Szybciej, szybciej, szybciej, stara chabeto.

Wysiłek był teraz bardziej równomierny. W głębokim, kopnym śniegu przemierzałem równinę leżącą przed ścianą Örnebre, wichura ciągle słabła. Ogromne masywy górskie osłaniały przed zadymką z północy, pokryty lodowcem łańcuch górski dzielił mnie teraz od Björnehiet, a potem – na końcu – mokradła. Wiedziałem o tym, na wszelki jednak wypadek – aby się w tym przekonaniu jeszcze bardziej utwierdzić – po dojściu do pierwszego długiego wzniesienia dążyłem dalej na północ tak długo, aż niemal nosem uderzyłem o czarną, bezśnieżną, zębatą ścianę. Wówczas z zadowoleniem – niemal gestem rzeczowego potwierdzenia – skinąłem głową i pługiem zjechałem na równinę, aby ruszyć w kierunku zachodnim.

Gdyby nie kopny śnieg, trasa byłaby idealna. Żadnego niebezpieczeństwa lawin. Podejście strome, ale równe. Wiatr nie wart wspomnienia, a po prawej ręce najpewniejszy drogowskaz, jaki sobie można wymarzyć. Gdybym wbrew przewidywa-

niom znów stracił orientację, wystarczyło mi skierować się wprost na północ, a prędzej czy później musiałbym trafić na ścianę Örnebre.

Mimo wszystko droga wzdłuż tej ściany dawała się we znaki. Zapadałem się w śnieg, a nie miałem już zbyt wiele sił. Najgorsze było to, że wszystkie moje wnętrzości buntowały się coraz wyraźniej. Serce i płuca ostrzegały, że zbliża się ostateczna granica wytrzymałości, lata pobytu w więzieniu nie przysłużyły się kondycji sportowej. W dodatku miałem gorączkę.

Nie robiłem już sobie złudnych nadziei, że uda mi się uniknąć dożywotnich skutków w postaci zrujnowanego zdrowia. Mimo to nie zastanawiałem się wiele nad prześladowającymi mnie plagami, tylko to serce, to serce, rzucało się w piersiach jak rozwścieczone zwierzę; chciało się stamtąd wydostać. O, te uderzenia kołyszące miękko całą górną połową ciała.

Nie mogłem iść równo. Co jakiś czas przewracałem się do przodu, jakbym się o coś potknął, a ze względu na uszkodzony bark, który sprawiał mi teraz silniejszy ból, musiałem trzymać kijek przeważnie w zdrowej ręce.

Pora powiedzieć sobie, że prawdopodobnie nie wszystko zapamiętałem z tej przeprawy ani też nie we właściwym porządku. Może o czymś zapo-

mniałem, może świadomie lub nieświadomie coś zmyśliłem, może pewne rzeczy działały się w innej kolejności. Jest również rzeczą najzupełniej naturalną, że moje myśli były wówczas bardziej postrzępione i chaotyczne, niż je tu przedstawiam. Zresztą sądzę, że nie istnieje nic takiego jak historia oparta na rzeczywistości, a zupełnie wierna, nawet gdy historyk pisze sprawozdanie z własnych przeżyć, bo rzeczy odtwarzane z pamięci nigdy nie pokrywają się z przeżyтыми, a jeden jedyny dzień w życiu ludzkim obejmuje znacznie więcej okoliczności przypadkowych, więcej odczuć i większe kłębowisko myśli, niż człowiek zdolny jest dokładnie pamiętać nazajutrz albo jeszcze później, nadto zaś zawsze zachodzi możliwość, że w kręgu rzeczy zapomnianych kryje się coś istotnego, czego piszący nie chce uznać.

Wcale nie powiedziałem, że podaję całą i pełną prawdę. Opowiadam tylko to, co utkwilo mi w pamięci, co w najlepszym wypadku stanowi tylko część całej i pełnej prawdy. Wchodziło i wchodzi w grę znacznie więcej, niż było i jest, i co pamiętam, że było. Żaden człowiek nie dysponuje całą i pełną prawdą.

Spójrzcie jednak na mnie, gdy w tym głuchym zakątku Norwegii zbliżam się do szczytu lodowca Örnebre. Nie proszę o współczucie, bo współczucie

nie może być nigdy współmierne z warunkami. Nie proszę o wybaczenie, bo wybaczenie nie może być proporcjonalne do czynu. Matematyka życiowa operuje jedną jedyną niezależną wielkością; niedolą, której nie można nic przeciwstawić ani też z niczym jej porównać. Gdy ktoś w nieszczęśliwym wypadku traci jedną rękę, okazujemy mu współczucie. Gdy jednak traci obie ręce, obie nogi, wzrok, żonę i dzieci, wówczas nasze współczucie dla tej niedoli blednie, blednie również potrzeba współczucia u dotkniętego nieszczęściem. Jeżeli ktoś sam ściąga na siebie niedolę, nikt go nie usprawiedliwia, a w nim również zamiera potrzeba wybaczenia. My wiemy i on wie, że zaszła tragedia, jeżeli zaś tego nie wie, jest tym nieszczęśliwszy, bo nawet nie pojmuje, co znaczy usprawiedliwienie.

Niedola nie ma przeciwstawnej wielkości; największe zło nie jest odwrotnie proporcjonalne do największego dobrodziejstwa. Największe dobrodziejstwo nie pociąga za sobą niedoli, nie jest czymś niepowetowanym, nie musi być odwrócone, tylko powtórzone. Największe zło ściąga niedolę, jest niepowetowane, powinno być odwrócone, choć to niemożliwe, i nie powinno być powtarzane.

Insulina. Insulina.

Dalej. Dalej.

Widząc własny tułów i własne nogi uświadomiłem sobie, że jestem mocno pochylony do przodu. Wyprostowałem się, aż trzasło w krzyżu, ale wkrótce znów się skuliłem.

Ruchem zacinającego się, zepsutego automatu podchodziłem na szczyt lodowca Örnebre, a w środku maszynerii ciągle coś się działo. Zdawało mi się, że nadal mam nie zakłóconą zdolność myślenia, bo przecież myślałem. Mózg był aż za skory do pracy i wytwarzania różnych obrazów. Działał jak szalony. Chciałem go zatrzymać i skoncentrować tylko na rzeczach najbliższych i oczywistych, ale jakiś nacisk sprawiał, że całe moje życie ukazywało mi się w chaotycznym koncentracie myśli. Ukazywały się migoczące obrazy, odczucia goniły jedno za drugim, przed oczyma duszy przesuwały mi się epizody z własnego życia. W dodatku wyraźnie widziałem różne twarze. Twarz Stefana, gdy woła w sądzie: „Nie, nie mamy przed sobą sprytnego, wyrachowanego, ugrzecznionego przestępcy, lecz człowieka niewinnego, który stracił panowanie nad sobą”. Zakrwawiona, nieruchoma gęba Fritza Heilmanna, krzycząca martwymi oczyma i zamkniętymi ustami: „*Affenarsch!*^[46]”. Twarz biegłego psychiatry, który oświadcza: „Oskarżony potrafi czasem rozumować z zaskakującą jasnością, a gdy go coś dostatecznie

zainteresuje, umie się silnie skoncentrować... rozwiązanie wielu zadań świadczy o bystrym umyśle, oryginalności, wybitnej zdolności samodzielnego myślenia, żywej fantazji...”. Przewodniczącego sądu, gdy zwraca się do mnie: „Pan jest człowiekiem inteligentnym, Bragesson, apeluję więc do pańskiego rozsądku”. Prokuratora podczas przesłuchania: „Teraz proszę dokładnie uważać, Bragesson. Pan jest inteligentnym człowiekiem. Nie jest pan chory umysłowo. W momencie popełnienia zarzucanego panu czynu był pan w pełni władz umysłowych”. Jakaś nieznana gęba sepleniąca: „Prose uwasac dobse, Bragesson. Pan jest strasnie febski łacet”. Potem zobaczyłem swoją własną twarz, bez reszty ciała, skaczącą na krótkich nóżkach po białej pustyni i przedrzeźniającą: „Ple ple tralala”, a gdy „ple ple” skakało na wszystkie strony przed moimi zamglonymi oczyma, ukazała się głowa Stefana w tak ogromnej, białej cierniowej koronie, że widać było tylko otworek zastępujący usta, głowa wyszczerzyła sople lodu i wrzasnęła tak głośno, że aż korona się zatrzęsała: „Tele! Mele! Dlaczegoś mnie opuścił?”. Potem usta mełły zadowolone, jak u bezzębnego starucha żującego prymkę.

Mówię, że widziałem tę gębę, lecz trudno to brać za halucynacje, za produkt chorej wyobraźni, bo

przez cały czas oceniałem je całkiem trzeźwo. W miarę jednak dalszej drogi wariackie przywidzenia dokuczały mi coraz bardziej, tak że wreszcie zdecydowałem, iż czas z nimi skończyć. Natychmiast wszystkie błazny rezydujące w moim mózgu narobiły wielkiej wrzawy, opuściły kurtyny, ogłosiły koniec przedstawienia, wywiesiły flagę z nagimi tyłkami, bezwstydnie biegały w kółko i wrzeszczały do siebie, że nastąpił finał spektaklu: „Czy nie rozumiesz, idioto!? Wynocha ze sceny!”. A ponieważ wszystkie krzyczały równocześnie, nie mogły się nawzajem słyszeć, a o to im właśnie chodziło.

– Trzeba z tym skończyć – powiedziałem sobie, śmiejąc się i płacząc. – Serio.

A moje błazny zaczęły wywijać dzikie kozły i wywiesiły flagę z napisem: „Serio”. Kiwały głowami i z ogłuszającym wrzaskiem przekonywały się nawzajem, że sprawa jest poważna.

– Dość! – powiedziałem.

A moje błazny przyniosły czarną trumnę, z której wystawała żółta czaszka na jasnozielonym kręgosłupie. Ta czaszka skinęła do mnie i rzekła:

– Jestem twoją ukochaną Siv. Pocałuj mnie w tyłek, najdroższy. Zdychaj, zdychaj, mój wielkoludzie, wykituj! Całuj szkielecik swojej Siv! Wyciągnij kopyta! Połóż się przy mnie w trumnie! Nie

stawiaj się! Kładź się! Jest tu dość miejsca na dwoje, więc chodź, pochoź mnie, potem urodzę ci kościotrupka, który będzie miał na imię „Trup”. „Trupek”! Trup Trupson, cha, cha!

Zawylem:

– Zabierajcie stąd tę trumnę!

I moje błazny zabrały trumnę, a przyniosły nową flagę z napisem: „Już nie ma”. Kiwały do siebie głowami, nawzajem szczypały się w nosy, skrobały za uszami, pomagały sobie smarkać, charkały i czały, że trumny już nie ma.

– Wynocha! – wrzasnałem. – Wynocha, cuchnące bydlaki, z mego bagna!

– Zdychaj, zdychaj, nie stawiaj się! Trup Trupson! Pocałuj swoją Siv w łono! Bądź trochę romantyczny! Bo chyba mnie nie zapomniałeś? Jestem twoją ukochaną Siv Skjelettstad, cha, cha!

A moje błazny zerknęły na mnie, przepraszająco pokiwały rękami i poszły sobie tanecznym krokiem.

Po dziwnym ruchu nart stwierdziłem, że i ja idę tanecznym krokiem.

Upadłem, unurzałem sobie twarz w śniegu, wstałem i poszedłem dalej, próbując śpiewać: Głowa do góry, kle, kle, kle! Nie daj się, chłopie, nie jest źle!

A więc:

Głowa do góry, tere, fere, kle, wszystko jest gówno, ple, ple, ple!

He, he, he!

Śmiech to zdrowie.

A więc he, he, he!

Ple, ple, ple.

Kle.

Ubaw.

Potem perswadowałem sobie:

– Powiedz, Brage, czy nie rozumiesz, że sprawa jest poważna? Wyobraź sobie insulinę.

No i wyobraziłem sobie niezliczone fiołki insuliny, wielkości wieży Eiffla, a znacznie od niej cięższe.

– Klown! Powtórz to, co Chudy mówił o cukrzycy!

No i powtórzyłem: tworzą się szkodliwe kwasy, tak zwane kwasy ketonowe, spokrewnione z kwasem masłowym, gdybym wiedział, co to jest. Nie wiedziałem jednak. Ple, ple. Nigdy nie słyszałem o kwasie masłowym. Chyba Chudy powinien wiedzieć. Nie jestem przecież studentem medycyny. Nie mogę się znać na wszystkim. Chudy, gadasz smalone duby! Kwas masłowy! Dobrze sobie. Wiem, co to jest kwas pruski, bo gdzieś w Stanach Zjednoczonych dokonują egzekucji przy pomocy gazu z kwasu pruskiego. Kwas pruski znajduje się też

w skórce pomarańczowej. Bierze się kawałek skórki – hej, obserwujcie uważnie, wy tam! – a więc bierze się kawałek skórki, zgina i ściska, o tak, przykłada płonącą zapałkę, o tak, i patrzcie: ze skórki wyskakują syczące iskry. Ale kwas masłowy? Nic podobnego.

– Tworzą się szkodliwe kwasy.

Tak, to prawda. I one wywołują zatrucie, kwasicę. Cóż za ostre, syczące słowo: kwasica. Czy jest coś ostrzejszego? Może nóż, a może sztylet, siekiera, sztylet, filet, uf, cha, cha!

– Zatrucie, Brage.

Święta prawda. Zatrucie powoduje śpiączkę, śpiączka powoduje śmierć, śmierć powoduje wieczną ciemność. Śmierć gasi wszystkie światła. Śpiewaj: wszystkie światła gasi śmierć, nie zostaje nawet ćwierć.

– Śmierć, Brage. Wyobraź sobie teraz Benteina.

Rozciągnięty na łóżku Siv – co za świętokradztwo! – nad którym widać wymalowane konwalie – dzieło Niedźwiedzia – leży Bentein, obok siedzi Chudy z żoną. Może wkrótce zjawi się bohaterski Olav Trygvason! O, Sigurd, skocz i zobacz, kto to idzie. Hau, hau, troll z czapką pod pachą.

– Może Brage nie da rady – mówi Chudzina do Chudego.

Nonsens. Dam radę. Wszystkiemu dam radę.

– On cierpi.

Pod konwaliami.

Tak, konwaliami.

Zwiększyłem tempo, potknąłem się, upadłem, wstałem i pobiegłem dalej.

Insulina. Insulina.

O przyspieszonym działaniu.

Sprawa pilna. Ofiarować coś temu biedakowi, który, choć na pierwszy rzut oka taki przystojny, wlecze się przez życie złamany i bez cienia radości.

Współczucie wypełniło mi serce po brzegi. Płakałem, nie, szlochałem, wyobrażając sobie tego samotnego, zbolełego, upadłego na duchu, bezradnego, śmiertelnie chorego człowieka leżącego nieprzytomnie, z czerwoną, nabrzmiałą twarzą. O, biedny Bentein Dagestad, ale ja już idę, ja, Brage Brage-sson!

Tak, idę, a dobry uczynek jest sam w sobie dość silnym bodźcem. Nam, olbrzymom i kolosom, nic więcej nie potrzeba. Nie trzeba nas ani groźbą kary zmuszać, ani obietnicą nagrody zachęcać do spełnienia dobrego uczynku, jesteśmy wyżsi od kar i nagród, przy dobrym uczynku jesteśmy tak potężni i tak naturalni jak góra; w dodatku zaś Bentein znajduje się w okropnym położeniu. Pomyśleć: leży tak zupełnie bezradny, zdany na moją

łaskę i niełaskę. Jakie piekło musi teraz przeżywać, jeżeli jest jeszcze przytomny; gapi się w sufit, dyszy ciężko i głęboko, jego oddech ma dziwny zapach przypominający owoce, miewa ataki wymiotów i kurczów, i wie, że jego los spoczywa w moich rękach. O, jakich rękach! Jakich rękach! Cóż to za klęska! Jeżeli kara ma uzasadnienie, ponosi dziś karę; każdą godzinę musi odczuwać jak rok więzienia. Nie, gorzej: jak rok na desce najeżonej gwoździami; podczas tych tortur siwieją mu włosy, zmarszczki pokrywają twarz bruzdami, całe ciało się starzeje. Jego kara jest gorsza od moich czterech lat więzienia. A może zresztą jego wina jest mniejsza, niż mi się zdaje, może nie wiem o czymś, co go usprawiedliwia; nie mam wcale ochoty o tym wiedzieć. Mógł jednak sam poprosić mnie o tę przysługę z insuliną, mógł się, do licha, choć trochę upokorzyć. Nie, był zbyt chory na to, aby mnie prosić. Bzdury. Chory to był, ale miał jeszcze na tyle pary w gębie, żeby poprosić. Sam słyszałem. Mógł się więc pokajać. Drogi Brage. Pomóż mi. Wiem, że to trudne, wiem, że masz uzasadnione podstawy do tego, żeby nie... jestem idiotą... jestem taki zły, że nie mogę oczekiwać przebaczenia... nie, nie pomagaj mi, niech tu zostaną i umrę, zasłużyłem na to...

Hipokryta!

Wtedy odezwał się głos:

– Tak wiele wycierpiałeś, Brage, a jednak chcesz być wspaniałomyślny.

Spojrzałem za siebie. Oczekiwałem, że ujrzę diabła we własnej osobie. Czy mi się zdawało, że coś tam majaczy we mgle?

Złapałem się za głowę. Nie, nie, nie, nie przeszkadzaj. Chodzi o sprawę życia lub śmierci. Śmierć jest ostateczna, nieodwracalna. Raz nieżywy, zawsze nieżywy.

– Zgadza się – potwierdził głos. – Ona umarła na zawsze, twoja najdroższa, a ty siedziałeś cztery lata w kryminale.

Dlaczego łączysz te rzeczy?

Czysty przypadek. Zupełnie przypadkowo jedna myśl pobiegła za drugą. Przepraszam.

– Proszę bardzo.

Spróbowałem sarkazmu. Nie pomogło. Głos powrócił:

– Cztery lata w kryminale, a jemu teraz nie starczyło pokory, żeby cię poprosić o przysługę. Mały człowiek, prawda? Ale możesz go jeszcze pomniejszyć. Uratujesz mu życie i pogńębisz go moralnie. No cóż, przecież mu nie zazdrościsz!

– Nie, nie zazdroszczę.

– O ile jednak większą satysfakcję sprawiłoby ci uratowanie życia człowiekowi wartościowemu,

prawda? Płacz więc, Brage, płacz, bo Siv, widzisz, Siv... była tak pełna życia, taka miła, tak pełna uczucia i łagodna, jak poezja, jak poezja. I taka dobra. Ani cienia zła. Miała jednak niespożytą siłę! Durnie! Dlaczego jej nie pilnowali? Czy brakło im oleju we łbach, Chudemu i Benteinowi?

– Chciała pójść sama.

– Mogli powiedzieć: nie! Zakazać jej! Nie wolno, Siv!

– Miała silną wolę.

– Ale chyba oni nie mieli masła zamiast woli?

– Gdy chcieli pójść za nią, groziła im kijem narcyjskim.

– Ha, ale i tak mogli za nią pójść. Zabawić się w złodziei i policjantów. Durnie! Skończeni durnie!

– Była piękna pogoda.

– Była lodoszreń! – krzyknął głos. – A w jakim nastroju znajdowała się Siv? Co? W jakim, mój przyjacielu? A teraz posłuchaj nieodpartego argumentu! Ratując Benteina, narzucasz mu tak ogromny dług wdzięczności, jaki tylko niewielu ludzi, a on najmniej ze wszystkich, potrafi znieść bez nienawiści i chęci zemsty wobec wierzyciela! Co? Jesteś zadowolony?

– Nie.

– E, nie masz zupełnie wyczucia psychologii! Po-

słuchaj: nadstawiasz karku po to, aby ratować człowieka, który...

– Stul pysk z tymi domysłami!

– Raczej nazwijmy to prawdopodobieństwami. A zresztą: kto inny w twojej sytuacji już dawno by zrezygnował i zagrzebał się w śnieg. Dlaczego ty tego nie robisz?

– Bo on jest moim przeciwnikiem.

– O, co pan mówi!

– Gdyby nie był moim przeciwnikiem, mógłbym się z czystym sumieniem schować w śnieg, jeśli-bym to uznał za konieczne.

– No proszę, mógłby pan!

– Gdybym się jednak teraz zagrzebał, nie mógłbym właściwie powiedzieć, dlaczego to robię.

– Och, to dopiero utrapienie!

– Lepiej stul pysk!

– *Och, nein, denn ich erinnere ein Heil Hi, nein, ein Fritz halt! Los! Pang! Heilmann! Ein klasch hi, hi! Cha, cha, cha...!*^[47]. I oprócz tego... ple... chcę ci przypomnieć, że żyjesz tylko raz. Pilnuj życia, póki je masz. Jesteś przygotowany na ple? Odpowiadaj! Jesteś przygotowany na ple? Nie! Każdy przecież potrafi zrozumieć, że teraz twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Połóż się z czystym sumieniem.

– Nie. Idę dalej. A może zresztą on wcale nie

jest moim przeciwnikiem. Może nie zauważyłem czegoś ważnego, co go usprawiedliwia. Spróbuję to odnaleźć.

– Byczo! A więc zaczynamy od początku: rozpromieniony przybiegł do ciebie z przeciwnej strony ulicy w „Czerwonym Amsterdamie”, jakbyście byli co najmniej od kołyski serdecznymi przyjaciółmi, oparł te swoje obrzydliwe ręce na twoich ramionach i powiedział: „Brage, przyjacielu, trzymajmy się razem tej nocy”.

– No to co, czy w tym było coś podejrzanego? Może rzeczywiście chciał się ze mną zaprzyjaźnić i widział nadarzącą się okazję. A czy oprócz mnie ktoś inny mówił, że on ma obrzydliwe ręce? Może to nieprawda. Mam rozmaite dziwne wyobrażenia. I posłuchaj: może chciał się bić, żeby się przede mną popisać, zaskarbić sobie moje względy, choć raz uczestniczyć w zgrywie.

– Czy to jest prawdopodobne?

– Nie!

Czyli zaczynamy od początku: rozpromieniony przybiegł do ciebie...

... z drugiej strony ulicy w „Czerwonym Amsterdamie”...

... jakbyśmy byli co najmniej od kołyski serdecznymi przyjaciółmi.

Momentalnie pogodziliśmy się, ja i głos: tak,

z tych rąk pociekł na mnie śluz. Po całym ciele. Śluz. Powoli ściekający zielony śluz.

Jak daleko mam jeszcze na szczyt lodowca Örnebre? Jaki ten śnieg jest zimny, głęboki i kopny.

Mróz trzymał, lodowate porywy wiatru atakowały mnie ze wszystkich stron, serce waliło mi jak młotem i miałem wrażenie, że broda mi drży przy łapaniu oddechu. Jak daleko mam jeszcze do szczytu Örnebre? A stamtąd zostaje kilka kilometrów po terenie wystawionym na północny wiatr, aż dojdę do Benteina... do Benteina Dagestada.

Bentein Dagestad? Naprawdę?

Dzień dobry, Benteinie Dagestad! Opowiem ci teraz pewną przygodę: zdarzyło się to pewnego razu w „Czerwonym Amsterdamie”... z pewnością zauważyłeś, że twój szampański humor wzbudził we mnie ciekawość, chyba nawet celowo to wykombinowałeś, bo z ciebie spryciarz. Pomyślałem wtedy, co też w tobie siedzi, a gdy mi zaproponowałeś towarzystwo, zgodziłem się, właśnie żeby zbadać, co w tobie siedzi. – Wybierasz się, żeby coś poderwać? – spytałeś. – Nie – odpowiedziałem. – O, przepraszam, ty masz przecież Siv. Przepraszam, całkiem o tym zapomniałem – skłamałeś. Twój głos zdradzał, że kłamiesz. Dlaczego kłamałeś? – Właśnie odstawiłem numer, i to z wcale fajną dziwką. – Znów skłamałeś, Bentein. Wcale nie

spaleś z kurwą. – Tylko miała za szeroką lufę. – Co? – Za luźną lufę. – Aha. – Jeżeli jednak nabój jest dość dużego kalibru, to i lufa pasuje, co? Jak myślisz? – Zdziwiłem się tylko, Bentein, bo zawsze uważałem cię za dobrze wychowanego człowieka. – Powiedzieć ci kawał, Brage? – Wal. – Masochistka prosi sadybę:

Bij mnie, bij mnie! A sadyba odpowiada: nie... nie... nie... – Roześmiałem się od niechcienia. Ty nie. Bo przecież ty się nigdy w życiu nie śmiałeś. – Tej nocy zalejemy się w pestkę, Brage – powiedziałeś, uśmiechając się nerwowo; bo grałeś o nie byle jaką stawkę.

A więc zapamiętaj: idę dalej na szczyt lodowca, ale nie zapomniałem, jak razem wędrowaliśmy z baru do baru, z restauracji do restauracji, do kawiarni, do baru, do nocnego lokalu, do baru, nocnego lokalu, baru i jeszcze raz baru, i że mnie coraz bardziej intrygowałeś tym z gruntu do ciebie nie pasującym zachowaniem. Tym sposobem chciałeś mnie złapać na haczyk. Jesteś sprytny, a ja dałem się nabrać. Potem chciałeś mnie spić, a sam ledwie maczałeś usta. Tłumaczyłeś się nadmiarem kwasów żołądkowych po ostatniej popijawie. Piłeś więc mało, za to gadałeś ile wlezie, choć zwykle jesteś małomówny, tym razem plotłeś nie stworzone rzeczy i wypowiadałeś swoje zdanie na

temat wszystkiego dokoła. Co chwila próbowałeś mnie podniecić: – Niech żyje Norwegia, niech żyje Siv, hura! – Zachowywałeś się jak idiota, a to ci się nigdy nie zdarzało. I chciałeś mnie spić. Po co? Żeby mnie gdzieś na uboczu zepchnąć do kanału? Nie podejrzewałem cię wtedy o podobne zamiary, ale mimo to miałem się na baczności przed czymś nieokreślonym, co mogło mnie spotkać z twojej strony. Dlatego piłem wstrzemięźliwie.

Jeden krok. Drugi krok. Kilka kroków bliżej szczytu Örnebre. Nie można jednak wykluczyć ewentualności, że chciałeś mnie utopić. Stwierdzam to teraz, niosąc w plecaku insulinę o przyspieszonym działaniu, stwierdzam to teraz, gdy serce kołacze mi jak szalone i mróz szczypie w twarz, gdy czuję się zupełnie wykończony, zupełnie – tylko głowa działa trzeźwo. Jesteś oczywiście inteligentny, lecz ja w końcu też nie jestem głupi. Co koczyło cię bez przerwy, żeby brać nade mną górę? Gdy zacząłem trenować rzut młotem, ty zrobiłeś to samo. Gdy przerzuciłem się na biegi narciarskie, poszedłeś w moje ślady. Gdy zdobyłem Siv, też nie dawałeś mi spokoju. Teraz mówię głośno... aaaaa... na cały głos... aaaaa...! Mówię: nie jest wykluczone, że mnie chciałeś utopić. Dlaczego... ssss...! Po co? À propos: Od czasu do czasu używaś wełnianego kaftana. Kiedy go zacząłeś

nosić? Przede mną, czy po mnie? To ciągle natręctwo. Znudziło mi się w jakiejś kawiarni i wyszedłem. Ty za mną. – Zgadzam się, nudna dziura. Znajdziemy jakiś inny bar. Tylko pij, Brage. Ja funduję taksówkę do Rotterdamu. – Wydawało ci cię, że taki ze mnie dureń?

Do jakiego stopnia właściwie uważasz mnie za matołkę? Zadaję to pytanie, gramoląc się na szczyt Örnebre z szybko działającą insuliną w plecaku. Nie, nie, prawdopodobnie nie wierzyłeś w moją głupotę, ale liczyłeś na to, że się speszę, więc zwracałeś mi głowę opowiadaniem, że byłeś kilka razy przedtem w „Czerwonym Amsterdamie” i pokażesz mi jakiś niezwykły dom. Poszedłem, żeby zobaczyć, czego właściwie ode mnie chcesz. Ale tego się nie spodziewałem.

Aaaa...! Idę tu z insuliną o przyspieszonym działaniu... aaaa! Nie oczekiwałem tego, co zaszło potem, gdy była późna noc, a twoje oczy rzucały złe błyski. Chciałeś się ze mną bić? Umiesz się przeciw boksować, wiedziałem o tym. Sam siebie pytałem, czy chcesz dostać lanie? Wziąłeś mnie pod rękę i wyraziłeś zazdrość, że wkrótce wracam do Norwegii, uśmiechałeś się... niepewnie. Wtedy zapytałem prosto z mostu:

– Co cię gnębi, Bentein? – Gnębi? – przewróciłeś oczyma, jakby bagatelizując sprawę. – Gnębi? –

powtórzyłeś. – Nic mnie nie gnębi. – Czy może gnębi cię sprawa Siv? – Siv? – prychnąłeś. – Siv? Siv to miła dziewczyna. Ale Siv? I ja? Nie ma o tym mowy. – Tym lepiej dla ciebie. I tak nie miałbyś żadnych szans. – Ależ mówię przecież... ty nie rozumiesz, ty nic nie rozumiesz. Nikt mnie nie rozumie. – Gorzko brzmiała ta twoja uwaga. I w gruncie rzeczy żal mi się ciebie zrobiło. Pomyślałem, że zawsze jesteś taki samotny, pozbawiony przyjaźni i radości w życiu, mimo kociaków i przyjaciela, Chudego. W dodatku zakochałeś się w Siv, w mojej ślicznotce. Rzecz zrozumiała. Dlatego powiedziałem: – Tak, tak, trudna sprawa, ale Siv i ja bardzo przypadliśmy sobie do gustu. I to się już nie da zmienić, kapujesz. Ale ty, taki przystojny... – Sądzisz, że jestem przystojny? – wtrąciłeś popiesznie, choć takie gadanie jest czystą bzdurą między mężczyznami! – Jak cholera – mruknąłem. – I na pewno też spotkasz pewnego dnia odpowiednią dziewczynę, zwłaszcza że możesz wybierać i przebierać.

Z daleka widziałem, jakie zamiary mają ci niemieccy chuligani, chciałem więc skrócić w boczną uliczkę. Ty jednak popisywałeś się brawurą i zatrzymałeś mnie: – Chyba nie boisz się tych gówniarzy? – to mówiąc, z animuszem ruszyłeś na spotkanie Niemców. Obliczyłeś sobie, że pójde za

tobą. Nie mogłem pozwolić, żeby cię sprali na kwaśne jabłko, byłeś przecież przyjacielem brata Siv, byłeś członkiem mego klubu, migiem załatwiłeś mi pracę na statku i nie pisałeś ani słowa, gdy dość nieprzyzwoicie próbowałem rzucić służbę.

Aaaa! – gramolę się na szczyt Örnebre... Niemcy zagroździ nam drogę, chcieli się bić. – How do you do – powiedziałem do nich, a do ciebie: – Lepiej wyrrywajmy! – Strach cię obleciał! – syknąłeś do mnie, a do Niemców: – Are you Dutch? – Nein. – Aha, verdammte deutsche Schweinehunde! – krzyknąłeś, plując jednemu z nich w twarz. – Świństwo! Szybko uskokczyłeś, uchylając się przed ciosem i odpowiedziałeś lewym prostym w szczękę. Znałeś się na boksie, mogłem więc odejść i zostawić cię własnemu marnemu losowi, ale tego nie zrobiłem, stanąłem między wami i namawiałem: – Nie, daj spokój, zmykaj, ja pobiegnę za tobą! – I do Niemców: – Panowie! *Lassen uns nicht idiotisch und so weiter sein!*^[48] – Ale ty zostałeś, a mimo moich wysiłków, aby wam przemówić do rozsądku, nie chcieliście słuchać. Biłeś się zresztą doskonale, ale wyłącznie defensywnie, i w efekcie doszło do tego, że pięciu Niemców skoncentrowało się na mnie, a dwaj, włączając Fritza Heilmanna, zajęli się tobą. Próbowałem naśladować twoją defensywną taktykę, bo zasługiwałeś na to, żeby więcej

przeciwników przeszło ode mnie do ciebie, ale za-
nadto oberwałem. Nie znam boksu, umiem się tyl-
ko bić. W końcu ty wyprawiałeś tam finty z jed-
nym tylko przeciwnikiem, naszym Fritzem, a resz-
ta tej bandy rzuciła się na mnie. Widzisz, Bentein,
z trzema czy czterema mógłbym się jeszcze bawić,
ale z pięcioma lub sześcioma facetami musiałem
się już bić na serio, i to ostro. Przebiłem się na ja-
kieś schodki i stanąłem plecami do drzwi, a wów-
czas zobaczyłem, żeś mnie wystawił do wiatru. Po-
biegłeś w głąb ulicy, mimo że wrzeszczałem za
tobą: – Ty draniu! – Potem cała siódemka rzuciła
się na mnie ze wszystkich stron. Schodki zmieniły
się w estradę. Z początku chciałem się przedrzeć
przez otaczających i dać ci nauczkę, ale z tej stro-
ny, gdzie zaatakowałem, stał teraz Fritz Heil-
mann i momentalnie stwierdziłem, że on zna się
na boksie. Tak więc samotnie musiałem walczyć
przeciw całej zgrai facetów, których gównu obcho-
dziło, czy mają do czynienia z tym, który ich zache-
piał, czy z tym, który wzywał do zachowania spo-
koju, bo im zależało tylko na tym, żeby kogoś po-
bić lub zabić i w grę wchodziła tylko ich awantur-
nicza ambicja. Dalsza bójka rozwijała się zgodnie
z moimi wyjaśnieniami w de Rechtbank, bo oprócz
zatajenia twojego udziału powiedziałem tam całą
prawdę.

Chytry Bentein! Właściwie chciałeś mnie spać i zepchnąć do kanału. To był plan nr 1. Nie spałem się dostatecznie, trzeba było porzucić plan nr 1. Zamiast tego więc zwabiłeś mnie w pusty zaułek z zamiarem wprowadzenia w życie planu nr 2. W kieszeni miałeś broń. Nie przecz! Miałeś wtedy broń! Tymczasem ukazali się Niemcy i szybko należało porzucić plan nr 2, zastępując go błyskawicznie obmyślonym i wykonanym planem nr 3.

Ty z całą premedytacją wciągnąłeś mnie w bójkę! Ty wystawiłeś mnie do wiatru! Ty zrobiłeś ze mnie zabójcę! Ty nie wezwałeś ani policji, ani pogotowia, choć wiedziałeś, że potrzebuję i tego, i tego! Ty twierdzisz, że wróciłeś, żeby się o mnie zatroszczyć, i nie wykluczone, że zrobiłeś to, aby mnie wykończyć, gdyby Niemcy jeszcze tego nie dokonali! Aleś usłyszał, że ktoś nadbiega, i uciekłeś. Ty kłamałeś w sądzie i wtrąciłeś mnie do więzienia. Ukradłeś mi cztery lata życia. Przez te cztery lata mogłeś w każdej chwili zwrócić mi wolność, ale tego nie zrobiłeś. Nie zrobiłeś tego! Ty groziłeś mi pistoletem gazowym i ty jesteś pośrednim sprawcą śmierci Siv, bo gdybym ja został w roku 1955 uniewinniony, Siv żyłaby do dziś.

Nie, jeszcze gorzej: „Na pewno jest w którymś z tych miejsc, gdzieście razem łazili. Nie sądzisz? Tylko, niestety, już nie żyje. Jeżeli chcesz, mogę

naznaczyć na mapie te miejsca, które bardzo dokładnie przeszukałem”.

Twoje słowa. I doskonale wiedząc, że znacznie lepiej i szybciej jeździsz na nartach, że wobec tego sam powinieneś wyruszyć do hotelu po pogotowie górskie, wysłałeś Chudego, tego zatrutego nikotyną fajtlapę, aby okrężną drogą zrobił siedemdziesiąt kilometrów! Siedemdziesiąt kilometrów dla Chudego na polecenie Benteina, który potrafiłby się wdrapać na urwisko Hampetrossefallet! Asss! Aaaa! Już z tego jedyne go powodu jesteś skazany na śmierć! A ja wiem dosyć, oj, wiem dosyć! Znalazłeś Siv, próbowałeś się do niej dobrać i spotkałeś się z odmową, uderzyłeś ją więc tak, że straciła przytomność, zgwałciłeś ją i potem uśmierciłeś.

Benteinie Dagestad! Ukryłeś Siv w lodowcu Örnebre. Benteinie Dagestad! Przybyłeś tu o tak niezwykle wczesnej porze roku wiedziony obawą, że ja mógłbym ją znaleźć. Gdybym zaś ją znalazł, co zrobiłbyś ze mną? Trach, i tak samo do lodowca! Wszyscy by powiedzieli: oczekiwaliśmy takiego końca, musiał przecież zginąć przy tych wariackich poszukiwaniach zwłok najdroższej.

Taki jak ty powinien mieć w nazwisku nie dzień, tylko noc. Kie Ben tein Dage stad, tylko Satein Natte stad! Szatanie Nattestad! Wymawiam twoje właściwe nazwisko!

Wymieniając nazwisko, zatrzymałem się i stałem jak nieprzytomny, lecz głowa pracowała, pracowała sprawnie i pojmowała tylko to jedno: mój wróg i ja. Mój wróg był blisko, czułem tchnienie jego sprawek i powtarzałem, że kierowały się przeciw mnie. Nie mogły być mi obojętne te jego sprawy, bo prowadziły do katastrof w moim życiu, do nie dających się naprawić kataklizmów. Im dłużej medytowałem nad tymi faktami, tym wyraźniej stawał mi przed oczyma Szatan, nie tylko postać związana z przeszłością, lecz aktualne niebezpieczeństwo grożące memu bytowi. Czułem przemożną chęć wyzwolenia się i niczym nie mogłem wytłumaczyć jego postępowania. Gdy bez żadnego powodu staje przed kimś bandyta z nożem w ręku, napadnięty, odrętwiały lub czujny, uważa to za fakt, sam zresztą w takiej chwili koncentruje się na jednym: chęć ratowania życia. Instynkt samozachowawczy.

Mój wróg nie ukazał się z nożem w ręku, lecz mimo to krążył wokół mnie, istniał jako śmiertelny fakt. Powiedziałem do kogoś trzeciego, zrodzonego w fantazji: jeżeli mucha plujka zbyt długo bzyka ci nad głową, spaceruje po twoim chlebie, maśle i serze, dotykając ich brudnym ryjkiem, wówczas ostatecznie bierzesz gazetę, zwijas ją, robiąc coś w rodzaju broni i – pac! – rozgniatasz

na płask roznosicielkę zarazków, ze wstrętem patrzysz na zielonożółtą miazgę, obrzydliwe, zielonożółte świństwo leżące jeszcze na stole, a potem wycierasz i myjesz, otwierasz okna, wpuszczasz świeże powietrze i natychmiast oddychasz swobodniej. Wydaje ci się, że sprawiedliwości stało się zadość – a wiesz przecież, iż istnieją ludzie obrzydliwsi od much plujek.

SĄD DORAŻNY!

Szatanie Nattestad! Wstań! Zostajesz uznany winnym gwałtu, morderstwa, oszustwa, krzywoprzysięstwa, pozbawienia innego człowieka wolności, gróźb skierowanych przeciw innemu człowiekowi i morderczych zamiarów. Ponosisz teraz odpowiedzialność w imię sprawiedliwości, która wymaga, aby nikt nie uszedł bezkarnie i nie mógł wyrządzać następnych szkód. Zostajesz osądzony przez jedną ze swych ofiar, bo inna sprawiedliwość tu nie sięga. Przyjmij karę i nie roń łez! Choć raz stój wyprostowany, jak mężczyzna!

Szatanie! Zostajesz skazany na to, by zmierzyć się ze mną w pojedynku na gołe pięści! Bez sekundantów! Pojedynek odbędzie się pierwszego mglistego dnia na lodowcu Örnebre, a zwycięzca wrzuci pokonanego do najgłębszej szczeliny w tym lodowcu. Ma to nastąpić najbliższego mglistego dnia. Spotkasz się ze mną na szczycie Örnebre.

Przez głęboki śnieg powlokłem się dalej w kierunku szczytu Örnebre. Po chwili ogarnęły mnie jednak wątpliwości, czy Szatan stawi się najbliższego mglistego dnia. Czy nie zechce tego uniknąć albo splatać mi kawału: przyjdzie z komisarzem policji albo uzbrojony? Czy można zaufać takiej musze plujce?

Wyrok nie był zresztą sprawiedliwy. Tego rodzaju ludzi nie traktuje się rycersko. Pojedynek? To nie kara, tylko umowa między równorzędnymi partnerami, a przecież tu idzie o podłego przestępcę i karę dla niego.

Tak, tak, kara, lecz jak mam ją wymierzyć?

Ruszyłem dalej. Po prawej stronie zamajaczyło coś ogromnego i czarnego. Ściana Örnebre. W roz-targnieniu tak blisko do niej podszedłem, że napę-dziła mi stracha. Jeszcze raz ujrzałem swoją wła-sną twarz biegającą na krótkich nóżkach po bez-kresnej białej pustyni. Zaczynam wariować, stwierdziłem, lecz zaraz zaprzeczyłem temu: bzdury, jesteś tylko przemęczony. I świa... serce... wali jak młotem... moje serce... i Siv... i tam Szatan... a tu ja z szybko działającą insuliną... czy jeszcze raz mam ponieść karę za niego? E, wygaduję non-sensy! Los sam...

NOWY SĄD DORAŻNY!

Szatanie! Wstań! Jednej z twych ofiar, Bragemu

Bragessonowi, zostaje przysądzone życie i zdrowie, ma więc on pełne prawo przerwać akcję ratunkową i zagrzebać się w śniegu, a równocześnie tym samym ty zostajesz skazany na śmierć. Masz ulegać zatruciu dopóty, dopóki śpiączka cukrzykowa nie zakończy twego życia.

Gorączkowo, ciężko sapiąc, posuwałem się wzdłuż ściany Örnebre w poszukiwaniu miejsca nadającego się na schronienie. W pewnej chwili przystanąłem i dotknąłem skały, aby ją pogłaskać. O, gdyby móc teraz orzeźwić się czymś pięknym albo mieć siłę na to, by piąć się w górę z wyciągniętymi, spragnionymi życia ramionami! Mógłbym wtedy śpiewać, mógłbym hymnem wielbić tajemnicę i wielkim głosem obwieszczać: Ja, człowiek, daję sobie sam radę, lecz uznaję we wszystkim coś tajemniczego! Patrz, że ruszam ręką! Patrz, że istnieje słońce! Patrz, że ta kobieta leży u twych stóp i mruga do ciebie oczyma, które wyrażają dosyt! Patrz, że! Patrz, że! i podziwiał. Może jutro będziesz martwy.

Zaświtała mi myśl: muszę ją odnaleźć. Leży w lodzie, ciało jest dobrze zachowane. Muszę ją znów ujrzeć i stwierdzić, że przed wielu laty żyła; teraz już się nie rusza, nie oddycha, nie myśli i nie czuje, a ja jeszcze siedzę obok niej, ruszam się, oddycham, myślę i czuję.

Nie można jej tknąć. Ma zostać tam, gdzie leży. Ale na lodowcu postawię krzyż z napisem: „Siv. Zgwałcona i zamordowana w Wielką Sobotę 1956, w wieku dwudziestu lat”. Ludzie będą zachodzić w głowę i pytać, czy coś o niej wiem, a ja będę odpowiadał wymijająco i dawał do zrozumienia, że moim zdaniem Siv znalazła swój grób w tym lodowcu, a ludzie będą wybałuszać oczy i odchodzić z przeświadczeniem, że zwariowałem.

Krzyż, a cały lodowiec jest jej grobem. Krzyż dla mej Siv, bo krzyż jest najprawdziwszym i najbardziej ludzkim symbolem, znakiem cierpienia, a skoro tak, ma stać nad jej grobem.

Lecz krzyż nakazuje miłować nieprzyjaciół i nadstawiać im drugi policzek. Krzyż mówi o przebaczeniu i samopoświęcaniu. Nie wierzę krzyżowi, gdy tak mówi. Wierzę mu natomiast, gdy mówi o cierpieniu. Wierzę bez reszty!

Krzyż mówi, że Szatan teraz cierpi.

Ja sam cierpię, i przedtem cierpiałem za tego człowieka.

Krzyż jest zgodny z życiem, gdy mówi o cierpieniu, gdy jednak ją proszę o sprawiedliwość, nie ma mi nic do zaofiarowania tu, na ziemi, dopiero na tamtym świecie, w marzeniu.

Nie wierzę w to marzenie, chcę tutaj sprawiedliwości. Dlatego biorę prawo we własne ręce i twier-

dzę, że jest słuszne, jeżeli Szatan cierpi i wkrótce umrze. Tak, przyznaję się do chęci niszczenia i wcale się tego nie wstydzę, bo nie ma innej sprawiedliwości na świecie. Słyszysz mnie, Stefanie! Siła przeciw sile. Zniszczenie przeciw zniszczeniu! Zniszcz to życie, które niszczyło życie innych!

Te dwa wypadki burzycielstwa różnią się jednak od siebie. Pierwszy polega na karaniu, odpłacie, drugi jest czymś pierwotnym, uderzającym nieświadomie. W pierwszym burzy się to, co samo burzy, w drugim tylko się burzy.

Przyznaję, że chcę karać. Jestem z tego dumny. To stwarza równowagę szal: oko za oko, ząb za ząb. Dlatego kara może się też łączyć z kłamstwem i hipokryzją.

Dlatego nie zagrzebuję się w śniegu, lecz idę dalej aż do Björnehiet, tylko bez insuliny! Gubię plecak przy urwisku nad doliną Langfjell. W zawiei śnieżnej kładę go – nieświadomie – za blisko kraju przepaści i poryw wiatru... nie, czekaj, to można zrobić chytrze! Plan nr 3! Cha, cha! Plan nr 3! Insulina nie znosi mrozu. Przychodzę z insuliną, ale bezwartościową, bo zaraz otworzę termos i wpuszczę do środka zimne powietrze. Wszyscy mi wybaczą, że w stanie takiego wyczerpania omyłkowo otworzyłem termos z insuliną zamiast swego własnego.

Genialne!

Decyzja powzięta. Zapadł wyrok. Ale kara nie została jeszcze wykonana ani nawet rozpoczęta, a decyzję można zmienić, bo nie przerodziła się w czyn.

Przystanąłem i zdawało mi się, że mam w oczach chytry błysk. Usiadłem bokiem na śniegu i dumałem: mam bardzo bystry umysł. Kto może wiedzieć, że się pomyliłem, jeżeli sam tego nie powiem? A ja nie powiem. Nie będę wyrażał żalu, tylko stwierdzę: Nie rozumiem, ja w każdym razie nie otwierałem tego termosu. Mam bardzo bystry umysł. O, ta moja głowa! Czy ktoś może podejrzewać mnie, a więc człowieka, który narażał własne życie, aby dostarczyć tę insulinę? Czy ja mógłbym ją świadomie zniszczyć? Przecież to absurd. Musiało zajść coś innego. Może doktor Vian miał chwilę nieuwagi.

Sprawiedliwa kara dla Benteina, pomyślałem, ale nie przyszło mi do głowy, że dla niego charakter kary stanie się obojętny z chwilą, gdy już nie będzie żył. I tak jakby Bentein miał nadal żyć po śmierci, wyobraziłem sobie swój gorzko-słodki triumf w postaci medalu przyznanego mi przez Storting za szlachetny czyn. Czy można wymyślić coś bardziej wyrafinowanego! Bo po przebyciu drogi z Bjørnehiet do hotelu i potem, podczas burzy

śnieżnej, w odwrotnym kierunku, z narażeniem zdrowia i życia, nie mogę przecież odpowiadać za to, że jakiś dureń wpuścił mroźne powietrze do termosu albo że stało się to przez pożałowania godny przypadek. Motyw mego działania i moje osiągnięcie pozostaną szlachetnym i wielkodusznym czynem bez względu na to, czy insulina ulegnie zniszczeniu, czy nie, bo jeżeli uległa zniszczeniu, ja nie miałem o tym pojęcia przez całą drogę, z takim poświęceniem walcząc z siłami natury!

Aha! Zadowolony z siebie wstałem i uśmiechnąłem się: kawałek lodu oderwał mi się od brody i upadł w śnieg. Taką mam sztywną i śmieszoną gębę, pomyślałem i znów się uśmiechnąłem, tym razem już nie z zadowoleniem, tylko by sprawdzić sztywność twarzy.

He, nawet nie mogę się śmiać. Co się z tobą dzieje, Bragesson? Wszystko chrzęści. Na pewno wyglądam jak upiór. Dobrze, że nie mam przed sobą lustro, bo mógłbym oszaleć ze strachu. Trup Trupson. Prawdopodobnie wyglądasz żałośnie.

Chciałem zapłakać. Próbowałem zapłakać. Robiłem różne grymasy, ale nie zdołałem wydusić łez – zamarznętych na lód – a zresztą grymasy nawet mnie samego nie przekonały.

Przedziwne! – pomyślałem z rozgoryczeniem. Nie mogę nawet zaszlochać, choć mam do tego

prawo! niesprawiedliwość! Mam powody do szlochu! Chcę szlochać! Nie, uśmiechać się, płakać, ryczeć! Potrzeba mi tego.

Nabrałem powietrza i chciałem głośno ryknąć, ale usłyszałem tylko jakiś ochrypły jęk, przerażający i wychodzący jakby spod ziemi. Przestraszyłem się i podejrzenie rozejrzałem dokoła.

Powlokłem się więc dalej na szczyt Örnebre i po drodze tak dumałem:

Opłaca się być słabeuszem. Na nas silnych spada cała ciężka praca. Jesteśmy jak woły, robocze woły. Jesteśmy potrzebni na wojnie, potrzebni państwu, potrzebni wszystkim słabym, musimy odprowadzać do domu staruszków, rozdzielać awanturników, pomagać policji, przenosić fortepiany, po każdym obsunięciu się ziemi tworzymy ochotnicze ekipy ratunkowe – my, silni, musimy rąbać lasy, kopać rowy, gasić pożary, stawiać czoło sztormom – czy więc można się dziwić, że te chude, blade, słabowite jednostki przeżywają nas, tych silnych? O nich troszczy się społeczeństwo. Przede wszystkim o nich. Wyniośle, przymilnie, nachalnie i z uśmiechem proszą nas i wymagają, abyśmy na nich harowali jak niewolnicy. Przecież jesteście tacy silni, powiadają, kładąc nam na ramieniu słabiutką, szarozieloną, przeźroczystą rękę.

Ratunku! Pomocy! Ratunku! Być silnym, to przekleństwo. I choćby ten silny był nie wiem jak zmęczony, nie może odmówić sąsiadowi, który prosi o pomoc przy przenoszeniu fortepianu. Ale ten słaby albo trochę słabowity może odmówić. Zerka znad książki i robi nerwowy grymas: „Ja? Co znowu, ja nie, ale spytaj Bragego, on na pewno to zrobi”. W ten sposób siedzi sobie bezpiecznie jak za piecem i przeżywa mnie. Siedzi jak król i wszyscy mu usługują. Matka, żona, dzieci i silni mężczyźni. Może się zdarzyć, że dziecko wpadnie pod samochód, idąc do apteki po lekarstwa, że żona się podźwiga, matka potknie się o nocnik „swego synusia”, złamie staw biodrowy i umrze z wycieńczenia. A na dobytek wybuchnie pożar, bo maminsynek musi palić, leżąc w łóżku i czytając o wyprawach wojennych Napoleona. A więc na Bragego spada misja zapewnienia temu słabemu długiego życia, Brage doznaje oparzeń – a ów słaby wychodzi z opresji bez jednego zadraśnięcia.

Och, ci słabi, ci żołądkowicze! Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej świńskiego niż podstarzali generałowie i sflaczali fizycznie, obżerający się i mielący jęzorami politycy, którzy pewnego dnia postanawiają rozpocząć wojnę!

Nienawidzę świata! Zastrane życie! Świński los! Ślepy! Zły! Bezsensowny!

Dalej jednak posuwałem się ku szczytowi Örnebre. Chwilami robiłem to jak lunatyk, automatycznie, ledwie zdając sobie sprawę, że coś się pode mną porusza: moje narty.

Nagle zadrżałem gwałtownie i wrzasnąłem przerażony. Coś ocierało mi się o nogę. Znów wrzasnąłem i chciałem uciec, ale w tej chwili stwierdziłem, że to mój własny plecak. Trzymałem go w lewej ręce. Tak! Niosłem plecak w lewej ręce! Wcale nie na plecach! Trzęsąc się – w strachu jeszcze – gapiałem się na brezent. Dlaczego niosę plecak w rękę? Kiedy go zdjąłem? Czy w ogóle zdjąłem go sam z pleców? A kto mógł to zrobić? Nemezys, może ona? Nemezys, he, he!

Tak to zrozumiałem i momentalnie nastąpiła chwila popełnienia czynu. Wszelkie względy poszły w kąt. Cała moja uwaga skupiła się tylko na zadaniu – na sprawach natury fizycznej. Błyskawicznie otworzyłem plecak, wsadziłem rękę do środka, wyciągnąłem termos, odkręciłem kubek – ale korek siedział jak przyrośnięty, moje palce nie nadawały się do takiej roboty. Starąłem się ścisnąć mocniej, przewróciłem się, prawie w panice potoczyłem się po śniegu i zdaje się, że ryknąłem, gdy znów znalazłem kijek, który na chwilę zgubiłem: porwałem go i przytrzymując termos mocno między kolanami, skoncentrowałem cały wysiłek

na tym, aby końcem kija wepchnąć korek do środka.

To była chwila popełnienia czynu. Zapytuję: czy decydująco działała wtedy litość nad samym sobą? Czy strach? Czy Siv? Czy de Rechtbank i więzienie? Czy wyczerpanie fizyczne? Czy coś jeszcze innego lub wszystko razem wzięte? A może coś bardziej szczególnego za tym wszystkim się kryło i spowodowało takie następstwa.

To była chwila popełnienia czynu. A teraz zapytuję – ponieważ sprawozdanie o tym ważnym momencie jest właściwie tak głupio powierzchowne – pytam: Co działo się w moim mózgu wtedy, gdy zacząłem działać i zrobiłem swoje? Czy w grę wchodziła tylko roztrzęsiona, nerwowa koncentracja uwagi?

Jeżeli to nie jest centralnym zagadnieniem, w takim razie należy uznać, że główną sprawą nie jest działanie, lecz decyzja i przejście od decyzji do momentu, kiedy mięśnie poruszają się w celu przeprowadzenia akcji. Z tego wynika, że decyzja, choćby nawet później zmieniona, i przyjście do działania, choćby nawet przerwane, może się pokrywać z działaniem i winą – jeżeli się wierzy w winę. Czy jednak ci, którzy tak twierdzą, nie robią krótkiego spięcia myślowego? Czy może tym bardziej nie szanują takiego, który postanowił za-

bić człowieka, lecz zmienił decyzję tuż przed chwilą popełnienia czynu lub nawet w chwili popełniania, ale przed postawieniem ostatniej kropki nad i? Czy nie mówią o nim, iż jego opanowanie na pięć przed dwunastą było czymś imponującym, już choćby dlatego, że tkwiący w nim instynkt niszczycielski mógł go doprowadzić aż do samej dwunastej? Na zasadzie prawa karnego zostałby uniewinniony – w każdym razie prawa norweskiego. Albowiem – jak pisze profesor Andenaes: „Może się zdarzyć, że osoba działająca nosi się z zamiarem przestępstwa i czyni odpowiednie przygotowania, chociaż nie powzięła jeszcze ostatecznej decyzji. A nawet jeżeli powzięła postanowienie, nie ma pewności, czy ono pozostanie niezmienione, gdy dojdzie do wykonania”.

Interesuje mnie taki człowiek, bo wcale się nie dziwię, że słabeusz nie potrafi uderzyć, rozumiem też, że jeżeli nie ma się zapalki, to nie można jej zapalić. Wiem, że trudniej ujeździć dziesięć dzikich koni na raz, niż pojedynczo, oraz że nie trzeba ujeżdżać dzikiego konia, jeżeli go nie ma. Człowieka nie mającego żadnego dzikiego konia do ujeżdżania nie można osądzać tak, jakby poskromił wszystkie dzikie konie na świecie. Czy tak jednak nie postępuje większość ludzi? Sami się przechwalają i pod niebiosa wynoszą człowieka ujarz-

mającego nieistniejące dzikie konie.

Interesuje mnie taki człowiek. Musiał zapanować nad wielu porywami, czy jednak on nad nimi zapanował? Czy jego wola nie była wulkanem, który wybuchnął i mógł spowodować klęskę żywiołową? A w takim wypadku co zapobiegło katastrofie? Co zaszło w mózgu działającego, gdy wybuch wulkanu uległ zatrzymaniu? Czy po prostu to: taki czyn jest zły, wstrętny, nie mogę go popełnić?

Że taki jest rezultat – niechęć do decyzji i powstałego w wyobraźni widoku zbrodni – to oczywiste, lecz przebieg nie był aż tak prosty: taki czyn jest zły, wstrętny, itd. Bo zupełnym paradoksem jest twierdzenie, że ta sama wyobraźnia, która rozpałała jakiegoś człowieka i doprowadziła go niemal do progu faktu dokonanego, ni stąd, ni zowąd ma go uspokoić i poprowadzić w przeciwnym kierunku. Coś musiało pomóc w dokonaniu zasadniczego odkrycia, że czyn jest zły, ale co?

Czy to ulega jakiejś wątpliwości? Czy podczas deszczu padającego z gęstych chmur świeci słońce? Czy śnieg topnieje na mrozie? Czy ptak może wzlecieć przed rozpostarciem skrzydeł? Czy pacjent może wiedzieć o zakończeniu operacji przed ustąpieniem narkozy i pojawieniem się bólów? No, a czy można widzieć przez opaskę na oczach albo posługując się tylko zwykłą linijką robić rzuty

z geometrii wykreślnej? Nie, to są rzeczy niewykonalne i podobnie nikt nie może czuć odrazy do wybuchu własnych złych instynktów, póki ich nie opanuje lub nie zaspokoi; opamiętanie nie może nadejść dopóty, dopóki zbrodniczy instynkt nie osiągnie przewagi nad przeciwnym instynktem, dopóki go nie przewycięży, dlatego człowiek ogarnięty wybuchem zbrodniczych instynktów nie potrafi dokonać takiej czarodziejskiej sztuczki, żeby czuć i wiedzieć: taki czyn jest zły, ohydny, itd.

Zdarzają się przestępcy, którzy „przyznają się”, że popełniając coś złego wiedzieli, iż źle postępują. Ich twierdzenia opierają się jednak tylko na naiwności i oszukiwaniu samych siebie. Wcale tego nie wiedzieli. Myśl: „To jest zły czyn”, jest dla nich tylko teorią, pustym dźwiękiem, etykietą na próżnym naczyniu. Ich pojęcie rzeczywistości uległo ograniczeniu; dobry czyn jest dla nich czymś obcym, nierzeczywistym, nie rozumieją go, dlatego również nie rozumieją i złego czynu, bo nie potrafią go porównać z niczym, co do nich przemawia, dlatego i zły czyn jest dla nich czymś nieznanym i nierzeczywistym. Tak, świat przestępcy jest nierzeczywisty: nie rozumie on ani dobrego, ani złego, postępuje jednak źle, bo sam jest zły. Jest osią, wokół której obraca się cały świat, bo poza sobą nic nie umie dostrzec. Narysujmy koło wokół prze-

stępcy. Nie będzie ono wielkie. Taki człowiek nie sięga wzrokiem daleko, bo ma amputowaną zdolność przeżywania, a wyobraźnię niesłychanie ograniczoną – choć w obrębie swej dziedziny potrafi dostrzegać genialnie, jeżeli Pan Bóg lub coś podobnego wyposażyło go w dostateczną inteligencję. Przestępcę można porównać z reflektorem, którego rzut został zmniejszony do minimum, tak że skupiony snop światła pada z dużą siłą na niewielką powierzchnię, tworząc mały krąg. Poza tym kręgiem dostrzega niewiele lub zgoła nic, jeśli zaś wie coś o tym, to tylko na zasadzie czystej teorii. Nie rozumie, co jest w kręgu światła, bo otaczająca ten krąg rzeczywistość wcale doń nie przemawia. Świat wokół przestępcy jest martwy, a jego własny mały światek na pół martwy. Żyje tylko jego własny instynkt, jego skłonności.

Stefan ma więc rację: „Sprawca jakiegoś czynu nie odczuwa aktualnie istnienia innej alternatywy. Biedak nie pragnie stać się lepszy, póki nie stanie się lepszy, a więc już po fakcie. Wtedy może chcieć być jeszcze lepszy”.

Dla mnie słowa te zawierają odpowiedź na dwa pytania: Czy dokonywałem wyboru? Czy mogłem uniknąć tego czynu?

Rozsądek mówi, że nie. Rozsądek nazywa to absurdem. Wola była w twym wypadku chora, twier-

dzi rozsądek. Podobnie jak w wypadku bezwładnego ramienia, które na pozór jest nadal ramieniem, lecz w rzeczywistości nim już nie jest, bo może tylko zwisać, twoja wola nie była już wolą, bo została pochłonięta przez zło, które nigdy nie było, nie jest i nie będzie alternatywą, czymś podlegającym wyborowi. „Wolna wola” to typowe masło maślane, bo albo człowiek ma wolę, a wtedy jest ona wolna, albo nie ma woli. Zniewolona lub skrępowana wola jest paradoksem wymyślonym przez tych, których mściwość zmusza do rozwiązywania zagadki.

Taka odpowiedź stanowi rozumową podstawę do uwolnienia mnie od absurdalnego zarzutu winy, ale nie rozwiązuje żadnego problemu. Dlatego pytam raz jeszcze:

Co uśmierca świat otaczający człowieka, co tak zawęża jego zdolność rozeznania, że nawet działanie przestępcze nie jest dlań namacalną rzeczywistością, a tylko sennym urojeniem i zapamiętaniem. Co się dzieje, gdy snop promieni zostaje tak silnie zogniskowany w jakimś punkcie, iż można dostrzec tylko jedno: działanie? Co powoduje, że już nie można podjąć przeciwnego postanowienia?

Moja odpowiedź jest skromna:

Nie wiem. Wielokrotnie przeczesywałem własną pamięć, żeby zbadać mechanizm działający

w chwili popełniania czynu, lecz za każdym razem uderzałem w końcu głową o mur nie do przebicia. Mam tylko niejasne uczucie, że zaszło coś więcej oprócz koncentracji uwagi, że nie byłem wyłącznie narzędziem realizacji swego własnego postanowienia. Coś decydującego miało miejsce między decyzją i zakończeniem działania.

Czy zdarzyło ci się kiedyś siedzieć zupełnie bezmyślnie i czuć przy tym wyczerpanie umysłowe? Czy słyszałeś kiedyś zgiełk pracy mózgu, która nie łączyła się z konkretnymi myślami?

Idę śladem występku.

Było to przed wielu laty. Przeciągałem się leniwie na łóżku i ryczałem z zadowolenia, bo wydawało mi się zabawne w ten sposób dziękować za smaczny kąsek.

Mieliśmy odpoczywać. Popołudniowe słońce zerkało przez okna domku Josteina, który nam go odstąpił, a my mieliśmy odpoczywać. Ona jednak rozciągnęła się na łóżku obok mnie i nie chciała odpoczywać. Ja też nie chciałem. Słońce padało na jej uda, a ja tak ją odwróciłem, żeby promienie oświetlały płodne łono. Śmiałem się zachwycony, ona zaś kołysała się powolutku, chcąc mi sprawić przyjemność. Zrobiła mi przyjemność.

Powiedziałem:

– Uważaj, bo zjem cię żywcem. – Chciała, żebym

ją zjadł żywcem, wygięła ciało w mostek i prowokowała mnie jeszcze bardziej, wpychając mi palce do ust, bawiąc się moim językiem i wargami.

Pomyślałem: zobaczymy, jak długo potrafię wytrzymać.

Wstała i zaczęła tańczyć, wkrótce jednak znalazła się znów przy mnie i pieściła mnie piersiami – kocie ruchy, miękkie piersi – a gdy uznała, że wytrzymuję za długo, sama podjęła ostateczną inicjatywę.

Chcieliśmy, żeby to trwało długo. Ponad godzinę – tak mówiło słońce – leżeliśmy zapamiętani w sobie nawzajem, prawie bez ruchu. Takie oczekiwanie, gdy Siv stopniowo porywała mnie za sobą i rozpalala we mnie żądzę, najbardziej mnie uszczęśliwiała. Podobnie odczuwała Siv. Nie była jednak tak wytrzymała, jak ja – może z powodu czerwonego odcienia włosów – nie miałem więc nic przeciw temu, żeby sama decydowała, kiedy chce „mieć całego, całego Bragego”. Nie istniało bowiem na święcie nic piękniejszego niż zaspokojone ciało Siv, jej twarz wyrażająca zadowolenie, jej oczy zmrużone w poczuciu sytości.

Po jej oddechu poznałem, że zbliża się ta chwila. Teraz decyzja należała do mnie. Poddała mi się, wiedziona instynktem mądrej kobiety.

Nie powiem już nic więcej poza tym, że wreszcie

usnęliśmy i spaliśmy do późnego wieczora.

Spaliśmy więc do późnego wieczora i wczesną nocą opuściliśmy domek Josteina, udając się na zabawę urządzaną na skraju lasu przez miejscową młodzież. Wczesną nocą, ale słońce jeszcze świeciło.

Och, Stefanie! Działo się to w noc świętojańską, wiele lat temu, gdzieś w okręgu Sogn og Fjordane. Z desek zbito podium do tańca, na polanie płonęło ognisko – ogromne ognisko, Stefan, w taką noc marzyłbyś o tym, aby znów być młodym! – na zachód rozciągała się szeroka dolina z zagrodami, polami, strumieniami i jeziorkami, wszystko w obramowaniu lasów porastających zbocza wyniosłych gór. Tam na górze śnieg, śnieg, wieczny śnieg, a za ogniskiem ciemny las kusił do miłosnych igraszek. No tak, to była miła, banalna noc, z rodzaju tych, jakie zdarzają się tylko w Norwegii, a Siv, musisz wiedzieć, Siv była ładna i banalna, miała na sobie białą sukienkę znaną ci z fotografii, a włosy upięła wysoko, zaskoczyło mnie to, ale Siv pozostała taką samą Siv, we włosach miała konwalie, i na piersiach przypięte konwalie, tak, wyobraź sobie, konwalie w tej dolinie. Niedźwiedź przysłał jej te kwiaty. Och, Stefan, że też nigdy nie zetknąłeś się z Niedźwiedziem! Och, Stefan, mógłbym zapomnieć o wszystkim i tylko marzyć, ma-

rzyć!

Ta dolina długo pozostawała prawie odcięta od reszty Norwegii i to odbiło się na mieszkańcach; nie mają w sobie niepokoję, nie mają kamieni zamiast serc, zawsze im starcza czasu, są przyjaźnie i gościnnie usposobieni, a miłości nie traktują jak towaru; niełatwo tam poderwać dziewczynę; gdy ktoś przetańczy całą noc z jedną, traktuje się tę parę jak narzeczeństwo i biada chłopcu, jeżeli je zerwie. Podczas mego pobytu w więzieniu zaszły tam jednak rzeczy, które są początkiem zmian. Buduje się nowe drogi, wkrótce powstaną węzły komunikacyjne i zakłady przemysłowe. Przy jednym z przyszłych skrzyżowań jakiś spryciarz już postawił kawiarnię z neonami, marmurem, szkłem i niklem, już sprzedaje się tam kieszonkowe książki, których tematyką jest sex, zbrodnia i zakamufLOWANA pornografia, już zjawił się grający automat i podlotki mogą po wrzuceniu monety delektować się „muzyką”. Przesiadują tam całymi wieczorami, słuchając i żując gumę. Starsze dziewczęta nie ruszają się bez aparatów tranzystorowych, zabierają je nawet na hale, gdzie słuchają radiostacji zwanej „Lux”. Stacja nadaje bez przerwy martwą, wrzaskliwą muzykę, a dziewczęta żują gumę, słuchają, i w ich oczach pojawia się martwy wyraz. Żaden mężczyzna nie zabiera już

w góry skrzypiec. A najgorsze ze wszystkiego – właśnie po wprowadzeniu grających automatów, sexu, kryminałów i pornografii – nawet w tej dolinie zaczęły się pojawiać typy, które z czasem wyrosną na Fritzów Heilmannów, na chuliganów, jakich spotyka się już często w Oslo.

Wolę jednak zapomnieć o tym nowym. Lepiej przypomnieć sobie tę norweską noc świętojańską sprzed wielu lat.

Miałem tam masę znajomych i stale bywałem zapraszany do różnych kryjówek, gdzie czekały naczynia z piwem domowego wyrobu i samogonem. Właśnie wtedy delektowaliśmy się w dobrej męskiej grupie, wszystko chłopcy na schwał. Od czasu do czasu któryś szedł na podium i tańczył, zabawa była na całego i ciągnęła się do późnej nocy. Jostein grał na skrzypcach, przenosząc nas w banalniejsze jeszcze czasy sprzed kilku wieków, ja przyłączyłem się z harmonią, razem przygrywaliliśmy do tańca tak, że aż iskry leciały, a my przytupywaliśmy do taktu i pokrzykiwaliśmy, hej, ha, hej, ha i wierz mi, Stefan, porywaliśmy ludzi!

W pewnej chwili Siv z nosem przy moim uchu szepnęła coś banalnego i przyjemnego, coś o tym, jak mnie lubi, tak że nie pozostawało mi nic innego, jak pójść z nią gdzieś na ustronie. Poszliśmy, Stefan, i było nam razem wspaniale, ciągle jeszcze

chciałbym marzyć o tej kobiecie, równie rozkosznej po jak przed, bo zawsze przepelnionej mądrą, prawdziwą poezją. Praktyczną poezją, powiedziałbym. Ale porzucam marzenia i mówić będę o chwili, gdy wróciliśmy. Widzisz, Stefan, przypadkowo przechodziliśmy obok miejsca, gdzie przechowywano napoje. I cośmy zobaczyli? Słuchaj, Stefan: stało tam pięciu czy sześciu nieznanych facetów, którzy złopali piwo Josteina!

Gdyby to było moje piwo, oddałbym sprawę do sądu, ale to nie było moje piwo, nie moja własność, Stefan!

– Hej, panowie! Czyje to piwo? – zapytałem, bo być może mieli pozwolenie od Josteina.

– He?

– Czyje to piwo? – powtórzyłem, puszczając Siv, którą trzymałem w pól.

– Piwo? No, tego tam... jak mu... e, gównu nas to obchodzi, bracie.

– A jak wyglądał ten, który wam pozwolił?

Mogłem tak zapytać, bo Jostein tak wyglądał, że nie można go było z nikim pomylić. Jak było do przewidzenia, w odpowiedzi usłyszałem stek wyzwisk, a właśnie wtedy sam Jostein i kilku innych wybiegło z za krzaków, dysząc z pragnienia.

– Jacyś gówniarze kradną twoje piwo – powiedziałem.

Jostein najpierw stanął, oniemiały, potem zakłosał się i wywijając rękami, krzyknął:

– A cóż to, do jasnej...

– Pocałuj nas... – padło w odpowiedzi.

Jostein ma bardzo łagodne usposobienie i nie brałby sobie do serca, gdyby ktoś ze znajomych gwizdnał mu trochę piwa, ale ci faceci byli obcy, a w dodatku miałem wrażenie, że ma ochotę trochę się rozruszać.

W jego więc imieniu, jak również całej naszej grupy, wypowiedziałem wojnę:

– Za to się wam należy nauczka, panowie! Kraść nasze piwo, taki numer nie ujdzie na sucho!

Jostein zrzucił marynarkę. Wkrótce wszystkie marynarki leżały na ziemi.

Siv próbowała pośredniczyć, ale uprzejmię odprowadziliśmy ją na bok, gdzie na przemian śmiała się i popłakiwała.

Zabraliśmy się więc do roboty, przybiegło też wielu innych. Albo od razu stawali po którejś stronie, albo nie wiedzieli, o co chodzi, lecz bili się mimo wszystko. Zgrywa była na sto dwa i wszystko skończyłoby się starym zwyczajem po przyjacielsku ogólnym oblewaniem. Jostein i ja właśnie chcieliśmy dać hasło „odtrąbiono”, bo przez pomyłkę sami wzięliśmy się za bary. Ale jakiś łobuz spośród tych obcych wymknął się do pobliskiego tar-

taku i tam znalazł łom, którym chciał mnie wykończyć na amen. Byłoby mu się to udało, gdyby moja Siv nie krzyknęła ostrzegawczo:

– Brage, uważaj!

Odwrociłem się błyskawicznie i zobaczyłem gościa z podniesionym do góry żelazem. Udało mi się odskoczyć, tak że łom trafił mnie w udo. Potem powaliłem faceta na ziemię.

A teraz przyznaję: to nie było konieczne. Nie musiałem tego robić, bo gdy go już zobaczyłem, nie mogłem zamierzyć się ponownie tym ciężkim łodem. Mimo to sprąłem go tak, jakby szło o moje życie.

Tak, Stefan, zaczęło się od zabawy, ale trzeba przyznać, że z rozkoszą skorzystałem z okazji, aby sprawić facetowi lanie. Może odczuwałem przyjemność, gdy fizyczny dreszcz związany z walką wędrował z dłoni poprzez ramię, rozchodził się po całym ciele. Może z miłym zadowoleniem patrzyłem na to, jak tamten leży u moich stóp zakrwawiony, nieprzytomny, zbity na kwaśne jabłko.

Jeszcze raz chwila dokonania czynu: Siv krzyczy ostrzegawczo. Odwracam się i widzę wściekle skurczoną twarz i wzniesiony łom. Natychmiast rozumiem tak: nie musisz go wykańczać, Brage, już jesteś uratowany. Mimo to nie mogę się powstrzymać od przyjemności palnięcia faceta w tę wykrzywioną mordę. Rozsądek dyktuje: daj spo-

kój, Brage! I w gruncie rzeczy postanowiłem go nie bić – pamiętam to właśnie w ten sposób – lecz moje ciało odmawia współpracy z rozsądkiem, działa na własną rękę, jak maszyna; nic by mnie nie potrafiło zatrzymać. Szok wywołany ostrzegawczym krzykiem Siv, nagłe znalezienie się w obliczu nieoczekiwanej sytuacji, to wszystko nadało memu ciału rozmach, wzmocniony ochotą do zupełnie niepotrzebnej zabawy. Gdyby tamten gość był szybszy ode mnie i zdążył odskoczyć na kilka metrów, jestem pewien, że wszystko by się rozplynęło. Zadowolilibym się wykpieniem go. Był jednak tak piekielnie blisko i miał taką wściekłą minę! Sprawa musiała się więc potoczyć dalej!

A więc, Stefan: odbył się dialog robić-czy-nie-robić, mogło zatem nie dojść do tego wybuchu. Mimo wszystko jednak działanie fizyczne przebiegało jakby równoległe z dialogiem.

Czy dlatego, że działanie burzyciela może się zrodzić z niedokończonego dialogu na temat robić-czy-nie-robić?

Zdaje mi się, że słyszę twoją odpowiedź:

„Nie powzięłaś decyzji, żeby się nie bić. Myśl «to jest zły postępek» nie była dość wyraźna”. Ale słyszę chyba również, jak mówisz coś jeszcze: „W wypadku, gdy jakiś szok zmusza człowieka do gwałtownego odruchu, ciało reaguje na pierwszy im-

puls, tak że dialog może się wprawdzie rozwinąć momentalnie, nie dość jednak szybko, aby wywołać skutki. Jasny jest powód, z którego zło bierze górę w takich wypadkach: warunki dają przecież podniecie tylko złu, sama sytuacja jest do tego stopnia zła, że następuje reakcja w postaci zła przeciw złemu, gdyż nie ma czasu na wytworzenie się innej reakcji”. Słyszę też prawnika Borovica: „Kto nie postąpiłby tak, jak Bragesson? Kto nie odpowiedziałby gwałtem na gwałt? Każdy. Różnica między większością ludzi a Bragessonem polega na tym, że on ma dość siły i dość szybki refleks, aby przejść do czynów”. Biegły psychiatra powiedziałby w sądzie: „Wybuch typowy dla psychopaty”. Prokurator oświadczyłby: „Bragessonowi udało się znaleźć pozornie uzasadniony powód do wykończenia człowieka, którego sam sprowokował i prześladował”.

„Jestem winien! Winien, słyszysz!” „Daj mi spokój. Przecież wiesz, że sprawa jest przegrana, do jasnej cholery!” Dlaczego wtedy tak krzyczałem do Stefana? Nastrój rezygnacji? Podejście: niech to wszystko szlag trafi? A może poczucie, że w „Czerwonym Amsterdamie” naprawdę okazałem się złoczyncą?

Kryłem Benteina w sądzie. Dlaczego? Bo wiedziałem, że sąd i tak mu nic nie zrobi? Czy może

miałem nadzieję, że sam się przyzna? Może nie chciałem sypać? A może wreszcie czułem się winny współdziałaniu w przestępstwie?

Gdy rzuciłem się na niemieckiego świadka, który kłamał w sądzie, byłem wściekły. Dlaczego jednak? Czy dlatego, że nie popełniłem zarzucanego mi czynu, a ten świadek w dodatku kłamał? Czy może tylko dlatego, że kłamał?

Nie ja doprowadziłem do bójki. Umysł ludzki jest jednak bardzo skomplikowany: czy nie mogło być tak, że chęć zapobieżenia bitce współzawodniczyła z trochę słabszym pragnieniem, aby jednak do niej doszło, i to pragnienie później wzięło górę? Próbowałem uciec, czy aby jednak próbowałem dość stanowczo i szczerze? Nie pamiętam. Stefan, może się wydawać, że staram się uniknąć pytań drogą mistyfikowania ich, ale cóż mam robić, jeżeli nie umiem dać konkretnej odpowiedzi? Niczego nie jestem pewien.

Przejdźmy do chwili popełnienia czynu. Bentein zwał, batalia trwa już sporo czasu i mnie samemu udaje się umknąć, ale potykam się w rynsztoku, padam, uderzam się w kolano. Niemcy siedzą mi na karku, Fritz Heilmann jest najbliżej. Wstaję i konstatuję, że nie mogę biec z powodu bólu w nodze. Gdybym kontynuował ucieczkę, Heilmann i jego banda na pewno by mnie dopadli i prawdo-

podobnie zaatakowali od tyłu. Wybrałem rzecz najrozsądniejszą: stawić im czoło i unieszkodliwić najniebezpieczniejszego, a zarazem najbliższego, ich przywódcę, Heilmanna. A Heilmann zrozumiał, że mam uszkodzone kolano, bo sam śmiało rzucił się na mnie w pojedynkę i doszło do tego, że go powaliłem.

Potem schyliłem się, chwyciłem go za kostki u nóg i zacząłem nim kręcić młynka.

Czy zdawałem sobie sprawę, że trzymam człowieka nieprzytomnego?

Jeżeli tak, wówczas niezależnie od sposobu postępowania Niemców moje działanie musi być napiętnowane jako przestępcze.

Właśnie co do tej okoliczności udało się prokuratorowi speszyć mnie w sądzie.

Spróbuję skomentować przebieg wypadków.

Powaliłem Heilmanna na ziemię i natychmiast schyliłem się i chwyciłem go za kostki u nóg. Zrobiłem to tak szybko, że nie było czasu zobaczyć, czy jest przytomny, czy nieprzytomny. Potem podnoszę go i wywijam nim młynka. Czy należy się dziwić, iż uderzywszy go tak silnie, że stracił przytomność, nie zauważyłem tego ani w tym momencie, ani później, gdy nim wywijałem. W sądzie oświadczyłem: „Widocznie musiałem być niezupełnie przytomny”.

Lecz to naprawdę było dziwne, Stefan, i nie można wykluczyć, że kłamałem, sam wierząc w to, co mówię.

Ta sprawa jest bardziej niż dziwna.

Spróbuję rozpatrzeć ją rozsądnie, z bezlitosnym obiektywizmem. Moje dłonie zacisnęły się dokładnie na kostkach u nóg Heilmanna. Kręcąc nim młynka, zdawałem sobie sprawę z tego, co się działo w najbliższym otoczeniu, i nie spuszczałem z oczu reszty Niemców. Wszystko we mnie skupiło się na tym, co robię. Słyszałem krzyki, ale ich znaczenie nie dochodziło do mojej świadomości. Przez chwilę myślałem o Benteinie i o ojcu, lecz nawet na sekundę nie przerwałem koncentracji na wykonywanej czynności. Przysięgam!

Wobec tego jest bardziej niż dziwne, że doświadczwszy na własnej pokiereszowanej skórze przewagi Niemców, nie zauważyłem braku oporu ze strony najniebezpieczniejszego dotąd przeciwnika! Tak nieprawdopodobne, że po prostu nieprawdziwe! Podnosząc Heilmanna i kręcąc nim młynka musiałem w pewnej chwili zdać sobie sprawę, że jest nieprzytomny.

Dlaczego nie pamiętam, jak naprawdę było? Dlaczego muszę wyrozumować prawdę?

Zaczynamy od początku: Powalam Heilmanna na ziemię i natychmiast schylam się i chwytam go

za kostki u nóg. Robię to tak szybko, że nie mam czasu zobaczyć...

Zobaczyć? Czy rzeczywiście powiedziałem, iż patrzyłem wprost na Heilmanna?

Stop.

Co powiedziałem w sądzie? Powiedziałem, że wywijając Heilmannem, nie patrzyłem na niego. Pilnowałem wzrokiem innych Niemców. Ale Stefan! Na Boga! To nie jest prawda! Teraz dokładnie pamiętam, że kręcąc Heilmannem młynka, patrzyłem na niego. Znajdował się przecież na linii mego wzroku, do cholery, i przypominam sobie tę jego poranioną twarz...

Miałem zamiar cisnąć nim w resztę Niemców, twierdziłem w sądzie. Chyba naprawdę tak myślałem, co?

Hej! Coś się tu nie zgadza! W sądzie oświadczyłem, że nie patrzyłem na Heilmanna podnosząc go i kręcąc nim młynka, teraz mogę przysiąc, że na niego patrzyłem. Czy można bardziej polegać na mojej pamięci z roku 1955?

Stefan! Ja w to nie wierzę!

Obserwowałem twarz Heilmanna, gdy kręciłem nim młynka. Przysięgam! Widzę to teraz jasno!

– Gdy jednak pan schylił się nad Heilmannem leżącym na ziemi, gdy pan się nad nim pochylił i chwycił go za kostki, nie widział pan wtedy tego?

– wykrzyknął prokurator z nutą wielkiego triumfu w głosie.

– Nie patrzyłem na jego twarz.

– Ale patrzył pan na jego nogi!

– Tak.

– Czy ruszał nogami...? Powtarzam pytanie: czy ruszał nogami?

– Wszystko... wszystko odbywało się tak szybko... nie pamiętam... nie pamiętam, czy ruszał nogami, czy nie.

– Bzdura! Powtarzam: bzdura!

„Oskarżony jest teraz ostatecznie przyparty do muru. Wyzywająca pewność siebie zupełnie go opuszcza”.

Stefan, coś się nie zgadza w tym wszystkim! Czy to prawda, że patrzyłem na jego nogi?

Jeszcze raz:

Natychmiast schylam się i chwytam go za kostki u nóg. Robię to tak szybko, że nie mam czasu zobaczyć...

Zobaczyć?

Nie, co to znaczy? Schylając się do jego kostek, wcale nie patrzyłem na Heilmanna! Mignął mi tylko. Co w takim razie widziałem?

O! Coś mi świta!

Co mogłem widzieć przed sobą oprócz Heilmanna? Prawdopodobnie coś, co znajdowało się wprost

przede mną. Ale co to było? Bruk...

Coś mi świta w głowie. Mam ochotę podpalić dom i rękopis. Nie mam ochoty pisać dalej!

Co jeszcze oprócz bruku? Chodnik. I...

No, Bragesson, wymień to wreszcie!

ŚCIANA!

Patrzyłem na ścianę. Dlatego nie widziałem, czy Heilmann ruszał nogami, czy nie, gdym go chwycił za kostki.

Oto jest prawda: moim pierwszym zamiarem...

Wreszcie! Wreszcie! Stefan, Stefan, zgadza się, zgadza się teraz! Moim pierwszym zamiarem było rzucić Heilmanna o ścianę i pozbyć się go. Lecz prokurator nie mógł tego dociec... bo pamiętam... tak, tak, celowałem w ścianę... oceniłem odległość, lecz zrobiwszy nim kilka młynków, spojrzałem na jego zakrwawioną twarz i zrozumiałem, że jest nieprzytomny, dlatego postanowiłem okazać mu trochę litości i rzucić go na coś miększego: na resztę Niemców. Tak to było! Taki to miało przebieg! Wreszcie! Że też mogłem zapomnieć!

Ale Heilmann uderzył głową w mur.

Co!

Czy zmieniłem zamiar? Uchwyt się rozluźnił, czy rozluźnił się dlatego, bo chciałem, żeby się rozluźnił, czy świadomie go rozluźniłem? Heilmann uderzył w ścianę, pod kątem prostym, pionowo,

z imponującą precyzją.

Czy uchwyt się rozluźnił? Czy też ja go rozluźniłem?

Rozluźnił się. Rozluźniłem.

Rozluźnić się. Rozluźnić.

Stefan! Chyba dostanę z tego bzika. Nie potrafię ustalić, czy uchwyt sam się rozluźnił, czy ja go rozluźniłem.

Chwileczkę! Czy niemożność ustalenia oznacza, że ja rozluźniłem uchwyt?

Chwileczkę! To wcale nie jest takie oczywiste.

Daruj mi więc, że przypisuję sobie mniejsze zło. Precyzyjność rzutu była przypadkowa. Uchwyt się rozluźnił. Nie byłem taki zły.

Co ja opowiadam! To się przecież powtórzyło! Chciałem później wykończyć bezbronnego!

Moi wrogowie!

Ale bezbronni!

Nie, wołam na cały głos: uchwyt rozluźnił się! Rozluźnił się!

Jednak chociaż się rozluźnił, myśl wypuszczenia Heilmanna na resztę tych diabłów była zbrodniczą. Mogłem stopniowo zwolnić obroty i ostrożnie go opuścić, a wtedy może pozostali uspokoiliby się widząc, że zamiast wymierzyć sprawiedliwość okazałem ich przywódcy łaskę. Może chcieliby na tym zakończyć: kilku poranionych i jeden nieprzytom-

ny. Załatwione.

O, Stefan, dlaczego tego nie zrobiłem! Moje życie potoczyłoby się przez to inaczej, oczywiście lepiej. Dlaczego więc tego nie zrobiłem?

Kłęska żywiółowa, powiadasz.

A zresztą: czy to przyszło mi na myśl? Nie pamiętam. Może tego nie pojmowałem. Tak, nie pojmowałem.

Tym większa kłęska żywiółowa, powiadasz.

Lecz co to właściwie jest kłęska żywiółowa? Staralem się rozważyć to na wszelkie sposoby, ale wcale nie jestem mądrzejszy.

Czym jest ta twoja kłęska żywiółowa? Potworem, który wypełza z podświadomości i opanowuje świadomość, eliminuje wszystkie wewnętrzne opory, tak że człowiek nie może dojrzeć swych własnych dobrych stron?

Co? Przecież to nie jest żadna odpowiedź!

Przyznaję, absurdem jest mówić, że dokonałem wyboru. Coś jednak w mojej duszy chciałoby, żebym mógł tego uniknąć. Może pragnie tego moje poczucie godności ludzkiej, może przesady, tysiącletnie błędne doktryny wtłaczane do mej świadomości, w głąb mojej jaźni i w komórki nerwowe: grzech pierworodny!

Co za paradoks! To jest człowiek! Ta bezkształtna masa to człowiek! Pojmuję, że вина jest absur-

dem, lecz równocześnie coś w głębi mej duszy pragnie, bym mógł uniknąć tego złego, które popełniłem. Coś w głębi mej duszy pragnie, żebym ja za wszystko odpowiadał!

Stawiam więc sprawę na ostrzu miecza, aby zobaczyć, czy tym sposobem da się coś więcej odkryć. Zaczynam od najgorszego: celowo zabiłem Heilmanna. Wiedziałem, że jest nieprzytomny, i skorzystałem z tego, aby dokonać precyzyjnego rzutu o ścianę. Zamordowałem go. Chciałem go zamordować. Zniszczyć. Wykończyć tę świnię, tego płaża, tę szumowinę, tę zakałę społeczeństwa.

To kłamstwo. Wierzyłem bowiem w to, że chcę nim rzucić w pozostałych Niemców. A jeżeli człowiek wierzy w to, co robi, robi to! Nic by nie pomogło, gdybym potem przejrzał tę wiarę i zobaczył, że jest oszukiwaniem samego siebie. Nic a nic to by nie pomogło, bo w chwili popełnienia czynu, a także w sądzie, sam siebie oszukiwałem. Dlatego nie kłamałem w de Rechtbank.

Ale wracam do najgorszego założenia. Jak zrodził się we mnie ten do gruntu zły zamiar? Jak go rozpoznałem? Czy po tym, że szumiało mi w głowie? Czy słyszałem ten szum? Czy to była hipnoza pochodząca z najgłębszej warstwy jaźni, mimo że nie rozumiałem, iż jestem pod działaniem hipnozy? Czy to był może jad, który mnie zatruwał, ja

zaś nie zdawałem sobie sprawy, że jestem chory, a nie sprawiedliwy?

Jak uległem zatruciu? Jak działa wewnętrzny mechanizm klęski żywiołowej? Czyni duszę złą, powiadają. Ale to żadna odpowiedź! To moje pytanie!

Kapitulacja. Daję za wygraną. Nic więcej nie potrafię. Moje zdolności umysłowe są niewystarczające.

Załatwione.

To nie ma sensu.

Bezsensowne, że tak zasadnicza rzecz ma pozostać zagadką dla mnie, dla tego, który padł jej ofiarą!

Daję za wygraną. Odtąd będę tylko zbierał kwiaty i wtórował ptakom.

S.O.S. Pomóż mi, Stefanie. Piszę do ciebie list. S.O.S.

Minął tydzień. Dlaczego nie odpisujesz? Ogień we mnie płonie. Chcę iść dalej. Chcę załatwić sprawę. Chcę uzyskać wolność. Odpisz! Musisz odpowiedzieć, bo ty powiedziałaś: klęska żywiołowa!

Minęło dwanaście dni. Jestem pijany i odkładam pióro. Precz z nim!

„Drogi Brage,

Cóż to za głupstwa, mój przyjacielu. Załóżmy, że rozwiązałeś zagadkę duszy ludzkiej; jakże nieinte-

resujące i bezsensowne byłoby wtedy życie. Wyobraź to sobie, masz przecież tak bujną fantazję. Wyobraź sobie, że wszystkie ważne problemy życiowe zostały rozwiązane i wyjaśnione, że wszystko jest uporządkowane i skrupulatnie ułożone w kartotekach. Czy jest do pomyślenia coś nudniejszego? Czy sądzisz, że filozofia, poezja i inne dziedziny życia duchowego mogłyby się w takich warunkach rozwijać, nie mając nic do przewyciężenia? Nie, przyjacielu, szanuj tę tajemnicę. Na pewno zasługuje na szacunek z twojej strony.

Daruj mi. Stary Borovic też nie potrafi rozwiązać zagadki duszy ludzkiej. Ale na klęskę żywiołową spójrz poprzez taką metaforę:

Dwa ciała niebieskie zderzają się z wielką szybkością w przestrzeni, wywołując kosmiczną katastrofę – zniszczenie dwu ciał niebieskich. My ludzie możemy stwierdzić to zniszczenie, może nawet potrafimy obliczyć szybkość, z jaką nastąpiła kolizja, wywołane przez nią promieniowanie i temperaturę, nierzadko też ustalić, z jakich kierunków pojawiły się owe ciała w stosunku do naszego globu – lecz wszystkie kierunki w przestrzeni kosmicznej są dla nas nieskończone, niewiele nam mówią, »skąd« przywędrowały te ciała i jaka właściwie siła wprawiała je w ruch. Równie nieskończona i zagadkowa, jak przestrzeń kosmiczna, jest

dusza ludzka i gra bytu między nami wszystkimi. Powtarzam słowa C. G. Junga: «Największą i najważniejszą dla nas zagadką jest sam człowiek».

Nie marząc nawet, że kiedykolwiek uda się rozwiązać tę zagadkę, coraz więcej ludzi w naszych czasach nabiera przekonania, że burzyciel jest człowiekiem chorym. Najbardziej godne uwagi jest to, iż wielu pisarzy już dawno tę prawdę ujawniło, chociaż jej nie rozumieli. Przypomnij sobie Dostojewskiego, on jest uderzającym przykładem. Czy idzie o Raskolnikowa, czy o braci Karamazow i ich ojca, autor wszystkimi możliwymi sposobami podkreślił, że burzyciel jest przede wszystkim człowiekiem chorym, który powinien być leczony tak, jak każdy pacjent. Z jakiego więc powodu Dostojewski mimo wszystko uznawał swych pacjentów za winnych? Istnieje tylko jedno rozsądne wyjaśnienie: Dostojewski tak głęboko tkwił w starym schemacie: zbrodnia – kara – pokuta, że nie dostrzegł tego, co sam ujawnił! Mimo to jego geniusz był tego formatu, że musiał widzieć prawdę bez upiększeń! Jego siła polega więc na przedstawieniu problemu złego postępkowi, a nie na rozwiązaniu.

I wreszcie mała uwaga dla ciebie, mój tak wszechstronnie uzdolniony przyjacielu: z im większą premedytacją i celowością jakiś zły czyn jest popełniany, tym bardziej chory jest jego sprawca.

Posłużmy się przykładem. Wyobraźmy sobie kogoś, kto postanowił zabić w celach zysku. Długo układa plan, sprytnie kalkuluje czas i miejsce, jak również sposób uśmiercenia ofiary; sfingowany nieszczęśliwy wypadek. W okresie przygotowawczym nie pojawiają się żadne skrupuły, spokojnie i świadom celu czeka na wyznaczony termin, a gdy ten nadchodzi, z zimną krwią przystępuje do dzieła i wykonuje ustalony plan. Taki człowiek jest jednym z najniebezpieczniejszych burzycieli, urodzonym na przywódcę bandy, a jeżeli społeczeństwo go zdemaskuje i przyłapie, przyczepi mu etykietę najbardziej winnego.

Ja określam go jako najbardziej niewinnego, najbardziej chorego. Do tego stopnia opanowały go złe skłonności, że wszelkie przeciwnie działające bodźce zostają bez reszty wyeliminowane i właśnie dlatego działa z zimną krwią i jest niebezpieczny. W jego wewnętrznej osobowości nie ma nic, co zakłócałoby mu drogę do celu, i nikt, nawet on sam, nie zdaje sobie sprawy ani przed czynem, ani po czynie, że pchał go do tego instynkt. Sprawca jest utożsamieniem zła. Jego świadomość jest złem w najczystszej formie.

W twoim wypadku, Brage, cały czas było inaczej. Ty sam i twoje relacje wyraźnie wskazują, że coś cię pchało, że sam odczuwałeś, jak coś cię po-

pycha, a to znaczy, że cały czas rodził się w tobie bunt przeciw złemu. Tak, nawet gdy popęd zupełnie wziął górę nad świadomością, w twym mózgu trwał bunt; to właśnie pozwalało ci usprawiedliwiać siebie samego, dawało podstawę do «egzekucji». Nazywałeś go na przykład «Szatan Nattestad», przez co przypisywałeś mu kumanie się z diabłem, z siłami nocy, bo diabły należy niszczyć, a w nocy trzeba zapalać światło, aby widzieć.

Wiesz przecież, Brage, że czyste zło nie potrzebuje tego rodzaju zabiegów, nie czuje potrzeby usprawiedliwiania się z czegokolwiek. Nie prowadzi też do walki. Twoje zwierzenia są jak dotąd relacją z walki i wróżą twoje w niej zwycięstwo.

Może powiesz, że w chwilach dokonywania czynów byłeś bez reszty pod wpływem zła. To nie ulega wątpliwości, inaczej byś ich nie popełnił! Niezależnie jednak od tego, co byś zrobił – tak, nawet gdybyś w napadzie szału i rozpaczycy pozbawił życia kilku ludzi – mimo to powiedziałbym, że rokujesz nadzieję poprawy. Twój instynkt niszczycielski był silny, ale instynkt twórczy, który pierwszy stawiał opór, też nie mógł być słaby! Dla ciebie zło jest cierpieniem. Człowiek najbardziej chory nie cierpi, a jeśli cierpi, to tylko w więzieniu. W tobie głęboko zakorzenione tkwi dobro, dlatego mam nadzieję zobaczyć cię wkrótce w szeregu twórców. O ile się

nie myślę, jesteś teraz człowiekiem biernym i dlatego winnym – winnym również wobec burzyciela, którym sam byłeś. Obecnie stoisz przed trudnym wyborem.

Czekam, Brage, czekam, kiedy doprowadzisz do końca swoje sprawozdanie”.

Oddychałem głębiej i gapiłem się na otwór termosu. Najpierw czułem tylko zmęczenie i zachowałem postawę neutralnego obserwatora. Wepchnąłem korek do środka.

Potem zjawilo się zdziwienie – jak lekkie munięcie wiatru: korek jest w środku termosu.

Wreszcie aż podskoczyłem z wrażenia: tak, stało się! Kara wykonana: korek jest w środku! Tego nie da się odwrócić!

Miałem ochotę wypisać wielkimi literami te właśnie słowa: tego nie da się odwrócić!

Westchnąłem, upadłem na termos, chwyciłem go i trzymając mocno powtarzałem, że stało się, ostatecznie... definitywnie... nieodwracalnie.

Potem przytknąłem termos do czoła i spróbowałem znów skupić myśli: stało się, Brage. Wyrok był sprawiedliwy. Nie masz żadnych skrupułów. Jesteś tylko bardzo zmęczony i przeraźliwie śpiący. Uważaj! A czy miałeś zamiar iść dalej z tą zniszczoną insuliną? Chcesz narażać życie dla czegoś tak bezużytecznego?

Bezużytecznego?

Poczułem przejmujące drżenie: Bentein nie dostanie insuliny!

Nie odczuwałem żalu, tylko niepewność i lekkie zamroczenie na myśl, że on tam cierpi, i to nadaremnie, że jego ciało może jeszcze oddycha, ale wkrótce wyda ostatnie tchnienie i spocznie nieruchomo – nieodwołalnie.

Nie miałem wyrzutów sumienia, męczyła mnie jednak świadomość, że jakiś człowiek bardzo cierpi, choć nawet sam tego cierpienia fizycznie nie odczuwałem i fakt ten był dla mnie raczej teorią.

Wtedy uderzył mnie w nozdrza zapach!

Zapach czarnych porzeczek!

Wciągnąłem nosem powietrze. Sok z czarnych porzeczek?

Z termosu bił zapach czarnych porzeczek! Ale...
co...

SOK Z CZARNYCH PORZECZEK!

S-O-K Z C-Z-A-R-N-Y-C-H P-O-R-Z-E-C-Z-E-K!

Otworzyłem więc własny termos! Na Boga! Insulina jest nadal nie tknięta!

INSULINA NADAJE SIĘ DO UŻYTKU!

Taki figiel losu, takie przeznaczenie! Ty diable, ty diable, zupełnieś na to nie zasłużył!

Zaraz! Czy nie zauważyłem, że termos jest ciemnozielony? Ten z insuliną jest ciemnoczerwony.

A czy nie ja sam wsadziłem czerwony na spód, a zielony na wierzch, żeby ich nie pomylić? Może to wszystko gra chorej wyobraźni. Nie chciałem go tak ukarać.

Bzdury. Działalem w afekcie. Chwyciłem za pierwszy lepszy termos w przekonaniu, że zawiera insulinę. Nie rozróżniałem też kolorów, było i jest ciemno, a ja patrzyłem tylko na korek.

Nie jestem diabłem. Postąpiłem słusznie. Tylko bez nagiotków na sumieniu, Bragesson.

– Czy nie wydaje ci się może, żeś popełnił morderstwo?

Z tą myślą zerwałem się szybko na nogi. W ustach mełłem takie słowa jak gwałt, zabójstwo, oszustwo i krzywoprzysięstwo. Ale myśli uprzedzały słowa.

– Chciałeś zabić i faktycznie zadałeś cios już powalonemu, śmiertelnie choremu człowiekowi, a zrobiłeś to w iście diabelski sposób. Ruszaj dalej!

Ale przecież dokonałem już egzekucji. I tak jestem katem. Zresztą słuszność była po mojej stronie.

– Ruszaj dalej! Możesz jeszcze zwrócić to życie, które odebrałeś! Ruszaj w drogę!

Ociągając się, spakowałem plecak, zarzuciłem na ramię i powlokłem się dalej.

– Litość! – szeptała myśl. – Zastanów się trochę

nad tym słowem. I pamiętaj o swej wzniosłej filozofii, kolosie! Wprowadź ją w życie, kolosie!

Wtedy przebiegł mnie zimny dreszcz:

Tak, ja, Brage Brageesson, jestem brutalem, zawsze o tym wiedziałem. „Ta ręka unosząca się, by pogłaskać, potrafi w każdej chwili zadać cios”. „Te ręce. Te niepokojące ręce. Z daleka można było zobaczyć, że są wilgotne, chłodne jak u płaza, że przykro pachną...” „Oparł mi te swoje obrzydliwe ręce na ramionach...” „Wiedziałem, że mam dość sił i sprytu, aby być bardzo niebezpiecznym złoczyńcą”. „Mógłbym oszaleć. Tak, mógłbym zwariować, na własną rękę podjąć «krucjatę» przeciwko złu, według własnego widzimisię wybierać sobie zło i złych ludzi, i tępić ich, tępić... aż w końcu, gdyby ktoś na czas nie zdążył zamknąć mnie za kratami, mógłbym postanowić, że trzeba ze sobą skończyć, bo świat jest bezsensowny, absurdalny, szaleńczy!” – „... i pierwszym aktem tej krucjaty mógłby być sąd doraźny nad Benteinem Dagestadem; schwytać go, związać, zakneblować mu usta, uprowadzić go w jakieś bezludne miejsce, odczytać mu punkt po punkcie listę jego podłości, aby potem wydać wyrok, wyrok śmierci! Po wykonaniu egzekucji, jeszcze drżąc, lecz z odzyskanym zapalem do działania – choć w perwersyjnej postaci – popuściłbym sam sobie cugli”.

Wiedziałem o tym. Byłem przygotowany. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Inni też wiedzieli o tym. Stefan: „Jesteś dalej niebezpiecznym człowiekiem. Uważaj, żeby nie stracić równowagi”. Biegły psychiatra: „Jestem zdania, że Brage Brage-sson ma słabo rozwinięte zdolności odczuwania. Jest nieobliczalny i stanowi groźbę dla siebie samego i otoczenia”. Prokurator: „Ten człowiek jest wybuchowym psychopata, bezwzględny, brutalny, aspołeczny osobnikiem, groźnym dla siebie samego i dla innych ludzi! Powinien być na zawsze odizolowany od społeczeństwa!”.

Te wspomnienia z sądu jeszcze bardziej mnie podnieciły.

Nie jestem wybuchowym psychopata! Nie jestem groźny dla siebie i otoczenia, nie mam słabo rozwiniętych zdolności odczuwania! Patrzcie go! Ja, Brage Brage-sson, miałbym mieć słabo rozwinięte zdolności odczuwania? Wspaniałe! Cholera, co za bezczelne świństwo! Cała opinia biegłego psychiatry to przekłete szarlataństwo i nieuctwo. A najgorsze, że uderzyło mi na mózg. Tak mnie omamiło, iż sam zacząłem wierzyć, że naprawdę jestem nieopanowanym brutalem, itd., a po uniewinnieniu dalej prześladowała mnie myśl: „miej się na baczności, żeby siedzący w tobie brutal nie wybuchnął. Pamiętaj, Brage, że jesteś psychopata.

Nie zapominaj, że masz słabo rozwinięte zdolności odczuwania. Szczególnie uważaj przy spotkaniu z Benteinem”.

Tak mnie omamiła opinia biegłego psychiatry. Włazło mi to do łba, tak że – już po uniewinnieniu – stawiałem znak równości między uzasadnionym gniewem na Benteina i twierdzeniem, że jestem wybuchowym psychopata, pozbawionym skrupułów, niebezpiecznym dla innych ludzi. Skłonny byłem uwierzyć, iż „rzeczoznawca” miał rację i mój gniew na Benteina stanowi jeszcze jeden dowód, jak niebezpieczny jestem dla siebie samego i dla otoczenia. Tak mnie to opanowało! Zacząłem się bać siebie samego, mylić własne poczucie sprawiedliwości z błędną opinią psychiatry. Do tego doszło! Do tego doszło! Cholera, co za bezczelne świństwo!

I jakie błędne koło! Bentein był sprawcą tego, że stanąłem przed de Rechtbank i zostałem napiętnowany jako wybuchowy psychopata, a po uniewinnieniu przyszło mi skierować żądło gniewu przeciw sobie samemu, zamiast przeciw Benteinowi, gdyż w de Rechtbank zrobiono ze mnie wybuchową jednostkę. Paradne, co? Wszystko dlatego, że się broniłem w „Czerwonym Amsterdamie”! Dlatego, że straciłem cierpliwość, gdy świadek kłamał... jeszcze jeden człowiek, którego kłamstwo narobiło

mi tyle biedy!

E, do jasnej cholery! Siedzę tu w Nordablaas i dumam nad tym, jaki jestem straszny! Ja, niewinnie skazany! Biada wszystkim opiniom biegłych psychiatrów! Biada Benteinowi, który wyrządził mi taką krzywdę! Wszyscy wyrządzili mi krzywdę: de Rechtbank, prokurator, ja sam po uniewinnieniu, nawet Stefan zrobił mi krzywdę: „Jesteś nadal niebezpiecznym człowiekiem”. Biedny Stefan, jego mózg jest przepracowany, a w dodatku jeszcze ta jego dziwaczna teoria na temat Chrystusa! Nie, chyba Stefanowi brak piątej klepki.

Wiązka promieni zaczęła się znów kurczyć.

A prawdopodobieństwa, Brage, prawdopodobieństwa są tak liczne i przekonujące, że można je traktować jako dowód. Kuci na cztery nogi prawnicy potrafili zaprowadzić ludzi pod szubienicę, operując znacznie skromniejszym zapasem prawdopodobieństw, niż ty masz do dyspozycji – poszlaki mówiące, że Szatan dybał na twoje życie, zgwałcił Siv, a potem ją zabił. Nie zapominaj o tych siedemdziesięciu kilometrach, Brage, i pamiętaj, jaki Szatan jest inteligentny. Cztery lata siedziałeś w kryminale.

Na koniec widziałem w kręgu światła tylko Szatana oraz krzywdy i szkody, które mi wyrządził.

Widziałem go w postaci obrzydliwej i jadowitej muchy plujki, a z każdym krokiem znów wzrastała we mnie wściekłość i rozgoryczenie i język powtarzał te same argumenty: wyrok jest sprawiedliwy, a w braku innego sądu mam pełne prawo wziąć sprawę we własne ręce i ukarać Szatana za zniszczenie życia Siv i mego życia. Teraz obciążałem go odpowiedzialnością absolutnie za wszystko, łącznie z opinią biegłego psychiatry; on wyrzył mi na czole znak Kaina i napiętnował mnie na całe życie jako wybuchowego psychopate, człowieka o instynktach przestępczych, bez czci i wiary. On był temu winien, nikt inny, bo on był pierwszym powodem, z którego powstały inne powody. I jeśli istnieje biblijny Bóg, to Szatan, a nie ja, powinien nosić kainowe piętno na czole, aby wszyscy wiedzieli, kim jest, i ścierając go z powierzchni ziemi, nie pomogli mu tym uciec przed bożym przekleństwem. Lecz biblijny Bóg istnieje tylko w Biblii, dlatego Szatan powinien być starty z powierzchni ziemi. Oko za oko, ząb za ząb!

Ogarniała mnie coraz większa wściekłość i w końcu ponownie wydałem wyrok, ale tym razem dalej sięgający; liczyłem się również z tym, że pogotowie górskie ze swoją insuliną może zdążyć na czas i uratować Szatana, a więc udaremnić moją karę. W takim jednak wypadku wydam wy-

rok, stojąc z nim oko w oko i zarzną go jak barana. Aaa, ostrzygę mu włosy, zaniosę go do zimnej piwnicy, ogłuszę obuchem siekiery, poczuję skurcz przebiegający przez jego ciało, będę go mocno trzymał między kolanami, natnę mu skórę na szyi, dostanę się do głównej tętnicy i przedziurawię ją ostrym końcem noża, tak aby krew ściekała do kuba na pomyje, godne dla niej miejsce.

Tak, moje pragnienie zemsty nie miało granic. Ale trzeba zwrócić uwagę na fakt, że w dalszym ciągu wlokłem się naprzód, niosąc w plecaku nadającą się do użytku insulinę. Ten fakt jest naprawdę interesujący, bo przecież właśnie postanowiłem zatrzymać się i wpuścić zimne powietrze do termosu.

Możliwe, iż gorączka i zmęczenie tak mnie osłabiły i oszołomiły, że zapomniałem wykonać to postanowienie. Nie jest jednak również wykluczone, iż nieco mniejsze otępienie połączyło się z przeświadczeniem, że swoim działaniem już go zabiłem, to znaczy że insulina została zniszczona, wobec tego nie muszę zatrzymywać się i powtarzać tego, co zostało zrobione. A właściwie nie interesowałem się już insuliną, bo – choć jeszcze nie chciałem lub nie mogłem sam sobie do tego się przyznać – zamierzałem zarznąć go jak barana. Na szczęście istnieją również inne możliwości, na

przykład taka: wybuch gniewu już minął, wyładował się w myślach o zarzynaniu, przyszło natomiast obrzydzenie do własnego okrucieństwa. Z drugiej jednak strony to przypuszczenie nie da się utrzymać, bo całkiem możliwe, że powtórzenie wyroku śmierci nie było wcale decyzją, a myśli o zarzynaniu nie były objawem wybuchu, tylko częścią dialogu między skłonnością do gwałtu, a skłonnością przeciwną, i że ta przeciwna skłonność wzięła górę, nie dopuszczając do nowego wybuchu. Najprawdopodobniej więc miała miejsce wzmożona czynność mózgu, z której nie zdawałem sobie sprawy, a która tak mnie zaabsorbowała, iż zapomniałem o insulinie. Uważam to za całkiem prawdopodobne, ale równie prawdopodobne jest i to, że istniało wiele innych chaotycznych możliwości, a ponadto mogła wchodzić w rachubę wątpliwość co do słuszności mego własnego postępowania, i z tych wszystkich powodów szedłem dalej, aby nie stracić szansy uratowania Benteina. Może myślałem tak: Wiem, że insulina nadaje się do użytku, wiem, że idę dalej, a robię to, bo miotają mną cholerne wątpliwości, a każda wątpliwość powinna przemawiać na korzyść oskarżonego. Dopóki wątpię, dopóty muszę iść dalej. Ponieważ jednak nie pamiętam, co zaszło w pierwszych minutach po pojawieniu się myśli o zarzynaniu, nie

mogę stwierdzić nic określonego, mogę tylko przyjąć każdą możliwość za równie prawdopodobną.

Powtarzam ostatnią możliwość. Jest szczególnie fascynująca ze względu na to, co potem nastąpiło, ale nie twierdzę, że musi być oczywista, choć na taką wygląda.

W więzieniu przestudiowałem stosunkowo dokładnie jedną książkę – Biblię. Dotyczy to szczególnie Nowego Testamentu, ale wgłębiałem się też w Stary Testament i w porównaniu z innymi książkami Biblia wydawała mi się czymś żywym. Poprzednio, obok ściany Örnebre, wielokrotnie powtarzałem słowa Mojżesza „oko za oko, ząb za ząb”, a teraz nie wykluczam możliwości, że te słowa stały się podstawą skojarzeń, które mnie, świadomie lub nieświadomie, tak mocno zajmowały, iż zapomniałem o insulinie i na pół przytomny szedłem dalej. Może słowa „oko za oko, ząb za ząb” miały bezpośredni związek z tym, co nastąpiło, i dlatego zapomniałem o insulinie, ale równie dobrze mogłem o niej zapomnieć z innego powodu, a to, co nastąpiło, zrodziło się z „czegoś innego”.

O ile pamiętam, wdałem się w rozmowę z Chrystusem. Podkreślam jako okoliczność specjalnie interesującą, że Chrystus przemawiał do mnie i ja do niego tak, jakbym się już zatrzymał w celu zniszczenia insuliny, choć w rzeczywistości wlo-

kłem się dalej. W tym wypadku pamięć mnie nie zawodzi. Cały czas szedłem, rozmawiając z Chrystusem ukrytym w głębi mojej jaźni.

A Chrystus we mnie mówił:

– Nadstaw drugi policzek, a temu, który chce się z tobą prawować i suknię twoją wziąć, puść i płaszcz, a kto by cię kolwiek zmuszał na miłą, pójdź z nim dwie.

– Bardzo pięknie – odparłem ironicznie. – Chciałbyś mi przypiąć anielskie skrzydła, co? Ale ja nie mam skrzydeł, nie przyszedłem tu z nieba, wydaję wyrok dlatego, bo nie jestem w niebie i nie wierzę w żadne niebo.

– Wobec tego zwracam się do ciebie jak człowiek do człowieka. Dlaczego widzisz źdźbło w oku Benteina, a belki w oku twoim nie widzisz?

– Widzę ją! Wiem, że burzę, że stosuję burzycielską siłę!

– Obłudniku! Wyrzuć wpierw belkę z oka twego, a wtedy przejrzysz, abyś wyrzucił źdźbło z oka Benteina!

– Belka w moim oku powstała z źdźbła w oku Benteina.

– Kto to mówi?

– Ja!

– Kim jesteś ty, który mówisz, że stworzyłeś świat i życie na nim? Kim jesteś ty, który mówisz,

że wiesz, kiedy nadejdzie zło?

– Wierzę w prawa Mojżesza! On przemawia po męsku! Mocno!

Ty, Chrystusie, przyszedłeś i chciałeś złagodzić religię, pozbawić ją zębów, opiekować się słabymi i chronić wszelkie draństwo, zbójców, grzeszników, różne tałałajstwo. Starzy patriarchowie postępowali zgodnie z twardymi prawami życia. Ty kierujesz się marzeniem. Nie wierzę w ciebie, gdy skłaniasz mnie do wyrzeczeń. Wierzę ci tylko wtedy, gdy mówisz o cierpieniu.

– Chcę, żebyś się poddał cierpieniu.

– To jest gorsze niż cierpienie! To potworne! Jestem człowiekiem! Cechą człowieka jest bunt przeciw cierpieniu! Nikt nie może bezkarnie wyrządzać krzywdy bliźniemu!

– Teraz ty wyrządzasz krzywdę swemu bliźniemu.

– On wyrządził krzywdę Siv! I mnie! Zostaw mnie, Chrystusie! Nie możesz ode mnie wymagać aż tak wiele! Zostaw mnie, Chrystusie! Żądasz zbyt wiele!

– Od ciebie mogę wymagać wiele, bo wiele zostało ci dane. Od ciebie należy żądać tym więcej, bo zostałeś szczerze obdarzony.

– Co to znaczy? Dane wiele, żebym mógł? Obdarzony szczerze, aby pokazać, że mogę, tak, że

znajdę się z tobą w raju?

– Weź swój krzyż i naśladowaj mnie, a usłyszysz odpowiedź.

– Uciekasz! – krzyknąłem. – Gdy błagam o rozsądne słowo, o logikę, ty traktujesz mnie piękną poezją! Jego należy ukarać!

– Pójdź!

– Ukarać!

– Pójdź!

– Ukarać, aby na świecie było o jednego złego człowieka mniej!

– Pomóc, aby na świecie było o jednego dobrego człowieka więcej!

– Kara! Kara! Kara!

– Biada! Biada! Biada! Biada tobie! Biada światu. Albowiem powstanie naród przeciw narodowi i królestwo przeciwko królestwu, dzieć się będą straszne rzeczy i wielkie znaki ukazać się na niebie. Dlatego powiadam wam: szczęśliwe niepłodne i żywoty, które nie rodziły, i piersi, które nie karmiły!

– Tak, szczęśliwe, szczęśliwe! I ja dziękuję, że jestem bezdzietny. Nic mnie nie zadziwi! Słyszysz? Nic a nic mnie nie zdziwi, jeżeli świat zadrzy w posadach! Niech drzy i wstaje, powiadam! Niech ludzkość sama się wytępi! Ja jej nie stworzyłem! Nie ja ponoszę odpowiedzialność!

– Jesteś współtwórcą!

– Nie, nie! – krzyknąłem w głębokiej rozpacz. – To kłamstwo!

A Chrystus odpowiedział:

– Patrz: zostałeś stworzony. Zauważ: zostałeś stworzony ułomnym. Próbuj zaprzeczyć, że tkwią w tobie zdolności do tego, aby walczyć o pełnię swego jestestwa. Dlatego jesteś człowiekiem, a nie zwierzęciem. Dlatego jesteś współtwórcą siebie samego i otaczającego cię świata. Dlatego jesteś współodpowiedzialny i współwinny. Pójdź! Pójdź! Naśladuj mnie! Uwolnij się od winy!

– O, moja przeklęta głowa! Moja głowa! Do cholery, co to za głupia rozmowa! Czy nie mogę być sam? Czy muszę szukać podpory? Czy nie mogę burzyć i budować od nowa o własnych siłach? Czy nie jestem kolosem?

Skrzyp, skrzyp! – skrzypiało pod moimi nartami. Rzyp, rzyp! – odpowiadało echo. Szczyt Örnebre był blisko.

Dłużej nie mogłem tego znosić. Z odrazą i pogardą dla samego siebie ukląknąłem i chciałem uwierzyć, że jakiś Bóg doświadczył mnie i ukarał. Pokornie chciałem się przed nim wyświadczać, jako grzesznik, i błagać go, aby mi pomógł w walce przeciw tkwiącemu we mnie złu. Modliłem się tak:

– Panie! Odpuść mi moje winy, jako ja odpusz-

czam Benteinowi, i nie wódź mnie więcej na pokuszenie, ale mnie zbaw ode złego, bo Ty jesteś wszechmocny, wszechwiedzący i przełaskawy, i królestwo jest Twoje, siła i chwała na wieki. Amen.

Krótką ma być modlitwa, gdyż Chrystus powiedział: „...albowiem wie Ojciec wasz, czego potrzebujecie, pierwej, niżbyście go prosili”.

W takim razie po co mam się do niego modlić? Żeby się upokorzyć? Żeby poddać się jego żądzy władzy i tarzać się w prochu, tarzać się jak masochista i przyznawać się, że jestem człowiekiem brudnym i skalanym?

O, ten niesympatyczny Bóg, stworzony przez słabych, ambitnych ludzi! Nie chcę o nim słyszeć. Nie chcę słyszeć o tym ludzkim tworze!

Nie chciałem o nim słyszeć. Czy więc modlitwa byłaby krótka, czy długa, nie mogła mi nic dać, bo od razu usłyszałem, jak głupio brzmiała, i wstydzilem się, wstydzilem się i przeklinałem ją. Dlaczego miałbym się modlić do wyższej władzy, której wszechmoc, wszechwiedzę i dobroć uważałem za rzecz sprzeczną z rozsądkiem i absurdalną? Dlaczego mam padać na kolana właśnie przed nią? Czy nie powinienem korzystać z własnej zdolności myślenia, mej największej zdolności, która wynosi mnie ponad zwierzęta? Czy mam się sam

degradować i padać na kolana przed absurdem?

Nie!

Nie nadawaj imienia tajemnicy! Nie wmawiaj sobie, że potrafisz wyjaśnić coś, czego nie znasz, i klękaj tylko i wyłącznie przed rozsądkiem swego sumienia! A jeżeli tajemnica jest jakimś Bogiem, będzie cię najwyżej cenić wtedy, gdy będziesz tworzył samoistnie, bez nadziei na nagrodę i bez strachu przed karą!

Tak!

Wstań, Bragesson! Cała odpowiedzialność ciąży na tobie, również twoja jest cała chwała i niesława! Kieruj się dalej tymi zasadami! To jest twoja ludzka wartość! To jest twoja duma!

Nie mogłem stworzyć samego siebie, lecz jestem współtwórcą tajemnicy. Oczywiście prawda: Brage Bragesson jest współtwórcą, i teraz śmiało przyjmuję wyzwanie, które mi rzuca tajemnica. Widzę i rozumiem to, co zrobiłem, i teraz stworzę siebie samego i zwalczę obrzydliwe zło bez bzdur opartych na iluzji, bez jakiegoś określonego Boga, bez pomocy! Sam tego dokonam! Sam! Może ugnę się pod ciężarem, lecz i tak będę szedł naprzód.

Bo tego chcę!

Dzięki należą się jednak Chrystusowi za jego rękę wyciągniętą ku słabym. Jest największym człowiekiem. Temu zaś, kto sam potrafi utrzymać

się na nogach, ujawnia się jako nadczłowiek!

Leżąc w śniegu marzyłem, aby być lepszym. W myślach byłem już znów w drodze, wkrótce miałem otworzyć drzwi szalasu Björnehiet i powiedzieć:

– Przynoszę insulinę. Czy on żyje?

– Tak.

– Dziękuję. Cieszę się. Dobry uczynek był wystarczającym bodźcem.

O, jak pięknie! O, jak dumnie! I ja, Brage Brage-sson, tego dokonam!

Wstań, kolosie!

WSTAŃ, KOLOSIE!

I kolos wstał, i zapłakał, głęboko sobą wzruszony. Potem powlókł się w dalszą drogę.

– Stworzyć samego siebie! Stworzyć samego siebie! Ja jestem panem! Olbrzymem! Człowiekiem! Kolosem! Kolosem!

Szedłem jednak jak na glinianych nogach. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie gonilem resztkami sił, podtrzymywała mnie tylko wola dokonania rzeczy niemożliwej. Na tym zadaniu skupiłem całą świadomość, a woli pomagało konstruktywne marzenie o samym sobie. Ciągle na nowo przeżywałem moment przybycia do Björnehiet i czułem się

coraz bardziej zobowiązany. Marzenie stało się miernikiem, do którego musiałem i chciałem doróść, aby nie stracić szacunku dla samego siebie. Nie było więc dla mnie drogi odwrotu, bierna postawa nie wchodziła w rachubę, bo niewykonanie zadania równałoby się w tym wypadku burzeniu.

Po wydostaniu się z tego piekielnego kotła moralnych skrupułów nadeszła jednak reakcja, nerwy padły ofiarą mego własnego marzenia. Czułem się nagi i bezbronny w obliczu wielkości zadania; marzenie wzruszyło mnie bardziej, niż mogło mi to wyjść na dobre; jakiś dziwny, ekstatyczny śmiech wydobył mi się z gardła i nie mogłem wyzwoić się od niego, choć zdawałem sobie sprawę, że to mnie do reszty wykończy. Śmiałem się i śmiałem jak pijany i wyobrażałem sobie, że wędruję po białym wypełnionym muzyką raj. Ze wsząd słyszałem przepiękne dźwięki; kantaty śnieżne i mroźne, kantaty na moją cześć!

Okropnie marzłem. Zapewne gorączka rosła. Chciałem zwiększyć szybkość, lecz nadaremnie, nogi ulegały tylko własnym nakazom powolnego tempa. W ogóle dziwne, że mogłem się na nich utrzymać, robiłem kroczyki jak małe dziecko, a stóp prawie nie czułem. Dwa ciężary, które nogi z trudem wlokły za sobą. Nic mnie to jednak nie obchodziło. Wszystkie dręczące mnie plagi traktowałem

jakby z bezpiecznego dystansu, jakby one nie mnie dotyczyły, bo przebywałem w jakimś bezpiecznym pomieszczeniu, skąd sennie obserwowałem, co przeżywa moje ciało.

Która godzina? Jeszcze był dzień, mroźny dzień, a zbliżając się do szczytu Örnebre i miejsca wystawionego na bezlitosne ataki wichury mogłem stwierdzić, że bogowie pogody nadal nie zamierzali okazać mi litości. Nie oczekiwałem zresztą litości, raczej okrucieństwa. Chciałem tego okrucieństwa, pragnąłem cierpienia. I śmiałem się jak w ekstazie. Widocznie istnieje taki chorobliwy stan, który u pewnych jednostek staje się przeżyciem religijnym i prowadzi do Boga wszechmocnego, przedobrego i wszechwiedzącego.

Już poprzednio wspomniałem, że w tym czasie burza śnieżna wyraźnie przycichła. Przy moim osłabieniu wydawała mi się jednak ciągle tak samo gwałtowna, a gdy dotarłem na szczyt Örnebre, poryw wiatru zwałił mnie z nóg. Wygramoliłem się ze śniegu i wziąłem się za bary z wichurą, ale od tej chwili już się więcej nie śmiałem.

Podczas szybkiego zjazdu na mokradła upadłem, złamałem obie narty i skręciłem nogę w kostce. Jestem pewien, że się przy tym nawet nie skrzywiłem. Odczuwałem tylko tępą senność i wiedziałem, że muszę ją przetrwać.

Złamały się obydwie narty, ale aluminiowy szpic przymocowany do uszkodzonej poprzednio deski był cały i gdyby moje ręce nadawały się do takiej pracy, mógłbym sporządzić coś w rodzaju nart do chodzenia. Próbowałem iść dalej na resztkach desek, aby się zbyt głęboko nie zapadać w śnieg, lecz skręcona noga dawała mi się we znaki, a wichur dalej urządzał sobie ze mnie igraszkę.

Nadeszło najgorsze. Musiałem iść pieszo. Pieszo zimą w górach! W głębokim śniegu! W burzę! Czegoś takiego nikt nie potrafi opisać.

No cóż, odpiąłem szczątki obu nart i powlokłem się dalej o jedynym kiju, kulejąc mocno, lecz z nadzieją, że poniżej, na mokradłach, trafię na płaski teren, z którego wiatr zwiął śnieg.

Posuwałem się naprzód powoli i z wysiłkiem. O, jak wolno! Kompas miałem ciągle nastawiony na Björnehiet i chciałem się pedantycznie trzymać jego wskazań.

Wichura dalej mnie przewracała, ale nie tak często, jak przy próbie posuwania się na szczątkach desek. A śnieg – śnieg padał ruchem wirowym, padał zygzakami, padał pędzącym strumieniem, padał gęsto jak kłęby dymu. Zanim dotarłem do mokradła, musiałem przebrnąć przez zaspę, które wiatr uformował na stoku. Raz wpadłem w śnieg po samą szyję.

Zgodnie z przewidywaniem, na mokradłach było mniej śniegu i twardsza powierzchnia. Wlokłem się mokry, zlany zimnym potem, szcękając zębami. Nogi miałem jak z galarety. Bałem się, że w każdej chwili mogę klapnąć jak źle przygotowany pudding.

Zadzwoiłem zębami i zwymiotowałem, nie mogąc przy tym opanować drżenia twarzy. Głowa wydawała mi się ciężka jak cały glob ziemski. W końcu skrzycona noga zmusiła mnie do zrezygnowania z normalnej postawy. Zacząłem pełznąć na czworakach.

I patrzcie, szło mi to prędzej niż kulenie. Uszkodzoną nogę wlokłem za sobą, a choć trzeszczało mi w jednym barku, posuwałem się szybciej. Chciało mi się śmiać. Czołganie się i pełzanie jest szybsze!

Ale co to? Co to jest? Czy to nie jakaś sylwetka znika tam we mgle na prawo? Złudzenie optyczne czy pogotowie górskie?

Hau, hau, hej, pieski! Do nogi, kundle! Chodźcie do wujka Bragego!

Nie, nie można ich odrywać, niech wpierw spełnią swoją misję!

Zaczekaj, ale przecież tu chodzi o życie lub śmierć. Zawołaj na nich.

– Hej, ludzie! Hej, wy tam!

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie przyszedł. Jeżeli

to była ekipa ratownicza, szli w złym kierunku. Przecież szli do Nordablaas, nieprawda?

Zacząłem pełznąć na wyścigi z nimi. Ja pierwszy! Hej! Hej!

W pewnej chwili zapomniałem spojrzeć na kompas i zapędziłem się na sam kraj urwiska nad doliną Langfjell. Mało brakowało, a byłbym zakończył życie tam na dole, u stóp czterystametrowej ściany.

Nieuwaga. Mogłem dostrzec kraj urwiska z odległości kilku metrów.

Posiedziałem chwilę nad przepaścią, szcękając zębami. Spojrzałem w dół. Jak łatwo byłoby zgubić tu plecak; wystarczy go zdjąć i bezmyślnie położyć na brzegu, a wiatr wkrótce zrobi swoje.

Ej!

Zdecydowałem się na niebezpieczne ryzyko. Opróżniłem plecak, zostawiając w nim tylko termos z insuliną. Śpiwór, narzędzia i wszystkie inne rzeczy, które mogły mi pomóc przy ratowaniu życia, poleciały w dół urwiska. Przy tej czynności stwierdziłem, że mam gołą jedną rękę. Gdzie jest rękawica? Gdzie jest pokrowiec? Zniknęły.

Prawie nie miałem czucia w tej ręce. Owinąłem ją szalikiem, ryzykując trzydniowy ból gardła z kichaniem i kaszlem.

Droga powrotu została więc odcięta. Musiałem

jak najszybciej dotrzeć do celu, nie tylko ze względu na Benteina, lecz również ze względu na siebie. Jeżeli nie dojdę w możliwie najkrótszym czasie, koniec ze mną.

Ciągle jeszcze mogłem zniszczyć insulinę, ale od tej chwili byłby to krok zupełnie absurdalny. Zdawszy sobie bowiem sprawę, że szalaś Björnehiet stanowił teraz i dla mnie jedyną szansę ratunku, pierwszy raz zrozumiałem, czym jest śmierć. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, jak bardzo bezlitosne jest białe piekło, które mnie otacza. Nie ma z niego odwrotu. Nie ma. Nie ma. Pozostaje – nicłość. Sztywne, nieruchome ciało, zamrożone w jakimś ruchu, który przypomina o życiu.

Bentein i ja znaleźliśmy się teraz w tym samym worku, i teraz, dopiero teraz, jego nieszczęsne położenie stanęło mi w oczach z całą okrutną wyrazistością. Staliśmy się towarzyszami niedoli: dwu ludzi, którzy mimo wszystko, mimo wszystko chcą żyć. „Czerwony Amsterdam”, więzienie, żal, pretensje, podejrzenia – wszystko straciło znaczenie w porównaniu ze śmiercią. Obaj staliśmy się towarzyszami walki, uporczywie broniącymi się przed wspólnym wrogiem.

Zaryzykowałem jeszcze jedno. Postanowiłem iść krajem przepaści, o dwa metry od brzegu. Gdzie

kończy się urwisko, tam zaczyna się ostatnie podejście do Björnehiet, zwykły pagórek, nic więcej. Byle wytrzymać i uważać na brzeg, który posłuży za najlepszy drogowskaz, choć równocześnie stanowi największe niebezpieczeństwo. Mój Boże, jedno niebezpieczeństwo więcej czy mniej w tych warunkach...

Nie daj się. Nie daj się. Jeszcze tylko kilka metrów.

Kilometr.

Mój największy wróg – czy to ten brzeg? Nie. Senność. Chce mnie bezboleśnie ukołysać i oddać w ramiona śmierci. Gdy w pewnej chwili położyłem się, aby trochę odetchnąć, natychmiast zasnąłem. Nie mam zupełnie pojęcia, co mnie obudziło i tym samym uratowało mi życie.

Wlokłem się na czworakach dalej i po pewnym czasie opanowało mnie uczucie zupełnej obojętności. Tak przecież przyjemnie położyć się i zasnąć. Dlaczego nie mam tego zrobić, dlaczego nie położyć kresu wszystkiemu? Umrzeć na miękkiej, białej poduszce snów, ukołyszany szumem wiatru i morza...

Bałem się przecież śmierci. Co się więc stało? Czy strach przed nią ustąpił?

Nie pamiętam, pęłłem dalej i zacząłem mieć fantastyczne przywidzenia. Pojawiły się kolorowe

obrazy, jeden z nich potrafię odtworzyć w całości: Chrystus.

Rzecz oczywista, że to gorączkowa fantazja płatała mi figle, ale rodziła się ona z czegoś realnego; z myśli, że Nazarejczyk cierpiał za swych współbliźnich po to, aby zo stać w ich oczach synem bożym, zbliżyć do nich tego niewytłumaczalnego Boga, czynić go bardziej ludzkim i zrozumiałym, pocieszyć, przynieść ulgę burzycielowi i twórcy, a ukarać człowieka biernego. Ten Chrystus, którego widziałem, był tylko niezwykłym człowiekiem, przewidującym swą rolę i swe możliwości na przestrzeni tysięcy lat i pragnący raz na zawsze obalić Mojżeszowe prawo „oko za oko, ząb za ząb”, zastępując je zasadą „zdrowi nie potrzebują lekarza, jeno ci, którzy cierpią”. Gorączkowa fantazja, czy nie, obraz Chrystusa pomagał mi w walce z sennością i dlatego przypominam sobie taki widok:

Najpierw ujrzałem krzyż. Posuwał się przede mną wśród zamieci. Nie sprowadził mnie z drogi, prawdopodobnie dlatego, że chciałem utrzymać właściwy kierunek.

Przetarłem oczy, ale zjawa nie znikwała. Krzyż był ciągle przede mną.

– Hej! – krzyknąłem. – Ty tam!

Brak odpowiedzi, czołgałem się więc dalej. Krzyż nadal mnie poprzedzał. Krzyż, widziałem to

najwyraźniej.

Nagle dostrzegłem! Aż mnie ciarki przeszły! Ktoś szedł pod krzyżem! Ktoś go niósł! Ktoś ugiął się pod jego ciężarem.

– Chrystusie! – zawołałem. – Czy to ty? Połóż krzyż! Ludzie na to nie zasłużyli!

Żadnej odpowiedzi, a krzyż i niosąca go postać posuwały się dalej, bo ja robiłem to samo.

Popelzłem szybciej:

– Zaczekaj! Zaczekaj! Weź mnie do raju! Weź mnie do raju!

Ty egoisto, powiedział wewnętrzny głos. Patrzcie go! Spieszno ci do raju, co? Jesteś taki sam jak inni, słaby, śmieszny i spragniony towarzystwa!

Uspokój się. Spokojnie. Trzeba w każdym razie iść za krzyżem.

– Za nim, Brage!

A krzyż zniknął, znów się pojawiał, zniknął ponownie i za chwilę wyłaniał się z zamieci, ciągle na mojej drodze. Z lunatyczną pewnością siebie trzymałem się w bezpiecznej odległości od brzegu urwiska nad doliną Langfjell.

Skąd brałem siły? I jak wytłumaczyć tę radość, która mnie przepełniała, bo sam z własnej woli chciałem iść śladem krzyża?

Znalazłem towarzystwo, dlatego przepełniała mnie radość. Wierzyłem, że ten towarzysz podróży

pomaga mi, albo chciałem w to wierzyć, dlatego się cieszyłem. Czułem się twórcą, urzeczywistnieniem marzeń o lepszym człowieku, czułem się uroczyście i wzniosłe. Stąd radość. Udawać więcej, niż ma się prawo, niż jest naprawdę.

Ale była w tym i korzyść wyższego rodzaju: obraz kroczącego przede mną Chrystusa wyrażał coś szlachetniejszego we mnie samym, coś mobilizującego resztki sił, tak że dotarłem jednak do Björnehiet, wlokąc się na czworakach, jak zwierzę.

Nie miałem siły otworzyć drzwi. Próbowałem zastukać, ale wicher zagłuszył stukanie; nikt nie otwierał. Zwalilem się w śnieg, aby zebrać siły do krzyku.

Zaczerpnąłem powietrza i krzyknąłem. Rozległ się urywany śmiech.

Krzyknąłem ponownie. Potem czekałem. Przygotowywałem się do nowego krzyku, nie, do szaleńczego ryku.

Wkrótce otwarły się drzwi i padł na mnie snop światła. W szparze dostrzegłem sylwetkę Chudego.

– Coś musiało ci się przywidzieć, Sigurd – dosłyszałem głos Elzy.

„Głupia gęś!”, pomyślałem.

– Cicho! – odparł Chudy. – Mogę przysiąc, że coś słyszałem.

– To tylko wiatr – gęgała dalej Elza.

– Bądź chwilę cicho, proszę cię!

Zrozumiałem, że trudno mnie odróżnić od śniegu, taki jestem biały. Jeszcze raz zawołałem, usłyszeli mnie i przybiegli.

Wnieśli mnie do środka. Musiałem wyglądać okropnie, patrzyli na mnie, jakby własnym oczom nie wierzyli.

– Czy Bentein żyje? – spytałem, przypominając sobie marzenie o lepszym Bragem.

– Żyje, Brage! Udało ci się! Jest nieprzytomny, ale jestem pewien, że go uratujemy!

– Wobec tego jestem zadowolony – odparłem.

– Elza! Przygotuj wszystko, żeby dać Benteinowi zastrzyk. Ja muszę się najpierw zająć Bragem. Spiesz się, szybko!

Od tej chwili nie musiałem więcej wyteżać woli i momentalnie wszystko przestało dla mnie istnieć. Od czasu do czasu wracała jednak świadomość i wtedy słyszałem oderwane słowa i zdania.

– Ostrożnie.

– But nie da się zdjąć.

– Muszę go przeciąć.

– Odsuń się trochę.

– Dobrze.

– Tu.

– Co ty robisz? Nie ruszaj go!

- Chciałam tylko...
- To najgorsze, co można zrobić. Trzeba go ogrzewać bardzo wolno i stopniowo.
- Masaż.
- Bardzo lekki masaż – wtrąciłem. – Bardzo delikatnie.
- Ostrożnie.
- Nie tykaj ucha. Może odpaść.
- Spójrz na nogi. Co to jest?
- Nie przejmuj się tym. Pomóż mi.
- Boję się na to patrzeć.
- Głupstwa. Rób tak, jak mówię.
- Bentein.
- Na pewno się wyliże.
- Teraz ostrożnie. Unieś.
- Bzzzzz.
- Ile tych sińców.
- Cały potłuczony.
- ...upadków.
- Bzzzzz.
- Miseczkę.
- Bzzzzz.
- Podaj gazę. Przygotuj się na...
- Bzzzzz.

Wieczność rozplynęła się w nicości. Gdy się ocknałem, leżałem prawie nagi na stole. Chudy miał na sobie białe fartuch. Na taborecie zobaczyłem

naczynie z wodą i coś jeszcze. Lampa była opuszczona, wisiała tuż nad moją ręką.

– Rób, co ci mówię, możesz patrzeć gdzie indziej, ale trzymaj go z całej siły za nadgarstek!

– Wszystko ma swoje granice – mruknąłem, rozumiejąc, co nastąpi.

– O, żyjesz? He, he! Kto by pomyślał. Co ma wisieć...

Chudy był zdenerwowany. Ja też się zdenerwowałem.

– Hej! Chudy! Co ty właściwie robisz?

– Nic, masz tylko wysoką gorączkę. Chyba lekkie zapalenie płuc, zobaczymy, ale ty masz tak silny organizm...

Bzzzzz.

– Przykro mi, Brage, ale muszę cię pozbawić kilku palców u rąk i nóg. Ale ciesz się, że nochal będzie cały, he, he!

– Oszalałeś! Zostaw, Chudy!

– Muszę to zrobić. Nie ma czasu do stracenia.

– Nie masz czegoś znieczulającego?

– Mam wrażenie, że mróz znieczulił cię dostatecznie. Prawie nie będziesz czuł. Dlatego musimy zaraz...

– Nie możesz poczekać... szpital...

– Do diabła, to jest gangrena. Nie radzę ci czekać. Musisz się teraz cholernie wziąć w kupę.

Podniósł fiński nóż.

Fiński nóż.

Taki brutalny obrót losu sprawił, że opadła ze mnie cała wielkoduszność, szlachetność i wzniosłość.

– Nie! – wrzasnąłem. – Musisz mnie przywiązać! Uważajcie! Jestem już silniejszy. Będę bił! Brutal z de Rechtbank, przecież wiecie!

Zdjęli mnie ze stołu i położyli na podłodze, potem przykroili kilka rzemiennych pasów i przybili je do desek. Przypominało to ukrzyżowanie, ale nie byłem Chrystusem widzącym swe cierpienia w perspektywie historii świata:

– Bentein! Gdzie jesteś? Słyszysz mnie, draniu? Odezwij się, żebym ci mógł powiedzieć kilka słów prawdy!

– On cię jeszcze nie słyszy.

– Więc jak odzyska przytomność, powiedz mu, że moim zdaniem to bezsens.

– Powiem.

– Powiedz mu tak: to zupełny bezsens, żebym ja dla niego musiał przejść takie rzeczy. To jest niepropor... propor... prop... wbrew zdrowemu rozsądkowi.

– Tak, tak, powiem.

– Powiedz mu tak: Nie chcę od niego podziękowań. Ani słowa na ten temat. Żadnego ple ple

i tym podobnych bujd... nie rzucę się mu wzruszony na szyję. On mnie zniszczył. Zniszczył zupełnie. Takie jest ukoronowanie tego mego... mego bohaterstwa. O, mamó!

Całe otoczenie, łącznie z sufitem i podłogą, zaczęło wirować mi w oczach, a Chudy i Elza wydawali mi się parą duchów.

Według relacji Chudego i szczątków moich własnych wspomnień dalsze wypadki wyglądały tak:

– Połóżcie mnie do wanny! Nalejcie zimnej wody i połóżcie mnie do wanny! Mamó! Tato! Nie mogę ruszać nogami! O, proszę, wsadźcie mnie do wanny! Ciepło jest! Zimnej wody!

Rzucałem się z całej siły, ale rzemienie trzymały.

– Mamó! Tato! Robimy koło młyńskie, koło młyńskie. Robimy... dziecko urodziło się w Betlejem... wszyscy bęc...! Mamó... ręce też! Ręce!

Głosy:

– On chorował kiedyś na... myślę, że... bzzzz... podaj mi... dobrze...

Bolesne impulsy przedostały się z systemu nerwowego do świadomości:

– Mario! Józefie! Ukrzyżowanie! Ukrzyżowanie!

Bzzzz.

– Gdzie jest Piłat? Herod? Maria? Józef? Ukrzyżowani? Gdzie ukrzyżowani?

- Bredzi. Dzięki Bogu.
- Szedłeś przede mną! Pomogłeś mi!
- Psiakrew! Szybko!

Znów jak przez gęstą mgłę zdawałem sobie sprawę, co się dzieje, a myśli kotłowały się w szalonym wirze:

– Nie poddaję się! Możecie mnie torturować! Nie poddam się! Wierzę w człowieka... a jeżeli ty istniejesz... momentalnie... w jednym mgnieniu oka... istniejesz... a jeżeli istniejesz, nie uznaję cię, jeżeli stosujesz przemoc. Jesteś brutalem! Stosujesz przemoc! A jeżeli istniejesz, nie dam się zmusić do pokory, jak pies... możesz mnie więc męczyć, męczyć, męczyć... przeklinam cię, jeżeli istniejesz! Precz z Bogiem! Precz z Bogiem! Precz!

To, na czym leżałem, poruszało się wyraźnie. Była ciemna noc, gdzieś między chmurami można było dojrzeć gwiazdy.

– Ale już wkrótce będziemy w Kvitskaret. Mnóstwo tu śniegu, droga bardzo ciężka. Jak daleko zajechał wóz gąsienicowy? Jesteśmy zmęczeni. Psy też ledwie zipią. Przechodzę na odbiór. – Dobrze. A co z helikopterem? Wiatr jest teraz znośny. Starajcie się! Koniecznie. A teraz poproś doktora Viana. Odbiór. – Wiadomość dla pana, doktorze. Wie-

ziemy chorego, na którym pewien student medycyny dokonał amputacji. Chcę pana uprzedzić, żeby pan mógł przygotować, co potrzeba. Odbiór. – Świetnie. Dziękuję i kończę.

Uniosłem nieco głowę i zobaczyłem przed sobą psy, a obok nich dwu mężczyzn na nartach. Leżałem na saniach, za mną zaś jechał ten gość z krótkofalówką. Próbowałem spojrzeć w tył, ale nie mogłem odwrócić głowy.

– No, Bragesson, jak się czujesz?

– Jak skąpany w wodzie.

– Tak, pocieś się cholernie. Ten gość w szafasie dał ci jakieś tabletki.

– Nic nie czuję.

– Bo zastosowaliśmy ci miejscowe znieczulenie. Niedługo będziesz pod fachową opieką.

– A Bentein?

– Leżysz prawie na nim. Drugi zaprzęg porwała lawina przy Kvitskaret, gdy szliśmy tutaj. Dwa psy zginęły, a jeden z naszych chłopców złamał nogę. Długo grzebaliśmy za nim w śniegu.

– Czy Bentein leży obok mnie?

– Tak, uprzedziliśmy go, żeby ci nie dziękował.

– Tak, tu Andersen, słyszę ciebie. Odbiór. – Bragessona? Dobrze, ale proszę jak najkrócej. Odbiór. – Bragesson, chcę z tobą rozmawiać, ale streszczaj się, bo dość trudno mi trzymać w tej pozycji.

Andersen przyłożył mi słuchawkę do ucha, a mikrofon do ust. Usłyszałem radosny krzyk:

– Wiedziałem! Byłem pewien! Ty zniesiesz wszystko! Wszystko, powiadam! A na telefony i depesze wydałem już kilkaset koron! Mecenas Borovic wyleciał już z Amsterdamu samolotem! Mam od niego depeszę. Brzmi tak: „Brage. Brak mi słów. Stefan”. Różni ludzie telefonowali, twoi przyjaciele i znajomi, a dyrektor Dagestad obiecuje ci ogromną nagrodę! Brage, Brage, Brage! Co za radosna chwila! Co za radość! Wszystkie gazety o tobie piszą! Cała Norwegia czeka na wynik twojej bohaterskiej wyprawy! Dwu dziennikarzy już tu przyjechało, zmęczeni są i przemarznięci, ale możesz mi wierzyć, że zleci się ich tu jeszcze chmara! Jutro twoje nazwisko będzie wszędzie na pierwszych stronach, ogromną czciską! Dyrektor Dagestad przyrzekł ci nagrodę, a ja przeznaczam pięć tysięcy koron na oblanie, pod warunkiem, że też wezmę w tym udział... a teraz czekam tylko na króla! Brage, Brage, właśnie piszę meldunek! Dostaniesz medal za odwagę! Za bohaterstwo! Boha... o, już więcej nie mogę. Odbiór.

– Ja też nie mogę.

– Odbiór – dodał za mnie Andersen.

– Wstydź się. Tak, zajmij się teraz psami, chłopcze. Toruj drogę, masz przecież kolosalną siłę.

W myślach ściskam cię tysiąc razy! Odbiór.

– Proszę posłać dziennikarzy do... do... Odbiór.

– Nie, Brage, teraz nie ma mowy o piekle, wprost przeciwnie. Odbiór.

Andersen:

– Pana to niepotrzebnie męczy, Bragesson. Zakończę rozmowę za pana. Halo. Bragesson skończył. Dziękuję i kończę.

Zacząłem drzeć z zimna. Minęła długa chwila, a mną trzęsło coraz mocniej.

Z boku, tuż obok mego ucha, rozległ się jakiś głos; proszący i drżący, chciał dotrzeć do mego serca.

– Ładna teraz pogoda – brzmiały dziękczynne słowa Benteina.

– Tak – odrzekłem krótko.

Po pewnej chwili Bentein ciągnął dalej:

– Teraz podchodzimy na Kvitskaret.

Tak, był zmiażdżony i w desperacki sposób próbował się wygrzebać.

– Z Kvitskaret zeszła lawina – mówił głosem, w którym brzmiała serdeczna prośba o przebaczenie, tak że czułem się ogromnie zakłopotany; wreszcie zrozumiałem, co go bezustannie prześladowało; w jego słowach dźwięczał ton szczerości, chciał wszystko nadrobić i złożyć wyznanie, odbyć spowiedź. Słyszałem to wyraźnie. W każdej chwili

mógł z tym wystąpić, tak go, biedaka, przyciskało. Dlaczego jednak miałyby mi się z tym naprzykrzać właśnie w tej chwili? Czy to mogłoby mu pomóc? Czy miałyby pomóc mnie? Czy ja mógłbym jemu pomóc? Czy jakiegokolwiek wyjaśnienie mogłoby usprawiedliwić jego postępowanie? Czy w ogóle wyjaśnienia są potrzebne, czy podziękowania i przebaczenie stoją w jakimkolwiek stosunku do tego wszystkiego, co zaszło? Czy jego przeżycia duchowe i wyrzuty sumienia nie są jego własną sprawą, podobnie jak nie powinny go więcej obchodzić moje uczucia? Oczywiście. Jego sprawa, żeby w taki czy inny sposób jakoś się z tego wyłabudał. Sprawa jego własnej godności.

Gorączka rosła, wracały więc chorobliwe sny i majaki. Tymczasem Bentein nie wytrzymał naporu uczuć i wyspowiadał się dokładnie; jakby się biczował i czerpał radość z tego bólu.

Po pewnym czasie rozróżniałem już tylko niektóre słowa, boleśnie intymne wyznania, których nie chciałem przecież słuchać. Byłem zbyt słaby, aby go poprosić o milczenie.

Teraz jednak oświadczam: nie ma słów dość wielkich na to, aby dziękować człowiekowi, który naraził dla kogoś własne życie. Dlatego milcz.

Nie istnieje dostatecznie ważny powód, dla którego można by żądać od kogoś narażania własnego

życia w celu ratowania cudzego. Milcz więc i narażaj swoje własne.

Nie ma żadnego uczciwego motywu działania poza samym działaniem. Wstań i działaj dla działania, a na razie milcz.

Nie istnieje powód, który dostatecznie usprawiedliwiłaby zabójstwo, nawet w obronie koniecznej. Zabij przeciwnika, który ci grozi, ale nie mów później, że miałeś prawo to zrobić. Dlatego milcz, zamknij się w sobie i żałuj – boleję, jeżeli możesz, nad swym wrogiem.

Nie istnieje prawdziwe pocieszenie dla tego, kto stracił kogoś drogiego. Dlatego niezależnie od wiary lub braku wiary ludzie opłakują swych najdroższych. Milcz więc i nikogo nie pocieszaj, nie próbuj rzeczy niemożliwej, nie bądź komarem drażniącym słonia, zostaw bolejącego samemu sobie.

Nie ma na świecie takiego ciężaru, który mógłby przeważać szalę obciążoną śmiercią. To, co chcesz położyć na jednej szali, można zabrać, ale to, co jest na tej drugiej, zawsze będzie ją obciążać.

Milcz więc. I wstań, kolosie!

– Bentein czeka na korytarzu – powiedział mi Stefan w kilka dni później w szpitalu.

– Nie wpuszczaj go tutaj!

– Słaby jest ten, kto nie może przyjąć podziękowania i daru.

– Odeślij go i powiedz, że go wykreśliłem z mego życia. Nic mnie on nie obchodzi. Sam niech się o siebie troszczy. Powiedz mu to i życz mu szczęścia.

– Lecz Gerdę i moje dzieci chciałbyś chyba zobaczyć?

– Tak, poproś ich.

– Hm – skrzywił się w swym typowym uśmiechu i zawołał przez drzwi. Po kolei zjawiała się cała wspaniała rodzina Boroviców. Najpierw weszła Ruth, już teraz czarująca młoda kobieta, tak uderzająco piękna, jak może być tylko Żydówka w tym wieku. Raczej tańczyła niż szła, za nią wpadł ruchliwy Dawid, potem Gerda i Sara, ta ostatnia wyższa i bardziej podlotkowata niż dawniej.

Każde niosło bukiet konwalii, otoczyli mnie rozbawionym i paplającym kołem, jak to potrafi szczęśliwa rodzina.

Niewiele rozumiałem z tego, co mówili. Skupiłem uwagę głównie na kwiatach i wszystkich wspomnieniach, które się z nimi wiązały: uśmiech Siv, jej zaraźliwy śmiech, jej urzekająca wesołość, jej powab... „Dziś bukiet konwalii dla mego najmilszego. Zawsze za mało konwalii dla mego ukochanego. Ty pasujesz do konwalii, Brage. Wyglądają w twoich rękach jak małe dzieci. Wczoraj dostałam bukiet, dziś sama daję. Nasza córka będzie

się nazywać Konwalia. Konwalia Bragesson. Czy to pasuje? Może nie, ale to ładne imię, prawda? Konwalia Bragesson”. – „Kochany, w całym ogrodzie posadzimy konwalie”. – Widzę Siv z konwaliami wpiętymi we włosy, jej oczy śmieją się, jakby chciały współzawodniczyć z kwiatami. „Konwalie, powąchaj! – mówi, pochylając głowę nad moją twarzą. – Konwalie! Konwalie! Nie potrafię nawet powiedzieć, czym dla mnie jesteś. Chcesz mieć konwalię za uchem?” – „Kocham cię, i tak przyjemnie mówić, że cię kocham. A ty czy mnie kochasz? Powąchaj konwalie i powiedz, że tak. O, w ten sposób. Kichnij. A teraz?” – „Tak, Siv, z kwiatami i bez kwiatów”. – „Ale z konwaliami kochasz mnie mocniej”. – „Niemożliwe”. – „O, Brage, tak nie możesz mówić. Powiedz to tak, żebym zrozumiała, że bez konwalii kochałbyś mnie tak samo mocno, ale zdaje ci się, że... jednak mocniej z konwaliami... nie, nie mocniej, ale... o, wy mężczyźni, jesteście tacy okropni!” – „Hej, zaczekaj, Siv, moje kochanie. Konwalie, one ci czegoś dodają, ale tylko pozornie. Coś podkreślają, lecz ja i tak wiem, że to w tobie jest, wiem nawet bez kwiatów”. – „O, Brage, tak ładnie to powiedziałaś. Wiesz, co dostaniesz w nagrodę?” – „Podbiał”. – „Nie, mnóstwo konwalii!” – „Niemożliwe!” – „Leż spokojnie, żebym cię mogła całego obsypać”. – „O, mój słodki

misiu! Konwalie tak pasują do twego ciała, i wiesz, co to znaczy? To znaczy, że nasza córka będzie się nazywać Konwalia Bragesson, nawet gdyby cały świat z nas się śmiał!”

Cha, cha, cha! Ho, ho, ho! Trup Trupson! Trup Trupson! Zdychaj, zdychaj, pocałuj swoją Siv w łono! Zdychaj, zdychaj, nie stawiaj się! Pochędoż mnie, potem urodzę ci...

– Brage? Brage?

To mówiła Ruth.

– Słucham, Ruth.

Wszyscy ucichli i patrzyli na mnie.

– Wiesz co, Brage? Tata nie chodzi już do sądu. Teraz tylko pisze książkę. Wiesz, jaki będzie tytuł? „Burzyciel, zbrodniarz, twórca”.

– Trochę ciężkawy tytuł – usłyszałem głos Stefana – ale pokrywa się z treścią.

Mówili dalej, lecz moje myśli krążyły tylko wokół Siv.

Czas mijał, w końcu stwierdziłem, że wszyscy już wyszli, został tylko Stefan. Niespokojnie krążył po separacie.

– Nie rozumiem, Brage. Wszyscy tak się cieszyli na to spotkanie z tobą, a ty prawie się nie odezwałeś.

– To przez te kwiaty.

– Kwiaty?

– Ulubione kwiaty Siv.

Chwila milczenia.

– O, nie wiedzieliśmy. Mówiłeś, że to twoje ulubione kwiaty.

– Bo były ulubionymi kwiatami Siv.

– Były! Ale nie są! – odparł podniecony, biegnąc dalej po separacie. – To mi się nie podoba. Bądź mężczyzną, Brage. Ona już nie żyje. Weź się w garść, bądź mężczyzną. Nie wyobrażaj sobie, że ty jeden na całym świecie masz powody do smutku. Wielu ludzi dzieli podobny los, wielu znosi go z godnością. To sentymentalizm.

– Stefan, zanim pójdziesz, zrób mi przysługę.

– To już mnie wyrzucasz?

– Ale najpierw zrób mi przysługę.

– Z przyjemnością, Brage. Czy mam wynieść te kwiaty?

– Rozrzucić je po całym łóżku, wszędzie. Na poduszce też. Chcę je wąchać.

– Nic już z nich nie wywąchasz. Skończ z tą dziecinadą. Wiesz chyba, jacy my, obrońcy karni, jesteśmy impulsywni.

– Zrób mi tę przysługę.

– O, gdybym był większy i silniejszy, dostałbyś teraz lanie od Borovica!

– Porozrzucaj je po całym łóżku.

– Sam sobie zadajesz ból! I mnie też!

– Porozrzucaj. Porozrzucaj.

Stefan wziął w końcu wszystkie bukiety i porozrzucał konwalie na kołdrze i na poduszce.

– Rozrzucaj, Stefan, rozrzucaj. Dziękuję ci bardzo. Dobranoc. Stefan niemal wybiegł z separatki.

Zapadł wieczór. Przyszła pielęgniarka.

– Proszę mi zostawić te kwiaty, siostró. Dostałem je od swojej najdroższej.

Kilka minut później majestatycznym krokiem weszła siostra przełożona.

– Czy te kwiaty tak wiele dla pana znaczą?

– Tak.

Skinęła głową.

– Wie pan chyba, że to jest wbrew regulaminowi.

Z kolei ja skinąłem głową.

– I powinniśmy zmierzyć temperaturę, to też pan wie.

Zaśmiałem się głośno:

– Lepiej nie próbować, siostró.

– Powinien pan spać.

– Zaraz zasnę. Na pewno.

Zgasiła światło i wyszła, życząc mi dobrej nocy. Całą noc miałem spokój, a zapach konwalii ukołysał mnie do snu.

Potem przyszła w odwiedziny Siv z naręczem kwiatów.

Obrzuca mnie nimi i uroczyście staje w nogach łóżka. Na jej ustach widać uśmiech. Proszę, aby usiadła obok mnie, ale ona dalej stoi i tylko się uśmiecha. Znów ją proszę, kilkakrotnie to powtarzam, lecz ten uśmiech jest jedyną odpowiedzią. Wyciągam ręce i chcę jej dotknąć, ale nie mogę sięgnąć tak daleko.

Potem pada na nią śnieg. Jest biała, lecz nadal się uśmiecha. Potem świeci słońce, śnieg się topi i woda spływa po całej postaci, lecz ona się uśmiecha. Potem niebo ciemnieje, zapada noc, świeci księżyc i robi się mróz, tak że woda na niej zamara. Nazajutrz znów świeci słońce, ponownie spływa na nią woda, aby potem zamienić się w lód. Płyną dni i płyną noce, coraz to nowa warstwa lodu pokrywa Siv. W noc świętojańską należy już na zawsze do lodu, a ja ją widzę. Uśmiecha się ciągle tak samo.

Potem śnieg pada na mnie. Jestem biały, ale się uśmiecham. Potem świeci słońce, śnieg się topi i woda spływa po całym moim ciele, ale ja się uśmiecham. Potem niebo ciemnieje, zapada noc, świeci księżyc i robi się mróz, tak że woda na mnie zamara. Nazajutrz znów świeci słońce... świeci...
MORZE ŚWIATŁA!

Dziś jest 1 sierpnia 1961 roku. Od burzy śnieżnej minęło już blisko sześć miesięcy, a od śmierci Siv prawie pięć i pół roku. Dotąd jej nie znalazłem.

Jestem tu w górach od 10 czerwca i bez przerwy prowadzę poszukiwania.

Dlaczego muszę ją odnaleźć?

Nie potrafię tego rozsądnie wyjaśnić. Po prostu muszę zobaczyć tę istotę, która była dla mnie samym życiem. Muszę. I kto wie; może to spotkanie rzuci nowe światło na tajemnicę – w moich oczach.

Pod względem fizycznym nie jestem już, rzecz oczywista, tym samym człowiekiem, co przedtem. Od czasu do czasu dokuczają mi bóle w różnych miejscach, a w dodatku przyplątało się coś tak idiotycznego, jak reumatyzm. Brak mi też kilku palców u rąk i nóg, oraz jednego ucha. Mogę nadal chwycić obiema rękami i trzymać nimi dość mocno, mogę jeździć na nartach i używać siekiery lub łopaty, ale te zapiski robię trochę niezgrabnie.

Sposób chodzenia mam teraz inny; nie poruszam się już płynnie, chodzę pochylony trochę do przodu; kroki wydają się nieco staccato, ale jakoś idzie; ogólnie mówiąc, idzie mi wcale dobrze. Trenuję ostrzej niż kiedykolwiek, bo braki fizyczne chcę nadrobić żelazną kondycją.

Tak więc burza śnieżna nie spowodowała na mnie katastrofy w sensie fizycznym. Mam jeszcze

dość sił, aby mieszkać w Nordablaas, choć często mi odradzają. Poczynając od pleciugi. Ten prycha jak rozgniewany leming. Czasami odwiedza mnie tutaj, przybywa wtedy z jucznym koniem i całą świtą, klnąc na długą drogę. Przywozi dużo do jedzenia i picia, urządza w Nordablaas prawdziwe przyjęcie, wygłasza mowy i pociąga mnie za sobą w świat nierealnych marzeń. Każdą wizytę kończy jednak tymi słowami: „Musisz się stąd zabierać przed nadejściem zimy. W hotelu zawsze mam dla ciebie wolny pokój”.

Zastanawiałem się i doszedłem do przekonania, że gdybym miał nazajutrz umrzeć, nie mógłbym się skarżyć na życie. Przeżyłem je w całej pełni, czerpałem z niego pełnymi garściami. Żyłem totalnie, intensywnie, w sposób skoncentrowany. Nie mogę już oczekiwać wiele nowego.

Nie, nie mogę się skarżyć. Spotkałem też wiele przyjaźni i miłości: Siv, Stefan, pleciuga, Johan, Magda, Jompi.

A ile piękna przypadło mi w udziale: Nordablaas, Trollhorn, Skaget, Blaatind, Tvillingene, Dolina Langfjell, masyw Digerhö, Kopa Veslehö. I niebo na górze. Niebo ciągle inne.

Cóż, oczywiście rozumiem, że nie jestem już taki sam. Doświadczyłem tego na urwisku Hampetrosfallet. Udało mi się wdrapać na górę, ale okazało

się to tak męczące, że zrezygnowałem z podobnych prób na przyszłość. Prowiant i wyposażenie transportuję teraz drogą okrężną. Do hotelu chodzę pieszo, a wracam łodzią do Kvitskaret. Zimą pozostanie mi weasel, pojazd na gąsienicach.

Nie, nie jestem już taki, jak przedtem. Czasami chodzę na szczyt Isskapet i spoglądam na Hampetrossefallet. Lina wisi tam jeszcze, ale z upływem czasu zbutwieje i wiatr potarga ją na strzępy.

Postanowiłem, że po znalezieniu Siv zostanę twórcą. Nie wiem tylko, jak to da się urzeczywistnić.

Rozum podyktował mi ten wybór. Ale mam wewnętrzne opory. Mam opory przeciw opuszczaniu Nordablaas. Mam opory przeciw otaczaniu się obcymi ludźmi, przeciw konieczności pomagania im, przeciw wyrzeczeniu się własnych upodobań dla dobra innych. Instynkt dyktuje mi, że reszta świata nie powinna mnie wcale obchodzić.

Podarowałem połowę posiadanych pieniędzy. Przyszło mi to z wielkim trudem. Gdy wręczałem Stefanowi czek, miałem opory. Pieniądze zostały użyte na pomoc dla trędowatych Murzynów w Afryce czy na coś podobnego. Piękna to rzecz, udzielać takiej pomocy, piękna i słuszna, lecz miałem opory; wolałem zostawić pieniądze sobie. Teraz warunki finansowe nie pozwolą mi przebywać

w górach dłużej niż rok. Przez ten czas muszę ją odnaleźć i rozejrzeć się za jakąś pracą. Wzdrygam się na samą myśl o tym.

„Twórcze działanie – mówił Stefan – do którego początkowo musimy się zmuszać, później dominuje i kształtuje nasz charakter. Dobre uczynki wywierają wpływ na człowieka, tak że w końcu pozostaje pod ich błogosławioną tyranią”.

Tak, tak, może to i prawda, ale trudno mi sobie wyobrazić Bragessona gdzie indziej niż tutaj. Czy możliwe, abym był w jakim innym miejscu? Na przykład za biurkiem, na katedrze, w magazynie, przy stałej pracy? Czy w ogóle jest to do pomyślenia? Aż mnie strach oblatuje. Dla takiego jak ja trzeba znaleźć jakieś odpowiednie miejsce. Tylko gdzie? Co mam ze sobą zrobić? „Powinieneś się otrzeć o nędzę i cierpienia – mówił Stefan. – Otoczyć się potrzebującymi wsparcia. Wtedy będziesz musiał im pomagać i będziesz to czynił z radością”. Stefan twierdzi również, że ja sam o tym wiem i że chcę tylko uciec od powołania.

Silny jest ten Stefan. Znacznie silniejszy, niż przypuszczałem. Wolałbym być z nim razem burzycielem.

5 sierpnia. Dni płyną mi teraz bardzo szybko. Lato ledwie się zaczęło, a już zbliża się do końca. Proszę sobie wyobrazić: gdy 10 czerwca przyjecha-

łem w góry, zastałem tu wiosnę bez śladu zieleni, śnieg topniał na nagiej ziemi, która nie zbudziła się jeszcze do życia. Dopiero po świętym Janie rozwinęły się pączki na górskich wierzbach w dolinie Langfjell, a potem przyszło lato, w całej pełni i w całej krasie. Lipiec był ciepły, a noce nieprawdopodobnie jasne. Wkrótce góry znów zmienią szatę, tym razem na jesienną, bo lato ma się ku końcowi. Często pada deszcz, jest dużo mgły i czuję chłodne powiewy. Jednomiesięczne lato. Proszę pomyśleć: tylko jeden miesiąc lata. Pierwszy raz źle się czuję w swoich górach; ogarnia mnie strach przed zimą. Ja, Brage Bragesson, boję się mrozów, śniegu i wichrów, boję się tej walki, w której dawniej wyładowywałem energię życiową. Nie, jestem już nie ten sam. Tęsknię za światłem i ciepłem. Dlatego lato jest dla mnie teraz droższe, łagodniejsze i jaśniejsze, jak Siv. Tak, jakby Siv umarła jeszcze raz.

Wiem, że zima jest także piękna. Góry nigdy nie wyglądają wspanialej niż w zimową noc przy blasku zorzy polarnej. Ta zorza rozciąga się po niebie, rozciąga się i tańczy po niebie, jakby sam Bóg powiewał szalem nad biegunem północnym. Ale wtedy jest zimno, zimno, zimno.

9 sierpnia. Od chwili przybycia w góry przesukałem wiele szczelin na lodowcu Örnebre. Więk-

szość z nich jest teraz dostępna, bo ostatniej zimy spadło niewiele śniegu. To ułatwia mi zadanie. Przy każdej szczelinie zostawiam znak, żeby nie stracić orientacji i nie wracać do tej samej po raz drugi.

Dotąd nie trafiłem na najmniejszy ślad. Ani kółka od kijka narciarskiego, ani nic innego. Pozostało jeszcze wiele szczelin, ale przeważnie nie wchodzi w rachubę; leżą w miejscach prawie niedostępnych i trudno mi uwierzyć, aby jakaś kobieta mogła tam dotrzeć bez pomocy. Przeszukam i te szczeliny, ale najpierw wolę narażać życie w takich, za którymi przemawia większe prawdopodobieństwo. Bo moje przedsięwzięcie jest niebezpieczne, zważywszy, że działam w pojedynkę. Onegdaj zmylił mnie nawis śnieżny w kształcie mostu; myślałem, że śnieg leży na twardym gruncie, a tymczasem most załamał się i wpadłem do szczeliny nieubezpieczony liną. Na szczęście szczelina była wąska i również na szczęście nie zaklino wałem się w niej, jak to mi się zdarzyło przed paru tygodniami. Kilka godzin walczyłem wtedy desperacko, aby się stamtąd wydostać.

To było niedbalstwo. Bo z reguły nie poruszam się po lodowcu bez ubezpieczenia, używam do tego długiej liny i haków. O, Stefan, powinieneś zobaczyć, z jaką naukową precyzją operuję czekaniem,

rakami, hakami i linami, czasem też i łopatką. Bo – widzisz – lodowiec jest jeszcze miejscami pokryty śniegiem, który muszę rozkopywać, aby stwierdzić, czy pod spodem nie ma jakiejś szczeliny. Kopię więc tak długo, aż śnieg się pode mną zapada i leceć przez taką dziurę w dół. Zawsze jednak zatrzymuję się na linie, bo nie zapominam o ubezpieczeniu.

Tak, tak, ciągle szukam Siv, choć wielu kracze, że to daremne. Niektórzy tłumaczą, że lodowiec jest w ciągłym ruchu. Jakbym o tym nie wiedział! Ja, który tyle lat byłem z Örnebre za pan brat! Wiem doskonale, że lodowiec jest w ciągłym ruchu, że jedne szczeliny zamykają się, a powstają nowe. Na własne oczy widziałem, jak zamyka się taka niebieskozielona paszcza! Ilu jest takich, którzy widzieli podobne rzeczy w górach?

Zdaję sobie sprawę, że badam także szczeliny powstałe już po śmierci Siv, jestem jednak święcie przekonany, że ta, w którą wpadła Siv, pozostała dotąd otwarta i niezmieniona. Nie męczę się daremnie.

10 sierpnia. Wielokrotnie przychodziło mi na myśl, że rozwiązaniem dla mnie może być samobójstwo. Za każdym jednak razem już to słowo „samobójstwo” powodowało mdłości. Przypomina mi ono setki mniej lub bardziej głupich pisarzy, któ-

rzy w poszukiwaniu zakończenia dla swych mniej lub bardziej głupich powieści odbierają życie swym mniej lub bardziej głupim bohaterom, każąc im w mniej lub bardziej głupi i teatralny sposób skakać w przepaść lub coś podobnego. Mordują swoich bohaterów, bo sami szamocą się z tym tajemniczym i absurdalnym magnetyzmem śmierci, który wszyscy odczuwamy. Tragedia dostarcza im melodramatycznych emocji, szczególnie w wypadku młodych samobójców, bo to przecież takie żałosne, tyle wzruszeń daje siedzenie przy biurku i ronienie łez nad ukochanym i wybitnym bohaterem, który przenosi się na tamten świat w sposób najbardziej dramatyczny, tragiczny i odważny. Ha, destrukcja zawsze górą!

Niedoważone, błazeńskie tendencje! Proszę spojrzeć na większość tych pisarzy. Sami żyją sobie jak najwygodniej, wcale nie umierają młodo. Nie, wychylają kieliszek koniaku i zabierają się do nowego morderstwa. Gdy zdarzy mi się spotkać takiego pisarza, w myślach zawsze tak do niego przemawiam: „Hej, ty tam, ty z butelką pod pachą! Okaż się mężczyzną. Idź i odbierz sobie życie! Nie, jesteś na to zbyt tchórzliwy, za bardzo lubisz dobrze zjeść i wypić, kawiarnia, w której bywasz stale, jest w gruncie rzeczy tak wygodna, twoja kobieta taka miękka, choć trochę się kłóćcie, a pod

ciepłą pierzyną jest w gruncie rzeczy całkiem przytulnie”.

Bardzo powierzchownie poczynają sobie pisarze, gdy każą swemu bohaterowi wybrać samobójstwo, jak gdyby człowiek mógł wybierać między dwiema alternatywami, z których znana jest tylko jedna – życie.

Bo naprawdę nie ma właściwie alternatywy, nie ma możliwości wyboru między życiem a śmiercią. Żyjemy i wiemy, co to znaczy; wiemy, że życie jest dobre lub złe. O śmierci nie możemy tego wiedzieć, nie możemy wiedzieć, czy ona coś znaczy, w przeciwieństwie do nicości. Wręcz odwrotnie: skoro zgoła nic nie wiemy o śmierci, staje się ona dla nas identyczna z niczym, a więc z nicością.

„Ja wiem, czym jest śmierć!” – wołasz. – „Wiem, że jest przeciwieństwem życia!”

Na to odpowiadam: nie masz o tym pojęcia. Wiesz tyle tylko, że w oczach ludzi nadal żyjących śmierć jest równoznaczna z przemianą żyjącego niegdyś ciała w produkt rozkładu materii albo w popiół, albo w kupkę kości, albo w proch. Nic więcej nie wiesz.

Założmy jednak, iż masz rację. Założmy, że śmierć jest przeciwieństwem życia, przez co należy rozumieć życie w każdej postaci, nieprawdaż? Czym jest w takim razie śmierć dla nas, tych jesz-

cze żyjących?

Nicością.

Rozumiesz mnie? Ciemność jest antyświatłem. Ponieważ znamy i ciemność, i światło, możemy je ze sobą porównać i stwierdzić, czym one są: możemy wybierać, czy chcemy być w świetle, czy w ciemności. Gdybyśmy jednak znali tylko światło, moglibyśmy jeszcze stworzyć pojęcie antyświatła, ponieważ jednak nie możemy wiedzieć, czym jest antyświatło, pojęcie to byłoby dla nas bez treści. Inaczej mówiąc, gdybyśmy nie mogli porównać światła z niczym innym, nie moglibyśmy zrozumieć, czym ono właściwie jest.

Dlaczego nikt również nie może zrozumieć, czym właściwie jest życie. Możemy życie porównywać tylko z życiem: dobre życie ze złym życiem albo ze średnim, i tak dalej. Dlatego byt jest dla nas zagadką, a my sami stanowimy jej część. Sami jesteśmy zagadką. Nie potrafimy drogą własnego wyboru wyjść poza tę zagadkę, nawet nie wiemy, czy ona obejmuje również to, co sięga dalej niż życie doczesne. Zupełnie nic nie wiemy o tych istotnych sprawach.

Owszem, wiem o tym, że pewna liczba ludzi ginie z własnych rąk. Robią to jednak pod wpływem naporu uczuć. Nie mają wyboru. Mogą tylko zdać się na łaskę własnych przeżyć, bez oporów i te-

atralnie podporządkować się uczuciom, które ich ostatecznie uśmiercają. W chwili popełniania czynu ludzie ci nie zdają sobie sprawy, że szukają śmierci, że chcą zrobić krok z czegoś w nicłość. Szukają, choć tego nie rozumieją, najwyższego emocjonalnego przeżycia, które wydaje się im wyładowaniem i wyzwoleniem... no i biedacy umierają nie pojmując, że osiągnęli tylko szczyt emocjonalnego przeżycia. Oczyszczenie, wyładowanie, wyzwolenie się z napięcia – wszystko to nie istnieje, bo człowiek sam przestaje istnieć. Bo przecież rozstał się z tym światem!

14 sierpnia. Zapisać to kredą w kominie! Pojechałem do Oslo. Wpadłem tam na pewien pomysł. Odwiedziłem pewnego kolegę klubowego, „pożyczyłem” sobie jego synka i poszedłem z nim do teatru na komedię dla dzieci. Malec trzymał mnie za rękę. To było wspaniałe.

Coś zaszło. Do szatni weszła jakaś starsza pani z towarzystwa dobroczynności, prowadząc ze sobą dziesięciu niedorozwiniętych chłopców w odświętnych ubraniach i lakierkach. Przyszli – hi! hi! – pośmiać się trochę.

– Pamiętajcie, żeby się nie wiercić podczas przedstawienia – upominała opiekunka, a chłopcy poważnie kiwali głowami i gorąco się nawzajem przekonywali, że nie wolno – za nic, za nic! – wier-

cić się na sali. Ale za to będą się śmiać!

– Ustawcie się wokół mnie, chłopcy – zakomenderowała starsza pani. – Muszę zdjąć ciepłe reformy.

Chłopcy usłużnie zrobili ciasne kółko wokół siwiejacej pani, tak że nikt nie mógł dostrzec, co ona robi.

Stali dumni, zwrócenii do niej plecami. Jak mężczyźni, którzy potrafią być pożyteczni. Zezowate oczy, bezmyślne twarze, otwarte usta, drżące wargi, wszystko w tych fizjonomiach było nieuporządkowane, wszystko nie na miejscu. Komiczny widok, a jednocześnie bardzo smutny.

Jeden z chłopców wyglądał na melancholika, wzrok miał jakby nieprzytomny. Starsza pani specjalnie się nim opiekowała, a on też zawsze trzymał się jej jak najbliżej.

Siedzieli w rzędzie przede mną. Przedstawienie było bardzo interesujące. O, jak się wszyscy bawili – z wyjątkiem tego melancholika, który siedział obok opiekunki. Ale inni aż piszczełi z uciechy, rozbawieni każdym ruchem na scenie. Chwilami wiercili się z wielkiej emocji.

– Powiedziałam, że nie wolno się wiercić, chłopcy!

– O, nie, nie wolno, pani powiedziała, że nie wolno! Ale zobacz, on znowu idzie, ten sam! Ten z ka-

peluszem! Hi, hi!

- Kapelusz.
- Jakiś kapelusz.
- Z kapeluszem.
- Z jakimś kapeluszem.
- W kapeluszu.
- Ja wiem, że w kapeluszu.

W samym środku przedstawienia jeden z chłopców podniósł się triumfalnie i pokazując palcem na jakąś dotkniętą mongolizmem dziewczynkę, którą zauważył na drugim końcu sali, powiedział:

– To jest... to jest... Ewa Johansen... to jest Ewa Johansen!

– Cicho, Eryk! Obiecałeś, że nie będziesz się wiercił. Siadaj!

– Ja wiedziałem... ja wie... wie... wie... działałem, to jest Ewa Johansen. Ewa Johansen! Ona się tak nazywa, bo to jest Ewa Johansen!

– Tak, tak, jesteś bardzo mądry chłopiec. Porozmawiamy z nią po przedstawieniu.

– Ooooooo! – westchnął głośno Eryk, marzycielsko zapadając w krzesło.

– Ale śmichu! – zawołał jakiś głos.

– Czy to śmieszne?

– Proszę czekolady. Tu jest korona.

– Niiieeee... Chcesz wydać swoją koronę na czekoladę?

– Tak, przecież jestem w teatrze.

– Cha, cha, cha! Koronę! Koronę!

A starsza pani objęła ramieniem małego melancholika i coś przyjaźnie do niego szeptała.

Ogarnął mnie wstyd.

15 sierpnia. Trzeba jak najprędzej znaleźć Siv i skończyć z tym wszystkim. Muszę się zająć czymś twórczym, czymś pożytecznym.

Zastanawiam się, co przeżywa człowiek niedorozwinięty. Może to jest przyjemne?

16 sierpnia. Tak tu pięknie. I takie czyste powietrze. Czuję się wolny, a dziś świeci słońce. W Oslo czułem się podle, jak w niewoli. Tu jest moje miejsce.

Tu jest marzenie.

Niech to wszyscy diabli.

Ostrzegam: kto się odważy nałożyć więzy na moje życie?

Niech wszyscy diabli wezmą tę zapowiedź.

17 sierpnia. Na stole przede mną leży pistolet, ciężka broń wojskowego typu. Obok 128 naboju w ośmiu małych paczkach. Na każdej paczce nadruk: „16 sztuk ostrych naboju pistoletowych kalibru 9 mm. Fabryka amunicji w Raufoss”. Otwieram jedną paczkę, wydaję nabój i oglądam; ładna

błyszcząca zabawka, z wybitą datą: 1953. Osiem lat temu siedział w Raufoss jakiś robotnik przy maszynie wyrzucającej ten nabój, który może położyć kres życiu Bragessona. Po skończonej pracy ów robotnik wrócił do żony, zjadł obiad, posłuchał radia, położył się i zapłodnił swą połowicę. „Kocham cię!”, mógł przy tym powiedzieć.

Pistolet ciężko leży w dłoni, jest do niej stworzony. Działa jeszcze doskonale. Pocisk przedziurawił ścianę szałas Nordablaas, łuska upadła na podłogę, dym zakręcił mi w nosie.

Pistolet jest niemiecki. Może położył kres życiu jakiegoś Żyda albo Norwega, albo kogoś innego. Może kiedyś wisiał u pasa jakiegoś esesmana i mógł wtedy zakończyć życie Bragessona.

Wyjdę teraz i wystrzelę 128 naboju w powietrze. Naboje w połączeniu z pistoletem mogą w chwili słabości skusić do jakiegoś lekkomyślnego kroku. A więc.

Jestem z powrotem w szałasie. Wypróżniłem wiele magazynków, słuchając przy tym nieustannej symfonii grzmiącego echa. Gdy jednak zostało mi jeszcze 32 sztuki, przerwałem strzelanie i wróciłem. Moja konkluzja brzmi: ta kanonada była głośną demonstracją słabości.

Słabość przewyciężona. Pokpiwam sam z siebie. Podobna głupota!

Nie, trzeba być mężczyzną, do licha!

18 sierpnia. Dlaczego zacząłem stawiać daty przy zapiskach? Jak w pamiętniku. Czy liczę swoje ostatnie dni? Nonsens. Zwykła fantazja. Odmiana sprawia przyjemność.

19 sierpnia. Znalazłem szczelinę, która mnie bardzo interesuje. Zdaje mi się, że jest głęboka, bardzo głęboka. Leży w miejscu, gdzie lodowiec opada stromo w dół. Po tym stromym stoku Siv mogła jechać na nartach.

20 sierpnia. Sam nie rozumiem, dlaczego interesuje mnie ta właśnie szczelina. Już przeszukiwałem przecież podobne. Dlaczego boję się zejść do niej? Nie mam przecież powodu przypuszczać, że Siv jest właśnie tam.

Jestem niespokojny. Nie wiem dlaczego. Chyba odłożę to na kilka dni.

23 sierpnia. Ludzie są często głupcami.

Nigdy nie mogłem pojąć tych, którzy wpierw żądają cudu, aby potem uwierzyć w Boga. Bo czy jakiś Bóg istnieje, czy nie, trudno mi wyobrazić sobie większy cud niż fakt, że my istniejemy, że żyjemy i umieramy; trudno o większy cud jak ten, że poruszamy się po czymś, co nazywamy kulą ziem-

ską, co wokół tego, co nazywamy słońcem, krąży w bezkresnej przestrzeni nazywanej wszechświatem – i nie rozumiem, czy cud ten miałby wydawać się mniejszy po uzyskaniu informacji, że słońce jest kulą świecącego gazu o promieniu miliona czterystu tysięcy kilometrów, i tak dalej. Nie widzę powodu, aby zjawisko przestało być cudowne dlatego, że nauka określa je przy pomocy faktów i danych.

Tak, ludzie są często głupcami.

Nigdy nie mogłem pojąć tych, którzy muszą wiedzieć lub wierzyć, że Chrystus był synem Boga, aby potem iść za jego posłaniem. Bo czy Chrystus istniał, czy nie, trudno odrzucić lub zwątpić w posłanie, które nazywamy Chrystusowym. Ono jest rzeczywistością i nie rozumiem, że miałyby być mniej godne naśladowania, gdyby pochodziło od Chrystusa, który nie był synem Boga. Wręcz przeciwnie, chciałbym powiedzieć: na więcej ludzkiego szacunku zasługuje i więcej pociechy daje to posłanie w wypadku, jeżeli pochodzi tylko od człowieka i tylko przez człowieka zostało wcielone w życie. Nikt nie ma zaś powodu wątpić, że żył człowiek imieniem Jezus. Już przecież słowa Chrystusa zawarte we wszystkich czterech Ewangeliah wskazują na tak niezwykłą zgodność osobowości, treści uczuciowej i doboru wyrażeń, już to samo przeczy

twierdzeniom, jakoby Chrystus nigdy nie żył. Styl udowadnia, że jako pierwszy inspirator musiała występować zawsze ta sama, a więc jedyna, potężna duchem osobowość, mająca tak ogromny wpływ na umysły ludzkie, iż potrafiła wyryć niezniszczalne piętno swego charakteru i swego posłania w świadomości wielu ludzi.

Tak, ludzie są często głupcami.

Nigdy nie mogłem pojąć tych, którzy twierdzą, że nauki przyrodnicze przeczą egzystencji Boga i duszy. Bo niezależnie od tego, jak głęboko wiedza potrafi sięgnąć w tajemnicę mózgu ludzkiego, i niezależnie od tego, jak daleko astronauta zapuszczą się w przestrzeń kosmiczną, zawsze pozostanie niezbadane miejsce dla Boga w nieskończonym wszechświecie i podobnie niezbędnym miejscu w mózgu ludzkim na niedający się wytłumaczyć ośrodek życia; w tym właśnie ośrodku może sobie spokojnie mieszkać przekonanie o istnieniu Boga, jeżeli człowiek chce mieć jakiegoś Boga. A gdyby, wbrew założeniom wielu ludzi, Bóg miał nie istnieć, wtedy nie odgrywa to żadnej roli, bo nikt żyjący nie może się o tym przekonać, a w mózgu ludzkim jest również miejsce na wyobrażenia o rzeczach nieistniejących. Tajemnica nie do przeniknięcia.

24 sierpnia. Próbowałem zejść w głąb tej intere-

sującej mnie szczeliny. Ale lina okazała się za krótka. Jutro spróbuję na nowo. Dziś wieczorem zaostrzę raki.

25 sierpnia. Wreszcie! Znalazłem kółko od kija narciarskiego! Wyrąbałem je ostrożnie z lodu, a potem równie ostrożnie rąbałem lód pod spodem. Nie znalazłem Siv, ale musi być gdzieś niedaleko. Tak, zbliżam się do celu. Wkrótce ją znajdę. Muszę tylko wyrąbać dużo więcej lodu. Ostrożnie. Potrzebna mi jest kieszonkowa latarka. Jutro pójdę tam z latarką i resztą niezbędnego ekwipunku.

Nie potrafię znaleźć słów, aby wyrazić moje podniecenie.

Jakiś tam dzień. Czas już stanął. Nadeszła wieczność. Tajemnica przemawia do mnie szepcąc, ja zaś rozumiem język firmamentu. Nie wyraża on ani jednej jasnej myśli, lecz daje wrażenie miriadów splecionych ze sobą pojęć. Nicość wyraża się w oderwaniu od zależności. Wszystko występuje równocześnie. Człowiek chwyta ustami powietrze i nie może wypowiedzieć ani słowa o swym doznaniu.

Tam w lodowcu leży człowiek. Może to być ktoś inny, na przykład dyrektor banku, który zaginął w tych stronach przed dziesięciu laty. Gdyby to był dyrektor X, wybuchnąłbym szalonym śmie-

chem. Lecz to nie jest dyrektor X.

To jest ona. Siv.

Jeszcze jej nie widziałem, wiem jednak, że tam jest. Nie wyrąbię jej z lodu. Nigdy nie wyrąbię jej z lodu.

Uśmiecha się. Wiem, że się uśmiecha. Dawno temu wśród marzeń rozstała się z życiem, śniąc o mnie.

Uśmiecha się tak, jak tylko do mnie zawsze się uśmiechała. Dalej uśmiecha się tylko do mnie.

Próbuję to ustalić i pojąć. Uśmiech jest ostatnim łagodnym odbiciem jej duszy. Po nim będę mógł odczytać jej ostatnie myśli i marzenia.

Nasłuchuję. To nie kłamstwo, że jej dusza do mnie przemawia.

Patrzę. To nie kłamstwo, że ona tu jest. To okrutna prawda.

Wkrótce wejdę z latarką w głąb lodowca i spojrzę. To więcej, niż mogę zrozumieć. Ale chcę rozumieć więcej, coraz więcej.

Jakiś tam dzień. Wciąż zwlekam. Robię długie wyprawy w inne partie gór, odkładam spotkanie.

Pytam: czym jest teraz moje życie? Czy zamierzam żyć długo?

Co za głupie pytanie. Chciałem powiedzieć: czy układam plany życiowe tak, jakbym miał żyć jeszcze długo?

Nie. Nigdy tego nie robiłem. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Taki już jestem. Może w takim razie nie mam chęci żyć długo.

Chęci? – Chęć. – Nie mogę powiedzieć, czy mam chęć, czy nie, jakkolwiek nie jestem nastawiony obojętnie.

Nie, nie, na pewno nie jestem obojętny. Lecz coraz częściej zjawia się pragnienie przeżywania każdego nowego dnia tak, jakby miał być ostatni; obchodzenia go tak, jak się obchodzi pożegnanie; każdego nowego dnia oddawać cześć życiu, upajać się życiem, używać życia, czuć tętno, tętno życia tak, jakby uderzało ostatni raz. Czy rozumiesz mnie, Stefanie? Życie jest dla mnie jakby kochanką – mogę ją utracić jutro, ona może mnie jutro utracić – bo wiem tylko tyle, że jestem skazany na śmierć, a chcę się nacieszyć kochanką tak, jakbym wiedział, że jutro mam pójść na szafot.

Odkąd pamiętam, zawsze byłem taki, i dlatego zawsze żyłem pełnią życia.

Wielkie wydarzenie! Nie wiedząc nawet, czym ono jest, zawsze oczekiwałem na wielkie wydarzenie; jutro nastąpi, zawsze to czułem. Jutro, jutro! Jutro cała moja energia życiowa ulegnie koncentracji! Jutro stanę się Bragem Bragessonem!

O, jutro, jutro! Z otwartymi ramionami rzucę się w morze światła! Jutro, o! Jutro stanę gdzieś

w morzu światła i rozejrzę się dokoła.

Posuwają się ku mnie. Posuwają się ku mnie ze wszystkich stron; ze wszystkich stron idą do mnie miłości, wszystkie miłości, bo jest ich wiele. Lecz światło, światło wiąże je wszystkie razem i nadaje im wspólne imię.

Śpiewają i unoszą mnie w górę. Śpiewają i niosą mnie powoli przez bezkresną i białą pustynię, śpiewają i prowadzą mnie do samego centrum morza światła. Śpiewają do tego światła. Śpiewają tak:

Jesteś snem.

Lecz jesteś Bogiem.

Jedynym Bogiem świata.

A twoje imię – Caritas.

Jakaś tam noc. Nie mogę spać. Siedzę i czekam na światło. Jutro – a właściwie dzisiaj – zejść do niej, ale teraz jest jeszcze noc, a ja ją jeszcze raz ożywiłem, i to jest dzień. Wychodzę w jasną noc, idę po rozkołysanych, wysokogórskich łóżach i wołam jej imię. Napęlam płuca zapachem śpiącej ziemi i znów wołam jej imię. Butelkę nazywam pucharem i wnoszę nim toast za zdrowie światła i jej zdrowie, wypilem i czuję, jak wzmacniający płyn rozchodzi się wraz z krwią po ciele, znów piję i wołam jej imię po raz trzeci. Potem tłukę puchar i wnoszę nowy, i piję na zdrowie światła i na jej

zdrowie, piję i wołam jej imię po raz czwarty. Potem tłukę ten drugi puchar.

Znów idę po rozkołysanych, wysokogórskich łożach. Już jest jaśniej, a jeszcze trwa życie. Potężne siły stoją jeszcze do dyspozycji.

Ruja! Chcę życia, chcę życia, chcę więcej życia!

Gdzie ona jest? Gdzie ona jest? Chodź, wskaż mi drogę, góro! Bo ja chcę życia, chcę życia, chcę więcej życia!

Patrz, przychodzę przecież z prawem życia! Patrz, przychodzę przecież z siłą życia, z niewyła-dowaną potęgą życia!

Ruja! Ruja! Jestem Bragem Bragessonem! Chcę ją pokryć! Lecz najpierw zaśpiewam jej piosenki, pokażę jej was, moi przyjaciele, pokażę jej chmury, niebo i słońce, które wkrótce wzejdzie a potem pokażę się jej sam.

Tu! Tu! Tu między wami się to stanie. Tu się to stanie. Tu zatańczę dla niej własny taniec. Tu zaśpiewam jej własną pieśń. Tu każę jej własne ciało i oczy; siłę, pożądanie, zaspokojenie... czegoż może oczekiwać.

Ruja! Hej! Wkrótce ona zatańczy razem ze mną, bo wkrótce wzejdzie słońce! Wówczas uniosę ją sobie nad głowę, będę szalał z radości i tylko z nadmiaru szczęścia krzyknę te najbardziej zbędne słowa na świecie:

– Ty i ja!

[39] Czyż nieprawda, przyjaciele? Jestem dobrym narciarzem? (ang.)

[40] Zgadza się. On jest bardzo dobrym narciarzem proszę pana (ang.)

[41] Ale to było niebezpieczne! (ang.)

[42] To jest szalone! Szalone, mój panie! (szwedz.)

[43] Co się dzieje? Wiking wrócił? (niem.)

[44] W porządku, Stearvik (ang.)

[45] Więcej światła (niem.)

[46] Kanalia (niem.).

[47] O nie, ponieważ przypominam tylko o heil, nie, Fritz stój! Dalej! Strzelaj! Heilmann! Plask! Hi, Hi! Cha, cha, cha! (niem.)

[48] Nie wygłupiaj się i tak dalej! (niem.)

ZAKOŃCZENIE

STEFANA BOROVIĆA

Widok Siv, konfrontacja z brutalną i nieodwracalną rzeczywistością, to musiało być dla niego wstrząsającym przeżyciem, czymś zgoła innym, niż oczekiwał. Wyobrażać coś sobie to mimo wszystko nie to samo, co spotkać się z potwierdzeniem wyobrażeń przez rzeczywistość. Inaczej mówiąc: co innego znaczy mieć coś w głowie, a co innego spotkać się z tym nagle oko w oko, jako z namacalnym i realnym faktem.

Prawdopodobnie upłynęło wiele miesięcy, zanim zdołał wyrąbać ją z lodu i wynieść na górę. W tych miesiącach – jak przypuszczam – starał się przełamać ten nastrój i wrócić do życia. Lecz jakieś siły mocniejsze od rozumu pchały go na lodowiec Örnebre, do tej szczeliny i do Siv. Przesiadywał tam całymi dniami, tygodniami i miesiącami, patrzył na nią, a po pewnym czasie zaczął do niej przemawiać i dostawać odpowiedzi.

Zmiana jednak musiała następować stopniowo, bo mnie wezwano dopiero w grudniu, a przedtem widywano go często w hotelu. Z początku nikt nic nie zauważył, przez jakiś czas był nawet bardzo wesoły i rozmowny, ale w listopadzie zamknął się zupełnie w sobie i milczenie przerywał tylko spo-

radycznie pytaniami: „Czy prędko nadejdzie Chrystus?”.

Człowiek, którego Brage nazywał pleciugą, opowiada:

„Nigdy w życiu nie wylałem tyle łez. – Nie dlatego, aby Brage nie żył albo chorował, nic podobnego. Nigdy nie widziałem go tak silnego, tak pełnego energii i zadowolenia. Tylko nie mówi już ani słowa. Ani słowa. Nie wita się, gdy przychodzi, ani nie żegna się odchodząc, i gdy się tu zjawia, właściwie nie wiem, czego mu potrzeba. Po prostu wpada o różnych porach dnia i nocy, bez pukania wchodzi do mego prywatnego mieszkania, siada i pozostawia resztę moim domysłem. Ciągłe uśmiecha się sam do siebie, ale jakimś krzywym uśmiechem, całkiem nie jak Brage. Przemawiam do niego, próbuję opowiadać coś zabawnego, zagaduję o czymś, co dawniej go zwykle interesowało. Dwa razy – dwa razy, zanotowałem to w kalendarzu! – powtarzam, dosłownie dwa razy widziałem, że się śmieje. I to nie wtedy, gdy opowiedziałem dowcip, naprawdę doskonały dowcip własnego pomysłu. Nie. Nawet przy pomocy alkoholu nie udało mi się nawiązać z nim kontaktu, choć zawsze, gdy sobie podpił, zachowywał się tak miło i młodzieńczo! Dłużej tego nie zniosę! Jeżeli nie nastąpi zmiana, likwiduję hotel! Słowo daję! Kilka razy

zresztą podpił sobie zdrowo; ale wtedy uśmiechał się jeszcze bardziej kwaśno i w dodatku trzeba widzieć, jak on teraz wygląda. Jak dzikus! Zapuścił brodę i cuchnie okropnie. Rozbieramy go i kąpiemy, moja żona dba o jego odzież, czasami Brage u nas nocuje, wtedy sypia doskonale. Proszę go, żeby zamieszkał u nas na stałe, on nie odrzuca zaproszenia, lecz mimo to zawsze znika.

Nasz Brage zawsze był niezwykłym facetem i dlatego przez pewien czas myślałem, że stroi sobie ze mnie żarty. Jednak trwa to tak długo, że coś musi być z nim zasadniczo nie w porządku”.

Nazajutrz po przybyciu do hotelu spotkałem Bragego. Właśnie stałem w hallu, gdy wszedł. Był w narciarskim ubraniu. Zrobiłem kilka kroków w jego kierunku, chciałem się przywitać, ale zareagował tylko tym, opisanym już, krzywym uśmiechem. Ani jednym gestem nie zdradził, że mnie poznaje, skierował się do prywatnego mieszkania dyrektora i tam usiadł. Poszedłem za nim i spotkało mnie to samo, o czym wspominał jego miejscowy przyjaciel, właściciel hotelu. Bardzo szybko Brage nas opuścił i pojechał na nartach w kierunku północnym.

Jego oczy zdradziły, że jest umyślowo chory – w potocznym znaczeniu – i musi się jak najszybciej znaleźć w szpitalu. Problem tylko: jak to zro-

bić? Wszystko wskazywało, że zupełnie automatycznie chadzał tymi samymi drogami i wykonywał te same czynności fizyczne, co przed chorobą, lecz to wiązało się z górami, szałasem Nordablaas i hotelem. Próba zabrania go siłą doprowadziłaby najprawdopodobniej do bardzo gwałtownego wybuchu. Postanowiłem więc spróbować zwabienia go podstępem.

Nazajutrz oddano mi do dyspozycji sanie z psim zaprzęgiem. Pojechaliśmy do Nordablaas drogą okrężną. W ten sposób mogłem poznać te okolice i góry Bragego. Było tam straszliwie pusto, mroźno i pięknie.

W Nordablaas nie zastaliśmy nikogo, ale znaleźliśmy jeszcze ślady samotnego człowieka na nartach i z tobogganem. Po odpoczynku ruszyliśmy tymi śladami, które wiodły z powrotem na południe. Przy jakiejś górze, która, jak przypuszczam, nazywa się Veslehö, zaprzęg zatrzymał się, a poganicz powiedział, że ślady prowadzą dalej zwykłą drogą Bragego do urwiska Hampetrossefallet. Przerwaliśmy więc poszukiwania i śpiesznie wróciliśmy okrężną drogą do hotelu.

Gdy dotarliśmy tam późną nocą i bardzo zmęczeni, nikt jeszcze nie widział Bragego. Na zmianę z dyrektorem czuwaliśmy przy oknie wychodzącym na północ. Raz podczas swego dyżuru zdrzem-

nałem się na chwilę, a gdy się ocknałem i wyjrzałem przez okno, zobaczyłem na równinie przed hotelem Bragego z tobogganem. Stał w poświacie księżyca, odniosłem wrażenie, że na coś czeka.

Po raz pierwszy widziano go z tobogganem. Co mógł na nim wieść? Próbowałem odgadnąć i bardzo szybko zrozumiałem wszystko. Już dawno ją odnalazł. Na tobogganie leżała Siv.

Ale po co ją tu przywiózł?

Narzuciłem płaszcz i wybiegłem na dwór. Gdy Brage mnie dojrzał, natychmiast puścił się pędem, ciągnąc za sobą toboggan, i wkrótce zniknął.

Bał się, że ktoś mu odbierze Siv. Dlaczego jednak ją tam przywiózł? Czy można przypuścić, że mnie jednak poznał, i chciał mi ją pokazać? Jeżeli tak, to po co?

Nie budząc dyrektora, dalej wartowałem przy oknie. Brage wrócił po dwu godzinach, lecz trzymał się z daleka. Czekał. Albo się wahał. Na razie nie wychodziłem, mając nadzieję, że sam zrobi to, co sobie zamierzył.

Potem Brage zaczął niespokojnie krążyć tam i z powrotem, cały czas ciągnąc za sobą toboggan i uważnie obserwując hotel. Kilka razy odważył się podejść trochę bliżej, ale prawie natychmiast znów się oddalał. Po jakimś czasie zniknął na dobre. Byłem bardzo zaniepokojony, lecz jedna z po-

kojówek, prawdopodobnie ta, którą Brage nazywał „Wampusiem”, trochę mnie uspokoiła mówiąc, że widziała na tobogganie śpiwór. Widocznie więc nie stracił jeszcze resztek rozsądku.

O świcie Brage zjawił się po raz trzeci, stosując takie same manewry. Po cichu wyszedłem przed hotel i zawołałem na niego. Natychmiast skulił się i chciał uciekać, ale zawołałem po raz drugi, a wtedy jednak się zatrzymał. Na tej podstawie przypuszczałem, że mnie poznał.

W nadziei nawiązania bliższego kontaktu zacząłem biec przed siebie i ugrzązłem w kopnym śniegu. Brage skwapliwie ruszył mi na spotkanie. Z jego twarzy biła promienna radość i dziecinna duma. Przemówił:

– Przywiozłem ją tu do ciebie, Chrystusie, żebyś ją mógł zobaczyć!

– Ja jestem Stefan, twój przyjaciel Stefan – próbowałem, lecz moje słowa nie docierały widocznie do jego świadomości. Odchylił koc i z ogromną dumą i radością wskazał na leżące zwłoki, mówiąc:

– To jest moja małżonka, Siv Bragesson. Nasza córka, Konwalia Bragesson, zginęła w nieszczęśliwym wypadku. A to jest Chrystus, Siv. Ten, który mi zawsze pomagał. Czy nie jest tak, jak mówiłem, że ty go też polubisz? Zobacz, jak ona się do

ciebie uśmiecha! Ale nie braliśmy ślubu. Czy dasz nam ślub? Musisz nam dać ślub! Daj nam ślub!

Udzieliłem im więc ślubu, a nic nie mogło rozwiać jego iluzji, że Siv żyje. Ani to, że nie odpowiadała na moje pytania – bo on słyszał jej odpowiedzi – ani to, że ręka, którą trzymał w swojej dłoni, była lodowato zimna, sztywna i pomarszczona – bo on widział ją ciepłą, miękką i piękną.

Był bez rękawic. W ręce trzymał dwie złote obrączki. Nie do pojęcia, w jaki sposób je zdobył.

Najpierw włożył jedną obrączkę na serdeczny palec Siv. Potem przyszła kolej na niego, ale wtedy stwierdził, że nie ma już serdecznego palca. Zdziwiony oglądał dłoń, obracał nią i nie wiedział, co ma zrobić. Nagle wbił wzrok w przestrzeń, jakby starał sobie coś przypomnieć. Zdawało mi się, że poznaję jego dawne spojrzenie i mimo woli złożyłem ręce, modląc się, aby Bragemu rozjaśniło się w głowie.

Niestety, nie. Równie nagle zaczął wykazywać paniczną wprost aktywność, próbował włożyć obrączkę na jakiś inny palec, lecz wszystkie okazywały się albo za duże, albo za małe.

Przez chwilę stał jak osłupiały, potem nagle twarz mu się rozpromieniła w uśmiechu, wsadził obrączkę do ust i połknął.

Wtedy ogłosiłem, że są małżeństwem. Podniósł

się z klęczek z wyrazem błęgiego zadowolenia, bardzo spokojny. Potem podziękował mi i uroczystym krokiem ruszył znów na północ. Był to tak żaloszny widok, że serce mi się krajało.

Chory umysłowo człowiek krąży po górach, ciągnąc trupa na saniach! To niedopuszczalne, bez względu na to, jak bardzo on sam czuje się szczęśliwy!

W kilka godzin później wyruszyłem z hotelu psim zaprzęgiem w towarzystwie kilku silnych mężczyzn. Postanowiłem w razie potrzeby sprowadzić go siłą.

Brage spotkał nas rozjuszony, uzbrojony w pistolet. Nie wiedzieliśmy, że ma broń.

Prosiłem, aby poszedł z nami, próbowałem wykorzystać w tym celu swoją „Chrystusową” władzę, lecz on już od dawna był przygotowany na interpretowanie każdej sytuacji na swój własny sposób:

– Ten! – wskazał na jednego z członków naszej grupy. – To Judasz! – A tamten! – wskazał drugiego – to Piotr! Kur zapiał po raz drugi!

Potem otoczył mnie opiekuńczo ramionami, cały czas jednak trzymając pistolet wymierzony w resztę uczestników wyprawy:

– Oni cię zdradzili, Chrystusie!

Jakiś pies w zaprzęgu warknął groźnie. Brage

zastrzelił go na miejscu. Ludzie znieruchomieli z przerażenia. Powiedziałem:

– Odeślę moich uczniów.

– Tak, odpraw ich! Nie są ciębie godni! Żadnemu z nich nie możesz ufać!

Zbliżyłem się do członków ekipy i szepnąłem im, żeby sobie poszli i wrócili nazajutrz. Tymczasem ja miałem zostać z Bragem i rozbroić go, ewentualnie namówić lub nawet podstępem zwabić do pójścia z nami.

Towarzysze odradzali mi, ale postawiłem na swoim, zastosowali się do mego polecenia.

Gdy zostaliśmy sami, Brage nie posiadał się z radości. Zabite zwierzę zagrzebał w śniegu, nazywając je piekielnym psem.

Ta noc była dla mnie największym przeżyciem. Brage traktował mnie naprawdę jak Chrystusa. Jego troskliwość nie miała granic. Napalił w piecu, aby Chrystus nie czuł chłodu, przyrządził posiłek, aby Chrystus mógł zaspokoić głód, przygotował miękkie posłanie z baranicy, aby Chrystus miał godne siebie łoże, wszędzie poustawiał zapalone świece, zbudował coś w rodzaju ołtarza, przyniósł piwa, umył mi nogi, złożył ręce i modlił się do mnie.

– Ty jesteś drogą, prawdą i życiem! Pobłogosław mnie, jeżeli uważasz, że na to zasłużyłem!

Zrobiłem znak krzyża, błogosławiąc go w ten sposób. Jego szczęście graniczyło z ekstazą, wstał z klęczek i gorąco mi dziękował. Potem przez całą noc do mnie przemawiał. Podczas tych godzin ujawniło się wszystko, co w nim było dobrego i pięknego, wielkiego i wzniosłego, wszystko tworzyło jeden snop niezwykle jasnego światła. Nigdy nie słyszałem, aby ktoś wznioślej opiewał życie, dobroć, radość i miłość, niż on w tych godzinach, i nigdy żadna ludzka istota nie była mi bliższa od tego człowieka, który mimo tak ciężkich prób potrafił zachować twórczą wolę i mimo szaleństwa wydawał się prawdziwym wcieleniem tej woli. Wszystko inne już w nim nie żyło. Przy życiu zostało tylko to jedno: światło.

Słuchałem jego słów. Czerpałem z nich wiele. Nigdy w życiu nie spotkałem się z czymś tak urzekającym, nic więc dziwnego, że zapomniałem o pistolecie. Ale nad ranem Brage zaczął zdradzać niepokój i wyrażać obawę, że uczniowie mogą przyjść z powrotem razem z faryzeuszami, żołnierzami i Piłatem. Próbowałem go uspokoić, ale jego niepokój rósł; bez przerwy powtarzał, że tym razem nie będą mnie mogli schwytać, bić, włożyć mi cierniowej korony, ukrzyżować i zadawać bólu. On, Brage, do tego nie dopuści! Uratuje Chrystusa od cierpień! Uniesie wielki krzyż wysoko i roztrza-

ska go o Golgotę. A gdy stwierdziłem, że jego obawa o moją osobę nie ma wprost granic, zrozumiałem, do czego to może doprowadzić; co zrodziło się w jego chorym umyśle. Nie odczuwałem jednak strachu ani żalu. Zapewniłem już przyszłość żonie i dzieciom. Muszą się obejść bez męża i bez ojca; może to ciężko, ale na tym się świat przecież nie kończy. A zresztą we własnym mniemaniu czułem się ostatnio taki słabowity, że byłem dla swoich najbliższych bardziej ciężarem niż pomocą. Jeżeli mam zginąć z cudzej ręki, nie mógłbym znaleźć lepszej niż ręka Bragego ani też lepszego sposobu: ten człowiek chciał mnie uśmiercić z miłości.

Przyszła wreszcie chwila, w której Brage nabrał ostatecznie przekonania, że wkrótce zjawią się uczniowie z faryzeuszami, żołnierzami i Piłatem. Dlatego wymierzył z pistoletu w moją głowę i wystrzelił. Straciłem przytomność.

Co stało się z Bragem?

Uratowawszy Chrystusa od cierpień, wyruszył z tobogganem na lodowiec Örnebre. Tam opuścił się do szczeliny, wyniósł Siv na górę i zaczął z nią wędrować po okolicy.

Kilka godzin później do Nordablaas przybyły dwa zaprzęgi psów z grupą uzbrojonych ratowników. Znaleźli mnie już przytomnego, ale w dość kiepskim stanie. Życiu memu nie zagrażało jed-

nak niebezpieczeństwo.

Jeden zaprzęg odstawił mnie do hotelu. Druga grupa nie zwlekając, wyruszyła na lodowiec Örnebre, gdzie bez trudu znaleziono szczelinę; drogę do niej wskazywał drewniany krzyż. Stamtąd poszli śladem wiodącym przez cały lodowiec na dół, do jeziora leżącego na północ od Kvitskaret, a potem dalej na wschód i na północ. Szaleńcza i wymagająca ogromnego wysiłku była ta nowa wędrówka Bragego, przy czym oddalał się coraz bardziej od Nordablaas.

Ratownicy nie dogonili go pierwszego dnia. Wieczorem spadł śnieg, pokrywając wszelkie ślady. Nazajutrz prowadzono dalej poszukiwania, również z powietrza, ale Brage jakby zapadł się pod ziemię. Dopiero trzeciego dnia rano zauważono w pobliżu hotelu świeże ślady nart i tobogganu, prowadzące w kierunku północnym, w stronę Hampetrossefallet. Tam znaleziono Bragego u stóp urwiska.

Ostatni raz wracał do domu. Zmarznięty, głodny, spragniony i wyczerpany wielkim wysiłkiem, nie potrafił pokonać tej przeszkody i złamał nogę.

Gdy ratownicy chcieli go podnieść, próbował stawiać opór, lecz tak stracił siły, że dziecko by go pokonało.

Toboggan z Siv stał nienaruszony o kilka me-

trów dalej. Brage prosił członków ekipy, żeby mu jej nie zabierali, a gdy mu to przyrzeczono, ucieszył się i oświadczył, że odbyli pokutę i stali się prawdziwymi uczniami Chrystusa. Teraz przyszli, aby Siv i jego zabrać do raju, bo tak właśnie obiecał Chrystus: „Dziś jeszcze będziecie ze mną w raju”, tak powiedział do Siv i do Bragego.

Rozdzielenia ich nie dało się jednak uniknąć i żadne kłamliwe wykręty, choćby najsprytniej wymyślone, nie mogły Bragemu zastąpić tego, co było dlań dotykalne, co było jego żoną. Zło stało się jeszcze gorsze i bezlitosne. Jeszcze raz uczniowie zdradzili Chrystusa, odebrali Bragemu Siv i zawiedli go do miejsca, które bynajmniej nie okazało się rajem. Tym samym zgasło w nim szczęście i światło. Choroba umysłowa zaostrzyła się i przerodziła w szaleństwo. Czasami przypominał wężące zwierzę i szukał Siv w szpitalu, czasami zachowywał się bardziej po ludzku i próbował uciec, aby szukać jej na zewnątrz. Czasami miewał jaśniejsze momenty, wykazywał wtedy imponującą logikę i spostrzegawczość, jaką chorzy umysłowo często zaskakują swe otoczenie. Choroba objawiała się wyraźnym zawężeniem obszaru świadomości. To, co mówił, brzmiało logicznie i słusznie, lecz równocześnie pomijało wiele innych logicznych i słusznych spraw. Jego myśli były wyolbrzymio-

nymi ułamkami większych całości, których nie dostrzegał. Od razu uderzyło mnie podobieństwo między tym chorym umysłem a równie chorym umysłem burzyciela: wyraźne zawężenie świadomości. Uderzyła mnie też różnica: świadomość burzyciela skupia się bardziej na rzeczach namacalnych, ziemskich. Jest on bardziej praktyczny. Obraca się w środowisku społecznym, jako wyobcowany wprawdzie, ale konkretny człowiek. Dlatego wydaje się nam normalniejszy od chorego umysłowo, który nie zdradza przestępczych skłonności i żyje w kręgu swego własnego świata. Jego choroba umysłowa zwrócona jest do wewnątrz, a przez to staje się czymś abstrakcyjnym. Chory burzyciel ujawnia się w sposób konkretny przede wszystkim na zewnątrz, jest więc niebezpieczniejszy i łatwiej wpada w oczy. Większość burzycieli „wie” o tym, że postępuje wbrew prawu, lecz myśl „to jest złe postępowanie” nie ma dla nich znaczenia. U pacjentów przebywających w zakładach dla chorych umysłowo nie istnieje pojęcie „jestem wariatem”. Gdy jednak wchodzi w grę sprawa winy i odpowiedzialności, zasada oceny musi być taka sama i musi prowadzić do takiego samego wniosku: zdrowy rozum nakazuje nie obciążać winą ludzi o zawężonej świadomości, tych ludzi, których się teraz karze.

Kończę ten swój komentarz stwierdzeniem, że zagadnienie, czy jakiś człowiek może przebywać poza murami zakładu dla obłąkanych lub więzienia, jest przede wszystkim sprawą dotyczącą świadomości.

A biegli rzeczoznawcy mogą w nieskończoność badać i dyskutować, jakie właściwie przyczyny powodują fatalne zawężenie świadomości.

W pół roku po umieszczeniu Bragego w zakładzie pozwolono mi go odwiedzić. Było to w okresie polepszenia stanu jego umysłu. Obawiałem się historycznego wybuchu radości: „Chrystus zmarł i ożył”. Lecz jego reakcja, po chwili zaskoczenia, wyraziła się w bezgranicznym buncie:

– A więc ty jesteś synem Boga! A więc Bóg istnieje! Urządziliście, ty i on, marne przedstawienie, jeżeli wziąć pod uwagę, że jesteś synem tego wszechmogącego, przedobrego i wszechwiedzącego! Absurdalne i mało imponujące przedstawienie, biorąc pod uwagę fakt, że jako jego syn wiedziałeś, nie wierzyłeś, ale wiedziałeś, iż masz raj, w którym możesz się schronić – czyli swoje właściwe życie! Cóż to było dla ciebie, coż to było z twojej strony za poświęcenie zrezygnować z ziemskiego życia na rzecz tego właściwego? Co za bezczelność twierdzić, że cierpiełeś nie tylko jako człowiek, lecz także za nas wszystkich! Co za niesłychany absurd!

Ty i twój ojciec macie odwagę wmawiać to mnie, mnie, choć jestem homo sapiens! Tylko umysł zniszczony przez żałośnie śmieszne przeżycia może się zgodzić z czymś podobnym!

Kipiał gniewem. Na szyi wystąpiły mu czerwone plamy, które rozlewały się stopniowo po całej twarzy.

– A więc ty jesteś synem Boga, a twoim ojcem jest Bóg i Szatan! I on mnie stworzył. Lecz ja jestem współtwórcą i potrafię tak współdziałać w tworzeniu siebie samego, że jego zasługa sprowadzi się do zera. Mogę się sam stworzyć!

Podniósł głos. Pielęgniarze otoczyli mnie na wszelki wypadek ciasnym pierścieniem. W rozpaczy krzyknąłem:

– Nazywam się Stefan Borovic! Czy pamiętasz de Rechtbank? I Benteina Dagestada? Tego, który cię zdradził! Złożył fałszywe zeznania! Nie mogłeś przecież o tym zapomnieć, Brage! A ja uzyskałem twoje uniewinnienie. Brage! Brage! Siedziałeś cztery lata w więzieniu, potem odnalazłeś Siv, ale już martwą, ona nie żyje, nie żyje, została już pochowana.

Wówczas wrzasnął:

– Mam swój rozum! Mój ludzki rozum mówi „nie” na wszystkie absurdy twego ojca! A jeżeli on potępi moją zdolność logicznego rozumowania jako

diabelskie bałamuctwo, to jest to również jego bałamuctwo! Bo twój ojciec jest także Szatanem. Niech więc uderzy we mnie swoim piorunem! Niech podda mnie wszystkim możliwym torturom i cierpieniom... może go uznam, ale nigdy mu się nie poddam! Zabijcie mnie! Poślijcie mnie do piekła! Jestem gotów! Jak długo jednak żyję, będę szukał szczęścia tu na ziemi! Bo ono jest tutaj! Ona jest tutaj! Wiem o tym. Ucieknę z tego więzienia, do którego twój ojciec mnie wtrącił, ucieknę i odnajdę ją. Znajdę Siv! Usuń się z drogi, Chrystusie!

– Chyba lepiej, żeby pan już poszedł, panie mecenasie.

Gdy otwarto drzwi, abym mógł wyjść, Brage rzucił się na nas z ogromnym impetem. Mnie i dwóch pielęgniarzy obalił na ziemię, a zanim inni zdolali mu przeszkodzić, wypadł z sali i jak burza popędził przez korytarz. Zarządzono alarm. Przy jakichś drzwiach doszło do gwałtownej bójki między nim a pielęgniarzami.

A teraz chyba warto zakończyć to sprawozdanie wspomnieniem z czasów, kiedy Brage był szczęśliwy. Użyjmy więc słów, których zapewne sam Brage by użył, nie podkreślajmy tragicznego akcentu sprawy, lecz patrząc na to, co w nas żyje, stwierdzmy, że śnieg wspaniale niesie, że jest jak „piesz-

czota ziemi”, jak „podłoga do tańca, ho, ho!” – pod błękitnym niebem, gdzie porywisty wiatr omiata szczyt Digerhø śnieżnym tumanem, a później tak samo poczyna sobie i ze szczytem Trollhorn na północy.

A jeżeli dobrze pamiętamy – a powinniśmy pamiętać, nie zapominać przeszłości – widzimy Bragego, jak siedzi w swym szałasie Nordablaas, jak tryska energią i radością, jedną ręką obejmując Siv, a w drugiej trzymając kufel słodowego piwa, na który dobrze zasłużył. W jego świadomości i Bóg, i diabeł umarli – słyszymy, jak śmieje się i wywijając kuflem, śpiewa:

– Głowy do góry, ludzie! Nie żyjemy nadaremnie!

KOLOS. ZAPISKI BRAGEGO BRAGESSONA

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

SŁOWO WSTĘPNE BRAGEGO BRAGESSONA

Część pierwsza **PROCES**

Część druga **WOLNOŚĆ**

Część trzecia **BURZA ŚNIEŻNA**

ZAKOŃCZENIE STEFANA BOROVICA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
KOLOSS

Projekt graficzny okładki
Anna Pol

Korekta
Anna Tłomacka

Copyright © Finn Alnæs, 1963
Copyright © for the Polish translation by Barbara
Szymańska, Ewa Giebułtowicz, Tomasz Giebułto-
wicz, 2015

Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warsza-
wa 2015



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-020-8



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

Kiedy skończyłem czytać tę książkę, przestałem być dzieckiem.

MAREK NIEDŹWIECKI

**K
FINN ALNÆS
L
O
S**

 WIELKA LITERA